



SALAMANDRA

MANTRA

CZASZKI

Eliot Pattison

Budząca dreszcz błyskotliwa
powieść, która zdziera maskę
z Dalekiego Wschodu



PATTISON ELIOT
Inspektor Shan 01: Mantra
czaszki
(Przełożył: Norbert Radomski)

ELIOT PATTISON

Dla Matta, Kate i Connora

PODZIĘKOWANIA

Książka ta nie mogłaby powstać bez pomocy Natashy Kern i Michaela Denneny'ego. Wyrazy wdzięczności należą się także Christinie Prestii, Edowi Stacklerowi, Lesley Payne i Laurze Conner.

ROZDZIAŁ 1

Nazywali to schodzeniem na czworaki. Wysoki, chudy jak szkielet mnich balansował na krawędzi stu pięćdziesięciometrowego urwiska, za całą podporę mając tylko przenikliwy himalajski wiatr. Shan Tao Yun zmrużył oczy, by lepiej widzieć chwiejącą się postać. Serce podeszło mu do gardła. To Trinle szykował się do skoku – Trinle, jego przyjaciel, który jeszcze tego ranka szeptem pobłogosławił mu stopy, by nie rozdeptywały owadów na swej drodze.

Rzuciwszy taczki, Shan puścił się biegiem.

Gdy Trinle przechylił się poza skraj urwiska, podmuch wznoszącego się powietrza zdarł mu z szyi khatę, namiastkę szala obrzędowego, którą w tajemnicy nosił pod ubraniem. Shan pędził zygzakiem, omijając wymachujących młotami i kilofami mężczyzn, dopóki nie potknął się na żwirze. Gdzieś z tyłu rozległ się gwizdek i, tuż po nim, gniewny okrzyk. Wiatr igrał z brudnym strzępem białego jedwabiu, kołysząc nim chwilę nad głową Trinlego, aż wreszcie z wolna unióśł go ku niebu. Więźniowie zwrócili oczy ku płynącej w górze khacie, nie z zaskoczeniem, ale z nabożną czcią. Wiedzieli, że każde zdarzenie jest znaczące, największe zaś znaczenie kryją w sobie często takie właśnie subtelne, nieoczekiwane działania samej natury.

Strażnik krzyknął ponownie, ale nikt nie powrócił do pracy. Była to żałośnie piękna chwila: biały szal tańczący na kobaltowym niebie, dwie setki wynędzniałych twarzy zwróconych w górę w nadziei objawienia, niepomnych kar, jakie bez wątpienia czekają więźniów za zmarnowanie choćby minuty. Była to jedna z tych chwil, jakich Shan nauczył się oczekiwać w Tybecie.

Ale Trinle, balansując na skraju urwiska, jeszcze raz zwrócił w dół spokojne, wyczekujące spojrzenie. Shan widywał już więźniów schodzących na czworaki: wszystkich z tym samym radosnym wyczekiwaniem na twarzach. To zawsze odbywało się właśnie tak, niespodziewanie, jak gdyby nagle podszeptał im to niesłyszalny dla innych głos. Samobójstwo było ciężkim grzechem, nieuchronnie pociągającym za sobą odrodzenie w niższej formie życia. A jednak życie na czterech kończynach mogło się wydać kuszące wobec życia na dwóch w chińskim obozie pracy przymusowej.

Gramoląc się w najwyższym pośpiechu, Shan schwycił Trinlego za ramię, gdy ten już, już pochylał się nad przepaścią. W tej samej chwili zrozumiał jednak, że źle zinterpretował jego zachowanie. Mnich po prostu przyglądał się czemuś. Dwa metry niżej, na skalnym występie, na którym z trudem mieściło się gniazdo jaskółek, leżał mały, lśniący przedmiot. Złota zapalniczka.

Wśród więźniów przemknął szmer podniecenia. Wiatr zagnał khatę z powrotem

nad grań i teraz opadała gwałtownie na stok piętnaście metrów od terenu robót.

Strażnicy wbiegli już między nich, chwytając wśród przekleństw za pałki. Gdy Trinle odsunął się od urwiska, przyglądając się splywającemu w dół skrawkowi jedwabiu, Shan wrócił do swych wywróconych taczek. Przy stercie rozsypanego gruzu stał sierżant Feng. Ociężały, siwy, ale zawsze czujny, notował coś do raportu. Budowa dróg była pracą w służbie socjalizmu. Zaniedbując obowiązki, popełniało się jeszcze jeden grzech przeciwko ludowi.

Ale gdy włókł się niemrawo na spotkanie z gniewem Fenga, w górze rozległ się okrzyk. Dwaj z więźniów poszli po khatę. Dotarli do kamiennego usypiska, gdzie wylądowała, ale teraz cofali się na klęczkach, zawodząc zapamiętałe. Ich mantra uderzyła stojących w dole niczym podmuch wiatru. Jeden po drugim, słysząc ją, opadali na kolana, włączając się w śpiew, aż ogarnął on stopniowo całą brygadę, od wzgórza po zaparkowany niżej, przy moście, rząd ciężarówek. Stał tylko Shan i czterech innych, jedyni Chińczycy wśród więźniów.

Feng ryknął wściekle i ruszył pędem, dmąc w gwizdek. Śpiew więźniów w pierwszej chwili zbił Shana z tropu. Nie było przecież samobójstwa. Ale słowa nie dały się pomylić z niczym innym. Była to inwokacja rozpoczynająca ciąg wskazówek pozwalających zmarłemu wyzwolić się z bardo i odnaleźć właściwe wcielenie.

Żołnierz w kurtce z naszytymi czterema kieszeniami, oznaką najniższej rangi w Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, ruszył truchtem pod górę. Porucznik Chang, oficer straży więziennej, szepnął coś Fengowi do ucha, na co sierżant krzyknął na Chińczyków, by rozebrali odkryty przez tybetańskich więźniów kopiec. Shan, potykając się na kamieniach, skierował się tam, gdzie leżała khata, i ukląkł obok Jilina, ospałego, potężnego Mandżura. Wpychając szal do rękawa, dostrzegł na gburowatej twarzy osiłka błysk podniecenia. W nagłym przypiływie energii Jilin rozgarnął gruz.

Nieoczekiwane znaleziska nie były niczym niezwykłym dla idącej w pierwszym rzucie ekipy przydzielonej do usuwania największych głazów i luźnych odłamków skał. Często zdarzało się, że wzdłuż tras wytyczonych przez saperów ALW napotymano to rozbity garnek, to znowu czaszkę jaka. W kraju, gdzie wciąż jeszcze oddawano zmarłych sępom, nie dziwiły nawet znajdowane tu i ówdzie ludzkie szczątki.

Wśród gruzu ukazał się na wpół wypalony papieros. Jilin porwał go z radosnym pomrukiem, gdy obok nich pojawiła się para wyglansowanych na błysk oficerek. Shan przysiadł na piętach, odchylając się w tył, i ujrzał nad sobą Changa. Twarz porucznika gwałtownie się zmieniła. Dłoń powędrowała do pistoletu u pasa. Ze zdławionym okrzykiem zgrozy oficer cofnął się za plecy Fenga.

Tym razem 404. Ludowa Brygada Budowlana wyprzedziła sępy. W obramowaniu odgarniętych głazów spoczywały zwłoki mężczyzny. Pierwsze rzuciły się Shanowi w oczy buty trupa, kosztowny zachodni model z najprawdziwszej skóry. Z trójkątnego wycięcia czerwonego swetra wyzierała śnieżnobiała koszula.

–Amerykanin – szepnął Jilin głosem pełnym czci, nie dla zmarłego, ale dla jego ubrania.

Mężczyzna miał na sobie nowe niebieskie dżinsy – nie marny chiński drelich, do którego u ulicznych handlarzy kupowało się podrobione zachodnie naszywki, ale oryginalny amerykański produkt. Do swetra przypięty był emaliowany znaczek: dwie skrzyżowane flagi, amerykańska i chińska. Dłonie trupa spoczywały na brzuchu – zmarły wyglądał jak gość hotelowy drzemiący w oczekiwaniu na podwieczorek.

Porucznik Chang szybko doszedł do siebie.

–Dalej, do diabła! – warknął, wypychając Fenga do przodu. – Chcę zobaczyć twarz.

–Będzie śledztwo – wypalił bez namysłu Shan. – Nie możecie tak po prostu...

Chang kopnął go, niezbyt mocno, jak człowiek nawykły radzić sobie z niesfornymi psami. Klęczący obok Jilin uchylił się, odruchowo osłaniając głowę rękoma. Zniecierpliwiony porucznik zbliżył się do trupa i ujął go za kostki. Rzuciwszy Fengowi poirytowane spojrzenie, wyszarpnął ciało spod okrywających je jeszcze odłamków skał. Nagle krew odpłynęła mu z twarzy. Odwrócił się i wykrzywił, ogarnięty falą mdłości.

Trup nie miał głowy.

–Bałwochwalstwo to zamach na socjalistyczny porządek! – szczeakał przez tubę młody oficer, gdy więźniowie wracali pod eskortą do zdezelowanych szarych ciężarówek, dawno już wycofanych z armii. – Każda modlitwa to cios wymierzony w lud!

Zerwijcie okowy feudalizmu, dokończył w myślach Shan. Albo: szacunek dla przeszłości to wsteczność.

–Smok się pożywił! – krzyknął któryś z więźniów.

Gwizdek nakazał ciszę.

–Nie wyrobiliście normy – ciągnął wysokim, monotonnym głosem oficer polityczny. Z tyłu, za nim, Shan dostrzegł czerwony samochód terenowy, jakiego nie widział tu nigdy przedtem. Na drzwiczkach widniał napis: MINISTERSTWO GEOLOGII. – Przynieśliście wstyd narodowi. Pułkownik Tan dowie się o waszym zaniedbaniu. – Wzmocniony przez tubę głos oficera odbijał się echem od zbocza. Co, zastanawiał się Shan, ma tu do roboty Ministerstwo Geologii? – Zezwolenia na wizyty zostają zawieszane. Przez dwa tygodnie nie dostaniecie gorącej herbaty. Zerwijcie okowy feudalizmu. Zrozumcie wolę ludu.

–Ja pierdolę – usłyszał za plecami nieznajomy głos. – Znów kawa lao gai. – Mówiący z rozpędu wpadł na Shana, gdy zatrzymali się przed budą ciężarówki, czekając na swoją kolej.

Shan odwrócił się. Był to nowy w brygadzie, młody Tybetańczyk o drobnych, wyrazistych rysach khampy, członka pasterskich klanów zamieszkujących ciągnący się na wschodzie wysoki płaskowyż Kham.

Na widok Shana twarz mężczyzny stwardniała.

–Wiesz, co to kawa lao gai, wasza wielmożność? – prychnął. Nieliczne zęby, które mu pozostały, były przeżarte próchnicą. – Łyżka dobrego tybetańskiego błota i pół czarki szczyn.

Khampa usiadł naprzeciw niego, przyglądając mu się badawczo. Shan podniósł

kołnierz bluzy – wystrzępiony brezent pokrywający tył ciężarówki kiepsko osłaniał ich od wiatru – i odwzajemnił spojrzenie, nie mrugnawszy okiem. Sztuka przeżycia, wiedział to już, sprowadza się do panowania nad strachem. Może ścisnąć ci żołądek. Może palić ci serce, aż poczujesz, że twoja dusza obraca się w popiół. Ale nigdy, przenigdy nie daj tego po sobie poznać.

Shan stał się koneserem strachu. Nauczył się smakować mnogość jego form i fizycznych doznań. Istniała olbrzymia różnica między, na przykład, strachem, jaki budził odgłos kroków oprawcy, a strachem, jaki odczuwało się na widok lawiny schodzącej na pracującą tuż obok ekipę. A żaden z nich nie mógł nawet równać się z lękiem, który nie dawał mu spać po nocach, wciąż na nowo każąc mu się przedzierać przez mgłę wyczerpania i bólu; z lękiem, że zapomni twarz ojca. Podczas pierwszych dni, otumaniony zastrzykami i terapią polityczną, uświadomił sobie, jak cenny może być strach. Czasami jedynie on był realny.

Khampa miał na karku głębokie blizny, ślady cięć. Jego usta, gdy się znów odezwał, wykrzywiły się z zimną pogardą.

–Pułkownik Tan, powiedzieli – burknął, szukając potwierdzenia u pozostałych więźniów. – Nikt mi nie mówił, że to okręg Tana. To ten od Buntu Kciuków, nie? Największy sukinsyn w armii sukinsynów.

Przez chwilę zdawało się, że nikt go nie usłyszał, nagle jednak uniosła się plandeka i na golenie khampy spadła pałka strażnika. Twarz młodego więźnia wykrzywił grymas bólu. Zatuszował go pogardliwym śmiechem. Wykonał dłonią szybki, nieznaczny gest w stronę Shana, jak gdyby naśladując pchnięcie nożem. Z wystudiowaną obojętnością Shan zamknął oczy.

Kiedy zasznurowano plandekę i ciężarówka ruszyła ze stekiem, ciemność wypełnił cichy pomruk, nieuchwytny, niemal niedosłyszalny dźwięk przypominający szmer odległego potoku. Podczas półgodzinnej jazdy do obozu strażnicy siedzieli w kabinach ciężarówek i więźniowie zostawali sami. Zmęczenie grupy było niemal namacalne – znużenie posępną szarą chmurą kładło się na ich drogę powrotną. Ale to nie mogło zwolnić tych ludzi z ich ślubów.

Po trzech latach Shan potrafił już rozróżnić male, ich różańce, po wydawanym dźwięku. Mężczyzna na lewo od niego przesuwiał palcami sznur guzików. Sąsiad z prawej zadawał się małą wykonaną z paznokci. Była to popularna metoda: zapuszczało się paznokcie, po czym obcinało je i nawlekało na wyciągniętą z koca nici, dopóki nie zebrało się wymagane sto osiem sztuk. Niektóre różańce, po prostu supły zawiązane na takiej nici, bezgłośnie przesuwaly się pod zgrubiałymi od odcisków palcami. Były i male sporządzone z cennych pestek melona, których należało strzec jak oka w głowie, gdyż niektórzy z więźniów, szczególnie nowo przybyli, ponad rytuały buddyjskie stawiali rytuały walki o przetrwanie. Ci zjedliby takie różańce.

Przy każdej pestce lub paznokciu, węźle czy guziku mnich recytował prastarą mantrę, OM MANI PADME HUM, “Cześć klejnotowi w kwiecie lotosu”, inwokację do Bodhisattwy Współczucia. Żaden z nich nie spocząłby na pryczy, nie odmówiwszy przynajmniej przepisowych stu różańców dziennie.

Monotonny śpiew działał jak balsam na skołataną duszę Shana. Mnisi z ich mantrami zmienili jego życie. Dzięki nim zdołał zostawić za sobą ból przeszłości, przestał oglądać się wstecz. Przynajmniej przez większość czasu. Śledztwo, powiedział do Changa, sam zaskoczony tym jeszcze bardziej niż porucznik. Stare nawyki nie giną łatwo.

Gdy zmęczenie zepchnęło jego świadomość w głąb, opadła go wizja. Przed nim, obracając w dłoniach złotą zapalniczkę, siedział bezgłowy trup. W jakiś sposób zmarły spostrzegł go i z ociąganiem wyciągnął zapalniczkę w jego stronę. Dysząc ciężko, Shan otworzył oczy.

To nie khampa przyglądał mu się teraz, lecz starszy mężczyzna, jedyny więzień posiadający prawdziwy różaniec, starodawną male z nefrytowych paciorków, która pojawiła się, nie wiedzieć skąd, przed paroma miesiącami. Jej właściciel siedział na ukos od Shana, obok Trinlego, na ławce za kabiną kierowcy. Jego twarz, wygładzoną przez czas jak otoczek, znaczyła poszarpana blizna na lewej skroni, gdzie przed trzydziestu laty ugodziła go motyka czerwonogwardzisty. Choje Rinpocze był niegdyś kenpo, opatem, gompy Nambe, jednego z tysięcy klasztorów unicestwionych przez chińskie władze. Teraz był kenpo 404. Ludowej Brygady Budowlanej.

Gdy Choje, jak inni, nie zważając na wstrząsy ciężarówky, przesuwając paciorki, Trinle położył mu na kolanach jakiś niewielki, owinięty w szmatę przedmiot. Stary lama opuścił różaniec i powoli otworzył zawiniątko. W środku znajdował się kamień, naznaczony rdzawą plamą. Choje ujął go z szacunkiem i obejrzał uważnie ze wszystkich stron, jak gdyby krył on jakąś tajemną prawdę. Z wolna, gdy dotarło do niego znaczenie tego znaku, jego oczy wypełnił bezbrzeżny smutek. Kamień był zbryzgany krwią. Uniósł wzrok i jeszcze raz spojrzął w oczy Shana. Z powagą skinął głową, jak gdyby na potwierdzenie ogarniających go przeczuć. Człowiek w amerykańskich dżinsach stracił życie tam, na ich szosie. Buddyści odmówią dalszych prac na tej górze.

Gdy ciężarówky zatrzymały się na terenie obozu, różańce zniknęły. Rozległy się gwizdki i odwiązano plandeki. W szarym świetle gasnącego dnia więźniowie powlekli się, milcząc, do przysadzistych, zbitych z desek bud, w których mieszkali, i czym prędzej wynurzyli się z nich z blaszanymi kubkami służącymi zarazem za umywalkę, talerz i czarkę na herbatę. Jeden za drugim wchodzili do mieszczącej stołówkę szopy, gdzie ich kubki napełniano papką z jęczmienia, i stojąc potem w mroku, powracali z wolna do życia, gdy ciepły pokarm rozgrzewał im wnętrze. W milczeniu kiwali do siebie głowami, wymieniając zmęczone uśmiechy. Gdyby ktokolwiek się odezwał, zostałby wysłany na noc do stajni.

Wrócili do baraków. Trinle zatrzymał nowego więźnia, który szedł na przelaj przez izbę.

–Nie tędy – powiedział, wskazując prostokąt nakreślony kredą na podłodze.

Żyłasty khampa, najwyraźniej obznajomiony z niewidzialnymi ołtarzami więziennych baraków, wzruszył ramionami i obszedł prostokąt, kierując się ku pustej przychyli w kącie.

–Przy drzwiach – oświadczył spokojnie Trinle. Zawsze odzywał się tym samym nabożnym tonem, jak gdyby przepojony czcią dla każdej przeżywanej chwili. – Twoja prycza będzie przy drzwiach – powtórzył, gotów sam przenieść jego rzeczy na nowe miejsce.

Khampa zdawał się nie słyszeć.

–Na tchnienie Buddy! – wykrzyknął, przyglądając się dłoniom mnicha. – Gdzie są twoje kciuki?! Trinle spojrział z ukosa na swoje ręce.

–Nie mam pojęcia. – W jego głosie zabrzmiało zaciekawienie, jak gdyby nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tą kwestią.

–Łajdaki. Oni ci to zrobili, no nie? Żebyś nie mógł odmawiać różańca?

–Jakoś sobie radzę. Twoja prycza jest przy drzwiach – powtórzył Trinle.

–Dwie są wolne – warknął khampa. Nie miał w sobie nic z mnicha. Rozparł się na słomianym sienniku, jak gdyby wyzywając Trinlego, by sam go stąd usunął. Najbardziej zawzięci bojownicy ruchu oporu, jacy kiedykolwiek przeciwstawili się Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, pochodzili właśnie z Kham. Wciąż jeszcze w odległych górach aresztowano ich za sporadyczne akty sabotażu. Poza własnym terenem khampowie z południowych klanów, które opierały się armii jeszcze długo po ujarzmieniu pozostałej części Tybetu, w dalszym ciągu nie mieli prawa do niczego, co mogłoby posłużyć za broń, nawet noża o ostrzu dłuższym niż dwanaście centymetrów.

Mężczyzna zdjął jeden ze swych rozlatujących się butów i z namaszczeniem wyjął z kieszeni skrawek papieru. Była to wyrwana przez wiatr kartka z bloczka któregoś ze strażników. Z demonstracyjnym uśmiechem podniósł ją w górę, po czym wepchnął do buta dla lepszej izolacji. Życie w Czteryście Czwartej mierzyło się najdrobniejszymi zwycięstwami.

Przewijając szmaty, które służyły mu za skarpetki, nowy przyglądał się swym towarzyszom z celi. Shan widział to już niejednym razem. Każdy nowy więzień zaczynał od ustalenia, kto przewodzi mnichom, a kto jest słabeuszem, który nie będzie sprawiać kłopotów. Kto się poddał, a kto może być informatorem. To pierwsze było łatwe. Jego wzrok niemal natychmiast spoczął na Choje, który siedział w pozycji lotosu na podłodze obok jednej ze stojących pośrodku prycz, wciąż wpatrując się w trzymany w dłoni kamień. Nikt w ich baraku, nikt w całej brygadzie lao gai nie emanował takim spokojem.

Jeden z młodych mnichów wydobył z kieszeni pęk liści zielska, które zaczęło się właśnie pojawiać na górskich zboczach. Trinle przeliczył je i rozdzielił po jednym między wszystkich więźniów. Mnisi przyjęli liście z powagą, szepcząc dziękczynną mantrę za tego, komu tym razem przypadło w udziale ryzykować karę za zbieranie zielska.

Trinle znów zwrócił się w stronę khampy, który żuł swój liść.

–Przykro mi – powiedział. – Tutaj śpi Shan Tao Yun.

Khampa rozejrzał się wkoło i wbił wzrok w Shana, siedzącego na podłodze obok Choje.

–Ryżojad? – burknął. – Żaden khampa nie będzie ustępował pieprzonemu

ryżojadowi. – Parsknął śmiechem i potoczył wzrokiem dookoła. Nikt mu nie zawtórował.

Cisza jak gdyby podsycała tylko jego zaciętrzewienie.

–Zabrali naszą ziemię. Zabrali nasze klasztory. Naszych rodziców. Nasze dzieci – wyrzucał z siebie, wpatrując się w mnichów z rosnącym zniecierpliwieniem.

Więźniowie spoglądali po sobie nieswojo. Nienawiść w jego głosie wydawała się złym duchem, który znalazł sobie drogę do ich baraku.

–A to był dopiero początek, tylko przygotowanie do prawdziwej walki. Teraz zabierają nam dusze. Wciskają swoich ludzi do naszych miast, w nasze doliny, w nasze góry. Nawet do naszych więzień. Żeby nas zatruć. Żebyśmy stali się tacy jak oni. Nasze dusze giną. Nasze twarze się rozpluwają. Stajemy się niczym. – Odwrócił się gwałtownie ku pryzom po drugiej stronie baraku. – Tak właśnie było w moim ostatnim obozie. Zapomnieli wszystkich mantr. Któregoś dnia obudzili się z pustką w głowach. Nie umieli już się modlić.

–Nigdy nie zdołają wydrzeć modlitw z naszych serc – odparł Trinle, zerkając niespokojnie na Shana.

–Gówno tam! Oni wydzierają nam serca! Nikt już nie idzie dalej, nikt nie staje się buddą. Można tylko stoczyć się w dół, do coraz niższych form życia. W ostatnim obozie był stary mnich. Nafaszerowali go polityką. Pewnego dnia obudził się i stwierdził, że odrodził się jako kozioł. Widziałem go. Kozioł wlaź do kolejki po żarcie, dokładnie tam, gdzie zawsze stawał ten kapłan. Widziałem to na własne oczy. Tak było. Kozioł. Strażnicy zakłuli go bagnietami. Upekli go na rożnie, na naszych oczach. Na drugi dzień przynieśli kubeł gówna z latryny. Powiedzieli nam: Patrzcie, czym jest teraz.

–Nie potrzebujesz Chińczyków, żeby zgubić drogę – odezwał się nagle Choje. – Sama twoja nienawiść wystarczy. – Jego głos był cichy i łagodny, jak szmer piasku padającego na kamień.

Khampa przycichł, ale dziki blask pozostał w jego oczach.

–Nie zamierzam obudzić się jako durny kozioł. Wcześniej kogoś zabiję – warknął, znów zerkając wściekle na Shana.

–Shan Tao Yun – stwierdził spokojnie Trinle – został zredukowany. Jutro wróci na swoją pryzę.

–Zredukowany? – parsknął drwiąco khampa.

–To rodzaj kary – odparł Trinle. – Nikt ci nie wyjaśnił, jakie panują tu zasady?

–Wypchnęli mnie po prostu z ciężarówki i wcisnęli łopatę do ręki.

Trinle skinął na siedzącego najbliżej mnicha, młodego mężczyznę z bielmem na oku, który natychmiast odłożył różaniec i przysunął się do stóp khampy.

–Jeśli złamiesz którąś z reguł ustalonych przez nadzorcę – wyjaśnił – przysyła ci czystą koszulę. Stajesz przed nim. Jeżeli masz szczęście, zostajesz zredukowany. Pozbawiony wszystkiego, co zapewnia wygodę, poza ubraniem na grzbiecie. Pierwszą noc spędzasz na dworze, na środku placu apelowego. Jeżeli jest zima, tej nocy opuszczasz swoje ciało.

W ciągu trzech lat Shan widział ich sześciu, wynoszonych niczym posąg buddów,

zastygłych w pozycji lotosu, z martwymi dłońmi wciąż zaciśniętymi na lichych różańcach.

–Jeśli nie odbywa się to zimą, następnej nocy możesz schronić się w baraku. Kolejnego dnia zwracają ci buty. Potem płaszcz. Potem kubek. Dalej koc, siennik, a na końcu pryczę.

–Mówisz, że tak jest, kiedy ma się szczęście. A jeśli się nie ma?

Młody mnich zadrżał lekko.

–Wtedy nadzorca wysyła cię do pułkownika Tana.

–Sławetny pułkownik Tan – mruknął khampa. Nagle podniósł wzrok. – A po co czysta koszula?

–Nadzorca nie znosi brudu. – Kapłan obejrzał się na Trinlego, jak gdyby nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. – Czasami ci, których wzywa, są odsyłani gdzie indziej.

Khampa parsknął, gdy dotarło do niego ukryte znaczenie tych słów. Wstał i ostrożnie obszedł Shana dookoła.

–To szpieg. Czuję to.

Trinle westchnął. Pozbierał jego rzeczy i przeniósł je na pustą pryczę przy drzwiach.

–Tu spał dawniej pewien starszy człowiek z Shigatse. To właśnie Shan go wy dostał.

–Rozumiem, że zszedł na czworaki.

–Nie. Został zwolniony. Nazywał się Lokesh. Był poborcą podatkowym w rządzie dalajlamy. Przesiedział trzydzieści pięć lat, aż tu nagle wywołują go i otwierają bramę.

–Powiedziałeś, że to ten ryżojad go wy dostał.

–Napisał kilka mocnych słów na transparencie – odezwał się Choje, powoli skłaniając głowę.

Khampa spojrział na Shana z rozdziawioną gębą.

–Jesteś jakimś czarownikiem czy co? – W jego oczach wciąż jeszcze krył się jad.

– Dla mnie też odprawisz swoje czary, szamanie?

Shan nie podniósł głowy. Przyglądał się dłoniom Choje. Już niedługo rozpocznie się wieczorna liturgia.

Trinle odwrócił się ze smutnym uśmiechem.

–Jak na czarownika – westchnął – nasz Shan nieźle radzi sobie z taczkami.

Khampa mruknął coś pod nosem i cisnął buty na wskazaną mu pryczę. Ustępował ze względu na mnichów, nie na Shana. Dla pewności odwrócił się w jego stronę.

–Pierdolę cię – wycedził przez zęby.

Gdy nikt nie zareagował, w jego oczach pojawił się zły błysk. Podeszedł do pryczy Shana, rozwiązał sznurek, którym miał ściągnięte spodnie, i oddał mocz na jej gołe deski.

Nikt się nie odezwał.

Choje podniósł się wolno i zaczął wycierać pryczę własnym kocem.

Blask triumfu zniknął z twarzy khampy. Zaklął pod nosem. Odepchnął Choje na bok i, podciągając koszulę, dokończył dzieła.

Przed dwoma laty był między nimi inny khampa, drobny pasterz w średnim wieku, więziony za to, że nie zarejestrował się w żadnej ze spółdzielni rolniczych. Odkąd patrol zgarnął całą jego rodzinę, przeżył samotnie niemal piętnaście lat, aż wreszcie, kiedy zdechł mu pies, zszedł do miasta w dolinie. Przypominał zamknięte w klatce zwierzę, jak niedźwiedź za kratami nieustannie chodził po baraku w tę i z powrotem. Gdy patrzył na Shana, jego twarz zaciskała się w furii jak pięść.

Ale ten mały khampa kochał Choje jak ojca. Gdy jeden z oficerów, zwany Kijem z powodu swego upodobania do tego przedmiotu, uderzył raz Choje za wywrócenie taczek z ładunkiem, khampa rzucił mu się na plecy, okładając go pięściami i obrzucając stekiem wyzwisk. Kij roześmiał się tylko, jak gdyby nigdy nic. Tydzień później, wypuszczony ze stajni, okulawiony po jakimś urazie kolana, khampa zaczęła wszywać po wewnętrznej stronie swej bluzy kieszenie z kawałków koca. Trinle i inni tłumaczyli mu, że nawet gdyby zgromadził w nich dość jedzenia na wędrówkę przez góry, myśl o ucieczce byłaby szaleństwem.

Pewnego ranka, gdy kieszenie były gotowe, mały khampa poprosił Choje o specjalne błogosławieństwo. W górach, na placu budowy, napełnił kieszenie kamieniami. Pracował jak zwykle, śpiewając starą pieśń pasterską, póki Kij nie zbliżył się do skraju urwiska. A wtedy, bez śladu wahania, rzucił się na oficera całym swym powiększonym ciężarem, ścisnął go kurczowo rękami i nogami, po czym wraz z nim zwałił się w przepaść.

Rozległ się nocny dzwonek. Samotna, goła żarówka, która oświetlała celę, zgasła. Odtąd zabronione były wszelkie rozmowy. Z wolna, niczym chór świerszczy obwieszczających nadejście nocy, barak wypełnił cichutki grzechot różańców.

Jeden z młodych mnichów przysunął się ukradkiem pod drzwi, by trzymać straż. Z kryjówki pod obluzowaną deską Trinle wyjął dwie świeczki i zapaliwszy je, umieścił po jednej z obu stron zakreślonego kredą prostokąta. Trzecią świeczkę postawił przed Choje. Nikły płomyk nie oświetlał nawet twarzy kenpo. W kręgu światła pojawiły się jego dłonie, gdy rozpoczął wieczorną naukę. Był to więzienny obrządek, bez słów ani muzyki, jeden z wielu, jakie zrodziły się przez czterdzieści lat, odkąd chińskie więzienia zapełniać zaczęły gromady buddyjskich mnichów.

Obrzęd rozpoczynało złożenie darów przed niewidzialnym ołtarzem. Zwrócone na zewnątrz dłonie Choje, z palcami wskazującymi podwiniętymi pod kciuki, złączyły się. Był to symbol argham, wody do obmycia twarzy. Wiele mudr, symbolicznych układów dłoni służących ogniskowaniu wewnętrznych sił, wciąż jeszcze było obcych dla Shana, ale Trinle nauczył go gestów ofiarnych. Skrajne dwa palce bezcielesnych dłoni Choje cofnęły się do wewnątrz i dłonie zwróciły się w dół. Padyam, woda do obmycia stóp. Powoli, z wdziękiem, Choje płynnie zmieniał układy rąk, ofiarowując kadzidło, pachnidła i pokarm. Wreszcie złączył dłonie, zwinięte w pięści, z kciukami sterczącymi w górę jak knoty z czarki masła. Aloke, lampy.

Na zewnątrz ciszę rozdarł przeciągły, bolesny jęk. To w sąsiednim baraku konał, trawiony chorobą, jeden z mnichów.

Dłonie Choje wysunęły się ku niewidocznemu kręgowi wiernych, pytając, co przynieśli, by uczcić wewnętrzne bóstwo opiekuńcze. Z ciemności wyłoniła się para

pozbawionych kciuków rąk. Ich palce wskazujące stykały się czubkami, pozostałe były zgięte. Wokół rozległ się cichy szmer aprobaty. Były to dwie ryby, symbol powodzenia. Następne dłonie wsuwały się kolejno w krąg światła, każda po przerwie potrzebnej na ciche odmówienie modlitwy towarzyszącej poprzedniej ofierze. Muszla, drogocenne naczynie na wodę święconą, węzły nie kończącego się życia, kwiat lotosu. Gdy przyszła kolej na Shana, zawahał się, po czym uniósł w górę lewy palec wskazujący, nakrywając go płasko prawą dłonią. Biały parasol. Jeszcze jeden symbol powodzenia.

Celę wypełnił cichy, specyficzny dźwięk, niby szelest piór, który stał się stałym elementem nocy Shana: szmer mantr szeptanych bezgłośnie przez tuzin ust. Dłonie Choje znów ukazały się w kręgu światła, zaczynając kazanie. Gest, od którego rozpoczęły, nie pojawiał się wśród nich zbyt często: uniesiona prawa dłoń, wnętrzem zwrócona ku patrzącym. Mudra oddalania lęku. W baraku zaległa nieprzyjemna cisza. Jeden z młodych mnichów głośno połknął powietrze, jak gdyby nagle dotarła do niego doniosłość tego, co się dzieje. Potem dłonie znów się przesunęły, splotły, środkowe palce zwróciły się w górę. Diament mądrości, symbol oczyszczenia umysłu i jasności celu. To było całe kazanie. Dłonie nie poruszyły się więcej. Unosiły się w mroku, zastygłe w tym geście, jakby wykute z jasnego granitu, podczas gdy więźniowie kontemplowali je. Przesłanie nie mogłoby być wyrażone dobitniej, nawet gdyby Choje wykrzyczał je z górskiego szczytu. Ból się nie liczy, mówiły dłonie. Skały, pęcherze, połamane kości – to wszystko nie ma znaczenia. Pamiętajcie o swoim celu. Czujcie swe wewnętrzne bóstwo opiekuńcze.

To niejasności umysłu brakowało Shanowi. Choje jak nikt przed nim nauczył go koncentracji. Podczas długich zimowych dni, kiedy nadzorca nie wysyłał ich do pracy – nie z troski o ich życie, ale o życie strażników – Choje pomógł mu dokonać niezwykłego odkrycia. Inspektor, którym Shan był przez całe życie, nim trafił do gułagu, musiał mieć niespokojną duszę. Wybitny śledczy niczemu nie mógł dawać wiary. Wszystko było podejrzane, wszystko, co prowadziło go od zarzutów do faktów, od faktów do motywów, od motywów do skutków, i znów do kolejnej tajemnicy – płynne. Nie mogło być spokoju, gdyż spokój rodził się tylko z wiary. Nie, to nie jasności umysłu mu brakowało. W chwilach takich jak ta, gdy mroczne przeczucia ogarniały jego duszę, gdy dawne życie ciągnęło go w dół jak człowieka zaplątanego w linę kotwiczną, w takich chwilach brak mu było po prostu wewnętrznego bóstwa opiekuńczego.

Coś leżało na podłodze poniżej rąk Choje. Zakrwawiony kamień. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że obaj z Choje myślą o tym samym. Kenpo przypominał swym mnichom o ich obowiązku. Shan poczuł, że ma sucho w ustach. Chciał protestować, błagać ich, by nie narażali się na ryzyko z powodu jakiegoś martwego cudzoziemca, ale mudra uciszyła go jak zaklęcie.

Zacisnął powieki, lecz wciąż nie mógł się skupić na przesłaniu Choje. Ilekroć próbował się skoncentrować, przed oczyma stawał mu inny obraz. Złota zapalniczka zawieszona sto pięćdziesiąt metrów ponad dnem doliny. I martwy Amerykanin dający mu jakieś znaki w koszmarnej wizji.

Nagle od drzwi dobiegł cichy gwizd. Zdmuchnięto świece. Chwilę później żarówka pod sufitem rozbłysła na nowo. Strażnik z trzaskiem otworzył drzwi i wkroczył na środek baraku, trzymając w ramionach trzonek od kilofa. Za nim wszedł porucznik Chang. Z drwiącym namaszczeniem wyciągnął przed siebie sztukę odzieży, tak by nikt nie mógł mieć wątpliwości, co to takiego. Czysta koszula. Parskając śmiechem, po kolei dźgnął nią jak szpadą w stronę kilku więźniów, aż nagle rzucił nią w leżącego na podłodze Shana.

–Jutro rano – warknął na odchodnym.

Ostry, zimny wiatr chłostał twarz Shana, gdy następnego ranka sierżant Feng wyprowadzał go poza druty. Wiatry były bezlitosne dla Czterysta Czwartej, przycupniętej u podnóża najbardziej na północ wysuniętej grani Smoczyc Szponów – potężnej ściany skalnej, która niemal pionowo wznosiła się nad obozem. Prądy wstępujące zrywały nieraz dachy z baraków. Prądy zstępujące zasypywały ich żwirem.

–Zredukowany – mruknął sierżant Feng, zamykając za nimi bramę. – Jeszcze się nie zdarzyło, żeby zredukowanemu przysłano koszulę. – Był to niski, zwalisty mężczyzna z potężnym brzuchem i równie potężnymi barami, o skórze jak u więźniów wyprawionej na rzemień przez lata wartowania w słońcu, wichurze i śniegu. – Wszyscy czekają. Robią zakłady – dodał z ochryplym skrzekiem, który Shan uznał za śmiech. Próbował zmusić się, żeby nie słuchać, nie myśleć o stajni, nie pamiętać o dzikiej furii Zhonga.

Tym razem nadzorca był opanowany. Ale złowróźbny uśmiech, z jakim wolno okrążył Shana, przeraził więźnia bardziej niż spodziewany wybuch. Shan odruchowo złapał się za prawe ramię, które często w obecności Zhonga chwycił kurcz. Kiedyś podłączyli mu tam przewody z akumulatora.

–Gdyby raczył poradzić się mnie – w monotonnym głosie Zhonga znać było nosowe tony charakterystyczne dla prowincji Fujian – przestrzegłbym go. A tak przekona się na własnej skórze, co z ciebie za ziółko. – Podniósł z biurka jakiś papier i przebiegł go wzrokiem, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Pasożyt – wycedził, po czym przystanął, by w spiesznym gryzmołach przelać jakąś myśl na papier. – To nie potrwa długo – powiedział, wyczekująco unosząc wzrok. – Jeden fałszywy krok i będziesz tłukł skały gołymi rękoma. Aż do śmierci.

–Ze wszystkich sił staram się zasłużyć na zaufanie, jakim obdarzył mnie naród – odparł Shan, nie mrugnawszy okiem.

Jego słowa najwyraźniej sprawiły Zhongowi przyjemność. Na jego twarzy pojawił się przewrotny błysk.

–Tan pożre cię żywcem.

Sierżant Feng był w dziwnie radosnym nastroju. Wyprawa do Lhadrung, starej osady targowej będącej siedzibą władz okręgu, była rzadkim świętem dla strażników Czterysta Czwartej. Dowcipkował na temat starych kobiet i kóz w popłochu umykających z drogi przed ich terenówką. Obrął jabłko i podzielił się nim z kierowcą, ignorując wciśniętego pomiędzy nich Shana. Ze złośliwym uśmiechem bawił się, przekładając z kieszeni do kieszeni kluczyki od jego kajdanek.

–Podobno sam przewodniczący cię tu wpakował – powiedział w końcu, gdy w zasięgu wzroku ukazały się płaskie, niskie zabudowania miasta.

Shan nie odpowiedział. Pochylny do przodu, mozolnie podwijał rękawy. Ktoś wygrzebał dla niego parę za dużych, znoszonych spodni i wyświechtaną wojskową kurtkę. Kazali mu przebrać się w nie na środku biura. Wszyscy przerwali pracę, żeby się temu przyglądać.

–No bo dlaczego niby wsadzili cię razem z nimi?

Shan wyprostował się.

–Nie jestem tu jedynym Chińczykiem.

Feng parsknął, jak gdyby ubawiony.

–Pewnie. Wzorowi obywatele, co do jednego. Taki na przykład Jilin zamordował dziesięć kobiet. Bezpieka poczęstowała go kulą w łeb, gdyby jego wuj nie był sekretarzem partii. Ten z szóstki z kolei ukradł z platformy wiertniczej na środku oceanu urządzenia zabezpieczające. Żeby opchnąć na czarnym rynku. Przyszedł sztorm i pięćdziesięciu ludzi straciło życie. Wyrok śmierci to dla niego za mało. Szczególne przypadki. Od ciebie zaczynając.

–Každy więzień jest szczególnym przypadkiem.

Feng znowu parsknął.

–Takich jak ty, Shan, oni trzymają po prostu dla wprawy.

Sierżant wepchnął do ust dwa kawałki jabłka. Momo gyakpa, gruba klucha, tak go nazywano za plecami, zarówno z powodu wydatnego brzucha, jak i łapczywości, z jaką pochłaniał jedzenie.

Shan odwrócił głowę. Popatrzył na rozległe połacie wrzosowisk i wzgórz falujących jak morze aż po ośnieżone górskie szczyty w dali. Otwarta przestrzeń mamiała złudzeniem ucieczki. Odwieczne marzenie tych, którzy nie mieli dokąd uciec.

Wśród wrzosów przemykały jaskółki. W Czterysta Czwartej nie było ptaków. Nie wszyscy więźniowie przejmowali się nakazem poszanowania życia. Walczyli o każdy okruszek, każde ziarenko, niemal o każdego owada. Shan pamiętał, jak przed rokiem wybuchła bójka o kuropatwę zagnaną na teren obozu przez wiatr. Ptak uciekł w końcu, zostawiając dwóm więźniom pęki piór w garści. Zjedli więc pióra.

Zarząd okręgu Lhadrung mieścił się w czteropiętrowym gmachu o kruszącej się fasadzie ze sztucznego marmuru. Brudne okna w obłazących z farby ramach stukotały na wietrze. Feng, popychając Shana, wprowadził go po schodach na najwyższe piętro, gdzie drobna, siwowłosa kobieta skierowała ich do poczekalni z jednym dużym oknem i drzwiami na obu końcach. Przyjrzała się uważnie Shanowi, przekrzywiając głowę jak zaciekawiony ptak, po czym rzuciła coś ostro do Fenga, który skulił się, z ponurą miną zdjął mu kajdanki i posłusznie wycofał się na korytarz.

–To trochę potrwa – oświadczyła, wskazując głową drzwi na końcu pomieszczenia. – Przyniosę wam herbatę.

Shan patrzył na nią osłupiały, zdając sobie sprawę, że powinien wyjaśnić pomyłkę. Minęły trzy lata, odkąd ostatni raz pił herbatę. Prawdziwą zieloną herbatę. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Kobieta uśmiechnęła się i zniknęła za bliższymi drzwiami.

Nagle został sam. Na krótko, choć całkowicie, ovladnęła nim samotność. Uwięziony złodziej niespodzianie znalazł się sam jeden w pełnej skarbow grocie. To właśnie samotność była jego prawdziwą zbrodnią w ciągu wszystkich pekińskich lat, zbrodnią o którą nigdy nikomu nie przyszło do głowy go oskarżać. Piętnaście lat spędzonych w rozjazdach, z dala od żony, osobny apartament w kwaterach dla małżeństw, długie samotne spacerunki po parkach, cela medytacyjna w jego sekretnej świątyni, a nawet nieregularne godziny pracy, wszystko to pozwalało mu cieszyć się samotnością na skalę nie znaną miliardowi jego rodaków. Nie miał pojęcia o swoim nałogu, dopóki przed trzema laty Urząd Bezpieczeństwa Publicznego nie pozbawił go brutalnie tego bogactwa. To nie utrata wolności bolała go najbardziej, lecz brak odosobnienia.

Na jednym z zebrani tamzing w Czteryista Czwartej przyznał się do swego nałogu. Gdyby nie zerwał socjalistycznych więzi, powiedziano mu, z pewnością ktoś by go w porę powstrzymał. Nie chodziło tu o przyjaciół. Dobry socjalista ma niewielu przyjaciół, ale licznych obserwatorów. Po tym zebraniu zaszył się w baraku i nie poszedł na posiłek, byle tylko pobyć sam. Nadzorca Zhong znalazł go tam i odesłał do stajni, gdzie złamano mu jakąś drobną kostkę w stopie. Kazano mu wrócić do pracy, zanim kość się zrosła.

Rozejrzył się po pomieszczeniu. W jednym rogu stała wielka, sięgająca aż do sufitu roślina. Uschnięta. Był tam też mały politurowany stolik, nakryty koronkową serwetką. Serwetka zaskoczyła go. Dłuższą chwilę wpatrywał się w nią ze ściśniętym sercem, aż wreszcie oderwał wzrok i podszedł do okna.

Z ostatniego piętra miał widok na większą część północnego odcinka doliny, zamkniętej od wschodu przez Smocze Szpony: dwa potężne, bliźniacze szczyty rozchodzące się szeroko na wschód, północ i południe ostro zarysowanymi grzbietami. Smok spoczął tam, przybierając niewidzialną postać, mawiali ludzie, i tylko jego łapy zmieniły się w kamień na znak, że wciąż czuwa nad doliną. Co takiego wykrzyknął ktoś, gdy znaleziono zwłoki Amerykanina? Smok się pożywił.

Szukał punktów orientacyjnych, składał je razem, aż wreszcie wśród omiatanych wiatrem połaci żwiru i karłowatej roślinności znalazł odległe o parę kilometrów niskie dachy Nefrytowego Źródła, głównej bazy wojskowej okręgu. Tuż nad nimi, u stóp Szponu Północnego, wznosiło się niskie wzgórze oddzielające Nefrytowe Źródło od otoczonych drutem kolczastym terenów Czteryista Czwartej.

Niemal nie myśląc o tym, co robi, śledził wzrokiem bieg dróg, owoc swej pracy ostatnich trzech lat. Były ich dwa rodzaje. Pierwsze powstawały zawsze drogi żelazne. To Czteryista Czwarta kładła podkład pod szeroki pas tłuczni, który łączył Nefrytowe Źródło z ukrytą za wzgórzami na zachodzie Lhasą. Nazwa "drogi żelazne" nie oznaczała linii kolejowych. Tych Tybet nie miał wcale. Były to drogi dla czołgów, transporterów i dział polowych, żelaza Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Wąska nitka brązu, którą przebiegł wzrokiem od skrzyżowania na północ od miasta i dalej w stronę Szponów, nie była jedną z tych dróg. Była o wiele gorsza. Szosa, nad którą Czteryista Czwarta pracowała teraz, była przeznaczona dla kolonistów, którzy mieli zasiedlić wysoko położone doliny za górami. Bronią

ostateczną Pekinu zawsze byli ludzie. Jak niegdyś w leżącej na zachodzie prowincji Kinjiang, ojczyźnie milionów muzułmanów kulturowo związanych z narodami Azji Środkowej, tak i tu Pekin czynił z rdzennych mieszkańców Tybetu mniejszość w ich własnym kraju. Połowę Tybetu włączono do sąsiednich, czysto chińskich prowincji. Główne skupiska ludności w pozostałej części kraju zalała fala osadników. Nie kończące się kolumny ciężarówek przez trzydzieści lat zmieniły Lhasę w miasto Chińczyków. W Czterysta Czwartej drogi budowane dla takich konwojów nazywano awiczi, jak ósmy poziom piekiel, zarezerwowany dla niszczycieli buddyzmu.

Rozległ się brzęczyk. Shan odwrócił się i ujrzał kobietę o ptasich rysach, stojącą z czarką herbaty w dłoniach. Podała mu ją i pomknąwszy ku drugim drzwiom, zniknęła w zaciemnionym wnętrzu.

Przełknął pół czarki jednym haustem, nie zwracając uwagi na to, że gorący płyn parzy mu gardło. Kiedy kobieta zorientuje się, że popełniła błąd, odbierze mu herbatę. Chciał zapamiętać to doznanie, by móc nocą, na pryczy, jeszcze raz poczuć w ustach ten smak. Choćby nawet miał przy tym czuć się poniżony i zły na siebie. Była to więzienna gra, przed którą przestrzegał ich Choje. Wykradanie okruchów zewnętrznego świata, by pieścić je i hołubić w swym baraku.

Kobieta ukazała się ponownie i skinęła ręką, by wszedł.

Za dziwnie długim ozdobnym biurkiem, które oświetlała jedynie lampka na giętym wysięgniku, siedział mężczyzna w nieskazitelnym mundurze. Nie, to nie było biurko, uświadomił sobie Shan. To był ołtarz zaadaptowany dla potrzeb rządu.

Milcząco mierzając go wzrokiem, mężczyzna zapalił drogiego amerykańskiego papierosa. Loto gai. Camele.

Shan patrzył na znajome, srogie rysy. Twarz pułkownika Tana wyglądała jak wyciosana z zimnego krzemienia. Gdyby mieli ucisnąć sobie ręce, pomyślał więzień, jego dłoń przeszłaby przez moją jak nóż.

Wypuszczając nosem kłęby dymu, Tan przeniósł wzrok na czarkę w dłoniach Shana. Spojrzał na siwowłosą kobietę, która natychmiast odwróciła się, by rozsunać zasłony.

I bez światła Shan wiedział, co zobaczy na ścianach. Bywał w dziesiątkach takich biur w całym Chinach. Będzie tam portret zrehabilitowanego Mao, obrazki z życia wojskowego, zdjęcia ulubionej jednostki, świadectwo nominacji i przynajmniej jeden slogan partyjny.

–Siadajcie – odezwał się pułkownik, wskazując stojące przed biurkiem metalowe krzesło.

Shan nie usiadł. Rozglądał się po ścianach. Było tu zdjęcie Mao, a jakże, nie po rehabilitacji co prawda, lecz wcześniejsze, z lat sześćdziesiątych, ukazujące charakterystyczny pieprzyk na podbródku. Była też nominacja i fotografia kilku uśmiechniętych oficerów w mundurach. Nad nimi wisiało zdjęcie przedstawiające owiniętą w chińską flagę raketę przenoszącą głowice jądrowe. Przez chwilę nie mógł dostrzec sloganu, w końcu jednak wypatrzył wyblakły plakat za plecami Tana. “Lud – głosił napis – potrzebuje prawdy”.

Tan otworzył cienką, brudną tekturową teczkę i wbił w Shana lodowate

spojrzenie.

–Państwo powierzyło mi w okręgu Lhadrung reedukację dziewięciuset osiemnastu więźniów – mówił łagodnym, pewnym głosem człowieka przyzwyczajonego, że zawsze wie więcej niż jego słuchacze. – Pięć brygad ciężkich robót lao gai i dwa obozy rolnicze.

Było coś, czego Shan nie zauważył wcześniej: delikatne zmarszczki poniżej krótko obciętych, siwiejących włosów, ślad zmęczenia wokół ust.

–Dziewięciuset siedemnastu ma akta – ciągnął dalej Tan. – Wiemy, gdzie się urodzili, jakie jest ich pochodzenie klasowe, wiemy, gdzie po raz pierwszy złożono na nich donos, znamy ich każde wypowiedziane przeciwko państwu słowo. Ale na temat dziewięćset osiemnastego jest tylko krótka notatka z Pekinu. Jedna jedyna strona. To wy, więźniu Shan. – Oparł na teczce splecione dłonie. – Jesteście tu na specjalne zaproszenie jednego z członków Politbiura. Ministra gospodarki, Qina. Starego Qina z 8. Armii. Jedyne żyjącego z ludzi, których mianował jeszcze sam Mao. Wyrok bezterminowy. Przystępcza działalność spiskowa. Nic więcej. Działalność spiskowa. – Zaciągnął się papierosem, nie odrywając wzroku od Shana. – Co to było?

Shan stał ze złączonymi dłońmi i oczyma wbitymi w podłogę. Stajnia to wcale nie było najgorsze, co mogło go spotkać. Żeby go tam zamknąć, Zhong nie potrzebował pozwolenia od Tana. Były więzienia, których lokatorzy opuszczali celę tylko raz, po śmierci. A dla tych, których poglądy były szczególnie zaraźliwe, lekarze bezpieczeństwa prowadzili tajne medyczne instytuty badawcze.

–Planowaliście zamach? Sprzeniewierzyliście fundusze państwowe? Uwiedliście ministrowi żonę? Ukradliście mu kapustę? Dlaczego Qin nie zdradził nam tej informacji?

–Jeśli to ma być jakiś tamzing – odezwał się głuchym głosem Shan – powinni być świadkowie. Są reguły.

Tan nie drgnął nawet, ale momentalnie uniósł wzrok, przeszywając go spojrzeniem.

–Nie zajmuję się prowadzeniem tego rodzaju zebrań – powiedział cierpko. Przez chwilę przyglądał się Shanowi w milczeniu. – Tego samego dnia, kiedy przybyliście, Zhong przekazał mi wasze akta. Przypuszczam, że go przeraziły. On was obserwuje – wskazał na drugą teczkę, grubą na cal – założył własne akta. Przysyła mi raporty na wasz temat. Nie prosiłem go o to, sam zaczął to robić. Wyniki tamzing. Efektywność pracy. Po co zadaje sobie ten trud, zapytałem go. Jesteście widmem. Należycie do Qina.

Shan niemo wpatrywał się w teczkę, tę zawierającą jedną jedyną pożółkłą kartkę i tę wypakowaną gniewnymi notatkami rozgoryczonego więziennego nadzorcy. Jego życie przedtem. Jego życie potem.

Tan pociągnął spory łyk ze swej czarki.

–Ale potem poprosiliście o pozwolenie uczczenia urodzin przewodniczącego – otworzył drugą teczkę i przebiegł wzrokiem leżącą na wierzchu notatkę. – Genialnie. – Odchylił się w tył, obserwując płynącą pod sufit wstęgę dymu. – Czy wiecie, że dwadzieścia cztery godziny od wywieszenia waszego transparentu po rynku zaczęły

już krążyć ulotki? Następnego dnia na moim biurku pojawiła się anonimowa petycja, której kopie rozprowadzano na ulicach. Nie mieliśmy wyboru. Postawiliście nas w sytuacji bez wyjścia.

Shan westchnął i podniósł wzrok. Zagadka się rozwiązała. Tan uznał, że kara, jaką otrzymał za rolę odegraną w zwolnieniu Lokesha, nie była wystarczająca.

–Ten człowiek spędził w więzieniu trzydzieści pięć lat. – Głos Shana zabrzmiał niewiele głośniejszy od szeptu. – W święta – powiedział, nie wiedząc, dlaczego czuje potrzebę wytłumaczenia się – przyjeżdżała jego żona i siadała na zewnątrz. – Postanowił zwracać się do Mao. – Nie puszczała jej bliżej niż na piętnaście metrów – mówił do portretu. – Zbyt daleko, żeby rozmawiać, więc tylko machali do siebie. Całymi godzinami.

Twarz Tana wykrzywił lekki uśmiech, cienki jak ostrze brzytwy.

–Macie jaja, towarzyszu więźniu. – Pułkownik drwił sobie z niego. Więzień nie zasługiwał na szlachetne miano towarzysza. – To było bardzo sprytne. Gdybyście napisali list, naruszylibyście dyscyplinę. Gdybyście próbowali powiedzieć to na głos, uciszono by was biciem. Gdybyście złożyli petycję, trafiłaby do pieca. – Głęboko zaciągnął się papierosem. – Tak czy inaczej, sprawiliście, że nadzorca Zhong wyszedł na głupca. Znienawidził was za to na zawsze. Prosił, żeby usunąć was z brygady. Nazwał was burzycielem socjalistycznego porządku. Stwierdził, że nie ręczy za wasze bezpieczeństwo. Strażnicy są wściekli. Specjalnemu gościowi Qina może przydarzyć się wypadek. Powiedziałem: nie. Żadnego przeniesienia. Żadnego wypadku.

Shan po raz pierwszy spojrzął w oczy Tana. Lhadrung był okręgiem więziennym, a w więzieniu nadzorcy zawsze stawiają na swoim.

–To był jego problem, nie mój. Tego starego należało zwolnić. Dałem mu kartki z podwójnym przydziałem. – Wypuścił dym przez usta. Dostrzegłszy spojrzenie Shana, wzruszył ramionami. – Jako rekompensatę za niedopatrzenie. – Zamknął teczkę. – Ale zaciekał mnie nasz tajemniczy gość. Taki polityczny. Taki niewidzialny. Zacząłem się zastanawiać, jaką następną bombę możecie spuścić nam na głowę. – Jeszcze raz zaciągnął się papierosem. – Próbowałem sam dowiedzieć się czegoś w Pekinie. Nie wiedzą nic więcej, powiedzieli z początku. Do Qina nie ma dostępu. Leży w szpitalu. Nic nie wiadomo na temat jego więźnia.

Shan zeszytywniał i znów przeniósł wzrok na ścianę. Przewodniczący zdawał się odwzajemniać jego spojrzenie.

–Ale to był spokojny tydzień. – ciągnął pułkownik. – Moja ciekawość została pobudzona. Nalegałem. Okazało się, że notatkę w waszych aktach sporządziła centrala Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Nie oddział w Xinjiang, gdzie was aresztowano. Nie Lhasa, gdzie przekazano waszą sprawę. Na przeszło dziewięćset więźniów tylko jeden ma akta pochodzące z centrali urzędu w Pekinie. Chyba nigdy nie zorientowaliśmy się do końca, jak bardzo jesteście wyjątkowi.

Shan znów spojrzął mu prosto w oczy.

–Jest takie amerykańskie przysłowie – powiedział wolno. – Każdy ma swoje pięć minut.

Tan znieruchomiał. Przez chwilę przyglądał się Shanowi z ukosa, jakby chciał się upewnić, czy się nie przesłyszał. Z wolna na jego twarz ponownie wypłynął wąski jak ostrze noża uśmiech.

Shan usłyszał za sobą szmer lekkich kroków.

–Pani Ko – odezwał się Tan, wciąż z lodowatym uśmiechem na ustach – proszę dolać naszemu gościowi herbaty.

Pułkownik był zbyt stary, aby mógł liczyć na awans, uznał Shan. Nawet na tak wysokim stanowisku posada w Tybecie w gruncie rzeczy oznaczała zesłanie.

–Dowiedziałem się więcej o tym tajemniczym towarzyszu Shanie – ciągnął Tan, przechodząc na trzecią osobę. – Wzorowy pracownik Ministerstwa Gospodarki. Wielokrotne pochwały od przewodniczącego za szczególny wkład w krzewienie sprawiedliwości. Proponowano mu członkostwo w partii, nagrodę niezwykłą dla kogoś będącego mniej więcej w połowie kariery. A on zrobił coś jeszcze bardziej niezwykłego. Odrzucił propozycję. Bardzo skomplikowany człowiek.

Shan usiadł.

–Żyjemy w skomplikowanym świecie – powiedział. Spostrzegł nagle, że jego dłonie bezwiednie utworzyły mudrę. Diament mądrości.

–Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że jego żona jest wielce cenionym członkiem partii, wysokim urzędnikiem w Chengdu. Była żona, chciałem powiedzieć.

Shan, zaskoczony, uniósł wzrok.

–Nie wiedzieliście? – zapytał Tan, uśmiechając się z satysfakcją. – Rozwiodła się z wami dwa lata temu. Ściślej mówiąc, unieważniła małżeństwo. Jak stwierdziła, nigdy ze sobą nie żyliście.

–Ale... – nagle Shanowi kompletnie zaschło w ustach -...ale mamy syna.

Tan wzruszył ramionami.

–Jak sami powiedzieliście, żyjemy w skomplikowanym świecie.

Shan zamknął oczy, walcząc z bólem przeszywającym mu wnętrzności. A więc udało im się wymazać i ten, ostatni już rozdział jego życia. Zdołali odebrać mu syna. Nie, żeby byli sobie szczególnie bliscy. Przez całe piętnaście lat życia chłopca spędzili razem może ze czterdzieści dni. Ale jedną z więziarskich rozrywek, jakim się oddawał, były marzenia, że kiedyś, w przyszłości, w jakiś sposób zbudują więź podobną do tej, która łączyła go z własnym ojcem. Nocami, leżąc na pryczy, zastanawiał się, gdzie teraz może być chłopiec albo co powie, kiedy znowu zobaczy ojca. Ta wyimaginowana więź była jedną z ostatnich, wątych nitek nadziei, jakie mu pozostały. Przycisnął dłonie do skroni i zgarbił się, jakby zapadł się w sobie.

Kiedy otworzył oczy, napotkał wzrok Tana. Pułkownik przyglądał mu się z satysfakcją.

–Wasza brygada znalazła wczoraj zwłoki – powiedział nagle.

–Dla więźniów lao gai – odparł sztywno Shan – śmierć jest zjawiskiem powszednim. – Z pewnością powiedzieli chłopcu, że umarł. Ale jak umarł? Jako bohater? Jako wyrzutek? Wykończony w obozie pracy niewolnik?

Tan rozchylił usta i patrzył, jak smuga dymu leniwie wznosi się pod sufit.

–Straty w brygadach roboczych są rzeczą normalną. Odkrycie zdekapitowanego

gościa z Zachodu – nie.

Shan spojrział w górę, potem odwrócił oczy. Nie chciał nic wiedzieć. Nie chciał o nic pytać. Wbił wzrok w swoją czarkę.

–Ustaliliście jego tożsamość? – zapytał w końcu.

–Miał na sobie kaszmirowy sweter – odparł Tan. – I prawie dwieście dolarów amerykańskich w kieszeni koszuli. Do tego wizytówkę amerykańskiej firmy produkującej sprzęt medyczny. To musiał być nielegalny przybysz z Zachodu.

–Miał ciemną karnację. Czarne owłosienie. Równie dobrze mógł być Azjata. Nawet Chińczykiem.

–Chińczyk o takiej pozycji? Zauważono by, że zniknął. I jeszcze ta amerykańska wizytówka – skwitował triumfalnie Tan. – Jedynymi obcokrajowcami, którzy mają prawo przebywać w Lhadrung, są specjaliści nadzorujący naszą zagraniczną inwestycję. Za bardzo rzucają się w oczy, by nie spostrzeżono ich braku. Za dwa tygodnie zaczną się tu zjeżdżać amerykańskie wycieczki. Ale na razie nie powinno być nikogo. – Ostatni raz zaciągnął się papierosem, po czym zdusił go. – Cieszę się, że jesteście zainteresowani tą sprawą.

Shan przeniósł wzrok na slogan za plecami Tana. “Lud potrzebuje prawdy”. Można to było odczytać na wiele różnych sposobów.

–Sprawą? – zapytał.

–Będzie potrzebne dochodzenie. Oficjalny raport. Jestem odpowiedzialny między innymi za wymiar sprawiedliwości w tym okręgu.

Shan nie był pewien, czy to stwierdzenie zawierało groźbę.

–To nie moja brygada dokonała tego odkrycia – powiedział z wahaniem. – Jeżeli prokurator potrzebuje zeznań, powinien porozmawiać ze strażnikami. Oni widzieli tyle samo co my. Ja tylko uprzątnąłem parę kamieni. – Przesunął się na skraj krzesła. Czy to możliwe, żeby wezwano go tu przez pomyłkę?

–Prokurator jest na miesięcznym urlopie w Dalian, nad morzem.

–Tryby sprawiedliwości zwykły obracać się wolno.

–Nie tym razem. Nie, kiedy spodziewamy się grupy amerykańskich turystów, a dzień wcześniej ma przybyć inspekcja z Ministerstwa Sprawiedliwości. Pierwsza od pięciu lat. Otwarta sprawa o zabójstwo mogłaby wyrzucić niewłaściwe wrażenie.

Shan poczuł, jak żołądek zaciska mu się w supeł.

–Prokurator na pewno ma zastępców.

–Nie ma nikogo innego. – Tan odchylił się w tył, wpatrując się w niego z uwagą. – Ale wy, towarzyszu Shan, byliście kiedyś naczelnym inspektorem Ministerstwa Gospodarki.

Nie było pomyłki. Shan wstał i podszedł do okna. Wydało mu się, że wysiłek ten pozbawił go wszystkich sił. Czuł, jak miękną mu kolana.

–To było dawno temu – powiedział w końcu. – W innym życiu.

–To wy rozpracowaliście dwie największe afery korupcyjne, o jakich kiedykolwiek słyszano w Pekinie. W swoim czasie wysłaliście dziesiątki urzędników partyjnych do obozów pracy. Albo jeszcze gorzej. Są ludzie, którzy w dalszym ciągu wymawiają wasze imię z szacunkiem. Są i tacy, którzy czują przed nim lęk. Ktoś z waszego

dawnego ministerstwa powiedział mi, że to jasne, dlaczego jesteście w więzieniu. Bo byliście ostatnim uczciwym człowiekiem w Pekinie. Niektórzy twierdzą, że wyjechaliście na Zachód i że wciąż tam jesteście.

Shan patrzył niewidzącym wzrokiem w okno. Zaczęła, mu drżeć ręka.

–Inni mówią, że wyjechaliście, ale bezpieka ściągnęła was z powrotem, bo zbyt wiele wiedzieliście.

–Nigdy nie byłem prokuratorem – odezwał się do szyby. Głos mu się łamał. – Zbierałem tylko dowody.

–Jesteśmy zbyt daleko od Pekinu, żeby rozważać takie subtelności. Ja byłem inżynierem – powiedział Tan do jego pleców. – Dowodziłem bazą raketową. Ktoś uznał, że mam kwalifikacje do zarządzania okręgiem.

–Nie rozumiem – wychrypiał Shan, opierając się o okno. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze znajdzie w sobie siłę. – To było dawno temu. Nie jestem już tym samym człowiekiem.

–Całe życie pracowaliście jako inspektor. Trzy lata to nie aż tak wiele.

–Można by kogoś sprowadzić.

–Nie. To mogłoby zostać uznane za... – pułkownik zawahał się, szukając właściwego słowa -...brak samodzielności.

–Ale w moich aktach – protestował Shan – wykazano, że jestem... – Głos uwiązł mu w gardle. Przycisnął dłonie do szyby. Mógłby ją rozbić i rzucić się w dół. Jeśli twoja dusza jest w doskonałej równowadze, mawiał Choje, po prostu przepłyniesz do innego świata.

–Że jesteście czym? Cierniem w boku Zhonga? To mogę wam przyznać. – Otworzył grubą teczkę i przewertował papiery. – Moim zdaniem sami wykazaliście, że jesteście przebiegli. Metodyczni. Odpowiedzialni, na swój sposób. I zdołaliście utrzymać się przy życiu. Dla kogoś takiego jak wy przeżycie jest niebywałym osiągnięciem.

Shan nie musiał pytać, co Tan ma na myśli. Dobrze to wiedział. Wbił wzrok w swoje stwardniałe, pokryte odciskami dłonie.

–Przestrzegano mnie przed recydywą – powiedział. – Jestem robotnikiem drogowym. Muszę zmienić swój sposób myślenia. Swoją pracą przyczyniam się do pomyślności narodu. – Shan uciekł się do ostatniej deski ratunku słabych: gdy masz wątpliwości, recytuj hasła.

–Gdyby nikt z nas nie miał przeszłości, oficerowie polityczni nie mieliby zajęcia – stwierdził Tan. – Prawdziwym grzechem jest dopiero nieumiejętność stawienia jej czoła. Chcę, żebyście stawili czoło własnej przeszłości. Niech inspektor powróci do życia. Na krótką chwilę. Ja nie znam słów, jakich oczekują w ministerstwie. Nie mówię ich językiem. Nikt tutaj tego nie potrafi. Potrzebuję raportu, który pozwoli szybko zamknąć sprawę. Nie mam pod ręką prokuratora. Nie zamierzam rozprawiać o tym przez telefon z człowiekiem siedzącym dwa tysiące mil stąd. Rzecz trzeba ująć w sposób zrozumiały dla Ministerstwa Sprawiedliwości. W sposób, który nie skłoni ich do bliższego przyglądania się sprawie. Zakładam, że wciąż jeszcze znacie ten pekiński styl.

Shan opadł na krzesło.

–To niemożliwe.

–Nie proszę o wiele. – W głosie Tana brzmiała fałszywa łagodność. – Nie o pełne dochodzenie. Tylko raport dający podstawę dla aktu zgonu. Opis przypuszczalnego wypadku, który stał się przyczyną tej niefortunnej śmierci. To może być dla was szansa na rehabilitację. – Wskazał na teczkę Zhonga. – Moglibyście skorzystać z pomocy przyjaciela.

–To musiał być meteoryt – wymamrotał Shan.

–Znakomicie! To właśnie to, o co mi chodzi. Z takim nastawieniem możemy załatwić się z tym w dzień lub dwa. Pomyślimy o odpowiedniej nagrodzie. Powiedzmy dodatkowe racje żywności. Lekkie obowiązki. Może przydział do pracy w warsztacie.

–Nie zrobię tego – odezwał się cicho Shan. – To znaczy nie mogę.

Na twarzy Tana pojawiło się rozbawienie.

–Na jakiej podstawie odmawiacie, towarzyszu więźniu?

Shan milczał. Odmawiam, bo nie mogę kłamać dla ciebie, chciał mu powiedzieć. Odmawiam, bo moja dusza została stargana na strzępy przez tobie podobnych. Bo gdy ostatnim razem próbowałem dotrzeć do prawdy dla kogoś takiego jak ty, w nagrodę za mój trud zostałem zesłany do gułagu.

–Być może wprowadziła was w błąd moja gościnność. Jestem pułkownikiem Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Członkiem partii siedemnastego szczebla. Ten okręg podlega mnie. To ja odpowiadam tu za kształcenie mas, karmienie głodnych, prace budowlane, usuwanie nieczystości, strzeżenie więźniów, nadzorowanie działalności kulturalnej, kursowanie autobusów publicznych, magazynowanie żywności. Oraz tępienie szkodników. Wszelkiego rodzaju. Rozumiecie mnie?

–Nie mogę.

Tan wolno dopił herbatę i wzruszył ramionami.

–Tak czy owak, nie macie prawa odmówić.

ROZDZIAŁ 2

Shan siedział, milcząc, w zimnym, ciemnym pokoju, który przydzielono mu w budynku administracyjnym Czterysta Czwartej. Wpatrywał się w aparat telefoniczny.

Z początku był przekonany, że to atrapa. Postukał go ołówkiem, niemal pewny, że usłyszy odgłos drewna. Szturchnął go, zastanawiając się, czy odpadnie kabel. Ta rzecz należała do przeszłości, do innego świata, jak radia i telewizory, taksówki i splukiwane toalety. Artefakty z życia, które zostawił za sobą.

Wstał i obszedł stół. Znajdował się w magazynie bez okien, w którym zwykle w niewielkich grupach spotykano się na zebraniach tamzing, służących diagnozowaniu, krytyce i leczeniu antysocjalistycznych postaw. Od stojącego w kącie stosu środków czyszczących dochodziła woń amoniaku. Obok telefonu leżał mały notes i trzy ogryzki ołówków, poznaczone śladami zębów. Na krześle przy drzwiach, obierając jabłko, siedział Feng. Wyraz samozadowolenia na jego twarzy nie pomagał Shanowi pozbyć się podejrzeń, że wszystko to jest tylko wyrafinowaną pułapką.

Wrócił do telefonu i podniósł słuchawkę. Rozległ się sygnał. Rzucił ją z powrotem na widełki, przyciskając dłonią, jakby w obawie, że sama odskoczy. Na kogo zastawili tę pułpkę? Na niego samego? Skoro przez tak długi czas ani Pekin, ani Shan nie zdradzili im, na czym polegało jego przewinienie, być może postanowili sprokurować takie, które będzie dla nich bardziej zrozumiałe. A może to pułapka na Choje i mnichów? Czego się spodziewali, że do kogo zadzwoni? Do ministra Qina? Do żony, funkcjonariuszki partyjnej, która wymazała ich małżeństwo? Do syna, którego by nie rozpoznał, gdyby kiedyś zobaczył go ponownie?

Jeszcze raz podniósł słuchawkę i wykręcił pięć przypadkowych cyfr.

–Wei – usłyszał obojętny kobiecy głos. Wszechobecne, nic nie znaczące słowo, które wypowiadano, odbierając telefon. Przerwał połączenie i znów wbił wzrok w aparat. Odkręcił mikrofon i znalazł, tak jak się spodziewał, urządzenie podsłuchowe, standardowy model używany przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Ono również było częścią jego dawniejszego życia. Mogło być aktywne lub nie. Mogło być zainstalowane ze względu na niego albo stanowić zwykłe wyposażenie wszystkich więziennych telefonów.

Przykręcił mikrofon z powrotem i jeszcze raz obiegł wzrokiem pomieszczenie. Każdy przedmiot zdawał się kryć w sobie dodatkowy wymiar, jakąś zintensyfikowaną realność, jak w oczach konającego. Spojrzał na notatnik, zdumiewając się czystą bielą papieru. Taka biel była czymś obcym we wszechświecie, który zamieszkiwał od trzech lat. Pierwsza strona zawierała spis nazwisk i numerów, pozostałe były puste. Z lekkim drzeniem przewracał kartki, jedną po drugiej, zatrzymując się przy każdej, jakby czytał książkę. Na ostatniej stronie, w górnym rogu, gdzie, jak przypuszczał, raczej nikt nie zajrzy, nakreślił dwie śmiałe linie tworzące ideogram jego imienia. Uczynił to po raz pierwszy od swego aresztowania. Patrzył na nie z nie znaną dotąd satysfakcją. A więc wciąż żyje.

Poniżej zapisał ideogramy imienia swego ojca, po czym, tknięty nagłym poczuciem winy, szybko zatrasnął notes i zerknął na Fenga, by się upewnić, że sierżant nic nie zauważył.

Gdzieś z zewnątrz doleciał cichy jęk. Może był to wiatr. Może odgłos ze stajni. Shan odsunął notatnik. Pod spodem leżał złożony arkusz papieru – drukowany formularz z nagłówkiem: ZGŁOSZENIE ŚMIERTELNEGO WYPADKU.

Podniósł słuchawkę i wykręcił pierwszy numer z listy. Dzwonił do tutejszego ośrodka zdrowia, szpitala okręgowego.

–Wei.

–Doktor Sung – przeczytał.

–Ma wolne. – Połączenie zostało przerwane.

Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś stoi przed biurkiem. Młody, wyższy niż inni jego rodacy, Tybetańczyk w zielonym mundurze personelu obozowego.

–Przydzielono mnie do was, do pomocy przy raporcie – powiedział nieśmiało, rozglądając się po pokoju. – Gdzie jest komputer?

Shan odłożył słuchawkę.

–Jesteście żołnierzem? – W Armii Ludowo-Wyzwoleńczej istotnie było trochę Tybetańczyków, ale rzadko odbywali służbę w Tybecie.

–Nie jestem żadnym... – zaczął urażonym tonem przybysz i urwał w pół zdania. Shan znał tę reakcję. Chłopak nie wiedział, kim jest Shan, i nie potrafił ocenić, jaką pozycję zajmuje w więziennej hierarchii, czy w jeszcze bardziej skomplikowanej hierarchii bezklasowego chińskiego społeczeństwa. – Właśnie zakończyłem dwuletni okres reedukacji – oświadczył sztywno. – Nadzorca Zhong okazał mi życzliwość, zaopatrując mnie z tej okazji w ubranie.

–Dlaczego byliście reedukowani?

–Nazywam się Yeshe.

–Ale wciąż jesteście w obozie.

–O pracę jest trudno. Poprosili mnie, żebym został. Zakończyłem reedukację – powtórzył z naciskiem.

Shan zaczął rozpoznawać w jego głosie pewien poddźwięk, znamionujący spokój i dyscyplinę.

–Studiowaliście w górach? – zapytał.

Znów urażony ton.

–Z woli narodu umożliwiono mi studia na uniwersytecie w Chengdu.

–Miałem na myśli gompę.

Yeshe nie odpowiedział. Przeszedł na tył pomieszczenia i ustawił krzesła w półokrąg, jak gdyby przygotowując salę na tamzing.

–Dlaczego zostaliście? – zapytał Shan.

–W zeszłym roku dostali nowe komputery. Nikt z personelu nie umiał ich obsługiwać.

–Wasza reedukacja polegała na obsłudze więziennych komputerów?

Wysoki Tybetańczyk wydał usta.

–Moja reedukacja polegała na wynoszeniu nieczystości z więziennych latryn na pola – powiedział, nieudolnie starając się okazać dumę z wykonywanej pracy, jak mogliby sobie życzyć oficerowie polityczni. – Ale dowiedzieli się, że przeszedłem szkolenie komputerowe. W ramach rehabilitacji zacząłem pomagać w pracach

biurowych. Trochę księgowości. Zestawianie raportów w formatach używanych w Pekinie. Kiedy zakończyłem reedukację, poprosili mnie, żebym został jeszcze parę tygodni.

–A więc dawny mnich rehabilituje się, pomagając więzić innych mnichów?

–Słucham?

–Chciałem powiedzieć, że wciąż nie przestaje mnie zdumiewać, czego to się nie robi w imię cnoty.

Yeshe skrzywił się zakłopotany.

–Nieważne – stwierdził Shan. – Co to były za raporty?

Yeshe wciąż krążył w tę i z powrotem, popatrując nerwowo to na siedzącego przy drzwiach Fenga, to na Shana.

–W zeszłym tygodniu spis posiadanych leków. Dwa tygodnie temu wielkość spożycia kaszy przez więźniów na kilometr wybudowanej drogi. Warunki pogodowe. Wskaźniki przeżycia. I próbowaliśmy rozliczyć się z zaginionych dostaw wojskowych.

–Powiedzieli wam, dlaczego tu jestem?

–Piszecie raport.

–Podczas robót na Smoczych Szponach znaleziono zwłoki mężczyzny. Trzeba sporządzić raport dla ministerstwa.

Yeshe oparł się o ścianę.

–Czyli to nie był więzień?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi.

Nagle chłopak zorientował się, jaką koszulę nosi Shan. Zerknął pod stół i zobaczył jego sponiewierane buty z tektury i tworzywa sztucznego, po czym przeniósł wzrok na Fenga.

–Nie powiedzieli wam – odezwał się Shan. Było to stwierdzenie, nie pytanie.

–Nie jesteście Tybetańczykiem.

–A wy nie jesteście Chińczykiem – odpalił.

Yeshe odsunął się od niego.

–To pomyłka – wyszeptał. Wyciągnął ręce w stronę Fenga, jak gdyby błagał o łaskę.

Sierżant bez słowa wskazał palcem drzwi gabinetu nadzorcy. Chłopak niechętnie podreptał z powrotem i usiadł naprzeciw Shana. W roztargnieniu wpatrywał się w jego buty, aż wreszcie, najwyraźniej zebrawszy się w sobie, uniósł wzrok.

–Czy macie być oskarżeni? – zapytał, nie mogąc ukryć niepokoju.

–W jakim sensie? – Shan zdumiał się, jak rozsądnie zabrzmiało to pytanie.

Yeshe patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma, jakby miał przed sobą jakiegoś nieznanego demona.

–W sensie procesu o morderstwo.

Shan spojrział na swoje dłonie: w roztargnieniu skubał jeden z odcisków.

–Nie wiem. Czy to wam właśnie powiedzieli? – Być może o to chodziło od samego początku. Stara gwardia, jak Tan i minister Qin, lubiła się bawić ofiarą, nim ją pożarła.

–Niczego mi nie powiedzieli – odparł z goryczą Yeshe.

–Prokurator wyjechał – wyjaśnił Shan, starając się za wszelką cenę, by nie zadrzał mu głos. – Pułkownik Tan potrzebuje raportu. A to było moje dawne zajęcie.

–Morderstwa? – Zabrzmiała w tym niemal nadzieja.

–Nie. Kompletowanie akt. – Popchnął listę w stronę Yeshego. – Próbowałem skontaktować się z pierwszą osobą. Jest nieuchwytna.

Chłopak obejrzał się na Fenga i westchnął, gdy sierżant nie raczył tego zauważyć.

–Jestem tu tylko na to popołudnie – powiedział niezobowiązująco.

–Nie prosiłem o was. Sami stwierdziliście, że to wasze zajęcie. Płacą wam za opracowywanie danych. – Opór Yeshego zbijał Shana z tropu. Zdawało mu się, że wie, dlaczego przydzielono mu asystenta. Jeśli безпеca go obserwuje, nie może polegać wyłącznie na jednej pluskwie w słuchawce telefonu.

–Przestrzega się nas przed wchodzeniem w konszachty z więźniami. Rozglądam się za lepszą robotą. Współpraca z przestępcą... sam nie wiem. To mogłoby wyglądać na... – Nie dokończył.

–Na recydywę? – podsunął Shan.

–Właśnie – podchwycił Yeshe z wdzięcznością.

Shan przez chwilę przyglądał mu się badawczo, po czym otworzył notatnik i zaczął pisać. *Oświadczam, że aż do dnia dzisiejszego nie zetknąłem się z pomocnikiem biurowym Yeshem z Centralnego Zarządu Więzień Okręgu Lhadrung. Działam na bezpośrednie zlecenie pułkownika Tana z zarządu okręgu Lhadrung. Przerwał. Po chwili napisał jeszcze: Jestem pełen najgłębszego podziwu dla zaangażowania Yeshego w socjalistyczną reformę.* Umieścił pod tym swój podpis i datę, po czym wręczył kartkę zdenerwowanemu Tybetańczykowi, który z powagą przeczytał ją, złożył i schował do kieszeni.

–Tylko na dzisiaj – powtórzył, jak gdyby sam chciał się uspokoić. – Zawsze przydzielają mi pracę tylko na bieżący dzień.

–Nie wątpię, że nadzorca Zhong nie pozwoli, by tak cenny pracownik marnował się dłużej niż przez kilka godzin.

Yeshe zawahał się, jak gdyby zmieszany sarkazmem Shana, w końcu jednak wzruszył ramionami. Sięgnął po listę.

–Lekarka – zaczął, w mgnieniu oka koncentrując się na zadaniu. – Nie proście o lekarkę. Połączcie się z biurem dykcji szpitala. Powiedzcie, że pułkownik Tan potrzebuje protokołu z obdukcji. Dyrektor ma faks. Powiedzcie, żeby natychmiast przesłali go faksem. Nie do was. Do sekretarki nadzorcy. Nadzorcy teraz nie ma. Porozmawiam z nią.

–Nie ma go?

–Pojechał z kierowcą Ministerstwa Geologii.

Shan przypomniał sobie nagle obcy samochód terenowy, który widział, kiedy znaleźli ciało.

–Dlaczego Ministerstwo Geologii przysyła kogoś na teren robót Czteryście Czwartej? – zastanowił się głośno.

–Bo ten teren jest na górze – odparł sztywno Yeshe.

–Tak?

–A góry podlegają Ministerstwu Geologu – dorzucił w roztargnieniu, przeglądając listę nazwisk. – Porucznik Chang. On urzęduje na drugim końcu korytarza. Załoga wojskowego ambulansu, która przejęła zwłoki od strażników. Ich raporty będą w Nefrytowym Źródle.

–Będę potrzebował oficjalnego komunikatu meteorologicznego sprzed dwóch dni – powiedział Shan. – I spisu wszystkich wycieczek zagranicznych, którym w ciągu ostatniego miesiąca zezwolono na wjazd do Tybetu. Chińskie Biuro Podróży w Lhasie powinno go mieć. I uprzedźcie sierżanta, że może znów pojedziemy do miasta.

Pięć minut później Yeshe zaczął znosić mu, jeszcze ciepłe, schodzące z faksu raporty. Przejrzał je szybko i zabrał się do pisania. Kończył już, gdy nagle na korytarzu rozległo się wycie syreny. Poznał ten sygnał, który słyszał jeden jedyny raz w ciągu wszystkich spędzonych w Czteryista Czwartej miesiący. Sygnał do wydania broni strażom więziennym. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Choje rozpoczął protest.

Pułkownik Tan podejrzliwie zmierzył Shana wzrokiem, gdy ten godzinę później stanął przed jego biurkiem z raportem w dłoni. Niecierpliwie sięgnął po dokument i zaczął czytać.

Budynek wydawał się niemal pusty. Nie, nie zwyczajnie pusty, pomyślał Shan. Raczej wyludniony, opuszczony tak, jak drobne zwierzęta opuszczają swe leża, gdy w pobliżu pojawia się drapieżnik wieńczący łańcuch pokarmowy. Wiatr stukał oknami. Po niebie przeleciał kruk, za którym pędziła chmara małych ptaków.

Pułkownik uniósł wzrok.

–Daliście mi załączniki. Ale formularz jest niekompletny.

–Są tu wszystkie fakty, które ujawniło bezpośrednie dochodzenie. I takie wnioski, jakie pozwala wyciągnąć zebrany materiał. To wszystko, co mogę zrobić. Będziecie musieli podjąć parę decyzji.

Tan oparł na kartkach splecione dłonie.

–Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz ktoś ośmielił się zakpić z mojej funkcji. Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie takiego wypadku, odkąd objąłem ten okręg. Odkąd przekazano mi czarną pieczęć.

Shan wbił wzrok w podłogę. Czarna pieczęć oznaczała prawo wydawania wyroków śmierci.

–Liczyłem na więcej, towarzyszu. Sądziłem, że zechcecie się wykazać. Poświęcić nieco czasu, by w pełni wykorzystać szansę, którą wam dałem.

–Po namyśle uznałem – odezwał się Shan – że pewne rzeczy powinno się powiedzieć szybko.

Tan podniósł raport i przeczytał głośno:

–Piętnastego o szesnastej zero zero znaleziono zwłoki. Leżały sto pięćdziesiąt metrów powyżej mostu nad Smoczą Gardzielą. Ofiara o nie ustalonej tożsamości ubrana była w kosztowną odzież: kaszmir i zachodni dżins. Czarne owłosienie ciała. Dwie blizny pooperacyjne na brzuchu. Innych znaków szczególnych brak. Ofiara wspięła się nocą na niebezpieczną grań i doznała gwałtownego urazu szyi. Brak

bezpośrednich dowodów udziału osób trzecich. Ponieważ lokalnym organom nie zgłoszono niczyjego zaginięcia, przypuszcza się, że ofiara była przybyszem, być może obcokrajowcem. W załączeniu protokół z oględzin lekarskich oraz protokół powypadkowy sporządzony przez oficera Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Odwrócił stronę.

–Możliwe przyczyny urazu. Wariant pierwszy. Ofiara w ciemnościach potknęła się na skałach i upadła na ostry odłamek kwarcu, których obecność na tym terenie poświadcza geologia. Drugi. Upadła na pozostawione przez robotników narzędzie. Trzeci. Nie zaaklimatyzowana w wysokich górach, doznała nagłego ataku choroby wysokościowej, czego efektem była utrata przytomności i uszkodzenie ciała zgodnie z wariantem pierwszym lub drugim. – Przerwał. – Nic o meteorycie? Podobał mi się ten pomysł. Miał taki buddyjski posmak. Fatum z innego świata.

Splótł dłonie nad kartkami.

–Nie podaliście mi wniosków. Nie zidentyfikowaliście ofiary. Nie przynieśliście mi raportu, który mógłbym podpisać.

–Mam zidentyfikować ofiarę?

–To niezręcznie mieć w kostnicy kogoś, o kim nic nie wiadomo. Mogłoby to wyglądać na niedbalstwo.

–Ale właśnie dzięki temu ministerstwo nie będzie was kłopotać. To nie wasza wina, że jego rodzina jest opieszala.

–Wstępna identyfikacja przyciągnęłaby mniej uwagi. Jeśli nie nazwisko, to czapka.

–Czapka?

–Zawód. Pochodzenie. A przynajmniej powód, dla którego się tu znalazł. Pani Ko dzwoniła do tej amerykańskiej firmy z wizytówki. Handlują sprzętem rentgenowskim. Powiedzmy, że sprzedawał aparaturę rentgenowską.

Shan spojrział na swoje dłonie.

–To tylko spekulacje.

–Co dla jednego jest spekulacją, dla drugiego może być przekonaniem.

Shan zapatrzył się w cienie powoli okrywające stoki Smoczych Szponów.

–Jeśli dostarczę wam doskonały scenariusz – powiedział wolno, z każdym słowem nienawidząc siebie coraz bardziej – taki, który zadowoli ministerstwo, czy pozwolicie mi wrócić do mojej brygady?

–To nie są negocjacje – zauważył Tan, po czym wzruszył ramionami. – Nie miałem pojęcia, że kruszenie skał jest tak wciągające. Z przyjemnością odeślę was nadzorcy, towarzyszu więźniu.

–Ten człowiek był kapitalistą z Tajwanu.

–Nie Amerykaninem?

Shan odważemnił jego spojrzenie.

–Jak, waszym zdaniem, Urząd Bezpieczeństwa Publicznego zareaguje na samo słowo “Amerykanin”?

Tan uniósł brwi, po czym skinął głową, przyznając mu słuszność.

–Tajwańczyk – ciągnął Shan. – To wytłumaczy sprawę ubrania i pieniędzy, a

nawet to, że mógł podróżować niezauważony. Być może były żołnierz Kuomintangu. Służył tutaj, miał jakieś więzi uczuciowe. Przyjechał do Lhasy z wycieczką, na własną rękę odłączył się od grupy i nielegalnie dotarł do Lhadrung. Władze nie mogą odpowiadać za bezpieczeństwo takiej osoby.

Tan zastanowił się nad jego słowami.

–Takie rzeczy można sprawdzić – powiedział.

Shan pokręcił głową.

–W ciągu ostatnich trzech tygodni przyjechały do Lhasy dwie grupy z Tajwanu. W załączeniu przedstawiłem dane z Chińskiego Biura Podróży. Jeśli zaczekacie trzy dni, obie będą już w domu. Na Tajwanie oficjalnie nie da się nic sprawdzić. Urząd Bezpieczeństwa dobrze zdaje sobie sprawę, że takie wycieczki często służą nielegalnym celom.

Tan zaprezentował jeszcze jeden ze swych ostrych jak brzytwa uśmiechów.

–Być może osądziłem was zbyt pochopnie.

–To wystarczy do skompletowania dokumentów – zakończył Shan. – Kiedy wizytatorzy odjadą, wasz prokurator będzie wiedział, co robić dalej. – Nagle przypomniał sobie, że pułkownik miał jeszcze jeden powód, by spieszyć się z zamknięciem sprawy. Zanim wspomniał o inspekcji, mówił przecież o zmierzających z wizytą do Lhadrung Amerykanach.

–Co jeszcze będzie musiał zrobić prokurator?

–Wszczęć śledztwo w sprawie o morderstwo.

Tan ściągnął usta, jak gdyby ugryzł coś gorzkiego.

–To w końcu tylko tajwański turysta. Nie powinniśmy popadać w przesadę.

Shan uniósł wzrok.

–Powiedziałem, że to doskonały scenariusz. Proszę nie mylić go z prawdą – odezwał się do portretu Mao.

–Z prawdą, towarzyszu? – W głosie Tana zabrzmiało niedowierzanie.

–Przecież pozostaje zabójca, którego trzeba odnaleźć.

–O tym zadecyduję ja i prokurator.

–Niekoniecznie.

Tan pytająco uniósł brwi.

–Możecie sporządzić raport, który pozwoli odsunąć sprawę na parę tygodni. Być może nawet wysłać go bez kompletu podpisów. Może przeleżeć kilka miesięcy na czyimś biurku, zanim ktokolwiek zwróci na to uwagę.

–A czemuż to miałbym dopuścić się takiego niedbalstwa, żeby wysłać raport bez podpisów?

–Dlatego, że ostatecznie będzie musiał zostać podpisany przez lekarza, który wykonał sekcję.

–Doktor Sung – mruknął cierpko Tan, jak gdyby do siebie.

–Protokół z obdukcji jest dość dokładny. Lekarka zauważyła, że brakuje głowy.

–Co w związku z tym?

–Lekarze mają własne władze, przed którymi odpowiadają. Własne kontrole. Trup bez głowy... nie sądzę, by jakikolwiek lekarz zgodził się podpisać wasz raport

powypadkowy. A bez tego raportu ministerstwo prędzej czy później zainteresuje się sprawą i zaklasyfikuje ją jako zabójstwo.

Tan wzruszył ramionami.

–Prokurator Jao w końcu wróci.

–Ale tymczasem morderca jest na wolności. Wasz prokurator powinien rozważyć implikacje.

–Implikacje?

–Na przykład to, że ten człowiek został zabity przez kogoś, kogo znał.

Tan zapalił jednego ze swych amerykańskich papierosów.

–Nie wiecie tego.

–Na ciele nie było żadnych śladów. Nic, co wskazywałoby na walkę. Palił z kimś papierosa. Wspiął się na górę z własnej woli. Świadczą o tym jego buty.

–Buty?

–Gdyby go wleczono, byłyby zadrapane. Gdyby go niesiono, w podeszwach nie uwięzłyby kamyki, które tam znaleziono. Jest o tym mowa w protokole z oględzin zwłok.

–No więc bogaty turysta trafił na złodzieja. Zmuszono go do wspinaczki pod lufą strzelby.

–Nie. On nie został obrabowany. Złodziej nie przeoczyłby dwustu amerykańskich dolarów. I nie przyjechałby na Szpon Południowy dla kaprysu albo na życzenie jakiejś obcej osoby.

–Ktoś, kogo znał... – Tan zastanowił się. – Ale to by znaczyło, że ofiara jest stąd. A przecież nikt nie zaginął.

–Może tylko znała tu kogoś. Dawna waśń rozpalona na nowo niespodziewaną wizytą. Spisek dojrzał. Pojawiła się okazja do wyrównania rachunków. Próbowaliście skontaktować się z nim?

–Z kim?

–Z prokuratorem. Jedno z niepokojących pytań, których nie zanotowałem, brzmi: dlaczego morderca czekał, aż prokurator wyjedzie z miasta? Dlaczego właśnie teraz?

–Już wam mówiłem. Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon.

–A jeśli to nie wszystko, co zaplanowano na jego nieobecność? Przed wizytacją? Poskutkowało. Tan zamyślił się.

–Nie wiem. Nie wiem nawet, czy on już dojechał do Dalianu. – Przez chwilę wpatrywał się w żar na czubku papierosa. – O co miałbym go pytać?

–Proszę go zapytać o sprawy w toku. Czy wywierał na kogoś nacisk.

–Nie rozumiem...

–Prokuratorzy wszędzie wścibiają nos. Bywa, że trafią na gniazdo węży.

Tan wydmuchnął pod sufit smugę dymu.

–Macie na myśli jakiś konkretny gatunek?

–Czasem giną potencjalni informatorzy. Czasem wspólnicy zbrodni tracą do siebie zaufanie. Zapytajcie go, czy zajmował się jakąś aferą korupcyjną.

Tan znieruchomiał. Zgniół papierosa i podszedł do okna. Stał tam przez chwilę, wpatrzony w dal. W zamyśleniu sięgnął po lornetkę i uniósł ją do oczu. Zwrócił ją ku

wschodniemu horyzontowi.

–W pogodny dzień, przy dobrym słońcu – odezwał się wreszcie – widać stąd nowy most u wylotu Smoczej Gardzieli. Wiecie, kto go zbudował? My, sami. Moi inżynierowie, bez żadnej pomocy z Lhasy.

Shan nie odpowiedział.

Tan odłożył lornetkę i zapalił nowego papierosa.

–Dlaczego akurat aferą korupcyjną? – zapytał, wciąż twarzą do okna. Korupcja zawsze uchodziła za zbrodnię cięższą niż morderstwo. W czasach cesarza zabójca nieraz płacił tylko grzywnę. Ci, którzy okradali władcę, ginęli pocięci na tysiąc plasterków.

–Ten człowiek był dobrze ubrany – przypomniał Shan. – Miał przy sobie więcej gotówki, niż przeciętny Tybetańczyk zarabia w ciągu roku. W Pekinie prowadzi się statystyki spraw. Analizy porównawcze. Klasyfikacje. U podłoża większości morderstw leży jedna z dwóch sił. Namiętność. Albo polityka.

–Polityka?

–Pekińskie określenie korupcji. Korupcja zawsze wiąże się z walką o władzę. Zapytajcie o to waszego prokuratora, jeśli się z nim skontaktujecie. On będzie wiedział, o co chodzi. A tymczasem poproście, żeby kogoś polecił.

–To znaczy?

–Prawdziwego dochodzeniowca, żeby jak najszybciej rozpocząć pracę w terenie. Ja mogę wypełnić formularz, ale prawdziwe śledztwo trzeba zacząć, kiedy trop jest jeszcze świeży.

Tan zaciągnął się i zatrzymał dym w płucach.

–Zaczynam was rozumieć – powiedział, wypuszczając dym. – Rozwiązujecie jeden problem, stwarzając jeszcze większy. Założę się, że wasz pobyt w Tybecie ma z tym co nieco wspólnego.

Shan nie odpowiedział.

–Głowa stoczyła się z urwiska. Znajdziemy ją. Jutro wyślę wojsko na poszukiwania. Znajdziemy ją i przekonam Sung, żeby podpisała raport.

Shan wciąż przyglądał mu się w milczeniu.

–Twierdzicie, że jeśli głowa się nie znajdzie, ministerstwo będzie chciało, abym wskazał zabójcę.

–Oczywiście – potwierdził Shan. – Ale nie to będzie ich główną troską. Najpierw musicie przedstawić im antyspołeczność czynu. Waszym zadaniem jest rozpracować socjalistyczny kontekst. Dostarczcie im kontekst, a reszta pójdzie sama.

–Kontekst?

–Ministerstwa nie będzie obchodził zabójca jako taki. Podejrzani zawsze się znajdują. – Przerwał, czekając na reakcję. Tan nawet nie mrugnął. – Ich interesują – ciągnął – motywy polityczne. Śledztwo w sprawie o morderstwo jest formą sztuki. Zasadniczą przyczyną brutalnej zbrodni jest walka klasowa.

–Powiedzieliście, że namiętność. I korupcja.

–To dane ze statystyk. Poufne, na użytek organów śledczych. Teraz mówię o dialektyce socjalistycznej. Ściganie morderstwa jest z reguły sprawą publiczną.

Musicie mieć przygotowane wyjaśnienie podstaw, na jakich opiera się to śledztwo. Zawsze istnieją motywy polityczne. To właśnie będzie ich interesowało. To są dowody, jakich wam potrzeba.

–Mówcie jaśniej! – warknął Tan.

Shan znów zwrócił się do Mao.

–Wyobraźcie sobie chatę na wsi – powiedział wolno. – Leży tam ktoś zadźgany na śmierć. W ręku śpiącego w kuchni człowieka znaleziono zakrwawiony nóż. Człowiek ten zostaje aresztowany. Od czego zaczyna się śledztwo?

–Od broni. Trzeba sprawdzić, czy pasuje do rany.

–Nie. Od skrytki. Zawsze szukajcie skrytki. Dawniej poszukiwało się ukrytych książek. Angielskich wydawnictw. Zachodniej muzyki. Dzisiaj szuka się czegoś przeciwnego. Starych butów i wyświechtanych ubrań, ukrytych razem z tomikiem myśli przewodniczącego. Na wypadek powrotu do twardych rządów partii. Tak jedno, jak i drugie jest świadectwem reakcyjnej niewiary w socjalistyczny postęp.

Potem zagląda się do centralnych archiwów partyjnych – kontynuował Shan. – Pochodzenie klasowe. Odkrywa się, że podejrzany był już poddawany reedukacji albo że jego dziadek należał do klasy kupców wyzyskiwaczy. A może jego wuj zaliczał się do “śmierdzącej dziewiątej kategorii” – ojciec Shana należał do “śmierdzącej dziewiątej”, najniższej kategorii w dokonanej przez Mao klasyfikacji szkodliwych elementów. Do inteligencji. – Albo okazuje się, że morderca jest przodownikiem pracy. Jeśli tak, trzeba przyjrzeć się ofierze – ciągnął. Wzdrygnął się, gdy uświadomił sobie, że powtarza słowa, które ostatni raz wypowiadał podczas seminarium w Pekinie. – Liczy się socjalistyczny kontekst. Trzeba znaleźć reakcyjny wątek i na nim budować sprawę. Ściganie morderstwa mija się z celem, jeśli nie może posłużyć za naukę dla mas.

Tan chodził w tę i z powrotem koło okna.

–Ale żeby to wszystko ominąć, muszę po prostu znaleźć głowę.

Shan poczuł, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz.

–Nie po prostu głowę. Tę głowę.

Tan roześmiał się ponuro.

–Sabotażysta. Zhong mnie ostrzegał. – Usiadł i przyglądał mu się w milczeniu. – Dlaczego tak bardzo chcecie wrócić do Czterysta Czwartej?

–Tam jest moje miejsce. Będą kłopoty. Z powodu tych zwłok. Może będę mógł pomóc.

Oczy Tana zwęziły się.

–Jakie kłopoty?

–Jungpo – odparł Shan ledwie słyszalnym szeptem.

–Jungpo?

–To się tłumaczy jako “głodny duch”. Wyzwolona gwałtownym czynem, nie przygotowana na śmierć dusza. Dopóki na górze nie zostaną odprawione obrzędy pośmiertne, duch będzie nawiedzał miejsce zbrodni. Będzie gniewny. Będzie sprowadzał nieszczęścia. Żaden pobożny człowiek nie zbliży się do tego miejsca.

–Jakie kłopoty? – powtórzył ostro Tan.

–Czterysta Czwarta odmówi pracy na tym terenie. Został zbezczeszczoney. Teraz modlą się o wyzwolenie ducha. O oczyszczenie.

W oczach Tana błysnął gniew.

–Nie zgłaszano mi żadnego strajku.

–Nadzorca nie da wam znać tak od razu. Będzie próbował załatwić się z tym na własną rękę. Najpierw będą przestoje wśród załóg pracujących na szczycie. Wypadki. Strażnikom rozdano broń.

Tan zerwał się i ruszył do drzwi. Zawołał do pani Ko, by połączyła go z biurem Zhonga. Odebrał telefon w sali konferencyjnej, obserwując Shana przez otwarte drzwi. Gdy wrócił, jego oczy płonęły żywym ogniem.

–Jeden z ludzi złamał nogę. Wóz dostawczy spadł z urwiska. Brygada odmówiła wyjścia do pracy po południowej przerwie.

–Trzeba pozwolić kapłanom na odprawienie obrzędów.

–To niemożliwe – rzucił krótko Tan, podchodząc do okna. Podniósł leżącą na parapecie lornetkę, bezskutecznie wypatrując w gęstniejącej szarówce terenu robót na odległym stoku. Gdy się odwrócił, jego wzrok był znów twardy jak zwykle. – Teraz macie już ten swój kontekst. Jak wy to nazwaliście? Reakcyjny wątek.

–Nie rozumiem.

–Dla mnie to pachnie walką klasową. Kapitalistyczny egoizm. Kultuści.

Wszczynający bunt, by wspomóc swych przyjaciół rewizjonistów.

–Czterysta Czwarta? – W głosie Shana zabrzmiało przerażenie. – Czterysta Czwarta nie miała z tym nic wspólnego.

–Ale przekonaliście mnie. Walka klasowa jeszcze raz stanęła na przeszkodzie socjalistycznemu postępowi. Oni strajkują.

Serce Shana zamarło.

–To nie jest strajk. To po prostu sprawa religijna.

Tan skrzywił się pogardliwie.

–Kiedy więźniowie odmawiają pracy, to jest strajk. Trzeba będzie poinformować Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Nic tu nie mogę zdziałać.

Shan patrzył bezradnie przed siebie. Śmiertelny wypadek w górach mógłby może ująć uwagi ministerstwa. Ale strajk w obozie pracy nigdy. Nagle stawka stała się o wiele wyższa.

–Opracujecie nowy raport – oznajmił Tan. – Ukażecie walkę klasową. Opiszecie, jak Czterysta Czwarta spowodowała tę śmierć, by mieć pretekst do wstrzymania prac. Chcę dostać coś godnego naczelnego inspektora. Coś, czego ministerstwo nie zakwestionuje.

Nabazgrał kilka słów na kartce papieru. Przez chwilę uważnie przyglądał się Shanowi, po czym powolnym, ceremonialnym ruchem przystawił pod spodem pieczęć.

–Od tej chwili oficjalnie podlegacie mnie. Dam wam samochód i tybetańskiego pomocnika nadzorcy. Feng będzie was pilnował. Macie zezwolenie na wyjazdy do kliniki w celu przesłuchań. Gdyby was pytano, przydzielono was do pracy na zewnątrz w nagrodę za dobre sprawowanie.

Shan poczuł się, jak gdyby ktoś przygniótł mu ramiona potężnym głazem. Stwierdził, że garbi się, spoglądając nerwowo w stronę Smoczych Szponów.

–Mój raport będzie bezwartościowy – wyjąkał. Słowa ledwo przechodziły mu przez gardło. Spieszył się z pracą, by jak najszybciej wrócić do Czterysta Czwartej, by pomóc Choje. A teraz Tan zamierzał go wykorzystać, żeby ściągnąć na mnichów jeszcze większe kary. – Wykazano, że jestem niegodny zaufania.

–Raport będzie podpisany moim nazwiskiem.

Shan patrzył tępo na niewyraźne, jakby znajome widmo – własne odbicie w szybie. A więc stało się. Właśnie przeistaczał się w niższą formę życia.

–W takim razie jedno z naszych nazwisk okryje się hańbą – powiedział ochrypłym szeptem.

ROZDZIAŁ 3

Nijaki dwupiętrowy budynek Ludowej Spółdzielni Zdrowia okazał się znacznie bardziej sterylny z zewnątrz niż od środka. W holu unosiła się woń pleśni. Jedną ze ścian zdobił rozpadający się kolaż przedstawiający promiennie uśmiechniętych proletariuszy na spychaczach i traktorach. Meble pokrywał suchy pył, ten sam, który wypełniał baraki w Czteryście Czwartej. Wyblakłe linoleum na podłodze przecinał szlak brązowo-zielonych plamek, zachodzący aż na ścianę. Jedyną żywą istotą, jaką napotkali, był wielki żuk, który czmychnął w cień, gdy wchodzili do środka.

Na wołanie pani Ko w holu pojawił się niski, nerwowy człowieczek w wyświechtanym kitlu, który milcząc, sprowadził Shana, Yeshego i Fenga słabo oświetlonymi schodami do pomieszczenia w piwnicy, gdzie stało pięć metalowych stołów sekcyjnych. Gdy otworzył wahadłowe drzwi, uderzył w nich falą smród amoniaku i formaldehydu. Odór śmierci.

Yeshe momentalnie zakrył dłonią usta. Sierżant Feng zaklął, nerwowo szperając po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Ściany pomieszczenia pstrzyły ciemne plamy, takie same jak na górze. Shan prześledził wzrokiem jedną z nich, bryzg drobnych brązowych kropek biegnący szerokim łukiem od podłogi do sufitu. Na jednej ze ścian wisiał rozpadający się od wielokrotnego składania afisz, nieaktualny od lat, zapowiadający występ Opery Pekińskiej. Z odrazą i lękiem ich przewodnik wskazał jedyny zajęty stół, po czym wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

Yeshe odwrócił się, by wyjść za sanitariuszem.

–Wybierasz się gdzieś?! – rzucił ostro Shan.

–Zaraz zwymiotuję – odparł Yeshe błagalnym tonem.

–Wyznaczono nam zadanie. Nie wykonasz go, czekając na korytarzu.

Chłopak utkwiał wzrok w swoich butach.

–Gdzie chciałbyś trafić? – zapytał Shan.

–Co takiego?

–Potem. Jesteś młody. Jesteś ambitny. Masz cel. Każdy w twoim wieku ma jakiś cel.

–Do prowincji Sichuan – odparł Yeshe, spoglądając nieufnie. – Chcę wrócić do Chengdu. Nadzorca Zhong powiedział, że ma już dla mnie gotowe dokumenty. Mówi, że załatwił mi tam pracę. Teraz każdy może wynająć osobne mieszkanie. Można nawet kupić sobie telewizor.

Shan zastanowił się.

–Kiedy nadzorca to powiedział?

–Wczoraj wieczorem. Mam jeszcze w Chengdu przyjaciół. Członków partii.

–To świetnie. – Shan wzruszył ramionami. – Ty masz cel i ja mam cel. Im szybciej załatwimy się z tą robotą, tym szybciej będziemy mogli je zrealizować.

Yeshe, wciąż jeszcze z odrazą na twarzy, znalazł na ścianie wyłącznik i zapalił rząd wiszących nad stołami gołych żarówek. Środkowy stół zdawał się lśnić: przykrywające go białe prześcieradło było jedynym czystym, jasnym przedmiotem w całym pomieszczeniu. Sierżant Feng spojrzął w drugi koniec sali i zaklął pod nosem. W zardzewiałym fotelu na kółkach, nakryte brudnym prześcieradłem, z głową

przechyloną pod nienaturalnym kątem na ramię, siedziały zwłoki.

–Tak tu traktują człowieka – burknął z pogardą. – Nie to, co szpital wojskowy. Tam przynajmniej po śmierci ubiorą cię w mundur.

Shan jeszcze raz spojrzął na łuk krwawych plam. To miało być podobno prosektorium. Trupy nie mają ciśnienia. Nie tryskają krwią.

Nagle zwłoki w fotelu stęknęły cicho. Ożywione przez światło, sztywno wyciągnęły ręce, zsuwając prześcieradło, i wydobyły skądś grube okulary w rogowych oprawkach.

Feng jęknął i cofnął się w stronę drzwi.

To kobieta, uświadomił sobie Shan, i nie prześcieradło ją okrywa, ale zdecydowanie zbyt obszerny kitel. Z jego fałd wyciągnęła właśnie notatnik.

–Wysłaliśmy protokół – odezwała się ostrym, niecierpliwym tonem. – Nikt nie mógł pojąć, dlaczego uparliście się przyjść. – Pod oczami miała sine worki, najwyraźniej ze zmęczenia. W dłoni ścisnęła ołówek, trzymając go jak dzidę. – Niektórzy lubią patrzeć na trupy. O to wam chodzi? Lubicie gapić się na sztywnych?

Życie człowieka, nauczał mnichów Choje, nie płynie jednostajnym rytmem, z każdym dniem zrywając taką samą kartkę z kalendarza istnienia. Jest raczej wędrówką od jednego kluczowego momentu do następnego, z których każdy wyznacza jakaś wzburzająca duszę decyzja. To właśnie taka chwila, pomyślał Shan. Mógł, tu i teraz, przyjąć rolę psa gończego Tana, próbując zarazem ocalić w jakiś sposób Czterysta Czwartą, mógł też, jak życzyłby sobie Choje, odwrócić się plecami, zignorować Tana, dochować wiary wszystkiemu, co uchodziło w jego świecie za wartości najwyższe. Zacisnął zęby i zwrócił się do drobnej kobiety.

–Musimy porozmawiać z lekarką, która wykonała sekcję zwłok – powiedział. – Z doktor Sung.

Z niewiadomego powodu kobieta roześmiała się. Z innej fałdy kitla wyciągnęła koujiao, maskę chirurgiczną z rodzaju tych, jakie powszechnie nosi się zimą w Chinach dla ochrony przed pyłem i wirusami.

–Ludzie. Ludzie po prostu uwielbiają sprawiać kłopoty. – Nałożyła maskę i wskazała leżące obok na stole pudełko koujiao. Gdy się poruszyła, w fałdach kitla pokazał się stetoskop.

Shan wciąż jeszcze miał wyjście, wąską furtkę, przez którą zdołałby się wymknąć. Wystarczyłoby uzyskać podpis na protokole powypadkowym. Śmiertelny wypadek spowodowany przez Czterysta Czwartą... to by zadowoliło Tana, oszczędzając mu trudów związanych ze śledztwem. Zdobyć podpis, potem znaleźć sposób na przeprowadzenie ceremonii pośmiertnych dla zagubionej duszy. Aby uczynić zadość polityce, Czterysta Czwarta zostanie może ukarana za opieszałość. Miesiąc bez ciepłych posiłków albo zbiorowa redukcja wszystkich więźniów. Zbliża się lato: nawet starcy mogliby ją przeżyć. Nie było to rozwiązanie doskonałe, ale leżało w zasięgu jego możliwości.

Podczas gdy trzej mężczyźni nakładali maski, lekarka odsłoniła zwłoki i podniosła ze stołu notatnik.

–Zgon nastąpił piętnaście do dwudziestu godzin przed znalezieniem ciała, czyli

poprzedniego wieczoru – przeczytała. – Przyczyna zgonu: jednoczesne urazowe przerwanie tętnic szyjnych, żył szyjnych i rdzenia kręgowego. Między kręgiem szczytowym i kością potyliczną. – Mówiąc, przyglądała się taksując swoim rozmówcom. Dość szybko straciła zainteresowanie Yeshem. Był najwyraźniej Tybetańczykiem. Przez chwilę zatrzymała uwagę na wyświechtanym ubraniu Shana, wreszcie postanowiła, że będzie się zwracać do sierżanta Fenga.

–Sądziłem, że obcięto mu głowę – odezwał się nieśmiało Yeshe, zerkając na Shana.

–To właśnie powiedziałam – odparła krótko kobieta.

–Czy nie możecie dokładniej określić czasu? – zapytał Shan.

–Wciąż występowało stężenie pośmiertne – powiedziała, znów patrząc na Fenga.

– Mogę stwierdzić na pewno, że stało się to w noc poprzedzającą znalezienie zwłok. Ale dokładniej... – Wzruszyła ramionami. – Powietrze jest bardzo suche i chłodne. Ciało było przykryte. Zbyt wiele zmiennych. Żeby precyzyjniej określić chwilę zgonu, trzeba by wykonać wiele testów.

Spostrzegła wyraz twarzy Shana i rzuciła mu kwaśne spojrzenie.

–To nie jest Uniwersytet Pekijski, towarzyszu.

Shan jeszcze raz zerknął na plakat.

–W Bei Da mielibyście do dyspozycji chromatograf – powiedział, określając Uniwersytet Pekijski jego potocznym mianem, jakim najczęściej posługiwano się w Pekinie.

Odwróciła się powoli.

–Jesteście ze stolicy? – W jej głosie pojawił się nowy ton, znamionujący ostrożny szacunek. W ich kraju władza przybierała najrozmaitsze formy. Ostrożności nigdy za wiele. Być może wszystko okaże się łatwiejsze, niż sądził. Niech inspektor wróci do życia choćby na parę chwil, tyle tylko, ile trzeba, żeby przekonać lekarkę, jak ważny jest jej podpis w raporcie.

–Miałem zaszczyt prowadzić serię wykładów wspólnie z profesorem medycyny sądowej z Bei Da – powiedział. – Właściwie tylko dwutygodniowe seminarium. Techniki śledcze w porządku socjalistycznym.

–Wasze zdolności nieźle się wam przysłużyły. – Najwyraźniej nie mogła powstrzymać się od cierpkich uwag.

–Ktoś uznał, że w mojej technice jest zbyt wiele śledztwa, a zbyt mało socjalistycznego porządku – odparł z odcieniem skruchy, jak nauczono go na zebraniach tamzing.

–I tu was mamy – skwitowała.

–I tu was mamy – odpalił.

Uśmiechnęła się, jak gdyby powiedział znakomity żart, i worki pod jej oczami zniknęły na chwilę. Dopiero teraz zauważył, że pod obszernym kitlem kryje się szczupła sylwetka. Gdyby nie te worki i mocno ściągnięte, zebrane z tyłu włosy, doktor Sung mogłaby uchodzić za szykowną pracownicę któregoś z pekińskich szpitali.

W milczeniu okrążyła stół, przyglądając się Fengowi, po czym znów przeniosła

wzrok na Shana. Zbliżywszy się wolnym krokiem, nagle chwyciła go za ramię, jak gdyby chciała go przytrzymać, żeby nie uciekł. Nie oponował, gdy podwinęła mu rękaw, odsłaniając wytatuowany na przedramieniu numer.

–Więzień? – odezwała się. – Mamy tu jednego takiego, który sprząta w toaletach. I innego do wycierania krwi. Ale jeszcze nigdy nie przysłano mi więźnia, żeby mnie przesłuchiwał. – Zaciekawiona przyglądała mu się ze wszystkich stron, jak gdyby zastanawiając się, czy nie wykonać sekcji stojącego przed nią dziwnego organizmu.

Czar przełamał ostry, gardłowy okrzyk Fenga – ostrzegawcze warknięcie bez słów. Yeshe dobierał się do drzwi. Zakłopotany, cofnął się potulnie i przykucnął w kącie.

Shan przebiegł wzrokiem zawieszoną na końcu stołu kartę informacyjną.

–Doktor Sung – odezwał się, powoli wymawiając jej nazwisko – czy wykonaliście jakiegokolwiek analizy tkankowe?

Spojrzała na Fenga, jak gdyby szukając pomocy, spostrzegła jednak, że sierżant ukradkiem odsuwa się od zwłok. Wzruszyła ramionami.

–Wiek powyżej średniego. Jedenaście kilogramów nadwagi. Obecność smoły w płucach. Uszkodzona wątroba, choć prawdopodobnie jeszcze o tym nie wiedział. Ślady alkoholu we krwi. Jadł nie więcej niż dwie godziny przed śmiercią. Ryż. Kapusta. Mięso. Dobre mięso, nie baranina. Może jagnięcina. Albo nawet wołowina.

Papierosy, alkohol, wołowina. Dieta uprzywilejowanych. Dieta, pomyślał z ulgą, turysty.

Feng znalazł tablicę ogłoszeń i udawał, że z zaciekawieniem studiuje harmonogram zebrań politycznych.

Shan ruszył powoli wzdłuż stołu, zmuszając się do patrzenia na bezgłowe ciało człowieka, który wstrzymał pracę Czterysta Czwartej i zmusił pułkownika do ekshumowania Shana z obozu, człowieka, którego nieszczęśliwy duch straszył odtąd na Smoczyc Szponach. Ołówkiem rozsunął martwe palce lewej dłoni. Była pusta. Ruszył dalej, lecz nagle przystanął i jeszcze raz przyjrzał się dłoni. U nasady palca wskazującego spostrzegł wąską kreskę. Nacisnął ją gumką. Było to nacięcie.

Doktor Sung naciągnęła gumowe rękawiczki i obejrzała uważnie dłoń, przyświecając sobie latarką. Było tam jeszcze jedno nacięcie, stwierdziła po chwili, po wewnętrznej stronie, tuż poniżej kciuka.

–W protokole nie było mowy o usunięciu jakiegoś przedmiotu z dłoni – stwierdził Shan. Musiało to być coś małego, najwyżej pięciocentymetrowej średnicy, o zaokrąglonych krawędziach.

–Bo tego nie zrobiliśmy. – Pochyliła się nad nacięciem. – Cokolwiek to było, zostało wyszarpięte już po śmierci. Nie ma śladów krwawienia ani skrzepów. To stało się później. – Pomacała palce jeden po drugim i z rumieńcem zażenowania uniosła wzrok. – Dwa paliczki są złamane. Coś mocno ścisnęło dłoń. Śmiertelny chwyt przełamano z dużą siłą.

–Żeby dostać się do tego, co trzymała ofiara.

–Prawdopodobnie.

Shan przyjrzał się jej z uwagą. W chińskich instytucjach granica między

humanitarną pracą na rzecz borykających się z trudnościami kolonii a zwyczajnym wygnaniem była dość płynna.

–Ale czy możecie być tak pewni przyczyny zgonu? Może śmierć nastąpiła w wyniku upadku, a głowa została odcięta później, z powodów, które nie miały z tym nic wspólnego.

–Nie miały z tym nic wspólnego? Serce było jeszcze w momencie oddzielania głowy od tułowia. W przeciwnym razie w ciele zostałyby o wiele więcej krwi.

Shan westchnął.

–A więc co to było? Siekiera?

–Coś ciężkiego. I ostrego jak brzytwa.

–Może skała?

Doktor Sung skrzywiła się tylko z irytacją i ziewnęła.

–Pewnie. Skała ostra jak skalpel. To nie było jedno cięcie. Ale powiedziałabym, że nie więcej niż trzy.

–Był przytomny?

–W chwili śmierci nie.

–Chyba nie możecie tego wiedzieć, nie widząc głowy.

–Wystarczy spojrzeć na jego ubranie – odparła. – Prawie nie było na nim śladów krwi. Żadnych skrawków naskórka czy włosów za paznokciami. Żadnych zadrapań. Nie było żadnej walki. Ciało ułożono tak, żeby się wykrwawiło. Leżało na plecach. Z tyłu swetra znaleźliśmy ziemię i okruchy skał. Tylko z tyłu.

–Ale to, że był nieprzytomny, jest tylko hipotezą.

–A jaką wy macie hipotezę, towarzyszu? Że poniósł śmierć, upadając na skałę, a obok przechodził przypadkiem jakiś kolekcjoner głów?

–To jest Tybet. Jest tu cała grupa społeczna, której zadaniem jest rozcinanie ciał zmarłych. Może w pobliżu znalazł się jakiś ragyapa, który zaczął przygotowywać zwłoki do podniebnego pochówku, a potem coś mu przeszkodziło.

–Co?

–Nie wiem. Ptaki.

–Ptaki nie latają w nocy – burknęła. – I nie widziałam jeszcze tak wielkiego sępa, żeby dał radę porwać całą czaszkę. – Wysunęła kartkę spod klipsu notatnika. – To chyba wy jesteście tym głupcem, który mi to przysłał – powiedziała. Był to wypełniony i gotowy do podpisu formularz protokołu powypadkowego.

–Pułkownik czułby się lepiej, gdybyście po prostu to podpisali.

–Nie pracuję dla pułkownika.

–Mówiłem mu to.

–I co?

–To delikatna kwestia dla kogoś takiego jak on.

Sung rzuciła mu ostatnie piorunujące, niemal pogardliwe spojrzenie i bez słowa przedarła formularz na pół.

–A jak to się ma do delikatności?

Rzuciła strzępy kartki na obnażone zwłoki i zamaszystym krokiem opuściła prosektorium.

Jilin wyraźnie napawał się swoją nową pozycją przodownika Czteryista Czwartej. Olbrzym i morderca parł na czele kolumny, waląc młotem w głowy, od czasu do czasu przystając, by rzucić pełne złośliwej satysfakcji spojrzenie tybetańskim więźniom, siedzącym grupkami na stoku. Shan przyjrzał się pozostałym. Było to dwunastu Chińczyków i wyznających islam Ujgurów, rzadko widywanych w brygadach drogowych. Zhong wysłał na Szpon Południowy personel kuchenny.

Odszukał wzrokiem Choje. Lama siedział w pozycji lotosu, z zamkniętymi oczyma, pod samym wierzchołkiem góry, otoczony kręgiem mnichów. Ich zamiarem było chronić go, gdy strażnicy wkroczą do akcji. W praktyce znaczyłoby to tylko, że będą jeszcze bardziej rozwścieczeni, gdy go wreszcie dopadną.

Ale strażnicy siedzieli wokół ciężarówek, paląc papierosy i pijąc zaparzoną nad ogniskiem herbatę. Nie zwracali uwagi na więźniów. Obserwowali drogę z doliny.

Na widok Shana radosne uniesienie Jilina zgasło.

–Podobno dali ci robotę na zewnątrz – burknął, kończąc zdanie uderzeniem młota.

–Tylko na parę dni. Wrócę.

–Wszystko cię ominie. Potrójne racje dla tych, co pracują. Durne szarańcze skończą z połamanymi skrzydłami. Stajnia będzie pękać w szwach. Zostaniemy bohaterami. – Szarańczami przezywano rodowitych Tybetańczyków, wytykając monotonne brzęczenie ich mantr.

Shan przyjrzał się czterem kopczykom oznaczającym miejsce odkrycia zwłok. Powoli obszedł teren dookoła, szkicując go w notesie.

Sung miała rację. Zabójca dokonał swego dzieła tutaj. To tu zarznął swoją ofiarę i wyrzucił w przepaść zawartość jej kieszeni. Ale dlaczego nie sięgnął pod sweter, do kieszonki koszuli, w której schowane były dolary? Dlatego, pomyślał, że dłonie miał zakrwawione, a koszula była biała i czysta.

–To dziwne, jechać taki kawał za miasto i nie zrzucić ciała z urwiska. Wtedy nikt by go nigdy nie znalazł – usłyszał za plecami. To Yeshe wspiął się za nim na zbocze, pierwszy raz okazując jakiegokolwiek zainteresowanie ich zadaniem.

–Chodziło właśnie o to, żeby ktoś je znalazł. – Shan ukląkł, by odgarnąć resztę kamieni zasłaniających rdzawą plamę.

–W takim razie po co było przykrywać je kamieniami?

Shan odwrócił się i przyjrzał mu się uważnie. Potem przeniósł wzrok na mnichów, niespokojnie obserwujących jego poczynania. W drobnych szczelinach albo pod głazami ukrywały się jungpo, głodne duchy.

–Może po to, żeby strażnicy nie zauważyli go już z daleka.

–Ale przecież to właśnie strażnicy je znaleźli – zaoponował Yeshe.

–Nie. Pierwsi znaleźli je więźniowie. Tybetańczycy.

Zostawił Yeshego zerkającego niepewnie na cztery kopczyki i podszedł do Jilina.

–Chcę, żebyś pottrzymał mnie nad urwiskiem – powiedział.

Jilin opuścił młot.

–Chyba ci odbiło.

Shan powtórzył żądanie.

–Tylko na parę sekund. Tam. – Pokazał gdzie. – Przytrzymasz mnie za kostki.

Jilin powoli ruszył za nim na skraj urwiska. Na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiech.

–Sto pięćdziesiąt metrów. Będziesz miał sporo czasu, żeby to sobie przemyśleć, zanim trzaśniesz o ziemię. Potem będziesz wyglądał po prostu jak melon wystrzelony z armaty.

–Tylko parę sekund i wciągniesz mnie z powrotem.

–Niby dlaczego?

–Bo tam jest złoto.

–Pieprzysz – parsknął Jilin, jednak z podejrzliwym błyskiem w oku wychylił się przez krawędź. – Kurwa mać – stęknął, z zaskoczeniem unosząc wzrok. – Kurwa – powtórzył, szybko się jednak opanował. – Nie potrzebuję cię do tego.

–Oczywiście, że potrzebujesz. Sam nie dosięgniesz tego z góry. Komu ufasz na tyle, że dałbyś mu się opuścić?

Przez twarz osiłka przemknął błysk zrozumienia.

–A dlaczego ty mi ufasz?

–Dlatego, że mam zamiar dać ci to złoto. Chcę tylko rzucić na nie okiem, potem ci je oddam. – Jediną cechą Jilina, na której można było polegać, była chciwość.

Chwilę później, trzymany za kostki, Shan zwisał głową w dół nad przepaścią. Ołówek wypadł mu z kieszeni i koziółkując, poleciał w otchłań. Zamknął oczy, gdy Jilin, rechocząc, potrząsnął nim w górę i w dół jak zabawką. Ale gdy je otworzył, zapalniczka była tuż przed nim.

W mgnieniu oka znalazł się znów na górze. Zapalniczkę wyprodukowano na Zachodzie, ale ozdabiał ją wygrawerowany chiński ideogram długowieczności. Shan widywał już podobne: często rozdawano je jako upominki na zebraniach partyjnych. Chuchnął na nią i jego oddech osiadł mgiełką na gładkiej powierzchni. Nie było znac odcisków palców.

–Dawaj – warknął Jilin, zerkając na strażników.

Shan zacisnął dłoń.

–Jasne. Ale coś za coś.

Oczy Jilina zapłonęły wściekłością. Uniósł pięść.

–Rozerwę cię na kawałki.

–Zabrałeś coś, co było przy zwłokach. Wyciągnąłeś z dłoni. Chcę to dostać.

Jilin sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, czy zdąży pochwycić zapalniczkę, gdy zepchnie Shana w przepaść.

Shan wycofał się poza zasięg jego rąk.

–Nie sądzę, żeby to było coś cennego – powiedział. – Ale ta zapalniczka... – Zapalił ją. – Zobacz. Wiatroodporna. – Wyciągnął zapalniczkę ku osiłkowi, zwiększając ryzyko, że dostrzegą ją strażnicy.

Jilin natychmiast sięgnął do kieszeni i wyciągnął nieduży zaśnieżony metalowy krążek. Rzucił go na dłoń Shana i chwycił zapalniczkę. Shan wciąż trzymał ją mocno.

–Jeszcze jedno. Pytanie.

Jilin warknął i obejrzał się za siebie na zbocze. Gdyby mógł, rozgniółby Shana na

miazgę, wiedział jednak, że najmniejsza szamotanina sprowadzi strażników.

–Chcę od ciebie opinii specjalisty.

–Specjalisty?

–Od morderstw.

Jilin o mało nie pękł z dumy. W jego życiu także były kluczowe momenty. Zwolnił uścisk.

–Dlaczego tutaj? – zapytał Shan. – Dlaczego zabójca wywiózł ofiarę tak daleko za miasto, a potem zostawił ciało na widoku?

W oczach Jilina pojawił się niepokojąco tęskny błysk.

–Dla publiczności.

–Dla publiczności?

–Ktoś kiedyś mówił mi o drzewie padającym w górach. Nie wydaje dźwięku, jeśli w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby go usłyszeć. Po co zabijać, jeśli nikt nie miałby tego zauważyć? Dobre morderstwo wymaga publiczności.

–Większość morderców, jakich znam, działa skrycie.

–Nie chodzi o świadków, tylko o tych, którzy je odkrywają. Bez publiczności nie może być wybaczenia – recytował starannie, jak wyuczoną na tamzingach lekcję.

To prawda, uświadomił sobie Shan. Więźniowie odkryli ciało dlatego, że chciał tego morderca. Przez chwilę wpatrywał się w dzikie oczy Jilina. Wreszcie wypuścił zapalniczkę i spojrział na metalowy krążek. Był wypukły, miał pięciocentymetrową średnicę. Niewielkie szczeliny w górnej i dolnej części wskazywały, że był przeznaczony do nasunięcia na jakąś taśmę. Wzdłuż krawędzi biegł tekst zapisany nieczytelnym dla Shana starożytnym tybetańskim pismem. W środku widniała stylizowana głowa konia. Z pyska zwierzęcia sterczały kły.

Ochronny pierścień otaczający Choje rozstąpił się, gdy Shan podszedł bliżej. Nie był pewien, czy nie powinien zaczekać, aż lama zakończy medytację. Ale gdy tylko usiadł obok, Choje otworzył oczy.

–Oni mają procedury na wypadek strajku, rinpocze – powiedział cicho Shan. – Z Pekinu. Spisane w książce. Strajkującym daje się szansę okazania skruchy i dobrowolnego przyjęcia kary. Jeśli nie, morzy się wszystkich głodem. Kara dla przywódcy ma działać odstraszająco na resztę. Po tygodniu strajk więźnia lao gai może zostać uznany za najcięższe przestępstwo. Jeśli okażą się pobłażliwi, dodadzą po prostu dziesięć lat do każdego wyroku.

–Pekin robi, co musi zrobić – padła spodziewana odpowiedź – a my zrobimy, co należy do nas.

Shan powoli przeniósł wzrok na mnichów. W ich oczach malował się nie strach, lecz duma. Wskazał ręką stojących w dole strażników.

–Wiesz, na co oni czekają. – To było stwierdzenie, nie pytanie. – Tamci prawdopodobnie są już w drodze. Tak blisko granicy nie zajmie im to wiele czasu.

Choje wzruszył ramionami.

–Tacy ludzie zawsze na coś czekają.

Paru siedzących najbliżej mnichów roześmiało się cicho. Shan westchnął.

–Człowiek, który tu zginał, miał w ręce to. – Upuścił medalion na dłoń Choje. –

Myślę, że zdarł to z mordercy.

Gdy wzrok lamy spoczął na krążku, w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania, potem spojrzenie stwardniało. Przesunął palcem po napisach, pokiwał głową, po czym puścił medalion w obieg. Wśród mnichów rozległo się kilka okrzyków podniecenia. Przekazywali go sobie z rąk do rąk, wodząc za nim zdumionym spojrzeniem.

Między mordercą a jego ofiarą nie doszło do prawdziwej walki. Shan wiedział o tym. Doktor Sung miała pod tym względem rację. Ale ofiara musiała spostrzec zabójcę i w ulotnym przeblysku zrozumienia dotknęła go, zaciskając dłoń na krążku, nim uderzenie pozbawiło ją przytomności.

–Dochodziły o nim wieści – odezwał się Choje. – Z wysokich gór. Nie byłem pewien. Niektórzy twierdzą, że nas opuścił.

–Nie rozumiem.

–W dawnych dniach często bywali wśród nas. – Oczy lamy wciąż wpatrywały się w krążek. – Gdy nadeszły mroczne lata, odeszli daleko w góry. Ale ludzie mawiają, że któregoś dnia oni wrócą. – Przeniósł wreszcie wzrok na Shana. – Tamdin. Ten medalion należał do Tamdina. Nazywają go Koniogłowym. To jedno z gniewnych bóstw opiekuńczych.

Umilkł i przesunął kilka paciorków różańca, gdy nagle ze zdumieniem na twarzy znów uniósł wzrok.

–Ten człowiek bez głowy... To nasze bóstwo opiekuńcze odebrało mu życie.

Mówił jeszcze, kiedy na skraju kręgu pojawił się Yeshe. Chłopak przyglądał się mnichom nieśmiało, jakby z zawstydzeniem, czy nawet obawą. Wydawało się, że nie ma ochoty, albo wręcz nie jest w stanie, wkroczyć do środka.

–Znaleźli coś! – zawołał, dziwnie zdyszany. – Pułkownik czeka na krzyżówce.

Jedna z pierwszych dróg zbudowanych przez Czteryista Czwartą opasywała dolinę, łącząc stare szlaki zbiegające z gór pomiędzy wysokimi grzbietami. Droga ta, którą dwa pojazdy wspinały się teraz ku Smoczym Szponom, była właśnie jednym z owych szlaków, wciąż jeszcze tak dzikim, że podczas wiosennych roztopów zamieniał się w koryto potoku. Po dwudziestu minutach od opuszczenia doliny samochód Tana zjechał na ziemny trakt, niedawno wyrównany przez spychacze. Wydostali się na niewielki, osłonięty płaskowyż. Shan spoglądał przez okno na wysoką, omiataną wiatrami nieckę. Na jej dnie tryskało małe źródelko, a obok stał olbrzymi, samotny cedr. Płaskowyż, zamknięty od północy, otwierał się na południe, ukazując ciągnące się kilometrami poszarpane łańcuchy górskie. Dla Tybetańczyka byłoby to miejsce święte. Miejsce zamieszkiwane przez demony.

Gdy Feng zatrzymał samochód, w polu widzenia ukazał się długi barak z nieproporcjonalnie wielkim kominem. Został wzniesiony niedawno; za budulec posłużyły płyty sklejkі oderwane z jakiejś innej konstrukcji. Na niektórych widniały jeszcze ślady ideogramów namalowanych za ich poprzedniego wcielenia, nadając całości wygląd układanki złożonej na siłę z dobranych na chybił trafił elementów. Za barakiem stało kilka pojazdów terenowych. Grupka kręcących się wokół nich oficerów ALW stanęła na baczność, gdy Tan wynurzył się ze swego samochodu.

Zamieniwszy z nimi parę słów, pułkownik skinął na Shana i cała grupa ruszyła za barak. Yeshe i Feng wysiedli z terenówki, zamierzając pójść w ich ślady. Jeden z oficerów obejrzał się, zaalarmowany, i odesłał ich z powrotem do wozu.

Sześć metrów za barakiem znajdowało się wejście do jaskini. Świeże ślady dłuta wskazywały, że niedawno je poszerzano. Kilku oficerów skierowało się do środka, zatrzymali się jednak na rzucony przez Tana rozkaz, ustępując miejsca dwóm ponurym żołnierzom z latarkami. Pozostali przyglądali się tylko, szepcząc nerwowo, gdy Shan w ślad za Tanem i żołnierzami wkraczał do pieczary.

Pierwsze trzydzieści metrów przeszli ciasnym, krętym tunelem. Dno zasłane było odpadkami po posiłkach górskich drapieźników, rozgarniętymi teraz na boki, by oczyścić drogę dla taczek, których ślady ciągnęły się środkiem. Dalej korytarz otwierał się na przestronną komorę. Tan zatrzymał się tak nagle, że Shan niemal wpadł mu na plecy.

Przed setkami lat ściany pieczary otynkowano i pokryto malowidłami przedstawiającymi olbrzymie istoty. Gdy Shan patrzył na te obrazy, coś ścisnęło go za serce. Nie chodziło o to, że Tan i jego sfera bezczeszczą to miejsce swą obecnością. Całe życie Shana było pasmem takich gwałtów. Nie chodziło o budzące grozę wizerunki demonów, które zdawały się tańczyć przed jego oczyma w drżącym świetle trzymanyh przez żołnierzy latarek. Ten strach był niczym w porównaniu z tym, który poznał w Czterysta Czwartej.

Nie. Chodziło o to, jak te pradawne malowidła przemówiły do niego, budząc lęk, onieśmienie, bolesną tęsknotę za Choje. One były tak ważne, a on był tak mały. One były tak piękne, a on taki brzydki. One były tak absolutnie tybetańskie, a on był tak absolutnie nikim.

Podeszli bliżej, aż w zasięgu światła znalazło się piętnaście metrów ściany, pokrytej malowidłami w głębokich, nasyconych barwach. Teraz Shan zaczął rozpoznawać poszczególne wizerunki. W środku znajdowało się czterech siedzących buddów, niemal naturalnej wielkości. Był tam Ratnasambhawa, Zrodzony z Klejnotu, o żółtym ciele, z lewą dłonią otwartą w darzącym geście. Był czerwony budda Amitabha, Niezmierzony Blask, którego tron zdobiły misternie odmalowane pawie. Obok, trzymając miecz, z prawą dłonią uniesioną w mudrze oddalania lęku, siedział zielony budda Amoghasiddhi. I wreszcie niebieski budda Akszobhja, Niezachwiany, jak nazywał go Choje, spoczywający na tronie malowanym w słońce, z prawą dłonią zwróconą w dół, wskazującą ziemię. Była to mudra, której Choje uczył często nowych więźniów, wzywająca ziemię na świadka ich wiary.

Czterech buddów otaczały mniej znane Shanowi postacie. Miały postawę wojowników, dzierżyły w dłoniach łuki, topory i miecze, a stopami deptały ludzkie kości. Na lewo, najbliżej Shana, widniała kobaltowoniebieska postać z głową rozjuszonego byka. Jej szyję oplatała girlanda węży. Obok znajdował się śnieżnobiały wojownik z głową tygrysa. Znacznie mniejsze figurki dookoła nich tworzyły armię szkieletów.

Nagle Shan zrozumiał. To byli obrońcy wiary. Gdy podszedł bliżej, spostrzegł, że stopy tygrysięgo demona są odbarwione. Nie, nie odbarwione. Ktoś próbował bez

powodzenia brutalnie skuć dłutem fragment malowidła. Na ziemi pod postacią leżała mała kupka barwnego tynku.

Światło zaczęło przygasać. Żołnierze posuwali się wzdłuż ściany, przechodząc na drugi koniec obszernej komory. W kręgu latarek ukazały się następne dwa demony: zielony, z potężnym brzuchem i głową małpy, trzymający w ręce łuk i wymachujący kością, i wreszcie czerwona bestia o czterech kłach sterczących z wykrzywionych wściekłością ust, z tygrysią skórą przerzuconą przez ramię. Spomiędzy jej złotych włosów wystawała mała zielona głowa dzikiego konia. Bestia stała wśród płomieni, otoczonych wieńcem kości. Shan zacisnął dłoń na spoczywającym w kieszeni krążku – ozdobie zerwanej z mordercy. Korciło go, żeby go wyciągnąć. Był pewny, że oba wizerunki przedstawiają tę samą istotę.

Światła zsunęły się ze ściany i spoczęły na butach pułkownika, nadając mu upiorny, ponadludzki wygląd kolejnego demona.

–Sytuacja się zmieniła – oświadczył nagle.

Shan spojrział na ponure twarze eskorty. Znów poczuł ucisk w sercu. Wiedział, co ludzie tacy jak Tan robią w takich miejscach. Z czeluści jaskini nie wydostanie się żaden dźwięk. Żaden krzyk. Żaden wystrzał. Nikt nic nie usłyszy i nikt niczego nie znajdzie. Jilin się mylił. Nie każde morderstwo popełniano dla uzyskania przebaczenia.

Tan podał mu złożoną kartkę papieru. Jego raport powypadkowy.

–To nam się już nie przyda – powiedział pułkownik.

Drżącą ręką Shan wziął od niego papier.

Tan ruszył za żołnierzami w stronę odchodzącego w bok tunelu. U wylotu odwrócił się i niecierpliwym gestem przywołał Shana do siebie. Shan obejrzał się za siebie. Nie było dokąd uciekać. Na zewnątrz czekało dwudziestu żołnierzy. Z poczuciem rozpaczliwej pustki jeszcze raz spojrział na malowidła, żałując, że nie wie, jak modlić się do tych demonów czy gniewnych bóstw, i wolno powlókł się za resztą.

W tunelu unosiła się nieuchwytna woń, nie kadzidła, lecz pyłu, który zostaje, gdy zapach kadzidła dawno już osiadł. Trzy metry od wylotu korytarza, za parą niewielkich bóstw opiekuńczych, niczym wartownicy wymalowanych na obu ścianach, ukazały się półki. Po cztery na każdej ścianie, zbudowane przed dziesiątkami, może setkami lat z grubych desek, szerokich na przeszło trzydzieści centymetrów, połączonych z pionowymi wspornikami za pomocą kołków. Przez pierwsze dziewięć metrów były puste. Potem zapełniły się. Od podłogi aż po sufit ich zawartość połyskiwała w świetle latarek, niknąc w mroku w głębi korytarza. Shanem wstrząsnął zimny dreszcz. Nagle się zatrzymał.

–Nie! – krzyknął z bólem w głosie.

Tan także stanął jak wryty. Widok był porażający.

–Czytałem raport o tym odkryciu parę tygodni temu – powiedział niemal szeptem – ale nie wyobrażałem sobie, że to tak wygląda.

Były to czaszki. Setki czaszek. Czaszki, jak okiem sięgnąć. Każda spoczywała na maleńkim ołtarzyku, utworzonym z ustawionych w półokrąg symboli religijnych i lampek maślanych. Każdą pokrywała warstewka złota.

Tan niepewnie, czubkiem palca, trącił jedną z czaszek, po czym wziął ją do ręki.

–Jaskinię odkryła ekipa geologów. Z początku myśleli, że to rzeźby, dopóki nie odwrócili jednej. – Podrzutem przewrócił czaszkę na drugą stronę i postukał kłykiem w wewnętrzną powierzchnię. – To tylko kość.

–Nie rozumiecie, czym jest to miejsce? – zapytał Shan, osłupiały.

–A jakże. To kopalnia złota.

–To święte miejsce – zaprotestował. Położył dłonie na trzymanej przez Tana czaszce. – Najświętsze. – Pułkownik ustąpił i Shan odłożył czaszkę na miejsce. – Niektóre klasztory przechowywały czaszki najbardziej czcigodnych lamów. Żyjących buddów. To jest ich świątynia. Coś więcej niż świątynia. Ma wielką moc. Musiała być używana przez stulecia.

–Zinventaryzowano zawartość – oświadczył Tan. – Dla celów archiwalnych.

Nagle, z przerażającą jasnością, Shan zrozumiał.

–Ten komin... – wychrypiał przez ściśnięte gardło.

–W latach pięćdziesiątych – powiedział Tan – za złoto ocalone z tybetańskich świątyń zbudowano hutę stali w Tientsinie. Był to wielki dar dla ludu. Odsłonięto tablicę pamiątkową z podziękowaniem dla mniejszości tybetańskiej.

–To grób, który wy...

–Zasoby – przerwał mu pułkownik – są wykorzystywane całkowicie. Nawet odłamki kości potraktowano jako surowiec. Zgodziła się je kupić fabryka nawozów w Chengdu.

Zapadło milczenie. Shan siłą woli powstrzymał się, by nie uklęknąć i nie odmówić modlitwy.

–Zacniemy to. Oficjalnie – oświadczył Tan. – Śledztwo w sprawie morderstwa.

Shan przypomniał sobie nagle. Z bijącym sercem spojrzął na raport, który trzymał w dłoni. A więc Tan znalazł prawdziwego śledczego. Teraz zamierza usunąć ślady swego falstartu.

–Śledztwo będzie prowadzone w moim imieniu. Odtąd nie jesteście po prostu oddelegowanym więźniem – ciągnął pułkownik. Mówił wolno, jak gdyby rozpraszało go coś, co miał przed sobą. – W zasadzie nikt nie ma o tym wiedzieć. Będziecie moim... – szukał właściwego słowa -...moim pełnomocnikiem. Moim tajnym agentem.

Shan cofnął się o krok, nic nie rozumiejąc. Czy Tan naprawdę ściągnął go do tej jaskini tylko po to, by z niego zadrwić?

–Mogę napisać nowy raport. Rozmawiałem z doktor Sung. Ale Czterysta Czwarta stanowi problem. Tam przydam się bardziej.

Tan uciął jego protest, unosząc dłoń.

–Myślałem o tym. Macie już terenówkę. Sierżant Feng jest moim starym kolegą. Mogę mu spokojnie powierzyć pilnowanie was. Możecie nawet zatrzymać waszego oswojonego Tybetańczyka. Kazałem przygotować dla was pusty barak w Nefrytowym Źródle. Będziecie tam spać i pracować.

–Dajecie mi swobodę ruchów?

Tan nie przestawał wodzić wzrokiem po czaszkach.

–Nie uciekniecie. – Gdy odwrócił się ku Shanowi, w oczach na chwilę załśniło mu

okrucieństwo. – A wiecie dlaczego? Skorzystałem z rady nadzorcy Zhonga. – Spojrzał na Shana z kwaśnym, zniecierpliwionym wyrazem twarzy. – Na najwyższych przełęczach wciąż jeszcze leży śnieg. Świeży, szybko topnieje. Grozi lawiną. Jeżeli uciekniecie albo nie dostarczycie mi raportu na czas, wyznaczę brygadę z Czterysta Czwartej. Waszą brygadę. Bez żadnej rotacji. Na urwiska nad drogami, do szukania potencjalnych osuwisk. W Czterysta Czwartej jest jeszcze paru lamów zaaresztowanych w latach sześćdziesiątych. Prawdziwych lamów. Rozkażę Zhongowi, żeby zaczął od nich.

Shan wpatrywał się w niego z przerażeniem. Nic w tym człowieku nie trzymało się kupy, poza jego zamiłowaniem do terroru.

– Źle ich rozumiecie – odezwał się niemal szeptem. – Tego samego dnia, kiedy trafiłem do Czterysta Czwartej, wypuszczono ze stajni jednego z mnichów. Wsadzili go tam za to, że wbrew zakazowi zrobił sobie różaniec. Miał pęknięte dwa żebra. Złamane trzy palce. Wciąż jeszcze było widać na nich ślady po kleszczach. A mimo to był pogodny. Na nic się nie skarżył. Zapytałem, jak to możliwe, że nie czuje gniewu. Wiecie, co odpowiedział? “Być prześladowanym za podążanie właściwą ścieżką, mieć możliwość upewnienia się, że się na niej wytrwa”, powiedział mi, “to ukoronowanie życia człowieka głębokiej wiary”.

– To wy źle rozumiecie – uciął Tan. – Znam tych ludzi nie gorzej od was. Siłą nigdy nie zmusimy ich do uległości. Gdyby było inaczej, moje więzienia nie byłyby tak wypełnione. Nie. Zrobicie, czego żądam, nie dlatego, że oni boją się śmierci – stwierdził z mrozącą krew w żyłach pewnością. – Zrobicie to dlatego, że wy sami boicie się ponieść odpowiedzialność za ich śmierć.

Przeszedł jeszcze sześć metrów w głąb tunelu, do miejsca, gdzie zatrzymały się latarki. Na twarzach przewodników malowało się dzikie przerażenie. Jeden z nich drżał. Gdy Shan zbliżył się, Tan wyrwał żołnierzowi latarkę i skierował snop światła na trzecią półkę. Tam, między dwiema złotymi czaszkami, spoczywała inna głowa, o wiele świeższej daty. Wciąż jeszcze miała gęste, czarne włosy, ciało i żuchwę. Jej brązowe oczy były otwarte, wyglądało to tak, jak gdyby przyglądała im się z drwiącym znużeniem.

– Towarzyszu Shan – oznajmił pułkownik – poznajcie Jao Xengdinga. Prokuratora okręgu Lhadrung.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy Shan wynurzył się z grotty, oślepiło go jaskrawe wysokogórskie słońce. Potykając się, z oczyma przesłoniętymi dłońmi, bardziej słyszał, niż widział klótnię. Ktoś krzychał na Tana z nie powstrzymywanym gniewem, jak może krzycheć tylko człowiek z Zachodu. Shan ruszył w stronę, skąd dochodził głos. Gdy jego oczy przywykły już do światła, przystanął jak wryty.

Tan był osaczony. Plecami wcisnął się w kąt między ścianą baraku a jakimś samochodem terenowym. Jak wszyscy obecni, wydawał się kompletnie sparaliżowany niespodziewanym atakiem.

Nie chodziło tylko o to, że napastnikiem była kobieta, ani nawet o to, że mówiła ona po angielsku, ale o jej porcelanową cerę, kasztanowe włosy i wzrost – była wyższa niż każdy ze stojących przed nią Chińczyków. Tan spojrzał w niebo, jak gdyby spodziewał się tam znaleźć złowrogą trąbę powietrzną, która ją tu przyniosła.

Shan, wciąż jeszcze odrętwiały po dokonanych w jaskini odkryciach, podszedł bliżej. Kobieta miała na sobie ciężkie buty turystyczne i niebieskie amerykańskie dżinsy. Na jej szyi wisiał mały, kosztowny japoński aparat fotograficzny.

– Mam prawo być wściekła! – krzychała. – Gdzie jest Urząd do spraw Wyznań?! Gdzie wasze zezwolenie?!

Shan ruszył wzdłuż baraku. Obok limuzyny Tana zaparkowany był biały samochód terenowy z napędem na cztery koła. Przystanął za nim. Stąd, ukryty przed wzrokiem pułkownika, wciąż doskonale słyszał kobietę. Rozkoszował się brzmieniem jej słów. W swym pekińskim wcieleniu czytywał raz w tygodniu zachodnią gazetę, aby nie zapomnieć języka, którego potajemnie nauczył go ojciec. Ale minęły już trzy lata, odkąd ostatni raz miał okazję słyszeć lub widzieć angielskie słowo.

– Komisja nie została poinformowana! – ciągnęła kobieta. – Nie ma przedstawicieli Biura do spraw Wyznań! Zadzwoń do Wen Lina! Zadzwoń do Lhasy! – Jej oczy błyszczały gniewem. Nawet z sześciu metrów Shan widział, że są zielone.

Obszedł terenówkę dookoła. Był to amerykański dżip, model o wiele nowszy niż ten, którym jeździł Feng, świeżo wypuszczony z zakładów joint venture w Pekinie. Za kierownicą siedział podenerwowany Tybetańczyk w okularach o grubych, czarnych oprawkach. Na drzwiach od strony kierowcy widniał emblemat: dwie skrzyżowane flagi, amerykańska i chińska. Powyżej i poniżej biegly zapisane po chińsku i po angielsku słowa: “Kopalnia Słońca”.

– Aj, aj, jaka ona piękna, kiedy się złości – usłyszał za plecami. Słowa były wypowiedziane w doskonałym mandaryńskim, ale intonacja nie była chińska.

Odsunął się w bok, by przyrzeć się mówiącemu. Był to szczupły, wysoki mężczyzna o długich słomkowych włosach zebranych na karku w krótką kitkę. Nosił okulary w złotych drucianych oprawkach i niebieski nylonowy ocieplacz z takim samym emblematem jak na dżipie. Rzuciwszy Shanowi rozbawione, porozumiewawcze spojrzenie, odwrócił się znów w stronę kobiety, podnosząc do ust wyjęty z kieszeni dziwny, prostokątny przedmiot. Była to harmonijka ustna, uświadomił sobie Shan, gdy Amerykanin zaczął grać.

Grał całkiem nieźle, lecz za głośno. Umyślnie za głośno. Wiele tradycyjnych

amerykańskich piosenek cieszyło się popularnością w Chinach. Shan w jednej chwili rozpoznał melodię. *Home on the Range*.

Kilku żołnierzy wybuchnęło śmiechem. Kobieta rzuciła swemu towarzyszowi piorunujące spojrzenie. Ale Tana to nie rozbawiło. Gdy Amerykanka skierowała aparat na pieczarę, pułkownik wyrwał się spod zaklęcia. Mruknął rozkaz i jeden z jego ludzi przyskoczył, by zasłonić obiektyw dłonią. Amerykanin grał dalej, ale jego spojrzenie stwardniało. Zrobił kilka kroków w stronę kobiety, jak gdyby uznał, że może potrzebować jego opieki. Shan zauważył, że dwóch oficerów Tana dyskretnie zmieniło pozycję, tak by znów znaleźć się między Amerykaninem i grotą.

–Panno Fowler – odezwał się Tan po mandaryńsku, odzyskując panowanie nad sobą i sytuacją. – Instalacje obronne Armii Ludowo-Wyzwoleńczej są ściśle tajne. Nie ma pani prawa tu przebywać. Powinienem panią zaarrestować. – Był to blef nie do podważenia. W Tybecie rozmieszczono więcej chińskiego arsenału nuklearnego niż w jakimkolwiek innym regionie kraju.

Kobieta patrzyła na niego w milczeniu, wciąż jeszcze z wyzwaniem w oczach. Amerykanin odjął organki od ust.

–Świetnie – powiedział po angielsku, choć najwyraźniej zrozumiał słowa Tana. – Zaarrestujcie nas. – Wyciągnął nadgarstki. – To na pewno przyciągnie uwagę ONZ.

Pułkownik spojrzał na niego z irytacją, nachylił się do ucha jednego ze swych przybocznych, po czym z nieszczerym uśmiechem zwrócił się do kobiety.

–Nie tak powinni zachowywać się wobec siebie przyjaciele. Ma pani na imię Rebecca, prawda? Proszę zrozumieć, Rebecko, jaki problem stwarza pani sobie i swojej firmie.

Ktoś, jakiś żołnierz, chwycił Shana za ramię i pociągnął go w stronę samochodu. Yeshe i Feng siedzieli w środku, tak jak ich zostawił.

–Pułkownik mówi, że musicie jechać. Natychmiast – powiedział żołnierz nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Shan pozwolił się zaprowadzić do wozu, jednak przy samych drzwiach wyrwał się, by jeszcze raz przyjrzeć się niezwyklej kobiecie. Obojętnie minęła go wzrokiem, lecz zaraz, uświadomiwszy sobie może, że Shan jest jedynym nie umundurowanym Chińczykiem w tym gronie, obejrzała się znowu. Ich spojrzenia spotkały się. W jej zielonych oczach kryła się dzika, niespokojna inteligencja. Na jej twarzy pojawiło się pytanie. Nim zdołał stwierdzić, czy było skierowane do niego, wepchnięto go do samochodu.

W budynku administracji obozowej czekały już na jego stole materiały dostarczone osobiście przez panią Ko. U góry strony widniał tytuł: “Elementy chuligańskie/Okręg Lhadrung”. Był to stary dokument, wystrzępiony i pozaginany na rogach od częstego używania. Listę podzielono na cztery kategorie. Pierwsza opatrzona była nagłówkiem “Narkomani kultowi”. Wedle dziwnego poglądu, przed laty już zarzuconego przez policję większych miast w Chinach, narkomania miała być rezultatem fanatycznych rytuałów. “Gangi młodzieżowe”. Żadna z wymienionych piętnastu osób nie miała mniej niż trzydzieści lat. “Recydywiści kryminalni”. Wykaz obejmował wszystkich mieszkańców Lhadrung, skazanych w przeszłości na lao gai:

blisko trzysta nazwisk. "Agitatorzy kulturowi". Ta lista była zdecydowanie najdłuższa. Przy każdym nazwisku widniała nazwa gomy lub określenie: "nie zarejestrowany". Sami mnisi. Wielu z nich zostało zatrzymanych przed pięciu laty, podczas Buntu Kciuków. Dwunastu nie zarejestrowanych opatriono dodatkową adnotacją: "domniemany purba". Przez chwilę łamał sobie głowę nad sensem tej uwagi. Purbą nazywano obrzędowy sztylet używany w tybetańskich rytuałach religijnych. Przejrzał dokument do końca. O mordujących demonach opiekuńczych nie było ani słowa.

Sięgnął po telefon. Pani Ko odebrała po trzecim dzwonku.

–Proszę przekazać pułkownikowi, że będzie potrzebna nowa sekcja zwłok.

–Sekcja zwłok?

–Będzie musiał powiedzieć o tym doktor Sung ze szpitala.

–Szkoda, że nie wiedziałam – westchnęła. – Właśnie stamtąd wróciłam.

–Była pani w szpitalu?

–Kazał mi zanieść tam coś, więc się przesłam. Całe było zawinięte w gazety i plastikowe worki. Powiedział, że to świeża kapusta dla niej.

Shan tępym wzrokiem wpatrywał się w telefon.

–Dziękuję, pani Ko – wymamrotał.

–Nie ma za co, xiao Shan – odparła pogodnie i odłożyła słuchawkę.

Xiao Shan. Słowa te wzbudziły w nim nagle poczucie osamotnienia. Nie słyszał ich od lat. Tak właśnie nazywała go babka. Staroświecka forma zwracania się do młodszej osoby. Mały Shan.

Uświadomił sobie nagle, że już od dłuższej chwili przygląda się urzędnikowi ostrzającemu ołówki w sąsiednim pomieszczeniu. Zapomniał o ostrzeniu ołówek, tak jak zapomniał o tysiącu innych drobnych czynności, z których składał się dzień na zewnątrz. Zacisnął szczęki, siłą woli odsuwając od siebie pytanie, którego nie ośmielił się zadać sobie żaden więzień w obozie: Czy potrafiłby jeszcze kiedyś żyć na zewnątrz? Nie, czy będzie kiedyś wolny, gdyż w to musiał wierzyć każdy, ale kim będzie, gdy wreszcie wyjdzie na wolność? Wszyscy znali opowieści o byłych więźniach, którzy nigdy nie zdołali się przystosować, którzy ze strachu nie opuszczali łóżka albo do końca życia chodzili zgięci jak w łańcuchach, niczym koń, który raz okulawiony, nigdy już nie próbuje biec. Dlaczego nie słyszał o tych, którym się powiodło? Może dlatego, że tak trudno było zrozumieć, co znaczy słowo "powodzenie" w odniesieniu do człowieka, który przeżył gułag. Pamiętał jeszcze słowa, jakimi Choje żegnał Lokeshę po trzydziestu latach spędzonych w jednej celi. "Musisz nauczyć się znowu być sobą", powiedział lama szlochającemu na jego ramieniu Lokeshowi.

Otworzył notatnik. Wciąż tu były, na ostatniej stronie. Imię jego ojca. Jego własne imię. Nie myśląc o tym, co robi, dorysował jeszcze jeden znak, złożony ideogram rozpoczynający się od krzyża z drobnymi, zwróconymi do środka kreseczkami w każdej ćwiartce. "Łuskany ryż", mówiły te pierwsze linie. Uzupełnił je piktogramem żywej rośliny nad piecem alchemika. Razem znaczyło to "siła życia". Był to jeden z ulubionych ideogramów jego ojca. Narysował go na zakurzonej szybie okiennej tego

dnia, gdy przyszli zabrać mu książki. Choje nauczył go jego odpowiednika w znakach tybetańskich. Ale Choje odczytywał go inaczej: “nieugięta moc istnienia”.

Spostrzegł przed sobą jakiś ruch. Zatrzasnął notes, odruchowo nakrywając go dłońmi. To tylko Feng wstał z krzesła na widok nadchodzącego Changa.

Porucznik wskazał palcem na Shana i parsknął śmiechem, po czym nachylił się do Fenga, mówiąc coś półgłosem. Shan, omijając ich wzrokiem, patrzył w głąb biura na zajęte swoimi sprawami bezbarwne postacie.

Znowu otworzył notes. Na końcu swych notatek ze śledztwa zapisał z pamięci ustęp dwudziesty pierwszy z *Tao Te Ching*. “W zarodku tkwi siła życia”, mówiły słowa. “W sile życia tkwi prawda”.

Postawił pionowo przed sobą otwarty na tym zdaniu bloczek i zamyślił się. Każda sprawa ma własną siłę życiową, tłumaczył kiedyś swoim podwładnym, swą istotę, leżący u podstaw motyw. Znajdź tę siłę życiową, a odnajdziesz prawdę. U podstaw sprawy tkwił zamordowany prokurator. Przechylił głowę, wpatrując się w nakreślone znaki. A może u podstaw tkwiła Czteryście Czwarła oraz buddyjski demon? Z zamyślenia wyrwał go cichy szmer.

–Co robisz? – szepnął Yeshe, oglądając się niepewnie na Fenga. – Stoję tu już od pięciu minut. – W dłoniach trzymał talerz z trzema dużymi kluskami momo. Biuro w głębi było już puste. Zmierzchało się.

Momo te były jedynym posiłkiem, jaki Shan widział przez cały dzień. Począł, aż Feng odwróci się tyłem, po czym schował dwa do kieszeni, połykając łączywie trzecie. Było pożywne, nadziewane prawdziwym mięsem. Pochodziło z kuchni straży obozowej. W stołówce więźniów kucharze napełniali momo grubo mieloną kaszą z nieodłączną pokaźną domieszką plew. Jego pierwszej zimy w lao gai, po suszy, która spaliła pola, nadziewano je mielonymi kaczanami kukurydzy, normalnie pokarmem dla świń. Kilkunastu mnichów zmarło wtedy na dyzenterię i z niedożywienia. Tybetańczycy mieli nazwę na taką śmierć przez zagłodzenie, która kosła ich tysiącami w czasach, gdy niemal cała klasztorna populacja kraju znalazła się w więzieniach. “Zabity przez działo momo”. Po owej suszy Towarzystwo Przyjaciół Tybetu, buddyjska organizacja charytatywna, uzyskało pozwolenie na dokarmianie więźniów dwa razy w tygodniu. Nadzorca Zhong obwieścił to, nazywając przyzwolenie gestem pojednania, a był przy tym tak radosny, że Shan nie miał wątpliwości, iż chował do własnej kieszeni pieniądze na żywność dla więźniów.

–Opracowałem notatki z naszej rozmowy z doktor Sung – powiedział sztywno Yeshe, kładąc przed nim dwie strony maszynopisu.

–To wszystko, co zrobiłeś?

Chłopak wzruszył ramionami.

–Oni wciąż pracują nad rejestrami zaopatrzenia. Mieli problemy z komputerami.

–Chodzi o te zaginione dostawy, o których mówiłeś?

Yeshe skinął głową.

Shan przejrzał tekst i z roztargnieniem uniósł wzrok.

–Co to były za dostawy?

–Ciężarówka z odzieżą. Inna z żywnością. Jakieś materiały budowlane.

Prawdopodobnie to zwykły błąd w papierach. Ktoś pomylił się w liczeniu, kiedy wyjeżdżały ze składnicy w Lhasie.

Shan zapisał coś w notesie.

–Ale to nie ma nic wspólnego z tą sprawą – zaprotestował Yeshe.

–Skąd wiesz? – zapytał Shan. – Pracując w Pekinie, zajmowałem się głównie sprawami o korupcję. Gdy w grę wchodziła armia, zawsze zaczynałem od sprawdzenia centralnych rejestrów zaopatrzenia, a to dlatego, że były bardzo wiarygodne. Kiedy liczyli ciężarówki albo rakiety, albo fasolę, nigdy nie robił tego jeden człowiek. Wyznaczali dziesięciu i wszyscy liczyli to samo.

Yeshe wzruszył ramionami.

–Teraz używają komputerów. Przyszedłem po następne zadanie.

Shan przyjrzał mu się uważnie. Był niewiele starszy od jego syna i równie jak jego syn bystry i bez perspektyw.

–Musimy zrekonstruować poczynania Jao. Przynajmniej kilka ostatnich godzin.

–To znaczy porozmawiać z jego rodziną?

–On nie miał rodziny. Chcę powiedzieć, że musimy odwiedzić mongolską restaurację, w której jadł tamtego wieczoru. Jego dom. Jego biuro, o ile nam pozwolą.

Yeshe miał teraz własny notes. Pośpiesznie zapisał w nim słowa Shana, po czym okręcił się na pięcie jak żołnierz w czasie musztry i odszedł.

Shan pracował jeszcze przez godzinę. Studiował listę nazwisk, notował pytania i możliwe odpowiedzi, z których każda zdawała się bardziej mętna od poprzedniej. Gdzie był samochód Jao? Kto chciał śmierci prokuratora? Dlaczego, pomyślał z drżeniem, Choje był tak przekonany, że demon istnieje naprawdę? Jak to możliwe, że prokuratora okręgu Lhadrung wzięto za turystę? Czy dlatego, że wybierał się w podróż? Nie. Dlatego, że miał w kieszeni dolary i amerykańską wizytówkę. Jakie uczucia powodowały zabójcą, że z rozmysłem zwabił swą ofiarę tak daleko tylko po to, by uciąć jej głowę? To nie była nagła zwierzęca furia. A może była? Czy to możliwe, że zwykłe spotkanie przerodziło się w walkę? Jao, uderzony, stracił przytomność, a napastnik w panice chwycił... łopatę?... by dokończyć dzieła i jednym straszliwym ciosem zatrzeć tożsamość ofiary. Ale po co nioś głowę osiem kilometrów do świątyni czaszek? Po co przebrał się w kostium? To nie była zwierzęca furia. Morderca był fanatykiem, bez reszty oddanym swej sprawie. Ale jakiej sprawie? Politycznej? Czy może chodziło o namiętność? A może, umieszczając głowę prokuratora Jao w tak świętym miejscu, złożył swego rodzaju hołd? Wściekłość. Hołd. Shan w przypiływie frustracji cisnął ołówek na stół i podszedł do drzwi.

–Muszę wrócić do baraku – powiedział do Fenga.

–Nic z tego – odpalił sierżant.

–Więc mamy nocować tutaj?

–Nikt nic na ten temat nie mówił. Do Nefrytowego Źródła możemy jechać dopiero jutro.

–Nikt nic nie mówił, bo ja jestem więźniem, który śpi w baraku, a ty strażnikiem,

który śpi w koszarach.

Feng niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Ze ściągniętą twarzą utkwiał wzrok w rzędzie okien na przeciwległej ścianie, jak gdyby w nadziei, że dostrzeże jakiegoś przechodzącego przypadkiem oficera.

–Ja mogę spać tu, na podłodze – powiedział Shan. – Ale co z tobą? Masz zamiar czuć przez całą noc? Do tego potrzebowalibyś rozkazów. Bez rozkazów musi obowiązywać zwykły tryb.

Wydobył z kieszeni jedno z zachowanych momo i wyciągnął w jego stronę.

–Nie przekupisz mnie jedzeniem – burknął sierżant, zerkając na kluskę z wyraźnym zainteresowaniem.

–To nie łapówka. Stanowimy zespół. Chcę, żebyś jutro był w dobrym nastroju. I dobrze odżywiony. Czekają nas przejażdżka w góry.

Feng przyjął momo i zaczął poskubywać je niepewnie.

Na zewnątrz obóz spowijała martwa cisza. Rzeźkie, mroźne powietrze zastygło w bezruchu. W górze rozległ się żalostny krzyk samotnego lelka.

Zatrzymali się przy bramie. Feng wciąż jeszcze się wahał. Od skalnej ściany dobiegało echem cichutkie dzwonięcie, odległy brzęk stali uderzającej w stal. Przysłuchiwali się chwilę. Wkrótce doszedł inny dźwięk: głucho metaliczne dudnienie. Feng rozpoznał je pierwszy. W pośpiechu przepchnął Shana przez bramę, zamknął ją i pognął w stronę koszar. Wyznaczona Czterysta Czwartej kara miała właśnie wkroczyć w nową fazę.

Ostatnie momo Shan przeznaczył dla Choje. Lama uśmiechnął się.

–Pracujesz ciężiej niż my. Musisz jeść.

–Nie mam apetytu.

–Dwadzieścia różańców za kłamstwo – odparł pogodnie Choje, kładąc momo na podłodze, pomiędzy znakami ołtarza.

Nagle przyskoczył doń khampa i ukląkszy, pokłonił się, dotykając czołem ziemi. Choje, wyraźnie zaskoczony, skinął głową. Khampa wepchnął sobie kluskę do ust, po czym wstał, złożył lamie ukłon i przycupnął przy drzwiach. Tym razem on stał na warcie.

Nagle Shan uświadomił sobie, że więźniowie nie odmawiają różańców. Pochyleni nad pryczami, pisali coś na odwrotnych stronach formularzy albo na marginesach nielicznych gazet, przynoszonych czasem przez ludzi z Towarzystwa Przyjaciół Tybetu. Kilku pisało ogryzkami ołówków. Większość używała odłamków węgla drzewnego.

–Rinpocze – odezwał się – oni przyjechali. Do rana zdążą już przejąć obóz od strażników.

Choje powoli skinął głową.

–Ci ludzie... przepraszam, jak wy mówicie na funkcjonariuszy bezpieczeństwa?

–Pałkarze.

Lama uśmiechnął się z rozbawieniem.

–Ci pałkarze – ciągnął – to nie jest nasz problem. To problem nadzorca.

–Zidentyfikowano zwłoki – oznajmił Shan. Kilku kapłanów uniosło głowy. Rozejrzał

się dookoła. – Ten człowiek nazywał się Jao Xengding.

W celi zaległa nagle przejmująca cisza.

Dłonie Choje utworzyły mudrę. Przywołanie Bodhisattwy Współczucia.

–Obawiam się o jego duszę – powiedział.

–Niech siedzi w piekle! – zawołał ktoś z cienia.

Choje spojrział karcąco w tamtą stronę, po czym odwrócił się z westchnieniem.

–Będzie miał trudne przejście.

Niespodziewanie odezwał się Trinle:

–Będzie się błąkał z powodu swych czynów. I gwałtowności swojej śmierci. Nie miał szans odpowiednio się przygotować.

–Wysłał wielu ludzi do więzienia – zauważył Shan.

Trinle odwrócił się do niego.

–Musimy zabrać go z tej góry.

Shan otworzył usta, by poprawić przyjaciela, gdy uświadomił sobie, że nie miał on na myśli ciała Jao.

–Będziemy się za niego modlić – powiedział Choje. – Dopóki jego dusza nie znajdzie się w następnym wcieleniu, musimy się modlić.

Dopóki jego dusza nie znajdzie się w następnym wcieleniu, pomyślał Shan, prokurator wciąż będzie karał Czteryście Czwartą.

Jeden z mnichów przyniósł Choje do sprawdzenia zapisaną kartkę. Lama obejrzał ją z uwagą, po czym powiedział coś cichym głosem. Mnich wrócił z papierem na swoją pryczę i znów zabrał się do pracy.

Choje spojrział na Shana.

–Co oni z tobą robią? – zapytał cicho, by nie usłyszał tego nikt poza pytaniem.

W tej chwili Shan zobaczył lamę takim, jakim go widział podczas ich pierwszego spotkania, kiedy on sam klęczał w błocie, a Choje zmierzał ku niemu przez obóz, niepomny strażników, tak spokojnie, jak gdyby szedł łąką, by ratować rannego ptaka.

Gdy strażnicy więzienni wypuścili go wreszcie na teren Czteryście Czwartej, Shan był zdruzgotany, wykończony fizycznie i psychicznie po trzech miesiącach przesłuchań i trwającej dzień i noc terapii politycznej. Urząd Bezpieczeństwa zgarnął go pod koniec jego ostatniego śledztwa, akurat gdy miał już wysłać nadzwyczajny raport do Rady Państwa, z pominięciem swego oficjalnego przełożonego: ministra gospodarki. Z początku po prostu go bili, dopóki lekarz bezpieczeństwa nie zwrócił uwagi na możliwość urazu mózgu. Wtedy zaczęli używać bambusowych drzazg, ale te sprawiały mu tak piekielny ból, że nie docierały do niego ich pytania. Przeszli więc do subtelniejszych metod, aż w końcu porzucili narzędzia tortur i sięgnęli po środki chemiczne, co było jeszcze gorsze, gdyż bardzo utrudniało zapamiętanie tego, co już im powiedział.

Siedział w swojej celi w muzułmańskiej części Chin – raz, z okna jednego z pomieszczeń, zobaczył bezkresne połączenie piasków, jakie mogły istnieć jedynie w zachodnich Chinach – i powtarzał wyuczone w młodości taoistyczne wersety, by nie postradać zmysłów. Nieustannie przypominali mu o jego zbrodniach, czasem

odczytując je jak nauczyciele z tablicy podczas zebrań tamzing albo wykrzykując zeznania świadków, o których nigdy nie słyszał. Zdrada. Korupcja. Kradzież mienia państwowego, wypożyczonych akt. Uśmiechał się sennie, gdyż nigdy nie zrozumieli, na czym naprawdę polegała jego wina. Był winny zapomnienia, że pewni czcigodni członkowie rządu są niezdolni do popełnienia przestępstwa. Był winny braku zaufania do partii, gdyż odmówił ujawnienia wszystkich zgromadzonych dowodów – nie tylko, aby chronić tych, którzy je przekazali, ale także, co go zawstydzało, by chronić siebie, gdyż jego życie nie byłoby nic warte, gdyby uznali, że mają już wszystko. Na koniec jedyną nauką z tych miesięcy nie kończącego się, targającego nim bólu, jedyną prawdą, jakiej dowiedział się o sobie, a zarazem ułomnością, która nie pozwalała mu umknąć dalszych cierpień, było to, że nie potrafił się poddać.

Być może to właśnie dostrzegł Choje tamtego dnia, gdy Shan, potykając się, wysiadał oszołomiony z furgonetki Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, zastanawiając się, czy mimo wszystko postanowili zaryzykować i go zastrzelać.

Więźniowie w pierwszej chwili wydawali się równie oszołomieni. Wpatrywali się w niego jak w nieznaną, niebezpieczną zwierzę. Potem najwyraźniej uznali, że mają przed sobą po prostu jeszcze jednego Chińczyka. Khampowie splunęli na niego. Większość pozostałych odsunęła się, niektórzy układając dłonie w mudrę oczyszczenia, jak gdyby dla odpędzenia demona, który nagle znalazł się pośród nich.

Shan stał niepewnie, na drżących nogach, pośrodku obozu, zastanawiając się, jakież to nowe piekło znaleźli dla niego jego dręczyciele, gdy jeden ze strażników popchnął go. Upadł twarzą w zimną kałużę, rozpryskując błoto na jego buty. Kiedy z wysiłkiem podniósł się na kolana, rozwścieczony strażnik kazał mu wylizać sobie buty do czysta.

–Bez armii ludowej lud nie miałby niczego – powiedział wtedy Shan z żalonym uśmiechem. Był to dosłowny cytat z Nieocenionego Przewodniczącego, prosto z małej czerwonej książeczki.

Strażnik kopniakiem posłał go znów twarzą w błoto. Jego pałka spadła ciężko na plecy Shana. I wtedy właśnie zbliżył się jeden ze starszych tybetańskich więźniów.

–Ten człowiek jest zbyt słaby – powiedział spokojnie.

Strażnik parsknął tylko śmiechem, a więzień pochylił się nad leżącym Shanem, by przyjąć ciosy na własny grzbiet. Strażnik ochoczo wymierzył mu przeznaczoną dla Shana karę, po czym zawołał na innych, by zawlekli nieprzytomnego do stajni.

Ta chwila zmieniła wszystko. W jednym nagłym przebłysku Shan zapomniał o bólu, zapomniał nawet o swojej przeszłości, zrozumiał bowiem, że oto znalazł się w niezwykłym, nowym świecie. Tym światem był Tybet. Wysoki mnich, który przedstawił się jako Trinle, pomógł mu wstać na nogi i zaprowadził go do baraku. Tam nie było już plucia, nie było zwracanych ku niemu gniewnie mudr. Z Choje spotkał się dopiero osiem dni później, gdy wreszcie wypuszczono go ze stajni.

–Zupa – powiedział lama z krzywym uśmiechem, kiedy spostrzegł Shana, mając na myśli cienki jęczmienny kleik serwowany w Czteryście Czwartej – zawsze smakuje lepiej po tygodniu przerwy.

Shan uniósł wzrok, gdy Choje powtórzył pytanie.

–Co oni z tobą robią?

Wiedział, że Choje nie oczekuje odpowiedzi. Było to po prostu pytanie, z którym chciał go zostawić. Gdy pałkarze przejmą nadzór nad obozem, Czterysta Czwarta nigdy już nie będzie taka sama. Z nagłym bólem w sercu uświadomił sobie, że najprawdopodobniej zabiorą od nich Choje. Utkwił wzrok w dłoniach lamy, ułożonych w nową mudrę. Był to symbol mandali, koła życia.

–Rinpocze, ten demon zwany Tamdinem...

–To cudowne, prawda?

–Cudowne?

–Że obrońca pojawia się w takiej chwili.

Shan, zbity z tropu, zmarszczył brwi.

–Nic w życiu nie zdarza się bez przyczyny – wyjaśnił Choje.

To prawda, pomyślał gorzko Shan. Jao zginął nie bez powodu. Ten, kto go zabił, chciał uchodzić za buddyjskiego demona nie bez powodu. Pałkarze, przygotowani do zniszczenia Czterysta Czwartej, przybyli nie bez powodu. Ale on tego powodu nie znał.

–Rinpocze, po czym rozpoznam Tamdina, jeżeli go znajdę?

–On przybiera wiele form, wiele kształtów – odparł lama. – Hajagriwa, takie imię nosi to gniewne bóstwo w Nepalu i w Indiach. W starszych gompach nazywają go Czerwonym Tygrysem. Albo Koniogłowym. Nosi na szyi różaniec z czaszek. Ma żółte włosy, czerwoną skórę, ogromną głowę. Z ust sterczą mu cztery kły. Na czubku głowy ma drugą, dużo mniejszą. Końską, często malowaną na zielono. Jest gruby, brzuch mu obwisł od ciężaru świata. Widziałem go podczas obrzędowych tańców, wiele lat temu. – Mudra rozpadła się, gdy Choje splótł dłonie. – Ale nie odnajdziesz Tamdina, jeśli on sam tego nie zapragnie. Nie skłonisz go do posłuszeństwa, chyba że ci na to pozwoli.

Shan w milczeniu rozważył te słowa.

–Czy nosi broń?

–Gdy jest mu potrzebna, znajdzie się w jego dłoni – odparł enigmatycznie Choje. – Porozmawiaj z kimś z Czarnych Czapek. Był kiedyś w mieście stary ngagspa, czarownik tej sekty. Nazywał się Khorda. Odprawiał dawne rytuały. Straszył młodych mnichów swymi zaklęciami. Był z gompy należącej do szkoły Nyingmapa.

Czarne Czapki stanowiły najbardziej tradycyjną spośród buddyjskich sekt w Tybecie, Nyingmapa zaś była jej najstarszą linią, najbliższą powiązaną z szamanami, którzy niegdyś rządzą tym krajem.

–Na pewno nie żyje – ciągnął lama. – Był już stary, kiedy byłem chłopcem. Ale miał uczniów. Dowiedz się, kto uprawia magię Czarnych Czapek, kto studiował u Khordy.

Patrzył na Shana przenikliwym wzrokiem, jak ojciec przyglądający się synowi ruszającemu w długą i niebezpieczną podróż. Skinął na niego.

–Podejdź bliżej.

Gdy Shan zbliżył się, Choje położył mu dłoń na głowie i pochylił ją w dół. Szepnął coś do Trinlego, który podał mu zardzewiałe nożyce, po czym odciął Shanowi tuż nad karkiem kosmyk długich na cal włosów. Tak robiono podczas rytuałów

inicjacyjnych przyjmowanym do klasztoru uczniom, aby im przypomnieć, jak Budda poświęcił się dla osiągnięcia cnoty.

Gest ten, nie wiedzieć czemu, sprawił, że serce Shana zabiło jak młotem.

–Nie jestem godzien – odezwał się, unosząc wzrok.

–Oczywiście, że jesteś. Jesteś jednym z nas.

Wezbrał w nim wielki smutek.

–Rinpocze, co się dzieje?

Ale Choje westchnął tylko, nagle straszliwie znużony. Wstał i odszedł ku swojej pryczy. Trinle podał Shanowi poplamiony skrawek papieru, na którym widniał jakiś symbol.

–To dla ciebie – powiedział.

Shan bezradnie wpatrywał się w kartkę. Pokrywało ją starożytne pismo, jak tamto na medalionie, oraz szereg koncentrycznych kół otaczających kwiat lotosu o płatkach ozdobionych tajemnymi znakami.

–Czy to modlitwa? – zapytał.

–Tak. Nie. Właściwie nie. To zaklęcie. Dla ochrony. Pobłogosławione przez Rinpocze. Zapisane na fragmencie starej świętej księgi. Bardzo potężne. – Trinle ujął kartkę za dolne rogi. – Patrz, musisz ją złożyć i zwinąć w mały rulonik – wyjaśnił. – Noś ją na szyi. Powinniśmy dać ci to w puzderku na amulet, z łańcuszkiem. Ale nie mamy takiego.

–Oni wszyscy piszą zaklęcia ochronne?

–Nie takie jak to. Nie tak potężne. Był tylko ten jeden skrawek. I przywołanie symboli. Tych słów nie zapisały dłonie, nie wypowiedziały wargi. Rinpocze musiał po nie sięgnąć i pochwycić je. Potrzeba godzin, by nadać im moc. Pracował nad tym cały dzień. Jest wyczerpany. Oto zaklęcie, które Tamdin rozpozna, które dostrzeże ze swojego świata, tak że będzie wiedział, że przybywasz. To nie jest zwykłe zaklęcie ochronne. To raczej przepustka, abyś mógł się do niego zbliżyć. Choje mówi, że idziesz drogą gniewnych bóstw opiekuńczych.

Co znaczy, że czekają tylko, by mnie zaatakować, chciał już powiedzieć Shan, kiedy zastanowiła go inna myśl. Jak Choje zdobył fragment starego manuskryptu?

Niektórzy z mnichów kładli swoje zaklęcia na ołtarzu, spoglądając wyczekująco na Choje. Inni szli ze swoimi ku jednej z dalej stojących prycz. Shan podszedł bliżej. Siedział tam stary mnich z dziwną mozaiką zaklęć na kolanach. Zręcznie zszywał je cienkimi pasmami ludzkich włosów.

Shan uświadomił sobie, że Trinle wpatruje się w gruby notes w jego kieszeni. Oderwał kilkanaście czystych kartek i podał mu je wraz z ołówkiem.

–A inni? Jakie są inne zaklęcia?

–Každy z nas robi, co może. Niektórzy przygotowują dla jungpo ceremoniał wyzwolenia z bardo. Reszta to zwykłe zaklęcia ochronne. Nie wiem, czy Rinpocze je pobłogosławi. Bez błogosławieństwa osoby obdarzonej mocą będą bezużyteczne.

–Dlaczego miałby nie pobłogosławić zaklęć? Nie chce dać im ochrony przed jungpo?

–Nie przed jungpo. One są przeciwko złu tego świata. To zaklęcia tsonsung. Mają

chronić od pałek. Od bagnetów. Od kul.

ROZDZIAŁ 5

Następnego ranka pod drzwiami gabinetu Tana czekał wymuskany młody człowiek w białej koszuli i granatowym garniturze. Przechadzając się przed oknem, przystanął, by obrzucić pogardliwym wzrokiem sierżanta Fenga, po czym zauważył Shana i kiwnął mu porozumiewawczo głową, jak gdyby łączył ich jakiś sekret.

Shan podszedł do okna, rozpaczliwie wypatrując, co się dzieje na stokach Szponu Południowego. Nieznajomy wziął to za zaproszenie do rozmowy.

–Trzech na pięciu – odezwał się. – Sześćdziesiąt procent prosi o powrót do domu przed zakończeniem wycieczki. Słyszeliście o tym, towarzyszu? – Z całej jego postaci przebijało pekińskie pochodzenie.

–Większość z tych, których znam, odsiadauje swoje do końca – powiedział cicho Shan. Pochylił się, dotykając szyby. Czteryście Czwarta o tej porze powinna być już na stoku. Czy nadzorca będzie w ogóle zaprzętał sobie dziś głowę zawożeniem ich na teren robót?

–Nie mogą znieść zimna – ciągnął nieznajomy, nie dając po sobie poznać, że słyszał słowa Shana. – Nie mogą znieść tutejszego powietrza. Nie mogą znieść suszy. Nie mogą znieść pyłu. Nie mogą znieść spojrzeń na ulicach. Nie mogą znieść dwunożnej szarańczy. – Przyskoczył do pani Ko, która pojawiła się właśnie w poczekalni. – To niezwykle ważne! – powiedział z naciskiem, wymawiając słowa powoli i głośno, jak gdyby była w jakiś sposób upośledzona. – Muszę zobaczyć się z nim natychmiast!

Uśmiechnęła się do niego z opanowaniem i wskazała na rząd krzeseł pod ścianą. Ale mężczyzna wciąż chodził w tę i z powrotem, raz po raz zerkając na drzwi do gabinetu Tana.

–Jestem tu od dwóch lat. Jest cudownie. Mógłbym zostać na dziesięć. A wy? Shan powoli uniósł wzrok, z cichą nadzieją, że nieznajomy nie mówi do niego. Ale jego oczy były jak dwie lufy wycelowane prosto w Shana.

–Trzy, jak na razie.

–Bratnia dusza! – wykrzyknął mężczyzna. – Tu jest cudownie – powtórzył. – Życiowe szanse. Okazja na każdym rogu. – Spojrzał na Shana, oczekując, że mu przytaknie.

–A w każdym razie niespodzianka. Niespodzianka na każdym rogu – odparł dyplomatycznie Shan.

Nieznajomy odpowiedział krótkim, powściągliwym śmiechem i opadł na krzesło obok. Shan zasłonił papiery dłońmi.

–Nie widziałem was wcześniej. Pracujecie w górach?

–W górach – mruknął Shan. Poczekalnia nie była ogrzewana, miał więc wciąż na sobie nie rzucającą się w oczy szarą kurtkę, którą Feng wygrzebał dla niego rano z tyłu terenówki.

–Staruszek zakopał się po uszy – szepnął mężczyzna, wskazując głową drzwi Tana. – Raporty dla partii. Raporty dla armii. Raporty dla Urzędu Bezpieczeństwa. Raporty o stanie zaawansowania raportów. My nie pozwalamy, żeby biurokracja tak się panoszyła. To nie jest sposób na załatwianie spraw.

Głowa Fenga opadła w tył. Zaczął chrapać.

–My? – zainteresował się Shan.

Mężczyzna teatralnym gestem otworzył niedużą teczkę z tworzywa sztucznego i wręczył mu wytłaczaną wizytówkę.

Shan obejrzał ją dokładnie. Wykonano ją z cienkiego jak papier plastiku. Li Aidang, głosił napis. Imię ulubione przez ambitnych rodziców z poprzedniego pokolenia. Li Kochający Partię. Przesunął wzrok na tytuł i zdrętwiał. Zastępca prokuratora. A więc Tan jednak to zrobił, pomyślał. Sprowadził śledczego z zewnątrz. Ale potem przeczytał adres. Okręg Lhadrung.

Z niedowierzaniem przeciągnął palcem po znakach.

–Jesteście bardzo młodzi jak na takie odpowiedzialne stanowisko – powiedział wreszcie, przyglądając mu się uważnie. Jego rozmówca mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Nosił dyskretny, drogi zegarek i, co dziwne, zachodnie sportowe buty. – I daleko od domu.

–Nie tęsknię za Pekinem. Za dużo ludzi. Za mało okazji.

Znowu to słowo. Dziwnie było słyszeć, jak zastępca prokuratora mówi o okazjach.

Pani Ko znów pojawiła się w poczekalni.

–On chyba nie rozumie... – zaczął protekcjonalnym tonem Li. – Chodzi o aresztowanie. Musi podpisać upoważnienia. Na pewno zechce zawiadomić...

Pani Ko wyszła, nie zwracając na niego uwagi. Li powiódł za nią wzrokiem. Na jego twarzy pojawił się drwiący grymas, jak gdyby odnotował sobie właśnie jakąś szczególnie rozkoszną myśl. Pochylił się do przodu, wpatrując się w bezwładną postać Fenga.

–Gdyby to było moje biuro, okazywaliby więcej szacunku – oznajmił nabrzmiałym pogardą głosem.

Wróciła pani Ko. Otworzywszy drzwi od przyległej sali konferencyjnej, skinęła głową, zapraszając go do środka.

Z pomrukiem satysfakcji Li wkroczył do sali. Pani Ko bez słowa przysunęła mu krzesło, po czym zostawiła go ze wzrokiem utkwionym w bocznych drzwiach wiodących do gabinetu Tana. Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi.

–Zastanawiam się – powiedział Shan – czy pułkownik w ogóle ma zamiar tam wejść. – Nie był pewien, czy go usłyszała. Zniknęła we wnęce, ale wracając z dwiema czarkami herbaty, rozbawiona skinęła głową. Podała Shanowi czarkę i usiadła obok.

–To arogancki młody człowiek. Wielu jest dziś takich. Źle wychowani.

Shan omal się nie roześmiał. Tak właśnie jego ojciec określiłby pokolenie Chińczyków wyrosłych w drugiej połowie stulecia. Źle wychowani.

–Nie chciałbym, żeby robił pani nieprzyjemności – powiedział.

Gestem zachęciła go, by wypił herbatę. Miała w sobie coś ze starej ciotki wyprawiającej chłopca do szkoły.

–Pracuję dla pułkownika od dziewiętnastu lat.

Shan uśmiechnął się nieśmiało. Jego wzrok powędrował ku koronkowej serwetce na stole. Minęło wiele czasu, znacznie więcej niż trzy lata samego więzienia, odkąd pił herbatę w towarzystwie prawdziwej damy.

–Z początku zastanawiałem się, kto miał odwagę przekazać pułkownikowi prośbę o zwolnienie Lokesha – powiedział. – Teraz chyba już wiem. Polubiłaby go pani. Śpiewał piękne, stare tybetańskie pieśni.

–Jestem staroświecka. Tam, skąd pochodzę, uczono nas szanować starszych, nie zamykać ich w więzieniach.

Cóż to za odległa planeta? mało nie zapytał, gdy po tym, jak pani Ko patrzyła w swoją czarkę, zorientował się, że coś leży jej na sercu.

–Mam brata – zwierzyła się nagle. – Niewiele starszego od was. Był nauczycielem. Piętnaście lat temu zaareztowano go za pisanie szkodliwych rzeczy i wysłano do obozu gdzieś koło Mongolii. Nie wspominamy o nim, ale ja wiele o nim myślę. – Uniosła wzrok. W jej oczach lśniło niewinne zaciekawienie. – Nie cierpicie w obozach, prawda? Nie chciałabym, żeby on cierpiał.

Shan upił długi łyk herbaty. Z wymuszonym uśmiechem odwzajemnił spojrzenie.

–Po prostu budujemy drogi.

Pani Ko poważnie skinęła głową.

Rozległ się brzęczyk. Pani Ko wskazała więźniowi drzwi gabinetu Tana. Li wypadł z sali konferencyjnej, niepewnie przypatrując się Shanowi. Nim za Shanem zamknęły się drzwi gabinetu pułkownika, usłyszał jeszcze zdumiony okrzyk młodego człowieka:

–To wy!

Tan stał przy oknie, zwrócony plecami do wejścia. Zasłony były tym razem rozsunięte do końca i w jasnym świetle Shan dopiero teraz mógł przyjrzeć się dokładnie ścianie za biurkiem. Było tam wyblakłe zdjęcie dziewczyny stojącej obok czołgu w towarzystwie znacznie młodszego Tana. Z lewej strony wisiała mapa opatrzona wytłuszczonym nagłówkiem “nei lou”, poufne. Przedstawiała przygraniczne obszary Tybetu. Nad mapą wisiał starodawny miecz, zhan dao, solidna, dwuręczna broń, ulubione narzędzie dawnych katów.

–Morderca został schwytyany dziś rano – oświadczył Tan, nie odwracając się.

Li wspomniał o jakimś aresztowaniu, przypomniał sobie Shan.

–W górach, tam gdzie zwykle się ukrywają. Mieliśmy szczęście. Głupiec zatrzymał sobie portfel Jao. – Podeszedł do biurka. – Był już notowany przez Urząd Bezpieczeństwa. – Rzucił Shanowi niecierpliwe spojrzenie. – Siadajcie, do diaska. Mamy robotę.

–Zastępca prokuratora już tu jest. Rozumiem, że mam przekazać mu swoją pracę. Tan uniósł wzrok.

–Li? Widzieliście się z Li Aidangiem?

–Nie mówiliście, że prokurator miał zastępcę.

–To nie ma znaczenia. Li nic nie umie, to tylko szczeniak. Jao sam wykonywał całą pracę. Li czyta książki. Chodzi na zebrania. Oficer polityczny. – Tan popchnął w jego stronę teczkę w czerwone pasy, znak Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. – Zabójca już od młodości był chuliganem kulturowym. W 1989 brał udział w zamieszkach w Lhasie. Słyszeliście o powstaniu z osiemdziesiątego dziewiątego?

Oficjalnie do rozruchów, których pierwszym aktem było zajęcie przez mnichów świątyni Dżokang w Lhasie, nie doszło. Oficjalnie nikt nie miał pojęcia, jak wielu

mnichów zginęło, gdy pałkarze otworzyli ogień z karabinów maszynowych. W kraju, w którym oddaje się zmarłym ptakom, łatwo stracić rachubę zgonów.

–Kilka lat później mieliśmy tu incydent – ciągnął Tan. – Na placu targowym.

–Słyszałem. Niektórzy mnisi zostali okaleczeni. Miejscowi nazwali to Buntem Kciuków.

Tan zignorował go. Czy to prawda, pomyślał Shan, że to właśnie on zarządził amputację kciuków?

–On też tam był. Większość z nich dostała trzy lata ciężkich robót. On dostał sześć, jako jeden z pięciu prowodyrów zamieszek. Jao prowadził jego sprawę. Piątka z Lhadrung, tak ich nazwano. – Pokręcił głową z odrazą. – Wciąż udowadniają to, co twierdzą. Że za pierwszym razem byliśmy dla nich zbyt łagodni. A teraz... stracić Jao przez jednego z nich... -W oczach zapłonął mu gniew.

–Mogę przygotować dla sądu listę świadków – oświadczył sztywno Shan. – Doktor Sungze szpitala. Żołnierze, którzy znaleźli głowę. Trzeba też będzie wskazać przedstawiciela strażników Czterysta Czwartej, żeby opowiedział im o odkryciu zwłok.

–Komu?

–Zespołowi z prokuratury.

–Już wam mówiłem. Do diabła z Li.

–Nie możecie go powstrzymać. On pracuje dla Ministerstwa Sprawiedliwości.

–Powiedziałem już, on jest od polityki. Po prostu odbywa staż, żeby zbierać sobie punkty, zanim wróci do domu. Nie ma doświadczenia z poważnymi przestępstwami.

Shan spojrzał mu w oczy, by się upewnić, że się nie przesłyszał. Czy Tan istotnie sądził, że w Ministerstwie Sprawiedliwości są jakieś enklawy wolne od polityki? To nie przypadkiem prezes sądu okręgowego w Lhadrung cieszył się największym posłuchem w partii.

–On pracuje dla Ministerstwa Sprawiedliwości – powtórzył wolno.

–Powiem, że jest zbyt blisko. Jak gdyby ścigał zabójcę własnego ojca. Osąd zniekształcony przez żal.

–Pułkownik, na początku mieliśmy śmierć nieznanego, którą dałoby się zatuszować raportem powypadkowym. Potem doszedł związany z tym zgonem strajk w Czterysta Czwartej. Coś takiego trudniej już przeoczyć. Teraz macie nie tylko zbrodnię dokonaną na urzędniku bezpieczeństwa publicznego, ale i aresztowanie znanego wroga publicznego. To zauważą wszyscy. Partia będzie się temu uważnie przyglądała.

–Nie wierzę wam, Shan. Wy się nie boicie polityków. Wy nimi gardzicie. Właśnie dlatego znaleźliście się w Tybecie.

Spodziewał się znaleźć na twarzy Tana rozbawienie. Ale nie. Pułkownik spoglądał na niego z ciekawością.

–Chcecie się wycofać ze względu na sumienie, mam rację? – ciągnął. – Naprawdę uważacie, że nasze dochodzenie nie będzie w pełni uczciwe?

Shan zacisnął dłonie, aż zbieleły mu kostki. Znow przegrał.

–W moim wydziale w Pekinie urządzaliśmy zebrania krytyki. Zarzucano mi, że nie potrafię dostrzec nadrzędności prawdy ustalonej poprzez konsensus.

Tan wpatrywał się w niego w milczeniu, które przerwał w końcu krótkim, gardłowym śmiechem.

–A więc wysłali was do Tybetu. Ach ten minister Qin. Nie można mu odmówić poczucia humoru. – Wesołość Tana ulotniła się, gdy uważniej spojrzął w twarz Shana. Wstał i znów podszedł do okna. – Mylicie się, towarzyszu – powiedział do szyby – sądząc, że ludzie tacy jak ja nie mają sumienia. Nie obarczajcie mnie winą za to, że nie potraficie tego zrozumieć.

–Nie umiałbym wyrazić tego lepiej.

Tan odwrócił się z zakłopotaniem, które szybko przerodziło się w irytację.

–Nie przekręcajcie moich słów, do diabła! – warknął, wracając do biurka. Oparł splecione dłonie na aktach Urzędu Bezpieczeństwa. – Powtarzam po raz ostatni: tego śledztwa nie będą prowadzić szczeniaki z prokuratury. Jao był bohaterem rewolucji. I moim przyjacielem. Są sprawy zbyt ważne, by przekazywać je innym. Będziecie działać dalej tak, jak uzgodniliśmy. Na aktach będzie mój podpis. Nie życzę sobie więcej dyskusji na ten temat.

Shan, kierując się jego spojrzeniem, przeniósł wzrok ku drzwiom. Nie chodzi, uświadomił sobie nagle, po prostu o to, że Tan nie ufa Li. On się go boi.

–Nie uda się wam zupełnie odsunąć od tej sprawy zastępcy prokuratora – zauważył. – Będą pytania na temat Jao, na które odpowiedź znać będzie tylko jego biuro. O jego wrogów. O dochodzenia, które prowadził. Jego życie osobiste. Podróże. Trzeba będzie przeszukać jego mieszkanie. Jego samochód. On musi gdzieś być. Znajdźcie go, a może się dowiedzie, gdzie Jao spotkał człowieka, który go zabił.

–Znałem go od lat. Sam mogę udzielić paru odpowiedzi. Panna Lihua, jego sekretarka, jest moją przyjaciółką. Ona także pomoże. Dla pozostałych przygotujecie na piśmie zestaw pytań, które im przedstawię. Podyktujemy kilka pani Ko, zanim stąd pójdziecie.

Pułkownik chciał zająć czymś Li. Albo odciągnąć jego uwagę.

Podsunał Shanowi akta безпеki.

–Nazywa się Sungpo. Ma czterdzieści lat. Zaaresztowano go w małej gompie, Saskya, na północnym skraju okręgu. Nie miał pozwolenia. To było cholerne zaniedbanie, że pozwolono im wrócić do tutejszych gomp.

–Zamierzacie wytoczyć mu proces o zamordowanie Jao, a potem o przebywanie w klasztorze bez zezwolenia? – Shan nie mógł powstrzymać się od tej uwagi. – To może wyglądać na... – szukał odpowiedniego słowa -...nadgorliwość.

Tan zmarszczył brwi.

–W tej gompie na pewno są inni, do których można się dostać. Obecnie kara za noszenie mnisich szat bez pozwolenia wynosi dwa lata. Jao zawsze tak robił. Jeżeli będzie trzeba, przymknijcie ich, zagroźcie, że jeśli nie będą mówić, wyślecie ich do lao gai.

Odpowiedział mu nieruchomy wzrok Shana.

–No dobrze – ustąpił z lodowatym uśmiechem. – Mówcie im, że ja wyślę ich do lao gai.

–Nie wyjaśniliście, jak zidentyfikowano tego człowieka.

–Przez informatora. Anonimowego. Zadzwoił do biura Jao.

–Chcecie powiedzieć, że to Li go zaaresztował?

–Ekipa Urzędu Bezpieczeństwa.

–A więc on już rozpoczął własne śledztwo?

Jak gdyby na dany sygnał rozległo się stukanie do drzwi. Ktoś ostrym głosem zaprotestował gwałtownie i w drzwiach ukazała się pani Ko. Miała zaczerwienioną twarz.

–Towarzysz Li – oznajmiła. – Niecierpliwi się.

–Proszę mu powiedzieć, żeby zgłosił się później. Niech mu pani wyznaczy termin.

Lekki uśmiech pani Ko zdradził, co o tym myśli.

–Jest tu ktoś jeszcze – dodała. – Z amerykańskiej kopalni.

Tan westchnął i wskazał stojące w ciemnym kącie krzesło. Shan przesiadł się posłusznie.

–Niech wejdzie.

Protesty Li przybrały na sile, gdy nowa postać przepłynęła przez drzwi. Była to rudowłosa Amerykanka, którą Shan widział przy jaskini. Ona i Tan wymienili zakłopotane spojrzenia.

–Naprawdę nie ma nic więcej do powiedzenia, panno Fowler – oświadczył zimno pułkownik. – Ta sprawa jest zakończona.

–Chciałam się widzieć z prokuratorem Jao – odezwała się niepewnie Fowler, rozglądając się dookoła. – Powiedziano mi, żebym przyszła tutaj. Pomyślałam, że może wrócił.

–Nie przychodzi pani w sprawie jaskini?

–Oboje powiedzieliśmy, co mieliśmy do powiedzenia. Złożę skargę w Urzędzie do spraw Wyznań.

–To mogłoby być nieco niezręczne – zauważył Tan.

–Ma pan powody, by czuć się niezręcznie.

–Miałem na myśli panią. Nie ma pani żadnych dowodów. Żadnych podstaw do skargi. Będziemy zmuszeni oświadczyć, że wtargnęła pani na teren wojskowy.

–Ona chciała się widzieć z Jao – wtrącił Shan.

Tan spiorunował go wzrokiem, gdy Fowler podeszła do okna. Stała zaledwie o parę kroków od Shana. Znów miała na sobie niebieskie džinsy i te same buty turystyczne. Na niebieskim nylonowym ocieplaczu, takim samym, jaki nosił Amerykanin, którego Shan widział przy jaskini, wisiały na czarnym sznurku okulary słoneczne. Nie była umalowana, nie miała też żadnej biżuterii poza maleńkimi złotymi sztyfcikami w uszach. Jak brzmiało imię, które wymienił pułkownik? Rebecca.

Rebecca Fowler. Amerykanka spojrzała na Shana i w jej oczach pojawił się błysk rozpoznania. Ty też tam byłeś, odczytał w nich. Ty też zbecześciłeś święte miejsce.

–Przepraszam. Nie przyszłam tu, żeby się spierać – powiedziała do Tana nowym, pojednawczym tonem. – Mam problem w kopalni.

–Gdyby nie było problemów – zauważył bez współczucia pułkownik – nie byłaby pani tam potrzebna.

Zacisnęła zęby. Shan widział, że walczy ze sobą, by nie wszcząć nowej kłótni. Zdecydowała się mówić do sufitu.

–Problem z siłą roboczą.

–W takim razie ta sprawa należy do Ministerstwa Geologii. Może dyrektor Hu... – podsunął Tan.

–To nie tego rodzaju problem. – Odwróciła się w jego stronę. – Chcę po prostu porozmawiać z Jao. Wiem, że wyjechał. Wystarczy mi numer telefonu.

–Dlaczego akurat z Jao? – zapytał Tan.

–On mi pomaga. Kiedy mam problem, z którym sobie nie radzę, potrafi mi pomóc.

–Z jakim problemem sobie pani nie radzi?

Fowler westchnęła i usiadła przy biurku.

–Rozpoczęłam próbną produkcję. Produkcja komercyjna ma ruszyć w następnym miesiącu. Ale przedtem próbna partia wyrobu musi zostać przeanalizowana i zaaprobowana przez nasze laboratorium w Hongkongu.

–Nadal nie widzę...

–Teraz ministerstwo bez porozumienia ze mną przyspieszyło termin wysyłki. Rozkład lotów został zmieniony bez uprzedzenia. Zwiększona ochrona. Zwiększona biurokracja. Ze względu na turystów.

–Sezon rozpoczął się wcześniej. Turystyka staje się dla Tybetu najważniejszym źródłem wpływów dewizowych. Zwiększono limit zezwoleń.

–Kiedy przyjmowałam tę pracę, Lhadrung był zamknięty dla turystów.

–To prawda – przyznał Tan. – To nowa inicjatywa. Jestem pewien, że z radością powita pani rodaków, panno Fowler.

Ponury grymas Rebecki Fowler mówił coś wręcz przeciwnego. Czy dyrektorki kopalni po prostu nie interesuje turystyka, zastanawiał się Shan, czy też naprawdę martwi ją perspektywa wizyty Amerykanów?

–Proszę nie traktować mnie jak dziecko. Wszędzie chodzi o wpływy dewizowe. Jeśli tylko nam pozwolicie, my także przysporzymy wam zysków.

Tan zapalił papierosa i uśmiechnął się chłodno.

–Panno Fowler, pierwsza wizyta turystów z pani kraju w okręgu Lhadrung musi przebiec doskonale. Ale wciąż nie rozumiem...

–Żeby wysłać próbki na czas, muszę wprowadzić pracę na dwie zmiany. A nie mogę skompletować nawet pół zespołu. Moi robotnicy nie odważają się zapuszczać do odleglejszych stawów. Niektórzy nie chcą nawet wyjść poza główny teren.

–Strajk? O ile pamiętam, przestrzegano panią przed opieraniem się wyłącznie na robotnikach z mniejszości narodowych. Oni są nieprzewidywalni.

–To nie jest strajk. Nie. To dobrzy robotnicy. Najlepsi. Ale są wystraszeni.

–Wystraszeni?

Rebecca Fowler przeciągnęła palcami po włosach. Wyglądała, jak gdyby nie spała od kilku dni.

–Nie wiem, jak to powiedzieć. Oni twierdzą, że nasze wybuchy obudziły demona.

Mówią, że on się gniewa. Boją się gór.

–To przesądni ludzie, panno Fowler – zauważył Tan. – Urząd do spraw Wyznań ma doradców doświadczonych w sprawach mniejszości. Mediatorów kulturowych. Dyrektor Wen może kogoś przysłać.

–Nie potrzebuję doradców. Potrzebuję ludzi do obsługi maszyn. Ma pan jednostkę inżynierską. Niech mi pan ich pożyczy na dwa tygodnie.

Tan zjeżył się.

–Mówi pani o Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, panno Fowler. Nie o pierwszych lepszych najemnych robotnikach z ulicy.

–Mówię o jedynej zagranicznej inwestycji w Lhadrung. Największej we wschodnim Tybecie. Mówię o amerykańskich turystach, którzy zgodnie z planem mają za dziesięć dni obejrzeć modelowe przedsiębiorstwo. Jeżeli czegoś nie zrobimy, zobaczą katastrofę.

–Ten wasz demon... – odezwał się nagle Shan. – Czy on ma jakieś imię?

–Nie mam czasu na... – zaczęła ostro Fowler, lecz nagle urwała. – Czy to ma znaczenie?

–Podobne zachowanie zaobserwowano na Szponie Południowym. W związku z morderstwem.

Tan zeszywniał.

Fowler nie zareagowała natychmiast. Jej zielone oczy świdrowały Shana z intensywnością drapieżnego ptaka.

–Nie miałam pojęcia, że toczy się śledztwo. Mój przyjaciel, prokurator Jao, będzie tym zainteresowany.

–Prokurator Jao był bardzo zainteresowany – oświadczył Shan, ignorując wściekle spojrzenie Tana.

–Więc on już wie?

–Shan! – Pułkownik zerwał się i uderzył w przycisk na skraju biurka.

–Prokurator Jao nie żyje.

Z ust Tana wyrwało się przekleństwo. Krzyknął na panią Ko.

Rebecca Fowler zapadła się w krzesło, ogłuszona nowiną.

–Nie! – Krew odpłynęła jej z twarzy. – Do diabła, nie. Pan żartuje – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie. On wyjechał. Na wybrzeże, do Daliami, tak mówił.

–Dwa dni temu, nocą na Szponie Południowym – oznajmił Shan, patrząc jej w oczy – prokurator Jao został zamordowany.

–Dwa dni temu jadłam z Jao kolację – szepnęła Fowler. W tej samej chwili w drzwiach ukazała się pani Ko.

–Myślę, że potrzebujemy herbaty – podsunął Shan.

Pani Ko poważnie skinęła głową i wycofała się.

Fowler poruszyła wargami, jak gdyby chcąc coś powiedzieć, ale w końcu pochyliła się bezwładnie, chowając twarz w dłoniach. Trwała tak, dopóki pani Ko nie pojawiła się ponownie z tacą w rękach. Gorąca herbata przywróciła Amerykankę do życia na tyle, że odzyskała głos.

–Razem przygotowaliśmy podania i wnioski – zaczęła. – Formalności

imigracyjne. Wszelkie zezwolenia – mówiła nerwowym, urywanym szeptem. – Zależało mu na naszym sukcesie. Powiedział, że stawia mi kolację, jeśli ruszymy z produkcją do czerwca. Wyrobiliśmy się. W każdym razie tak nam się zdawało. Zadzwoił w zeszłym tygodniu. Był w odświeżonym nastroju. zaproponował, żebyśmy zjedli kolację przed jego urlopem.

–Gdzie? – zapytał Shan.

–W mongolskiej restauracji.

–O której godzinie?

–Wcześniej. Około piątej.

–Był sam?

–Tylko my dwoje. Jego kierowca został w samochodzie.

–Kierowca?

–Balti, mały khampa – potwierdziła Fowler. – Nie odstępował go na krok. Jao traktował go jak ulubionego siostrzeńca.

Shan spojrział na pułkownika. Czy rzeczywiście Tan mógł przeoczyć tak istotną kwestię? Zapomnieć o potencjalnym świadku?

–Dokąd się wybierał po kolacji? – zapytał.

–Na lotnisko.

–Tak właśnie powiedział? Widziała pani, jak odjeżdża?

–Nie. Ale jechał na lotnisko. Pokazał mi bilet. Wylot był późną nocą, lecz jazda na lotnisko może zająć nawet dwie godziny, a on nie chciał ryzykować spóźnienia. Był bardzo podekscytowany wyjazdem.

–W takim razie dlaczego pojechał w przeciwnym kierunku?

Wydawało się, że nie usłyszała, nagle pochłonięta nową myślą.

–Ten demon... – odezwała się posępnie. – Ten demon był na Smoczych Szponach.

Rozległo się gwałtowne pukanie i w drzwiach znów pojawiła się pani Ko. Za nią stał Tybetańczyk w okularach, którego Shan widział przy jaskini, za kierownicą terenówki Amerykanów. Był niski, miał ciemną cerę, małe oczka i grube rysy, które w niejasny sposób odróżniały go od większości Tybetańczyków, jakich znał Shan.

–Pan Kincaid – wyrzucił z siebie przybysz, wyciągając kopertę. Gdy spostrzegł Tana, momentalnie utkwiał wzrok w podłódze – kazał dać to pani natychmiast, nie czekać na nic.

Rebecca Fowler wstała i powoli, jakby niechętnie, wyciągnęła rękę. Tybetańczyk podał jej kopertę i wycofał się na korytarz. Tan przyglądał mu się, gdy odchodził.

–Zatrudnia pani trupiarza?

To było to, uświadomił sobie Shan. Ten człowiek był ragyapą, członkiem prastarej kasty zajmującej się ciałami tybetańskich zmarłych.

–Luntok jest jednym z naszych najlepszych inżynierów – odparła zimno Fowler. – Studiował na uniwersytecie. – Przeniosła wzrok na papier i nagle drgnęła zaskoczona. Opuściła kartkę, rzucając Tanowi piorunujące spojrzenie. Jeszcze raz przeczytała wiadomość. – Ludzie, co z wami jest?! – zapytała ostro. – Na Boga, mamy przecież umowę! – Spojrzała na Tana, potem na Shana. – Ministerstwo

Geologii – oznajmiła tonem, który sugerował, że Tan musiał już o tym wiedzieć – zawiesiło moją koncesję.

Pusty barak, który oddano im do użytku w Nefrytowym Źródle, był w tak fatalnym stanie, że Shan miał wrażenie, iż blaszany dach drży i unosi się przy każdym podmuchu wiatru. Sierżant Feng od razu zajął jedyne łóżko, na jakich zwykle sypiali podoficerowie, szerokim gestem dając Shanowi i Yeshemu wybór między dwudziestoma stalowymi pryzkami zapełniającymi pozostałą część baraku. Shan zignorował go i zaczął rozkładać papiery na metalowym stole ustawionym przed rzędami prycz.

–Muszę mieć klucz od tego baraku – oświadczył Fengowi.

Sierżant, przetrząsający szafki w poszukiwaniu pościeli, odwrócił się na chwilę, by sprawdzić, czy Shan mówi poważnie.

–Odwal się – uciął krótko. Znalazł sześć kocy, sobie zatrzymał trzy, dwa podał Yeshemu, a szósty rzucił w stronę Shana. Shan pozwolił mu upaść na podłogę. Ruszył wzdłuż łóżek, szukając miejsca, w którym mógłby ukryć swe notatki.

Niecałe trzydzieści metrów od baraku, po drugiej stronie placu apelowego, była wartownia. Wiatr turlał po ziemi kłęb uschniętego wrzosu. Z megafonu dyndającego na przewodzie zwisającym z połamanej obudowy płynął wojskowy hymn, zniekształcony nie do poznania przez trzaski. Grupki żołnierzy zebrały się na obrzeżach placu, popatrując z oburzeniem na nowych strażników pełniących wartę przy areszcie.

–Pałkarze – ostrzegł Shana Yeshe, gdy szli przez plac w tę stronę. W jego głosie brzmiało zdenerwowanie. – Co oni tu robią? To teren wojskowy.

–Czekaliśmy na was – przywitał Shana oficer dyżurny z bezpieczeństwa. – Pułkownik Tan uprzedził nas, że przyjdziecie przesłuchać więźnia. – Mówiąc, przyglądał się trójce mężczyzn, nie próbując nawet ukryć rozczarowania. Jego oczy zatrzymały się chwilę na postarzałej twarzy Fenga, prześliznęły się po Yeshem, aż wreszcie spoczęły na Shanie, który wciąż miał na sobie nie rzucającą się w oczy szarą kurtkę starszego funkcjonariusza. Zawahał się przed drzwiami, jak gdyby zbity z tropu wyglądem gości, w końcu jednak wzruszył ramionami.

–Namówcie go, żeby jadł – powiedział, odstępując w bok. – Mogę dopilnować, żeby ten karaluch nie uciekł – ciągnął, otwierając kluczem ciężkie, metalowe drzwi bloku więziennego – ale nie dopilnuję, żeby się nie zagłodził. Jak za bardzo osłabnie, wsadzimy mu rurę do żołądka. Musi trzymać się na nogach.

Słowa człowieka wychowanego na choreografii trybunałów ludowych, pomyślał Shan. Więzień miał stać przed obliczem sądu, z pochyloną na znak skruchy głową. Pokaz fizycznej siły oskarżonego zawsze podnosił dramaturgię najwyższego wymiaru kary, tym wyraźniej ukazując jej kruchość wobec woli ludu.

Po obu stronach przesiąkniętego wonią uryny i pleśni korytarza ciągnęły się cele, oddzielone jedna od drugiej betonowymi ściankami. Za całe oświetlenie służyły blade żarówki, wiszące rzędem wzdłuż osi korytarza. Gdy oczy przywykły mu do mroku, Shan spostrzegł, że cele są puste. W każdej znajdował się tylko blaszany kubeł i słomiany siennik. Na końcu korytarza stało małe metalowe biurko, przy którym, na

opartym o ścianę krześle, drzemała samotna postać.

Oficer dyżurny warknął ostro i śpiący mężczyzna poderwał się z krzesła, salutując nieprzytomnie.

–Kapral zajmie się waszymi potrzebami – powiedział oficer i obrócił się na pięcie.

– Gdyby trzeba było więcej ludzi, moi strażnicy są do dyspozycji.

Shan patrzył za nim, nic nie rozumiejąc. Więcej ludzi? Kapral ceremonialnie odpiął od pasa klucz i otworzył głęboką szufladę biurka. Zapraszającym gestem wskazał jej wnętrze.

–Macie jakąś ulubioną technikę?

–Technikę? – zapytał w roztargnieniu Shan.

W szufladzie, na stercie brudnych szmat, leżało sześć przedmiotów. Kajdanki. Kilka dziesięciocentymetrowych bambusowych drzazg. Duże imadło, mogące bez trudu objąć kostkę lub nadgarstek mężczyzny. Kawalek gumowego węża. Młotek z kulistym noskiem. Szczypce ze stali nierdzewnej. I ulubiony przez bezpiekę import z Zachodu, elektryczny bicz na bydło.

Shan poczuł, jak ogarniają go mdłości.

–Wystarczy, jeśli po prostu otworzycie nam celę. – Zatrzasnął szufladę.

Yeshe stał blady jak trup. Kapral i Feng wymienili rozbawione spojrzenia.

–Pierwszy raz tutaj, prawda? Zobaczycie sami – oświadczył z pewnością siebie kapral, otwierając drzwi.

Feng usiadł przy biurku i poprosił strażnika o papierosa. Shan i Yeshe wkroczyli do środka.

Cela była obliczona na większą liczbę osób. Na podłodze leżało sześć sienników. Pod lewą ścianą stały rzędem wiadra. W jednym znajdowało się parę centymetrów wody. Inne, odwrócone do góry nogami, służyło jako stół. Stały na nim dwie małe blaszane czarki z ryżem. Ryż był zimny, wyraźnie nietknięty.

Tylna ściana celi tonęła w mroku. Shan wytężył wzrok, by dostrzec rysy siedzącego tam człowieka, póki się nie zorientował, że jest zwrócony twarzą do ściany. Poprosił o więcej światła. Strażnik podał mu latarkę. Shan położył ją na odwróconym wiadrze.

Sungpo siedział w pozie medytacyjnej. Oderwał rękawy swej więziennej bluzy, by zrobić z nich gomthag, pas otaczający mu kolana i plecy. Był to tradycyjny środek stosowany podczas długich medytacji, chroniący ciało przed upadkiem z wyczerpania, kiedy duch przebywał gdzie indziej. Jego oczy zdawały się patrzeć w punkt leżący gdzieś poza ścianą. Złożone dłonie oparł na piersi.

Shan usiadł w kucki pod ścianą. Skinął na Yeshego. Nie odzywał się przez kilka minut, licząc na to, że medytujący mężczyzna sam da znać, że go widzi.

–Nazywam się Shan Tao Yun – powiedział w końcu. – Poproszono mnie o zebranie dowodów w waszej sprawie.

–On cię nie słyszy – szepnął Yeshe.

Shan przysunął się do więźnia.

–Przepraszam. Musimy porozmawiać. Jesteście oskarżeni o morderstwo. – Dotknął Sungpo, który zamrugał i rozejrzał się po celi. W jego oczach, głębokich i

inteligentnych, nie było śladu lęku. Odwrócił się ku sąsiedniej ścianie, niczym człowiek przewracający się przez sen na drugi bok.

– Jesteście z gompy Saskya – zaczął Shan, przesuwając się, by znów znaleźć się naprzeciw niego. – Czy tam właśnie was zatrzymano?

Sungpo splótł dłonie przed sobą, unosząc razem środkowe palce. Shan rozpoznał ten symbol. Diament mądrości.

– Ach! – Yeshe głośno wciągnął powietrze.

– Co on chce powiedzieć?

– Nic. I nic nie powie. Oni aresztowali tego człowieka? To bez sensu. To jest tsampsa – stwierdził z rezygnacją. Wstał i ruszył ku drzwiom.

– Ślubował milczenie?

– Odosobnienie. Nie pozwoli, by cokolwiek zakłóciło mu spokój.

Shan odwrócił się ku niemu, zbity z tropu. To wyglądało na jakiś kiepski żart.

– Ale my musimy z nim porozmawiać.

Yeshe patrzył na korytarz. Na jego twarzy pojawił się nowy wyraz. Zakłopotanie, zastanawiał się Shan, czy może lęk?

– Niemożliwe – powiedział nerwowo. – To zabronione.

– Przez jego śluby?

– Przez każde – szepnął cicho.

Nagle Shan zrozumiał.

– Chodzi o twoje własne. – Yeshe pierwszy raz przyznał się przed nim do wpojonych mu w młodości nakazów religijnych. Shan położył dłoń na nodze Sungpo.

– Słyszycie mnie? Jesteście oskarżeni o morderstwo. Za dziesięć dni staniecie przed sądem. Musicie się do mnie odezwać.

Niespodziewanie Yeshe znów znalazł się przy nim i zaczął odciągać go od więźnia.

– Nie rozumiesz. On składał śluby.

Shan sądził, że jest przygotowany na wszystko.

– Z powodu aresztowania? Na znak protestu?

– Oczywiście, że nie. To nie ma z tym nic wspólnego. Zajrzyj do jego akt. Na pewno nie zaaresztowano go w samej gompie.

– Nie – potwierdził Shan, przywołując na pamięć treść raportu. – W małej chatce półtora kilometra od gompy.

– To tsam khan. Coś w rodzaju pustelni. Dwie izby. Dla Sungpo i dla osoby towarzyszącej. Schwytali go, kiedy wyszedł na zewnątrz. Nie wiem, ile mu jeszcze zostało.

– Ile zostało?

– Do końca cyklu. Gompa Saskya jest ortodoksyjna. Przestrzegają dawnych reguł. Typowy cykl to trzy razy trzy. Shan pozwolił się odciągnąć do drzwi celi.

– Trzy?

– Cykl kanoniczny. Całkowite milczenie przez trzy lata, trzy miesiące i trzy dni.

– Nie odzywa się do nikogo?

Yeshe wzruszył ramionami.

– Każda gompa może mieć własne zasady. Czasem ustala się, że opat, albo inny

darzony szacunkiem lama, ma prawo komunikować się z tsampha.

Sungpo znów patrzył gdzieś poza ścianę. Shan nie był pewny, czy domniemany morderca w ogóle ich widział.

ROZDZIAŁ 6

O ile południowa część Smoczych Szponów nie została jeszcze obłaskawiona, o tyle od północy ich podnóża obwiedzione wstęgą wyboistej, zwirowej szosy. Sierżant Feng jechał nią wściekły, klnąc na tarasujące drogę głązy. Raz po raz zatrzymywał wóz, głowiąc się nad mapą, mimo że przed wyjazdem wykreślił trasę czerwonym tuszem, jak gdyby prowadził wojskowy konwój. Z początku posadził Yeshego z mapą obok siebie, a Shana przy drzwiach, jednak po kilkunastu kilometrach zatrzymał się i kazał im wysiąść. Przyglądał się siedzeniom, jakby stwarzały nie wiedzieć ile różnych możliwości, wreszcie się rozpromienił. Z triumfalnym pomrukiem przesunął kaburę z pistoletem na lewe biodro i wskazał Shanowi miejsce w środku.

Shan żarłocznie wczytywał się w mapę. Przez trzy lata nie opuszczał doliny inaczej niż w zamkniętych więziennych transportach, oglądając okoliczne tereny w postaci oderwanych, niczym fragmenty zagadkowej układanki, obrazów. Szybko połączył je w całość, odnajdując teren robót na Szponie Południowym, gdzie uśmiercono Jao, potem jaskinię, gdzie umieszczono jego głowę, a wreszcie śledząc trasę, którą jechali przez góry. Okrężała jeden z grzbietów, podchodząc niemal na skraj głębokiego wąwozu oddzielającego Szpon Północny od Południowego, po czym skręcała na zachód, omijała łukiem kolejny szczyt i wychodziła na mały płaskowyż, opisany ręcznie czarnym tuszem. Mei guo ren, nic więcej. Amerykanie.

Gdy Feng po raz kolejny zatrzymał terenówkę, by usunąć z drogi odłamki skał, Shan stwierdził, że znajdują się w pobliżu centralnego wąwozu, zwanego przez Tybetańczyków Smoczą Gardzielą. Przed setkami lat stoczyła się stąd na jego dno kamienna lawina, pozostawiając niewielką wyrwę, z której otwierał się rozległy widok na Szpon Południowy. Na mapie widniał drobny symbol: trzy kropki ułożone w trójkąt. Ruiny. Mogło to oznaczać wszystko: cmentarz, gompę, świątynię, szkołę. Na krótki stok osuwiska wspinała się ścieżka, niknąca dalej w rozpadlinie. Shan odgarnął wraz z Fengiem kilka kamieni, po czym ruszył biegiem pod górę.

Ruiną był most, jeden z owych malowniczych wiszących mostów linowych, jakie rozpinali w ubiegłym stuleciu na szlakach pielgrzymek klasztorni budowniczowie. Był podniszczony, ale nie zerwany. Wiodąca przezeń ścieżka robiła wrażenie uczęszczanej. Jakieś półtora kilometra dalej Shan wypatrzył małą plamkę wiśniowej barwy, wyraźnie odcinającą się na tle porastających stromy stok zeschniętych wrzosów.

–Za pół godziny powinniśmy być na miejscu – oświadczył Feng, uruchamiając silnik, kiedy Shan wrócił do samochodu. Warknął gniewnie, gdy Shan porwał lornetkę z tylnego siedzenia i ruszył z powrotem pod górę.

Wciąż jeszcze regulował ostrość, wypatrując wiśniowej plamki, gdy z tyłu usłyszał głos Yeshego:

–Pielgrzym.

W jednej chwili zorientował się, że chłopak ma rację. Choć odległość była zbyt duża, w wyobraźni usłyszał, jak stukają o ziemię drewniane klocki na dłonie i kolana, gdy z każdym krokiem wędrowiec klękał i padał na twarz, dotykając czołem ziemi. Każdy pobożny buddysta starał się choć raz w życiu odbyć pielgrzymkę na każdą z pięciu świętych gór. Kiedy mijali tereny Czterysta Czwartej, więźniowie łamali

dyscyplinę, by rzucić im słowo otuchy lub strzępek modlitwy. Zdarzało się, że ludzie brali na taką pielgrzymkę rok urlopu. Autobusem można było dotrzeć z Lhasy na najświętszy szczyt, górę Kailas, w dwanaście godzin. Ale padającemu na twarz pielgrzymowi mogło to zabrać nawet cztery miesiące.

Na ścieżce pojawił się sierżant Feng.

–Amerykanie! – wrzasnął. – Mamy jechać do Amerykanów!

–Mam zamiar przejść na tamtą stronę wąwozu – oświadczył Shan.

Feng złapał się za głowę, jakby go nagle rozbolała.

–Nie przedostaniesz się – burknął. Sięgnął po mapę i rozpromienił się. – Sam zobacz – powiedział z triumfalnym uśmiechem. – Tu nic nie ma. – Przed laty Pekin nakazał rozbiórkę wszystkich starych mostów wiszących. Większość, jako że ułatwiały przemieszczanie się bojowników ruchu oporu, została zbombardowana przez Ludowe Siły Powietrzne.

–Świetnie – skwitował Shan. – W takim razie ja przejdę przez ten wyimaginowany most, a ty zostań i wyobrażaj sobie, że stoję tuż obok.

Okrągła twarz Fenga zachmurzyła się.

–Pułkownik nie mówił nic na ten temat – wymamrotał.

–Twoim obowiązkiem jest pomagać mi w śledztwie.

–Moim obowiązkiem jest pilnować więźnia.

–W takim razie wracajmy. Poprosimy Tana, żeby uściślił dyspozycje. Pułkownik z pewnością wybaczy żołnierzowi, którego zdezorientowały jego rozkazy.

Feng niezdecydowanie obejrzał się na terenówkę. Ale na twarzy Yeshego pojawiła się niecierpliwość. Zrobił krok w stronę pojazdu, jak gdyby nie mógł się doczekać, kiedy ruszą dalej.

–Znam pułkownika – oświadczył niepewnie sierżant. – Długo służyliśmy razem, jeszcze przed Tybetem. Załatwił mi przeniesienie, kiedy poprosiłem o przydział do jego okręgu.

–Posłuchaj mnie, sierżancie. To nie są manewry wojskowe. To jest śledztwo. Śledczy dokonują odkryć i podejmują działania. Odkryłem ten most. Teraz zadziałam. Ze szczytu tej grani powinienem zobaczyć teren robót Czteryista Czwartej. Muszę sprawdzić, czy to możliwe, żeby ktoś zszedł tamtędy. Czy jest inna droga oprócz tej, którą jedziemy. – Morderca zszedł, pomyślał Shan, po czym wspiął się z powrotem, niosąc ludzką głowę. Z miejsca, w którym stali, do świątyni czaszek była może godzina drogi pieszo i zaledwie kilka minut jazdy.

Feng westchnął. Demonstracyjnie sprawdził amunicję w pistolecie, zacisnął pas i ruszył w stronę mostu. Yeshe powlókł się za nim z jeszcze większą niechęcią.

–Nie dasz rady mu pomóc, wiesz o tym – odezwał się do pleców Shana.

Shan odwrócił się.

–Komu?

–Sungpo. Wiem, o czym myślisz. Że musisz mu pomóc.

–Jeżeli jest winny, niech to wykażą dowody. Jeśli jest niewinny, czyż nie zasługuje na naszą pomoc?

–Mówisz tak, bo jest ci wszystko jedno, co się z tobą stanie. Doprowadzisz tylko

do tego, że wszyscy będziemy cierpieć. Wiesz, że nie możesz uratować kogoś, kto jest już oficjalnie oskarżony.

–Kim próbujesz być? Pisklakiem palącym się do tego, żeby śpiewać przed bezpieczeństwem? Po to właśnie żyjesz?

Yeshe spojrzał na niego z urazą.

–Próbuję przeżyć – odparł sztywno. – Jak wszyscy.

–W takim razie to wszystko było na marne. Cała twoja edukacja. Twoje klasztorne wychowanie. Twój areszt.

–Mam pracę. Dostanę zezwolenia. Wyjeżdżam do miasta. W porządku socjalistycznym jest miejsce dla każdej jednostki – oświadczył głucho.

–Zawsze jest miejsce dla takich jak ty. Chiny są ich pełne – uciał Shan i przyspieszył kroku.

Feng był już przy moście, starał się nie okazywać strachu.

–To nie jest... Nie możemy... – Nie dokończył. Wpatrywał się w wystrzępione liny podtrzymujące kładkę, brakujące szczeble, patrzył, jak wąż konstrukcja kołysze się na wietrze.

U wejścia na most wznosił się wysoki niemal na dwa metry stos kamieni.

–Ofiara – domyślił się Shan. – Przechodzień najpierw składa ofiarę. – Podniósł z ziemi kamień, położył go na stosie i wszedł na kładkę.

Feng obejrzał się na drogę, jak gdyby chciał się upewnić, że nikt go nie widzi, po czym pospiesznie dorzucił na kopiec własny kamień.

Zatrzeszczały deski. Jęknęły liny. Wiatr dał Smoczą Gardzielą. Dziewięćdziesiąt metrów niżej, wśród poszarpanych skał, sączył się wąski strumyk. Shan siłą woli zmuszał stopy do każdego kroku, siłą woli odrywał kurczowo zaciśnięte na linach dłonie, by znaleźć następny punkt oparcia.

Zatrzymał się pośrodku, zaskoczony wspaniałym widokiem na nowy most, przedmiot dumy Tana, rozpięty u wylotu Gardzieli na dolinę. Wiatr targał jego ubranie i szarpał kładkę, wprawiając ją w niepokojące kołysanie. Obejrzał się za siebie. Feng krzyczał coś, lecz słowa ginęły na wietrze. Machnął ręką, popędzając go, by szedł dalej: nie chciał zbyt długo obciążać kładki ciężarem dwóch mężczyzn. Yeshe wciąż stał tam, gdzie go zostawili, wpatrując się w przepaść.

Po drugiej stronie wąwozu ruszyli stromym zboczem w górę. Shan szedł przodem. Feng, starszy i dużo cięższy, z trudem dotrzymywał mu kroku. Wreszcie po dwudziestu minutach krzyknął. Gdy Shan odwrócił się, zobaczył wyjęty pistolet.

–Jeżeli uciekniesz, przyjdę po ciebie – wysapał sierżant. – Wszyscy po ciebie przyjdą. – Wymierzył pistolet w Shana, ale szybko cofnął go ze spłoszoną miną, jak gdyby przerażony tym, co zrobił. – Przyniosą z powrotem twój tatuaż – powiedział, dysząc ciężko. – To wszystko, czego im trzeba. Tatuaż. – Wydawał się sparaliżowany niezdeterminowaniem. Kiwnął pistoletem. – Chodź tutaj.

Shan zbliżył się wolno, zbierając się w sobie. Feng zdjął mu z szyi lornetkę i ruszył w dół po stoku.

Shan spojrzał na południe, na opadający długim zboczem grzbiet. Wiśniowa plamka, pielgrzym, była już niemal poza zasięgiem wzroku. Wyżej, ponad grzbietem,

powinien się znajdować teren Czterysta Czwartej. Znów ruszył pod górę. Gdy dotarł na szczyt, niespodziewanie ogarnęła go przedziwna radość, uczucie tak mu obce, że usiadł na kamieniu, by je przemyśleć. Nie była to zwykła satysfakcja z odkrycia innej drogi wiodącej na teren robót, widoczny stąd jak na dłoni. Nie był to przejmujący trwożnym podziwem widok z dachu świata, tak rozległy, że widać było odległą stąd o niemal dwieście kilometrów roziskrzoną śnieżną czapę Czomolungmy, najwyższej góry Himalajów. Była to jasność umysłu.

Przez chwilę zdawało mu się, że wchodząc na szczyt, wkroczył zarazem w jakiś nowy wymiar. Niebo nie było po prostu czyste: było jak soczewka, przez którą wszystko wydawało się większe i bardziej wyraziste niż dotychczas. Zamęt w jego myślach ustąpił, jakby zdmuchnął go wiatr. Dotknął dłonią miejsca, gdzie obcięto mu kosmyk włosów. Choje powiedziałyby, że szturmuje bramy oświecenia.

I wtedy nagle zrozumiał: chodziło o górę. Jao mógł zostać zabity gdziekolwiek, równie dobrze tu, jak i na odludnej szosie wiodącej na lotnisko. Zwabiono go na Szpon Południowy dlatego, że ktoś chciał, aby jungpo chronił górę. Ktoś chciał powstrzymać budowę drogi. Wielu miało powody, by zabić Jao.

Ale kto miał powód, by chronić górę? Albo uniemożliwić napływ imigrantów, którzy zaludniliby leżącą dalej dolinę? Jao był z kimś, kogo znał i komu ufał. Ci, których znał i którym ufał, byliby zainteresowani budowaniem, nie wstrzymywaniem budowy dróg. Morderstwo sprawiało wrażenie popełnionego pod wpływem gwałtownej namiętności, a jednak oczywiste było, że zabójca starannie je zaplanował. Wyglądało to, jak gdyby były dwa przestępstwa, dwa motywy, dwóch zabójców.

Bezwiednie potarł palcami odciski na dłoniach. Zdążyły już zmięknąć, choć minęło zaledwie parę dni. Twarda skorupa więźnia łuszczyła się. Przeraziło go to. Wiedział, że będzie potrzebował jeszcze grubszej, gdy wróci do obozu. Jego wzrok powędrował znów ku Czterysta Czwartej. Więźniowie byli na stoku. A niżej, u przyczółka mostu, dostrzegł coś nowego. Ponure, szare kadłuby dwóch czołgów i używanych przez pałkarzy transporterów. Więźniowie nie pracowali. Czekali. Pałkarze także czekali. Czekal Rinpocze. Czekal Sungpo. A teraz czekał i on. Wszystko z powodu góry.

Ale on nie miał prawa czekać. Jeśli nie zacznie działać, Tan zniszczy Sungpo. A pałkarze zmiążdżą Czterysta Czwartą.

Ruszył granią do miejsca, gdzie grzbiet opadał gwałtownie ku Smoczej Gardzieli. Spadek nie był zupełnie pionowy. Stroma, wąska, jak gdyby wydeptana przez kozice ścieżka schodziła zakosami do leżącego sto metrów niżej zwału kamiennych płyt. Powoli, każdym krokiem ryzykując śmiertelny upadek, Shan ruszył w dół. Głazy oderwały się od zbocza i zatrzymały na małym występie, tworząc osłonę przed wiatrem.

Wdrapał się na jedną z płaskich płyt i stwierdził, że patrzy prosto na nowy most nad Smoczą Gardzielą. Był tak blisko, że słyszał dudnienie czołgowych silników Diesla, a nawet strzępy rozmów strażników na zboczu.

Bojąc się, że zostanie dostrzeżony, zaczął się wycofywać, gdy nagle jego wzrok

padł na nakreślone kredą na płycie znaki. Było to tybetańskie pismo i buddyjskie symbole, ale niepodobne do niczego, co widział dotychczas. Skopiowawszy je w swym notesie, wsunął się między dwie płyty, które złożyły się razem na kształt odwróconej litery V, tworząc jakby dach. Zdrętwiał. W głębi widniał wymalowany na kamieniu okrągły obrazek, zawiała mandala, wymagająca wielu godzin pracy. Przed nią stał rząd małych ceramicznych naczyń, jakich używano jako lampki maślane. Wszystkie były rozbite. Ale skorupy nie były bezładnie rozrzucone. Naczynia ustawiono w rzędzie i rozbito tam, gdzie stały, jak gdyby w ramach rytuału.

Jeszcze raz przyjrzał się kredowym znakom. Czy pielgrzym był tutaj? Czy obserwował Czteryista Czwartą? Wspiął się z powrotem na grzbiet, licząc, że znów mignie mu gdzieś wiśniowa szata, lecz pielgrzym był poza zasięgiem wzroku. Ponownie ruszył wzdłuż stoku na południe, wypatrując szlaku pielgrzyma. Znalazł następną kozią ścieżkę, ale ani śladu człowieka, ani śladu demona.

Skierował się ku odsłoniętej skale sterczącej ze zbocza, postanawiając, że dojdzie tam, po czym wróci do Fenga i Yeshego. Ale gdy był już na miejscu, usłyszał beczenie, które kazało mu iść dalej. Za skałami znalazł, osłoniętą przed wiatrem kałużę. Obok leżało małe stadko owiec wygrzewających się w ciepłe. Przyglądały mu się, gdy nadchodził, ale nie uciekły. Shan przykucnął nad wodą, umył twarz, po czym położył się na plecach na płaskiej, nagrzanej od słońca skale.

Bez wiatru słońce mocno prażyło. Przyglądał się zwierzętom przez kilka minut, potem, w przypiływie kaprysu, zebrał garść żwiru u podnóża skały i zaczął liczyć kamyki. Była to sztuczka, której nauczył się od ojca. Rozłóż kamienie na kupki po sześć sztuk, a liczba, która zostanie, określi numer dolnej linii tetragramu *Tao Te Ching*. Po pierwszej kolejce zostały mu cztery kamyki, co odpowiadało linii złożonej z dwóch odcinków. Zebrał jeszcze trzy garście, aż uzyskał tetragram z dwóch linii ciągłych, jednej potrójnej i jednej podwójnej. Oznaczało to ustęp ósmy.

–“Największe dobro jest jak woda, która wszystkim służy i z nikim nie walczy”. – Wypowiadał słowa na głos, z zamkniętymi oczyma. – “Trzymaj się nizinnych miejsc, którymi inni gardzą, w czym bliska jest drodze życia”.

Tak właśnie uczył się z ojcem. Używali kamyków albo ryżu – lub, przy szczególnych okazjach, wiekowych, pokrytych laką łądyg krwawnika, należących jeszcze do jego dziadka – potem zamykali oczy i recytowali werset.

Oczyma wyobraźni wyczarował obraz ojca. Byli sami, tylko ich dwóch, w tajemnej świątyni w Pekinie, która przez tyle ciężkich lat dawała im schronienie. Serce zabiło mu mocniej. Po raz pierwszy od przeszło dwóch lat znów słyszał jego głos, jak echo powtarzający te wersy. A więc wciąż tam był. Nie zaginął, jak się tego obawiał. Trwał w jakimś odległym zakątku jego umysłu, czekając na taką właśnie chwilę. Poczł woń imbiru, który ojciec nosił zawsze w kieszeni. Gdyby otworzył oczy, zobaczyłby pogodny uśmiech, na zawsze skrzywiony przez but czerwonogwardzisty. Leżał bez ruchu, zgłębiając obce mu doznanie, które, jak podejrzewał, mogło być przyjemnością.

Gdy wreszcie otworzył oczy, owce zniknęły. Nie słyszał, żeby odchodziły, ani nie widział ich nigdzie na stoku. Podniósł się ze spokojem na twarzy, odwrócił się i

zamarł. Wyżej, na skalnej półce, siedziała niewielka postać opatulona w obszerną owczą skórę, z czerwoną wełnianą czapką na głowie. Uśmiechała się do niego radośnie.

Skąd wziął się tu ten człowiek? Co zrobił z owcami?

–Wiosenne słońce jest najlepsze – odezwał się przybysz. Jego głos był silny i spokojny, ale wysoki. To nie był mężczyzna. To był chłopiec, wyrostek.

Shan niepewnie wzruszył ramionami.

–Twoje owce odeszły.

Chłopak roześmiał się.

–Nie. One myślą, że to ja odszedłem. Znajdą mnie później. Trzymamy je tylko po to, żeby zabierały nas w góry. To taki sposób medytacji. Zawsze coś innego. Dzisiaj przyprowadziły mnie do ciebie.

–Sposób medytacji? – Shan nie był pewny, czy się nie przesłyszał.

–Jesteś jednym z nich, prawda? – zapytał nagle chłopiec.

Shan nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

–Han, Chińczyk – w słowach chłopca nie było złości, tylko ciekawość. – Jeszcze nigdy nie widziałem Chińczyka.

Shan patrzył na niego z zakłopotaniem. Byli dwadzieścia pięć kilometrów od stolicy okręgu, trzydzieści kilometrów od garnizonu ALW, a on twierdził, że nie widział nigdy Hana.

–Ale studiowałem prace Lao-tsy – powiedział chłopiec, nagle przechodząc na płynny mandaryński.

A więc był tu przez cały czas.

–Mówisz dobrze jak na kogoś, kto nigdy nie widział Hana – odparł Shan w tym samym języku.

Chłopiec przerzucił nogi przez krawędź półki.

–Żyjemy w kraju nauczycieli – stwierdził rzeczowo. – Ustęp siedemdziesiąty pierwszy – powiedział, znów nawiązując do *Tao Te Ching*. – Znasz siedemdziesiąty pierwszy?

–“Wiedzieć, że się nie wie, jest oznaką zdrowia” – wyrecytował Shan. – “Brać swą niewiedzę za wiedzę to choroba”. – Zastanowił się nad tajemniczym chłopcem. Przemawiał jak mnich, ale był o wiele za młody na mnicha. – A znasz dwudziesty piąty? “Droga życia oznacza przemijanie. Przemijanie oznacza oddalanie się. Oddalanie się oznacza powrót”.

Zadowolenie jeszcze raz rozjaśniło twarz chłopca. Powtórzył werset.

–Czy twoja rodzina mieszka w górach?

–Moje owce mieszkają w górach – odparł.

–Kto mieszka w górach? – naciskał Shan.

–Owce mieszkają w górach – powtórzył chłopiec. Podniósł kamyk. – Dlaczego przyszedłeś?

–Myślę, że szukam Tamdina.

Chłopiec skinął głową, jak gdyby spodziewał się takiej odpowiedzi.

–Kiedy się budzi, nieczysty musi się lękać.

Shan zauważył różaniec na jego nadgarstku, bardzo stary różaniec o paciorkach

rzeźbionych z drzewa sandałowego.

–Czy zdołasz zwrócić twarz ku Tamdinowi, kiedy go odnajdziesz? – zapytał chłopiec.

Shan z wysiłkiem przełknął ślinę i przyjrzał mu się uważnie. Było to chyba najmądrzejsze pytanie, jakie można było postawić.

–Nie wiem. Jak myślisz?

Na twarz chłopca powrócił pogodny uśmiech.

–Posłuchaj wody – odparł i rzucił kamyk na środek kałuży.

Shan przyglądał się kręgom marszczącym gładką powierzchnię. Kiedy się obejrzał, chłopiec zniknął.

Gdy Shan wrócił, Feng drzemał oparty o kopiec kamieni. Yeshe siedział przy moście, nie dalej niż półtora metra od miejsca, gdzie go zostawił. Uraza zniknęła już z jego twarzy.

–Widziałeś jakieś duchy? – zapytał.

Shan obejrzał się za siebie na zbocze.

–Sam nie wiem.

Gdy minęli ostatni szczyt i zaczęli zjeżdżać ku równinie, sierżant Feng przyhamował, by rzucić okiem na mapę.

–To miała być kopalnia – mruknął. – Nie było mowy o hodowli ryb.

Przed nimi w dole ciągnęły się hektary stawów, rozległych, schludnych prostokątów pokrywających płaskowyż regularną siatką. Shan przyglądał się im, nic nie rozumiejąc. U końca drogi, przed stawami, stały jeden obok drugiego trzy długie, niskie budynki.

Na terenie kopalni nie widać było żadnego ruchu, ale przed budynkami stała wojskowa ciężarówka. Tan wysłał swoich saperów. Tuzin ludzi w zielonych mundurach skupił się wokół wejścia do środkowego budynku, słuchając kogoś, kto siedział na schodkach.

Żołnierze nie zwrócili uwagi ani na Shana, ani na Yeshego, gdy ci wynurzyli się z terenówki, ale na widok sierżanta Fenga natychmiast poderwali głowy. Pospiesznie się rozeszli, bardzo się starając nie patrzeć na gości, i Shan ujrzał siedzącą na schodkach postać z notatnikiem w rękach. Była to amerykańska szefowa kopalni, Rebecca Fowler. Dlaczego, zastanowił się nagle Shan, Tan przysłał swych saperów, skoro Ministerstwo Geologii zawiesiło zezwolenie na działalność kopalni?

Amerykanka na powitanie zmarszczyła brwi.

–Dzwonili z biura pułkownika. Powiedzieli, że chce pan z nami porozmawiać. – Wstała, splecionymi ramionami przyciskając notatnik do piersi. Mówiła po mandaryńsku, powoli, starannie wymawiając słowa. – Ale nie wiem, jak wytłumaczyć mojej załodze, kim pan jest. On użył słowa “nieoficjalnie”.

–Teoretycznie prowadzę śledztwo w imieniu Ministerstwa Sprawiedliwości.

–Ale nie jest pan z ministerstwa.

–W Chinach – odpowiedział Shan – kontakty z rządem są formą sztuki.

–On mówił, że chodzi o Jao. Ale chciałby utrzymać tę sprawę w tajemnicy.

Teoretyczna i tajna... – Spojrzała na niego z wyzwaniem w oczach.

–Aresztowano pewnego mnicha. Ta sprawa przestaje już być tajna.

–A więc zagadka została rozwiązana.

–Pozostało jeszcze zebranie dowodów.

–Aresztowano go bez dowodów? Chce pan powiedzieć, że się przyznał?

–Niezupełnie.

Amerykanka w irytacji uniosła ręce nad głowę.

–Zupełnie jak z moim zezwoleniem na pracę. Wysłałam podanie z Kalifornii.

Oświadczyli, że nie mogą mi wydać zezwolenia, bo nie podjęłam tu pracy.

Powiedziałam, że przyjadę i złożę podanie na miejscu. Odpowiedzieli, że nie mogą przyjechać, bo nie mam zezwolenia na pracę.

–Powinna była im pani powiedzieć, że fundusze na pani projekt nie zostaną przelane, jeśli nie będzie pani na miejscu, żeby pokwitować odbiór.

Fowler uśmiechnęła się do niego, choć wyglądało to raczej na grymas.

–Wpadłam na lepszy pomysł. Po trzech miesiącach wysyłania faksów zapisałam się na japońską wycieczkę do Lhasy. Autostopem przyjechałam do biura Jao i poprosiłam, żeby mnie zaaresztował. Dlatego, że zamierzam uruchomić jedyną zagraniczną inwestycję w okręgu, nie mając zezwolenia na pracę.

–Tak właśnie go pani poznała?

Skinęła głową.

–Zastanawiał się nad tym przez parę minut i wybuchnął śmiechem. Załatwił mi papiery w dwie godziny. – Wskazała na drzwi i wprowadziła ich do środka.

Przestronne pomieszczenie wypełniały dwa duże kwadraty zestawionych razem biurek. Przy kilku z nich pracowali Tybetańczycy w białych koszulach. Ujrawszy gości, większość z nich podniosła się i wyszła.

Fowler czekała na nich w drzwiach do sali konferencyjnej. Ale Shan podszedł do jednego z biurek. Zasłane były dziwnymi mapami o żywych barwach i bez linii granic, niepodobnymi do żadnych, jakie widział dotychczas.

Fowler podeszła do biurka i przykryła mapy gazetą. Jeden z pracowników zawołał, że w sali konferencyjnej czeka herbata. Yeshe i sierżant weszli za nim do środka.

Shan zatrzymał się jeszcze przy biurkach. Jego wzrok przyciągnęły zdjęcia małych posążków buddyjskich bóstw, młynków modlitewnych, rogów obrzędowych, niewielkich malowideł na zwojach jedwabiu, zwanych thankami. Trzymały je jak trofea anonimowe dłonie. Na zdjęciach nie było żadnych twarzy.

–Nie bardzo rozumiem. Jest pani geologiem czy archeologiem?

–ONZ prowadzi dokumentację zabytków zasługujących na ochronę. To część dziedzictwa ludzkości. Nie jest własnością partii politycznych.

–Ale pani nie pracuje dla ONZ.

–Nie wierzy pan, że istnieją rzeczy wspólne dla całej ludzkości? – zapytała.

–Obawiam się, że nie.

Rebecca Fowler przyjrzała mu się niepewnie, po czym poszła po herbatę. Shan ruszył wokół kwadratu biurek. Na zewnątrz, za przeszklonymi ścianami, znajdowały się dwa gabinety, opisane: KIEROWNIK PROJEKTU oraz GŁÓWNY INŻYNIER. Gabinet Fowler zawalony był dokumentami i kolejnymi arkuszami osobliwych map.

Ściany drugiego pokoju pokrywały fotografie Tybetańczyków – szczerze, wdzięczne ujęcia dzieci, zrujnowanych świątyń i targanych wiatrem flag modlitewnych. Regał pod ścianą wypełniony był angielskimi książkami o Tybecie.

Na zewnątrz gabinetu Fowler wisiało zdjęcie przedstawiające grupę kilkunastu rozbawionych osób. Shan rozpoznał Rebeccę, jasnowłosego Amerykanina w okularach o drucianych oprawkach, naczelnego prokuratora Jao oraz jego zastępcę, Li.

–To z otwarcia tego budynku – wyjaśniła Fowler, podając mu kubek z herbatą. – Kiedy oficjalnie uruchamialiśmy zakład.

Shan wskazał na atrakcyjną młodą Chinkę o promiennym uśmiechu.

–Panna Lihua – odparła Fowler. – Sekretarka Jao.

–Dlaczego oni obaj, prokurator i jego zastępca, byli zaangażowani w to, co tu pani robi?

Fowler wzruszyła ramionami.

–Jao zajmował się ogólniejszymi zagadnieniami. Sprawy rady nadzorczej przekazał Li.

–Macie telefony – zauważył Shan, wskazując na biurka – ale nie widzę tu żadnych kabli.

–To system satelitarny – wyjaśniła. – Musimy mieć kontakt z naszymi laboratoriami w Hongkongu. Dwa razy w tygodniu dzwoniemy do biura w Kalifornii.

–A do biura ONZ w Lhasie?

–Nie. To system wewnętrzny. Obejmuje tylko wyznaczone stacje odbiorcze w obrębie naszej firmy.

–Nawet nie Lhadrung?

Pokręciła głową.

–Mogę połączyć się z Kalifornią w ciągu sześćdziesięciu sekund. Przekazanie wiadomości do Lhadrung to czterdzieści pięć minut jazdy. Wasz kraj jest pełen sprzeczności – stwierdziła bez uśmiechu.

–Jak sypanie amerykańskiej sacharyny do maślanej herbaty – zauważył Shan, patrząc, jak Tybetanka w białym biurowym fartuchu opróżnia różowy pakiecik do czarki tradycyjnego mlecznego naparu.

Na tablicy ogłoszeń wisiały spisane po chińsku i po angielsku instrukcje na wypadek sytuacji awaryjnych oraz zawiadomienia o zebraniach załogi. W głębi pomieszczenia znajdowały się zamknięte czerwone drzwi, na których widniał znak zabraniający wstępu osobom nie upoważnionym.

–Czy amerykański personel jest tu od dawna, panno Fowler? – zapytał Shan.

–Amerykański personel to tylko ja i Tyler Kincaid. Osiemnaście miesięcy.

–Kincaid?

–Mój główny inżynier. Można powiedzieć, że moja prawa ręka. – Po znaczącym spojrzeniu, jakie mu rzuciła, domyślił się, że widział go tamtego dnia przy jaskini. Wesoly Amerykanin, który grał *Home on the Range*, by podrażnić Tana. Człowiek ze zdjęcia z otwarcia budynku.

–Nie ma więcej ludzi z Zachodu? A goście z waszej firmy?

–Też nie. Za daleko. Bywa tu tylko Jansen z biura ONZ w Lhasie. Za dwa tygodnie wszystko się zmieni.

–Mówi pani o amerykańskich turystach?

–Właśnie. Mają tu spędzić dwie godziny. Potem będziemy obowiązkowym przystankiem na trasie turystycznej. Myślę, że pokażemy im puste biura, puste zbiorniki i zrobimy im wykład na temat chińskiej biurokracji.

Shan nie chwycił przynęty.

–Komisja Narodów Zjednoczonych do spraw Zabytków. Jak jest pani z nią związana?

–Czasami proszą, żeby im pożyczyć ciężarówkę. Albo parę lin.

–Lin?

–Badają jaskinie. Wspinają się po górach.

–Zabierają znaleziska?

Fowler zesztyniała.

–Rejestrują je – oświadczyła surowo. – Chyba można powiedzieć, że należę do lokalnego komitetu.

–To istnieje taki komitet?

Nie odpowiedziała.

–A konflikty? Nie może pani działać bez wsparcia ze strony rządu. Wasza koncesja...

–Proszę mi nie przypominać.

–I zezwolenie na używanie łączności satelitarnej... to niespotykane. A tymczasem pani przeciwstawia się rządowi...

U boku Shana pojawił się sierżant Feng, ostrym, gardłowym pomrukiem próbując przywołać go do porządku.

–...rządowym planom wywozu zabytków – dokończył Shan po angielsku.

Oczy Rebecki błysnęły zaskoczeniem.

–Mówi pan całkiem nieźle – stwierdziła w swym ojczystym języku. – Nie możemy powstrzymać rządu przed czymkolwiek. Uważamy po prostu, że rządy powinny jawnie obchodzić się z dziedzictwem kulturowym, zwłaszcza gdy jest to dziedzictwo odmiennej kultury. Komisja do spraw Zabytków pomaga zbierać dowody.

–Więc ma pani dwie posady?

Feng wszedł między nich ze wściekłym błyskiem w oku, ale zdawało się, że nie wie, co robić. Fowler, wyższa od sierżanta o dobre piętnaście centymetrów, mówiła dalej ponad jego głowę, jednak znów przerzuciła się na mandaryński.

–A pan, inspektorze? Jak wiele posad ma nieoficjalny śledczy?

Shan nie odpowiedział. Wzruszyła ramionami.

–Moja praca to kierowanie kopalnią. Ale komisja ma tu tylko jednego przedstawiciela: Jansena, z Finlandii. On prosi innych cudzoziemców, pracujących na niedostępnych terenach, żeby byli jego oczami i uszami.

–I to jest ten pani komitet.

Skinęła głową, spoglądając niepewnie na Fenga.

–Wciąż nie powiedziała pani, co robiła przy jaskini.

–Nie wiedziałam nawet, że tam jest jakaś jaskinia. Dopóki nie zauważono w tej okolicy ciężarówek ALW.

–Kto je zauważył?

–Pojazdy wojskowe rzucają się w oczy. Jeden z moich tybetańskich inżynierów wypatrzył je, wspinając się po górach.

–Ale ich obecność można było wyjaśnić na wiele sposobów.

–Nie za bardzo. Ciężarówki w wysokich górach pojawiają się w dwóch przypadkach. Jeden to manewry. Drugi to budowa nowych obozów wojskowych albo spółdzielni. To nie były manewry, nie było też widać sprzętu budowlanego. Ciężarówki nic nie przywoziły. Albo prawie nic.

–Więc uznała pani, że coś wywożą. Bardzo sprytnie.

–Nie miałam pewności. Ale gdy tylko tam przyjechałam, zobaczyłam coś, co mi dało do myślenia. Pańskiego pułkownika. I jaskinię rojącą się od żołnierzy.

–Pułkownik mógł tam być z innego powodu.

–Ma pan na myśli morderstwo?

–Przyjaźniłem się z paroma Amerykanami – zauważył Shan. – Wszyscy mieli skłonność do wyciągania pochopnych wniosków.

–Jest różnica między wyciąganiem pochopnych wniosków a bezpośredniością. Dlaczego nie powie pan po prostu: nie? Tan powiedziałby po prostu nie. Jao powiedziałby po prostu nie, gdyby uznał to za stosowne. – Przeciągnęła palcami po włosach. Shan uświadomił sobie, że robiła tak, gdy była zdenerwowana. – Tamtego dnia w biurze Tana otwarcie mu się pan przeciwstawił. Nie jest pan taki jak inni Chińczycy, których znam.

To szło zbyt szybko. Shan wypił herbatę i poprosił o jeszcze. Gdy Fowler odeszła do sali konferencyjnej, obejrzał uważnie tablicę ogłoszeń. W rogu wisiał odręczny tekst po tybetańsku. Shan z zaskoczeniem rozpoznał, co to jest. Amerykańska Deklaracja Niepodległości. Odciągnął Fenga do sali konferencyjnej; Fowler siedziała na stole, czekając na niego z herbatą.

–A więc zastępuje pan prokuratora Jao? – zapytała.

–Nie. To tylko niewielkie zlecenie od pułkownika.

–Jao byłby rozczarowany. Czytywał Arthura Conana Doyle'a. Uwielbiał tropić morderców.

–Mówi pani tak, jakby mu się to często zdarzało.

–Okolo sześciu spraw rocznie, jak sądzę. To duży okrąg.

–Zawsze je rozwiązywał?

–Pewnie. To był w końcu jego zawód, prawda? – zapytała drwiąco. – A teraz pan już aresztował mordercę.

–Nikogo nie aresztowałem.

Spojrzała na niego z uwagą.

–Zabrzmiało to, jakby nie był pan przekonany, że to on to zrobił.

–Bo nie jestem.

Fowler nie mogła ukryć zaskoczenia.

–Zaczynam pana rozumieć, panie Shan.

–Po prostu Shan.

–Rozumiem, dlaczego Tan chciał odciągnąć pana od jaskini, kiedy ja tam byłam. Jest pan... jaki? Nieprzewidywalny, jak on określił Tybetańczyków. Odnoszę wrażenie, że wasz rząd niezbyt dobrze radzi sobie z nieprzewidywalnością.

Shan wzruszył ramionami.

–Pułkownik Tan woli mieć do czynienia z jednym nagłym problemem na raz. Amerykanka przyjrzała mu się uważnie.

–Więc co było tym problemem, pan czy ja?

–Pani, oczywiście.

–Zastanawiam się... – Upiła mały łyk herbaty. – Jeżeli nie pański więzień zabił Jao, to kto był mordercą?

–Pani demon, Tamdin.

Fowler drgnęła gwałtownie. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy nie usłyszała tego ktoś z pracowników, ale wszyscy zebrali się na drugim końcu sali.

–Nikt nie żartuje na temat Tamdina – powiedziała, zniżając głos, nagle zabarwiony troską.

–Nie żartowałem.

–W każdej wiosce, w każdym obozie owczarzy w okolicy opowiada się o wizytach demonów. W zeszłym miesiącu narzekali na wybuchy u nas. Powiedzieli, że musiały go obudzić. Mielśmy półdniowy przestój w pracy. Ale wytłumaczyłam, że zaczęliśmy używać materiałów wybuchowych dopiero pół roku temu.

–Jakie wybuchy?

–Budujemy nowy staw.

Shan pokręcił głową, nic nie rozumiejąc.

–Ale na co wam stawy? Po co ta cała woda? Jak uzyskujecie surowce? To nie jest żadna kopalnia.

Fowler uśmiechnęła się.

–Oczywiście, że jest – powiedziała, z widoczną ulgą przyjmując zmianę tematu. – Zaraz za progiem. – Złapała lornetkę i kiwnęła na niego, żeby poszedł za nią.

Wyprowadziła go na zewnątrz i ruszyła ścieżką okalającą największy staw, żwawym krokiem przeszła na środek największej grobli, zamykającej wylot doliny, i przystanęła tam, by poczekać na Yeshego i Fenga. – To kopalnia opadowa.

–Wydobywacie deszcz? – zapytał Yeshe.

–Nie to miałam na myśli. Ale chyba można i tak to określić. Wydobywamy deszcz sprzed setek wieków. – Wskazała zalany wodą teren. – Ta dolina stanowi dno niecki. Jedynym jej wylotem jest Smocza Gardziel, którą zablokowało w tym miejscu pradawne osuwisko. To teren niestabilny geologicznie. Okoliczne szczyty były stożkami wulkanów. Lawa spływała po zboczach. A w lawie są lekkie pierwiastki. Bor. Magnez. Lit. Przez stulecia deszcze rozpuszczały lawę, splukując sole do niecki. Utworzyło się słone jezioro. W czasie suszy na jeziorze powstawała skorupa. Gruba na trzydzieści centymetrów. Czasami półtora metra. Potem, gdy przychodziły deszczowe lata, basen znowu się napełniał wodą z rozpuszczonymi minerałami. I znów tworzyła się skorupa. Co kilka stuleci nowa erupcja dostarczała świeżej lawy.

Tak właśnie powstało Wielkie Jezioro Słone w Ameryce.

–Ale te jeziora są sztuczne.

–Naturalne słone jezioro też tu jest. Właściwie jest ich jedenaście. W warstwach, pod naszymi stopami. Usunęliśmy tylko glinę, tworząc odkryte stawy. Pompujemy solankę do stawów, żeby odparowała – wskazała na stojące po drugiej stronie doliny trzy małe budki, z których rozchodziła się sieć rur. – Całą pracę wykonują trzy pompy.

–Ale gdzie jest wasza kopalnia?

–W stawach. Przy właściwym stężeniu możemy wytrącać cząsteczki boru. Każdy zbiornik okresowo osuszamy i zbieramy osad z dna. Cała sztuka polega na utrzymaniu odpowiedniego stężenia. Jeśli nie wyjdzie, dostaniemy zwykłą sól kuchenną. Albo metaliczną zupę, której rozdzielenie zbyt wiele by kosztowało.

Poprowadziła ich groblą do miejsca, gdzie przecinała ona wąwóz Smoczej Gardzieli.

–Ale powiedziała pani, że to osuwisko zablokowało dolinę – wspomniał Shan.

–Usunęliśmy je. Nie było dość stabilne. Grobla musi być z ubitej gliny. Właśnie skończyliśmy nad nią pracować. To już ostatnia. – Shan zauważył, że do stawu, przy którym stali, o lustrze wyraźnie niższym od pozostałych, wciąż jeszcze tłoczona jest woda. Amerykanka podała mu lornetkę, wskazując na drugi koniec niecki. – Z najdalszego stawu właśnie wybieramy osad.

W pobliżu stawu piętrzyła się lśniąco biała hałda.

–Mamy prostą jednostkę przetwórczą do wstępnego oczyszczania surowca. Kiedy zaczniemy produkcję, popakujemy go w jednotonowe worki i roześlemy w świat. – Shan uświadomił sobie, że mówiąc, Fowler patrzy gdzie indziej, w stronę gromady robotników na środku zespołu stawów. Zwróciwszy tam lornetkę, stwierdził, że są to dwie grupki. Obie stały beczynnienie.

–W świat? – zapytał.

–Część do fabryk w Chinach – odparła w roztargnieniu. – Większość do Hongkongu, skąd popłynie do Europy i do Ameryki.

Shan przyglądał się ponurej szarej maszynie, przy której zebrała się druga grupka.

–Dlaczego Tan ich przysłał, skoro pani koncesja została zawieszona?

–To Ministerstwo Geologii zawiesiło koncesję.

–Kto podpisał decyzję?

Fowler zawahała się, jak gdyby zastanawiając się, czy odpowiedzieć.

–Dyrektor Hu.

–Z lokalnego biura ministerstwa?

–Właśnie. Ale wytłumaczyłam Tanowi, że jeśli teraz zamkniemy kopalnię, stracimy cały materiał w stawach. Opracowaliśmy proces tak, że nasz produkt komercyjny wytrąca się pierwszy. Jeżeli zaczekamy, zostanie zanieczyszczony. Pół roku pracy może pójść na marne. Zgodził się, że powinniśmy utrzymać działalność do wypuszczenia próbnej partii, na tej zasadzie, że koncesja odnosi się tylko do produkcji na sprzedaż.

–Ale potem wszystko staje?

–Jeśli nie uda nam się rozgryźć, o co chodzi.

–Mówi pani, że Hu nie podał żadnych powodów tej decyzji?

Fowler nie odpowiedziała. Odeszła na dwa kroki i utkwiała wzrok w skalnej ścianie u końca stawu. Shan przyglądał jej się przez chwilę, próbując odgadnąć, czy wytrącił ją z równowagi prokurator Jao, dyrektor kopalnictwa Hu, czy może on sam. Wreszcie skierował wzrok na skałę. Stroma, niemal pionowa ściana wznosiła się przed nimi na blisko sto metrów. Nagle dostrzegł na skałach jakiś ruch: ze szczytu urwiska zwisały, kołysząc się, dwie białe liny.

Fowler odwróciła się w stronę Gardzieli.

–Widać stąd całą dolinę – powiedziała.

Ale Shan nie zareagował. Liny poruszały się. Na szczycie widać było dwie postacie w jaskrawoczerwonych kamizelkach i białych kaskach.

Nagle Yeshe wykrzyknął zaskoczony. Patrzył na drugi koniec wąwozu.

–Czterysta Czwarta! Tam jest... – Zreflektował się i zakłopotany spojrzał na Shana.

Shan obrócił lornetkę. Wystarczyła mu chwila, by przebiec wzrokiem Smoczą Gardziel aż do podnóża góry. Dzieliło ich od niej trzydzieści kilometrów krętej górskiej drogi, a jednak przed nimi, nie dalej niż pięć kilometrów w linii prostej, leżał widoczny jak na dłoni teren robót Czterysta Czwartej. Regulując ostrość, wypatrzył most Tana, czołgi pałkarzy i długi szereg więziennych ciężarówek.

Poczuł na sobie wzrok Amerykanki i opuścił szkła.

–Mój główny inżynier pokazał mi to – powiedziała oskarżycielskim tonem. – To jedno z waszych więziennych przedsięwzięć. Niewolnicza praca.

–Rząd często przydziela przymusowe brygady robocze do budowy dróg – odezwał się z niespodziewaną wyższością w głosie Yeshe. – Pekin twierdzi, że w ten sposób kształtuje się socjalistyczną świadomość.

–Rozmawiałam o tym z ludźmi z ONZ.

–Jestem zwolennikiem dialogu międzynarodowego. – wtrącił Shan. Nagle poczuł ostre dziabnięcie w plecy. To sierżant Feng zaszedł go od tyłu. Shan odwrócił się i ujrzał wycelowany w siebie kciuk. W oczach Fenga tlił się ogień.

Ruch ten nie umknął uwagi Fowler. Wydawało się, że zamierza coś powiedzieć, gdy nagle od urwiska dobiegł ich niosący się echem zawadiacki okrzyk. Odwrócili się. Po ścianie, odbijając się stopami od skały, zsuwały się na linach dwie postacie.

–Szalony głupiec – mruknęła Fowler. – To Kincaid. Trenuje młodych inżynierów. Ma zamiar zdobyć Everest, zanim stąd odjedzie. Chce się wspinać z ekipą Tybetańczyków.

–Everest? – zdziwił się Yeshe.

–Przepraszam – odparła Fowler. – Wy nazywacie ją Czomolungmą. Górą Matką.

–Boginią Matką Świata – poprawił Yeshe.

Postacie zjechały do stóp urwiska i objęły się, podskakując radośnie. Parę chwil później ruszyły w stronę długiej grobli. Byli to szczupły mężczyzna o błyszczących oczach, z końskim ogonem, którego Shan widział przy jaskini, i siedzący wtedy za

kierownicą dżipa młody Tybetańczyk, który później wpadł do biura Tana.

–Jestem Tyler – przedstawił się Amerykanin. – Tyler Kincaid. Wystarczy samo Kincaid. – Jego uśmiech przygasł na widok Fenga. Spojrzał na pistolet sierżanta. – A to – dodał, wskazując kciukiem – jest Luntok, jeden z naszych inżynierów.

–To właśnie Kincaid dokonuje cudów w stawach – wyjaśniła Fowler.

–Natura dokonuje cudów – stwierdził obojętnie Kincaid. Mówił, lekko zaciągając, co przywodziło Shanowi na myśl postaci z amerykańskich westernów. – Ja tylko daję jej okazję. – Przyglądał się chwilę Shanowi, po czym powiedział już ciszej, choć oskarżycielskim tonem: – Byłeś przy jaskini. Z Tanem. Chcemy usłyszeć coś o tej jaskini.

–Ja też. Muszę wiedzieć, dlaczego wy tam byliście.

–Dlatego, że dzieje się tam coś złego. Dlatego, że to święte miejsce.

–Czemu tak uważasz?

–To jedno z tych miejsc, które buddyści nazywają siedliskami mocy. Na końcu doliny. Zwrócone na południe. Ze źródłem. I wielkim drzewem.

–Więc byłeś tam już wcześniej?

Kincaid zatoczył ręką łuk, wskazując wznoszące się dokoła szczyty.

–Wspinamy się na wiele gór. Luntok zauważył ciężarówkę. Ale i bez tego wiedzielibyśmy, że może tam być coś ważnego. Topografia mówi wszystko.

Nagle przeciągle zawył klakson, tak głośno, że mało nie popękały im bębunki. Obok Fowler pojawił się jeden z robotników, dysząc ciężko po biegu przez groblę.

–Oni mają zamiar walczyć! – krzyknął. – Chcą zniszczyć sprzęt!

–Cholerni pekaowcy! Mówiłem ci! – warknął w jej stronę Tyler i ruszył biegiem ku skłóconym grupom. Luntok pospieszył za nim.

Tybetańscy robotnicy ustawili się rzędem na środku doliny. Potężny szary buldożer, na którym usadowiło się kilku saperów Tana, zablokowali prowizoryczną barykadą złożoną z mniejszych ciężarówek i koparek. Żołnierze raz po raz naciskali klakson, wydobywając z niego szarpany ryk przypominający strzały z karabinu maszynowego. Tybetańczycy siedzieli ze skrzyżowanymi nogami przed barykadą.

Między nimi pojawił się Kincaid. Stał plecami do Tybetańczyków i zaczął przemawiać do żołnierzy.

Shan podał Rebecce lornetkę. Zdawało się, że kobieta nie ma ochoty jej wziąć.

–Nigdy nie miałam zamiaru... – zaczęła. – Jeśli komukolwiek stanie się krzywda, nie wybaczę sobie tego do końca życia. – Odwróciła się do niego, jak gdyby zaskoczona własnymi słowami. Jej oczy wypełnił ból. – Niech pan im każe odejść.

–Komu?

–Żołnierzom. Niech pan powie Tanowi, że znalazłam jakiś inny sposób, żeby dotrzymać terminu.

–Przykro mi. Nie mam żadnej władzy.

–Oczywiście, że masz – podsunął Yeshe. – Jesteś bezpośrednim przedstawicielem pułkownika. Masz prawo zgłaszać mu wszelkie nieprawidłowości. – Chłopak wydawał się rozdarty. W końcu rzucił się w stronę żołnierzy. Nie zamierzał dopuścić, by incydent w kopalni wstrzymał ich pracę. Miał, przypomniał sobie Shan,

własny cel.

Żołnierze zaczęli unosić i opuszczać lemiesz buldożera, nadając maszynie wygląd głodnego potwora, gotowego pożreć wszystko na swej drodze. Kincaid krążył w tę i z powrotem, wymachując rękami w stronę stawów, w stronę gór oraz bud ze sprzętem.

–Pan Kincaid – zauważył Shan – jest niezwykle zapalonym człowiekiem. – Dostrzegł zakłopotane spojrzenie Fowler. – Jak na inżyniera górnictwa – dodał.

–Tyler Kincaid to skarb. Mógł przebierać w ofertach, wybrać sobie jakąkolwiek posiadłość w firmie. Nowy Jork. Londyn. Kalifornia. Australia. Wybrał Tybet. Zapalony? Jesteśmy osiem tysięcy mil od domu, próbując uruchomić kopalnię z nie sprawdzoną technologią, na nie sprawdzonym terenie, z nie sprawdzoną siłą roboczą. Zapał wydaje mi się tu niezbędny.

–Mógł przebierać w ofertach... Dlatego, że jest tak dobry?

–To też. A poza tym jego ojciec jest właścicielem firmy.

Shan przyjrzał się Amerykaninowi. Kincaid podszedł właśnie do dowódcy grupki żołnierzy i zaczął potrząsać go za ramiona. Jego ojciec był właścicielem firmy, a on wybrał najbardziej chyba odległą, niedostępną placówkę firmy na całej planecie.

–On coś powiedział. Pekaowcy. Co to znaczy?

–To takie jego określenie.

–Określenie na co?

–Na biurokratów, jak sądzę. – Wzruszyła ramionami, widząc, że Shan nie zamierza dać za wygraną. – PK to skrót od Pieprzonego Komunisty – wyjaśniła i ubawiona odwróciła się znów w stronę robotników.

Yeshe stanął przed żołnierzami i zaczął coś mówić, wskazując ręką Shana. Lemiesz buldożera zatrzymał się, a żołnierze zaczęli popatrywać niepewnie ku grobli. Kincaid wykorzystał okazję i pognął do budynku administracyjnego. Wkrótce wypadł stamtąd, dźwigając czarne pudło. Fowler podniosła lornetkę do oczu i ze zduszonym śmiechem podała ją Shanowi.

Kincaid miał przenośny magnetofon. Postawił go przed buldożerem i puścił amerykańskiego rocka, tak głośno, że słyhać było nawet na grobli. Amerykanin zaczął tańczyć.

Z początku obie strony tylko mu się przyglądały. Wreszcie jeden z żołnierzy wybuchnął śmiechem. Inny żołnierz przyłączył się do tańczącego inżyniera, a za nim jeden z Tybetańczyków. Cała reszta się roześmiała.

Fowler westchnęła.

–Dzięki – powiedziała, jak gdyby interwencja Yeshego była pomysłem Shana. – Kryzys zażegnany. Problem pozostał. – Powoli ruszyła w stronę biura.

Shan zrównał się z nią.

–Pomyślała pani o sprowadzeniu kapłana? – zapytał.

–Kapłana?

–Tybetańczycy nie będą pracować, bo sądzą, że coś wyzwoliło demona.

Fowler smutno pokręciła głową, omiatając wzrokiem dolinę.

–Jakoś nie mogę w to uwierzyć. Znam tych ludzi. Nie są zabobonni.

–Nie rozumie pani. Nie chodzi o to, że ich zdaniem w górach grasuje jakiś potwór. Większość z nich wierzy po prostu, że została zakłócona równowaga, a brak równowagi rodzi zło. Demon jest tylko symbolem tego zła. Ono może objawić się jako człowiek, jako czyn, nawet jako trzęsienie ziemi. Równowagę mogą przywrócić odpowiednie obrzędy, odpowiedni kapłan.

–Chce pan powiedzieć, że to wszystko jest symboliczne? Morderca Jao nie był symboliczny.

–Być może.

Spojrzała w stronę Gardzieli, rozważając sugestię Shana.

–Urząd do spraw Wyznań nie pozwoli na taki obrzęd. Dyrektor jest w naszym zarządzie.

–Nie proponowałem kapłana z urzędu. To musi być ktoś wyjątkowy. Obdarzony odpowiednią mocą. Ktoś ze starych gomp. Tylko ktoś taki przekona ich, że nie mają się czego bać.

–A nie ma się czego bać?

–Sądzę, że pani robotnicy nie mają czego się bać.

–Więc nie ma czego się bać? – powtórzyła Amerykanka, przeciągając palcami po kasztanowych włosach.

–Nie wiem.

Szli dalej w milczeniu.

–Czegoś takiego raczej nie uwzględniały moje analizy wpływu na środowisko – odezwała się wreszcie Fowler.

–To wcale nie musiało być rezultatem waszych prac górniczych.

–Ale zdawało mi się, że to właśnie...

–Nie. Tu się coś zdarzyło. Nie chodzi o zamordowanie Jao, bo o tym wiedziało niewiele osób. To coś innego. Pojawiło się coś, co przerażyło Tybetańczyków, coś, co musieli wyjaśnić zgodnie ze swym sposobem myślenia. Drażnienie góry byłoby wyjaśnieniem najprostszym. Każda skała, każdy kamyk ma swoje miejsce. Teraz skały i kamyki zostały poruszone.

–Ale morderstwo ma z tym związek, prawda? – To w gruncie rzeczy nie było pytanie. – Z tym demonem, Tamdinem – niemal wyszeptała.

–Nie wiem. – Shan spojrzał na nią uważnie. – Nie zdawałem sobie sprawy, że to morderstwo tak panią wytrąciło z równowagi.

–Przeraziło mnie – powiedziała, znów patrząc na robotników. Maszyny wycofywały się. – Nie mogę spać po nocach. – Przeniosła wzrok na Shana. – Robię dziwne rzeczy. Na przykład rozmawiam z zupełnie obcymi ludźmi.

–Czy chciałaby mi pani jeszcze coś powiedzieć? – Gdy zbliżali się do zabudowań, Shan spostrzegł ruch przy końcu najdalszego budynku. Przed bocznymi drzwiami ustawił się rząd Tybetańczyków, w większości robotników, ale także starych kobiet i dzieci w tradycyjnych strojach.

Rebecca Fowler zdawała się tego nie widzieć.

–Po prostu wciąż myślę, że mój problem wiąże się z waszym.

–Chodzi pani o zamordowanie prokuratora Jao i o zawieszenie waszej koncesji?

Powoli skinęła głową.

–Jest jeszcze coś, ale teraz, kiedy koncesja została zawieszona, mogłoby to brzmieć jak złośliwość. Jao był w naszej radzie nadzorczej. Zanim odjechał stąd po swojej ostatniej wizycie, pokłócił się ostro z dyrektorem Hu z Ministerstwa Geologii. Krzyczał na niego na dworze, po zebraniu. Chodziło o jaskinię. Kazał Hu przerwać to, co robił w jaskini. Mówił, że wyśle tam własną ekipę.

–Więc wiedziała pani o jaskini przed ich kłótnią?

–Nie. Nie rozumiałam, o co im chodzi. Ale później Luntok wspomniał o ciężarówkach, które zauważył. Nie łączyłam tych faktów, dopóki nie wybrałam się na miejsce tamtego dnia. A nawet wtedy byłam tak zdenerwowana Tanem, że dopiero później przypomniałam sobie kłótnię Jao z Hu.

Byli już niemal przy terenówce, gdzie czekali Yeshe i Feng. Fowler nagle przystanęła. Gdy się odezwała, w jej głosie pojawił się nowy, uparty ton.

–Jak znajdę kapłana, jakiego mi trzeba?

–Proszę zapytać swoich robotników – podsunął Shan. Czy to możliwe, pomyślał, że przeciwstawiłaby się Hu, a nawet Tanowi, by nie zamykać kopalni?

–Nie mogę. Wtedy rzecz stałaby się oficjalna. Urząd do spraw Wyznań wpadłby w szarą. Ministerstwo Geologii też. Proszę mi pomóc. Ja sama nie mogę się tym zająć.

–Więc niech pani zapyta górskich szczytów.

–Co pan ma na myśli?

–Sam nie wiem. To tybetańskie powiedzenie. Myślę, że chodzi o modlitwę.

Chwyciła go za ramię, patrząc na niego żałośnie.

–Chcę panu pomóc – powiedziała – ale nie może mi pan kłamać.

Odpowiedział tylko zakłopotanym, krzywym uśmiechem, po czym odwrócił tęskny wzrok ku odległym szczytom. Nigdy jej nie skłamię, ale zawsze będzie wierzył w kłamstwa, którymi oszukuje sam siebie, jeżeli będą jego jedyną nadzieją ucieczki.

ROZDZIAŁ 7

–Wiadomość z ostatniej chwili – mruknął sierżant Feng do komandosa w polowym mundurze stojącego przy bramie Czterysta Czwartej. – Tajwańscy najeźdźcy wylądują na wybrzeżu, nie w Himalajach.

Czterysta Czwarta wyglądała jak teren działań wojennych. Obóz otaczały namioty. Nad starym ogrodzeniem z drutu kolczastego pojawiło się nowe, złowrogo wyglądające pasmo najeżone ostrymi jak brzytwa paskami metalu. Elektryczność, z wyjątkiem kabla prowadzącego do nowego rzędu reflektorów przy bramie, została odcięta i w nadchodzącym zmierzchu obóz pogrążał się w ciemnościach. Układano worki z piaskiem dla osłony karabinów maszynowych, jak gdyby oddziały bezpieki spodziewały się frontalnego ataku. Świeżo namalowany znak obwieszczał, że pięciometrowy pas wewnątrz ogrodzenia jest teraz strefą śmierci. Każdy więzień bezprawnie wkraczający na ten obszar może zostać zastrzelony bez ostrzeżenia.

Komandos uniósł karabin. Jego twarz miała w sobie coś prymitywnego, zwierzęcego. Shan poczuł, że ciarki przechodzą mu po grzbiecie. Feng brutalnie przepchnął go przez bramę, powalając na kolana. Pałkarz przez chwilę mierzył sierżanta wzrokiem. Wreszcie, niechętnie marszcząc brwi, odstąpił w tył.

–Musiałem im pokazać, kto tu rządzi – wymamrotał Feng, gdy zrównał się z Shanem. Shan uświadomił sobie, że miały to być przeprosiny. – Durne nadęte koguty. Zbiorą laury i pójdą stąd. – Przystanął i wzięwszy się pod boki, przyglądał się wznoszonym przez pałkarzy umocnieniom. Po chwili machnął ręką w stronę baraku Shana. – Masz pół godziny – rzucił krótko, zwracając ku rześcisie oświetlonej strefie śmierci.

Powietrze w spowitej mrokiem celi było gęste od parafinowego kopci. Ciemność wypełniał cichy szmer, niby chrobot myszy biegających po kamiennej podłodze. Różańce były w ruchu. Ktoś szepnął imię Shana. Zapalono świecę. Kilku więźniów usiadło na łózkach i przyglądało mu się, przerywając odliczanie paciorków. Zmęczenie leżało cieniem na ich twarzach. Lecz na niektórych było coś jeszcze. Wyzwanie. Shan poczuł lęk, a zarazem dreszcz podniecenia. Trinle na jego widok zerwał się na nogi.

–Muszę z nim porozmawiać – powiedział Shan nagłoco. Za plecami Trinlego, nieruchomy jak śmierć, leżał na pryczy Choje.

–Jest bliski wyczerpania.

W tej samej chwili Choje poruszył rękoma. Uniósł je do twarzy, nakrył usta i nos, po czym trzykrotnie wypuścił powietrze. Był to rytuał przebudzenia każdego pobożnego buddysty. Pierwszy wydech dla oczyszczenia z grzechu, drugi dla wygładzenia zamętu, trzeci dla usunięcia przeszkód na ścieżce prawdy.

Lama usiadł na pryczy, witając Shana cieniem uśmiechu. Miał na sobie, choć było to w lao gai zabronione, mnisią szatę uszytą z więziennych koszul i pofarbowaną jakimś sposobem. Nie mówiąc nic, wstał i przeszedł na środek celi, gdzie opadł na podłogę, krzyżując nogi w pozycji lotosu. Trinle dołączył do niego. Shan usiadł między nimi.

–Jesteś słaby, Rinpocze. Nie zamierzałem zakłócać ci wypoczynku.

–Jest tyle do zrobienia. Dzisiaj każdy barak odmówił dziesięć tysięcy różańców. Wielu ludzi jest już przygotowanych. Jutro spróbujemy przygotować więcej.

Shan zacisnął szczęki, walcząc z falą emocji.

–Przygotowanych?

Choje uśmiechnął się tylko.

Ciszę przerwał dziwny chrobot. Shan odwrócił się. Jeden z młodych mnichów pełnym czci ruchem obracał młynek modlitewny, sklecony z blaszanej puszki i ołówka.

–Jecie coś? – zapytał Shan.

–Kuchnie zostały zamknięte – wyjaśnił Trinle. – Dostajemy tylko wodę. W południe wystawiają nam w wiadrach przy bramie.

Shan wyjął z kieszeni bluzy papierową torebkę z nietkniętym drugim śniadaniem.

–Macie tu parę pierożków.

Choje z powagą przyjął torebkę i podał Trinlemu, by rozdzielił dar.

–Dziękujemy ci. Spróbujemy przemycić trochę do stajni.

–Otworzyli stajnię – szepnął Shan. Nie było to pytanie, lecz bolesne stwierdzenie.

–Troje mnichów z jednej z północnych gomp. Siedzieli przy bramie, domagając się egzorcyzmów.

–Na zewnątrz widziałem pałkarzy. Wyglądają na zniecierpliwionych.

Choje wzruszył ramionami.

–Są młodzi.

–Nie dorosną, czekając na strajk wśród więźniów.

–Czego mogą oczekiwać? Jest tutaj gniewny jungpo. Wystarczyłby raptem jeden dzień, żeby przywrócić równowagę.

–Pułkownik Tan nigdy nie pozwoli na egzorcyzmy na górze. To byłaby porażka, wstyd.

–W takim razie twój pułkownik będzie musiał żyć z jednym i drugim. – W głosie Choje nie było wyzwania, jedynie ślad współczucia.

–Z jednym i drugim – powtórzył Shan. – Masz na myśli Tamdina.

Choje westchnął i rozejrzał się po celi. Do szmeru mantr dołączył jeszcze jeden, obcy dźwięk. Shan odwrócił się. Przy drzwiach siedział khampa. W jego oczach dostrzegł groźny blask.

–Wydostaniesz nas stąd, szamanie? – zapytał khampa. Oderwał ucho od swego kubka i ostrzył je o kamień. – Masz jakąś nową sztuczkę? Sprawisz, że pałkarze znikną? – Wybuchnął śmiechem i ostrzył dalej.

–Trinle ćwiczy mantrę strzały – powiedział Choje, patrząc na khampę smutnymi oczyma. Mantra strzały była zaklęciem z dawnych legend, pozwalającym w mgnieniu oka przenosić się na ogromną odległość. – Robi się bardzo dobry. Któregoś dnia wszystkich nas zaskoczy. Kiedyś, gdy byłem chłopcem, widziałem, jak pewien stary lama wykonał ten rytuał. Nagle wszystko się rozmasało i zniknął. Jak strzała z łuku. Godzinę później pojawił się znowu, z kwiatem, który rósł tylko w gompie pięćdziesiąt mil dalej.

–Więc Trinle opuści was jak strzała? – zapytał Shan. Z jego głosu przebijało

zniecierpliwienie.

–Trinle dużo wie. Są rzeczy, które trzeba uchronić.

Shan westchnął głęboko, by uspokoić nerwy. Choje mówił tak, jakby cały ich świat był skazany na zagładę.

–Opowiedz mi o Tamdinie – poprosił.

Choje skinął głową.

–Niektórzy mówią, że on jeszcze nie skończył. – Smutno spojrzął Shanowi w oczy.

– Jeśli uderzy znowu, będzie bezlitosny. Za czasów siódmego – ciągnął, mając na myśli siódmego dalajlamę – została zniszczona cała mandżurska armia, która wtargnęła do Tybetu. W czasie marszu runęła na nią góra. Rękopisy mówią, że zwałił ją właśnie Tamdin.

–Rinpocze, posłuchaj mnie. Czy wierzysz w Tamdina?

Choje przyjrzał mu się przenikliwie.

–Ludzkie ciało to niedoskonałe naczynie dla ducha. Z pewnością we wszechświecie jest miejsce na wiele innych naczyń.

–Ale czy wierzysz w demona, który grasuje po górach? Muszę wiedzieć, czy... czy jest jakaś szansa na powstrzymanie tego wszystkiego.

–Zadajesz niewłaściwe pytanie – odparł lama powolnym, modlitewnym tonem. – Wierzę w to, że byt, który nazywamy Tamdinem, potrafi zawładnąć istotą ludzką.

–Nie rozumiem.

–Jeśli niektórzy mogą stać się buddami, to inni zapewne mogą się stać tamdinami.

Shan podparł głowę dłońmi, walcząc z ogarniającym go zmęczeniem.

–Jeśli mamy mieć jakąś nadzieję, muszę wiedzieć więcej.

–Musisz nauczyć się z tym walczyć.

–Z czym?

–Z tym, co nazywasz nadzieją. Ona wciąż cię trawi, przyjacielu. Zwodzi cię wiarą, że możesz walczyć ze światem. Odciąga cię od tego, co bardziej ważne. Każe ci widzieć świat zaludniony przez ofiary, łotrów, bohaterów. Ale to nie jest nasz świat. My nie jesteśmy ofiarami. Po prostu zostaliśmy zaszczytzeni możliwością dowiedzenia swej wiary. Jeżeli mamy być unicestwieni przez pałkarzy, tak się stanie. Ani nadzieja, ani strach tego nie zmieniają.

–Rinpocze, nie mam sił, by żyć bez nadziei.

–Czasami myślę o tobie – odparł Choje. – Martwi mnie, czy nie nazbyt usilnie szukasz.

Shan smutno skinął głową.

–Chyba nie potrafię nie szukać.

Choje westchnął.

–Oni trzymają lamę – powiedział. – Pustelnika z gompys Saskya.

Shan dawno już zrezygnował z prób zrozumienia, jak informacje rozprzestrzeniają się wśród Tybetańczyków i przenikają przez ściany więzień. Wyglądało to tak, jakby miejscowi posługiwali się jakąś tajemną formą telepatii.

–Czy on to zrobił? – zapytał Choje.

–Uważasz, że lama mógłby zrobić coś takiego?

–Každy duch może dopuścić się odstępstwa. Nawet sam Budda zmagął się z licznymi pokusami, nim wreszcie dostąpił oświecenia.

–Widziałem tego lamę – odparł Shan z powagą. – Patrzyłem w jego twarz. On tego nie zrobił.

–Ach – westchnął Choje. Zapadło milczenie. – Rozumiem – odezwał się po długiej chwili. – Aby uzyskać jego zwolnienie, musisz dowieść, że morderstwo zostało popełnione przez Tamdina.

–Tak – przyznał w końcu ledwie słyszalnie Shan, wbijając wzrok w dłonie. Siedzieli w milczeniu. Gdzieś z zewnątrz dobiegł przeciągły, bezcielesny jęk bólu. Yeshe zaprotestował, gdy następnego ranka Shan wyjaśnił mu, co ma robić.

–Mogę trafić za kratki za samo pytanie o czarownika – jęknął.

Feng wiozł ich do miasta. Droga biegła wśród niskich, porośniętych falującym wrzosem żwirowych wzgórz. Wijący się pas wierzb i wysokich turzyc wyznaczał bieg rzeki, która przetoczywszy się kaskadami przez Smoczą Gardziel, stateczniejszym już nurtem sunęła doliną. Minęli pole, zrównane spychaczami wzgórze, na którym dogorywały rzędy roślin, nie do poznania poskręcanych i wykoślawionych przez wiatr i suszę. Kolejna chybiona próba przeszczepienia na tybetański grunt czegoś, czego ani tu nie potrzebowano, ani nie chciano.

–Za co cię ukarali? – zapytał Shan Yeshego. – Czemu skazano cię na obóz pracy? Chłopak nie odpowiedział.

–Dlaczego wciąż się ich boisz? Jesteś już wolny.

–Každy człowiek zdrowy na umyśle się ich boi. – Yeshe uśmiechnął się kwaśno.

–Chodzi o twoje papiery podróżne? To właśnie cię gnębi? Myślisz, że nie dadzą ci ich, jeśli będziesz pracował dla mnie. Bez nowych papierów podróżnych nigdy nie wyrwiesz się z Tybetu, nigdy nie dostaniesz w Sichuanie pracy na miarę twoich możliwości, nigdy nie będziesz miał swojego ślicznego telewizora.

Yeshe wydawał się urażony tą uwagą. Nie zaprzeczył jednak.

–Nie powinno się zachęcać tych szarlatanów – powiedział. – Oni utrzymują Tybet w poprzednim stuleciu. Hamują postęp.

Shan spojrzał na niego, ale nie odpowiedział. Yeshe odwrócił się i z nachmurzoną miną wyjrzał przez okno. Drogą szła kobieta okutana w obszerny brązowy płaszcz z filcu. Prowadziła kozę na postronku.

–Chcesz poznać historię Tybetu? – zapytał ponuro Yeshe, wciąż z twarzą zwróconą do okna. – To jedna długa walka między kapłanami a czarownikami. Kapłani każą nam dążyć do doskonałości. Ale doskonałość jest trudna. Czarownicy proponują drogę na skróty. Czerpią swą moc z ludzkiej słabości, a ludzie dziękują im za to. Kiedy władzę mają kapłani, krzewią ideał doskonałości. Kiedy rządzą czarownicy, w imię tego samego ideału burzą to, czego dokonali kapłani.

–A więc do tego wszystko się sprowadza?

–To utrzymuje społeczeństwo w ruchu. W Chinach tak samo. Wy też macie swoich czarowników. Tyle że u was nazywają się: sekretarz taki, minister owaki. Z małą czerwoną książeczką zaklęć spisaną przez samego przewodniczącego.

Najwyższego Szamana. – Rozejrzał się, spłoszony, nagle uświadomiwszy sobie, że Feng mógł to usłyszeć. – To znaczy, nie chciałem... – wymamrotał. Wściekły na siebie zacisnął pięści i znów odwrócił się do okna.

–Czyżbyś bał się uczniów tego Khordy? – zapytał Shan. Może oni wszyscy powinni się bać, pomyślał. Jeśli chcesz dotrzeć do Tamdina, powiedział mu Choje, porozmawiaj z uczniami Khordy.

–Uczniów? Kto wspominał o uczniach? Nie ma potrzeby. Ludzie wciąż mówią o starym czarowniku. On żyje. Jeżeli można tak to nazwać. Podobno nie musi nic jeść. Niektórzy twierdzą, że nie musi nawet oddychać. Ale my będziemy musieli znaleźć jego norę.

–Norę?

–Jego kryjówkę. To może być jaskinia głęboko w górach. Albo równie dobrze plac targowy. On jest bardzo tajemniczy. Przemyka to tu, to tam, od cienia do cienia. Ludzie mówią, że potrafi rozplynać się w powietrzu, jak dym. To może zająć trochę czasu.

–Dobrze. My z sierżantem pójdziemy do restauracji, a potem do domu Jao. Później będziemy w biurze pułkownika. Dołącz tam do nas, kiedy znajdziesz swojego czarownika.

–Ten Khorda nigdy nie zgodzi się rozmawiać ze śledczym.

–Więc powiedz mu prawdę. Powiedz, że jestem znękanym człowiekiem, rozpaczliwie potrzebującym magii.

W restauracji próbowano zamknąć Shanowi drzwi przed nosem.

–Znaliście prokuratora Jao?! – zawołał do szefa sali przez szparę w drzwiach.

–Znałem. Odejdźcie.

–Pięć dni temu był tu z Amerykanką.

–Często tu bywał.

Shan położył rękę na drzwiach. Mężczyzna wykonał ruch, jak gdyby zamierzał je domknąć, jednak widząc sierżanta Fenga, cofnął się i odbiegł w głąb holu.

Shan wszedł do środka i ruszył za cieniem uciekającego kelnera. W korytarzu młodszy personel kulił się ze strachu. W kuchni nikt nie patrzył w jego stronę.

Dogonił mężczyznę, gdy ten wślizgiwał się bocznymi drzwiami do sali jadalnej.

–Czy tamtego wieczoru przyniesiono jakąś wiadomość? – zapytał.

Kelner udawał, że nie słyszy. Krążył, zbierając tace, nerwowo odłożył je parę kroków dalej, wreszcie wyciągnął z kredensu stos talerzy.

–Ty! – ryknął Feng od drzwi.

Mężczyzna wzdrygnął się. Talerze wyslizgnęły mu się z rąk i roztrzasnęły na podłodze. Patrzył na nie zagubionym wzrokiem.

–Kto by to pamiętał? Był duży ruch. – Zaczął się trząść.

–Kto tu był? Ktoś już tu był. Ktoś, kto powiedział, żebyście ze mną nie rozmawiali.

–Kto by to pamiętał? – powtórzył kelner.

Feng zrobił krok w jego stronę, ale Shan tylko uniósł z rezygnacją dłoń i zwrócił się do wyjścia.

–Kto zapłaci za talerze? – jęknął za nim kelner.

Jeszcze na zewnątrz, wracając do terenówki, Shan słyszał za sobą jego dziecinny szloch.

Prokurator Jao mieszkał w małym jednorodzinny domku na rządowym osiedlu w nowej części miasta, kanciastym tynkowanym budynku z dwoma pokojami i oddzielną kuchnią. W Tybecie stanowiło to odpowiednik luksusowej willi.

Shan zatrzymał się chwilę przy wejściu, notując w pamięci ślady na świeżo zdeptanych wrzosach okalających dom. Drzwi były lekko uchylone. Pchnął je łokciem, uważając, by nie zatrzeć odcisków palców, jakie mogły zachować się na klamce. Tu, miał nadzieję, kryła się odpowiedź na pytanie, dlaczego prokurator zбочzył na Szpon Południowy. A jeśli nie, pozna tu w każdym razie prywatne oblicze Jao, które odsłoni przed nim motywy jego działań.

Był to uporządkowany, anonimowy pokój. W rogu, pod plakatem przedstawiającym zarys Hongkongu na tle nieba, stał mały stolik z ozdobnym zestawem do mah-jonga. Jedyne meblowanie stanowiły dwa potężne, tapicerowane krzesła. Shan stanął jak wryty. Na jednym z krzeseł spał młody człowiek.

Nagle usłyszał głosy z kuchni. W drzwiach pojawił się Li Aidang, równie elegancki i schludny jak wtedy, gdy Shan widział go po raz pierwszy w biurze Tana.

–Towarzysz Shan! – wykrzyknął z fałszywym entuzjazmem. – Shan, prawda? Nie przedstawiliście się podczas naszego pierwszego spotkania. Bardzo sprytnie.

Mężczyzna na krześle poruszył się, spojrzał na Shana nieprzytomnym wzrokiem, przeciągnął się i znowu zamknął oczy.

W głębi, za plecami Li, jakieś Tybetanki pucowały podłogę i ściany.

–Porządkujecie dom przed zamknięciem śledztwa? – zapytał Shan z niedowierzaniem.

–Wszystko w porządku. Już przeszukany. Nic tu nie było.

–Czasem nie od razu jest oczywiste, co może się stać dowodem. Dokumenty. Odciski palców.

Li skinął głową, jak gdyby przytakując mu dla świętego spokoju.

–Ale ostatecznie zbrodnia nie została popełniona tutaj. A dom należy do ministerstwa. Nie może stać pusty.

–A może morderca czegoś szukał? Może wrócił tu i przeszukał dom?

Li rozłożył ręce.

–Nic nie zginęło – powiedział. – A my znamy już ruchy zabójcy. Ze Szponu Południowego do jaskini. Z jaskini z powrotem do gompy. – Uniósł dłoń, ucinając dalszą dyskusję i zawołał siedzącego mężczyznę. Obudzony drgnął i wyciągnął przed siebie tekturową teczkę. Li podał ją Shanowi. – Pozwoliłem sobie zestawić rozkład zajęć Jao. Komitety, w których działał. Szczegóły sprawy, w której oskarżony Sungpo został skazany na więzienie jako członek Piątki z Lhadrung.

–Myślałem, że porozmawiamy z jego sekretarką.

–Znakomity pomysł – odparł Li, wzruszając ramionami. – Tyle że ona zawsze bierze urlop równocześnie z Jao. Jest w Hongkongu. Wyjechała tej samej nocy co Jao. Sam odwoziłem ją na lotnisko.

Wracając do samochodu, Shan przystanął, patrząc z niedowierzaniem na ekipę

zabierającą się do polewania wężem ścian budynku.

–Pisklaki drą się najgłośniej – skwitował z rozbawieniem Feng, siadając za kierownicą.

I nagle Shan sobie coś przypomniał. O tym, że zajrzy do tego domu i restauracji, wspominał tylko Yeshemu.

Doktor Sung pojawiła się na korytarzu szpitala w lekarskim fartuchu i zakrwawionych rękawiczkach. Na szyi wisiała jej maska koujiao.

–To znowu wy?

–Wydajecie się rozczarowani – zauważył Shan.

–Pielęgniarka powiedziała, że przyszło dwóch ludzi, którzy chcą się czegoś dowiedzieć o Jao. Myślałam, że to ci drudzy.

–Ci drudzy?

–Zastępca prokuratora. Wy dwaj powinniście spróbować dialektyki.

–Słucham?

–Porozmawiać ze sobą. Robić swoje jak należy, żebym ja mogła pracować w spokoju.

Shan zacisnął zęby.

–Więc Li Aidang pytał o ciało?

Jego zmieszanie najwyraźniej sprawiło jej przyjemność.

–Pytał o ciało. Pytał o was. Pytał o waszych towarzyszy – odparła, rzucając spojrzenie w głąb korytarza, gdzie snuli się Feng i Yeshe. – Wzięli recepty na osobisty użytek. Wy nigdy nie poprosiliście o receptę.

–Przepraszam – powiedział Shan, sam nie wiedząc dlaczego.

Doktor Sung ściągnęła rękawiczki.

–Za piętnaście minut mam następną operację – oświadczyła, ruszając korytarzem.

–Pułkownik kazał przysłać tu głowę – odezwał się Shan do jej pleców, doganiając ją.

–Uroczy gest, pomyślałam sobie – odparła cierpko. – Można mnie było uprzedzić. Tak po prostu, prosto z torby. Cześć, towarzyszu prokuratorze.

Powinna chyba wiedzieć, czego oczekiwać po Tanie, pomyślał Shan. Nagle zrozumiał, o co jej chodzi.

–To znaczy, że go znaliście.

–To małe miasto. Oczywiście, że znałam Jao. Tydzień temu pożegnałam się z nim, kiedy wyjeżdżał na wakacje. I teraz odwijam paczkę od pułkownika, a on patrzy na mnie, jakbyśmy mieli jakąś nie załatwioną sprawę.

–I jakie są wasze wnioski?

–Na jaki temat? – Otworzyła szafkę, rozglądając się po niemal pustych półkach. – Świetnie. – Z powrotem naciągnęła zakrwawione rękawiczki. – Prosiłam, żeby przysłali nam więcej rękawiczek. Powiedzieli, żebyśmy sterylizowali te, które mamy. Idioci. Może mam ich zdaniem włożyć lateksowe rękawiczki do autoklawu?

–Na temat oględzin głowy.

–Au! – wykrzyknęła, odrzucając głowę w tył. – Teraz chce sekcji głowy – jęknęła w stronę upstrzonego przez muchy sufitu.

Shan patrzył na nią bez słowa.

–W porządku. Jedna czaszka, nienaruszona. Jeden mózg, nienaruszony. Organy słuchu, organy wzroku, organy smaku, organy węchu nienaruszone. Jeden wielki problem.

Shan zbliżył się do niej.

–Znaleźliście coś?

–Dawno nie był u fryzjera – odparła i ruszyła korytarzem.

Shan patrzył za nią osłupiały.

–Sprawdzaliście jego kartę dentystyczną?! – zawołał do jej pleców.

–Znów to samo. Myślicie, że jesteście w Pekinie. Jao leczył zęby, prawda, ale nie w Tybecie. Nie ma danych, na których można by się oprzeć.

–Próbowaliście dopasować głowę do ciała?

–Ile właściwie macie na składzie bezgłowych ciał, towarzyszu?

Patrzył na nią bez słowa.

Mruknęła coś pod nosem, poprawiła rękawiczki i rzuciła mu koujiao z półki.

Milcząc, ruszyli do prosektorium. Panujący wewnątrz odór był teraz o wiele gorszy, wręcz nie do zniesienia. Shan zawiązał mocniej maskę, oglądając się przez ramię. Feng i Yeshe nie weszli do środka. Kręcili się po korytarzu, obserwując ich przez okienko w drzwiach.

Na stole sekcyjnym, na przykrytych prześcieradłem zwłokach, stało brudne tekturowe pudło. Shan odwrócił się, gdy Sung wyjęła zawartość pudła i nachyliła się nad ciałem.

–Niesamowite. Pasuje. – Kiwnęła na niego zapraszająco. – Może chcecie sami spróbować? Już wiem. Poobcinamy kończyny i zrobimy sobie łamigłówkę.

–Interesował mnie charakter cięć.

Rzuciła mu poirytowane spojrzenie, po czym wyjęła butelkę alkoholu i przemyła skórę wokół szyi.

–Jedno, dwa... mogę naliczyć trzy cięcia. Jak już mówiłam, to nie były brutalne ciosy. Precyzyjne, jakby morderca ciął ofiarę na plasterki.

–Skąd możecie to wiedzieć?

–Gdyby polegał na sile, tkanka zostałaby zmiążdżona. A to są bardzo czyste cięcia. Narzędzie było ostre jak brzytwa. Fachowa robota, jakby ją wykonał rzeźnik.

Rzeźnik. Przypomniawszy jej już poprzednio, że tylko w Tybecie są rzeźnicy szkoleni w rozkrawianiu ciała człowieka.

–Szukaliście śladów stłuczeń na czaszce?

Sung uniosła wzrok.

–Jak sami stwierdziliście – wyjaśnił – leżał, gdy odcinano mu głowę. Na ubraniu nie było śladów krwi. Musiano go pozbawić przytomności. Dopiero potem wykonano cięcia.

–Rzadko się zdarza, że musimy przeprowadzić kompletną autopsję – mruknęła, przysuwając do stołu lampę na kółkach. Były to całe przeprosiny, na jakie potrafiła się zdobyć.

Sierżant Feng krążył po korytarzu, kiedy badała czaszkę.

–W porządku – powiedziała wreszcie. – Za prawym uchem. Długi, poszarpany ślad. Skóra została lekko uszkodzona.

–Kij? Pałka?

–Nie. Coś o nierównych krawędziach. Być może kamień.

Shan wyciągnął z kieszeni przy zwłokach wizytówkę.

–Czy wiecie, dlaczego Jao miałby rozmawiać z kimś na temat sprzętu rentgenowskiego?

Sung obejrzała ją uważnie.

–Amerykańska? – zapytała, oddając kartonik. – A sprzęt? Za drogi jak na Tybet. – Wyjęła z kieszeni notatnik i zaczęła pisać coś z zapalem.

–Po co mógł mu być potrzebny taki sprzęt?

Wzruszyła ramionami.

–Na pewno do śledztwa. – Podniosła kołnierz bluzy, jak gdyby nagle zrobiło jej się zimno.

–A Amerykanie z kopalni? Czy ktoś mógłby potrzebować takiego sprzętu dla nich?

Pokręciła głową.

–Oni też muszą korzystać z kliniki, jak wszyscy inni. Przydział zasobów medycznych został starannie rozplanowany.

–To znaczy?

–To znaczy, że najbardziej produktywni członkowie klasy robotniczej mają pierwszeństwo.

Shan wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Wypowiadała słowa uważnie, niczym na zebraniu krytyki. Było oczywiste, że coś cytowała.

–Najbardziej produktywni członkowie, towarzyszeko doktor?

–Mam okólnik z Pekinu. Mogę wam go pokazać. Jest tam powiedziane, że Tybetańczycy cierpią na trwałe uszkodzenie mózgu na skutek przebywania w dzieciństwie na dużych wysokościach, gdzie atmosfera jest uboga w tlen.

Shan nie pozwolił jej się wykręcić tym stwierdzeniem.

–Jesteście absolwentką uniwersytetu Bei Da, towarzyszeko doktorze. Z pewnością zdajecie sobie sprawę z różnicy między medycyną a polityką.

Na chwilę odwzajemniła jego spojrzenie, po czym spuściła oczy.

–To musi być trudne – zmienił temat Shan – robić sekcję zwłok przyjaciela.

–Przyjaciela? Po prostu rozmawialiśmy czasem. Z reguły chodziło o dochodzenia. I sprawy urzędowe. Opowiadał dowcipy. W Tybecie nieczęsto słyszy się dowcipy.

–Na przykład jakie?

Zastanawiała się przez chwilę.

–Pamiętam jeden. Dlaczego Tybetańczycy umierają szybciej niż Chińczycy? – Spojrzała wyczekująco, z ustami wykrzywionymi przez grymas, który mógł być uśmiechem. – Dlatego, że chcą.

–Dochodzenia. Mieliście na myśli morderstwa?

–Przywożą mi zwłoki. Morderstwa. Samobójstwa. Wypadki. Po prostu wypełniam formularze.

–Ale naszego formularza nie wypełniliście.

–Czasami trudno nie zauważyć czegoś, co jest oczywiste.

–A inne? Nigdy nie jesteście ciekawi? – zapytał.

–Ciekawość, towarzyszu, może być bardzo niebezpieczna.

–Z iloma zgonami na tle urazowym mieliście do czynienia w ostatnich dwóch latach?

–Moim zadaniem jest opowiedzieć wam o tych tu zwłokach. – Sung zmarszczyła się. – Nic ponadto.

–Słusznie. Od tego są wasze formularze.

Sung uniosła ręce w geście rezygnacji.

–Jak się od was uwolnić? Dobrze. Pamiętam trzech, którzy spadli w przepaść. Czterech zginęło w lawinie. Jeden uduszony. Czterech czy pięciu w wypadkach samochodowych. Jeden wykrwawił się na śmierć. Rejestrowanie zgonów nie należy do moich obowiązków. I byli to głównie Chińczycy. Lokalne mniejszości – spojrzała znacząco – nie zawsze korzystają z udogodnień zapewnianych im przez państwo ludowe.

–Uduszenie?

–Dyrektor Urzędu do spraw Wyznań. Zmarł w górach.

–Choroba wysokościowa?

–Niedotlenienie – dość ogólnie stwierdziła Sung.

–Ale to byłaby śmierć z przyczyn naturalnych.

–Niekoniecznie. Stracił przytomność od ciosu w głowę. Nim ją odzyskał, ktoś wypakował mu tchawicę kamykami.

–Kamykami? – Shan drgnął gwałtownie.

–Wzruszające, doprawdy – stwierdziła Sung z ponurym uśmiechem. – Wiecie, to była tradycyjna metoda uśmiercania członków rodziny królewskiej.

Shan wolno skinął głową.

–Ponieważ nikomu nie było wolno użyć wobec nich przemocy. Czy odbył się proces?

Znowu wzruszyła ramionami. Najwyraźniej był to jej charakterystyczny nawyk.

–Nie wiem. Chyba tak. Wrogie elementy. Wiecie, opozycja.

–Jaka opozycja?

–Nie moja sprawa. Nie pamiętam twarzy. Kiedy mnie proszą, przychodzę i odczytuję przed sądem protokół z obdukcji. Zawsze to samo.

–Czyli, jak rozumiem, wy zawsze odczytujecie protokół, a Tybetańczyk zawsze ponosi karę.

Jedyną odpowiedzią Sung było piorunujące spojrzenie.

–Wasza gorliwość w wypełnianiu obowiązków jest godna podziwu – stwierdził Shan.

–Chciałabym wrócić kiedyś do Pekinu, towarzyszu. A wy?

Shan zignorował to pytanie.

–A ten, który wykrwawił się na śmierć? Przypuszczam, że dźgnął się pięćdziesiąt razy nożem.

–Niezupełnie – odparła doktor Sung z mrocznym błyskiem w oku. – Miał wycięte serce. Mam na ten temat teorię.

–Jaką? – zapytał Shan z iskierką nadziei.

–On nie zrobił sobie tego sam. – Wychodząc, tak gwałtownie pchnęła drzwi, że Feng tylko cudem przed nimi uskokzył.

Dwadzieścia minut później był w gabinecie Tana. W poczekalni minął Yeshego, ignorując jego podniecony szept.

–Wy macie jaja, więźniu Shan – stwierdził pułkownik. – Wielkie jak Czomolungma.

–Jesteście pewni, że te sprawy nie mają ze sobą związku?

–Niemożliwe, żeby miały – warknął Tan. – To zamknięte sprawy. Mielicie zasypać jedną dziurę, a nie rozkopywać inne.

–Ale jeżeli one są powiązane...

–Nie są powiązane.

–Ta Piątka z Lhadrung, jak ich nazywają... Wspominaliście o nich wczoraj. Nie zrozumiałem, kiedy powiedzieliście, że opozycja wciąż udowadnia wasze twierdzenie, że po Buncie Kciuków byliście dla nich zbyt łagodni. To dlatego, że znów trafiają za kratki. Za morderstwa.

–Kultyści z mniejszości tybetańskiej mają trudności z przestrzeganiem naszych praw. Być może fakt ten nie umknął waszej uwagi.

–Ilu z tej piątki aresztowano za morderstwo?

–To tylko dowodzi, że błędem było uwolnienie ich za pierwszym razem.

–Ilu?

–Sungpo jest czwarty.

–Jao prowadził ich sprawy?

–Oczywiście.

–Nie można zignorować powiązań. Ministerstwo nie pozwoliłoby sobie na to.

–Ja tu nie widzę żadnych powiązań.

–Cała ta piątka była tu, w Lhadrung. Razem byli sądzeni i razem więzieni. To jeden związek. Potem czterem z nich po kolei zarzucono morderstwo. Następny związek. Sprawy pierwszych trzech prowadził Jao. Czwarty jest oskarżony o zamordowanie Jao. Znów związek. Muszę wiedzieć o tych trzech sprawach. Udowodnienie spisku mogłoby rozwiązać nasz problem.

Tan przyjrzał mu się podejrzliwie.

–Jesteście gotowi zmierzyć się ze spiskiem buddystów?

–Jestem gotowy dojść prawdy.

–Słyszeliście o purbach? – zapytał Tan.

–Purba to obrzędowy sztylet używany w buddyjskich świątyniach.

–To także nazwa przyjęta przez nową grupę oporu. Głównie należą do niej mnisi, choć nie wydaje się, by mieli coś przeciwko stosowaniu przemocy. Inny gatunek. Bardzo niebezpieczni. Oczywiście, że jest spisek. Buddyjscy chuligani pokroju purbów zmówili się, by wymordować urzędników państwowych.

–Mówicie, że wszyscy pozostali byli urzędnikami?

Tan zapalił papierosa, badawczo przyglądając się Shanowi.

–Mówię, żebyście nie pozwalali, by wasza paranoja przesłoniła wam to, co oczywiste.

–A jeśli sprawy mają się inaczej? Jeżeli Piątka z Lhadrung sama pada ofiarą spisku?

Tan skrzywił się ze zniecierpliwieniem.

–W jakim celu ktoś miałby ich pogrążyć?

–Zamaskowania większej zbrodni. Trudno mi powiedzieć o tym coś konkretnego, dopóki nie przeanalizuję pozostałych przypadków.

–Tamte morderstwa zostały rozpracowane. Nie zaczynajcie mącić.

–A jeśli można znaleźć inny schemat?

–Schemat? – Smugi wydychanego dymu nadawały Tanowi wygląd smoka. – Kogo to obchodzi?

–Dwa zgony to za mało, by dostrzec jakąś prawidłowość. Czasem nie wystarczają nawet trzy. Ale teraz mamy cztery. Być może da się już dostrzec coś, co dotąd było niewidoczne. Co będzie, jeśli dopatrzą się tego w ministerstwie? Będą tam mieli dostęp do akt. Cztery morderstwa w ciągu kilku miesięcy. Oskarżonych jest czterech z pięciu czołowych prowodyrów opozycji w okręgu, ale nie czyni się żadnych wysiłków, by powiązać te sprawy. A ofiary obejmują co najmniej dwóch z najwyższych rangą urzędników okręgu. Dwa albo trzy można by uznać za zbieg okoliczności. Cztery robią wrażenie fali przestępczości. Ale pięć... to mogłoby już zakrawać na niedbalstwo.

Schemat, powtórzył w myślach Shan, wchodząc wraz z Yeshem i Fengiem w rozgardiasz placu targowego. Był w tym wszystkim jakiś schemat, nie miał co do tego wątpliwości. Czuł to instynktownie, jak wilk czuje woń zwierzyny z drugiego końca lasu. Ale skąd dobiegał zapach? Skąd brała się owa pewność?

Targowisko było bezładnym skupiskiem straganów, pomiędzy które wcisnęli się przekupnie handlujący z kocy rozłożonych na udeptanej ziemi. Shan chłonął ten obraz szeroko otwartymi oczyma. W tym jednym miejscu kłębiło się więcej życia, niż widział przez całe trzy ostatnie lata. Jakaś kobieta wyciągała przed siebie przędzę z sierści jaka, inna wykrzykiwała cenę garnków koziego masła. Dotknął dłonią jajek piętrzących się w koszyku. Nie miał w ustach jajka, odkąd opuścił Pekin. Mógłby wpatrywać się w koszyk godzinami. Cud jajek. Stary człowiek krzątał się wokół kunsztownie rozłożonych ofiarnych figurek torma, wyrabianych z masła i ciasta. Dzieci. Wzrok Shana przyciągnęła gromadka bawiąca się z owieczką. Korciło go, by podejść i dotknąć któregoś z nich, upewnić się, że jest jeszcze na świecie coś tak młodego i niewinnego.

Feng położył mu dłoń na ramieniu, przywołując go z powrotem do rzeczywistości. Shan ruszył pomiędzy straganami. Znow napłynęła fala pytań. Trop schematu. Czy chodziło po prostu o to, że wiedział, iż człowiek taki jak Sungpo nie może być mordercą? Nie. Było w tym coś jeszcze. Jeśli Sungpo nie zabił, w grę wchodził spisek. Ale czyj spisek? Oskarżonych? Oskarżycieli? Czy wykaże przed światem, że mnisi są winni, za co potępi sam siebie, czy że są niewinni, za co potępi go władza?

Feng kupił patyk pieczonych dzikich jabłek. Mężczyzna z bielmem na oku,

obracając młynek modlitewny, sprzedawał na słoiki chang, tybetańskie piwo z jęczmienia. Za samotną dziewczyną z warkoczami do pasa piętrzyły się stosy twardego, wyschniętego i brudnego jaczego sera. Mały chłopiec zachwalał jogurt w plastikowych workach, stojący obok starzec wystawiał na sprzedaż jakieś skóry. Shan zauważył, że większość Tybetańczyków nosi przywiązane lub przypięte do koszul gałązki wrzосу. Jednoręka dziewczyna zawołała, żeby kupili od niej kawałek jedwabiu na khatę. W powietrzu unosiła się ciężka woń maślanej herbaty, kadzidła i nie mytych istot ludzkich.

Kilku żołnierzy legitymowało żylastego, niespokojnego mężczyznę ze sztyletem zatknętym za pas na modłę khampów. Widząc podchodzących żołnierzy, chwycił nie za sztylet, lecz za wiszące na szyi gau, puzderko na amulet, w którym zapewne nosił wezwanie do bóstwa opiekuńczego. Przepuścili go. Odchodząc, mężczyzna poklepał gau dziękczynnym gestem. I wtedy Shan przypomniał sobie nagle. Okoliczni mieszkańcy skarżyli się, że wybuchy rozniewały Tamdina. Fowler zaprzeczyła, tłumacząc, że zaczęła wysadzać skały dopiero przed pół rokiem. To znaczyło, że Tamdin objawił się wcześniej. Jego gniew trwał dłużej. Schemat. Czy Tamdin zabijał już przedtem?

Yeshe przystanął na drugim końcu targowiska, przy zamkniętym kramie, którego drzwi stanowił brudny dywan wsparty na dwóch wątych słupkach. Sierżant Feng zajrzał do mrocznego kramu i zmarszczył brwi. Niejeden chiński żołnierz zaginął bez śladu w takim miejscu. Wskazał na stragan z herbatą bliżej środka placu.

–Wypiję dwie czarki, nie więcej. – Sięgnął do koszuli i wydobył gwizdek na sznurku. – Potem zawołam patrol. – Zsunął zębami jabłko z patyka i odszedł.

Buda nie miała okien, tylko drzwi, przez które do niej weszli. Wnętrze rozjaśniały jedynie lampki maślane, których nikłe światło przyćmiewał jeszcze dym kadzidła. Gdy jego wzrok przywykł do ciemności, Shan dostrzegł rzędy półek zastawionych czarkami i słojami. Był to sklepik zielarza. Za szeroką deską ułożoną na dwóch ustawionych pionowo skrzynkach siedziała chuda jak szkielet kobieta. Zwróciła ku wchodzącym bezmyślne spojrzenie. Z prawej strony, pod ścianą, na glinianej polepie siedziało trzech mężczyzn, najwyraźniej zamroczonych. Kierując się wzrokiem Yeshego, Shan spojrzał na lewo, w najciemniejszy kąt pomieszczenia. Na prymitywnym stole leżał niski, brudny, stożkowy kapelusz z podwiniętym brzegiem. Za nim głębszym cieniem rysował się kształt zwierzęcia, być może dużego psa.

–Kapelusz czarownika – szepnął niespokojnie Yeshe. – Nie widziałem takiego, odkąd byłem chłopcem.

–Nie mówiłeś nic o Chińczyku – warknęła starucha.

Na jej słowa jeden z siedzących mężczyzn zerwał się, chwytając oparty o rzędy półek gruby kij.

Yeshe położył dłoń na ramieniu Shana.

–Wszystko w porządku – powiedział nerwowo. – On nie jest taki.

Kobieta przeszyła Shana lodowatym spojrzeniem, po czym wzięła słoik proszku z najniższej półki.

–Chcesz coś na potencję, co? Tego właśnie chcą Chińczycy.

Shan powoli pokręcił głową. Odwrócił się w stronę Yeshego. Nie taki jak kto? Zbliżył się o krok do stołu w kącie. Mroczny kształt jakby się poruszył. Teraz widać już było, że to człowiek, śpiący lub odurzony. Shan podszedł jeszcze o krok. Lewa połowa twarzy mężczyzny była zmiażdżona. Brakowało mu połowy lewego ucha. Przed nim stała brązowa miska, pokryta od wewnątrz srebrem. Shan przyjrzał się osobliwemu wzorowi na naczyniu. To nie była miska. To była górna połowa ludzkiej czaszki.

Drugi z siedzących mężczyzn przyskoczył nagle do Shana i wczepił się w jego łokieć, mamrocząc groźby w jakimś niezrozumiałym dialekcie. Shan odwrócił się ku niemu. Zaskoczony stwierdził, że mężczyzna jest mnichem. A jednak było w nim coś dzikiego, prymitywnego, coś, czego nigdy dotąd nie widział u mnicha.

–On mówi – odezwał się Yeshe, patrząc na śpiącego – on mówi, że jeśli zrobisz zdjęcie, w jednej chwili wyśle cię na drugi poziom gorącego piekła.

Gdziekolwiek się obrócił, napotykał tylko ostrzeżenia i groźby. Odwrócił dłonie na zewnątrz, by pokazać, że są puste.

–Powiedz mu – odezwał się ze znużeniem – że nie jestem obeznany z tym piekłem.

–Nie drwij z niego – przestrzegł go Yeshe. – On ma na myśli Kalasutrę. Przybijają cię tam gwoździami i kroją na kawałki rozpaloną piłą. Ci mnisi należą do bardzo starej sekty. Niemal nikt z niej nie pozostał. Powiedzą ci, że to piekło istnieje naprawdę. Mogą nawet powiedzieć, że tam byli.

Shan spojrzał zimno na mnicha.

Yeshe pociągnął go za ramię.

–Nie. Nie drażnij go. Ten pijak nie może być tym, kogo potrzebujemy. Odejdźmy stąd.

Shan zignorował go i podszedł znów do kobiety.

–Mogę ci powróżyc – zagadkała jak kura.

–Nie interesują mnie wróżby – odparł Shan.

Na stole leżał przedmiot z brązu, okrągła płytka wielkości jego dłoni. Na obwodzie znajdowały się maleńkie wizerunki buddów. Środek był wypolerowany do połysku.

–Twoi rodacy lubią wróżby.

–Wróżby odsłaniają tylko fakty. Mnie interesują związki między faktami – stwierdził Shan. Sięgnął po płytkę. Nim zdążył jej dotknąć, Yeshe gwałtownie chwycił go za przegub.

–To nie dla ciebie – powiedziała kobieta, rzucając Yeshemu karcące spojrzenie, jak gdyby wolała, żeby Shan podniósł krążek.

–Co to jest? – zapytał.

Yeshe odwrócił się do niego plecami, jakby chciał mu zapewnić ochronę.

–Wielka moc – gdakała kobieta. – Czar. Pułapka.

–Na co?

–Na śmierć.

–Pułapka na śmierć? Masz na myśli duchy?

–Nie tego rodzaju śmierć – powiedziała tajemniczo, odsuwając jego dłoń.

–Nie rozumiem.

–Wy, Chińczycy, nigdy nie rozumiecie. Boicie się śmierci, końca życia. Ale to nie ona ma znaczenie.

–Chcesz powiedzieć, że to łapie siły, które pustoszą duszę.

Kobieta powoli, z szacunkiem skinęła głową.

–Jeśli zostanie właściwie zogniskowane. – Przyglądała mu się przez chwilę, po czym wyjęła z miski garść czarnych i białych kamyków i rzuciła na stół. Z namaszczeniem ułożyła je w rzędku i po dłuższym namyśle odsunęła kilka na bok. Spojrzała na niego smutno. – Przez następny miesiąc nie kop samotnie w ziemi. Zapal tormę na ofiarę. Kłaniaj się czarnym psom.

–Muszę porozmawiać z Khordą.

–Kim jesteś? – zapytała.

Shan zastanowił się.

–W tej chwili wiem tylko, kim nie jestem – odparł szeptem.

Okrążyła stół i wzięła go za rękę, jakby mógł zabłądzić, gdyby sam poszedł do mrocznego kąta. Mnich znów chciał zastąpić mu drogę, lecz ostre spojrzenie kobiety powstrzymało go. Wycofał się i usiadł sztywno w wejściu, twarzą na zewnątrz. Yeshe przykucnął obok, przy framudze, zwrócony twarzą do Shana, jakby się spodziewał, że będzie musiał nagle skoczyć mu na ratunek.

Shan usiadł na skrzyni przed stołem, przyglądając się starcowi.

Nagle mężczyzna otworzył gwałtownie oczy, czujne od pierwszej chwili, jak ślepieca budzącego się drapieżnika.

Shanowi zdawało się przez moment, że spogląda w oblicze bóstwa. Oko w poszarpanej części twarzy starca patrzyło na niego z niezwykłym natężeniem. Brakującą gałkę oczną zastępowała jaskrawoczerwona szklana kula. Prawe, żywe oko, wydawało się nie bardziej ludzkie. Ono również jarzyło się jak podświetlony od tyłu klejnot.

–Choje Rinpocze poradził mi, żebym zwrócił się do ciebie.

Shanowi wydawało się, że oko na chwilę zwróciło się w głąb czaszki, jak gdyby poszukując w pamięci właściwego obrazu.

–Znałem Choje, gdy był zaledwie rapjungiem, uczniem w brązowej szacie – powiedział wreszcie Khorda. Jego głos brzmiał jak zgrzyt żwiru na skale. – Zajęli jego gompę wiele lat temu. Gdzie on teraz studiuje?

–W 404. Brygadzie lao gai.

Khorda powoli skinął głową.

–Widziałem, jak oni zajmują gompę. – Prawą stronę jego twarzy wykrzywił ohydny grymas. – Wiesz, co to oznacza? – zapytał. – Oni je usuwają. Rozbierają kamień po kamieniu. Wyrrywają z korzeniami. Właczają fundamenty w ziemię. Cywilizowanie, tak to się nazywa. Wywożą kamienie i budują baraki. Gdyby mogli wykopać odpowiednio głęboki dół, pogrzebaliby w nim cały Tybet. – Wbił wzrok w Shana. Nie, wpatrywał się w jakiś punkt za nim, który zdawał się widzieć poprzez jego czaszkę. Po chwili opuścił powieki.

–Dotknąłem zwłok – powiedział Shan.

Lewa powieka uniosła się wolno, ukazując czerwony klejnot.

–To dość pospolita przewina. Złóż ofiarę z kozy – przemówił Khorda. Jego głos był cieniem głosu, jak cień ochrypły, odległy i dyszący.

Była to pokuta powszechna wśród pasterskich ludów, które wykupywały kozę ze stada, by ocalić ją przed garnkiem.

–Tam, gdzie mieszkam, nie ma kóz.

Pół twarzy skrzywiło się w kolejnym uśmiechu.

–Ofiara z jaka byłaby jeszcze lepsza.

–Zabójca miał na sobie to.

Twarz czarownika stężała. Otworzył żywe oko, wpatrując się w krążek leżący na dłoni Shana. Wreszcie ujął go i podniósł do oka.

–Gdy raz go obudzono – pokiwał ze zrozumieniem głową – nie można oczekiwać, że będzie siedział beczynn timer. Kiedy zobaczy wszystko, już nigdy nie zazna spoczynku.

–Wszystko? Masz na myśli morderstwa?

–On ma na myśli rok 1959 – warknęła kobieta za plecami Shana. Rok ostatecznego opanowania Tybetu przez Chiny.

–Muszę go spotkać.

–Tacy jak ty – powiedział Khorda – tacy jak ty nie mogą go spotkać.

–Ale ja muszę.

Pół twarzy Khordy skrzywiło się w ohydny m uśmiechu.

–Poniesiesz konsekwencje?

–Poniosę konsekwencje – odparł Shan, czując, jak drżą mu wargi.

–Twoje dłonie – wychrypiał Khorda. – Niech się im przyjrzę.

Shan położył je na stole, zwrócone wnętrzem ku górze.

Khorda nachylił się i przez długi czas uważnie przyglądał się każdej z osobna. Wreszcie uniósł głowę i przeniósł wzrok na Shana. Wciąż patrząc mu w oczy, złożył jego dłonie razem, wsuwając między nie różaniec.

Paciorki, choć zrobione z kości słoniowej, wydawały się zimne jak lód. Shan czuł, jak drętwieją mu ręce. Każdy z nich wyrzeźbiono misternie na kształt czaszki.

–Powtórz to – odezwał się Khorda. W jego głosie zabrzmiała nowa nuta, mrozący krew w żyłach rozkazujący ton, który kazał Shanowi spojrzeć w oko czarownika. – Patrz na mnie z różańcem w dłoniach i powtarzaj. OM! PADME TE KRID HUM PHAT!
– warknął.

Shan zrobił to.

Za jego plecami Yeshe gwałtownie wciągnął powietrze. Kobieta wydała z siebie dźwięk przypominający krakanie kruka. Czy to był śmiech? Czy krzyk przerażenia?

Powtórzyli dziwną mantrę co najmniej dwadzieścia razy, gdy Shan uświadomił sobie, że Khorda umilkł i mówi już tylko on sam. Poczł zawroty głowy. Ostry chłód przeniknął go aż do szpiku kości, a mrok wokół niego począł gęstnieć. Słowa płynęły coraz szybciej, Shan miał wrażenie, że jego głos nie należy już do niego. Nagle rozbłysło jaskrawe światło, które zdawało się tryskać z jego czaszki, i Khorda ryknął straszliwie, jak gdyby w ogromnym bólu.

Shan zadrżał gwałtownie. Różaniec wypadł mu z rąk i wszystko znów wróciło na

swoje miejsce. Dreszcze ustały, choć dłonie wciąż miał zimne jak lód.

Czarownik dyszał ciężko, wyczerpany olbrzymim wysiłkiem. Uważnie rozglądał się po izbie, szczególnie czujnie wpatrując się w mroczne kąty, jakby spodziewał się, że coś z nich wyskoczy. Wyciągnął rękę i dźgnął Shana w pierś sękatym palcem.

–Jeszcze żyjesz? – wychrypiał. – To ciągle ty, Chińczyku? – Podniósł różaniec i jeszcze raz przyjrzał się badawczo dłoniom Shana.

Serce Shana waliło jak szalone.

–Jak znajdę Tamdina? – zapytał.

–Idź jego szlakiem. On teraz nie będzie daleko – odparł czarownik ze swym krzywym uśmiechem. – Jeśli masz dość odwagi. Droga Tamdina jest drogą bezwzględności. Czasem jedynie bezwzględność pozwala dotrzeć do prawdy.

–A co... – wydusił Shan. Zaszło mu w ustach. – A co, jeśli ktoś obraził Tamdina? Co wówczas należałoby zrobić?

–Obrażono gniewne bóstwo opiekuńcze? Możesz oczekiwać tylko nicości.

–Nie. Chcę powiedzieć, że może ktoś szczerze wierzący zrobił coś w imię Tamdina, podszywając się pod niego. Może pożyczając sobie jego twarz.

–Dla prawych są zaklęcia przebaczenia. Może wystarczą dla dziewczyny.

–Jakaś dziewczyna prosiła Tamdina o przebaczenie?

Khorda nie odpowiedział.

–Czy pomogą i mnie? – Gdyby niewierzący posłużył się kostiumem Tamdina, uświadomił sobie Shan, nie prosiłby o zaklęcie. Ale z pewnością niewierzący nie miałby żadnego powodu, żeby używać takiego przebrania, chyba że chciał wrobić buddyjskiego mnicha. A wtedy nie byłby zainteresowany wybaczeniem. Westchnął. Żałował, że nie może zadowolić się po prostu nicością.

Khorda sięgnął po swój kapelusz czarownika i włożył go na głowę. Jak gdyby był to umówiony znak, kobieta przyniosła arkusz ryżowego papieru, pędzelek i tusz. Khorda ujął pędzelek i zaczął pisać. Namalował kilka wielkich ideogramów, po czym zamknął prawe oko i uniósł papier do oka z klejnotu. Kręcąc ze smutkiem głową, podarł kartkę na strzępy i rzucił je na podłogę.

–To nie będzie się ciebie trzymać – mruknął zawiedziony, przeszywając Shana swym nieziemskim spojrzeniem. – Tobie potrzeba znacznie więcej. – Dłoń czarownika, wciąż zaciśnięta na różańcu, zaczęła drżeć.

–Co widzisz? – usłyszał Shan własny głos, dochodzący jakby z oddali. Rozcierał palce. W miejscach, gdzie dotykały różańca z czaszek, wciąż wydawały się zimne jak lód.

–Poznałem już takich jak ty. Jesteście jak magnes. Nie, to nie to. Jak piorunochron. Jeśli nie będziesz uważał, twoja dusza zużyje się dużo wcześniej niż twoje ciało.

Dłoń Khordy drżała teraz gwałtownie. Zaczęła pełznąć naprzód. Czarownik zdawał się zmagać z nią, powstrzymywać, jednak nadaremno. Dłoń wystrzeliła w stronę Shana, sięgając ku jego kieszeni. Dwa kościste palce wyciągnęły z niej papier, zaklęcie od Choje. Drżąca dłoń rozwinęła go, po czym upuściła raptownie, jakby oparzona.

Starzec przyjrzał się świstkowi i skinął głową z szacunkiem.

–Ten Choje musi bardzo cię kochać, Chińczyku, skoro dał ci coś takiego – powiedział poważnie. Z jego gardła wyrwał się ochryply śmiech. – Teraz wiem, dlaczego udało ci się przeżyć – wycharczał. – Ale to nie odwróci tego, co zrobiłeś. – Westchnął głęboko, jak gdyby uwolniony z potężnego uścisku, i utkwiał wzrok w różańcu z trupich główek. Wpatrywał się weń z niezmiernym zaciekawieniem, jak gdyby nie mógł pojąć, jak i dlaczego znalazł się w jego dłoni.

–Tego, co zrobiłem? Chodzi o tę mantrę, z czaszkami? – zapytał Shan.

Ale Khorda jakby go nie słyszał. Kobieta nagłoco szarpnęła Shana za ramię.

–O przywołanie – syknęła, wypychając go za drzwi. – Przywołałeś demona.

Kiedy wracali, klucząc w labiryncie straganów, zajechał im drogę dwukołowy wózek pełen koźląt. Ciągące go dwie stare kobiety potknęły się i wózek stanął dęba, wysypując swą zawartość prosto na Fenga. Sierżant upadł, szamocąc się wśród beczących zwierząt. W uliczce zawrzało jak w ulu. Kupcy wrzeszczeli gniewnie, by odpędzić kozy od swych towarów. Pasterze ruszyli do pomocy, powiększając zamęt.

U boku Shana nagle zmaterializowało się trzech mężczyzn ubranych na pasterską modłę w wełniane kamizelki i czapki. Wepchnęli Yeshego i Shana w bramę dwa metry dalej. Jeden z nich odwrócił się plecami, zasłaniając ich przed wzrokiem Fenga, i zaczął pokrzykiwać dla zachęty do kłębiącego się tłumu.

–Wiemy, że macie Sungpo – odezwał się nagle jeden z porywaczy. Ściągnął czapkę, odsłaniając charakterystycznie ostrzyżoną czaszkę. Jego twarz przecinały długie, biegnące w różnych kierunkach blizny.

–Czy nienoszenie mnisich szat nie jest naruszeniem reguł klasztornych? – zapytał Shan.

Mężczyzna rzucił mu kwaśne spojrzenie.

–Kiedy się nie ma zezwolenia, nie przestrzega się ich aż tak skrupulatnie – odparł z roztargnieniem. Przyglądał się uważnie Yeshemu. – Z jakiej jesteś gompy? – zapytał ostro.

Yeshe próbował rzucić się do ucieczki, lecz stojący przy nim mężczyzna ścisnął go za bark. Chłopak stracił oddech. Zgiął się wpół, chwytając ustami powietrze. Był to znany w tradycyjnych sztukach walki kleszczowy ucisk na wrażliwy punkt ciała.

–Co to za mnisi... – zaczął Shan, gdy nagle rozpoznał blizny. Takie ślady mogły pozostawić tylko pałki bezpieczeństwa. Jeśli uderzano nimi z dużą siłą, ryły w skórze długie, krwawe pręgi. Czasem funkcjonariusze bezpieczeństwa oklejali pałki papierem ściernym.

Drugi porywacz trzymał Yeshego za ramię.

–Purba! – syknął ostrzegawczo Yeshe.

–Niektórzy mówią, że jesteś wśród zung mag chronionych przez Choje Rinpocze – powiedział mężczyzna z pokiereszowaną twarzą. Tybetańskie słowo zung mag oznaczało jeńców wojennych. Choje nigdy go nie używał. – Inni twierdzą, że jesteś pod ochroną pułkownika Tana. Jedno wyklucza drugie. Prowadzisz niebezpieczną grę. – W milczeniu złapał Shana za rękę, rozpiął mu mankiet i podwinął rękaw. Nacisnął skórę wokół tatuażu. Była to więzienna metoda rozpoznawania infiltratorów. Świeże tatuaże, na podrażnionej jeszcze skórze, nie bladły pod naciskiem.

Mężczyzna skinął głową do swojego towarzysza, który puścił Yeshego.

–Wiesz, co się stanie, jeśli skażecie na śmierć kolejnego z Piątki? – zapytał. Z głębi rękawa wyglądał mu fragment innego stroju. A więc jednak nosi mnisią szatę, uświadomił sobie Shan, ukrytą pod przebraniem pastucha.

Z jakiegoś powodu mężczyzna wzbudził w nim gniew.

–Morderstwo jest ciężkim przestępstwem – powiedział.

–Wiemy coś o ciężkich przestępstwach w Tybecie – warknął purba. – Mojego wuja stracono za to, że wrzucił cytaty waszego przewodniczącego do nocnika. Mojego brata zabito za odprawianie obrzędów na zbiorowym grobie.

–Mówisz o historii.

–Czy to coś zmienia?

–Nie – odparł Shan. – Ale co to znaczy dla ciebie i dla mnie?

Purba spojrział na niego gniewnie.

–Oni zabili mojego lamę – powiedział.

–Zabili też mojego ojca – odpalił Shan.

–Ale będziesz oskarżycielem Sungpo.

–Nie. Prowadzę tylko śledztwo.

–Dlaczego?

–Jestem więźniem lao gai. Takie zadanie mi przydzielono.

–Dlaczego mieliby wyznaczać do tego więźnia? To nie ma sensu.

–Dlatego, że nie urodziłem się w Czteryście Czwartej. Dawniej, w Pekinie, byłem inspektorem. Dlatego właśnie Tan zlecił mi tę sprawę. Dlaczego postanowił prowadzić śledztwo z pominięciem biura prokuratora, tego jeszcze nie wiem.

–Ostatnim razem, gdy pałkarze zjawili się w dolinie, wybuchły zamieszki – rzekł purba z mniejszą złością. – Było wielu zabitych. Nigdy tego nie ujawniono.

Shan ze smutkiem pochylił głowę.

–Wydawało się, że odchodzą. Ale potem zaczęli prześladować Piątkę.

–Oskarżenia. Za każdym razem chodziło o morderstwo. – Choć nie podobała mu się przemoc purbów, Shan rozpaczliwie pragnął znaleźć z nimi wspólny język. – Zgódź się przynajmniej, że mordercy muszą być ukarani. To nie jest jakaś nagonka na buddystów.

–Jesteś pewien?

Nie, uświadomił sobie ze znużeniem. Nie był pewien.

–Ale wszystkie sprawy zaczęły się od morderstwa.

–Dziwne słowa jak na kogoś z Pekinu. Znam takich jak ty. Morderstwo nie jest zbrodnią. Jest zjawiskiem politycznym.

Patrząc znów na młodego mnicha, Shan poczuł, że ogarnia go jakiś dziwny płomień.

–Do czego zmierzasz? Chcesz mnie ostrzec? Odstraszyć od zadania, które jestem zmuszony wykonać?

–Odplacimy się, wet za wet. Jeśli zabierzesz jednego z nas.

–Zemsta nie przystoi buddyście.

Mnich zmarszczył brwi. Ściągnięte blizny zmieniły jego twarz w makabryczną

maskę.

–To przyczyna zniszczenia mego kraju. Pokojowe współistnienie. Niech dobro przeważy nad siłą. To nie skutkuje, kiedy dobro ma knebel w ustach. – Chwył Shana za podbródek, zmuszając go, by przyjrzał się jego twarzy, po czym powoli obrócił głowę w prawo i w lewo, ukazując mu w całej okazałości dokonane spustoszenia. – W tym kraju, jeśli nadstawisz drugi policzek, po prostu zmiążdżą ci oba.

Shan odsunął dłoń purby i spojrzał mu w rozpalone oczy.

–W takim razie pomóż mi. Położyć temu kres może tylko prawda.

–Nie obchodzi nas, kto zamordował prokuratora.

–Podejrzany może odzyskać wolność tylko wówczas, gdy znajdzie się lepszy na jego miejsce.

Purba przyglądał mu się, wciąż jeszcze nieufnie.

–W baraku Choje jest chiński więzień, który modli się razem z Rinpoczem.

Nazywają go Chińskim Głazem, bo jest tak twardy. Nigdy nie zdołali go złamać. Podstępem zmusił ich do uwolnienia pewnego starca.

–Ten starzec miał na imię Lokesh – przyznał Shan. – Śpiewał stare pieśni.

Mężczyzna powoli skinął głową.

–O co nas prosisz?

–Nie wiem. – Wzrok Shana powędrował w stronę kramu Khordy. – Chciałbym wiedzieć, kto prosił o zaklęcia przebaczenia dla Tamdina. Jakaś młoda dziewczyna. I muszę znaleźć khampę Baltiego, kierowcę Jao. Od czasu morderstwa nikt nie widział ani jego, ani samochodu.

–Myślisz, że będziemy współpracować?

–W imię prawdy, tak.

Mnich nie odpowiedział. Ponad beczeniem kóz dobiegł ich nagle głos Fenga. Sierżant wołał Shana i Yeshego.

–Masz... – Purba na przedzie obrócił się i wcisnął Yeshemu w ramiona koźlątko. Swój kamuflaż.

Wyszli z bramy, akurat gdy Feng podnosił gwizdek do warg. Shan obejrzał się za siebie. Purbowie zniknęli.

Yeshe milczał, kiedy wracali do terenówki. Usiadł z tyłu, wpatrując się w gałązkę wrzosu, jedną z tych, jakie nosili ludzie na targowisku.

–Dała mi to jakaś dziewczyna – odezwał się przygnębiony. – Powiedziała, żebym nosił to za nich. Zapytałem, kogo ma na myśli. Powiedziała, że dusze Czteryście Czwartej. Powiedziała, że czarownik obwieścił, że wszyscy zginą jako męczennicy.

ROZDZIAŁ 8

Słupy latarni wzdłuż ulic wylotowych malowano właśnie na srebrno, niewątpliwie ze względu na oczekiwanych już niedługo szacownych gości z Pekinu i Ameryki. Ale wiał silny wiatr i do świeżo nałożonej farby przyklejały się natychmiast drobinki pyłu, nadając słupom wygląd jeszcze bardziej żaloszny niż przedtem. Shan zazdrościł proletariatu umiejętności przyswojenia sobie najważniejszej lekcji ich społeczeństwa, głoszącej, że robotnik nie ma pracować dobrze, ale jak należy.

Budki telefoniczne także malowano, choć sierżant Feng nie mógł znaleźć choćby jednego sprawnego aparatu. Poszedł za kablem do podłej herbaciarni na skraju miasta i zażądał udostępnienia telefonu.

–Nikt was nie zatrzyma – odparł pułkownik Tan, gdy Shan powiedział mu, że musi się przyjrzeć jaskini czaszek. – Zamknąłem ją jeszcze tego dnia, kiedy znaleźliśmy głowę. Dlaczego się tak ociągaliście? Nie przestraszyliście się chyba paru kości?

Gdy terenówka wspinała się na niskie żwirowe wzgórza okalające dolinę, Yeshe wydawał się bardziej niespokojny niż zwykle.

–Nie powinieneś być tego robić! – wybuchnął w końcu. – Nie powinieneś być się wtrącać!

Shan odwrócił się. Spojrzenie Yeshego błądziło nerwowo wzdłuż linii horyzontu. Zmierzali ku potężnemu masywowi Smoczyc Szponów. Potężne cumulusy, niemal oślepiająco białe na tle kobaltowego nieba, zahaczały o wierzchołki odległych gór.

–Do czego nie miałem się wtrącać?

–Do tego, co zrobiłeś. Do mantry czaszki. Nie miałeś prawa przywoływać demona.

–Więc wierzysz, że naprawdę to zrobiłem?

–Nie. Chodzi tylko o to, że ci ludzie... – Urwał nagle.

–Ci ludzie? Masz na myśli swoich rodaków?

Yeshe zmarszczył brwi.

–Wzywanie demonów to niebezpieczna rzecz. Dla dawnych buddystów słowa były najgroźniejszą ze wszystkich broni.

–Wierzysz, że przywołałem demona? – powtórzył Shan.

Yeshe spojrział mu krótko w oczy, lecz zaraz odwrócił wzrok.

–To nie jest takie proste. Ludzie dowiedzą się, że wypowiedziałeś te słowa. Będą mówić, że demon opanowuje tego, kto go wzywa. Będą mówić, że otwarto mu drogę do nowego czynu. Khorda miał rację. Droga gniewnego bóstwa jest drogą bezwzględności.

–Zdawało mi się, że demon został wyzwolony już wcześniej.

Yeshe z bólem spojrział na swoje dłonie.

–Nasze demony na swój sposób same powołują się do istnienia.

Shan przyjrzał mu się z uwagą. Nigdy dotąd nie zetknął się z kimś, kto mówiłby jak mnich w jednej chwili i jak funkcjonariusz partyjny w następnej.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Nie wiem. Coś się stanie. A to posłuży za pretekst.

–Do czego? Do oznajmienia prawdy?

Yeshe skrzywił się i odwrócił z powrotem do okna.

Tylko jedna rzecz, którą powiedział czarownik, miała sens. Idź szlakiem Tamdina. Zabójca – Tamdin – wyszedł z Czterysta Czwartej i przez góry dotarł do jaskini czaszek. A Shan musiał odtworzyć tę trasę, musiał wrócić do straszego, świętego miejsca pochówku lamów.

Przy zjeździe do jaskini czaszek tkwiła samotna wojskowa ciężarówka, ustawiona tam przez Tana na czas zamknięcia obiektu dla potrzeb śledztwa. Dwaj senni żołnierze, zaskoczeni niespodziewaną wizytą, chwycili za karabiny, lecz widząc za kierownicą Fenga, odetchnęli z ulgą.

Powietrze w dolince było dziwnie nieruchome. Chmury gnały po niebie, lecz gdy dotarli na mały płaskowyż z samotnym drzewem, Shan spostrzegł, że jego gałęzi nie muska żaden powiew. Wysiadł z samochodu zdjęty dziwnym lękiem. Panowała zupełna cisza. Oko nie napotykało niemal żadnych barw poza brązami i szarościami skał oraz baraku, od których odcinała się nowa tablica z jaskrawoczerwonym tekstem. NIEBEZPIECZEŃSTWO, głosił napis, WSTĘP WZBRONIONY. ZARZĄDZENIE MINISTERSTWA GEOLOGII.

Yeshe spojrział na Shana z zakłopotaniem, po czym ruszył za nim w stronę wylotu jaskini. Feng ociągał się z tyłu, kiedy sprawdzali latarki, demonstracyjnie oglądając opony, jak gdyby nagle koniecznie wymagały jego uwagi.

W milczeniu weszli do tunelu. Yeshe z każdym krokiem zostawał coraz bardziej w tyle.

–To nie jest... – zaczął nerwowo, doganiając Shana u wejścia do głównej komory. W mdłym, drżącym świetle latarek potężne postacie na ścianach zdawały się tańczyć, spoglądając na nich gniewnie.

–To nie jest co?

–To nie jest miejsce, gdzie... – Yeshe walczył z czymś, ale co to było, Shan nie miał pojęcia. Czyżby kazano mu go powstrzymać? Czy może postanowił wycofać się ze zlecenia?

Postacie gniewnych bóstw i buddów zdawały się przemawiać do Yeshego. Spoglądał na nie ukradkiem, z nachmurzoną twarzą, ale nie był to strach przed wizerunkami ani nienawiść do Shana. Był to po prostu ból.

–Nie powinniśmy tu wchodzić – powiedział. – To miejsce tylko dla najświętszych z ludzi.

–Odmawiasz wejścia ze względów religijnych?

–Nie – odparł szybko Yeshe, obronnym tonem. Utkwił wzrok w podłodze jaskini, by nie patrzeć na malowidła. – To znaczy... to jest istotne tylko dla mniejszości religijnych. – Podniósł głowę, nie patrzył jednak na Shana. – Urząd do spraw Wyznań ma specjalistów. Oni byliby bardziej kompetentni w sprawach interpretacji kulturowych.

–Dziwne. Zdawało mi się, że szkolony mnich będzie jeszcze lepszy.

Yeshe odwrócił się.

–Myślę, że jesteś przerażony – powiedział Shan do jego pleców – przerażony, że ktoś oskarży cię o to, że jesteś Tybetańczykiem.

Z gardła Yeshego wydobył się dźwięk, który można by uznać za śmiech, ale gdy

znów stanął twarzą do Shana, w jego oczach nie było wesołości.

–Kim jesteś? – naciskał Shan. – Dobrym Chińczykiem, który marzy, by wtopić się w miliard sobie podobnych istot? Czy Tybetańczykiem, który rozumie, że tu chodzi o życie? I to niejednego, ale wielu ludzi. I tylko my jedni możemy ich uratować. Ja. I ty.

Yeshe obejrzał się w tył, jak gdyby z pytaniem, i zastygł w bezruchu. Shan spojrział tam gdzie on. Po drugiej stronie pieczary migotało światło. Dobiały stamtąd podniecone głosy.

Natychmiast zgasili latarki i wycofali się do tunelu. Tan zamknął jaskinię. Nikt inny nie miał tu prawa wstępu. Na zewnątrz nie było żadnych pojazdów. Kimkolwiek byli intruzi, narażali się na poważne ryzyko.

–Purbowie – szepnął Yeshe. – Musimy uciekać, szybko.

–Ale dopiero co zostawiliśmy ich za sobą na targu.

–Nie. Jest ich więcej. Są bardzo niebezpieczni. Ze stolicy wyszło rozporządzenie, że każdy obywatel ma obowiązek informować władzę o ich działalności.

–Więc chcesz mnie zostawić, żeby na nich donieść? – zapytał Shan.

–Co masz na myśli?

–Byliśmy z Fengiem cały czas od spotkania z purbami na targowisku. Nic mu nie powiedziałeś.

–Oni są wyjęci spod prawa.

–Są mnichami. Masz zamiar na nich donieść? – powtórzył Shan.

–Jeśli przyłapią nas na współpracy z nimi, uznają to za spisek – odparł Yeshe w udręce. – Co najmniej pięć lat lao gai.

Shan uświadomił sobie, że intruzi nie byli w tunelu z czaszkami, ale w niedużej niszy pośrodku przeciwległej ściany. Popchnął Yeshego w tę stronę i ruszył tam cicho, trzymając się ściany pieczary. Nagle, gdy dzieliło ich od nich już tylko niespełna dziesięć metrów, eksplodował jaskrawy błysk flesza.

Lampa skierowana była na malowidła za ich plecami, ale błysk objął również twarz Shana, oślepiając go. Ciszę rozdarł ostry krzyk, natychmiast stłumiony.

–Cholera – mruknął ktoś inny, niższym głosem.

Shan, osłaniając oczy przed kolejnym błyskiem, zapalił latarkę. Stała przed nim Rebecca Fowler. Wpatrywała się w nich obu sparaliżowana strachem, przyciskając dłoń do piersi.

–Jezu, chłopaki – odezwał się człowiek z aparatem. – Myślałem już, że to duchy. – Tyler Kincaid zaśmiał się z przymusem i wycelował w głąb komory silny snop światła. – Sami?

–Wojsko jest na zewnątrz – wypalił Yeshe, jak gdyby dla ostrzeżenia.

–Sierżant Feng jest na zewnątrz – poprawił Shan.

–A więc to tak – skwitował Kincaid, pstrykając następne zdjęcie. – Nocni złodzieje, można by rzec.

–Złodzieje?

–Żartuję tylko... Skradacie się tu tak po ciemku. To nie wygląda zbyt oficjalnie.

–Gdyby mnie o to pytano, jak mam wyjaśnić związek między tą jaskinią a waszą górniczą działalnością, panno Fowler? – zapytał Shan.

Uwaga Kincaida najwyraźniej przywróciła jej pewność siebie.

–Mówiłam już panu. Komisja Narodów Zjednoczonych do spraw Zabytków. Kto miałby o to pytać? – Przekrzywiła głowę. – I co wy tutaj robicie?

Shan zignorował pytanie.

–A pan Kincaid?

–Poprosiłam go, żeby przyszedł. Zrobić zdjęcia.

Shan przypomniał sobie fotografie Tybetańczyków w gabinecie Amerykanina.

–Co już widzieliście?

–To. – Rebecca Fowler z podziwem ogarnęła ruchem ręki główną komorę. – I właśnie dochodzimy do rejestrów.

–Do rejestrów?

Zaprowadziła go do niszy, zamaskowanej częściowo zawieszonym u wejścia płatem płótna. Wewnątrz mieściło się kilka prowizorycznych stołów, skleconych z desek ułożonych na drewnianych skrzyniach. Na jednym stały kartonowe pudła z dokumentami, na innym butelki po piwie i popielniczki przepelnione niedopałkami. Na trzecim, znacznie czystszy i przykryty obrusem, leżały pudełka dyskiety, podstawa na przenośny komputer i otwarty rejestr.

Gdy Kincaid wciąż robił zdjęcia, Shan i Fowler zajęli się księgą. Założona przed miesiącem, dokumentowała demontaż ołtarza i relikwiarzy, lamp ofiarnych i posągu Buddy. Skrupulatnie odnotowano w niej wymiary, wagę i liczbę poszczególnych obiektów.

–Co tu jest napisane? – zapytała Fowler. Często zdarzało się, że cudzoziemcy uczący się chińskiego poprzestawali jedynie na nauce języka mówionego, z pominięciem pisma.

Shan zawahał się, po czym streścił w paru słowach, co zawiera wykaz.

–A księgi? – zapytał Kincaid. – Stare manuskrypty? Jansen mówił, że zwykle bywają dobrze zachowane. Stosunkowo łatwo je uratować.

Jedna ze stron zawierała spis dwustu usuniętych manuskryptów.

–Nie wiem – odparł Shan. Wiedział, jaki los spotyka odnajdywane księgi. Kiedyś do Czterysta Czwartej przywieziono wywrotką kilkaset starych traktatów religijnych. Pod lufami karabinów zmuszono więźniów, by darli je na małe kawałki, które gotowano w wielkich garach, po czym zmieszano z wapnem oraz piaskiem i otynkowano nimi nową latrynę strażników.

–A co jest na pierwszej stronie? – zapytała Fowler.

–Na pierwszej stronie?

–Kto to napisał? Kto kieruje pracami?

Shan zajrzał pod okładkę.

–Ministerstwo Geologii. Na zlecenie dyrektora Hu.

Fowler wyciągnęła rękę, by przytrzymać stronę, i zawołała na Kincaida, żeby zrobił zdjęcie.

–Sukinsyn – mruknęła. – Nic dziwnego, że Jao chciał go powstrzymać.

Czy to możliwe, pomyślał Shan, że Fowler przyszła do jaskini nie z powodu zabytków, ale swej koncesji?

Kincaid zmienił obiektyw i zaczął fotografować strony, zatrzymując się przy szczegółowych danych.

–Mówiłeś, że wynieśli ołtarz. Gdzie to jest zapisane?

Shan pokazał mu.

Kincaid wyciągnął palec ku kolumnie po prawej stronie kartki.

–Co to takiego?

–Waga i wymiary – wyjaśnił Shan.

–Sto trzydzieści sześć kilogramów, jak piszą. – Amerykanin pokiwał głową. – Ale spójrzcie, tu mamy coś jeszcze cięższego. Sto dziewięćdziesiąt kilogramów.

–Posąg.

–Niemożliwe – sprzeciwił się Kincaid, przeglądając zapis. – Tu jest napisane, że to ma tylko dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości.

Shan jeszcze raz przyjrzał się danym. Amerykanin miał rację.

Stojący za ich plecami Yeshe włączył się do rozmowy.

–W tych starych świątyniach – powiedział ochryplym głosem – posągi ołtarzowe były często z litego złota.

Kincaid zagwizdał.

–Mój Boże! Ten musi być wartym miliony.

–Bezcenny – przytaknęła Fowler z błyskiem w oczach. – W odpowiednim muzeum...

–Nie sądzę – przerwał jej Shan.

–Nie, naprawdę. Ma pan pojęcie, jaką rzadkością byłby taki posąg? Niebywałe znalezisko. Odkrycie roku.

–Nie. – Shan powoli pokręcił głową. Irytował go entuzjazm Amerykanów. Nie, nie ich entuzjazm. Ich niewinność.

–O co chodzi? – zapytała Fowler.

W odpowiedzi omiół wewnątrz latarką. Pod jednym ze stołów znalazł to, czego się spodziewał. Stertę młotów i dłut.

–Sto dziewięćdziesiąt kilogramów złota w jednym kawałku byłoby zbyt niewygodne do transportu. – Podniósł jedno z dłut, pokazując Amerykanom wbite w ostrze pyłki lśniące żółto metalu.

Rebecca Fowler wyrwała mu dłuto z ręki i wpatrywała się w nie przez chwilę. Cisnęła narzędziem o ścianę.

–Skurwysyny! – krzyknęła. Z wściekłością chwyciła garść dyskierek i wepchnęła trzy do kieszeni koszuli, patrząc przy tym zaczepnie na Shana, jak gdyby prowokowała go, by ją powstrzymał.

Kincaid popatrzył na nią z wyraźnym podziwem, po czym powrócił do zdjęć. Yeshe zaczął kartkować rejestr. Przy końcu księgi znalazł luźną kartkę.

Podeksytowany, uniósł wzrok i podał ją Shanowi.

–Zestawienie zbiorcze – szepnął, jak gdyby nie chciał, by słyszeli to Amerykanie. – Dla Urzędu do spraw Wyznań.

–Tyle że puste.

–Tak – odparł Yeshe. – Ale zobacz. Są rubryki na nazwę gomy, datę, listę

znalezionych obiektów, miejsce przeznaczenia znalezisk. Jeżeli Urząd do spraw Wyznań prowadzi zestawienia, moglibyśmy sprawdzić, czy jakieś gompy miały kostium Tamdina.

–A jeśli tak, to dowiemy się też, kiedy go znaleziono i gdzie znajduje się teraz. – Shan skinął głową, nabierając zapału.

–Właśnie.

Shan złożył kartkę i chciał już ją schować do kieszeni, gdy nagle zastanowił się i oddał ją Yeshemu. Chłopak wepchnął papier do kieszeni z miną, która po raz pierwszy mogła oznaczać satysfakcję.

Shan powoli wymknął się z niszy, pozostawiając ich troje wśród obrazów, i zapuścił się w głąb tunelu, do którego wszedł tamtego dnia z Tanem. Przystanął, zanim krąg światła jego latarki dosięgnął pierwszej z czaszek, zastanawiając się, jak uprzedzić pozostałych. Ale nic mu nie przyszło na myśl i zmusił swoje stopy do następnego kroku.

W Tybecie nawet umarli byli inni niż gdzie indziej. W Chinach widywał zbiorowe składowiska zwłok, pozostałości rewolucji kulturalnej. Ale tam ludzkie szczątki nie robiły wrażenia świętych ani mądrych, ani nawet kompletnych. Wydawały się po prostu zużyte.

Idąc przez świątynię, uświadomił sobie nagle, że traci oddech. Przystanął i rozejrzał się po rzędach pustych oczodołów. Wszystkie zdawały się patrzeć na niego. Nie kończące się ciągi czaszek przypominały różaniec, który Khorda wcisnął mu w dłoń, zanim kazał mu wzywać Tamdina. Zadrżał, kiedy dotarło do niego, że one były świadkami. Tamdin przyszedł tu z głową prokuratora Jao, a czaszki widziały to wszystko. Czaszki wiedziały.

Wyczuł za sobą jakiś ruch. Pozostali odnaleźli tunel. Fowler jęknęła. Kincaid zaklął głośno. Z warg Yeshego wymknął się skamlący dźwięk. Shan zacisnął zęby i ruszył dalej, do półki, na której zabójca złożył głowę Jao. Próbował naszkicować to miejsce, ale przerwał. Zbyt mocno drżała mu ręka.

–Co chcesz tu znaleźć? – szepnął nerwowo Yeshe nad jego ramieniem. Stał zwrócony plecami do Shana, jak gdyby spodziewając się w każdej chwili ataku z ukrycia. – Nie powinniśmy się tutaj zatrzymywać.

–Morderca przyszedł tu z głową Jao. Chcę znaleźć czaszkę, którą zabrał stąd, żeby zrobić miejsce dla Jao. Dlaczego wybrał akurat tę półkę? Czy był jakiś powód, dla którego usunął tę konkretną czaszkę? Co się stało z tą czaszką? – Był niemal pewny, że na ostatnie pytanie zna już odpowiedź. Najpewniej, jak inne, trafiła do baraku.

Yeshe zdawał się go nie słyszeć.

–Proszę – błagał. – Musimy odejść.

Amerykanie zbliżyli się, rozmawiając o historii Tybetu.

–Kincaid mówi, że to musiała być jaskinia Guru Rinpocze – oświadczyła Fowler. Ona także szeptała.

–Guru Rinpocze? – zdziwił się Shan.

–To najszlenniejszy z dawnych pustelników – wtrącił Yeshe. – Mieszkał w wielu

grotach w całym Tybecie, każdą napełniając ogromną mocą. Większość już przed wiekami przekształcono w świątynie.

–Nie miałem pojęcia, że pan Kincaid jest takim znawcą – zauważył Shan.

–Jao chciał ich powstrzymać! – wybuchnęła nagle Fowler. Głos jej się łamał. Shan uniósł wzrok. Po jej policzku spływała samotna łza.

–Co to jest? – zapytał Yeshe nerwowym szeptem. – Zdawało mi się, że coś słyszę!

Rzeczywiście tu coś jest, uświadomił sobie Shan. Nie dźwięk. Nie ruch. Nie obecność. Coś niewysłowionego, wszechogarniającego, coś, co obudził smutek Fowler. Opuścił dłoń z notatnikiem i stał, milcząc, jak oni wszyscy, sparaliżowany przez puste oczodoły połyskujących czaszek. Nie byli w sercu góry. Byli w sercu wszechświata, a odrętwiająca cisza rozplywająca się wokół nich nie była wcale ciszą, lecz drażniącym najgłębsze warstwy duszy bezgłosem, jaki poprzedza wrzask.

Choje miał rację, zrozumiał nagle. Nie było sensu pytać, czy Tamdin to istotnie ten groteskowy potwór, którego podobiznę widział na ścianie groty. Kimkolwiek czy czymkolwiek był zabójca, był demonem, nie dlatego, że zamordował Jao, ale dlatego, że wniósł ohydę tego czynu do tak doskonałego miejsca.

Dotarł do niego nowy dźwięk, nikły szelest, który wkrótce zmienił się w monotony świergot. Zdawał się dobiegać z czaszek. Oczy Fowler wypełnił lęk. Przysunęła się do Kincaida. Oboje nasłuchiwali bez ruchu. Raptem Kincaid odwrócił się i skierował obiektyw ku Yeshemu. Odpalił flesz niczym broń i odgłos ucichł nagle. Shan uświadomił sobie, że było to tylko echo szeptanych przez Yeshego mantr.

Czar przysł.

–Moglibyście jednak nam pomóc – zasugerował Shan, gdy znów doszedł do siebie.

Fowler z żalnym wyrazem twarzy uniosła ku niemu wzrok.

–Cokolwiek pan zechce.

–Potrzebujemy dokumentacji. Gdyby pan Kincaid mógł sfotografować wszystkie półki... – Czaszki wiedziały, powtórzył sobie w myślach. Może zdoła nakłonić je do mówienia.

Kincaid powoli skinął głową.

–Mógłbym zmieścić wszystkie trzy poziomy na jednym kadrze. Chyba zostało mi jeszcze dość klatek.

–Chciałbym, żeby było też widać podpisy pod każdą czaszką. Kiedy już przestudiuję te zdjęcia, może moglibyśmy przekazać je waszej komisji ONZ.

Fowler smutno skinęła mu głową na znak wdzięczności, ale pozostała w tyle, gdy Yeshe ruszył, by pomóc Kincaidowi przy czaszkach. Wraz z Shanem odeszła wolnym krokiem w głąb tunelu. Półki skończyły się, zastąpiły je następne wizerunki demonów na ścianach.

–Czy to prawda, że został pan zmuszony do tego śledztwa, że jest pan kimś w rodzaju więźnia? – zapytała nagle Fowler.

Shan nie zwolnił kroku.

–Kto to pani powiedział?

–Nikt. Tyler zauważył tylko, że nikt nic o panu nie wie. Myśleliśmy, że jest pan

jakimś urzędnikiem z zewnątrz. Ale tacy ludzie... nie wiem... takich ludzi traktuje się z większym szacunkiem. – Skrzywiła się na własne słowa.

Był poruszony jej zakłopotaniem.

–Tyler mówi, że to zabawne, jak śledzi pana pański sierżant. On nosi pistolet, ale to nie jest ochroniarz. Ochroniarz obserwowałby to, co dzieje się wokół pana. A pański sierżant obserwuje pana.

Shan zatrzymał się i skierował światło latarki na jej twarz.

–Kiedy nie tropię morderców, buduję drogi – wyjaśnił. – W czymś, co oni nazywają brygadą pracy.

Fowler uniosła dłoń do ust.

–Mój Boże – szepnęła, gryząc kostki palców. – W jednym z tych strasznych więzień? – Odwróciła wzrok ku demonom. Gdy odezwała się znowu, jej oczy były jasne i wilgotne. – Nic nie rozumiem. Jak pan... dlaczego miałby pan... – Pokręciła głową. – Przepraszam. Jestem taka głupia.

–Pewien bardzo zasłużony członek partii powiedział mi kiedyś, że w moim kraju są tylko dwa rodzaje ludzi – zauważył Shan. – Panowie i niewolnicy. Nie wierzę w to i byłbym zasmucony, gdyby pani w to uwierzyła.

Uśmiechnęła się blado.

–Ale jak może pan prowadzić śledztwo?

–To była moja specjalność, zanim zostałem podniesiony do godności robotnika drogowego. Byłem inspektorem w Pekinie.

–Ale przeciwstawia się pan Tanowi, widziałam to. Jeżeli on jest pańskim...

Shan uniósł dłoń, nie chcąc słyszeć następnego słowa. “Dozorcą”?

“Właścicielem”?

–Może właśnie dlatego. Dlatego, że już nic więcej nie może mi zrobić. – Była to półprawda, w którą Amerykanka mogłaby uwierzyć.

–I to dlatego nie chce pan wykazać, że ten mnich jest zabójcą Jao?

–Nie mogę. On jest niewinny.

Fowler wpatrywała się w niego. Może, zastanowił się Shan, zna Chiny zbyt dobrze, by zaakceptować tak śmiało stwierdzenie.

–W takim razie o co tu chodzi? Wkrada się pan tutaj jak złodziej. Li także prowadzi śledztwo, ale jego tu nie ma. Co tak niepokoi Tana?

Więc istotnie rozumiała Chiny lepiej, niż sądził.

–Ja także jestem zdezorientowany, panno Fowler – odparował. – Jest pani dyrektorem kopalni, ale wspomniała pani, że firma należy do ojca pana Kincaida. Amerykanka chrząknęła z rozbawieniem.

–To długa historia. Mówiąc w skrócie, z tego, że ojciec Tylera zarządza firmą, nie wynika, że dobrze ze sobą żyją.

–Nie są sobie bliscy? Chce pani powiedzieć, że znalazł się w Tybecie za karę?

–Wie pan, co to jest odszczepieniec? Tyler poszedł do szkoły górniczej, jak chciała jego rodzina, żeby mógł kiedyś przejąć firmę. Ale gdy ją ukończył, oświadczył, że ma to wszystko w nosie. Stwierdził, że firma niszczy środowisko, że doprowadza do ruiny miejscową ludność. Wydał setki tysięcy ze swego funduszu

powierniczego na ranczo w Kalifornii, gdzie mieszkał przez parę lat, potem przyłączył się do grupy obrońców przyrody, która blokowała budowę nowej kopalni jego ojca. Minęło kilka lat, nim sprawy ułożyły się na tyle, by mogli rozmawiać ze sobą, kilka następnych, zanim Tyler zgodził się przyjąć pracę w firmie. Ale jego ojciec wciąż nie ufa mu aż tak, by powierzyć mu kierownictwo. Tak czy inaczej, są już w lepszych stosunkach. Tyler poważnie myśli o tym, by zacząć nowe życie. Jest cholernie dobrym inżynierem. Pewnego dnia zostanie prezesem i jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce.

–A pani? Jest pani bardzo młoda jak na taką odpowiedzialną funkcję.

–Młoda? – Fowler z westchnieniem pokręciła głową. – Dawno już nie czułam się młodo. – Zatrzymała się, patrząc przed siebie. Tunel otwierał się na kolejną komorę. – Myślę, że jestem przeciwieństwem Tylera. Nie miałam grosza przy duszy, kiedy dorastałam. Pracowałam ciężko, oszczędzałam, zdobywałam stypendia. Przez dziesięć lat harowałam jak wół, żeby się tu dostać.

–I wybrała pani Tybet?

Wzruszyła ramionami.

–To nie wygląda tak, jak się spodziewałam.

Malowidła na ścianach komory przedstawiały geografię Tybetu, góry, pałace i świątynie. Na podłodze pod jedną ze ścian leżały odłamki kości i tuzin czaszek ustawionych w trójkąt. Pięć metrów dalej kilka innych czaszek ułożono w rzędzie. Otaczały je ślady butów i niedopałki papierosów. Żołnierze grali w kręgle.

Fowler podniosła z szacunkiem jedną z czaszek, potem schyliła się po następną, jakby chciała je odnieść na półki. Shan dotknął jej ramienia.

–Proszę tego nie robić – ostrzegł. – Poznają, że pani tu była.

Bez słowa skinęła głową i odłożyła czaszkę. Z bólem na twarzy wróciła do tunelu. Dołączyli do Yeshego i Kincaida, którzy czekali na nich w głównej komorze, i cała czwórka ruszyła szybko do wyjścia. Nikt się nie odezwał, dopóki nie znaleźli się blisko wylotu jaskini.

–Zaczekajcie piętnaście minut – zaproponował Shan – potem wróćcie tą samą drogą, którą tu przyszliście. – Nie pytał, skąd znają tajny szlak. – Zgłoszę się po zdjęcia...

Przerwał mu zduszony okrzyk Fowler. W wejściu ukazała si jakaś postać, oświetlona niczym reflektorem jaskrawym światłem słońca.

–To on! – krzyknęła Fowler ochryplym szeptem i zniknęła z Kincaidem w mroku.

Shan nie potrzebował wyjaśnień. Przybyszem mógł być tylko dyrektor Hu z Ministerstwa Geologii.

Shan wyszedł na słońce.

–Towarzyszu inspektorze! – wykrzyknął niski, krępy mężczyzna. – Cóż za przyjemność! Miałem nadzieję, że jeszcze was tu znajdę. – Na jego szerokiej twarzy maleńkie czarne oczka wyglądały jak żuczki.

–My się chyba nie znamy... – powiedział wolno Shan, rozglądając się dookoła.

–Istotnie. Ale oto jestem, przebywszy całą tę drogę, by wam dopomóc. I oto wy, dokładający tylu starań, by dopomóc mnie. – Ceremonialnym gestem wręczył

Shanowi wizytówkę. Dyrektor Kopalń, Okręg Lhadrung, widniało na plastikowym arkusiku. Hu Yaohong. Hu Który Chce Być Czerwony.

Obok ich terenówki stała teraz druga, czerwona. Nagle Shan przypomniał sobie, że ten sam samochód widział na terenie robót tamtego dnia, gdy odkryli zwłoki Jao. Przyjrzał mu się dokładnie. Był to brytyjski landrower, najbardziej kosztowny pojazd, jaki kiedykolwiek widział w Lhadrung.

–Przyjechaliście pomóc? – zapytał Shan.

–Tak, a przy okazji sprawdzić zabezpieczenia.

Jakiś człowiek rozmawiał z Fengiem. Z bolesnym skurczem w dołku Shan zdał sobie sprawę, że Hu chce sprawdzić nie tylko wejście. Drugim gościem był porucznik Chang z Czteryista Czwartej. Chang spojrzał na niego leniwie, niczym sklepikarz taksujący swój towar.

Gdy dyrektor Hu zrobił krok w stronę jaskini, Shan zastąpił mu drogę.

–Rzeczywiście, moglibyście pomóc. Mam do was kilka pytań.

–W mojej kopalni. Pokażę wam...

–Nie – upierał się Shan. Czy Hu widział Amerykanów? Obawiał się trochę, że Kincaid wynurzy się nagle z jaskini, żeby zrobić zdjęcie. – Proszę, wolałbym nie. – Przycisnął dłoń do brzucha, udając, że zbiera mu się na mdłości. – To wyprowadza mnie z równowagi.

–Boicie się? – Dyrektor kopalń wyglądał na rozbawionego. Na palcu miał wielki złoty sygnet. Jak na geologa był niezwykle dobrze ubrany. – W takim razie może usiądziemy w samochodzie? To brytyjski wóz, wiecie, towarzyszu.

–Muszę wrócić do miasta. Pułkownik Tan...

–Znakomicie! Podwożę was. Muszę mu przedstawić dowód. – Zawołał na Changa, który rzucił mu kluczyki. Porucznik skinął głową, gdy Hu polecił, by dosiadł się do Fenga i Yeshego.

–Dowód? – zapytał Shan.

Hu zdawał się nie słyszeć. Nie rozmawiali więcej, dopóki nie wydostali się na główną drogę. Prowadził ostro, jak gdyby bawiła go jazda wyboistą szosą i niezdarne ruchy Shana, chwytającego się tablicy rozdzielczej, gdy podskakiwali na nierównościach. Na zakrętach przyspieszał, śmiejąc się, kiedy tylne koła buksowały w piachu.

–Cywilizacja – odezwał się nagle – jest procesem, wiecie, towarzyszu, nie pojęciem.

–Wspomnieliście o dowodzie – powiedział Shan, zmieszany.

–Otóż to. To coś więcej niż proces. To dialektyka. Wojna. Mój ojciec stacjonował w Kinjiang, wśród muzułmanów. W tamtych czasach muzułmanie byli jeszcze gorsi niż buddyści. Zamachy bombowe. Napady z użyciem broni maszynowej. Wielu dobrych urzędników państwowych straciło życie. Dynamika cywilizacji. Nowe przeciwko starym. Nauka przeciwko mitologii.

–To znaczy Chińczycy przeciwko Tybetańczykom?

–Właśnie. To jest postęp, i tyle. Zaawansowane techniki uprawy roli, uniwersytety. Nowoczesna medycyna. Myślicie, że postęp w medycynie nie był

walką? Bitwa przeciwko zabobonom i czarownikom. Połowa niemowląt urodzonych tutaj umierała. Teraz niemowlęta żyją. Czyż nie było warto o to walczyć?

Może nie było, chciał powiedzieć Shan, skoro państwo nie pozwala mieć dzieci.

–Twierdźcie, że prokurator Jao poniósł męczeńską śmierć, krzewiąc cywilizację?

–Oczywiście. Jego rodzina otrzyma, wiecie, list od Rady Państwa. Jest w tym nauka dla nas wszystkich. Najważniejsze zadanie to dopilnować, żeby oni pojęli tę lekcję.

–Oni?

–Ta sprawa powinna uprzytomnić mniejszości, jak niedzisiejszy, jak zacofany jest ich sposób życia.

–Więc chcecie pomóc przy zbieraniu dowodów.

–To mój obowiązek. – Hu wyciągnął z kieszeni złożony w czworo papier. – Oświadczenie wartownika stojącego przy drodze do jaskini czaszek. W noc morderstwa widziano mnicha idącego drogą w pobliżu wejścia do groty.

–Mnicha? Czy człowieka ubranego w mnisią szatę?

–Wszystko jest tu zanotowane. Zgadza się z opisem tego Sungpo.

W pobliżu wejścia widziano podejrzanie zachowującego się mnicha, napisał strażnik. Był średniego wzrostu, średniej budowy ciała. Głowę miał ogoloną. Wydawał się wrogo nastawiony i niósł coś w szmacianym worku. Pod oświadczeniem widniał podpis. Szeregowy Meng Lau. Shan włożył papier do kieszeni.

–Kiedy ten wartownik widział tego człowieka? – zapytał.

Hu wzruszył ramionami.

–Później. Po morderstwie. To stało się w nocy, prawda?

–Z jak bliska? Był wtedy nów. Niewiele światła.

Hu westchnął ze zniecierpliwieniem.

–Żołnierze są dobrymi obserwatorami, towarzyszu. Spodziewałem się większej wdzięczności.

Gdy dotarli na dno doliny, dodał gazu, ze śmiechem wzbijając tuman kurzu wokół Fenga, Yeshego i Changa, jadących wciąż tuż za nim.

–Wspominaliście, że macie do mnie pytania, inspektorze.

–Głównie na temat zabezpieczeń – odparł Shan. – W jaki sposób ktokolwiek mógł dostać się do jaskini w nocy?

–Kiedy tylko odkryliśmy jaskinię, postawiliśmy wartowników u samego wejścia. Ale gdy ujawniono jej zawartość, wszyscy się przelękli. Tak więc kazaliśmy im stanąć przy drodze. Wydawało się to wystarczające.

–Ale ktoś znalazł inną drogę.

–Ci mnisi potrafią się wspinać jak wiewiórki.

–Kto odkrył jaskinię?

–My – przyznał Hu. – Mam ekipy badawcze.

–A więc to także wy odkryliście złoża, które eksploatują Amerykanie?

–Oczywiście. Wydaliśmy im koncesję.

–Ale teraz chcecie ją cofnąć.

Hu spojrzał na Shana, wyraźnie zirytowany, po czym nacisnął hamulec. Byli już na

przedmieściach Lhadrung.

–Wcale nie. Problem dotyczy tylko zezwolenia na działalność: chcemy mieć pewność, że będą przestrzegali określonych metod zarządzania. Prowadzimy rozmowy na temat kierownictwa. Jestem przyjacielem amerykańskiej firmy.

–Przez “kierownictwo” rozumiecie poszczególnych kierowników?

–Kryteria zezwolenia obejmują technikę budowy stawów, pozyskiwania produktu, dane techniczne maszyn i urządzeń, zużycie wody i energii. Postawę kierowników również. Dlaczego pytacie?

–Więc gdyby zależało wam na odejściu pewnej osoby z kierownictwa, moglibyście zawiesić im zezwolenie na działalność.

Dyrektor Hu roześmiał się.

–A ja myślałem, że wasze zainteresowania geologiczne ograniczają się do wożenia kamieni.

Shan zastanowił się nad tymi słowami, gdy parkowali przed siedzibą władz miejskich.

–Jestem zdumiony. Wiedzieliście, że jestem więźniem, a mimo to pofatygowaliście się sami do jaskini. Sądziłem, że dyrektor kopalń po prostu wezwałby mnie do siebie.

Hu odpowiedział nieszczerym uśmiechem.

–Uczę porucznika Changa prowadzić samochód. Kiedy pułkownik Tan powiedział mi, gdzie jesteście... – Wzruszył ramionami. – Chang musi nauczyć się jeździć po górskich drogach.

–Czy to dlatego byliście na terenie robót Czteryście Czwartej tego dnia, kiedy znaleziono ciało?

Hu westchnął, usiłując zapanować nad zniecierpliwieniem.

–Musimy zachować czujność wobec anomalii.

–Geologicznych, jak sądzę.

Hu wyszczerzył zęby.

–Szczyty są niestabilne. Musimy dbać o drogi ludu.

Shana korciło, by znów spytać, czy Hu mówi o geologii.

–Towarzyszu dyrektorze, zechcecie pójść ze mną do pułkownika? – zapytał zamiast tego.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Hu. Dyrektor rzucił kluczyki Changowi, który pojawił się u jego boku, i ruszył za Shanem do środka.

Pani Ko przywitała Shana skinieniem głowy i pobiegła do zaciemnionego gabinetu Tana. Pułkownik miał zapuchnięte oczy. Przeciągnął się. Shan rozejrzył się po pokoju. Na stoliku przy biurku leżała zmięta poduszka.

–Pułkownikowi Tan, chciałbym zadać dyrektorowi Hu pytanie.

–I dlatego zawracacie mi głowę? – warknął Tan.

–Chciałem to zrobić w waszej obecności.

Tan zapalił papierosa i skinął ręką na dyrektora kopalń.

–Dyrektorze Hu – odezwał się Shan – czy możecie nam wyjaśnić, dlaczego zawiesiliście koncesję Amerykanów?

Hu spojrzał na Tana ze zmarszczonymi brwiami.

–On wtrąca się do spraw mojego ministerstwa. Publiczne roztrząsanie problemów, jakie mamy z amerykańską kopalnią, uważam za szkodliwe dla naszych interesów.

Tan powoli skinął głową.

–Nie musicie odpowiadać. Towarzysz Shan bywa czasem zbyt entuzjastyczny. – Spojrzał na Shana potępiającym wzrokiem.

–W takim razie – naciskał Shan – może moglibyście powiedzieć nam, gdzie byliście tej nocy, gdy zamordowano prokuratora Jao?

Dyrektor kopalń przyglądał mu się z niedowierzaniem. Z wolna na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech. Odwrócił się do Tana i wybuchnął śmiechem.

–Dyrektor Hu – wyjaśnił Tan, uśmiechając się chłodno – był ze mną. Zaprosił mnie do siebie na kolację. Graliśmy w szachy i popijaliśmy dobre chińskie piwo.

Śmiech Hu stał się niemal nieopanowany.

–Muszę już iść – wykrztusił między parsknięciami i zasalutowawszy drwiąco Shanowi, zniknął w drzwiach.

–Macie szczęście, że on jest tak wyrozumiały – ostrzegł Tan. W jego oczach nie było śladu rozbawienia.

–Powiedzcie mi jedno, towarzyszu pułkowniku. Czy jaskinia czaszek jest oficjalnym przedsięwzięciem?

–Oczywiście. Widzieliście tych wszystkich żołnierzy. To duża operacja.

–Chodzi mi o to, czy wie o tym Pekin.

Tan wydmuchnął w górę smugę dymu.

–To sprawa Ministerstwa Geologii.

–Jaskinia jest pełna zabytków. Sama operacja jest wojskowa. Co tu robi Hu i Ministerstwo Geologii?

–Oni ją odkryli. Są odpowiedzialni za eksploatację. Ale mają dość nieliczny personel. Jako zarządca okręgu zaproponowałem pomoc wojska. Znakomite ćwiczenie polowe.

–Kto korzysta ze złota?

–Rząd.

–A dokładnie?

–Nie znam wszystkich instytucji, które mają w tym udział. W grę wchodzi kilka ministerstw. Są protokoły.

–Ile z tego dostaje wasz urząd?

Tan zjeżył się.

–Ani złamanego fena. Jestem żołnierzem. Złoto zmienia żołnierzy w baby.

Shan uwierzył mu, choć nie z powodu, który podał. Dla człowieka takiego jak Tan źródłem władzy była polityka, nie pieniądze.

–Być może w rządzie są ludzie, którzy nie poparliby plądrowania grobów.

–Co to ma znaczyć?

–Czy wiedzieliście, że prokurator Jao i dyrektor Hu spierali się o jaskinię? Amerykanka była tego świadkiem. Teraz jestem już przekonany, że Hu próbuje zmusić ją do opuszczenia kraju.

Twarz Tana przeciął wąski uśmiech.

–Towarzyszu, wprowadzono was w błąd. Nie macie pojęcia, czego dotyczył ich spór.

–Jao chciał powstrzymać to, co robił Hu.

–Słusznie. Ale nie chodziło o eksploatację jaskini, tylko o rachunki. Twierdził, że Ministerstwo Sprawiedliwości, ściślej: jego urząd, powinno mieć większy udział w złocie. Mam na to dowód. Pisał listy ze skargami, prosząc, żebym pośredniczył. Pani Ko może dać wam kopie.

Shan zapadł się w krzesło i zamknął oczy. To nie był Hu.

–A co z jego personelem? Możemy dostać ich akta personalne?

Tan pobłażliwie skinął głową.

–Pani Ko zadzwoni.

–Ktokolwiek zabił Jao, wspominał o tej jaskini.

–Więc go zapytajcie.

–Więzień nie mówi.

–Więc idźcie zapytać swojego cholernego demona – odpalił z rozdrażnieniem Tan, podchodząc do biurka.

–Chciałbym. Gdzie mi go radzicie szukać?

–Nie mogę wam pomóc. Nie mam władzy nad demonami. – Podniósł akta i wskazał mu drzwi.

Shan wstał i nagle uświadomił sobie, gdzie musi się udać. Był przecież ktoś, kto miał władzę nad demonami.

Jak tyle innych zjawisk w Tybecie, pogoda była pełna skrajności. Rzadko bywało sucho bez suszy, rzadko mokro bez potopu. Słońce świeciło jasno, gdy opuścił biuro Tana, ale zanim dotarli do siedziby Urzędu do spraw Wyznań w północnej części miasta, pogoda się odmieniła. Niebo zaczęło na nich sypać kuleczkami lodu. Shan przeczytał kiedyś, że burze gradowe zabijały pięćdziesięciu Tybetańczyków rocznie. Wsiadając z terenówki, podał Fengowi kartkę papieru.

–Szeregowiec Meng Lau z Nefrytowego Źródła. Chcę cię prosić, żebyś sprawdził, czy w noc morderstwa pełnił wartę na drodze do jaskini.

Sierżant przyjął kartkę bez słowa, niepewny, jak potraktować prośbę Shana.

–Ty wiesz, kogo pytać. Mnie nic nie powiedzą, choćbym nawet próbował. Proszę, towarzyszu sierżancie.

Feng rzucił kartkę na tablicę rozdzielczą i z lekceważącą obojętnością zaczął rozwijać paczkę dropsów.

Po zdawkowych przeprosinach, że będą musieli czekać, i nieuniknionej propozycji podania herbaty Shan i Yeshe zostali zaprowadzeni do pustego gabinetu na drugim piętrze. Shan przeszedł się po pokoju. Na tacce na biurku leżało kilka czasopism, z “Robotniczymi Chinami”, organem partyjnym publikującym przesłodzone obrazy proletariatu, na wierzchu. Na stoliku do kawy leżała książka. Bohaterowie pracy z socjalistycznych fabryk dywanów. Shan podniósł czasopisma. Na spodzie stosu znajdowało się kilka amerykańskich magazynów, z których najświeższy pochodził sprzed roku.

Byli sami.

–Zdecydowałeś wreszcie, co zrobisz? – zapytał Shan. – W sprawie purbów? – I Amerykanów, miał już na końcu języka.

Yeshe nerwowo spojrział na drzwi. Przygarbił wąskie ramiona, wykrzywił twarz, jak gdyby miał zaraz wybuchnąć płaczem.

–Nie jestem donosicielem. Ale czasami zadają mi pytania. Co mogę zrobić? Dla ciebie to łatwe. Ja muszę myśleć o swojej wolności. O swoim życiu. Swoich planach.

–Czy ty właściwie zdajesz sobie sprawę, co nadzorca z tobą zrobił? – zapytał Shan. – Musisz się z tego wyplątać.

–Co on zrobił? On mi pomaga. Być może jest moim jedynym przyjacielem.

–Mam zamiar poprosić pułkownika o nowego asystenta. Ty musisz się z tego wyplątać.

–Co zrobił Zhong? – naciskał Yeshe.

–Nie rozumiesz, jak działają organy sprawiedliwości. Dla ciebie, Tybetańczyka, otrzymanie propozycji pracy w Chengdu bezpośrednio po reedukacji w obozie pracy byłoby nie tylko czymś niespotykanym. Coś takiego wykracza poza możliwości Zhonga. Musiałby na to wyrazić zgodę Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Chengdu, i to po otrzymaniu oficjalnej prośby z Urzędu Bezpieczeństwa w Lhasie. Nowy pracodawca musiałby cię zatrudnić, nie wiedząc, kim jesteś i co potrafisz, a to nieprawdopodobne. Musiano by ci wystawić papiery podrózne na twoje nowe miejsce pracy, którego nie masz. Zhong nie załatwi ci dokumentów. On nie ma władzy nad takimi rzeczami. Kłamał, żebyś zgodził się z nim rozmawiać, żebyś mówił mu o mnie. Potem, kiedy będzie już po wszystkim, kiedy uznają, że znów zawiodłem lud, nie zgadzając się na potępienie Sungpo, oskarży cię o spiskowanie ze mną i znów każe cię zamknąć. Do pozbawienia wolności na krócej niż rok wystarczy sam podpis lokalnego przedstawiciela Urzędu Bezpieczeństwa. I Zhong ma z powrotem swego cennego asystenta.

–Ale on mi obiecał – odparł Yeshe, wykręcając palce. – Nie mam dokąd pójść. Nie mam pieniędzy. Żadnych rekomendacji. Żadnych papierów podróжных. Nie ma dla mnie miejsca. Jedyna praca, jaką mógłbym dostać, to w zakładach chemicznych w Lhasie. Oni chętnie zatrudniają Tybetańczyków, nawet bez dokumentów. Widziałem tamtejszych robotników. Po kilku miesiącach wypadają im wszystkie włosy. Zanim dobiegną czterdziestki, tracą większość zębów. – Uniósł wzrok. Zamiast goryczy, którą Shan spodziewał się ujrzeć, był tam cień wdzięczności. – Nawet jeżeli masz rację, co mogę zrobić? A ty sam tkwisz w tej samej pułapce, tylko jeszcze głębiej.

–Ja nie mam nic do stracenia. Więzień lao gai z bezterminowym wyrokiem – oświadczył Shan, z całych sił starając się nadać głosowi obojętne brzmienie. Podszedł do okna. – Mnie może wrobiono w to celowo. Ale ty po prostu miałeś pecha. Może powinieneś się rozchorować.

Wiatr cisnął gradem o szyby. Światło zamigotało. Więźniowie w Czteryście Czwartej zawsze wzdrygali się, gdy nadchodziła taka pogoda. Bębnienie grudek lodu tłukących w blaszane dachy baraków nazbyt im przypominało terkot karabinów maszynowych.

–Jeżeli będą pytać, nigdy nie widziałem purbów – powiedział Yeshe do jego pleców. – Ale nie chodzi tylko to. Jeśli wyda się, że purbowie pomagają Sungpo, uznają to za dowód, że za morderstwem stały radykalne grupy, że Sungpo należał do jednej z nich. – Umilkł nagle. Przed budynkiem zatrzymała się stara limuzyna, niewątpliwie już przed laty wycofana z jakiegoś miasta na wschodzie. Z bramy wybiegł mężczyzna z wystrzępionym parasolem. Osłonił nim pasażera z tylnego siedzenia, który wszedł do budynku.

Dwie minuty później do pokoju wpadł dyrektor Urzędu do spraw Wyznań. Był o kilka lat młodszy od Shana. Granatowy garnitur i czerwony krawat nadawały mu wygląd poważnego biurokraty. Włosy miał obcięte krótko, po wojskowemu. Na ręce nosił zegarek, którego tarczę zdobiła emaliowana chińska flaga. Takie zegarki wręczano zwykle oddanym członkom partii.

–Towarzyszu Shan! – powitał go donośnym głosem. – Jestem dyrektor Wen. – Odwrócił się do Yeshego. – Tashi delay – powiedział niezdarnie.

–Mówię po mandaryńsku – odparł Yeshe z wyraźnym zażenowaniem.

–Wspaniale! O to właśnie chodzi w nowym socjalizmie. W zeszłym miesiącu wygłaszałem przemówienie w Lhasie. Musimy koncentrować się nie na różnicach, powiedziałem, ale na tym, co nas łączy – rzekł, najwyraźniej szczerze. Z westchnieniem odwrócił się do Shana. – Dlatego jest taką tragedią, gdy chuligaństwo przybiera formy kulturowe. To wbija klin między ludzi.

Shan nie odpowiedział.

–Z biura pułkownika Tana dzwoniło w sprawie śledztwa – rzekł Wen, niezręcznie zmieniając temat. – Prosimy o moją pełną współpracę. Oczywiście to się rozumie samo przez się.

–Jesteście odpowiedzialni za wszystkie gomy w okręgu Lhadrung – zaczął Shan, kiedy podano herbatę.

–Wszystkie muszą uzyskać zezwolenie z mojego urzędu.

–I każdy mnich.

–I każdy mnich – potwierdził Wen, spoglądając na Yeshego.

–To wielka odpowiedzialność – zauważył Shan.

Yeshe w milczeniu wpatrywał się w podłogę. Wydawało się, że nie może unieść wzroku na Wena. Powoli, sztywno, jak gdyby sprawiało mu to ból, wyciągnął bloczek i zaczął notować.

–Siedemnaście gomp. Trzystu dziewięćdziesięciu jeden mnichów. I długa lista oczekujących.

–A inwentarze gomp?

–Mamy trochę. Wnioski o przyznanie zezwolenia są dość szczegółowe.

Wymagany jest wszechstronny rejestr.

–Chodzi mi o stare gomy.

–Stare?

Shan utkwiał w dyrektorze nieruchome spojrzenie.

–Znam mnichów, którzy żyli tu dziesiątki lat temu. W roku 1940 w okręgu było dziewięćdziesiąt jeden gomp. Tysiące mnichów.

Wen lekceważąco machnął ręką.

–To było dawno przed moim urodzeniem. Przed wyzwoleniem. Kiedy religia stanowiła narzędzie ucisku proletariatu.

Yeshe nie odrywał wzroku od notatek. To nie wyjaśnienie prawdziwych zamiarów Zhonga wywołało taką reakcję. Przyczyną był Wen. I to nie ból widać było w oczach Yeshego, uświadomił sobie Shan, lecz strach. Dlaczego dyrektor Urzędu do spraw Wyznań budzi w nim taki lęk?

–W tamtych czasach – powiedział Shan – w niektórych wielkich gompach urządzano w dni świąteczne specjalne obrzędowe tańce.

Wen skinął głową.

–Widziałem to na filmach. Używali symbolicznych, bardzo wymyślnych kostiumów. Bóstwa, dakinie, demony, błazny.

–Wiecie, gdzie takie kostiumy mogą być dzisiaj?

–Fascynujące pytanie. – Wen podniósł słuchawkę telefonu. Parę chwil później w drzwiach ukazała się młoda Tybetanka.

–Ach, panna Taring – przywitał ją Wen. – Nasi... nasi przyjaciele pytali o stare kostiumy do tańców obrzędowych. Gdzie je dzisiaj można znaleźć. – Odwrócił się do Shana. – Panna Taring jest naszą archiwistką.

Kobieta skinęła Shanowi głową i usiadła na krześle pod ścianą.

–W muzeach – zaczęła sztywnym, profesjonalnym tonem, zdejmując okulary w stalowych oprawkach. – Pekin. Chengdu. Muzeum Zabytków Kultury w Lhasie.

–Ale wciąż odkrywane są nowe zabytki – zauważył Shan.

–Może – odważył się odezwać Yeshe – znaleziono jakiś kostium podczas ostatniego przeglądu?

Panna Taring wydawała się zaskoczona tym pytaniem. Odwróciła się do Wena.

–Dokonujemy inspekcji, to prawda – przyznał Wen. Yeshe wciąż nie był w stanie spojrzeć mu w oczy. – Zezwolenia nie miałyby sensu, gdybyśmy nie nadzorowali ich przestrzegania.

–Inwentaryzujecie zabytki? – zapytał Shan.

–Jako część odzyskiwanych dóbr klasztornych, zabytki należą do narodu. Gompy otrzymują je od nas w depozyt. Oczywiście, musimy kontrolować, co jest gdzie.

–I czasami odkrywane są przy tym nowe – naciskał Shan.

–Istotnie.

–Ale nie kostiumy.

–Nie, odkąd tu pracuję.

–Czy możecie być pewni? – zapytał Shan. – Wasze wykazy muszą liczyć tysiące pozycji.

Wen uśmiechnął się protekcjonalnie.

–Szanowny towarzyszu, musicie zrozumieć, że taki kostium to skarb o nieocenionej wartości. Znaleźć jeszcze jeden to byłoby święto.

Shan spojrzał na Yeshego, by sprawdzić, czy chłopak wciąż notuje. Nie przesłyszał się? Szanowny towarzyszu? Odwrócił się do archiwistki.

–Panno Taring, twierdzicie, że wszystkie znane wam kostiumy są w muzeach.

–Niektóre z wielkich gomp w okolicach Lhasy otrzymały zezwolenie na wykonywanie tańców obrzędowych. Przy pewnych uzgodnionych okazjach. Przybywają turyści. – Przyglądała mu się uważnie, jak gdyby podejrzliwie.

–Wpływy dewizowe – podsunął Shan.

Panna Taring skinęła obojętnie głową.

–Czy wasz urząd wydał takie zezwolenie któreś z gomp w Lhadrung?

–Ani jednej. Tutejsze gompy są zbyt ubogie, by sfinansować taką ceremonię.

–Pomyślałem, że skoro przyjeżdżają Amerykanie...

Oczy dyrektora Wena rozblęły. Spojrzał na archiwistkę.

–Dlaczego o tym nie pomyśleliśmy? – Odwrócił się do Shana. – Panna Taring zajmuje się z naszej strony przygotowaniem do wizyty Amerykanów. Będzie oprowadzała wycieczki po obiektach kulturowych. Mówi po angielsku z amerykańskim akcentem.

–Znakomity pomysł, towarzyszu dyrektorze – stwierdziła archiwistka. – Ale tu nie ma żadnych wyszkolonych tancerzy. Te kostiumy... one w większości nie wyglądają tak, jak myślicie. To raczej maszyny. Mechaniczne ramiona. Wymyślne mocowania. Mnisi miesiącami poznawali samą zasadę ich działania. Żeby użyć ich podczas ceremonii, wyuczyć się tańców i ruchów... niektórzy ćwiczyli całe lata.

–Ale krótki pokaz przy jednym z naszych nowych obiektów... – przekonywał Wen. – Amerykanie nie muszą zobaczyć autentycznego tańca. Po prostu kostiumy. Jakies kołysanie się do rytmu. Cymbały i bębny. Mogą zrobić sobie zdjęcia.

Panna Taring patrzyła na Wena z lekkim, dyplomatycznym uśmiechem.

–Przy nowych obiektach? – zainteresował się Shan.

–Mogę z przyjemnością oświadczyć, że niektóre gompy są odbudowywane pod naszym nadzorem. Otrzymaliśmy subwencje.

Subwencje. Co to oznacza? zastanowił się Shan. Że plądrowali starożytne świątynie, żeby zbudować ich imitacje, niszczyli autentyczne zabytki, by zapłacić za scenografię, w której dla turystów odgrywać się będzie buddyjskie obrzędy?

–Czy prokurator Jao brał udział w rozpatrywaniu wniosków o zezwolenie dla takich obiektów? – zapytał.

Dyrektor odstawił czarkę na stół.

–Dziękuję, panno Taring.

Archiwistka podniosła się i ukloniła lekko Shanowi i Yeshemu. Wen poczekał, aż wyjdzie, zanim się odezwał.

–Przepraszam. Jak sądzę, chcieliście rozmawiać o morderstwie.

–Towarzyszu dyrektorze, cały czas rozmawiamy o morderstwie – odparł Shan.

Wen przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

–Zajmuje się tym komitet. Jao, pułkownik Tan i ja. Każdy ma prawo weta wobec każdej decyzji.

–Tylko w zakresie odbudowy.

–Zezwoleń. Odbudowy. Prawa przyjmowania nowicjuszy. Publikowania traktatów religijnych. Odprawiania nabożeństw publicznych.

–Czy prokuratorowi zdarzyło się kiedyś odrzucić taki wniosek?

–Oczywiście, jak każdemu z nas. Subwencje muszą być rozdzielane sprawiedliwie. Mniejszość tybetańska jest tylko częścią populacji Chin. Nie możemy przystawiać stempla na każdej prośbie – oświadczył Wen pełniejszym, wyćwiczonym głosem.

–A ostatnio? Czy była jakaś szczególna, której nie poparł?

Wen spojrział w sufit, z rękoma splecionymi na karku.

–Tylko jedna w ciągu ostatnich paru miesięcy. Odmówił pozwolenia na odbudowę.

Gompie Saskya.

Saskya była gompą Sungpo.

–Na jakiej podstawie?

–W dolnym odcinku tej samej doliny leży inna gompa, większa. Khartok.

Wcześniej złożyła wniosek o zezwolenie na odbudowę. Znacznie dogodniejsza dla zwiedzających. Lepsza inwestycja.

Shan wstał, zbierając się do odejścia.

–Rozumiem, że objęliście to stanowisko niedawno.

–Prawie pół roku temu.

–Podobno wasz poprzednik został zabity.

Dyrektor Wen smutno pokiwał głową.

–W rodzinnych stronach uważają go za swego rodzaju męczennika.

–A wy nie obawiacie się o życie? Nie widziałem żadnych strażników.

–Nie możemy dać się zastraszyć, towarzyszu. Mam zadanie do wykonania – oświadczył ponuro. – Mniejszości mają prawo chronić własną kulturę. Ale gdy szala zbyt mocno przechyli, rodzi się groźba reakcji. Garstce z nas Pekin powierzył zadanie utrzymania równowagi. Bez nas panowałby tu chaos.

ROZDZIAŁ 9

Nad Tybetem kielkowały zawiązki nocnego nieba. Tutaj było ono najgęściej utkane gwiazdami, najczarniejsze i najbliższe. Ludzie spoglądali w górę i płakali, nie wiedząc dlaczego. Więźniowie czasem, ryzykując stajnię, wykradali się z baraków i kładli się na ziemi, by w ciszy wpatrywać się w rozgwieżdżone sklepienie. Przed rokiem w Czterysta Czwartej znaleziono któregoś ranka zamrożone w takiej pozycji ciało jednego ze starych mnichów. Martwe oczy patrzyły nieruchomo w niebo. Obok, na śniegu, napisał dwa słowa. "Złapcie mnie".

Shan oparł głowę o okno, gdy wóz terenowy piął się w górę w długiej podróży na północ, wyżej i wyżej ku niebu. W niektórych gompach istniał pewien sprawdzian dla nowicjuszy. Wyjdź w nocy z klasztoru i połącz się w miejscu podniebnego pochówku. Kontempluj niebo wśród obdziobanych przez ptaki kości. Niektórzy nie wracali.

–Wszyscy mówią o tym więźniu Lokeshu – dobiegł z ciemności za jego plecami głos Yeshego. – Zrobiłeś coś dla niego.

–Zrobił coś? – burknął sierżant Feng. – Kopnął nas w dupę, ot co.

–To był tylko nieszkodliwy stary człowiek. Tzedrung – odparł Shan, używając tybetańskiego określenia urzędnika klasztornego. – Był poborcą podatkowym za dalajlamy – wyjaśnił. – Dawno już należało go uwolnić.

Feng parsknął.

–Pewnie. Jakby to więźniowie decydowali, kiedy mamy im otworzyć bramę.

–Ale jak mogłeś... – Yeshe nachylił się do przodu. Raz odważywszy się zadać pytanie, nie zamierzał zrezygnować.

–Dziesięć lat wcześniej widziałem dekret Rady Państwa. Aby uczcić urodziny przewodniczącego Mao, ogłoszono amnestię dla wszystkich członków i urzędników byłego rządu tybetańskiego. Nadzorca Zhong przeoczył je.

–Więc tak po prostu pouczyłeś go o jego obowiązkach? – zapytał Yeshe z niedowierzaniem.

–Przypomniałem mu.

–Gównu tam – wtrącił się Feng. – Przypomniał mu! Jakby mu wrzucił granat w portki, tak mu przypomniał. – Zwolnił i nachylił się do Yeshego. – Więzień Shan zapomniał powiedzieć, że nie miał prawa nikomu niczego przypominać. Złamałby dyscyplinę. Więc zamiast tego poprosił oficera politycznego o materiały na transparent na cześć Mao.

–Transparent?

–Wielki, cholerny transparent, żeby widział go cały świat. Shan wykazał ducha patriotycznego, przechwalał się Chang. Przyszły rodziny. Przyszli ludzie z miasta. Strażnicy w pełnej gali. I nagle na dachu ich baraku ukazuje się transparent. Niech żyje Mao, czytamy, na którego cześć Rada Państwa udzieliła amnestii wszystkim byłym urzędnikom. Podał nawet miesiąc i rok dekretu, żeby nikt nie miał wątpliwości. Tamtego tygodnia oficer polityczny spędził z Shanem wiele czasu.

–Ale ten człowiek został zwolniony?

–Do pułkownika Tana trafiła petycja. To nie było po prostu naruszenie prawa, to było zbezczeszczenie daru Mao. Groziły nam demonstracje. Tak więc pułkownik

przyznał przed światem, że nadzorca Zhong popełnił błąd.

Jechali dalej, mila za milą, wtapiając się w gwiazdy. Byli teraz tak wysoko, że droga zdawała się tracić wszelki związek z planetą. Tylko kilka czarnych plam wzdłuż krawędzi nieba wskazywało, że wciąż są między górami.

–Dlaczego boisz się dyrektora Wena? – usłyszał własny głos Shan. Nie wiedział nawet, że zamierza w ogóle zadać to pytanie.

–Nie chciałem się go bać – dużo później dobiegła z nicości odpowiedź. – Ale on jest kenpo. Całego Lhadrung.

Sumienny młody dyrektor Wen opatem? Po chwili Shan zrozumiał.

–Mnich miałby prawo czuć przed nim lęk. – Pieczęć Wena powoływała mnichów lub ich niszczyła. Jego pieczęć niosła zagładę dla gomp.

–Nie jestem mnichem.

–Ale byłeś nim. – Shan przypomniał sobie upiorną mantrę Yeshego w jaskini czaszek.

–Nie wiem. – W głosie Yeshego pobrzmiwało wahanie i ból. – To był tylko pewien etap mojego życia. Już dawno zamknięty.

Dla ciebie nie ma “dawno”, chciał już powiedzieć Shan. Nie waż się mówić “dawno”, dopóki jak reszta z nas nie przeżyjesz swojej dawki koszmarów, dopóki twoje wspomnienia nie staną się tak kruche, że będą trzaskać jak gałązki, gdy oficer polityczny wrzaskiem będzie cię zmuszał, byś je ujawnił.

–Potem studiowałeś w Chengdu – powiedział zamiast tego. – Ale odesłano cię z powrotem na reedukację. Dlaczego?

–To było nieporozumienie.

–Masz na myśli pomyłkę sądową?

Yeshe wydał jakiś dźwięk, niewykluczone, że miał to być śmiech.

–W jednej z sal ktoś zastąpił portret Mao fotografią dalajlamy. Kiedy nikt nie chciał się do tego przyznać, wyrzucono wszystkich sześciu studentów z Tybetu.

–Chcesz powiedzieć, że nie ty to zrobiłeś?

–Tamtego dnia nie było mnie nawet na uczelni – odparł smutno Yeshe. – Urwałem się, żeby zdobyć bilety na amerykański film.

–I udało ci się? – zapytał po chwili Feng. – Z tymi biletami?

–Nie – westchnął chłopak. – Zabrakło.

Milczenie nieba znów przytłoczyło Shana. W świetle reflektorów ukazał się duch. Unosił się w powietrzu, jak gdyby ich obserwując. Feng wciągnął powietrze. Dopiero gdy duch przemknął ponad górskim stokiem, Shan spostrzegł jego skrzydła. Sowa.

–Mój stary był stolarzem. – Słowa popłynęły nieoczekiwanie, jak nie kontrolowana myśl. Minęła chwila, nim Shan uświadomił sobie, że wypowiedział je Feng. – Zabrali jego warsztat, jego narzędzia, wszystko. Dlatego, że miał je na własność. Klasa posiadaczy. Przez dziesięć lat kopał rowy nawadniające. Ale nocami robił różne rzeczy. – W głosie Fenga brzmiało coś nowego. On też to czuł. Ciemność.

–Z kartonu. Z suchej trawy. Z patyków. Piękne rzeczy. Pudełka. Nawet szafki.

–Tak – odezwał się niepewnie Shan, choć nie znał tego stolarza, poznał jednak wielu takich bohaterów.

–Zapytałem go po co. Byłem wtedy tylko głupim dzieckiem. Ale on spojrział na mnie mądrym wzrokiem. Wiecie, co powiedział?

Po niebie przemknął meteor. Nikt się nie odezwał.

–Powiedział, że zawsze trzeba iść naprzód – dokończył wreszcie Feng.

Shan przez parę następnych chwil wpatrywał się w gwiazdy.

–Był bardzo mądry – powiedział. – Chciałbym znać twojego ojca.

Usłyszał, jak zaskoczony Feng gwałtownie wciąga powietrze. Potem wydał niski, bulgoczący odgłos, który był jego śmiechem.

Kolejny meteor przeciął firmament.

–Stare jaki mawiają, że każda spadająca gwiazda to dusza, która staje się buddą – odezwał się Shan z rozmarzeniem.

–Stare jaki? – zapytał Yeshe.

Shan nie miał pojęcia, że mówił na głos.

–Pierwsze pokolenie więźniów. Najstarsi, którzy pozostali przy życiu. – Uśmiechnął się w mroku. – Mojej pierwszej zimy w Czterysta Czwartej przydzielono nas do odśnieżania wysokich przełęczy. Ostry mróz. Wiatr wyczyniał dziwne rzeczy ze śniegiem. Dziesięciometrowe zasy w jednym miejscu, goła ziemia gdzie indziej. Głazy oblepione przez lód i śnieg tak, że wyglądały jak olbrzymie stworzenia ze snów. Pewnego dnia po świeżych opadach odkopywaliśmy drogę i znaleźliśmy wielki głaz, którego przedtem nie było. Ktoś powiedział, że zniosła go lawina.

Odgarnialiśmy śnieg – ciągnął Shan. – Nawiewało go z powrotem. Odgarnialiśmy znowu. I nagle, za nami, jeden ze strażników zaczął wrzeszczeć. Głaz patrzył na niego. – Znów się uśmiechnął. Zapomniał, jak bardzo lubi to wspomnienie. – To był stary jak, który pozwolił, by przysypał go śnieg, żeby się ochronić przed zimnem i wiatrem. Stał tam po prostu, jak gdyby był częścią góry, obserwując szalejący wokół świat. W drodze powrotnej jeden z więźniów powiedział, że ten jak przypominał mu starych mnichów z Czterysta Czwartej. Wieczni, niezniszczalni jak góry, pogodzeni z najbardziej nieznośnym otoczeniem. I tak przyłgnęła do nich ta nazwa.

Potem pojawił się dziwny dźwięk, gwar wypełnionego ludźmi stadionu. Pośrodku, na podwyższeniu, za stołem z mikrofonami siedziały trzy postacie o surowych twarzach. Z tyłu, za podwyższeniem, stała stara kobieta ze szczotką i wiadrem. Shan drgnął. To był sen. Nie, uświadomił sobie z bólem, to było wspomnienie. Próbował patrzeć w gwiazdy, ale pięć minut później znowu był na stadionie. Tym razem na podwyższeniu pojawił się przerażony młody człowiek o oczach mętnych od narkotyków. Za nim wytworna kobieta o ostrym głosie odczytywała w jego imieniu oświadczenie, przeprosiny wobec narodu.

Shan siłą woli wyrwał się ze snu, wzdrygając się na wspomnienie ostatniego procesu o morderstwo, w którym uczestniczył. Zmusił się do liczenia gwiazd. Uszczypnął się. Ale zmęczenie znowu przeniosło go na stadion. Teraz panowała na nim głucha cisza. Oskarżony klęczał przed oficerem Urzędu Bezpieczeństwa. W ostatniej sekundzie, gdy kula przeszła mu czaszkę, jego twarz zmieniła się w twarz Sungpo. Stara kobieta weszła na podwyższenie i zaczęła usuwać szczotką krew i mózg.

Shan jęknął i oprzytomniał gwałtownie. Serce waliło mu jak młotem. Wizje nie powróciły.

Dużo, dużo później sierżant Feng odezwał się znowu:

–Ten żołnierz, Meng, pełnił wartę przy jaskini. Ale nie tamtej nocy.

–Pytałeś?

–Mówiłeś, że ci to potrzebne. Prawdopodobnie zamienił się z kimś. Zawsze tak robią, bez poprawiania w papierach.

–Możemy się z nim spotkać? Jak wrócimy do koszar?

–Nie wiem – odparł z wahaniem. – Jestem przydzielony do Czterysta Czwartej. Ci oficerowie z Nefrytowego Źródła... nie wiem. Są twardzi jak kły tygrysa – mruknął, po czym pochylił się do przodu, jak gdyby musiał bez reszty skupić się na drodze.

–Sierżancie – odezwał się nagle z tyłu Yeshe – towarzysz Shan mówi, że nadzorca mnie okłamuje. Że ma zamiar znowu mnie zamknąć, żebym pracował przy jego komputerach.

Jedyną odpowiedzią Fenga był wymuszony chichot.

–Czy to prawda? – zapytał Yeshe.

–Dlaczego mnie o to pytasz? Nadzorca i ja żyjemy w dwóch różnych światach, rozumiesz, co mam na myśli? Skąd miałbym wiedzieć?

–A jednak śmiałeś się, jakbyś w to wierzył.

–Wierzę w to, że Zhong to kawał sukinsyna. Naród płaci mu, żeby był sukinsynem. On nie rozmawia z sierżantami o swoich zamiarach.

–Ale mógłbyś się dowiedzieć. Zapytaj ludzi. Każdy rozmawia z momo gyakpa.

Feng przyhamował.

–Coś ty, u diabła, powiedział?! – warknął, nagle zmieniając ton.

–Przepraszam. Nic. Chcę tylko prosić, żebyś zapytał. Może mógłbym w zamian coś dla ciebie zrobić.

–Momo gyakpa? Gruba klucha? – Gorycz w jego głosie wydawała się przeważać nad wściekłością. – Już to słyszałem – dodał, dużo ciszej, po chwili bolesnego milczenia. – Za plecami. Trzydzieści pięć lat w Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i tyle z tego mam. Momo gyakpa.

–Przepraszam – wymamrotał Yeshe.

Ale Feng już nie słuchał. Opuścił szybę i sięgnął do torebki klusek, które dostali na śniadanie i południowy posiłek.

–Momo. – Wyciągnął jedną kluskę i zgniótł ją w dłoni jak gdyby była czymś żywym, co zamierzał uśmiercić. Cisnął ją za okno, potem następną i następną, przy każdej wyrzucając z siebie jedno słowo. – Momo! Kurwa! Gyakpa! – ryczał. Głos załamał mu się boleśnie. Wyjrzał przez okno za ostatnim momo. – Kiedyś nazywano mnie Toporem, bo gołymi rękami łamałem różne rzeczy na dwoje. Topór. Uważajcie, chłopaki, Topór idzie. Tak mówili. Pułkownik Tan pamięta tamte dni. Uciekajcie, Topór jest dzisiaj na przepustce.

Gdy tylko rozwidniło się na tyle, by dało się czytać, Shan sięgnął do płóciennej torby, którą pani Ko zostawiła mu przy baraku. Trzy teczki, akta spraw, które doprowadziły do egzekucji trzech spośród Piątki z Lhadrung. Lin Ziyang, dyrektor

Urzędu do spraw Wyznań, zabity przez chuligana kulturowego Dilgo Gongshe. Xong De, dyrektor kopalń Ministerstwa Geologii w okręgu Lhadrung, zabity przez wroga narodu Rabjama Norbu. Jin San, kierownik spółdzielni rolniczej, zabity przez Dza Namkhaia, przywódcę niesławnej Piątki z Lhadrung.

Studiował dokumenty niemal przez godzinę. Z każdej teczki usunięto końcowe strony. Zeznania świadków.

Zaróżowione świtem szczyty zdawały się unosić, jak gdyby należały bardziej do nieba niż do spowitej cieniem ziemi. “Czy jedynymi religijnymi ludźmi na świecie są ci, którzy żyją wśród gór?” – zapytał go kiedyś Trinle. “Nie wiem”, odparł Shan, “ale wiem, że Tybetańczycy bez swoich gór nie byłiby tym, kim są”.

Zaczęli zjeżdżać w długą dolinę. Pod nimi, odległy o półtora kilometra krętej drogi, w bladym świetle poranka majaczył zespół kamiennych budowli otoczonych przez długie, puste pastwiska. Shan przekrzywił głowę, uświadomiwszy sobie, co to takiego. Choć spędził trzy lata wśród tybetańskich mnichów, nigdy dotąd nie widział czynnego tybetańskiego klasztoru. Tak niewiele ich pozostało.

A jednak niezliczone klasztory istniały już w jego wyobraźni. W najbardziej mroźne zimowe dni, kiedy ciężarówka nie opuszczała obozu, a więźniowie pod cienkimi kocami zbijali się w grupki, przywierając do siebie plecami, aby zachować ciepło, stare jakimi słowami oprowadzały innych po gompach swojej młodości. Gdy więźniowie dygotali, nieraz tak gwałtownie, że kruszyły się szczękające zęby, Choje, Trinle lub inny mnich rozpoczynał podróż, opisując, jak odblask świtu kładł się w oczach wędrowca na odległych kamiennych murach gompy albo jak charakterystyczny dźwięk jej dzwonu odzywał się w pielgrzymie znaną nutą, na długo nim sama budowla znalazła się w zasięgu jego wzroku. Zapach jaśminu na ścieżce, lot pardwy, szelest piżmowca, który bez obaw buszował w cieniu gompy, wszystko to ożywało na nowo w ich opowieściach, tak samo jak radosny okrzyk czujnego rapjunga, ucznia, który pierwszy wypatrzył gościa i otwierał mu bramy.

Teraz, gdy gompy więźniów dawno już starto z powierzchni ziemi, a niewiele z nich zostało upamiętnionych na fotografiach, jedynymi śladami po nich były wspomnienia garstki tych, którzy przeżyli. Lecz nim opowieść dobiegała końca – a wizyta w jednym klasztorze mogła dostarczyć materiału na wiele dni – gompa była odbudowana w sercach i umysłach kolejnego pokolenia. Nie tylko jej obraz, gdyż stare jakimi rozkoszowały się także dźwiękami i zapachami swych dawnych domów. Nie tylko jej mury, gdyż we wspomnieniach powracał także rytm życia, aż do zaropiałych oczu ślepego lamy, który uderzał w dzwon, albo tamponów z końskiego włosia, którymi nowicjusze szorowali kamienne posadzki, gdy stały się zbyt śliskie od maślanych ofiar. W jednej z gomp w górach na południu był wielki młynek modlitewny, którego skrzypienie przywodziło na myśl stado głodnych srok, przypomniał sobie Shan, a w jej kuchni dodawano do jęczmienia na tsampę wonne kwiaty pewnej odmiany wrzosu.

Sierżant Feng przyhamował.

–Pewnie dostalibyśmy tu gorącą herbatę – zasugerował, wskazując głową zabudowania. – Może wyjaśnią nam dokładniej, jak dojechać do Saskyi. Nie znam tej

drogi...

–Nie – przerwał mu Yeshe z niezwykłą jak na niego śmiałością. – Nie mamy dość czasu. Jedź dalej. Znam Saskyę. Trzydzieści kilometrów prosto tą szosą, u stóp urwiska na końcu doliny.

Feng mruknął coś pod nosem i pojechał dalej.

Godzinę później Yeshe skierował go na ziemną drogę prowadzącą do zagajnika rododendronów i cedrów. Po paru minutach ich oczom ukazał się długi kamienny wał biegnący prostopadle do drogi i niknący w gąszczu. Shan dał Fengowi znak, by zatrzymał samochód. Wyskoczył z wozu i podbiegł do sterty kamieni. Nie był tu nigdy przedtem, a jednak miejsce to miało w sobie coś znajomego. Gdzieś z bliska dochodziło ciche dzwonienie tsinghi, małych ręcznych cymbałów używanych podczas buddyjskich nabożeństw.

Poczuł dreszcz podniecenia. Był tu już, tu albo w innym bardzo podobnym miejscu, w zimowych opowieściach starych jaków. Powoli ugięły się pod nim kolana. Ukląkł na chwilę, opierając dłonie na kamieniach. Potem zaczął porządkować stos. Podniósł jeden kamień, potem drugi i trzeci. Zostały ociosane ludzkimi rękoma i na każdym widniała tybetańska inskrypcja, namalowana albo z grubsza wyryta. Był to murek mani, wzniesiony z pokrytych modlitwami kamieni, setkami lat układanych przez pobożnych przechodniów i pielgrzymów. Wszystkie przyniesiono, jeden po drugim, z daleka, na chwałę Buddy. Mówiono, że kamień mani będzie podtrzymywał modlitwę po odejściu pielgrzyma. Spojrzał na nie, ciągnące się, jak okiem sięgnąć, aż po las, kruszejące, pokryte mchem modlitwy pokoleń.

Kiedyś Trinle oberwał za to, że wyłamał się z szeregu, by podnieść taki kamień porzucony na górskim zboczu.

–Po co ryzykować pałowanie? – zapytał Shan, gdy mnich ścierał mech, by odsłonić modlitwę.

–Dlatego, że to może być modlitwa, która zmieni świat – odparł pogodnie Trinle.

Shan ostrożnie oczyścił pięć kamieni. Ułożył na ziemi trzy, na nich dwa, a wreszcie jeden na szczycie. Zaczątek nowego stosu.

Nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenia Fenga, ruszył przed pełznącą terenówką. Znów dało się słyszeć cichy brzęk tsinghi. Spomiędzy drzew wyłonił się wysoki mur. Rysy, spoiny i łaty farby mówiły o ciężkich przejściach i walce o przetrwanie. Był druzgotany i odbudowywany, burzony i łatany więcej razy, niż Shan mógł odczytać ze śladów. Nierówną powierzchnię, którą w jednym miejscu stanowił tynk, w innym zaprawa wapienna, gdzie indziej zaś goły kamień, pokrywało pół tuzina odcieni bieli i brązu.

Mur okalały z obu stron ruiny, obrośnięte pnączem szczerbate zwały gruzu, potrzaskane i zwęglone belki pokryte porostami i mchami. To, co widział, uświadomił sobie nagle, było ścianą okalającą wewnętrzny dziedziniec czegoś, co niegdyś stanowiło znacznie większą gompę. Przez otwartą bramę widać było kilku nowicjuszy zamiatających dziedziniec miotłami z sitowia na długich kijach.

Scena ta obudziła w nim nieoczekiwaną radość. Budynek był mu znany z ustnych rekonstrukcji w Czteryście Czwartej, ale nic go nie przygotowało na niemalże

namacalną atmosferę czynnej, żywej gompy.

Na środku dziedzińca stał wielki brązowy kocioł, tak poobijany i wyszczerbiony, że zdobiące go oblicze Buddy przypominało raczej poznaczoną szramami twarz wojownika. Dwaj mnisi pracownicy polerowali tę jedną z największych kadzielnic, jakie Shan kiedykolwiek widział. Unosiły się z niej wstęgi jałowcowego dymu.

Po obu stronach bramy, wzdłuż muru, do połowy okrążając dziedziniec, ciągnęły się niskie budynki kryte łupkiem. Kwatery mnichów. Sklecone z odzyskanych kamieni i zrzyneków drewna, wyglądały podejrzanie, jak dzika zabudowa. Co to powiedział im dyrektor Wen? Jao odmówił gompie Sungpo zezwoleń budowlanych, odcinając ją od oficjalnych źródeł materiałów.

Stojące w głębi budynki były równie połatanne, a jednak na swój sposób majestatyczne. Po lewej stronie, za portykiem z ciężkich belek, do którego prowadziło kilka schodków, znajdował się dukhang, sala zgromadzeń, gdzie mnisi pobierali nauki. Po prawej, równoległe do niej, wznosiła się budowla, przed którą, pod daszkiem, stał młynek modlitewny wielkości człowieka. Jeden z mnichów obracał go powoli, z każdym obrotem wysyłając w niebo wypisaną na nim modlitwę. Dalej, za parą jaskrawoczerwonych drzwi, znajdował się lhakang, czyli świątynia. Na zewnętrznej ścianie wymalowana była okrągła mandala przedstawiająca świętą ścieżkę, Koło Dharmy, pomiędzy dwoma jeleniami symbolizującymi pierwsze kazanie Buddy w Indiach.

Między tymi dwiema budowlami wznosił się wielki czorten: pokryta tynkiem tybetańska stupa o czworokątnej podstawie przechodzącej schodkowo w spłaszczoną kopułę, którą wieńczyła stożkowa iglica. Trinle zbudował kiedyś na Loshar, święto Nowego Roku, malutki czorten z obrzynków drewna i zdążył objaśnić Shanowi jego duchową symbolikę, zanim porucznik Chang odebrał mu go i rozdeptał na drzazgi. Iglica czortenu składała się z trzynastu dysków przedstawiających parasole symbolizujące metody rozprzestrzeniania nauki buddyjskiej. Wieńczyła ją żelazna tarcza słoneczna spoczywająca na sierpie księżycy. Słońce oznaczało mądrość, księżyc zaś współczucie. Na kopule wymalowanych było dwoje ogromnych oczu symbolizujących nieustannie czuwającego Buddę.

Gdy podjechała terenówka i zatrzymała się za nim, Shan wszedł na dziedziniec. Nowicjusze na podwórzu na widok gości przerwali pracę i powitali ich niskim ukłonem. Shan, kierując się spojrzeniem jednego z mnichów, przeniósł wzrok na salę zgromadzeń. W drzwiach ukazał się starszy lama.

–Wybaczcie to wtargnięcie – odezwał się cicho Shan, gdy lama zbliżył się do nich. – Chciałbym porozmawiać z kimś o pustelniku Sungpo.

Lama najwyraźniej nie uznał tej prośby za wartą odpowiedzi.

–Co was tu sprowadza?

–Chcę znaleźć nauczyciela Sungpo.

Twarz mężczyzny stwardniała.

–A o co jest oskarżony jego guru?

Yeshe podszedł do Shana.

–To nie jest kenpo – szepnął, nie poruszając głową. – To jest chotrimpa.

Shan uniósł wzrok, usiłując ukryć zaskoczenie. Kenpo, opat, zdecydował się nie rozmawiać z Shanem. Wysłał lamę odpowiedzialnego za dyscyplinę klasztorną.

Znów zwrócił się do lamy.

–Sungpo jest u nas. Jego język nie. Pokornie proszę o posłuchanie u jego guru.

Lama spojrział na ciekawskich młodych mnichów, którzy otoczyli terenówkę.

Odpędził ich karcącym ruchem dłoni. W tej samej chwili gdzieś z wnętrza sali rozległ się głęboki dźwięk dzwonu. Dziedziniec opustoszał.

–Zechcecie przyłączyć się do naszych ćwiczeń śunjaty? – zapytał lama Shana i

Yeshego. Uśmiechał się lekko, lecz w jego głosie pobrzmiwało szyderstwo.

Poznanie śunjaty, pustki, było jedną z pięciu nauk obowiązkowych dla wszystkich uczniów klasztornych; była to nauka nieistnienia. Shan odprowadził wzrokiem lamę, który zniknął w najbliższych drzwiach. Każde z pytań Shana zbył innym pytaniem, po czym odszedł, nie czekając na odpowiedź.

Rozejrzał się po pustym teraz dziedzińcu. Nie oglądając się na Fenga i Yeshego, wspiął się na schody prowadzące do lhakang. Wewnątrz znajdował się mały korytarzyk zakończony kolejnymi schodami, u szczytu których otwierała się wielka, pusta sala oświetlona lampkami maślanymi. Zapalił laseczkę kadzidła i usiadł ze skrzyżowanymi nogami przy ołtarzu, przed naturalnej wielkości brązowym posągami Majtreji, buddy przyszłości, który dominował w tym pomieszczeniu. Przed posągami stało siedem tradycyjnych czarek ofiarnych: trzy wypełnione wodą, jedna kwiatami, jedna kadzidłem, jedna masłem i jedna aromatycznymi ziołami.

Siedział przez parę chwil w milczeniu, po czym wziął do rąk miotłę stojącą w końcu sali i zaczął zamiatać.

Do sali wszedł srebrnowłosey mnich, który zapalił ofiarę z masła uformowanego w mały, smukły stożek.

–Nie musisz tego robić – powiedział, ruchem głowy wskazując miotłę. – To nie jest twoja gompa.

Shan na chwilę oparł się na kiju miotły.

–Kiedy byłem młody – powiedział – usłyszałem o świątyni wysoko w górach, nad morzem, gdzie spoczywać miała cała mądrość świata. Pewnego dnia postanowiłem, że odwiedzę tę świątynię.

Po kilku ruchach miotłą znowu przystanął.

–W połowie wspinaczki zacząłem gubić drogę. Spotkałem człowieka niosącego na plecach wielką wiązkę drewna. Powiedziałem, że szukam najświętszej ze świątyń, aby odnaleźć siebie. Odpowiedział, że nie trzeba mi świątyni. On sam pokaże mi wszystko, co muszę wiedzieć. Oto, czego potrzeba, powiedział. Położył swoje brzemię na ziemi i wyprostował się.

Ale co mam zrobić, kiedy wrócę do domu? zapytałem. To proste, odparł. Kiedy wrócisz do domu, zrobisz to – i z powrotem zarzucił brzemię na barki.

Stary kapłan uśmiechnął się, znalazł drugą miotłę i przyłączył się do zamiatania.

Wyszedszy z budynku, Shan skierował się do bramy i ruszył dróżką biegnącą wzdłuż zewnętrznego muru. Na drugim końcu gompy od szlaku odchodziła w górę polna ścieżka. Trawę po obu jej stronach zgmiotły niedawno opony ciężkiego

pojazdu.

Dziesięć minut później dotarł na polanę, gdzie pojazd, który zostawił te ślady, zatrzymał się, niezdolny podjechać wyżej w skalistym terenie. Shan wspinał się dalej. Ścieżka stała się kręta, wiła się wśród rzeźbionych wiatrem skał. Okrążywszy ścianę stromego urwiska, wiodła nad pionową rozpadliną, po kładce z dwóch związanych razem bali. W końcu dróżka otworzyła się na rozległą łąkę. Kobierzec drobnych żółtych i niebieskich kwiatków prowadził do małej kamiennej budowli przytulonej do lica skały. Zakrakał kruk. Shan odwrócił się i ujrzał czarnego ptaka, symbol mądrości i powodzenia, unoszącego się w pustce niespełna trzydzieści metrów dalej. Pod ptakiem leżał cały świat. Na przeciwległym stoku w szpilkowy las spływał kaskadą wodospad; w głębi jak klejnot połyskiwało małe jezioro. Na południu ciągnącą się kilometrami dolinę, bez żadnych śladów człowieka, zamykała przełęcz, którą przejechali o świcie. Nad przełęczą wisiał samotny obłok.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos kroków na ścieżce. Feng i Yeshe byli już niedaleko. Shan zbliżył się do budynekczku.

Drzwi, na których wymalowany był mały ideogram zwieńczony słońcem, sierpem księżycą i płomieniem, otworzyły się przy lekkim dotknięciu. Przedsiónek robił wrażenie skromnej, lecz zadbanej wiejskiej izby. W puszcze pod oknem stały świeże kwiaty. Drugie pomieszczenie nie miało okien. Gdy jego oczy przywykły do ciemności, Shan dostrzegł tam słomiane wyrko, stołek, przybory do pisania i kilka świec. Zapaliwszy jedną z nich, stwierdził, że znajduje się nie w chatce, lecz w pieczarze.

Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. Shan zgasił świecę i wyszedł na dwór. Łąka była pusta. Nad głową usłyszał nagle pomruk zaskoczenia. Spojrzał w górę i ujrzał leżącego na dachu małego krępego człowieczka z ustami pełnymi gwoździ. Człowieczek przekrzywił głowę, przyglądając mu się tępym, wścibskim spojrzeniem wiewiórki. Nagle wypluł gwoździe, chwycił za krawędź dachu i przeciągnąwszy się przez nią, wylądował na czworakach u stóp Shana.

Nie podniósł się, ale wyciągnął palec i szturchnął nogę Shana, jak gdyby chciał się przekonać, czy przybysz jest prawdziwy.

–Przyszedłeś mnie aresztować? – zapytał, wstając, z dziwną nadzieją w głosie. Jego twarz, jasna i płaska, nie była twarzą Tybetańczyka.

–Przyszedłem w sprawie Sungpo.

–Wiem. Modliłem się. – Wyciągnął złączone nadgarstki, jak gdyby Shan miał mu nałożyć kajdanki.

–Czy to jest pustelnia Sungpo?

–Jestem Jigme – odparł, jakby to było wystarczające wyjaśnienie. – Czy on je?

Shan przyjrzał się uważnie dziwnemu stworzeniu. Mężczyzna wyglądał na niewyrośniętego. Jego ręce i uszy były nieproporcjonalnie duże w stosunku do reszty ciała. Powieki opadały mu jak u smutnego, sennego niedźwiedzia.

–Nie. Nie je.

–Tak myślałem. Czasem muszę podsuwać mu rosół zamiast herbaty. Ma sucho?

–Ma słomę. Ma dach.

Człowiek o imieniu Jigme skinął aprobująco głową.

–On czasami zapomina.

–Zapomina?

–Że ciągle jest tylko człowiekiem.

Yeshe i Feng podeszli do boku Shana. Jigme wymamrotał powitanie.

–Jestem gotowy – powiedział dziwnie radosnym głosem. – Muszę tylko zamknąć. I zostawić trochę ryżu dla myszy. Zawsze zostawiamy jedzenie dla myszy. Mistrz Sungpo kocha myszy. Może się nie uśmiecha, ale jego oczy śmieją się, kiedy myszy jedzą mu z ręki. Ze szczerego serca. Widzieliście, jak się śmieją?

Kiedy nikt nie odpowiedział, Jigme wzruszył ramionami i odwrócił się, by wejść do chaty.

–Nie przyszliśmy cię zabrać – wyjaśnił Shan. – Mam tylko kilka pytań.

Jigme zatrzymał się.

–Musicie mnie zabrać – powiedział. Spojrzał na Shana z przestachem. – Ja to zrobiłem – oświadczył nagle desperackim tonem.

–Co zrobiłeś?

–Cokolwiek on zrobił, ja też to zrobiłem. Tak właśnie z nami jest. – Przykucnął i objął kolana rękoma.

–Jak często Sungpo opuszczał chatę?

–Codziennie. On chodzi na brzeg urwiska i siedzi, dwie albo trzy godziny każdego ranka. – Jigme zaczął kołysać się w przód i w tył.

–Miałem na myśli, czy odchodził gdzieś dalej, poza zasięg twojego wzroku.

Jigme wyglądał na zakłopotanego.

–Sungpo jest pustelnikiem. Zaczął prawie rok temu. Nie może odejść. – Drgnął, spostrzegłszy, że popełnił błąd. – Nie z własnej woli. – Wydawał się bliski płaczu. – To nic nie szkodzi – dodał przepraszająco. – Dziadek mówi, że kiedy on wróci, zaczniemy znowu.

–Ale nie jesteś przy nim bez przerwy. Śpisz. On mógłby wyjść i wrócić, zanimbyś się obudził.

–Nie. Ja wiem. Zawsze wiem. Po to właśnie jestem, żeby wiedzieć, żeby czuwać nad nim. Pustelnicy potrafią się koncentrować jak... – z wysiłkiem szukał właściwego słowa -...jak bryłka węgla w pożarze lasu. – Wzruszył ramionami. – Mogą spać z urwiska. To się zdarzało. On należy do mnie. Ja należę do niego. – Utkwił wzrok we własnych dłoniach. – To jest dobry świat. – Ale Shan wiedział, że nie mówi o świecie jako takim. Mówił o maleńkim płaskowyżu w zapomnianym zakątku Tybetu.

–Jest jeden człowiek, z którym wolno mu rozmawiać – podsunął Shan.

–Dziadek. Je Rinpocze. – Głos Jigme był cichy jak szept.

–Czy Rinpocze jest tutaj?

–W gompie.

–Opowiedz mi, jak to było tego dnia, kiedy oni przyszli po Sungpo.

Jigme znów zaczął się kołysać.

–Było ich sześciu, może siedmiu. Karabiny. Przynieśli karabiny. Słyszałem kiedyś o karabinach.

–Jakiego koloru mieli mundury?

–Szare.

–Wszyscy?

–Wszyscy poza tym młodym. Miał bliznę na twarzy. Nazywał się Meh Jah.

Wszyscy mówili na niego Meh Jah. Miał na sobie sweter i ciemne okulary. Posłał po opata. Nic nie robił, dopóki opat nie przyszedł.

–Powiedzieli, że znaleźli portfel.

–Niemożliwe.

–Nie znaleźli go?

–Nie. To znaczy znaleźli. Byłem tu. W tej jaskini. Meh Jah wprowadził opata. Mieli latarki. Odwrócił kamień i on tam leżał. Ale to było niemożliwe.

–Jak długo go szukali?

–Żołnierze przetrząsali wszystko. Poprzewracali moje koszyki. Potłukli mi doniczki.

–Ale jak długo po tym, jak ten Meh Jah wszedł do jaskini?

–On przyprowadził opata. Zaraz potem ktoś woła, cały podniecony. I nagle Meh Jah jest tutaj i zakłada Sungpo kajdanki na ręce.

–Pokaż mi ten kamień.

Był to płaski głaz, leżący piętnaście metrów od wejścia do groty, wystarczająco duży, by mógł służyć za stółek. Shan poprosił Yeshego, by wyprowadził Jigme. Naszkicował jaskinię w notatniku, po czym pochylił się ze świeczką nad głazem. Przesunął palcami po powierzchni. Nagle zatrzymał dłoń. Z boku, od strony wejścia, było coś lepkiego, mała, prostokątna, lgnąca do skóry plamka. Zawołał na Fenga, by zapalił jeszcze trzy świece. Trzy metry dalej znalazł to, czego szukał, rzucone w kąt, gdy spełniło już swoje zadanie. Kawałek czarnej taśmy izolacyjnej. Kamień został dyskretnie oznaczony, by ułatwić jego znalezienie tym, którzy mieli aresztować Sungpo.

–Przychodził tu ktoś jeszcze? – zapytał Shan. – Wcześniej, przed towarzyszem Meh?

–Nikt. Nikt, kogo bym widział. Tylko Rinpocze.

–Rinpocze. Gdzie mogę go znaleźć?

Jigme patrzył w dal, w stronę urwiska. Znowu szybował tam kruk, inny już, z dziwną białą łatką na głowie. Jigme zamachał rękoma.

–Goście! – krzyknął do ptaka. – Pospiesz się!

Oślonił oczy, przyglądając się ptakowi.

–On właśnie idzie – oświadczył. – Kruk mówi, że on właśnie idzie.

Je Rinpocze nie przyszedł. Czekał. Shan znalazł go na skalnym występie, sto metrów niżej. Wydawał się wąty jak piórko. Jego głowa była niemal zupełnie bezwłosa, a skóra szorstka, jakby pokryta pyłem. Ale jego oczy, wilgotne i niespokojne, skrzyły się życiem. Wyglądały jak dwa klejnoty osadzone w zmurszałym głazie.

Shan złożył dłonie i pochylił głowę w geście pozdrowienia.

–Rinpocze, czy mógłbym zapytać...

– Jest tyle spraw do rozważenia – przerwał mu starzec. Głos miał zaskakująco silny. – Ta góra. Psy. To, jak mgła spływa ze stoków, inaczej każdego ranka. – Odwrócił się do Shana. Jego szata niemal nie poruszyła się przy tym ruchu. – Są dni, gdy tak właśnie się czuję. Jak mgła sunąca po górskim zboczu. – Znow zwrócił wzrok ku dolinie i ściślej otulił się szatą, jakby zmarł. – Jigme przynosi czasem melon. Jemy go, a Jigme się przygląda.

Shan westchnął, spoglądając na okolicę. Nigdy nie będzie miał szansy porozmawiać z Sungpo. Je, nauczyciel więźnia, był jedyną nadzieją Shana na pośrednika.

– Wiesz, co robimy, kiedy wchodzimy na szczyt góry? – zapytał lama. – To samo, co robiłem, kiedy byłem nowicjuszem. Składamy małe koniki z papieru i puszczamy je, by odleciały z wiatrem. – Przerwał, jak gdyby Shan potrzebował dodatkowego wyjaśnienia. – Gdy dotkną ziemi, stają się prawdziwymi końmi, które pomogą wędrowcom przebyć góry.

Coś poruszyło się za jego plecami. To kruk usiadł na ziemi, tuż poza zasięgiem ich rąk.

– Oni się modlą. Moi przyjaciele i nauczyciele – zaczął znowu Je. – Wszyscy. I zaczynają spadać bomby. Jest czas, żeby odejść, ale oni się nie ruszają. Ja muszę zabrać młodszych na wzgórze. Ci, którzy zostają, umierają. Odmawiają różańce i giną w eksplozjach. Kiedy odchodzę z chłopcami, coś uderza mnie w twarz. To ręka, wciąż trzymająca różaniec.

To był rok 1959, obliczył Shan, albo najpóźniej 1960, kiedy lotnictwo ALW bombardowało gompy.

– Czy to było słuszne? – ciągnął Je. – Zawsze jest ta pokusa. Pytać, czy to było słuszne. Oczywiście to złe pytanie.

Nagle Shan uświadomił sobie, że starzec doskonale wie, dlaczego on tu przybył.

– Rinpocze – powiedział powoli – nie chcę prosić Sungpo, by złamał swój ślub. Proszę go tylko, aby pomógł mi dotrzeć do prawdy. Gdzieś jest morderca. On zabije znowu.

– Odnaleźć mordercę może, jedynie zamordowany – odparł Je. – Niech duch dokona swej zemsty. Nie martwię się o Sungpo. Ale o Jigme. Jigme jest stracony.

Shan zrozumiał, że musi pozwolić staremu lamie kierować rozmową. Wiatr przybrał na sile. Powstrzymał się, by nie chwycić szaty Je: zląkł się, że podmuch uniesie lamę w chmury.

– Jigme nie studiuje w gompie.

– Nie. Porzucił naukę, żeby pójść z Sungpo. To nie było miejsce dla niego. Sierota gompy zawsze będzie jak mały ptak skazany na życie w wichurze i ulewie.

Shanowi przebiegł po plecach dreszcz zrozumienia. Podczas okupacji Tybetu, a potem w czasach rewolucji kulturalnej, mnisi i mniszki byli zmuszani, nieraz pod groźbą bagnetów, do łamania celibatu, czasem ze sobą nawzajem, czasem z żołnierzami. W niektórych regionach potomstwo umieszczano w specjalnych szkołach. Gdzie indziej tworzyło ono gangi. W Czterysta Czwartej było kilka mieszanej krwi sierot gomp, którzy poszli za swymi nauczycielami do więzienia.

–W takim razie zrób to dla Jigme: pomóż mi sprowadzić Sungpo z powrotem. Oczy starego człowieka były zamknięte.

–Gdy gompa została zniszczona – powiedział szeptem – lepiej widać było wschodzący księżyc.

Terenówka zaczęła się już wspinać ku przełęczy, gdy Shan zapytał o nazwę gompy, którą minęli o świcie u wylotu doliny. Yeshe nie odpowiedział.

Feng zwolnił i spojrzał na mapę.

–Khartok – powiedział niecierpliwie. – Tu napisano, że Khartok.

Shan rzucił okiem na jeden z dokumentów, które dostarczył mu Tan, i nagłym ruchem wyciągnął rękę.

–Zatrzymaj się. Teraz.

–Nie ma czasu – zaprotestował sierżant.

–Wolisz jutro znów wyjechać przed świtem, żeby tu wrócić?

–Już późno. Niedługo zaczną się przygotowywać do ostatniego zgromadzenia, do zapalania lamp – odezwał się Yeshe. – Możemy spróbować porozmawiać z nimi przez telefon.

Feng spojrzał w twarz Shana i bez słowa zawrócił ku dolinie. Yeshe jęknął i zasłonił sobie oczy, jak gdyby nie chciał widzieć nic więcej.

Prostokąty widoczne z daleka przed zabudowaniami gompy nie były pastwiskami. Były to ruiny, pola kamieni, zaczynające się niemal kilometr przed gompą. Głazy leżały bezładnie, jedne zebrane w stosy, inne rozsiane, jakby zrzucano je z piętrzących się wokół szczytów. Ale każdy nosił na sobie ślad obróbki.

W obrębie fundamentów kilku zniszczonych budynków urządzono ogrody. Kilkanaście postaci w wiśniowych mnisich szatach opierało się na motykach, przyglądając się nieoczekiwanym gościom. Gdy terenówka zatrzymała się, Shan zauważył, że za fundamentami znajduje się nowy budynek. Główny mur był odbudowywany i poszerzany. Wzdłuż granicy drzew piętrzyły się schludne stosy nowych desek i palety z workami cementu.

Yeshe leżał na tylnym siedzeniu, z ramieniem zarzuconym na oczy.

–Znasz gompy. Znasz etykietę – powiedział niecierpliwie Shan. – Będziesz mi potrzebny.

Feng otworzył tylne drzwi.

–Nie śpisz, towarzyszu. – Pociągnął chłopaka za ramię. – Do diabła, dyszysz jak kot zapędzony do kąta.

Shan samotnie wkroczył na dziedziniec. Były tu takie same budowle, jakie widział w gompie Saskya, znacznie jednak okazalsze i pokryte świeżą warstwą farby. Na placu ujrzał nie jeden, lecz pięć czortenów, zwieńczonych lśniącymi nowością miedzianymi symbolami słońca i księżyca. Lepsza inwestycja, przypomniał sobie Shan. Dyrektor Wen z Urzędu do spraw Wyznań wyjaśniał, że Saskya nie otrzymała zezwolenia na odbudowę, gdyż gompa w dolnej części doliny była lepszą inwestycją.

Na schodach sali zgromadzeń pojawił się mnich w średnim wieku, z pasem złotego haftu na rękawie. Zbiegł w dół, rozkładając ramiona w powitalnym geście. Shan obserwował innych mnichów, ciekawy, jak zareagują na zjawienie się nowo

przybyłego. Niektórzy z szacunkiem skłaniali głowy, inni szybko odwracali wzrok. Mężczyzna, który zbiegł po schodach, był lamą, prawdopodobnie opatem. Ale dlaczego, zastanawiał się Shan, nie wydawał się zaskoczony jego widokiem? Lama przerwał młodemu uczniowi, który grabił żwir, i odesłał go do sali, po czym wskazał na ogród ziołowy pod osłoną muru. Shan, milcząc, ruszył za nim. Między grządkami, jak gdyby w sali lekcyjnej, stały rzędy drewnianych ław. W głębi ogrodu stary mnich na klęczkach wyrywał chwasty.

–Plany wkrótce będą gotowe – oświadczył lama, gdy tylko Shan usiadł na ławie.

–Plany?

Podszedł do nich młody mnich z tacą, rozlał herbatę do czarek i oddalił się z pospiesznym ukłonem.

–Wstępnej odbudowy budynków uczelni. Proszę powiedzieć Wen Li, że już kończymy.

W zachowaniu lamy było coś dziwnego. Shan szukał odpowiedniego określenia. Ogląda, uznał. Niemal światowość.

–Nie. Przyszliśmy tu w sprawie Dilgo Gongshy.

Lama nie dawał za wygraną.

–Tak, plany są już prawie gotowe – powiedział, jak gdyby te tematy miały ze sobą związek. – Klub Bei Da pomaga nam, wicie. Wspomagamy się nawzajem przy odbudowach.

–Klub Bei Da?

Lama urwał i spojrzał na Shana, jakby dopiero teraz go zauważył.

–Kim wy właściwie jesteście?

–Zespołem dochodzeniowym. Z biura pułkownika Tana. Badam okoliczności sprawy Dilgo Gongshy. Był tu stałym mieszkańcem, prawda?

Lama jakiś czas mierzył go wzrokiem, po czym przyjrzał się Fengowi i Yeshemu, zbliżającym się nieśmiało pod osłoną muru. Gdy mijali małą grupkę mnichów, któryś z nich krzyknął zaskoczony, jak gdyby na powitanie. Ktoś inny rzucił jakieś słowo tonem, którego Shan w pierwszej chwili nie rozpoznał. Gniew. Yeshe cofnął się za Fenga.

–Kiedy ostatni raz widzieliśmy Dilgo – rozległ się łagodny głos za plecami Shana – odchodził właśnie do tego szczególnego piekła, jakie przeznaczone jest dla dusz wyrwanych przemocą. – Lama, który przywitał Shana, wstał i złożył dłonie w geście pozdrowienia. Mówiącym był stary mnich, który jeszcze przed chwilą pielęgnował grządki. Jego szata była wybrudzona od pracy w ogrodzie, paznokcie miał czarne od ziemi. – Odprawiliśmy obrzędy wyzwolenia z bardo. Do dziś jest już niemowlęciem. Dorośnie, by jeszcze raz uszczęśliwić tych, którzy go znają. – Błyszczały mu oczy, jak gdyby myśl o Dilgo sprawiała mu radość.

–Opacie – powiedział lama, skłaniając głowę. – Wybacz mi. Sądziłem, że jesteś w swojej celi medytacyjnej.

Opacie? Shan spojrzał zmieszany na pierwszego lamę.

–Poznałeś naszego chandzoe – wyjaśnił opat, widząc, że Shan jest zaskoczony. – Witaj w Khartoku.

–Chandzoe? – Shan nie przypominał sobie, by w zimowych opowieściach kiedykolwiek słyszał takie określenie.

–Kierownika spraw świeckich – wyjaśnił opat.

–Spraw świeckich?

–Zarządzam interesami gompy – wtrącił pierwszy lama, napełniając czarkę herbaty dla opata. Gestem ręki zaprosił go, żeby usiadł.

–Dlaczego chcesz rozmawiać o Dilgo? – Opat zadał to pytanie tak, jak mogłoby zapytać dziecko, z niewinnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

–Uznano, że zabił człowieka, wypełniając mu gardło kamykami. Przypadkiem człowiekiem tym był dyrektor Urzędu do spraw Wyznań.

Chandzoe zmarszczył brwi. Opat spojrział w swoją czarkę.

–W dawnych czasach była to tradycyjna metoda uśmiercania członków rodziny panującej – ciągnął Shan. – Nawet w czasie bitwy wolno ich było tylko pojmać, a potem udusić.

–Proszę wybaczyć – odezwał się chandzoe – nie rozumiem, do czego zmierzacie.

– Sprawiał wrażenie nie tyle zakłopotanego, ile rozczarowanego Shanem.

–Chcę tylko powiedzieć, że wybrano bardzo tradycyjny sposób pozbawienia życia wysokiego rangą urzędnika państwowego.

–A jak powiedziano na procesie – stwierdził lekko zniecierpliwiony chandzoe – Khartok jest bardzo tradycyjną gompą. Nie możecie wykonać egzekucji na Dilgo po raz drugi.

Uwagę Shana przyciągnął pomruk, który rozległ się wśród mnichów na dziedzińcu. Kierując się ich spojrzeniami, przeniósł wzrok na Fenga i Yeshego, którzy stali w cieniu na skraju ogrodu.

–Gdybym to ja zamierzał kogoś zamordować – powiedział – z pewnością nie zrobiłbym tego tak, by kojarzyło się ze mną lub z moimi wierzeniami.

Nagle chandzoe wstał.

–Yeshe?! – zawołał. – Czy to Yeshe Retang?!

Yeshe w pierwszym odruchu cofnął się w kąt ogrodu, widząc jednak entuzjazm na twarzy chandzoe, podszedł do niego.

–Tak, Rinpocze. To dla mnie zaszczyt, że pamiętasz.

Chandzoe znów rozłożył ramiona w geście, jakim poprzednio powitał Shana, i ruszył, by wyciągnąć Yeshego z cienia. Chłopak stał sztywno, niespokojnie zerkając w stronę Shana.

Chandzoe, wyraźnie zakłopotany, spoglądał to na jednego, to na drugiego.

–Niedawno zostałem zwolniony, Rinpocze. Teraz pracuję przy tym zadaniu. Tymczasowo.

Yeshe rzucił Shanowi błagalne spojrzenie. Chandzoe z widocznym zainteresowaniem obrócił oczy na Shana. Czekał na jego słowa. Słowa Chińczyka, przedstawiciela władzy.

–Jego zaangażowanie w proces reedukacji było przykładowe – usłyszał własny głos Shan. – Wykazuje niespotykaną... – szukał odpowiedniego słowa –...gotowość do poświęceń.

Chandzoe z zadowoleniem skinął głową.

–Myślę, że dostanę pracę w Sichuanie – oświadczył niepewnie Yeshe.

–Dlaczego nie wrócisz tutaj? – zapytał chandzoe.

–Moja przeszłość... Nigdy nie otrzymam zezwolenia.

–Przeszedłeś reedukację. Mógłbym porozmawiać z dyrektorem Wenem. –

Sprawiał wrażenie, jakby czuł się zobowiązany wobec Yeshego.

Oczy Yeshego zrobiły się okrągłe.

–Ale limity...

Chandzoe wzruszył ramionami.

–Nawet jeśli to byłby problem, nie mamy limitów na liczbę robotników przy odbudowie. – Ujął dłonie Yeshego, rozdzielił je i uściśnął jedną. – Proszę, chodź zobaczyć nasze nowe prace – powiedział, ciągnąc go w stronę sali zgromadzeń. Powoli, drobnymi krokami, jak gdyby zmagając się z niewidzialną siłą, Yeshe ruszył za nim. W tej samej chwili Shan dostrzegł na schodach mnicha wpatrującego się w chłopaka. Dłonie miał ułożone w jakąś mudrę, najwyraźniej zwróconą ku Yeshemu.

Zakłopotany Yeshe obejrzał się na Shana. Ten skinął głową i dwaj mężczyźni odeszli przez dziedziniec.

Opat beznamyślnie odprowadził wzrokiem chandzoe, po czym odwrócił się do Shana.

–Zakładasz, że mordercy kłamią – powiedział, jakby nic im nie przerywało rozmowy. – Dilgo by nie kłamał. Gdyby skłamał, złamałby śluby.

–A więc to on zabił? – zapytał Shan.

Opat nie odpowiedział.

–Odebranie życia byłoby o wiele cięższym naruszeniem reguł – zauważył Shan.

Opat dopił herbatę i osuszył usta rękawem.

–Oba te postęпки są zakazane dwustu trzydziestoma pięcioma regułami – powiedział, mając na myśli reguły postępowania obowiązujące każdego wyświęconego mnicha.

–Nic już nie rozumiem – stwierdził Shan. – Ci, którzy łamią śluby, odradzają się w niższej formie życia. A jednak powiedziałaś, że wierzysz, iż on wrócił jako człowiek.

–Ja też nic nie rozumiem. Czego właściwie od nas chcesz?

–Prostej odpowiedzi. Czy wierzysz, że Dilgo zabił dyrektora Urzędu do spraw Wyznań?

–Rząd zrobił, co do niego należało. Dilgo nie zaprotestował. Sprawa została zamknięta.

Cóż w tym dziwnego, pomyślał Shan, że opat kwitnącej gompy jest także politykiem?

–Czy on to zrobił?

–Každy zmierza do stanu buddy inną drogą.

–Czy on to zrobił?

Opat westchnął i zapatrzył się w płynący po niebie obłok.

–Prędzej góra Kailas zapadłaby się w ziemię od ciężaru jednego ptaka, niż Dilgo popełniłby taki czyn.

Shan z powagą pochylił głowę.

–Następny taki ptak został wypuszczony w powietrze.

Opat ze smutkiem spojrzął mu w oczy.

–Czy kiedykolwiek myślisz o tym, zastanawiasz się, gdzie leży grzech? – zapytał Shan.

–Nie rozumiem.

–Dla nich to jest łatwe; w ten sposób utrzymują się przy władzy. Zagrożenie jest częścią władzy tak samo, jak cień jest częścią światła. Czasami, jeśli nikt jej nie zagraża, sama musi wynajdywać groźby. Tobie także jest łatwo usprawiedliwić to, co przytrafiło się Dilgo. Prawdopodobnie uznałeś, że jest to naturalny bieg rzeczy, tak samo jak fala wojsk, która zmyła gompy w roku 1959. Takie było jego przeznaczenie, możesz powiedzieć, a poza tym Dilgo odrodził się przecież do lepszego życia. Ale dla tych pośrodku wcale nie jest to takie proste.

Opat nie patrzył już w oczy Shana.

–Wykluczyliście Dilgo ze wspólnoty?

–Nie.

–Został skazany za morderstwo, ale nie wykluczyliście go. Natomiast odprawiliście dla niego obrzędy wyzwolenia z bardo.

Opat utkwiał wzrok w dłoniach. Shan zajrzał do notatnika.

–Na miejscu zbrodni znaleziono jego różaniec. Bardzo szczególny różaniec. Paciorki z różowego koralu, rzeźbione w maleńkie szyszki sosny, przedzielone paciorkami znacznikowymi z lazurytu. Bardzo stary. Prawdopodobnie sprowadzony z Indii. W aktach stwierdzono, że był to unikat, jedyny egzemplarz tego rodzaju.

–To był jego różaniec – potwierdził opat. Jego głos stał się bardzo cichy. – To był dowód przeciwko niemu.

–Czy on wyjaśnił, jak tam się znalazł?

–Nie umiał tego wyjaśnić.

–Zgubił go?

–Nie. Nie zauważył jego braku. Twierdził nawet, że miał go wciąż, kiedy go zaaresztowali, kiedy jeszcze śpiącego zwlekali go z siennika. Być może był to cud, że zniknął i wrócił w taki właśnie sposób. Dilgo powiedział, że to mogła być wiadomość.

–Dlaczego nie protestował? – zapytał Shan. – Dlaczego nie stanął we własnej obronie? Jeśli wiedziałeś, że jest niewinny, dlaczego go nie broniłeś?

–Zrobiliśmy wszystko, co było można.

–Wszystko? – Wolno wyciągnął akta sprawy z płóciennej torby i położył je na ławce między sobą a opatem. Przeczytał przygotowane dla niego oświadczenie. Opat potępił akt przemocy i wyraził ubolewanie w imieniu gompy i społeczności buddyjskiej.

Opat spojrzął na akta, po czym uniósł wzrok. Patrzył na Shana bez mrugnięcia okiem.

–Wszystko.

Myliłem się, oczekując, że ktokolwiek z nich poczuje się winny, uświadomił sobie Shan. W dramacie Dilgo każdy, od opata po prokuratora Jao, nawet po oskarżonego,

odegrał swoją rolę prawidłowo.

Opat wstał, by wrócić do swoich chwastów.

–W takim razie powiedz mi – rzekł Shan do jego pleców – czy słyszałeś, że na miejscu zbrodni pojawił się buddyjski demon?

Opat odwrócił się ze zmarszczonym czołem.

–Tradycja nie ginie łatwo – stwierdził.

–Więc słyszałeś taką pogłoskę?

–Zawsze, kiedy umiera osoba publiczna, znajdują się tacy, którzy mówią, że to zemsta takiego czy innego ducha lub demona.

–I mawiano coś takiego o tamtej nocy?

–Była wtedy pełnia. Pewien pastuch twierdził, że na wzgórzu nad szosą widział koniogłowego demona. Tego, którego nazywają Tamdinem. Wykonywał coś w rodzaju tańca. Między kamykami, którymi uduszono dyrektora Urzędu do spraw Wyznań, znaleziono koralik, paciorek różańca w kształcie czaszki. Taki właśnie różaniec nosi Tamdin.

A Shan dotykał go. Dotykał różańca demona.

–Miejscowi zbudowali w tym miejscu kapliczkę na cześć swego obrońcy – powiedział.

Tańczący na wzgórzu przy szosie. Przy pełni księżyca. Jak gdyby, pomyślał Shan, Tamdin chciał, żeby go widziano.

–Kapliczki budowano również po pozostałych morderstwach – odrzekł opat. – Ludzie mówią, że jakiś kierowca ciężarówki widział Tamdina, kiedy zginął dyrektor kopalń. Jak wspomniałem, takie plotki pojawiają się zawsze, kiedy umiera ktoś z władz. Tamdin jest ulubieńcem ludzi. Zajadły, bezlitosny dla wrogów religii. To bardzo stare bóstwo opiekuńcze, jedno z tych, które nazywają wiejskimi bogami, jeszcze z czasów szamanów, sprzed nadejścia buddyzmu. Gdy ludzie wzniesli się do Buddy, zabrali Tamdina ze sobą.

Przerwał im nagły jazgot zwierząt na drugim końcu dziedzińca. Przez otwartą bramę do gomy wpadła wielka sfora psów. Kapłani karmili je. Psów było więcej, niż Shan kiedykolwiek widział w jednym miejscu. Doliczył się co najmniej trzydziestu, a następne wciąż jeszcze wbiegały przez bramę.

Sierżant Feng zaklął i opadł na ławę obok Shana, nie odrywając wzroku od zwierząt. Trzy wielkie czarne mastyfy, z rodzaju tych, których pasterze używają do obrony przed wilkami, czaiły się w cieniach, jak gdyby wyczuwając, że Feng i Shan są intruzami. Feng sięgnął po pistolet.

–Ach, nie! – zawołał na ten widok jeden z mnichów. Pospiesznie stanął między Fengiem a psami. – One są pod naszą ochroną – powiedział błagalnym tonem. – Należą do gomy. Przychodzą z całego Tybetu, żeby być z nami.

–Cholerne kundle – warknął sierżant. – Tam, skąd pochodzę, hoduje się je na żarcie.

Mnich spojrzał na niego ze zgrozą.

–One są jednymi z nas. Tymi, którzy pamiętają. Dlatego tu przychodzą.

–Którzy pamiętają? – zapytał Shan.

–Upadłymi kapłanami – wyjaśnił mnich. – Psy są wcieleniem kapłanów, którzy złamali śluby.

Mówił jeszcze, kiedy na schodach pojawił się Yeshe z chandzoe. Ktoś z drugiego końca dziedzińca krzyknął gniewnie w jego stronę. Chandzoe położył mu dłoń na ramieniu, jakby chciał dodać mu otuchy. Mnich na schodach wciąż stał, zwracając ku Yeshemu swą mudrę.

Dopiero teraz Shan ją rozpoznał. Była to mudra wybaczenia. Po plecach przemknął mu zimny dreszcz. Spojrzał na Yeshego, jak gdyby widział go po raz pierwszy. Jakiż był ślepy. Wypytał go o wszystko na jego temat – wszystko z wyjątkiem kwestii najważniejszej.

Dwie godziny później byli na szczycie przełęczy, tak wysoko, że gwiazdy na dalekim horyzoncie ścieliły się w dole. Shan w sennym otępieniu marzył, by uczucie unoszenia się nad ziemią trwało, dopóki nie dopłyną do świata, gdzie rządy nie kłamią, gdzie więzienia są dla przestępców, gdzie ludzie nie giną duszeni kamykami.

Do jego świadomości przeniknął cichutki grzechot dobiegający z tylnego siedzenia. Yeshe miał różaniec.

Godzinę później, przy skrzyżowaniu u wylotu doliny Lhadrung, położył dłoń na ramieniu Fenga.

–Jedź na lewo.

–Zmyliłeś drogę, towarzyszu – mruknął sierżant. – Koszary są na prawo. Jeszcze godzinka i będziemy w łózkach.

–Na lewo, na teren robót Czterysta Czwartej.

–Nadrobimy cholerny szmat drogi – zaprotestował Feng.

–Ale tam właśnie jedziemy.

Feng zahamował za skrzyżowaniem.

–Będzie prawie północ, zanim tam dotrzemy. Nikogo tam nie ma.

–To większa szansa.

–Szansę?

–Spotkania ducha.

Feng wzdrygnął się.

–Ducha?

–Chcę go zapytać, kto go zabił.

Feng włączył światło w kabinie i przyjrzał się Shanowi, jak gdyby licząc na jakiś znak, że miał to być żart. Shan z kamienną twarzą odwzajemnił spojrzenie.

–Boisz się ducha, sierżancie?

–Jak cholera – odpalił, zbyt głośno, Feng. Szarpnął dźwignię biegów i zawrócił wóz.

Osiemset metrów przed mostem Shan kazał Fengowi wyłączyć światła. Zatrzymali się tuż przy wjeździe na most. Teren robót Czterysta Czwartej wyglądał jak wymarły. Feng wysiadł i natychmiast wyciągnął pistolet. Shan bez słowa ruszył w stronę góry. Po trzydziestu krokach obejrzał się i zobaczył, że Feng krąży wokół samochodu niczym wartownik.

Przystanął na końcu mostu Tana i spojrzał w niebo, wciąż jeszcze przejęty

nabożną czią. Zdawało mu się, że gdyby wyciągnął rękę, dotknąłby gwiazd. Czuł, że drżą mu kolana.

Korytem nowej szosy dotarł do kopczyka znaczącego miejsce zamordowania Jao i usiadł na głazie. Powietrze trwało nieruchomo. Była to pora, kiedy jungpo grasował po powierzchni ziemi. Była to pora, kiedy bóstwo opiekuńcze zadawało ciosy. Shan zreflektował się, że trzyma dłoń na kieszeni, w której schował zwitek papieru z zaklęciem, które przywołało Tamdina. Jak brzmiały słowa mantry, którą powtarzał u Khordy? *OM PADME TE KRID HUM PHAT.*

Gdzieś z tyłu potoczył się kamyk. Serce skoczyło mu do gardła, gdy obok niego pojawił się cień. Był to Yeshe.

–To była noc taka jak ta – odezwał się Shan, próbując się uspokoić. – Prokurator Jao został przywieziony na most. Ktoś tu był. Ktoś, kogo znał.

–Wciąż tego nie rozumiem. Dlaczego tutaj? – zapytał Yeshe. – To takie odludzie.

–Właśnie dlatego. Ta droga prowadzi donikąd. Nie trzeba się obawiać, że jakiś przechodzień coś zobaczy. Łatwo uciec. – A jednak to nie było wszystko. Góra wciąż nie wydała swojego sekretu.

–Więc poszli sobie z Jao na spacer – stwierdził Yeshe. – Żeby popatrzeć na gwiazdy?

–Żeby porozmawiać. Na osobności. Ktoś został na dole.

–Kierowca.

–Jestem tu z Jao – powiedział Shan, wczuwając się w rolę mordercy, który zwabił Jao w to miejsce. – Sprowadziłem go tutaj, obiecując, że zdradzę mu jakiś sekret. Ale nagle coś go zaskakuje. Stukot kamienia. Brzęk metalu. W ostatniej chwili wyczuwa za plecami napastnika i odwraca się, żeby odeprzeć jego atak. Zmaga się z nim wystarczająco długo, by zerwać ozdobę z jego kostiumu. – Wstał z kamieniem w dłoni, odgrywając tę scenę. – Wtedy ja chwytam kamień i uderzam go od tyłu. – Z całej siły cisnął kamień na ziemię. – Układam go prosto, opróżniwszy jego kieszenie z wszystkiego, co pozwoliłoby go zidentyfikować. Wtedy Tamdin używa swego ostrza.

–Tak więc jest dwóch morderców.

–Teraz tak sądzę. Jao nie przyszedł tu z kimś w kostiumie demona. Przyszedł z przyjacielem, który umówił się z demonem. – Zrobił krok w tył, wracając do roli. – Nie chcę tego oglądać. – Ruszył ku przepaści. – Nie chcę, żeby prysnęła na mnie krew. Podchodzę do krawędzi urwiska i wyrzucam to, co wyjąłem mu z kieszeni. – Podniósł kamień i stanął na skraju przepaści. Wyciągnąwszy rękę nad pustką, otworzył dłoń.

–Powiedziałeś mi, dlaczego wydalono cię z uniwersytetu – powiedział po chwili, wciąż zwrócony twarzą ku otchłani. – Ale nie mówiłeś, jak się tam dostałeś. – Dochodzenia, medytacje, kariery, związki łączące ludzi, we wszystkim tym tkwił ten sam problem, pomyślał. Kończyły się fiaskiem, ponieważ nikomu nie przyszło do głowy zadać właściwego pytania.

Wyczuł, że Yeshe zbliża się do niego, i przysunął się do samego skraju urwiska, aż palce stóp sterczały mu nad czernią.

–To był zaszczyt dostać propozycję studiowania na uniwersytecie – odparł Yeshe nieszczęrym głosem.

Wystarczyłoby lekkie pchnięcie, łagodny podmuch wiatru. Yeshe mógł zwyczajnie pośliznąć się i upaść na Shana, a on runąłby w dół. W noc taką jak ta być może nigdy nie spadłby na dno. Byłaby tylko ciemność, a potem jeszcze głębsza ciemność.

–Ale dlaczego zaszczycono właśnie Yeshego Retanga? Nieznanego mnicha z odległej gompy?

Yeshe przysunął się bliżej, jakby zmuszając się do podjęcia równie wielkiego ryzyka co Shan.

–Odbudowa Khartoku rozpoczęła się dopiero po twoim wyjeździe – zaznaczył Shan. – Chandzoe traktował cię jak swego bohatera. Jak gdyby coś ci zawdzięczał. Jak gdyby Khartok od czasu twojego odjazdu zaczął się cieszyć szczególnymi względami.

–Obiecałem matce, że zostanę mnichem – powiedział Yeshe do gwiazd. – Byłem najstarszym synem. Taki był zwyczaj w tybetańskich rodzinach, zanim przyszli Chińczycy. Najstarszy syn miał zaszczyt służenia w gompie. Ale ja nie byłem dobrym mnichem. Opat mówił, że muszę ograniczyć moje ja. Dawał mi pracę w wioskach, żebym zobaczył cierpienia ludzi. Dwa razy w tygodniu jechałem ciężarówką, żeby sprowadzić chore dzieci do gompy.

Na stoku za nimi rozległ się krzyk lelka.

–On po prostu leżał tam, przy drodze. Myślałem, że uda mi się go uratować. Chciałem go odwrócić na plecy, wyjąć kamyki, żeby mógł oddychać. Próbowałem. Ale on już nie żył.

–Chcesz powiedzieć, że znalazłeś ciało dyrektora Urzędu do spraw Wyznań.

–Nie miałem pojęcia, skąd on tam się wziął, w górach, sam jeden – szepnął Yeshe.

–A Dilgo z twojej gompy został skazany na śmierć. – Shan przypomniał sobie brakujące strony z akt. Zeznania świadków.

–Kiedy go odwróciłem, on tam był. Rozpoznałem go natychmiast.

–Masz na myśli różaniec Dilgo?

Yeshe nie odpowiedział.

–Więc to ty świadczyłeś przeciwko niemu.

–Powiedziałem prawdę. Znalazłem martwego Chińczyka. A pod nim różaniec Dilgo.

Oto prawdziwie symboliczna historia. Wróg socjalizmu, kultysta, skazany na podstawie zeznań członka nowego społeczeństwa, który przypadkiem należał do jego własnej gompy. Dowód, jak zły był stary porządek i jak szlachetny może być nowy.

–I w nagrodę wysłali cię na uniwersytet.

–Jak mogłem odmówić? Jak często mnichowi proponuje się uniwersytet? Jak często proponuje się go jakimukolwiek Tybetańczykowi? Oni powiedzieli, że to nie jest nagroda. Stwierdzili, że swoim czynem udowodniłem po prostu, że tam właśnie jest moje miejsce, że jestem przodownikiem, który już dawno powinien się tam znaleźć.

–Kto ci to załatwił?

–Prokurator Jao. Urząd do spraw Wyznań. Urząd Bezpieczeństwa. Oni wszyscy

podpisali papiery.

To nie pozwalało wyjaśnić, kto zabił Jao ani kto, być może, znowu próbował manipulować Yeshem. Tego rodzaju nagrody należały do normalnych narzędzi chińskiego wymiaru sprawiedliwości. Ktoś mógł wykorzystać Yeshego, wiedząc, że regularnie jeździ tą trasą. Możliwe też, że jego udział w tej sprawie był czysto przypadkowy. Liczyło się tylko to, że Yeshe raz okazał, że jest podatny na wpływy, a ktoś inny znowu zamierzał posłużyć się nim w ten sam sposób. Nie Zhong. Nadzorca Zhong był tylko łącznikiem, współpracował z tym kimś, by zapewnić sobie pomoc Yeshego przez kolejny rok.

–Ja zeznałem wcześniej – odezwał się Yeshe, jak gdyby tknięty nagłą myślą.

–Wcześniej?

–Złożyłem oświadczenie na długo przed tym, nim oni zaproponowali mi studia.

–Wiem.

–Powiedzieli, że to za to, że okazałem się dobrym obywatelem. – Znowu szeptał. –

Tyle tylko – dodał żałośnie – że nie wiem już, co to znaczy... być dobrym obywatelem.

Patrzyli w gwiazdy. Ich milczenie zdawało się wypełniać bólem noc.

–Po wizycie w Urzędzie do spraw Wyznań – mówił dalej Yeshe – po tym, jak panna Taring powiedziała, że ciągle znajdują i umieszczają w muzeach nowe zabytki, zacząłem się zastanawiać. A jeśli ktoś znalazł drugi różaniec, taki sam jak ten, który miał Dilgo? Być może skłamałem, sam o tym nie wiedząc?

Shan położył mu dłoń na ramieniu i odsunął go od krawędzi urwiska.

–W takim razie musisz to sprawdzić.

–Dlaczego?

–Ze względu na Dilgo.

Usiedli na głazie i pozwolili, by znów omyła ich cisza.

–Myślisz, że to prawda, co mówią? – zapytał Yeshe.

–Co takiego?

–Że duch Jao wciąż jest tutaj i szuka zemsty?

–Nie wiem. – Shan spojrział w ciemność. – Gdyby moja dusza została oddana wiatrom – powiedział wolno – nigdy nie oglądałbym się za siebie.

Nie rozmawiali więcej. Shan nie miał pojęcia, jak długo siedzieli. Mogło to być dziesięć minut, mogło być trzydzieści. Spadająca gwiazda przecięła łukiem niebo. Potem, równie nagle, rozległ się głośny dźwięk, szarpiący, upiorny pół jęk, pół krzyk, niepodobny do niczego, co słyszał kiedykolwiek dotąd. Dobiegał gdzieś z dołu i zdawał się przenikać aż do szpiku kości. To nie był głos człowieka.

Nagle rozległy się trzy wystrzały i znów zapadła martwa cisza.

ROZDZIAŁ 10

Dwaj żołnierze przyszedli po niego jak we śnie. Pojmali go, kiedy spał w ciemnościach, zwlekli z pryczy i nałożyli kajdanki. Nie odzywając się ani słowem, wepchnęli go do samochodu. Nie odpowiadali na jego pytania, jeśli nie liczyć wściekłego policzka po trzecim. Shan, walcząc z bólem, siłą woli wyprostował się, przypominając sobie, na co powinien zwracać uwagę. Ci ludzie nie byli z безпеکی, lecz z piechoty. Żołnierzy obowiązywało więcej reguł. Wieźli go samochodem sztabowym, nie ciężarówką. Nie zastrzelą go w samochodzie. Jechali w stronę doliny, nie w góry, gdzie wykonywano tajne egzekucje. Oparł głowę o okno i patrzył, dokąd go zabierają.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu poniżej Smoczych Szponów. Na tle szarego, zasnutego chmurami nieba rysowała się sylwetka Tana. Żołnierze zaciągnęli Shana przed pułkownika, uwolnili mu ręce i wrócili do samochodu. Zapalili papierosy. Jeden z nich mruknął coś. Drugi odpowiedział śmiechem.

–On przewidział, że to zrobicie – odezwał się Tan. – Zhong ostrzegał, że zadrwicie sobie ze mnie. Że będziecie mnie chcieli wykorzystać.

–Musicie mówić jaśniej – wymamrotał Shan poprzez obłok bólu zaćmiewający mu myśli. – Mam za sobą tylko trzy godziny snu.

–Podburzanie separatystów. Działania zagrażające bezpieczeństwu publicznemu. Wciągnięcie żołnierzy w zasadzkę.

Do uszu Shana dotarł monotony chrapliwy dźwięk. Za samochodem Tana spostrzegł znajomą szarą terenówkę. Tylne drzwi były otwarte. W głębi widać było parę stóp w żołnierskich butach należących do śpiącej w środku postaci.

–To właśnie powiedział wam sierżant Feng? – Stracił czucie w szczęce. – Że został wciągnięty w zasadzkę? – Dotknął palcami wargi. Gdy je odjął, były wysmarowane krwią.

–Miał rozkaz zadzwonić po powrocie. Obudził mnie. Zupełnie oszalały. Prosił o posiłki. Twierdził, że trzeba was przekazać Urzędowi Bezpieczeństwa. – Tan spojrział na północ. Nadjeżdżała stamtąd kolumna ciężarówek.

–Przypuszczam, że nie powiedział wam, jak przestrzelił jedną z opon – odparł Shan. – Albo jak wdrapał się na dach samochodu i nie chciał zejść. Albo że to ja musiałem prowadzić w drodze powrotnej, bo on był zbyt rozhisteryzowany.

Konwój właśnie ich mijał. Shan rozpoznał go natychmiast, choć było w nim dwa razy więcej ciężarówek niż zwykle. Dodatkowe były pełne pałkarzy. Przyglądał się temu z rozpaczą. Pojadą na Szpon Południowy. Pałkarze ustawią karabiny maszynowe. Więźniowie wejdą na stok, usiądą i zaczną przesuwac swoje prowizoryczne różańce. Czekając.

Gdy osiadł kurz za kolumną, Shan spostrzegł, że dwie ciężarówki się zatrzymały. Z jednej z nich wyskoczyło kilkunastu twardych jak stal komandosów, którzy ustawili się w szpaler za drugim wozem. Spod plandeki wypchnięto, tybetańskiego więźnia, który spadł między pałkarzy, jęcząc z bólu. Za nim zaczęli wysiadać następni. Shan uświadomił sobie, że Tan nie patrzy na więźniów, ale na niego.

Więźniów było piętnastu. Odprowadzono ich sześć metrów dalej we wrzosa i

ustawiono w szeregu. Zza ciężarówki wyszło dwóch oficerów bezpieki z pistoletami maszynowymi i zajęło pozycje na drodze, twarzą do mnichów.

–Nie! – jęknął Shan. – Nie możecie...!

–Ja tu stanowią prawo – powiedział Tan mrozącym krew w żyłach tonem. – Ich strajk jest aktem zdrady.

Shan niepewnym krokiem ruszył naprzód. To tylko jeden z moich koszmarów sennych, powiedział sobie. Lada moment obudzę się na swej pryczy. Upadł na kolano. Okrucuch żwiru boleśnie wbił mu się w skórę. To nie był sen.

–Oni nic nie zrobili – jęknął.

–Skończysz ze swoją maskaradą. Znajdziesz dowody przeciwko Sungpo. Na przyszły tydzień.

Więźniowie zaintonowali mantrę. Patrzyli nieruchomym wzrokiem ponad głowami oprawców, w stronę gór.

Tan wciąż nie spuszczał oczu z Shana.

Shan poczuł, jak język staje mu kołkiem. Walczył z narastającą falą mdłości.

–Nie pomogę zabić niewinnego człowieka – powiedział łamiącym się głosem.

Potrząsnął głową, mocno, by odpędzić ból, i zebrawszy siły, spojrzał Tanowi w oczy. – Jeżeli tego właśnie chcecie, proszę dołączyć mnie do tych więźniów.

Tan nie odpowiedział.

Oficerowie złożyli się do strzału. Shan rzucił się naprzód. Ktoś chwycił go od tyłu i przytrzymał, kiedy wypalili. Huk strzałów poniósł się echem po dolinie.

Dym rozwiął się. Trzech więźniów szlochało na klęczkach. Pozostali wciąż wpatrywali się w dal, zawodząc mantrę.

Pałkarze użyli ślepych naboí.

–Naruszyliście zasady bezpieczeństwa przy Szponie Południowym! – warknął Tan. – Kto was upoważnił do wkroczenia na zamknięty teren?!

Shan odwzajemnił jego spojrzenie.

–A więc miejsce zbrodni jest teraz terenem zamkniętym dla waszego śledczego?

–Mówiliście, że jedziecie do klasztoru Sungpo. – Oczy Tana zwężyły się. – Dowody przeciwko oskarżonemu. Rozumiecie mnie?

–Okrucieństwa nie da się zrozumieć. Można je tylko przetrzymać. – Shan zamknął oczy. Czuł, jak narasta w nim coś nowego. Gniew. – Li Aidangowi zapewne spodobałyby się moje notatki. Zamierzam powiedzieć jednemu z tych oficerów Urzędu Bezpieczeństwa, że muszę porozmawiać z Li. A potem wejdę do tej ciężarówki – wskazał na pojazd więźniów – i wrócę do swojej brygady.

Tan zapalił jednego ze swych amerykańskich papierosów i w milczeniu okrążył terenówkę Fenga. Przystanął przy prawym tylnym kole, przyglądając się brakującemu kołpakowi i oponie nie od kompletu.

–Opowiedzcie mi, jak to było – warknął, wróciwszy do Shana.

Shan patrzył, jak więźniowie wdrapują się z powrotem do ciężarówki.

–Wszedłem na górę, próbując odgadnąć, co zaszło tamtej nocy – powiedział. – Być może istotna była pora, w której popełniono morderstwo. Chciałem to wiedzieć. Nagle usłyszałem dziwny dźwięk, jakby krzyk dużego zwierzęcia, a potem strzały od

strony samochodu. Pobiegłem na dół. Sierżant Feng powiedział, że był tam demon.

–Ten wasz Tamdin – rzucił cierpko Tan.

–Histeryzował. Mówił, że demon był blisko, że słyszał jego głos. Bałem się o niego. Poprosiłem, żeby oddał mi pistolet.

Tan uśmiechnął się szyderczo.

–I on, tak po prostu, posłuchał.

–Zwróciłem mu go później, w koszarach.

–Nie wierzę wam.

Shan pogmerał w kieszeniach.

–Dla bezpieczeństwa zatrzymałem pozostałe kule. – Wysypał pięć naboji na dłoń Tana.

Pułkownik wpatrywał się w kule tak długo, aż dopalający się papieros sparzył mu palce. Drgnął i gniewnie rzucił niedopałek na ziemię, po czym zapatrzył się w kurzawę, którą podniósł oddalający się konwój.

–Wszystko idzie w cholerę – mruknął, tak cicho, że Shan nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

Kiedy Tan uniósł wzrok, w jego oczach pojawiło się coś nowego, coś, czego Shan nie widział tam nigdy przedtem. Nikły błysk niepewności.

–W tym wszystkim, w strajku Czterysta Czwartej i procesie Sungpo, chodzi o tę samą rzecz, prawda? Tu będzie krwawa łaźnia, a ja nie mogę tego powstrzymać.

Shan spojrzał na niego z zaskoczeniem.

–Naprawdę chcecie to powstrzymać? Zależy wam, żeby do tego nie doszło?

–Co wy myślicie, że ja...? – zaczął Tan, ale urwał, spojrzawszy na naboje. – Feng był przerażony. Służyliśmy razem przez wiele lat. Przyjechał do Lhadrung dlatego, że ja tu byłem. Nigdy nie widziałem go przerażonego. – Zacisnął dłoń na nabojach i uniósł wzrok. – Jao wiedział, o co chodzi. Na zebraniach krytyki mawiał, że moim jedynym błędem jest przekonanie, iż stare metody sprawdzą się również w Tybecie.

–Stare metody nie sprawdziły się tu najlepiej.

Tan spojrzał na stojących rzędem więźniów i westchnął.

–Mam zamiar powiedzieć Zhongowi, żeby pozwolił ich nakarmić. Niech pozwoli buddyjskiej organizacji dobroczynnej raz dziennie dostarczać im jedzenie.

Shan spojrzał na niego z niedowierzaniem. Powoli skinął głową.

–To byłoby słuszne.

–Przyjeżdżają Amerykanie – stwierdził Tan z roztargnieniem, po czym znów spojrzał na Shana. – Krwawicie.

Shan ponownie otarł krew z wargi.

–To nic.

Tan wyciągnął ku niemu chusteczkę. Shan spojrzał na nią oszołomiony.

–Nie powiedziałem im wcale, że mają was bić – oznajmił pułkownik.

Shan przyjął chusteczkę i przyłożył do wargi. Przyglądał się, jak sierżant Feng, przeciągając się i ziewając, wypełza z terenówki. Na widok Tana cofnął się, jak gdyby chciał się ukryć, zaraz jednak się wyprostował i z powagą podszedł do pułkownika.

Spoglądał niepewnie to na Shana, to na Tana.

–Proszę o przeniesienie, towarzyszu pułkowniku – powiedział, opuszczając wzrok na swoje buty.

–Na jakiej podstawie? – burknął Tan.

–Na tej podstawie, że jestem starym głupcem. Nie okazałem należytej czujności na służbie, towarzyszu pułkowniku.

–Towarzyszu Shan – odezwał się Tan – czy sierżant Feng ostatniej nocy choć na chwilę stracił czujność?

–Nie, towarzyszu pułkowniku – oświadczył Shan. – Jego jedyną winą była chyba raczej nadmierna czujność.

Tan wykonał ruch, jakby zamierzał zwrócić sierżantowi naboje, nagle jednak zmienił zdanie i podał kule Shanowi, który wręczył je Fengowi.

–Wracajcie do swoich obowiązków, sierżancie – rozkazał.

Feng przyjął naboje z zakłopotaniem.

–Powinienem być wiedzieć – mruknął. – Demona nie da się zastrzelić. – Zasalutował pułkownikowi i obrócił się na pięcie.

Tan znów spojrział na pył wzbijany przez konwój.

–Zostało niewiele czasu.

–W takim razie pomóżcie mi – powiedział Shan. – Zbyt wiele jest do zrobienia. Muszę jeszcze raz spróbować porozmawiać z Sungpo. Ale muszę też znaleźć kierowcę Jao. Pomóżcie mi, towarzyszu pułkowniku. Ten człowiek jest kluczem do wszystkiego.

–Nawet nie tknął miseczki. Nawet ziarenka – oświadczył strażnik, gdy Shan wszedł do bloku więziennego. W jego głosie brzmiała dziwna duma, jak gdyby głodówka więźnia była w pewnym sensie jego osobistym zwycięstwem. – Niczego poza herbatą.

Sungpo siedział w tej samej pozycji, w jakiej Shan zostawił go przed trzema dniami, jak gdyby nie wykonał od tamtego czasu najmniejszego ruchu.

Wyprostowany i czujny, wpatrywał się w dal poprzez ściany celi.

–A mój asystent? – zapytał Shan, rozglądając się po celi. – Myślałem, że go tu zastanę.

–On jest z tym drugim.

–Macie nowego więźnia?

Mężczyzna skinął głową.

–Przelaź przez ogrodzenie. Miał skurczybyk szczęście. Dziesięć minut wcześniej, dziesięć minut później, patrol zastrzeliłby go jak nic.

–Uciekinier?

–Nie. W tym cały dowcip. On próbował dostać się do środka. Niech popamięta, że obywatele nie mogą bezkarnie szwendać się po terenie wojskowym.

Shan znalazł Yeshego w sąsiednim budynku. Chłopak wykręcał ręcznik nad miednicą pełną wody zabarwionej krwią. Shan przyjrzał mu się i zauważył w jego twarzy jakiś nowy wyraz. Wydawał się jakby spokojniejszy. Nie był to spokój umysłu, ale może odzyskane opanowanie.

Razem przeszli do sali przesłuchań. Shan w pierwszej chwili nie rozpoznał

siedzącego na stole mężczyzny. Jedna strona jego twarzy wyglądała jak melon, który spadł z pędzącej ciężarówki.

–Nieźle, co? – odezwał się więzień, unosząc na powitanie wielkie łapsko. –

Przysłał po mnie. Znalazłem go.

Był to Jigme.

–Co masz na myśli, mówiąc, że przysłał po ciebie?

–Przyszedłeś przecież, prawda?

–Jak udało ci się dotrzeć tu tak szybko? Samochodem? W pobitych, opuchniętych oczach Jigme jakimś cudem zdołał pojawić się błysk.

–Przyleciałem w powietrzu. Jak dawni mędrzy. Dzięki zaklęciu strzały.

–Słyszałem o tych czarach – stwierdził Shan. – Przypominam też sobie, że widziałem na szosie ciężarówki wywożące drewno z doliny.

Jigme próbował się roześmiać, ale z jego gardła wydobył się tylko ochryply, urywany kaszel.

Wspólnymi siłami postawili go na nogi i, podtrzymując go z obu stron za ramiona, na pół wywlekli, na pół wynieśli z budynku. Na schodach zatrzymał ich rozwścieczony oficer.

–Ci więźniowie należą do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego! – ryknął.

–Ten człowiek należy do mojego śledztwa – odparł trzeźwo Shan i odwrócił się do niego plecami. Gdy dotarli do bloku więziennego, Jigme wyrwał im się. Poprawiwszy na sobie ubranie, o własnych siłach pokuśtykał przez korytarz i z radosnym okrzykiem opadł na kolana przed ostatnią celą.

Pilnujący drzwi strażnik zerwał się z miejsca. Shan uciął jego protest, gestem nakazując mu otworzyć celę.

Sungpo powitał Jigme skinieniem głowy, które rozświetliło potłuczoną twarz nieszczęśnika. Sierota gompy zamknął za sobą drzwi i przyjrzał się nietkniętym miseczkom ryżu.

–Już wszystko dobrze – powiedział, uśmiechając się do Shana z wdzięcznością.

–Musimy z nim porozmawiać.

Jigme najwyraźniej uznał to za świetny dowcip.

–Jasne – wyszczerzył zęby. – Za dwa lata, jeden miesiąc i osiemnaście dni.

–On nie ma aż tyle czasu.

Jigme zmarkotniał. Podeszedł do Sungpo z jedną z miseczek ryżu. Drobnymi, czułymi muśnięciami dłoni zaczął strzepywać słomę z szaty mnicha.

–Musimy z nim porozmawiać – powtórzył Shan.

–Myślisz, że on się boi odrzucić twarz?! – krzyknął Jigme, nagle nabierając buntowniczego ducha. – Wy, ludzie z północy, jesteście dla niego jak mucha na ramieniu. – Po policzku stoczyła mu się łza. – To wielki człowiek. Żyjący budda. Umrze łatwo, nie martwcie się. Odrzuci twarz i będzie śmiał się z nas wszystkich w następnym życiu.

Siedzieli w opuszczonym straganie w głębi placu targowego, obserwując budę czarownika. Nikt nie wchodził, nikt nie wychodził. Targowisko zaczęło wypełniać się wózkami handlarzy, na których piętrzyły się wiosenne jarzyny, wczesne liście

gorczycy i inne rośliny, które w każdej innej części świata zostałyby uznane za chwasty.

Feng, jeszcze nerwowy po ostatniej nocy, pomacał dłonią rękojeść pistoletu.

–Potrzebuję pięćdziesiąt fenów – powiedział Shan.

–A kto nie potrzebuje? – wychrypiał Feng.

–Na jedzenie. Ty masz pieniądze na wydatki.

–Nie jestem głodny.

–Jadłeś śniadanie. My nie.

Zdawało się, że ta uwaga sprawiła Fengowi ból. Shan zastanawiał się, czy wciąż jeszcze gryzie się tym, że więźniowie nadali mu takie kuchenne przezwisko. Oczywiście sierżanta wędrowały od Shana do Yeshego.

–Jeden z was zostaje tutaj.

Yeshe domyślnie oparł się o ścianę na znak, że ani myśli wstawać. Shan wyciągnął dłoń i przyjął pieniądze. Feng niemrawo wskazał stragany.

–Daję ci pięć minut.

Shan pokręcił się chwilę przy kramie z materiałami piśmiennymi, potem trafił na kobietę sprzedającą momo. Wziął dwa dla Yeshego, po czym wrócił do pierwszego straganu i w pośpiechu kupił dwa arkusze ryżowego papieru, pędzelek do pisania i małą laseczkę tuszu.

–O pierwszy czar proszono kilka dni temu – usłyszał nagle za sobą czyjś głos.

Zaczął się odwracać. W plecy wbił mu się czyjś łokieć.

–Nie oglądaj się – powiedział mężczyzna.

Shan poznał ten głos. Stał za nim purba o pokiereszowanej twarzy. Spojrzawszy w dół, zobaczył parę zdartych butów. Strój pasterza.

–Oni zawsze szukają okazji – ciągnął purba ponad ramieniem Shana. –

Czarownicy, tacy jak Khorda, biorą od nich pieniądze. Oni mają stałe dochody. Takim jak oni interesy zawsze idą dobrze.

–Nie rozumiem.

–Ona pracuje w księgarni. Jakiś tydzień temu prosiła o czar dla Tamdina. Wczoraj przyszła po zaklęcie przeciwko ugryzieniom psów.

–Ona?

–Córka trupiarza.

–Ragyapy?

–Ulica Zielonego Bambusa – padła odpowiedź.

Shan odwrócił się. Purba zniknął.

Dwadzieścia minut później Shan z Fengiem, siedząc w terenówce zaparkowanej na zrytej koleinami zwirowej drodze w północnej części miasta, przyglądali się, jak Yeshe wchodzi do księgarni. Gdy przekraczał próg, w środku dostrzegli niską, smagłą kobietę. Kiedy odezwał się do niej, wskazała na zaplecze, po czym rozejrzała się po ulicy i zamknęła drzwi.

Po dziesięciu minutach Yeshe wypadł z księgarni z błyskiem triumfu w oczach.

–Jest tutaj – oświadczył. – To ona była przy drzwiach. Mówi, że jest z Shigatse, ale to nieprawda. – Opowiedział im, jak zapytał o właściciela, wyjaśniając, że

proceedzi lotną kontrolę zezwoleń na pracę. Kiedy księgarz zaczął kwestionować jego uprawnienia, Yeshe wskazał za okno. Widząc pojazd wyglądający na służbowy i żołnierza za kierownicą, właściciel natychmiast pokazał mu zezwolenie na prowadzenie firmy i dokumenty dziewczyny. – Wynikało z nich, że prawie rok temu przyjechała z Shigatse. Ale wychodząc, zapytałem, czy lubiła wspinać się na mury starej fortecy w Shigatse. Powiedziała, że tak, że uwielbiała urządzać tam pikniki.

–Wciąż jest tam forteca? – zapytał Shan.

–Forteca, w Tybecie? Oczywiście że nie! Komuniści wysadzili ją czterdzieści lat temu. – Mówiąc to, złożył dłonie, po czym rozrzucił je, obrazując eksplozję. – Nie ma już żadnych murów.

–A więc ona nie jest z Shigatse.

–Niemożliwe. Mieszka na zapleczu, ale właściciel mówi, że wyjeżdża niemal na każdy weekend. Pracownica sklepu nigdy nie zarobiłaby tyle, żeby móc tak często jeździć trzysta kilometrów do Shigatse.

–Zatem jej rodzina mieszka w pobliżu – stwierdził Shan. Rodzina ludzkich rzeźników. W górach. Tam, gdzie ma swój dom ludzki rzeźnik Tamdin. – I właśnie tam ona zanoszą czary. – Spojrzał wyczekująco na Yeshego.

Twarz chłopaka pociemniała.

–Nie – zaprotestował słabo.

–Znalezienie jej domu nie powinno być zbyt trudne – podsunął Shan. – Lhadrung to spore targowisko śmierci.

Tan podał mu kilka kartek spiętych u góry zszywką.

–Znalazłem ją – powiedział, z ożywieniem, jakie przynoszą postępy.

–Kogo?

–Pannę Lihua. Sekretarkę prokuratora Jao. Na urlopie w Hongkongu.

Ministerstwo Sprawiedliwości odszukało ją w hotelu. Przysłała faks z tamtejszej delegatury ministerstwa. Pisze, że zastępca prokuratora, Li, zawiózł ją na lotnisko, zanim Jao wyszedł na kolację z Amerykanką. Znam ją. Młoda, bardzo oddana. Ma niezwykłą pamięć do szczegółów. Podała mi rozkład dnia Jao. Rozmowy telefoniczne z dnia, w którym został zamordowany. Przefaksowała to wszystko. Nikt nie dzwonił w sprawie spotkania.

Panna Lihua czuje się zaszczycona, mogąc pomóc pułkownikowi, mówił pierwszy faks. Jest pogrążona w smutku z powodu straty towarzysza prokuratora Jao i gotowa natychmiast wrócić do pracy. Tan uznał, że to nie będzie konieczne, pod warunkiem że utrzymają kontakt za pośrednictwem faksu.

–Czy ona wie, jak znaleźć kierowcę? – zapytał Shan.

–Powiedziała mi, gdzie on mieszka. Oraz że wie na pewno, że żadna znana Jao osoba nie wyznaczyła mu spotkania na Szponie Południowym.

–Nie wiedziałyby o tym – stwierdził Shan. – Nie wiedziałyby, gdyby ktoś zadzwonił.

–Jao był strasznym sztywniakiem. Nigdy sam nie odbierał telefonów. I wszystkie spotkania musiały być zaplanowane z wyprzedzeniem albo w ogóle do nich nie dochodziło. Panna Lihua znała cały jego rozkład dnia, co do godziny. Mówi, że przez

cały ten dzień był w biurze. Kiedy wychodziła, pakował rzeczy do samochodu. Z Urzędu do spraw Wyznań dzwonił w sprawie zebrania komitetu. Był też telefon z biura Ministerstwa Sprawiedliwości w Lhasie: pytali o jakiś spóźniony raport. Ona sama potwierdzała telefonicznie rezerwację lotów dla Jao. To wszystko tego dnia, jeśli nie liczyć kolacji.

–Ten ktoś mógł się z nim skontaktować w innym miejscu. Zadzwoń na inny telefon.

–To nie Szanghaj. On nie miał ani pieprzonej komórki, ani radiotelefonu. Poza tym tego dnia nigdzie nie wychodził. I nie zmieniłby swoich planów – dodał Tan – nie ryzykowałby spóźnienia na samolot, którym miał lecieć na urlop, tylko dlatego, że jakiś mnich miał dla niego wiadomość.

–Otóż to. Właśnie dlatego musiał to być ktoś, kogo znał -odparł Shan.

–Nie. Właśnie dlatego musiał wpaść w zasadzkę w drodze na lotnisko i zostać przewieziony z powrotem na Szpon.

–Droga na lotnisko... To wojskowa droga.

–Oczywiście.

–Więc jeżdżą nią konwoje. Nocą też?

Tan powoli skinął głową.

–Tak, kiedy zabieramy z lotniska dostawy albo personel. Samoloty przylatują późnym popołudniem.

–W takim razie proszę sprawdzić, czy jakikolwiek wojskowy kierowca zauważył w drodze powrotnej limuzynę. W Lhadrung nie ma ich wiele. Na pewno rzuciłaby się w oczy. – Mówiąc, Shan przeglądał plik faksów. Pani Ko dołączyła do niego plan podróży prokuratora Jao, otrzymany bezpośrednio z linii lotniczych.

–Dlaczego miał przewidziany jednodniowy postój w Pekinie? Dlaczego nie leciał od razu dalej?

–Zakupy. Rodzina. Mógł mieć tysiące powodów.

Shan usiadł i utkwiał wzrok w swoich dłoniach.

–Muszę jechać do Lhasy.

Tan skrzywił się z niesmakiem.

–Ta sprawa nie ma żadnego związku z Lhasą. Jeśli wam się wydaje, że wciągnę w to zewnętrzne władze...

–Prokurator planował nie udokumentowany pobyt w Pekinie. Otrzymał nie udokumentowaną wiadomość od nieznanej osoby, która zwabiła go, by mogła go zabić inna nieznana osoba, przebrana w nie udokumentowany kostium.

–Jest więcej niż jeden zabójca? – Głos Tana zabrzmiał ostrzegawczo.

Shan zignorował to pytanie.

–Musimy zacząć odpowiadać na pytania, nie zadawać następne. W Lhasie – wyjaśnił -jest Muzeum Zabytków Kultury. Musimy zlokalizować wszystkie kostiumy Tamdina.

–Niemożliwe. Nie mogę was chronić w Lhasie. Gdyby was odkryto, skrócono by mnie o głowę.

–W takim razie pojedźcie tam sami. Sprawdźcie muzealne rejestry.

–Wen Li już je sprawdzał. Powiedział, że żadnego nie brakuje. A ja nie mogę opuścić okręgu, kiedy Czterysta Czwarta strajkuje. To byłaby oznaka słabości. – Nagle uniósł wzrok i zaklął. – Słuchajcie. Zupełnie, jakbym się przed wami tłumaczył. Nikt nie będzie mnie... – Słowa uwięzły mu w gardle.

Nic, pomyślał Shan, tak nie obnaża duszy jak gniew.

Pułkownik podszedł do okna i podniósł lornetkę. Shan nawet gołym okiem widział, że teren robót jest pusty.

–Macie rację, nie rozdzielając tych dwóch problemów – powiedział bardzo cicho.

Tan powoli opuścił szkła i odwrócił się do niego.

–Morderstwo i strajk – wyjaśnił Shan. – W obu chodzi o to samo.

–Macie na myśli śmierć Jao.

–Nie. Nie śmierć Jao. To, co spowodowało śmierć Jao.

Tan przyglądał mu się badawczo, gdy nagle zadzwonił telefon. Pułkownik odebrał, odpowiedział monosylabą, po czym odłożył słuchawkę.

–Li Aidang – oznajmił, marszcząc brwi – znów zbiera w terenie wasze dowody.

Balti, kierowca prokuratury, mieszkał w obskurnym budynku z płyt gipsowych i blachy falistej, który służył jako rządowy garaż. Kierując się dźwiękiem głosów, Shan z pułkownikiem wspięli się po stromych schodach namroczny i wietrzny stryszek nad garażem, zastawiony regałami, na których walały się części od samochodów. Długa płyta sklejki wsparta na blokach żużlobetonu spełniała funkcję łóżka. Leżało na niej kilka brudnych szmat, których najwyraźniej używano niegdyś w warsztacie naprawczym. Na odwróconej skrzyni w głowach łóżka stała lampka maślana i mała, niemiłosiernie poobtłukiwana, ceramiczna figurka śmiejącego się buddy.

W głębi pomieszczenia dwóch mężczyzn, przyświecając sobie latarkami, oglądało półki.

–Niedobrze by było, gdyby zastępca prokuratora okazał się pilniejszy od nas – mruknął Tan pod nosem. Shan na pół spodziewał się, że popchnie go w stronę półek.

Jeden z mężczyzn na ich widok wyszedł z cienia. Był to Li. Na rękach miał gumowe rękawiczki, a na twarzy koujiao. Czego się obawiał? Buddyjskiej zarazy?

–Genialne! – powiedział do Shana, opuszczając maskę. – Nie przyszło mi to do głowy, dopóki pułkownik Tan nie zapytał o samochód prokuratora.

–Co wam nie przyszło do głowy? – zapytał Shan.

–Spisek. To ten khampa sprowadził prokuratora na Szpon Południowy. Zawiózł go tam wbrew jego woli, żeby zginął z ręki Sungpo. To tłumaczy, w jaki sposób Sungpo dostał się na Szpon i z powrotem. Dlaczego nie ma samochodu. Dlaczego nie ma Baltiego – mówił Li, nie przerywając poszukiwań. Zajrzał do kartonowego pudła stojącego obok łóżka. W środku znajdowały się starannie złożone ubrania. Wyrzucił wszystkie na podłogę i podnosił każdą sztukę wyciągniętym palcem, jak gdyby roila się od robactwa. Ukląkł i zajrzawszy pod łóżko, wyciągnął stamtąd dwa buty, które niedbale odrzucił za siebie.

Shan schylił się i przesunął ręką pod posłaniem. Znalazł tam pogięte, wyblakłe zdjęcie trzech mężczyzn, dwóch kobiet i psa stojących przed stadem jaków. Jego dłoń natrafiła na coś ostrego i metalicznego. Chromowany krążek. Trzymał go w

wyciągniętej ręce, nie wiedząc, co o tym sądzić.

Tan wziął go od niego i obejrzał uważnie.

–Jiefang – stwierdził. – Plakietka z maski. – Sponiewierane ciężarówki Jiefang, wysyłane do Tybetu po odświeżeniu całego życia w innych częściach Chin, były stałym elementem tutejszych dróg.

Li chwycił krążek i rzucił krótki rozkaz stojącemu za nim mężczyźnie, który podał mu małą foliową torebkę. Demonstracyjnie wrzucił do niej plakietkę i spojrzał na Shana z triumfalnym wyrazem twarzy.

–Powinniście oglądać amerykańskie filmy – oświadczył, wracając do łóżka. – Bardzo pouczające. Spójność dowodów jest sprawą zasadniczą. – Podniecony odkryciem, zrzucił całe posłanie. Nie znalazł nic więcej, przewrócił więc sklejkę, po czym obmacał zagłębienia w blokach żużlobetonu. Przy ostatnim zwycięsko uniósł wzrok, wyciągając różaniec z plastikowych paciorków.

–Limuzyna. To oczywiste. – Potrząsnął paciorkami przed Shanem. – Dano mu limuzynę prokuratora Jao jako zapłatę za współudział w morderstwie. – Wrzucił różaniec do następnej torebki.

Yeshe nieśmiało podszedł do regału z częściami samochodowymi i zaczął w roztargnieniu przesuwając kartony. Spod jednego z nich wypadła na podłogę pogięta pocztówka, wizerunek dalajlamy sprzed kilkadziesiąt lat.

–Znakomicie! – wykrzyknął Li, podnosząc pocztówkę, i poklepał Yeshego po plecach. – Uczycie się, towarzyszu.

Yeshe spojrzał na Li pustym wzrokiem.

–Wolno teraz mieć takie rzeczy – powiedział – pod warunkiem, że nie pokazuje się ich publicznie. – Nie był to wprawdzie protest, jednak w głosie Yeshego zabrzmiał ton sprzeciwu, który zaskoczył Shana, a jego samego być może jeszcze bardziej.

Wydawało się, że Li tego nie zauważył. Pomachał pocztówką jak flagą.

–Tak, ale zobaczcie, jaka jest stara. Była nielegalna, kiedy ją zrobiono. Tak właśnie konstruujemy sprawy, towarzyszu. – Wrzucił pocztówkę do kolejnej podsuniętej przez asystenta torebki.

Shan podszedł do okna na drugim końcu pokoju i przeciągnął palcami po warstwie pokrywającego je brudu. Na zewnątrz zobaczył ich zaparkowane przed budynkiem pojazdy. Ktoś palił papierosa z sierżantem Fengiem. Wytarł szybę do czysta. Obok Fenga stał porucznik Chang. Shan odruchowo cofnął się o krok, następując na coś. Był to jeden z butów. Podniósł go i przesunął palcem po obrzeżu cholewki. But był z taniego tworzywa sztucznego, cały pokryty kurzem. Nowy, prawdopodobnie nigdy nie noszony, a mimo to zakurzony. Odszukał drugi but. Był nie od pary. Tak jak pierwszy, wyglądał na nie noszony i tak jak tamten, był na lewą nogę. Shan wrócił do ruin łóżka i rozejrzał się. Nie znalazł innych butów.

–I to był człowiek, którego Urząd Bezpieczeństwa uznał za wiarygodnego. – Li podniósł posążek buddy.

–Mały grubas nie jest nielegalny – zauważył lodowato Tan.

Li rzucił mu protekcyjnalne spojrzenie.

–Towarzyszu pułkowniku, macie niewielkie doświadczenie w rozpatrywaniu spraw

kryminalnych. – Podkreślił swą uwagę uśmiechem satysfakcji, po czym wyciągnął rękę i spuścił posążek do nadstawionego przez asystenta woreczka.

Przed garażem zebrał się mały tłumek. Gdy Tan ukazał się w drzwiach, gapie rozbiegli się jak przerażone zwierzęta, znikając w głębi uliczki. Pozostało tylko jakieś dziecko, drobne, trzy- lub czteroletnie, opatulone czarnym, przewiązanym sznurkiem kaftanem z sierści jaka. Dziecko, nie wiadomo, chłopiec czy dziewczynka, przyglądało się pułkownikowi z niezwykle zaciekawieniem.

–Muszę odnaleźć Baltiego – powiedział Shan do Tana. – Jeżeli zniknął, to właśnie z powodu tego, co się stało tamtej nocy.

–Słyszeliście, co powiedział Li. Do tej pory jest już prawdopodobnie w Sichuanie.

–Widzieliście jego ubrania na górze. Cała jego garderoba była w tym pudle. Nie spakował jej. Nie planował ucieczki. Poza tym, jak daleko, waszym zdaniem, człowiek, który mieszkał na tym strychu, zdołałby uciec bez papierów podróжных, za to nielegalnie zdobytym rządowym samochodem?

–No więc sprzedał samochód. – Tan zrobił krok w stronę dziecka.

–To tylko jedna z możliwości. Mógł być współnikiem zbrodni. Albo mógł zostać zabity. A może uciekł w panice i teraz się ukrywa.

Dziecko spojrzało na Tana i roześmiało się.

–Ze strachu przed twoim demonem.

–Albo ze strachu przed zemstą. Zemstą kogoś, kogo rozpoznał tamtej nocy.

Tan zamyślił się, rozważając sugestię Shana.

–Tak czy inaczej, nie ma go. Cóż można zrobić?

–Mogę porozmawiać z sąsiadami. Śmiem przypuszczać, że on mieszkał tu od dawna. Miał jakichś sąsiadów.

–Sąsiadów? – Tan rozejrzał się po stosach pustych beczek po oleju, stertach złomu i walących się budach, które otaczały garaż.

–Mieszkają tu jacyś ludzie – stwierdził Shan.

–Świetnie. Przesłuchajmy ich. Chcę zobaczyć swojego inspektora przy pracy.

Ktoś zawołał coś z głębi uliczki. Dziecko nie zareagowało.

Tan wyciągnął ku niemu rękę. Nagle jak spod ziemi pojawiło się trzech mężczyzn, barczystych pasterzy, groźnie dierżących przed sobą drągi. W mgnieniu oka Feng i kierowca Tana znaleźli się u boku pułkownika, sięgając po broń.

Pomiędzy nich, krzycząc z przerażenia, wbiegła niska, krępa kobieta. Pochwyciła dziecko i wrzasnęła na mężczyzn, którzy wycofali się wolno.

Twarz Tana stwardniała. Zapalił papierosa i milcząc, wpatrywał się w uliczkę.

–W porządku. Zajmijcie się tym. Ja jeszcze raz wyślę patrole pod Szpon Południowy. Sprawdzimy w pierwszej kolejności wyjaśnienie najbardziej prawdopodobne. Poszukamy jego ciała. Podnóże urwiska zostało już przetrząśnięte, kiedy szukano głowy. Ale ciało kierowcy może być wszędzie. Choćby na dnie Smoczej Gardzieli.

Po odejściu Tana Shan kazał Fengowi przestawić terenówkę w cień garażu, po czym usiadł z Yeshem na zardzewiałych beczkach na podwórzu warsztatu.

–Czy to ty powiedziałeś Li, że się tu wybieram? – zapytał go, gdy okolica zaczęła

powoli powracać do życia. – Ktoś to zrobił. Tak samo jak z domem Jao.

–Mówiłem ci już. Jeśli pytają, jak mogę odmówić ludziom z Ministerstwa Sprawiedliwości?

–A pytali?

Yeshe nie odpowiedział.

–Na kamieniu w jaskini Sungpo, pod którym znaleziono portfel Jao, był znacznik. Ktoś umieścił go tam, żeby ekipa, która przyszła zaaresztować Sungpo, mogła go znaleźć.

Yeshe zachmurzył się.

–Dlaczego mi o tym mówisz?

–Dlatego, że musisz zdecydować, kim chcesz być. Mnisi reagują na więzienie na wiele sposobów. Niektórzy zawsze będą mnichami. Inni zawsze będą więźniami.

Yeshe odwrócił się z gorzkim spojrzeniem.

–Więc mówisz, że jeśli odpowiadam na pytania ludzi z Ministerstwa Sprawiedliwości, jestem bezbożnikiem.

–Wcale nie. Mówię tylko, że czyny ludzi niezdecydowanych mają wpływ na ich przekonania. Pogódź się z tym, że zawsze będziesz więźniem Zhonga i jemu podobnych, albo zdecyduj, że nie zgadzasz się na to.

Yeshe wstał i cisnął kamykiem o ścianę. Odszedł na krok od Shana.

W uliczce pojawiła się stara kobieta. Spojrzała na nich złym okiem, po czym rozłożyła na skraju jezdni koc i zaczęła na nim ustawiać stosiki pudełek zapalek, pałeczek do jedzenia i cukierków, które stanowiły jej jedyny towar. Z fałdów sukni wydobyła wymiętą fotografię, przyłożyła ją do czoła, po czym postawiła przed sobą na kocu. Było to zdjęcie dalajlamy. Trzej chłopcy zaczęli dla zabawy rzucać kamkami do starej opony. W mieszkaniu naprzeciwko otworzyło się okno i wysunęła się z niego bambusowa żerdź, z której, niczym rząd flag modlitewnych, zwisało pranie.

Shan przyglądał się temu wszystkiemu przez pięć minut, po czym wybrał ze straganu rolkę dropsów, zapłatę pozostawiając Yeshemu.

–Przepraszam, że zawracam wam głowę – odezwał się do kobiety. – Człowiek, który mieszkał tutaj, zniknął.

–Szalony chłopak – zagdakała.

–Znacie Baltiego?

–Idź po modlitwę, mówiłam mu. Pamiętaj, kim jesteś, mówiłam.

–Potrzebował modlitwy? – zapytał Shan.

–Powiedz mu – zwróciła się do Yeshego. – Powiedz mu, że tylko martwi nie potrzebują modlitw. Z wyjątkiem mojego zmarłego męża – westchnęła. – Był informatorem. Pomódl się za niego. Jest teraz szczurem. Karmię go ziarnem, kiedy przychodzi w nocy. Stary głupiec.

Jeden z pasterzy, wciąż jeszcze z kijem w dłoni, zbliżył się do niej i mruknął coś pod nosem.

–Siedź cicho, ty! – prychnęła wdowa. – Kiedy będziesz tak bogaty, że nikt z nas nie będzie musiał pracować, wtedy możesz mi dyktować, z kim mam rozmawiać.

Wyjęła pięć zawiniętych w bibułę papierosów i rozłożyła je na kocu, po czym przyjrzała się uważnie Yeshemu.

–Czy to ty?

–Ja? – zapytał niezręcznie Yeshe.

–Zostawiłam modlitwę w świątyni. Aby przepędzić diabły. Ktoś przyjdzie. To możliwe. W dawnych czasach byli kapłani, którzy to potrafili. Jednym dźwiękiem. Jeżeli wydasz jęk, który dotrze do innego świata, możesz naprawić wszystko.

Yeshe spojrzał na kobietę z zakłopotaniem.

–Dlaczego sądzisz, że to mógłbym być ja?

–Dlatego, że przyszedłeś. Jesteś jedynym wiernym, który się tu zjawiał.

Yeshe obejrzał się niespokojnie na Shana.

–Czy wiesz, gdzie jest ten khampa? – zapytał kobietę.

–On zawsze mówił, że oni go zabiorą. Płacił nam, żebyśmy go strzegli. W te noce, kiedy przynosił to do domu, razem z mężem obserwowaliśmy schody. Spaliśmy cały dzień, żeby móc czuwać nocą.

–Co przynosił? – zapytał Yeshe.

–Teczkę. Małą walizkę. Na papiery. W niektóre noce przechowywał ją dla swojego szefa. Wielkie sekrety. Z początku był dumny, że ją ma. Potem zaczął się bać. Nawet kiedy znalazł na nią miejsce, i tak się bał.

–Co to były za papiery? Widziałaś je? – zapytał Yeshe.

–Oczywiście, że nie. Czy ja pracuję dla rządu? Niebezpieczne sekrety. Potężne słowa. Tajemnice państwowe.

–Powiedziałaś, że znalazł na nią miejsce – wtrącił się Shan. – Masz na myśli kryjówkę?

Nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Wydawała się zainteresowana jedynie Yeshem, jak gdyby dostrzegła w nim coś, czego nie widział nikt inny, nawet on sam.

–Kto miał go zabrać? Czego się bał? – naciskał Yeshe. – Prokuratora Jao?

–Nie Jao. Jao był dla niego dobry. Dawał mu czasem dodatkowe kartki zaopatrzeniowe. Pozwalał mu nosić swoje ubrania.

–W takim razie kto?

Zmarszczyła czoło i przyjrzała mu się uważnie.

–Twoja moc nie została zniszczona – powiedziała. – Myślisz, że tak się stało, ale ona jest tylko ukryta.

Yeshe cofnął się o krok, jakby przerażony.

–Gdzie jest Balti? – zapytał. W jego głosie pojawił się błagalny ton.

–Chłopcy tacy jak on idą w górę. Albo w dół. – Zaśmiała się po cichu, rozważając swoje słowa, po czym spojrzała na pasterza. – W górę albo w dół – powtórzyła mu, znowu chichocząc. Ponownie zwróciła się do Yeshego. – Jeśli go zabrali, on wróci. Wróci jako lew. Tak właśnie się dzieje z potulnymi. Odrodzi się lwem i rozerwie nas wszystkich na strzępy za to, że go zawiedliśmy.

Shan ukląkł przed kobietą.

–Pokaż nam kryjówkę – wyszeptał.

Wydawała się nie słyszeć.

–Pokaż nam – poprosił Yeshe.

Kobieta w zakłopotaniu przekładała towary.

–Musimy ją zobaczyć – naciskał Shan. – Dla dobra Baltiego.

–Był tak przerażony – powiedziała.

–Myślę, że był odważny – stwierdził Shan.

Tym razem zwróciła na niego uwagę.

–Płakał po nocach.

–Nawet odważny człowiek może mieć powody, by płakać.

Odwróciła od niego wzrok.

–A jeśli to właśnie was się obawiał? – zapytała.

–Spójrz na nas. Czy tak właśnie myślisz? Czy oni przyszliby i rozmawiali z tobą tak jak my? – Shan ścisnął ją za ramię.

Powoli uniosła wzrok, jak gdyby widok jego oczu sprawiał jej ból.

–Nie on – powiedziała, wskazując głową Yeshego. – On nie jest jednym z nich.

–W takim razie zrób to dla niego – poprosił Shan.

Wstała szybko, jakby chciała pozbyć się ich jak najprędzej. Pasterz z kijem ruszył za nimi. Poprowadziła ich ku ciemnemu kąтови za garażem. Po drodze minęli terenówkę. Feng chrapał głośno.

Na tyłach budynku stał prymitywny drewniany regał na większe części wymontowane ze zdezelowanych pojazdów. Na samym dole leżał rząd długich, wąskich zbiorników paliwa, pochodzących z rozmaitych samochodów i ciężarówek.

Kobieta oparła dłoń na trzecim zbiorniku.

–Był na tyle mały, że mógł się tu wcisnąć – powiedziała.

Shan i Yeshe wspólnymi siłami odsunęli zbiornik. Tylina ścianka została precyzyjnie wycięta, a krawędzie zagięte tak, że można było wcisnąć ją z powrotem, zamykając otwór. Szczelinę pokrywała wstążka smaru. Shan znalazł śrubokręt i podważył ściankę.

Wewnątrz nie było żadnej teczki, jedynie zabrudzona koperta z kilkoma arkuszami cieniutkiego papieru.

Kobieta pomogła im umieścić zbiornik z powrotem na regale i jeszcze raz zwróciła się do Yeshego.

–Twoja moc nie została zniszczona – powtórzyła. – Rozproszyła się tylko.

Jej słowa podziałały na niego paraliżująco. Gdy Shan ciągnął go do samochodu, wołając na Fenga, by się obudził, Yeshe nie był w stanie oderwać oczu od kobiety. Przez całą drogę przez miasto trzymał w dłoni różaniec. Nie przesuwiał paciorków, po prostu patrzył na niego.

–W Sichuanie – odezwał się nagle – mógłbym mieć własne mieszkanie.

Siedząc za Fengiem, Shan przeglądał dokumenty ze zbiornika. Były to strony wyrwane z akt śledztwa, dotyczące morderstwa Jin Sana, kierownika spółdzielni rolniczej “Wielki Mur”, zbrodni, za którą stracony został Dza Namkhai należący do Piątki z Lhadrung. U dołu ostatniej strony znajdował się długi ciąg arabskich cyfr, pięć grup po pięć cyfr w każdej.

–Moc – powiedział drwiąco Yeshe, głosem nawiedzonego. – Co za kobieta. Wielka

moc. Świat daje świadectwo mojej wielkiej mocy.

Shan uniósł wzrok.

–Nie spiesz się tak z samopotępieniem. Największą mocą jest, jak sądzę, zdolność odróżniania dobrego od złego.

Yeshe rozważył jego słowa.

–Ale tu nic nie wydaje się ani dobre, ani złe – odezwał się wreszcie. – Chodzi raczej o rozstrzygnięcie, który diabeł wyrządzi najmniej szkody.

–Co ona miała na myśli – zapytał Shan – kiedy mówiła o jęku, który dociera do innego świata?

–W niektórych z dawnych gomp nauczano, że dźwięk jest jak myśl, której przydano nogi. Jeśli potrafisz odpowiednio skupić myśl, możesz wyrzeć poza granice świata. Jeśli odpowiednio skoncentrujesz dźwięk, możesz naprawdę dosięgnąć i dotknąć innego świata.

–Dotknąć go?

–Mówi się, że taki dźwięk tworzy rozdarcie między światami. Jak błyskawica. Rozdarcie ma niewiarygodną energię. Niektórzy nazywają to rytuałem gromu. To niszczycielska siła.

Shan znowu opuścił wzrok na papiery. Kobieta mówiła, że Balti obawiał się kogoś, a tym kimś nie był Jao. Balti ufał prokuratorowi, tak jak prokurator jemu. Stare akta zamkniętej sprawy, a jednak tak tajne, że Jao nie mógł bez obaw pozostawić ich we własnym biurze. A może zwłaszcza we własnym biurze.

–Powiedziała, że Balti poszedł w górę albo w dół – powiedział z roztargnieniem, przypomniawszy sobie słowa kobiety. – Traktowała to jak dobry dowcip.

Yeshe wciąż mówił głosem nawiedzonego:

–Wróci na płaskowyż Kham, który leży tak wysoko, że wszystko tam jest w górze w porównaniu z resztą świata. Albo zostanie i zejdzie w dół w łańcuchu form życia.

Shan powoli skinął głową, próbując powiązać te słowa z dokumentem. Trop był tak wyraźny, że niemal namacalny. Kto mógł chcieć tych akt? Ktoś przyjdzie, powiedział Balti. Nie chodziło o purbów. Oni nie wiedzieli, kim był. A nawet gdyby wiedzieli, nie obawiałby się ich. Kto więc mógł go przerażać? Pałkarze? Jakiś gang? Żołnierze? Żołnierze przestępcy? Ktokolwiek to był, tacy ludzie nie mieliby skrupułów przed zabiciem Baltiego. Zabraliby go tamtej nocy i zmusili do mówienia, do wyśpiewania z najdrobniejszymi szczegółami każdego sekretu, każdej kryjówki. Jeśli zbiornik wciąż zawierał choć część swych sekretów, uświadomił sobie nagle Shan, znaczyło to, że Balti żyje i jest wolny.

ROZDZIAŁ 11

Droga do wioski ragyapów celowo urywała się sześćdziesiąt metrów przed zabudowaniami. Kończyła się rozległą polaną, na której, w charakterze platform rozładowniczych, ustawiono wielkie, płaskie głazy. Gdy sierżant Feng wjechał chyłkiem na polanę, akurat odjeżdżała stamtąd, w niepotrzebnym pośpiechu, mała odkryta ciężarówka. Shan dostrzegł w przelocie kobietę przy oknie szoferki. Płakała.

Wspinającą się do wioski ścieżką człapał osioł, ciągnąc wózek z długim grubym pakunkiem owiniętym w płótno.

Yeshe, ku zaskoczeniu Shana, wysiadł pierwszy. Wyciągnął rzucony na tył terenówki konopny worek starych jabłek i z wyrazem ponurego zdecydowania na twarzy ruszył pod górę. Gdy Shan wysiadał z samochodu, Feng rzucił jedno spojrzenie na długi toból na wózku, po czym natychmiast zablokował drzwi i zakręcił okna. Na koniec, dla dopełnienia środków obrony, zapalił papierosa i zaczął wypełniać wnętrze dymem.

Shan był dla ragyapów obcym. Nie byli przyzwyczajeni do widoku Chińczyków, martwych ani żywych. Nie byli przyzwyczajeni do nikogo poza sobą. Nawet inni Tybetańczycy rzadko zapuszczali się w pobliże ich wioski, chyba że po to, by zostawić tam ciało ukochanej osoby wraz z sakiewką z pieniędzmi lub koszykiem z żywnością czy innym towarem jako zapłatą. W wiosce rozcinaczy ciało w pobliżu Lhasy zabito dwóch żołnierzy, którzy próbowali sfilmować ich przy pracy. Niedaleko Shigatse japońscy turyści, którzy zanadto zbliżyli się do osady, zostali pobici ludzkimi kośćmi udowymi.

Shan szybko dogonił Yeshego i szedł o krok za nim.

–Wyglądasz, jakbyś miał jakiś plan – zauważył.

–Jasne. Wynieść się stąd jak najprędzej – mruknął chłopak.

Przed pierwszą z chat siedział na ziemi niedomyty chłopiec o długich, zmierzwionych włosach. Układał kopczyk z kamieni. Podniósł wzrok na gości i krzyknął nagle, nie ostrzegawczo, lecz boleśnie, jak gdyby dostał kopniaka. Na ten wrzask w drzwiach chaty ukazała się kobieta. W jednej ręce trzymała wyszczerbiony imbryk, drugą podtrzymywała na biodrze niemowlę. Spojrzała na Shana, nie patrząc mu w oczy, ale powoli taksując jego ciało, jak gdyby przymierzając go do czegoś.

Za chatą rozciągał się centralny plac osady, otoczony paroma budynkami. Niektóre były tylko prowizorycznymi szopami z żerdzi, desek, a nawet tektury, jednak ku swemu zaskoczeniu Shan dostrzegł tu również kilka małych, lecz solidnych budowli z kamienia. Przed jedną z nich pracowała grupka mężczyzn, ostrząc najrozmaitsze topory i noże.

Mieli w sobie coś małpiego: byli niscy, mieli grube ramiona i maleńkie oczka. Jeden z nich odłączył się od grupy i zrobił krok w stronę Shana, wymachując lekkim toporem. Jego bezmyślne spojrzenie niepokojąco przywodziło na myśl trupa. Gdy spostrzegł worek w ramionach Yeshego, twarz mu zmiękła. Dwaj inni zbliżyli się, z powagą wyciągając ręce. Kiedy Yeshe podał im worek, skłonili głowy na znak współczucia, lecz nagle na ich twarzach pojawiło się zakłopotanie. Jeden z mężczyzn zajrzał do środka i roześmiał się, wyciągając jabłko. Wśród ogólnej wesołości rzucił

owoc w krąg mężczyzn. Nie taką zawartość mają zazwyczaj małe konopne worki, jakie przynosi się ragyapom, uświadomił sobie nagle Shan, martwe tłumoczki, które muszą budzić sprzeciw nawet w rozcinaczach zwłok.

Podarunek Yeshego przełamał lody. Rzucono kolejne jabłka i mężczyźni wyciągnęli scyzoryki – gdyż dłuższe noże były zarezerwowane dla ich uświęconych obowiązków – i zaczęli rozkrawać owoce. Shan przyjrzał się ich narzędziom. Nożyki o ostrzach zakończonych hakami. Długie noże do zdejmowania skóry. Prymitywne topory, wykute być może przed dwoma wiekami. Połowa z nich bez trudu oddzieliłaby ludzką głowę od ciała.

Pojawiły się dzieci, łakomie wyciągając dłonie po jabłka. Trzymały się z dala od Shana, ale okrążyły Yeshego, zaciekawione i szczęśliwe.

–Przychodzimy z księgarni w mieście – oświadczył Shan.

Jego słowa nie zrobiły żadnego wrażenia na dzieciach, mężczyźni jednak natychmiast spoważnieli. Zaczęli szeptać między sobą, a jeden z nich pobiegł w górę, za wioskę.

Dzieci zaczęły poszturchiwać Yeshego, który nagle zaczął okazywać im niezwykle zainteresowanie. Ukląkł, by zawiązać jednemu z nich but, uważnie oglądając przy tym ubranie dziecka. Dzieciarnia wskoczyła mu na plecy, powalając go na ziemię. Niektórzy ze starszych chłopców wyciągnęli drewniane nożyki zabawki i śmiejąc się histerycznie, udawali, że odcinają mu członki.

Shan przyglądał się tej bijatyce tylko przez chwilę, potem jego wzrok spoczął na biegnącym mężczyźnie. Szybko stało się jasne, że zmierza do skały sterczącej na szczycie niskiego wzgórza górującego nad osadą. Shan ruszył za nim, przystanął jednak, kiedy spostrzegł ptaki. Kilkanaście, w większości sępów, krążyło wysoko na niebie. Inne, większe i mniejsze, obsiadły gałęzie karłowatych drzewek wzdłuż ścieżki. Wydawały się dziwnie oswojone, jak gdyby wioska należała do nich w równej mierze jak do ragyapów. Z leniwym zaciekawieniem obserwowały mijającego je w biegu człowieka.

Nazywało się to podniebnym lub powietrznym pochówkiem. Najszybsza metoda likwidacji fizycznych pozostałości ludzkiej egzystencji. W niektórych częściach Tybetu ciała puszczano z prądem rzek, z którego to powodu jedzenie ryb stanowiło tabu. Shan słyszał, że w regionach o wciąż jeszcze żywych związkach z kulturą indyjską praktykowano palenie zwłok. Ale w większej części Tybetu dla pobożnego buddysty istniał tylko ten jeden sposób pozbycia się ciała, gdy wcielenie dobiegło końca. Tybetańczycy nie mogli żyć bez ragyapów. Ale nie mogli też żyć obok nich.

Gdy biegnący zbliżył się do skały, na szczycie wzgórza ukazał się inny mężczyzna. Niósł długi kij zakończony szerokim żeleźcem. Był w średnim wieku, ubrany w zimową czapkę wojskową, której watowane nauszники zwisały mu po bokach jak małe skrzydła. Shan, nieufnie popatrując na ptaki, usiadł na kamieniu i czekał, aż człowiek w wojskowej czapce zejdzie ku niemu.

Zbliżywszy się, mężczyzna przyjrzał mu się podejrzliwie.

–Nie przyjmujemy turystów – rzucił wysokim głosem. – Odejdź stąd.

–Dziewczyna z księgarni pochodzi z tej wioski – odezwał się szorstko Shan.

Mężczyzna przyglądał mu się z surową twarzą, po czym pochylił żeleźce. Wyciągnął szmatę i nie spuszczać oczu z Shana, zaczął ocierać je z resztek wilgotnej, różowej substancji.

–To moja córka – przyznał. – Nie wstydzę się. – Było to znaczące i śmiałe wyznanie.

–Nie ma powodu do wstydu. Ale dziwnie było stwierdzić, że ktoś z was pracuje w mieście. – Wiedział, że nie musi wspominać o zezwoleniu na pracę. Świadomość, że Shan odkrył kłamstwo, była, jak podejrzewał, jedynym powodem, dla którego ów człowiek w ogóle z nim rozmawiał.

Wyzwanie w oczach ragyapy przygasło, pozostał tylko błysk stanowczości.

–Ona jest dobrym pracownikiem. Zasługuje na szansę.

–Nie przyszedłem tu w sprawie twojej córki. Przyszedłem w sprawie waszych interesów ze starym czarownikiem.

–My nie potrzebujemy czarowników.

–Khorda sprzedawał jej czary. Myślę, że ona przynosi je tutaj.

Mężczyzna przycisnął pięść do skroni, jak gdyby w napadzie bólu.

–Kupowanie czarów nie jest nielegalne. Już nie.

–Ale jednak próbujesz to ukryć, posyłając po nie swoją córkę.

Ragyapa przemyslał jego słowa.

–Pomagam jej się wybić. Pewnego dnia będzie miała własny sklep.

–Sklep może dużo kosztować.

–Jeszcze pięć lat. Mam to rozpracowane. Ragyapowie mają najpewniejszy fach w Tybecie. – Zabrzmiało to jak stary dowcip.

–Czy był tu Tamdin? To dlatego potrzebujecie czarów? – zapytał Shan. Albo czy Tamdin mieszka tutaj, powinien może zapytać. Czy to naprawdę mogło być aż tak proste? Zgorzkniali, zapomniani ragyapowie muszą nienawidzić świata, a zwłaszcza jego prominentów. I któż mógł mieć większe od nich kwalifikacje, by zarządzić prokuratora Jao? Albo wyciąć serce Xonga De z Ministerstwa Geologii?

Mężczyzna westchnął.

–One nie są przeznaczone dla tego miejsca.

–W takim razie dla jakiego? Dla kogo? Chcesz powiedzieć, że sprzedajesz je komuś innemu?

–To nie są sprawy, o których się mówi. – Jeszcze raz przetarł szmatą żeleźce, jakby ostrzegawczo.

–Sprzedajesz je? – powtórzył Shan. – Czy to w ten sposób zapłacisz za jej sklep?

Mężczyzna spojrzał na krążące w górze ptaki. Wioska ragyapów byłaby znakomitym miejscem do popełnienia morderstwa, uświadomił sobie Shan. To tak, jakby zastrzelić własnego znienawidzonego oficera na polu bitwy. W krótkim czasie każde zwłoki stawały się tu nieodróżnialne od innych.

Mężczyzna nie odpowiedział. Skierował wzrok w dół, na wioskę. Pozostali przypatrywali mu się. Warknął na nich i wrócili do pracy. Yeshe, co dziwne, wciąż baraszkował z dziećmi.

Shan jeszcze raz przyjrzał się swemu rozmówcy. Wyglądał na starszego niż

większość mężczyzn, których tu widział, i najwyraźniej był naczelnikiem wioski.

–Chcę tylko wiedzieć, dla kogo są te czary. Ktoś najwyraźniej jest zbyt skrępowany albo zbyt wystraszony, by poprosić o nie samemu. Czy chodzi o jakiegoś urzędnika państwowego? – Ragyapa odwrócił się od Shana. – Moje pytania mogą przyjść do głowy komuś innemu – powiedział Shan do jego pleców. – Komuś, kto zastosuje inne środki perswazji.

–Masz na myśli bezpieczeńkę – szepnął mężczyzna. Z pewnością Urząd Bezpieczeństwa bardziej niż Shana zainteresowałoby zezwolenie na pracę jego córki. Na twarzy ragyapy pojawiła się bezradność. Wpatrywał się w pył u swoich stóp.

Shan powiedział mu, jak się nazywa.

Naczelnik uniósł wzrok z zaskoczeniem, nie przyzwyczajony do tego, że ktoś mu się przedstawia.

–Mnie nazywają Merak – powiedział niezobowiązująco.

–Musisz być bardzo dumny ze swojej córki.

Merak spojrzał na niego uważnie.

–Kiedy byłem chłopcem – powiedział – nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego inni mnie unikają. Chodziłem na skraj miasta i chowałem się, po to tylko, żeby obserwować, jak się bawią. Wiesz, kto był moim najlepszym przyjacielem? Młody sęp. Nauczyłem go przylatywać do mnie na wołanie. Był jedynym stworzeniem, które mi ufało, które lubiło mnie takim, jaki byłem. Pewnego dnia, kiedy go zawołałem, w pobliżu czekał orzeł. Zabił mojego przyjaciela. Pochwycił go w powietrzu, bo on patrzył na mnie, zamiast śledzić niebo.

–Ciężko jest dźwigać czyjeś zaufanie.

–My także jesteśmy sępami. Tak właśnie myśli o nas świat. Mój ojciec zawsze śmiał się z tego. Mawiał: “To jest przewaga, jaką mamy nad resztą ludzi. Wiemy dokładnie, kim jesteśmy”.

–Ktoś prosił cię o kupienie czaru. Ktoś, kto sądzi, że obraził Tamdina.

Merak ogarnął szerokim gestem zabudowania wioski.

–Dlaczego mielibyśmy ich potrzebować?

–Ragyapowie nie wierzą w demony?

–Ragyapowie wierzą w sępy.

–Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

–Najpierw ty mi powiedz.

–Co mam ci powiedzieć?

–Jesteś ze świata – stwierdził Merak, wskazując głową dolinę. – Powiedz mi, że ty sam nie wierzysz w demony.

Wyżej na stoku rozległy się odgłosy bójki. Shan uniósł wzrok i natychmiast tego pożałował. Dwa sępy wyrywały sobie nawzajem ludzką rękę.

Shan spojrzał na własne dłonie, pocierając palcami odciski.

–Żyję zbyt długo, by móc ci to powiedzieć.

Merak ze zrozumieniem skinął głową, po czym w milczeniu odprowadził Shana do wioski.

–Jedziemy do amerykańskiej kopalni – powiedział Shan do Fenga. Tam także był

ragyapa, przypomniał sobie. Ten, który wspinał się na wysokie szczyty, będące domem Tamdina.

Yeshe, siedzący z tyłu, wyciągnął w jego stronę, niczym trofeum, dziecięcą skarpetkę.

–Widziałeś? – zapytał ze znaczącym uśmiechem.

–Co miałem widzieć?

–Zaginione dostawy wojskowe, które katalogowałem dla Zhonga. Czapki, buty, koszule. I wszyscy noszą zielone skarpetki.

–Nie rozumiem.

–Te dostawy są tutaj. Trafiły do ragyapów.

–Nie – zaprotestował Shan, kiedy zjechali z szosy na drogę do Nefrytowego Źródła. – Do amerykańskiej kopalni.

–Jasne – uspokoił go Feng. – Zrobimy tylko mały przystanek. Na chwilę.

Zatrzymał się przed kasynem i, ku zaskoczeniu Shana, otworzył mu drzwi.

–Tylko na chwilę – powtórzył.

Shan ruszył za nim, zbity z tropu. Nagle coś sobie przypomniał.

–Rozmawiałeś z porucznikiem Changiem.

Feng chrząknął wymijająco.

–Został przeniesiony? Nie bywa zbyt często w Czterysta Czwartej.

–Podczas blokady? Przy dwóch setkach stacjonujących tam komandosów z wojsk pogranicznych? Co miałby tam do roboty?

–Czego on chciał?

–Po prostu porozmawiać. Okazało się, że zna krótszą drogę do kopalni.

W kasynie żołnierze siedzieli w małych grupkach, popijając herbatę. Feng rozejrzał się po sali, po czym poprowadził Shana na drugi koniec, do stolika, przy którym trójka mężczyzn grała w mah-jonga.

–Meng Lau! – zawołał. Dwaj z grających gwałtownie unieśli głowy i wstali. Trzeci, zwrócony do nich plecami, roześmiał się i dołożył kostkę. Pozostali cofnęli się, gdy Feng oparł mu dłoń na ramieniu.

Zaskoczony, mężczyzna zaklął i odwrócił się. Był to niemal chłopiec, o tłustych włosach i półprzymkniętych, matowych oczach. Uszy zasłaniały mu słuchawki, odwrócone do góry nogami, z kabłąkiem wiszącym pod podbródkiem.

–Meng Lau! – powtórzył Feng.

Drwiący uśmiech spelzł z twarzy żołnierza. Powoli opuścił słuchawki. Shan rozpiął kieszonkę i pokazał mu dokument, który dał mu Hu.

–Wy to podpisaliście?

Meng spojrzał na Fenga i powoli skinął głową. Coś było nie w porządku z jego lewym okiem. Błądziło bezwładnie, jak gdyby było sztuczne.

–Czy to dyrektor Hu o to prosił?

–Prokurator. Przyszedł i zażyczył sobie tego – odparł nerwowo Meng, wstając od stołu.

–Prokurator?

Meng znów skinął głową.

–Nazywa się Li.

–Więc podpisaliście jedno dla Li i jedno dla Hu?

–Podpisałem dwa.

Więc to była prawda, uświadomił sobie Shan. Li Aidang gromadził odrębne akta. Ale dlaczego zadano sobie trudu, by dostarczyć Shanowi duplikat oświadczenia? Żeby się upewnić, że nie będzie przeciągał sprawy? Żeby wprowadzić go w błąd? Czy może ostrzec go, że Li będzie zawsze o krok do przodu?

–W obu było to samo?

Żołnierz niepewnie zerknął na Fenga, zanim odpowiedział.

–Oczywiście.

–Ale kto napisał te oświadczenia? – zapytał Shan.

–Ja sam. – Meng cofnął się o krok.

–Widzieliście tamtej nocy mnicha?

–Tak jest napisane.

Słowa te na chwilę zbiły Fenga z tropu. Potem na jego twarzy pojawił się gniew.

–Przeklęty szczeniaku! – warknął. – Odpowiadaj jasno!

–Byliście tamtej nocy na warcie, szeregowy Meng? – zapytał Shan. – Nie ma was na liście dyżurów. Żołnierz zaczął bawić się słuchawkami.

–Czasem się zamieniamy.

Dłoń Fenga nagle strzeliła go w twarz.

–Inspektor pytał o coś!

Shan spojrzał na sierżanta z zaskoczeniem. Inspektor. Meng wlepił w Fenga bezmyślne spojrzenie, jak gdyby był przyzwyczajony do bicia.

–Widzieliście mnicha tamtej nocy? – powtórzył pytanie Shan.

–Myślę, że jako świadek w tej sprawie nie powinienem z nikim rozmawiać.

Na twarzy Fenga znów mignął błysk gniewu. Nim zgasł, żołnierz zdążył go dostrzec i cofnął się jeszcze bardziej.

–To polityka – wymamrotał i czmychnął.

Feng patrzył za nim, nie wściekły już, lecz zraniony.

Sierżant prowadził w ponurym nastroju, ostro zmieniając biegi, ledwo przyhamowując na skrzyżowaniach, dopóki nie zaczęli długiej wspinaczki stokami Szponu Północnego ku amerykańskiej kopalni.

–Masz – mruknął w końcu, wyciągając z kieszeni celofanową torebkę. – Pestki dyni. – Podał torebkę Shanowi. – Dobrze, nie to spleśniałe gówno z targu. Solone. Dostałem je w kantynie.

Żuli pestki powoli, w milczeniu, niczym dwóch staruszków na ławce w pekińskim parku. Niedługo potem Feng zaczął nachylać się do przodu, obserwując pobocze.

–Chang mówił, że to zaoszczędzi godzinę – powiedział, zjeżdżając na zryty koleinami szlak, sprawiający wrażenie nieco szerszej niż zwykle koziej ścieżki. – Dzięki temu zdążymy wrócić na kolację.

Przez pięć minut jechali dróżką w stronę ostrej grani. Po prawej stronie, zaledwie metr od opon ich wozu, ścieżkę uciniała niemal pionowa ściana urwiska, kończąca się zwaliskiem skał kilkaset metrów niżej.

–Jakim cudem ta droga może prowadzić do Amerykanów? – zapytał nerwowo Yeshe. – Musielibyśmy przedostać się przez tę przepaść.

–Zdrzemnij się – burknął Feng. – Zachowaj energię na pracę, jaka cię czeka w Czterysta Czwartej.

–Co masz na myśli? – zapytał Yeshe niespokojnym głosem.

–Jak prosileś, porozmawiałem z sekretarką nadzorcy. Powiedziała, że nikt nie pracuje przy komputerach. Zhong kazał im po prostu składać wszystko na kupę, bo za dwa tygodnie ktoś się tym zajmie.

–Może chodziło o kogoś innego – zaprotestował Yeshe.

Feng pokręcił głową.

–Pytała jednego z oficerów z administracji. Powiedział, że tybetański szczeniak nadzorcy wraca.

Z tyłu rozległ się cichy jęk. Shan odwrócił głowę. Yeshe siedział zgięty wpół, z twarzą ukrytą w dłoniach. Shan z bólem odwrócił się z powrotem. Ostrzegał go. Chłopak miał dość czasu, by zdecydować, kim jest.

Nagle Shan uniósł dłoń.

–Zobacz – powiedział, gdy Feng przyhamował. Wskazał na świeży ślad opon, odbijający od ścieżki i niknący za grzbietem.

–Więc nie my jedni używamy tego skrótów – stwierdził Feng triumfalnie, jakby to dowodziło, że jadą właściwą drogą.

Mnóstwo ludzi, pomyślał Shan. Na przykład Amerykanie szukający starych świątyń.

Shan otworzył drzwi i ostrożnie obszedł samochód, pamiętając o przepaści. Podniósł z koleiny gałązkę wrzosu i podał ją Fengowi.

–Powąchaj. Została zgnieciona nawet nie godzinę temu.

–No i co?

–No i to, że mam zamiar pójść tym świeżym śladem. Twoja droga okrąży te skały. Spotkamy się po drugiej stronie.

Feng zmarszczył się, ale powoli ruszył naprzód.

Wspinając się na zbocze, Shan próbował się zorientować, gdzie są. Jaskinia czaszek była niecałe półtora kilometra stąd. Czy to właśnie było tajne przejście, którym dotarli tam Amerykanie? Czy Fowler i Kincaid byli na tyle głupi, by wrócić do świątyni? Gdy zbliżał się do szczytu, doleciał go dziwny odgłos. Jak dzwony, pomyślał. Nie, bębny. Parę kroków dalej uświadomił sobie, że to muzyka rockowa. Wychodząc na grzbiet, przykucnął nagle i cofnął się. Stał tam samochód terenowy, ale nie należał do Amerykanów. Był jaskrawoczerwony.

Uspokoiwszy się, wysunął ukradkiem głowę ponad skały. Był to wielki landrower, którym jeździł Hu, ale postać za kierownicą, postukująca dłonią w rytm muzyki, była za wysoka na dyrektora kopalń.

Parkowanie w tym miejscu nie miało sensu. Nikogo więcej nie było tu widać. Nie było na kogo czekać. Nie był to nawet dobry punkt obserwacyjny, gdyż stercząca skała przesłaniała znaczną część widoku.

Powoli, nieświadomie, zaciekawiony Shan powstał. Za tylnymi kołami widać było

świeże kopczyki ziemi, przed landrowerem zaś, niebezpiecznie blisko krawędzi stromo opadającego na drogę zbocza, spoczywał wielki, półtorametrowy głaz. Nagle mężczyzna w kabinie wyprostował się i spojrzał uważnie na szlak w dół. W polu widzenia ukazała się terenówka Fenga. Mężczyzna uniósł pięść, jak gdyby na znak zwycięstwa, i uruchomił silnik.

–Nie! – krzyknął Shan, biegnąc do landrowera.

Koła samochodu buksowały, wyrzucając ziemię w powietrze. Głaz drgnął.

Rzuciwszy się przez chmurę pyłu, zaczął walić w okienko kierowcy. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał otumanionym wzrokiem. Był to porucznik Chang.

Shan widział, jak sięga do dźwigni zmiany biegów. Wóz cofnął się nieco, po czym wyrwał do przodu. W jednym potężnym zrywie głaz i landrower razem runęły w dół zbocza.

Niczym na zwolnionym filmie Shan widział, jak Feng zahamował, po czym wraz z Yeshem wyskoczył z terenówki akurat w chwili, gdy głaz przemknął obok nich i zniknął za krawędzią urwiska. Landrower, lecąc w powietrzu, uderzył bokiem o zbocze i zaczął się staczać po stromym stoku, z kręcącymi się wciąż kołami, pośród pryskającego szkła i zgrzytu metalu. W połowie obrotu runął na drogę i wzbijając chmurę pyłu, wylądował na lewym boku, z przednią połową wiszącą nad przepaścią.

Shan, bez tchu, zbiegł na dół, akurat gdy przez strzaskane okno od strony pasażera wysunęła się ręka. Chang, z czołem wysmarowanym krwią, podciągnął się w górę. Muzyka wciąż grała.

Nagle porucznik znieruchomiał i krzyknął do stojącego trzy metry dalej Fenga. W tej samej chwili rozległ się jęk metalu i coś puściło. Chang wrzasnął, gdy pojazd osunął się kolejne trzydzieści centymetrów przez krawędź urwiska. Na twarzy oficera pojawił się gniew.

–Sierzancie! – ryknął. – Wydostańcie mnie...!

Nie dokończył. Landrower nagle przechylił się i zniknął w czeluści. Gdy spadał, wciąż jeszcze słyszeli muzykę.

Kiedy wycofywali się z dzikiej ścieżki z powrotem na główną drogę, nie padło ani jedno słowo. Feng siedział zasępiony. Jego ręka na kierownicy drżała. Choćby nie wiedzieć jak oszukiwał sam siebie, pomyślał Shan, prędzej czy później będzie musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Chang próbował zabić również jego.

Gdy wreszcie minęli długi grzbiet ponad kopalnią boru, Shan dał sierżantowi znak, by się zatrzymał. Była tam świątynia, której nie zauważył podczas pierwszej wizyty, wzniesiona na skalnym występie sto metrów ponad dnem doliny. Kopiec kamieni otaczały łopoczące flagi modlitewne. Niektóre z nich były po prostu skrawkami barwnych tkanin. Inne – wielkimi, pokrytymi modlitwami proporcami, które Tybetańczycy nazywali końskimi flagami.

–Interesuje mnie ta świątynia – powiedział do Yeshego i Fenga, kiedy sierżant zaparkował samochód. – Znajdźcie tam drogę. Zobaczcie, czy da się stwierdzić, kto ją zbudował i skąd pochodzi.

Yeshe, zadzierając głowę, z zainteresowaniem przyjrzał się świątyni, po czym ruszył w jej kierunku, nie oglądając się za siebie. Feng zerknął na Shana spode łba,

wzruszył ramionami, sprawdził amunicję w pistolecie i potruchtął za Yeshem.

Biuro kopalni było niemal puste, gdy Shan wszedł do środka. Kobieta, która poprzednio podawała im herbatę, spała na stołku, oparta o ścianę. Dwóch mężczyzn w ubłoconych ubraniach roboczych pochylało się nad wielkim stołem. Jeden z nich przywitał Shana skinieniem głowy. Był to Luntok, inżynier ragyapa. Czerwone drzwi w głębi znów były zamknięte. Za nimi słyhać było głosy i cichy szum elektronicznego sprzętu.

Dwaj mężczyźni robili pomiary na jednej z kolorowych map, które widział wcześniej. W środku arkusza widniał niebieski prostokąt, pod nim zaś rzędy mniejszych, niebieskozielonych pól. Nagle Shan rozpoznał te obrazy.

–To są stawy, prawda? Nigdy nie widziałem takiej mapy – zdumiał się. – Robicie je tutaj?

Luntok uniósł wzrok, uśmiechając się szeroko.

–To lepsze niż mapa. To zdjęcie. Z nieba. Z satelity.

Shan oniemiał. Fotografia satelitarna nie była dla niego czymś niewyobrażalnym, lecz tutaj nieoczekiwanym. W Tybecie istotnie starożytność mieszała się z nowoczesnością.

–Potrzebujemy informacji o roztopach śniegu – wyjaśnił Luntok. – O biegach rzek. O lawinach w górach. O warunkach na drogach, kiedy odchodzą transporty. Bez tych zdjęć musielibyśmy co tydzień wysyłać w góry ekipę geodetów.

Pokazał mu stawy kopalni, zabudowania obozu oraz, daleko na lewo, skupisko geometrycznych kształtów, będące przedmieściami Lhadrung. Przeciągnął palcem wzdłuż długiej grobli u wylotu Smoczej Gardzieli, po czym podniósł zdjęcie i wskazał na drugie, wcześniejsze.

–Tak to wyglądało dwa tygodnie temu, tuż przed zakończeniem budowy. – Pośrodku brązowej grobli widoczne były barwne plamki, które nie mogły być niczym innym niż maszynami do robót ziemnych.

–Ale jak je otrzymujecie?

–Z satelitów, amerykańskiego i francuskiego. Mamy subskrypcje. Powierzchnia Ziemi jest podzielona na sekcje, w katalogu. Możemy zamówić zdjęcie, podając numer sekcji. Prześlą je na naszą konsolę – odparł, wskazując kciukiem czerwone drzwi.

–Ale wojsko... – zaczął Shan.

–Mamy zezwolenie – wyjaśnił cierpliwie Luntok. – Wszystko jest legalne.

Zezwolenie dla zachodniego przedsiębiorstwa na korzystanie ze sprzętu, który pozwala śledzić ruchy oddziałów, ćwiczenia powietrzne i obiekty wojskowe z równą łatwością jak gromadzenie się śniegu w górach. Amerykanie dokonali cudu, uzyskując takie zezwolenie w Tybecie.

Shan odszukał drogę prowadzącą do kopalni, widoczną jako cienka szara linia przecinająca smugi rzucanych przez szczyty cieni. Znalazł szosę wiodącą na północ, do gompy Saskya, a wreszcie teren robót Czterysta Czwartej. Nowy most był wąską kreską na wijącej się jak wąż wstędze Smoczej Gardzieli.

Usiadł obok Luntoka.

–Byłem we wsi ragyapów – oświadczył.

Mężczyzna obok drgnął i zerknął na Luntoka, który wciąż obojętnie przeglądał mapy. Wreszcie sięgnął po czapkę i wyszedł z budynku.

–Rozmawiałem z Merakiem – powiedział Shan. – Znacie Meraka?

–To mała społeczność – stwierdził krótko Luntok.

–Nielatwe życie.

–Ostatnio ujęto nas w kontyngentach. Dopuszczono mnie na uniwersytet. Mam dobrą pracę.

–Chodziło mi o nich. Widzą ludzi tutaj i w mieście, a przy tym wiedzą, że oni sami w większości nigdy się nie wyrwą ze swojej wsi.

Oczy Luntoka zwięzły się, ale nie podniósł wzroku znad map.

–Ragyapowie są dumni ze swojej pracy. To święty obowiązek, jedyna praktyka religijna, na którą zezwolono bez żadnych restrykcji.

–Wydawali się dobrze zaopatrzeni. Szczęśliwe dzieci. Mnóstwo ciepłych ubrań.

Jak gdyby uwaga ta była sygnałem, na który czekał, Luntok podniósł czapkę i wstał od stołu.

–Ludzie uważają, że jeśli źle zapłacą ragyapie, sprowadzą na siebie pecha – oświadczył, spoglądając na Shana spode łba, po czym odwrócił się i wyszedł.

Że ragyapowie mogli zamordować Jao, było dla Shana pewne. Czy wojskowe dostawy przypadły im w nagrodę? Jeśli tak, to za uśmiercenie prokuratora zapłacił im ktoś z zewnątrz. Ktoś, kto miał władzę nad zaopatrzeniem wojsk. Shan cofnął się i rozejrzał uważnie po pomieszczeniu. Kobieta chrapała. Poza nią nie było tu nikogo. Podeszedł do czerwonych drzwi i otworzył je.

We wnętrzu, w którym się znalazł, dominowały cztery terminale komputerowe. Na wielkim stole konferencyjnym stało kilka misek z makaronem przyklejonym do obrzeża, pozostałości po lunchu. Dwóch Chińczyków w zachodnich ubraniach, jeden z czapeczką baseballową nasuniętą nisko na głowę, siedział, przeglądając błyszczące katalogi i popijając herbatę. Z kosztownego systemu audio płynął zachodni rock and roll. Przy biurku w kącie siedział Tyler Kincaid, czyszcząc swój aparat.

–Towarzysz Shan – dobiegł z głębi pokoju znajomy głos. Li Aidang podniósł się z sofy. – Gdybym tylko wiedział, podwiózłbym was. – Wskazał na stół. – Dwa razy w miesiącu spotykamy się przy lunchu. Rada nadzorcza.

Shan powoli obszedł pokój dookoła. Na głośniku leżało puste pudełko na kasetę. “Szczęśliwy nieboszczyk”, głosiła etykieta. Może, pomyślał bez żalu, tego właśnie słuchał Chang, gdy wraz z samochodem zwał się w otchłań. Li wyjął z małej lodówki puszkę coca-coli i wyciągnął ją w jego stronę.

Na jednej ze ścian wisiały zdjęcia satelitarne. Inną ozdabiała przypięte pinezkami fotografie: studia tybetańskich twarzy, wykonane z tą samą wrażliwością co te, które Shan widział w gabinecie Kincaida. Li podał mu coca-colę.

–Nie wiedziałem, że prokuratura zajmuje się górnictwem – powiedział Shan, odstawiając nietkniętą puszkę na stół.

–Reprezentujemy Ministerstwo Sprawiedliwości. Ta kopalnia jest jedyną

zagraniczną inwestycją w okręgu. Władza ludowa musi mieć pewność, że przedsięwzięcie nie zakończy się fiaskiem. Jest tyle spraw. Organizacja pracy. Licencje eksportowe. Zezwolenia na obrót dewizowy. Zezwolenia na pracę. Wykorzystanie zasobów naturalnych. Wszystko to wymaga zatwierdzenia przez nasze ministerstwo.

–Nie miałem pojęcia, że bór jest tak ważny. Zastępca prokuratora uśmiechnął się wielkodusznie.

–Zależy nam, żeby nasi amerykańscy przyjaciele byli zadowoleni. Jedna trzecia opłat za prawo eksploatacji pozostaje w okręgu. Po trzech latach produkcji będziemy mogli zbudować nową szkołę. Po pięciu być może nową klinikę.

Shan podszedł do jednego z monitorów, bliżej Kincaida. Przez ekran przewijały się kolumny liczb.

–Znacie już naszego przyjaciela, towarzysza Hu – powiedział Li, wskazując na pierwszego z dwóch mężczyzn przy stole. Hu przywitał go taką samą parodią salutu, jaką pożegnał go w biurze Tana. Shan nie rozpoznał go w czapce. Przyjrzał się bliżej dyrektorowi kopalń. Czy Hu był zaskoczony, widząc go tutaj?

–Towarzyszu inspektorze – rzucił Hu oschłym tonem. Przez chwilę świdrował Shana oczami jak żuczki, po czym znów zajął się katalogiem. Ten, który przeglądał, zawierał zdjęcia uśmiechniętych, jasnowłosych par na śniegu, ubranych w swetry o żywych barwach.

–Wciąż udzielacie lekcji jazdy, towarzyszu dyrektorze? – zapytał Shan, starając się wyglądać na zainteresowanego obrazem na ekranie.

Hu roześmiał się.

Li wskazał eleganckiego mężczyznę o wysportowanej sylwetce, który wstał, jak gdyby chciał się lepiej przyjrzeć Shanowi.

–Major jest z dowództwa wojsk pogranicznych. – Li zerknął znacząco na Shana. – Środki, które ma do dyspozycji, okazują się czasem przydatne dla naszego przedsięwzięcia.

Major... i tyle. Wymuskany, jak gdyby wyszedł prosto z katalogu, pomyślał w pierwszej chwili Shan. Ale potem oficer odwrócił się w jego stronę. Lewy policzek przecinała mu długa blizna, jaką mogła zostawić tylko kula. Jego wargi wygięły się w powitalnym uśmiechu, ale oczy pozostały nieruchome. Shan znał tę wyniosłość. Major był człowiekiem bezpieczeństwa.

–Fascynujący obiekt – powiedział w roztargnieniu Shan, wciąż wędrując po pokoju. – Pełen niespodzianek. – Zatrzymał się przed zdjęciami.

–Triumf socjalizmu – zauważył major. Głos miał nieco chłopięcy, co dziwnie kłóciło się z jego wyglądem.

Tyler Kincaid powoli skinął Shanowi głową, ale się nie odezwał. Pół przedramienia pokrywał mu opatrunek nałożony na świeże skaleczenie. Przez gazę prześwitywała plama zaschniętej krwi.

–Towarzysz Shan prowadzi śledztwo w sprawie o morderstwo – wyjaśnił Li majorowi. – Kiedyś prowadził kampanie antykorupcyjne w Pekinie. To on rozpracował słynną aferę wyspy Hainan. – Sprawa ta, w której Shan odkrył, że

miejscowi prominenci kupowali całymi statkami japońskie samochody – dla wyspy, która miała zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów dróg – i kierowali je na czarny rynek na kontynencie, przysporzyła mu na parę miesięcy sławy. Ale to było przed piętnastu laty. Z kim rozmawiał zastępca prokuratora? Z nadzorcą? Z Pekinem?

Shan przyglądał się majorowi, który nie okazał zainteresowania słowami Li. Mimo tak niespodziewanego wtargnięcia, w jego oczach nie było śladu wyzwania, żadnego zdumienia w jego głosie. Od początku wiedział, z kim ma do czynienia.

–To tu właśnie pracuje wasz system telefoniczny? – zapytał Shan Kincaida.

Amerykanin wstał i zmusił się do uśmiechu.

–Tam – powiedział, wskazując wyposażony w głośnik terminal na małym biurku przy ścianie. – Chcesz zamówić pizzę z Nowego Jorku?

Li i major roześmiali się głośno.

–A mapy?

–Mapy? Mamy całą bibliotekę. Atlasy. Czasopisma techniczne.

–Chodzi mi o te z nieba.

–Są niesamowite, prawda? – wtrącił Li. – Kiedy pierwszy raz je zobaczyłem, wydały mi się czymś niewiarygodnym. Świat wygląda na nich zupełnie inaczej. – Podszedł do Shana i nachylił mu się do ucha. – Musimy porozmawiać o naszych aktach, towarzyszu. Do procesu zostało raptem kilka dni. Lepiej byłoby oszczędzić sobie wstydu.

Gdy Shan zastanawiał się, co ma oznaczać propozycja, otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Luntok. Dał Kincaidowi znak skinieniem głowy i natychmiast cofnął się, nie zamykając drzwi. Kincaid przeciągnął się i zapraszająco kiwnął na Shana.

–Popołudniowe zajęcia wspinaczkowe. Masz ochotę poćwiczyć z nami zjazdy?

–Wspinasz się ze zranioną ręką?

–O tym mówisz? – zapytał beztrąsko Amerykanin, unosząc ramię. – Skaleczyłem się na spacerze. Upadłem na ostry kawał kwarcu. Coś takiego nie może mnie powstrzymać. Wiesz, po upadku zawsze trzeba znów dosiąść konia.

Li roześmiał się znowu i wrócił na sofę. Major zapalił papierosa i ostrym jak nóż spojrzeniem wypchnął Shana z pokoju.

Na zewnątrz Shan zobaczył Rebeckę Fowler. Siedziała na masce dżipa, patrząc na dolinę. Sądził, że go nie zauważyła, dopóki nagle się nie odezwała.

–Nie mogę sobie wyobrazić, co to musi dla pana znaczyć – powiedziała.

Czuł się skrępowany jej współczuciem.

–Gdyby nie wysłano mnie do Tybetu, nigdy nie spotkałbym Tybetańczyków.

Odwróciła się do niego ze smutnym uśmiechem i sięgnęła do głębokiej kieszeni swej nylonowej kamizelki.

–Proszę – powiedziała, wyciągając dwie książki w miękkich okładkach. – To tylko dwie powieści, po angielsku. Pomyślałam, że może...

Shan przyjął je z lekkim skłonieniem głowy.

–To miło z pani strony. Brakuje mi angielskiej lektury. – Książki istotnie były skarbem, tyle że zostaną skonfiskowane, gdy tylko wróci do Czterysta Czwartej. Nie miał serca jej tego powiedzieć.

Oparł się plecami o samochód, wpatrując się w otaczające ich szczyty. Śnieżne czapy płonęły w późnym popołudniowym słońcu.

–Nie widzę żołnierzy – zauważył.

Przeniosła wzrok za jego spojrzeniem, ku stawom.

–To nie był mój najlepszy pomysł. Odwołano ich do jakichś pilniejszych zadań.

–Pilniejszych zadań?

–Major miał z tym coś wspólnego.

Shan przeszedł na przód dżipa, rozglądając się po terenie kopalni. Ktoś siedział na jednej z grobli, wpatrując się w góry. Zmrużywszy oczy, dostrzegł, że to Yeshe. Feng siedział na masce ich terenówki. Shan przesunął się nieco i w jego polu widzenia znalazły się tyły zabudowań. Nagle zamarł. Za pierwszym z budynków spostrzegł znajomy pojazd. Czerwony landrower. Jeszcze jeden czerwony landrower.

–Czyj to samochód?

Fowler uniosła wzrok.

–Ten czerwony? Chyba dyrektora Hu.

Przewyciężył pokusę, by pobiec do pojazdu i przeszukać go. Członkowie rady nadzorczej mogli w każdej chwili wyjść z budynku.

–Te landrowery... Czy one wszystkie należą do Ministerstwa Geologii?

–Nie wiem. Nie wydaje mi się. Widziałam, że major też jeździ takim.

Shan skinął głową, jak gdyby spodziewał się takiej odpowiedzi.

–Co pani wie o tym majorze?

–Skurwysyn przy władzy, i tyle. Przeraża mnie.

–Dlaczego znalazł się w waszej radzie nadzorczej?

–Dlatego, że jesteśmy w pobliżu granicy. To był warunek uzyskania zezwolenia na łączność satelitarną.

Shan odniósł dziwne wrażenie, że zna tego człowieka. Ze skurczem w trzewiach przypomniał sobie. Tak właśnie Jigme opisał mężczyznę, który przyszedł po Sungpo. Człowiek z głęboką blizną na twarzy. Jego nazwisko, mówił Jigme, brzmiało Meh Jah.

–Pomyślała pani, że może to nie Hu zależało na zawieszeniu waszej koncesji? – zapytał nagle.

–On podpisał zawiadomienie.

–Musiał je podpisać, jest dyrektorem kopalń, ale mógł to zrobić na polecenie kogoś innego. Albo to jakaś polityczna przysługa.

–Co pan ma na myśli? – zapytała Fowler z nagłym zainteresowaniem.

–Sam nie wiem. – Zniechęcony pokręcił głową. – Oczekuje się ode mnie odpowiedzi na pytania, a tymczasem odkrywam tylko coraz to nowe wątpliwości. – Odwrócił wzrok ku stawom.

Groblą szli wolnym krokiem robotnicy z łopatami i elementami rur. Yeshe i Feng wycofali się w stronę budynku.

–Czy ktoś... czy odprawiliście obrzędy? Dla waszych robotników?

Spojrzała na niego z bolesnym wyrazem twarzy.

–Niemal zapomniałam... to był pana pomysł, prawda? – Oczy wciąż miała niespokojne.

–Nie przypuszczałem, że to się odbędzie tak szybko.

Amerykanka zeskoczyła na ziemię i skinęła na niego. Ruszyła wzdłuż ciągu budynków.

–Kim był ten kapłan? – zapytał Shan.

–Nie wymieniono jego imienia. – Jej głos był cichy jak szept. – Wydaje mi się, że to miała być tajemnica. Był stary. Niesamowity.

–Jak stary?

–Nie stary w sensie wieku. Mógł mieć koło pięćdziesiątki. Ale miał w sobie coś surowego, coś ponadczasowego. Cienki jak patyk. Chyba jakiś asceta.

–Co ma pani na myśli, mówiąc, że był niesamowity?

–Jak gdyby z innej epoki. Te jego oczy. Sama nie wiem. Czasami sprawiał wrażenie, jakby nie widział nikogo. Albo jakby widział coś, czego my nie możemy zobaczyć. I te jego dłonie.

–Dłonie?

–Nie miał kciuków.

Na szczytowej ścianie ostatniego budynku, od strony doliny, wisiała pozszywana z kawałków płachta, kwadrat o boku długości ludzkiego ramienia. Pokrywały ją skomplikowane piktogramy i znaki. Po obu jej stronach stały dwa słupy obwieszane flagami modlitewnymi.

Yeshe dołączył do Shana i Fowler, mrużąc pod nosem coś, co brzmiało jak modlitwa.

–To potężny czar – szepnął. Obronnym gestem uniósł różaniec i cofnął się o krok.

–Co to takiego?– zapytał Shan. Przypominał sobie ten budynek z ostatniej wizyty. Stała tu wtedy, czekając na coś, grupa Tybetańczyków.

–To jest bardzo stare. Bardzo tajemne – odparł niemal bezgłośnie Yeshe.

–Nie – sprzeciwiła się Fowler. – Nie jest stare. Niech pan spojrzy na papier. Jest zadrukowany na odwrocie.

–Chodzi mi o to, że znaki są stare – sprecyzował Yeshe. – Nie potrafię odczytać ich wszystkich. A nawet gdybym umiał, nie wolno by mi było przeczytać ich na głos. Potężne słowa. – Chłopak wydawał się przerażony. – Niebezpieczne. Nie wiem, kto... większość lamów, którzy mogliby zapisać takie słowa, już nie żyje. Nie znam żadnego w Lhadrung.

–Jeśli przybył z daleka, musiał być bardzo szybki – stwierdziła Fowler, spoglądając na Shana.

–Ludzie mówią, że dawni lamowie – szepnął Yeshe, wciąż pod wrażeniem zaklęcia – obdarzeni taką mocą, potrafili latać, odprawiwszy rytuał strzały. Przeskakowali między wymiarami.

Nie, miał na końcu języka Shan, ten czar nie przybył z daleka. Choć może istotnie dotarł tu, przeskakując między wymiarami.

Fowler uśmiechnęła się niepewnie.

–To tylko słowa.

Yeshe pokręcił głową.

–Nie, to coś więcej. Nie można zapisać takich słów, jeśli nie ma się mocy. Właściwie nie chodzi o moc. Raczej o wizję. Dostęp do pewnych sił. W dawnych szkołach mawiano, że gdyby spróbował napisać to ktoś taki jak ja, bez przygotowania... – Zawahał się.

–Tak? – zapytała Fowler.

–Zostałbym rozdarty na tysiąc kawałków.

Shan podszedł do płachty i przyjrzał się jej z bliska.

–Ale co to oznacza? – zapytała Fowler.

–Tu jest mowa o śmierci i o Tamdinie.

Zadrżała.

–Nie – poprawił się Yeshe. – Niezupełnie tak. Trudno to wytłumaczyć. To coś w rodzaju drogowskazu dla Tamdina. Wychwala jego czyny. Jego czyny to śmierć. Ale dobra śmierć.

–Dobra śmierć?

–Śmierć dająca ochronę. Śmierć, która przenosi. Ten czar składa w ofierze siły wszystkich obecnych tu dusz, by pomogły mu otworzyć drogę do oświecenia.

–Mówił pan o śmierci.

–O śmierci i oświeceniu. Starzy mnisi używają czasem tego samego słowa. Jest wiele rodzajów śmierci. Wiele rodzajów oświecenia. – Znów odwrócił się na chwilę do Shana, jak gdyby właśnie uświadomił sobie, co powiedział.

–Wszystkich obecnych tu dusz? – zapytała Fowler. – Nas?

–Przede wszystkim nas – powiedział cicho Shan, podchodząc jeszcze bliżej do magicznego obiektu.

–Nikt mnie nie pytał, czy mam ochotę złożyć swoją duszę w ofierze – próbowała zażartować Fowler. Lecz na jej twarzy nie było uśmiechu.

Shan przesunął palcami po płachcie. Składała się z trzydziestu lub czterdziestu małych arkusików pozszywanych nicią skręconą z ludzkich włosów. Nie musiał zaglądać pod spód, by wiedzieć, że arkusiki pochodziły z bloczków strażników Czteryista Czwartej. Widział, jak powstawało to zaklęcie.

–I to wszystko, co zrobił ten kapłan? – zapytał.

–Nie. Było coś jeszcze. Kazał im zbudować kapliczkę na górze. – Wskazała kamienny kopiec, który Shan zauważył po drodze. – Muszę tam pójść dzisiaj w nocy.

–Dlaczego pani? Dlaczego w nocy?

W odpowiedzi zaprowadziła ich do noclegowni dla robotników. Przedsiónek wyglądał na świetlicę, był jednak opustoszały. Regały wypełnione były układankami, książkami i kompletami szachów. Stoły i krzesła odsunięto pod ściany. W pustej puszcze po konserwie paliło się kadzidło. Na środku stał samotnie mały stolik. Spoczywało na nim zawiniątko otoczone migoczącymi lampkami maślanymi.

–Luntok znalazł ją przy jednym ze stawów – powiedziała Fowler. – Tam, gdzie upuścił ją sęp. Z początku myśleliśmy, że to ludzka.

–Luntok?

–On pochodzi z jednej z tych starych wiosek, gdzie robią... wie pan, podniebne pogrzeby. Nie boi się takich rzeczy.

–Czy on zna dyrektora Hu? – zapytał Shan. – Albo majora? Czy kiedykolwiek rozmawiał z nimi?

–Nie wiem – odparła z roztargnieniem Amerykanka. – Nie sądzę. Wydaje mi się, że jest taki sam jak większość robotników. Urzędnicy państwowi przerażają ich.

Shan chciał drążyć dalej, zapytać, jak Luntok trafił do pracy w kopalni, ale ona zdawała się już go nie słyszeć. Smętnym wzrokiem wpatrywała się w zawiniątko.

–Robotnicy mówią, że musimy zwrócić ją dziś w nocy – powiedziała łamiącym się głosem. – Twierdzą, że to jest zadanie naczelnika wioski. I że tutaj to ja jestem naczelnikiem.

Shan podszedł i otworzył zawiniątko. W środku znajdowała się odcięta dłoń, wielka, sękata dłoń o długich, groteskowo nieproporcjonalnych palcach zakończonych szponami pokrytymi misternie zdobionym srebrem.

Dłoń demona.

ROZDZIAŁ 12

I

Bezkresny, dziki płaskowyż Kham leżał nie tylko na dachu świata, ale i, zdawało się, na samych jego krańcach. Była to ziemia opierająca się wszelkim próbom oswojenia, wszelkim wysiłkom jej ujarznienia, ziemia niepodobna do żadnej, jaką Shan znał dotychczas. Wiatr dął nieustannie nad rozległym pustkowiem, przewalając po niebie mozaikę ciężkich chmur i świetlistych skrawków błękitu. Gdy sierżant Feng zatrzymywał samochód, a robił to często, by rzucić okiem na mapę, do uszu Shana docierały urwane, nierozpoznawalne dźwięki, jak gdyby wiatr unosił z sobą strzępy ludzkich głosów, dziwne, poszarpane, niby dobiegające z oddali krzyki bólu. Były miejsca, wierzyli niektórzy ze starych mnichów, które jak filtry wychwytywały nieszczęścia świata, zatrzymywały błędzące po ziemi cierpienia. Może tu właśnie było jedno z nich, pomyślał Shan, miejsce, gdzie gromadziły się krzyki i zawodzenia ludzkich rzesz cierpiących w dole, a wiatr zbijał je w kłębki i turlał niczym kamyczki w rzece.

Dopiero po sześciu godzinach jazdy zadzwonił do Tana z obskurnego, krytego blaszanym dachem warsztatu tuż przy granicy okręgu.

–Gdzie jesteście? – zapytał Tan.

–Co wam wiadomo o poruczniku Changu z Czterysta Czwartej?

–Do diabła, Shan, gdzie wy się podziewacie? Powiedziano mi, że znów wyjechaliście przed świtem. Feng w ogóle nie zadzwonił.

–Prosiłem go, żeby tego nie robił.

–Wy go prosiliście?!

Oczywiście wyobraźni Shan widział niemal, jak usta Tana wykrzywają się gniewnie.

–Dajcie mi go – warknął zimno pułkownik.

–Chang był oficerem straży więziennej. Chciałbym znać jego wcześniejsze stanowiska.

–Nie mieszajcie moich oficerów do...

–On próbował nas zabić.

W słuchawce słychać było oddech Tana.

–Opowiedzcie mi – padła ostra odpowiedź.

Shan wyjaśnił, jak pojechali wskazanym przez Changą skrótem i jak okazało się, że omal nie wpadli w zasadzkę.

–Musicie się mylić. On jest oficerem ALW. Służy w Czterysta Czwartej. Nic związanego z prokuratorem Jao. To nie miałyby sensu.

–Świetnie. W takim razie spróbujcie odszukać go w Czterysta Czwartej. Potem być może zechcecie przejechać się jego skrótem na Szponie Północnym. To stary szlak na północ, trzy kilometry od rozwidlenia dróg. Ze szczytu urwiska będzie widać wrak. Nie mówiliśmy nikomu innemu. Do tej pory powinny już być tam sępy. One wskażą wam miejsce.

–I czekaliście tak długo, żeby mnie o tym powiadomić?

–Z początku nie byłem pewien. Jak sami powiedzieliście, on był z armii.

–Nie byliście pewni? Czego?

–Czy nie wy to zorganizowaliście. – Po drugiej stronie znowu zapadła cisza. – To mogłoby być kuszące – podsunął Shan – gdybyście zdecydowali się nie kontynuować odrębnego śledztwa.

–Co sprawiło, że zmieniliście zdanie? – zapytał rzeczowo Tan, jak gdyby uznając ten argument.

–Myślałem nad tym całą noc. Nie wierzę, żebyście zdecydowali się zabić sierżanta Fenga.

Usłyszał w słuchawce stłumioną rozmowę. Tan rzucił kilka poleceń pani Ko. Gdy ponownie się odezwał, miał odpowiedź.

–Chang był wczoraj na przepustce. Zrobił to w czasie wolnym od służby.

–Więc postanowił nas zabić sam z siebie? Ot tak, dla rozrywki?

Tan westchnął.

–Gdzie jesteście?

–Każdy inny trop jest zimny. Mam zamiar odszukać kierowcę Jao. Myślę, że on żyje.

–Opuście okręg, a będziecie uciekinierem.

Shan opowiedział o znalezionych w garażu aktach, wyjaśniając, dlaczego wynikało stąd, że musi szukać Białego.

–Gdybym poprosił o zezwolenie, nie obeszloby się bez przygotowań. Wiadomość mogłaby przedostać się na wschód, do pasterzy. Wszelkie szanse znalezienia Białego zostałyby zaprzepaszczone.

–Prokuratury też nie powiadamialiście.

–Ani słowem. To moja działka.

–Więc Li nie wie.

–Przyszło mi na myśl, że pożyteczniej byłoby porozmawiać z kierowcą Jao bez asysty zastępcy prokuratora.

Po stronie Tana zapadło milczenie. Pułkownik najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. Shan postanowił wspomnieć mu o ręce. Dzwonił z publicznego telefonu, mało prawdopodobne, aby był on na podsłuchu. Dłoń demona, która tak przeraziła robotników Rebecki Fowler, była kunsztownej roboty. Przy pobieżnych oględzinach łatwo można by ją wziąć za wysuszony szczątek stworzenia z krwi i kości. Ale Shan pokazał Amerykance wiązadła, precyzyjnie wykonane ze skóry naszytej na miedziane płytki. Różowa dłoń pokryta była wyblakłym czerwonym jedwabiem. Gdy ją uniósł, palce obwisły bezwładnie, pod dziwnymi kątami.

–Mówicie, że znaleźliście część kostiumu Tamdina – skwitował sztywno Tan.

–Tego, który według dyrektora Wena nie istnieje. – Shan zanotował już sobie, żeby sprawdzić zestawienia sporządzone przez Urząd do spraw Wyznań.

–Może uchował się gdzieś w ukryciu.

–Nie wydaje mi się. One były tak rzadkie, tak cenne, że wszystkie zostały zinwentaryzowane.

–Co to oznacza?

–To oznacza, że ktoś kłamie.

Znowu zapadła cisza.

–W porządku. Jeśli kierowca żyje, sprowadźcie go z powrotem. Daję wam czterdzieści osiem godzin. Jeśli nie wrócicie w tym czasie, napuszczę na was Urząd Bezpieczeństwa – warknął i odłożył słuchawkę.

Patrole. Jeśli sprawy potoczą się źle, Tan zawsze może zrezygnować z dochodzenia. Li oskarży Sungpo, sprawa zostanie zamknięta, a na Czteryście Czwartą spadnie zasłużona kara. Tan mógłby przerwać śledztwo, zwyczajnie ogłaszając Shana uciekinierem. Patrol Urzędu Bezpieczeństwa musiałby dostarczyć tylko tatuaż z jego ramienia.

Co więcej, jeżeli miną pełne dwie doby, zostaną mu jeszcze tylko cztery do dnia, w którym Sungpo ma stanąć przed trybunałem. Dwie doby. Balti z klanu Dronma miał tydzień, by zaszyć się w Kham. Ale przed Shanem stało nie tyle niewykonalne zadanie odnalezienia samotnego człowieka na przestrzeni 240 000 kilometrów kwadratowych najbardziej niegościnnego terenu na północ od Antarktydy, ile niezwykle trudne zadanie odszukania klanu Baltiego. Dla khampy najbezpieczniejszym miejscem zawsze będzie jego ognisko rodzinne.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, Shan odwrócił się do Yeshego.

–Jestem ci wdzięczny. Za ragyapów.

–To nie było trudne, kiedy już zobaczyłem te wszystkie wojskowe skarpetki.

–Nie o to mi chodzi. Dziękuję, że nie powiedziałaś nadzorcy. To postawiłoby cię w dobrym świetle, miałbyś pochlebną notę w życiorysie. Być może dzięki temu daliby ci papiery podrózne.

Yeshe spojrział przez okno na bezkresny płaskowyż przesuwany się przed ich oczami.

–Oni zrównaliby tę wioskę z ziemią. Te wszystkie dzieci... – Wzdrygnął się. – Poza tym może się mylę. Może dostali to legalnie. Może – powiedział, odwracając się do Shana -jako zapłatę za czary.

Shan powoli skinął głową.

–Od wojskowego, który boi się, że obraził Tamdina? – zastanowił się głośno, po czym podał Yeshemu kopertę za zdjęciami z jaskini czaszek, którą otrzymał od Rebecki Fowler. – Rzuć na to okiem.

Yeshe otworzył kopertę.

–Czego mam szukać?

–Przede wszystkim schematu. Ja nie potrafię czytać starych tybetańskich tekstów. Czy to są tylko imiona?

Yeshe zmarszczył czoło.

–To proste. Są uszeregowane według dat w tradycyjnym kalendarzu tybetańskim – odparł, mając na myśli wprowadzony przed tysiącleciem system sześćdziesięcioletnich cykli. – Tabliczka przed każdą czaszką podaje rok i imię. Pierwsza... – przysunął się ze zdjęciem do okna, by mu się przyjrzeć w świetle słońca -...pierwsza jest z roku Ziarnego Konia w dziesiątym cyklu.

–Kiedy to było?

–Dziesiąty cykl rozpoczął się w połowie szesnastego wieku. Rok Ziarnego Konia jest pięćdziesiątym drugim rokiem cyklu. – Urwał i rzucił Shanowi znaczące

spojrzenie.

Shan przypomniał sobie puste półki. Świątynia musiała powstać dużo wcześniej niż w szesnastym wieku.

Yeshe podniósł kilka następnych zdjęć.

–Dalej idzie po kolei. Dziesiąty cykl, rok Żelaznej Małpy, rok Drewnianej Myszy, dziesięć czy dwadzieścia dalszych czaszek, potem jedenasty cykl.

–Więc dałoby się stwierdzić, co się stało z tą, którą usunięto, żeby zrobić miejsce dla Jao.

–Dlaczego nie miałyby zostać po prostu wyrzucona?

–Prawdopodobnie tak właśnie się stało. Chcę się upewnić.

Feng zwolnił, by przepuścić stado owiec prowadzone przez dwóch małych chłopców pilnujących swych podopiecznych nie z pomocą psów, ale proc. Patrząc na przechodzące zwierzęta, oczyma wyobraźni Shan ciągle widział przed sobą dłoń. Jej uszkodzenia były większe, niż mogły powstać, gdyby ją tylko obcięto, czy nawet gdyby upuścił ją lecący sęp. Delikatne zawiasy w stawach palców zostały zmiażdżone. Koniuszki palców zgnieciono, niszcząc ich filigranowy ornament. Ktoś roztrzaskał ją umyślnie, może w walce z Tamdinem. A może w gniewie, by uczynić kostium niezdatnym do użytku. Czy to Balti uszkodził tę dłoń, walcząc z demonem? Czy zrobił to Jao, zmagając się z nim na górskim zboczu?

Feng zatrzymywał od czasu do czasu wędrujących samotnie pasterzy, pytając o klan wymieniony w oficjalnych papierach Baltiego, o klan Dronma. Odpowiadali nieufnie, przyglądając się pistoletowi u pasa sierżanta. Większość na widok zwalniającej terenówki wyciągała z zanadru dokumenty, machając rękoma przed twarzą na znak, że nie mówią po mandaryńsku.

–Mam! – wykrzyknął nagle Yeshe, kiedy ruszali po piątym takim przystanku.

Shan odwrócił się gwałtownie.

–Czaszkę?

Chłopak z podnieceniem skinął głową, podsuwając mu jedno ze zdjęć.

–Czaszki wokół jedyne pustego miejsca pochodzą z końca czternastego cyklu. Rok Żelaznej Małpy po jednej stronie, potem rok Drewnianego Wołu, pięćdziesiąty dziewiąty rok, po drugiej. To jakieś sto czterdzieści lat temu. Ostatnia w kolejności czaszka ma osiemdziesiąt lat, z roku Ziemi Owcy z piętnastego cyklu. Ale po niej, na samym dole, jest jeszcze jedna. Czternasty cykl, rok Wodnej Świni.

Spojrzał na Shana z triumfalnym błyskiem w oku.

–Wodna Świnia to pięćdziesiąty siódmy rok cyklu, między Żelazną Małpą a Drewnianym Wołem! – Pokazał zdjęcia Shanowi, wskazując tybetańskie oznaczenia lat. Brakująca czaszka razem z tabliczką i lampkami, została umieszczona z szacunkiem na ostatniej półce.

Podniecenie odkryciem nie trwało długo. Spojrzeli po sobie z zakłopotaniem. Czaszki nie przestawił rabuś ani rozjuszony zabójca. Coś takiego mógłby zrobić mnich, prawdziwy wyznawca.

Feng znów zwolnił, by zagadnąć mijanego starca. Wędrowiec zareagował na jego pytanie, wyciągając postrzępioną mapę regionu. Pochodziła najwyraźniej z przemytu,

gdyż zaznaczono na niej tradycyjne granice Tybetu, i Shan szybko się przesunął, by zasłonić ją przed wzrokiem Fenga.

–Bo Zhai – powiedział starzec, wskazując region około osiemdziesiąt kilometrów na wschód. – Bo Zhai. – Shan w podzięcie dał mu pudełko rodzynek ze spakowanych spieszenie przez Fenga zapasów. Mężczyzna wydawał się zaskoczony. Wpatrywał się niemo w pudełko, po czym dumnym, wyzywającym gestem przeciągnął dłonią nad rozległą wschodnią połową mapy. – Kham – oświadczył i odszedł kozią ścieżką w swoją stronę.

Większa część wskazanego terytorium została rozdzielona przez Pekin pomiędzy sąsiednie prowincje. Tak więc w prowincjach Gansu, Qinghai, Sichuan i Yunnan zamieszkiwało sporo Tybetańczyków. W Sichuanie wydzielono Tybetańską Prefekturę Aba, Tybetańską Prefekturę Garze i Tybetański Okręg Muli. Była to subtelna metoda niszczenia koczowniczego trybu życia pasterzy z Kham: zezwoleń na stały pobyt nie przyznawano nigdy na więcej niż jeden okręg naraz, a papiery podrózne rzadko były takim ludziom wydawane. Była to także kara za wyraźne antysocjalistyczne zapatrywania mieszkańców tego regionu. Partyzanci z Kham walczyli z Armią Ludowo-Wyzwoleńczą dłużej i bardziej zawzięcie niż jakakolwiek inna mniejszość narodowa w całych Chinach. Nawet do Czterysta Czwartej docierały opowieści o buntownikach wciąż jeszcze grasujących we wschodnich pasmach górskich, blokujących drogi i atakujących małe patrole, po czym znów znikających w niedostępnych górach.

Było już popołudnie, kiedy dotarli do biura spółdzielni rolniczej Bo Zhai, zespołu lichych budynków z bloków żużlobetonu i blachy falistej, wokół których ciągnęły się pola jęczmienia. Pełniąca dyżur kobieta, najwyraźniej nienawykła do niezapowiedzianych gości, mierzyła przybyszów niespokojnym wzrokiem.

–Przyjmujemy wycieczki podczas żniw – podsunęła. – Z Ministerstwa Rolnictwa.

–To jest śledztwo – wyjaśnił cierpliwie Shan, wyciągając kartkę z nazwą klanu Baltiego.

–Jesteśmy tylko ciemnymi pasterzami – odparła nazbyt potulnie. – Mieliśmy tu kiedyś chuligana z Lhasy. Ukrywał się na wzgórzach. Takimi sprawami zwykle zajmuje się miejscowa milicja.

Na ścianie za jej plecami wisiał wyblakły plakat przedstawiający młodych proletariuszy z dumnie wzniesionymi pięściami. “Zniszczyć Cztery Przeżytki”, głosił napis u dołu. Była to kampania z okresu rewolucji kulturalnej. Cztery Przeżytki oznaczały ideologię, kulturę, zwyczaje i obyczaje. Oddziały Czerwonej Gwardii wpadały do domostw mniejszości narodowych i niszczyły ich tradycyjne stroje – często dziedzictwo przekazywane z pokolenia na pokolenie – paliły meble, a nawet obcinały kobietom warkocze.

–Nie mamy czasu – oświadczył Yeshe.

Kobieta przyglądała mu się pustym wzrokiem.

–Macie rację, to prawda – potwierdził Shan. – W naszym wypadku powinniśmy poinformować Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, że czekamy tutaj. Centrala urzędu skontaktowałaby się z Ministerstwem Rolnictwa, które z kolei zwróciłoby się

do urzędu o asystę kompanii żołnierzy. Pozwolicie, że skorzystam z waszego telefonu.

Jej twarz natychmiast złagodniała.

–Po co niepotrzebnie trwonić państwowe środki? – powiedziała z westchnieniem. Wzięła od Shana notatkę i wyciągnęła postrzępiony rejestr. – To nie w naszej jednostce produkcyjnej. Nie mamy tu klanu Dronma – oświadczyła po paru minutach.

–Ile jest wszystkich jednostek?

–W tej prefekturze siedemnaście. Potem możecie sprawdzić prowincje Sichuan, Gansu i Qinghai. Poza tym są jeszcze wywrotowcy w górach. Ci stale uchylają się od rejestracji.

–Nie – wtrącił się Yeshe. – On nigdy nie zostałby dopuszczony do tej pracy, gdyby jego rodzina nie była zarejestrowana.

–I jego dokumenty – dodał Shan. – Raczej nie przeniesiono by ich z innej prowincji.

–To prawda. – Yeshe rozpromienił się. – Czy ktoś tu ma pełną ewidencję ludności, tylko tej prefektury?

–Decentralizacja podnosi wydajność. – Kobieta mówiła teraz znajomym antyseptycznym głosem, tym przeznaczonym dla obcych, pozwalającym ukryć się za sloganami z transparentów i zasłyszczanymi przez megafony hasłami.

–Słyszałem też, że powinniśmy przestać się martwić, czy kot jest czarny, czy biały – zauważył Shan. – Byleby dobrze łapał myszy.

–Nie mamy uprawnień, żeby trzymać takie wykazy – powiedziała nerwowo kobieta. – Odpowiedni urząd jest w Markam. Tam będą je mieli.

–Jak to daleko?

–Szesnaście godzin. Jeśli nie ma lawiny błotnej. Albo powodzi. Albo manewrów wojskowych. – Zmarszczyła czoło i podeszła do zakurzonego regału w głębi pomieszczenia. – Wszystko, co mam, to nazwiska członków zespolonych jednostek roboczych, którzy byli nagradzani za wydajność. Przynajmniej w ciągu ostatnich pięciu lat. – Wręczyła Yeshemu stos zakurzonych, spiętych spiralą ksiąg.

–To jak szukanie ziarnka ryżu... – zaczął Yeshe.

–Nie. Może nie – odparła, po raz pierwszy zapalając się do tego zadania. – Większość starych klanów została przydzielona do jakichś sześciu kolektywów. Uznano, że stanowią szczególne zagrożenie polityczne i wymagają ściślejszego nadzoru. Wy szukacie właśnie takiego klanu.

–A jak już znajdziemy właściwy kolektyw?

–Wtedy zaczniecie właściwe poszukiwania. Jest wiosna. Okres wędrówek stad.

W pół godziny znaleźli trzy kolektywy, do których należeli członkowie klanu Dronma. Jeden był oddalony o trzysta kilometrów. W drugim, niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów od nich, telefon odebrano po dwudziestu dzwonekach. Mężczyzna, który podniósł słuchawkę, rozpoznał nazwę.

–To stary klan. Niewielu ich zostało. Trzymają się blisko stad. Zbierają inwentarz. – Mówił z wytwornym szanghajskim akcentem, który wydawał się nie na miejscu. – Tylko sześciu dorosłych pracowników. Trzej powyżej sześćdziesiątki. Inny stracił

nogę, przygniół go koń.

Człowiek z trzeciego, odległego zaledwie o dwadzieścia cztery kilometry, oświadczył, że klan Dronma jest u nich liczny jak owce na wzgórzach.

Shan przestudiował mapę, zaznaczając położenie wszystkich trzech jednostek produkcyjnych. Mieli czas, by sprawdzić tylko jedną z nich.

Wyszedł na dwór, jak gdyby wiatr mógł przynieść mu odpowiedź. Drogą przejeżdżała staruszka na kucu, trzymając w ramionach prosiaka niczym niemowlę. Nagle Shan drgnął i wpadł z powrotem do budynku.

–Jedziemy tu – oświadczył, wskazując na mapie drugi kolektyw.

–Ale słyszałeś, co powiedzieli – zaprotestował Yeshe. – Tam jest ich tylko kilku.

–Buty – wyjaśnił Shan. – Nie mogłem pojąć, dlaczego Balti miał pod łóżkiem dwa lewe buty.

Trzy godziny później, kiedy zbliżali się do obdrapanych budynków należących do kolektywu, sierżant Feng gwałtownie zahamował, pokazując coś palcem. Przy ogrodzeniu stał helikopter z emblematem wojsk pogranicznych, strzeżony przez żołnierza z karabinem automatycznym.

–Gratulacje – mruknął. – Twój domysł został potwierdzony.

Yeshe zaczął coś mówić, lecz urwał, gwałtownie wciągając powietrze. Shan przeniósł wzrok za jego spojrzeniem. Pośrodku zabudowań stał Li Aidang, podparty pod boki, jak wódz na polu bitwy. W głębi, za sterami helikoptera, Shan spostrzegł znajomą twarz w okularach przeciwsłonecznych. Major. Nagle uświadomił sobie, że przy całej swej pyszałkowatości Li, jak tylu innych, mógł być po prostu jeszcze jednym pionkiem.

Zastępca prokuratora powitał Shana protekcyjnym uśmiechem.

–Jeśli on żyje, najpóźniej jutro w południe będę go miał w celi przesłuchań – oświadczył chępliwie. Nie czekając na pytanie, wyjaśnił: – To było bardzo proste. Uświadomiłem sobie, że kierowca tak wysokiego urzędnika musiał być dokładnie sprawdzany. W komputerach Urzędu Bezpieczeństwa są dane na temat całego jego życia.

Shan sprawdzał kiedyś, jak wydano miliardowe sumy wyasygnowane przez Pekin na centralne systemy komputerowe. Większą ich część przeznaczono na potrzeby Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Był to tak zwany Projekt 300 Milionów. Shan sądził początkowo, że nazwa ta odnosi się do funduszu przewidzianego na to przedsięwzięcie, okazało się jednak, że chodzi o liczbę obywateli jednocześnie poddawanych analizie przez bezpiekę. Próbował przekonać sam siebie, że jest to wydajność godna pochwały. Dopóki nie odkrył na liście własnego nazwiska.

–Więc on tu jest?

–To kolektyw jego rodziny. Chociaż nie widziano go tu od roku, może dwóch.

–On ma tu rodzinę?

–Są na wysokim płaskowyżu – odparł Li, wskazując na północ. – Ganiają za jakami i owcami.

–W takim razie można by go tu sprowadzić – podsunął Shan. – Poślijcie po niego jakiegoś znajomego z kolektywu.

–To niemożliwe – stwierdził krótko Li. – On musi znaleźć się pod naszym nadzorem. Zostanie aresztowany i przewieziony do Lhadrung.

–Nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów, tylko domysły.

–Żadnych dowodów? Widzieliście, co było w jego mieszkaniu. Wyraźne powiązania z chuligaństwem.

–Mały budda i plastikowy różaniec?

–On uciekł. Zapominacie, że on uciekł.

–Skąd macie pewność, że on jest tutaj? Jak mi się zdawało, mówiliście, że uciekł limuzyną do Sichuanu. W Kham nie miałyby z niej żadnego pożytku.

–To dziwne pytanie.

–Dlaczego? – zapytał Shan.

–Przecież sami go tutaj szukacie.

Shan spojrzał na helikopter.

–Jeśli polecicie go aresztować, on zagrzebie się w górach.

–Zapominacie, że ja znam Baltiego. Zareaguje lepiej, widząc znajomą twarz.

Shan spojrzał uważnie na zastępcę prokuratora. Balti, jak zdawał sobie sprawę, mógł nie przeżyć aresztowania przez Li i majora. Khampowie rzadko poddawali się bez walki. A gdyby Balti zginął, Shan nigdy by sobie tego nie wybaczył. Coś mówiło mu, że Li zwrócił uwagę na kierowcę Jao tylko dlatego, że to on się nim zainteresował. Ale kto mógł mu powiedzieć?

Z dreszczem obejrzał się za siebie i zobaczył Yeshego rozmawiającego z majorem obok helikoptera. Major był ożywiony. W podnieceniu potrząsał kartką papieru przed Yeshem, który wyglądał na bliskiego łez, wreszcie dźgnął palcem powietrze, celując w chłopaka. Yeshe cofnął się gwałtownie, jakby uderzony. Major, rzuciwszy ostatnie przekleństwo, przedarł kartkę na pół i wspiął się z powrotem do maszyny. Li, także przyglądający się tej scenie, westchnął z rozczarowaniem.

–Zanim wrócicie, przesłuchanie Baltiego będzie już zakończone – oświadczył lodowato. – Sporządzimy szczegółowe notatki do waszej wiadomości. – Odszedł szybkim krokiem ku helikopterowi i wspiął się na pokład.

Milcząc, Shan, Yeshe i Feng przyglądali się, jak helikopter znika za górami.

–Zniszczyłeś go – odezwał się oskarżycielskim tonem Yeshe.

–Nie ja ich tu zaprosiłem – odparł cierpko Shan.

–Ja też nie – wyszeptał Yeshe, wciąż obserwując horyzont. – Ta stara kobieta ze strychu spodziewa się, że pomogę Baltiemu.

Shan nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Miał właśnie o to zapytać, gdy Yeshe odwrócił się do niego z głębokim bólem w oczach.

–On proponował mi pracę – powiedział głucho. – Akurat teraz. Miał już gotowe zezwolenie, wypisane na moje nazwisko, na prawdziwą pracę, urzędnika w biurze Urzędu Bezpieczeństwa w Lhasie, może nawet w Sichuanie. Były już na nim podpisy.

–Odmówiłeś mu?

Yeshe spojrzał w ziemię. Na jego twarzy malowała się udręka.

–Powiedziałem, że w tej chwili jestem zajęty.

–Gównu tam powiedziałeś! – parsknął Feng.

–Odrzekł, że albo zdecyduję się zaraz, albo mogę o tym zapomnieć. Prosił, żebym przyniósł twoje notatki ze śledztwa. Powiedziałem mu, że jestem zajęty. – Szukał czegoś w oczach Shana, ale Shan nie wiedział, co mógłby mu dać. Aprobata? Współczucie? Strach?

–Czasami – ciągnął Yeshe – w tych paru ostatnich dniach, myślę, że może to prawda, co powiedziałaś. Że niewinni ludzie poniosą śmierć, jeśli czegoś nie zrobimy.

W oczach Fenga, gdy zwrócił wzrok na Yeshego, pojawił się jakiś nowy wyraz. Przez chwilę Shanowi zdawało się, że to duma.

–Znałem tego małego Baltiego – odezwał się nagle sierżant. – On nigdy nikogo nie skrzywdził.

Shan uświadomił sobie, że obaj patrzą na niego wyczekująco.

–W takim razie musimy go znaleźć, zanim oni to zrobią – oświadczył, otwierając tylne drzwi terenówki. Przetrzęsłszy stertę szmat, wyciągnął wystrzępioną koszulę i przymierzył ją do barków Fenga.

Był już wieczór, kiedy przebywszy długie, coraz wyższe pasma górskie, pnące się ku wysokiemu płaskowzgórzu niczym osiemdziesięciokilometrowe gigantyczne schody, natrafili na jeden z obozów koczowników. Gdy tylko wjechali na płaskowyż, w oddali wyłoniły się przed nimi trzy namioty, nie zwrócili jednak uwagi na niskie, szare kształty, biorąc je za sterczące skały, póki nie zauważyli obok nich długiego szeregu kóz, splecionych razem za rogi na czas dojenia. Paliki i skórzane rzemienie mocujące do ziemi przysadziste namioty z jaczej sierści przydawały im wyglądu splecionych głazów, zerodowanych przez tłukące w nie od stuleci wichry.

Zatrzymali samochód pięćdziesiąt metrów od obozu i poszli w stronę namiotów. Długa koszula okrywała mundur i pistolet Fenga.

Nie było widać żadnych ludzi. Za namiotami powiewały flagi modlitewne. Maselnice stały beczynn timer. Obok namiotów leżały stosy suszonego łąjna. Za obozem małe stadko jaków skubało wiosenną trawę. Koza z zawiązaną na uchu wstążką pasła się bez pęt. Została wykupiona. U wejścia do największego namiotu wisiała czaszka owcy, pod nią zaś rama z wierzbowych prętów, na której rozpięto splecione w geometryczne wzory pasma przędzy. Takie same wzory splatali z wysnutych z koców nici khampowie w Czteryista Czwartej. Była to pułapka na duchy.

Między kozami zaszczekał pies. Uwiązany szczeniak wyskoczył naprzód, przewracając maselnicę. Z tłumoka wełny przy pierwszym namiocie dobiegł płacz dziecka i w jednej chwili z namiotu wysypali się jego mieszkańcy. Najpierw pojawili się dwaj mężczyźni, jeden w wołkowej kamizelce, drugi w ciężkiej chubie, grubym płaszczu z owczej skóry, ulubionym przez tybetańskich koczowników. Za nimi Shan dostrzegł kilka kobiet w tunikach uszytych z różnorodnych skrawków; sadza i brud zgasiły niegdyś żywe kolory ich ubrań. Mały chłopczyk, nie więcej niż trzyletni, z podbródkiem i ustami umazanymi jogurtem, wysunął się do przodu.

Mężczyzna w kamizelce, o ogorzalej, porytej zmarszczkami twarzy, niechętnie skinął im głową, po czym zniknął w namiocie i po chwili wynurzył się stamtąd z zabrudzoną, wypchaną papierami kopertą. Wyciągnął ją w stronę Shana.

–Nie prowadzimy kontroli urodzin – powiedział zakłopotany Shan.

–Kupujecie wełnę? Już za późno. Wełna była miesiąc temu. – Mężczyźni brakowało połowy zębów. Ścisnął zawieszony na szyi srebrny gau.

–Nie przyszliśmy po wełnę.

Feng wyjął z kieszeni cukierki w celofanie i wyciągnął go w stronę dziecka. Chłopiec zbliżył się ostrożnie, porwał go i odbiegł między dwóch mężczyzn. Pasterz w chubie odebrał mu cukierka, powąchał go, dotknął językiem, po czym zwrócił chłopcu. Malec z radosnym kwikiem popędził do namiotu. Mężczyzna skinął głową, jakby na znak wdzięczności, lecz podejrzliwość nie zniknęła z jego twarzy. Odstąpił w bok i gestem zaprosił ich do środka.

Wewnątrz było zaskakująco ciepło. Przy jednej ze ścian urządzono umywalnię, osłoniętą płachtą tkaniny z jaczej sierści, takiej samej, z jakiej wykonano pokrycie namiotu. Wiekowy dywan, niegdyś czerwono-żółty, teraz – spłowiały i przybrudzony – w odcieniach brązu, służył mieszkańcom za podłogę, łóżka i krzesła. Pośrodku stał żelazny trójnóg, na którym, ponad tłącymi się polanami, spoczywał ogromny kocioł. Na składanym drewnianym stoliku, łączonym kołkami i zawiasami dla łatwego demontażu przy przenoszeniu obozu, stały dwa naczynia na kadzidło i mały dzwonek. Ich ołtarz.

Przy ołtarzu, jak gdyby spodziewając się znaleźć tam ochronę, tłoczyło się dziesięcioro khampów, ostrożnych jak jelenie. Sześć kobiet i czterech mężczyzn, najwyraźniej należących do czterech pokoleń, ubranych w grube, brudne, wełniane spódnice i fartuchy w wyblakłe czerwono-brązowe paski oraz ciężkie chuby, które wyglądały, jakby miały za sobą wiele burzliwych lat. Przed grupę wysunęło się dziecko, może sześćioletnie, przyodziane w kawał jaczego runa, udrapowany wokół ciała i przewiązany w talii sznurkiem. Jedna z kobiet przyciągnęła je do siebie, z desperacją spoglądając na Shana. Jediną ozdobę kobiet stanowiły naszyjniki z małych srebrnych monet poprzedzielanych czerwonymi i niebieskimi paciorkami. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, mieli okrągłe twarze z wystającymi kośćmi policzkowymi, inteligentne i przerażone oczy, skórę brudną od dymu, zgrubiałe od odcisków ręce. W głębi namiotu stała oparta o pał wąż, siwowłosa staruszka.

W martwej ciszy khampowie i przybysze spoglądali na siebie poprzez zadymione wnętrza. Do namiotu wszedł mężczyzna w kamizelce, niosąc w ramionach niemowlę, wciąż opatulone w wełniany kokon, i rzucił jedno słowo. Grupka khampów powoli się rozproszyła. Mężczyźni zasiedli wokół paleniska, kobiety wycofały się ku trzem masywnym kłodom, na których spoczywał ich sprzęt kuchenny. Mężczyzna, najwyraźniej przywódca klanu, ruchem ręki zaprosił gości, by usiedli na dywanie. Kobiety odłupały parę kawałków z wielkiego bloku czarnej herbaty i wrzuciły je do kociołka. Nie wiedząc, jak zagaić rozmowę, ale wierni tradycjom gościnności, mężczyźni zaczęli opowiadać o swych stadach. Owca urodziła trojaczki. Maki rosną gęsto na południowych zboczach, powiedział jeden z nich, a to znaczy, że młode tego roku będą silne. Inny zapytał, czy goście nie przywieźli przypadkiem soli.

–Szukam klanu Dronma – odezwał się Shan, przyjmując czarkę maślanej herbaty. Na stole zauważył ramkę na zdjęcie, leżącą fotografią do dołu, jak gdyby przewróconą w pośpiechu. Nachylając się ku niej, spostrzegł, że poruszają się

plachty oddzielające tył namiotu.

–Wiele jest klanów w górach – odparł jeden ze starych. Zawołał o więcej herbaty, jakby chciał odwrócić uwagę Shana.

Shan podniósł zdjęcie. Jedna z kobiet krzyknęła w dialekcie khampów. Młodszy mężczyźni sprężyli się. Fotografia wystawała na cal z ramki. Przedstawiała przewodniczącego Mao. Spod spodu wзираł inny wizerunek: paciorki różańca i wiśniowa szata. Była to powszechna praktyka w Tybecie: by zapewnić błogosławieństwo domowi, trzymano na widocznym miejscu zdjęcie dalajlamy, które w razie wizyty przedstawicieli władz szybko przesłaniano fotografią Mao. Był czas, kiedy za samo posiadanie wizerunku dalajlamy groziła niechybnie kara więzienia. Gdy kobieta z hałasem postawiła czarkę przed Fengiem, Shan popchnął zdjęcie Mao, do końca zakrywając nieprawomyślny wizerunek, po czym odstawił ramkę na stół, odwracając ją tyłem w ich stronę.

Usiadł na dywanie, demonstracyjnie krzyżując nogi w ulubionej przez Tybetańczyków pozycji lotosu. Podczas kampanii niszczenia Czterech Przeżytków zabraniano im siedzieć ze skrzyżowanymi nogami.

–Ten klan ma syna imieniem Balti – powiedział. – Pracował w Lhadrung.

–Tu rodziny trzymają się razem – zauważył pasterz. – Nie wiemy wiele o innych klanach. – Khampowie niespokojnie opuszczali wzrok, wpatrując się w węgle. Shan rozumiał ich zdenerwowanie. Nie przybywał tu żaden Chińczyk, który nie byłby nabywcą wełny albo kontrolerem urodzin. Wypił herbatę i wstał, rozglądając się po twarzach khampów, którzy zgodnie unikali jego wzroku. Podeszedł do placht w głębi namiotu i odsunął je.

Siedziały tam dwie młode kobiety. Były w ciąży.

–Oni nie przyszli tu na kontrolę – odezwała się jedna z nich, śmiało przepychając się obok Shana. Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. – Nie z mnichem – powiedziała, spoglądając z buntowniczym uśmiechem na Yeshego. Nalała sobie herbaty. – Ja znam klan Dronma.

Jedna ze starszych kobiet burknęła karcąco. Dziewczyna zignorowała ją.

–To nie ma znaczenia – mówiła. – Nikt nie wie, gdzie można ich znaleźć. Za mało ich jest, by utworzyć obóz. Przyłączają się do innych namiotów, w wysokich dolinach.

–Gdzie?

–Pomódl się za moje dziecko – powiedziała do Yeshego, gładząc się po brzuchu.

– Moje poprzednie dziecko umarło. Pomódl się.

Yeshe zerknął niespokojnie na Shana.

–Nie potrafię.

–Masz oczy mnicha. Jesteś z gompy. Widzę to.

–To było dawno temu.

–W takim razie możesz to zrobić. Mam na imię Pemu. – Rozejrzała się wkoło z wyzwaniem w oczach. – Oni każą mi mówić Pemee, żeby brzmiało bardziej po chińsku. To przez kampanię Czterech Przeżytków. Ale ja jestem Pemu. – Jakby dla podkreślenia tych słów wyciągnęła szpilkę z włosów, uwalniając długi warkocz, w

który wplecione były turkusowe paciorki. – Potrzebuję modlitwy. Proszę.

Yeshe rzucił Shanowi zakłopotane spojrzenie i wyszedł z namiotu, jak gdyby chciał uciec. Pemu ruszyła za nim. Jedna z kobiet uchyliła klapę, by przyjrzeć się, co będzie dalej. Dziewczyna zawołała Yeshego, który udał, że tego nie słyszy, po czym podbiegła i uklękła przed nim. Kiedy próbował ją wyminąć, złapała go za rękę i położyła ją na swej głowie. Ten gest jak gdyby go sparaliżował. Po chwili wolno wyciągnął z kieszeni różaniec i zaczął recytować modlitwę.

To wydarzenie rozładowało napięcie panujące w namiocie. Klan rozpoczął przygotowania do obiadu. Jedna z kobiet zaczęła mieszać tsampę z herbatą, by przyrządzić pak, podstawowe pożywienie khampów. Na ogniu postawiono garnek z gulaszem z baraniny. Kobieta wyciągnęła z popiołu poczerńiałe placki.

–Chleb trzech uderzeń – wyjaśniła, podając jeden Shanowi. – Raz, dwa, trzy – liczyła, uderzając plackiem o kamień. Przy trzecim uderzeniu skorupa popiołu i węgla odpadła, ukazując złocistą skórkę. Shanowi ofiarowano pierwszy kawałek. Przełamał go na pół i skłoniwszy głowę, z powagą położył jedną część na prowizorycznym ołtarzu.

Pasterz w kamizelce przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

–Dronma podążają za owcami – powiedział. – Na wiosnę jaki schodzą z wyżyn, gdzie spędziły zimę. Owce wędrują w górę. Szukaj małych namiotów. Szukaj flag modlitewnych. – Narysował w notesie Shana mapkę, zaznaczając siedem miejsc, w których mógłby znaleźć członków klanu.

Nagle do uszu Shana dotarł nowy dźwięk, dobiegający z sąsiedniego namiotu. Był to jeden z rytuałów, jakie poznał w Czteryście Czwartej. Chociaż drogi były już błotniste, ktoś żarliwie modlił się o deszcz.

Feng przyniósł z samochodu koce i wszyscy trzej położyli się spać z dziećmi. Wstali, kiedy kozy zaczęły beczeć na poranne dojenie. Shan złożył jeden z kocy i zostawił go w darze u wejścia do obozu.

W samochodzie, na tylnym siedzeniu, spała Pemu.

–Pojadę z wami – powiedziała, pocierając oczy. – Moja matka była z klanu Dronma. Pojadę zobaczyć się z kuzynami. – Zrobiła miejsce dla Shana i podała mu kawałek chleba.

Odległości nie były aż tak duże. Nie potrzebowała ich terenówki, żeby zobaczyć kuzynów. Być może, zastanowił się Shan, miał to być sprawdzian, wyzwanie. Ekipa z Urzędu Bezpieczeństwa nigdy nie wzięłaby pasażera.

Do połowy ranka pokonali trzy z dolin, lustrując ich stoki przez lornetkę. Na próżno. Niebo zaczęło ciemnieć. Pasterze modlili się o deszcz. Nagle zrozumiał dlaczego.

–Wczoraj – odezwał się do wpatrzonej w okno dziewczyny – twoi ludzie widzieli helikopter, prawda?

–To niedobrze, kiedy pojawia się helikopter – powiedziała, jak gdyby istniał tylko i wyłącznie jeden. – Przyleciał kiedyś, jak byłam mała.

Shan spojrział na nią wyczekująco. Pemu przygryzła wargę.

–To był bardzo zły dzień. Z początku myśleliśmy, że Chińczycy mają nową

maszynę do robienia grzmotów. Ale to nie był grzmot. Wylądowali przy obozie. Miałam wtedy tylko cztery lata. – Znowu wyjrzała przez okno. – To był bardzo zły dzień – powtórzyła z pustym, nieobecny spojrzeniem.

Gdy terenówka zbliżyła się do pasa ciągnących się wzdłuż drogi odsłoniętych skał, Pemu przesunęła się na skraj siedzenia. Kiedy wjechali w niewielki, poszarpany wąwóz, poprosiła, żeby ją wysadzić.

–Żeby uprzątnąć kamienie – powiedziała. – Pójdę przodem.

Ale Shan nie widział tu kamieni. Feng instynktownie sięgnął dłonią do pistoletu i nagle Shan uświadomił sobie, że Pemu jechała z nimi, żeby ich chronić, żeby być dla nich tarczą. Po chwili prawda ta dotarła również do Fenga. Odsunął dłoń od kabury i skupił się na prowadzeniu, starając się trzymać jak najbliżej dziewczyny. Posuwali się powoli, w drżącej ciszy.

Shanowi wydało się, że przed nimi błysnęło coś metalicznie. Dziewczyna zaczęła śpiewać donośnym głosem. Błysk zniknął. Mogła to być strzelba. Mógł to być migoczący w słońcu odłamek kryształu.

Gdy opuścili wąwóz, wróciła do samochodu. Wyglądała na wymęczoną. Gładząc się po brzuchu, znowu zaczęła śpiewać, tym razem dla swego dziecka.

–Mój wujek jest w Indiach – powiedziała nagle. – W Dharamsali, z dalajlamą. Pisze do mnie listy. Mówi, że dalajlama uczy, byśmy podążali drogami pokoju.

W piątej dolinie niemal przeoczyli mały czarny namiot skryty pod skalnym występem. Blisko godzinę jechali pod górę, pokonując ostre zakręty, nim wreszcie dotarli do obozowiska. Do palika obok namiotu uwiązane były trzy owce. Na uszach miały czerwone wstążki. Wielki długowłosy pies, pasterski mastyf, siedział w poprzek wejścia do namiotu. Nie drgnął nawet, tylko śledził ich uważnie, po czym obnażył zęby, gdy zbliżyli się do tłącego się ogniska.

–Aro! Aro! – zawołała Pemu, podchodząc niepewnie do ognia.

–Kto to? – odezwał się ze środka chrapliwy głos. Tuż nad psem ukazała się drobna, smagła twarz. – Masz rację, Pok – powiedział mężczyzna do zwierzęcia. – Nie wyglądają zbyt groźnie. – Roześmiał się i zniknął na chwilę.

Wyszedł na zewnątrz o kuli. Jego lewa noga kończyła się pod kolaniem.

–Pemu?! – zawołał, zezując ku dziewczynie. – To ty, kuzynko?! – Wzruszenie zdawało się odbierać mu głos.

Dziewczyna wyciągnęła z torby u pasa chleb i podała mu go.

–To jest Harkog – powiedziała, przedstawiając go Shanowi. – Harkog i Pok są odpowiedzialni za ten teren. Nie jestem pewna, który z nich właściwie tu rządzi.

Usta Harkoga rozchyliły się w krzywym uśmiechu, ukazując jedynie trzy zęby.

–Cukier? – zapytał nagle Shana. – Masz cukier?

Shan przejrzał torbę, którą Yeshe przyniósł z samochodu, i znalazł stare, zbrązowiałe już jabłko. Mężczyzna przyjął je ze zmarszczonym czołem, po czym rozpromienił się nagle.

–Turyści? Znam jedno miejsce w górach. Potężne moce. Mogę was tam zabrać. To tajemny szlak. Idziecie tam, modlicie się, potem wracacie do domu i robicie dzieci. Zawsze działa. Zapytajcie Pemu – dodał z ochryplym śmiechem.

–Szukamy twojego brata. Chcemy mu pomóc. Beztraska zniknęła z twarzy mężczyzny.

–Nie mam brata. Odszedł z tego świata. Już za późno, żeby pomóc Baltiemu. Shanowi ścisnęło się serce.

–Balti umarł?

–Nie ma już Baltiego – jęknął Harkog, bijąc się pięścią w czoło, jak gdyby z bólu. Pemu odsłoniła klapę namiotu. Wewnątrz majaczył ludzki kształt, bezwładny kadłub z wychudłą twarzą i oczyma zapadniętymi jak u kościotrupa.

–Tylko jego ciało jest tutaj – powiedział Harkog. – Niewiele go zostało. Tak już od paru dni. Wciąż czuwa. Noc i dzień, ze swymi mantrami. – Przyjrzał się uważnie różańcowi wiszącemu u pasa Yeshego. – Mnich? – zapytał z ożywieniem.

Yeshe nie odpowiedział, ale podszedł do namiotu.

–Balti Dronma. Musimy z tobą porozmawiać.

Brat nie protestował, gdy Shan i Yeshe weszli do namiotu i usiedli. Pemu weszła za nimi.

–On jest bardziej martwy niż żywy – szepnęła przerażona.

–Mamy pytania – powiedział cicho Shan. – O tamtą noc.

–Nie – zaprotestował Harkog. – On jest ze mną. Wszystkie te noce.

–Jakie noce? – zapytał Shan.

–Obojętne. Te, o które pytasz.

–Nie – odparł cierpliwie Shan. – Tej ostatniej nocy w Lhadrung on był z prokuratorem Jao. Kiedy Jao został zamordowany.

–Nie wiem nic o morderstwie – mruknął Harkog.

–Prokurator. Jao. Został zamordowany.

Harkog zdawał się nie słyszeć. Wpatrywał się w brata.

–On biegł. Biegł i biegł. Jak szakal. Całymi dniami. Któregoś ranka widzę zwierzę pod skałą. Śmierdzi jak zdychający kozioł, mówi pies. Zajrzałem tam i wyciągnąłem go.

–Przybyliśmy z Lhadrung, żeby się dowiedzieć, co widział tamtej nocy.

–Powiedz mantrę – odezwał się nagle Harkog do Yeshego. – Ochroń go przed demonami, kiedy śpi. Przyzwij z powrotem jego duszę, żeby mógł odpocząć. Potem może będzie rozmawiał.

Yeshe nie odpowiedział, ale niepewnie przysunął się do Baltiego. Harkog, zadowolony, opuścił namiot.

–Tak jak pobłogosławiłeś moje dziecko – odezwała się Pemu.

Yeshe spojrzał błagalnie na Shana.

–Przykro mi – powiedział dwukrotnie, raz do Shana i raz do dziewczyny. – Nie jestem w stanie tego zrobić.

–Pamiętam, co powiedziała tamta kobieta w warsztacie – przypomniał mu Shan. – Twoja moc nie zginęła, rozproszyła się tylko.

Pemu przycisnęła grzbiet jego dłoni do swego czoła. Yeshe wydał słaby jęk.

–Dlaczego?

–Dlatego, że on umiera.

–Spodziewacie się, że dokonam cudu?

–Lekarstwa, którego mu trzeba, nie zapewni żaden lekarz – odparł Shan.

Pemu wciąż trzymała dłoń Yeshego. Chłopak spojrzał na nią. W jego oczach pojawił się spokój. Być może, pomyślał Shan, cud jest już blisko.

Shan usiadł z pasterzem na zewnątrz, a Pemu rozpałała ogień, by przygotować herbatę. Kłasnienie gromu w pobliżu wstrząsnęło powietrzem. Doliną sunęła kurtyna deszczu. Gdy Harkog zamocował płachty osłaniające krąg ogniska, z namiotu popłynął monotonny śpiew.

Shan przez godzinę wsłuchiwał się w pomrukiwania Yeshego, po czym poszedł po Fenga i zapasy z terenówki. Szli już do namiotu, gdy sierżant zatrzymał się i zawrócił biegiem.

–Muszę ukryć samochód – rzucił przez ramię. Nie powiedział przed kim.

Kiedy wrócili, deszcz przestał już padać, a Yeshe wciąż siedział tam, gdzie zostawił go Shan, przed barłogiem Baltiego, powtarzając ochronną mantrę. Nie przerwie śpiewu, dopóki rzecz nie zostanie doprowadzona do końca. A nikt, nawet on sam, nie wiedział, jak długo to potrwa.

Gdy słońce zaszło, zebrali drewno na opał i ugotowali gulasz, po czym zjedli w milczeniu. Niebo oczyściło się, a Yeshe wciąż jeszcze mruczał w namiocie. Shan siedział z Pemu, obserwując młody księżyc wspinający się na wschodnie niebo. W dali rozległ się samotny krzyk lelka. Pasma mgły sunęły w dół zbocza. Feng rozłożył koc i chwilę później zaczął chrapać. Yeshe mruczał dalej. Pemu znalazła owczą skórę i otuliła się nią, patrząc w ogień. Na skraju migotliwego kręgu światła Harkog i Pok, pies, siedzieli zwrócenii twarzą w ciemność. Yeshe śpiewał już sześć godzin.

Wszystko wydało się Shanowi takie odległe. Zło, które czaiło się w Lhadrung. Obóz, do którego powróci. Nawet wszechobecne macki ministra Qina i Pekinu zdawały się przez chwilę częścią innego świata.

Wyciągnął z torby ryżowy papier i laseczkę tuszu, które kupił na targu. Upłynęło tak wiele czasu. Minęło tyle świąt. Potarł laseczkę i kilkoma kroplami wody rozrobił tusz na wygiętym kawałku kory. Poćwiczył, robiąc próbne pociągnięcia pędzlem w powietrzu, układając w myślach słowa, zanim rozłożył arkusz i zaczął pisać. Używał eleganckich, staroświeckich ideogramów, których nauczył się, kiedy był chłopcem.

Drogi ojcze, zaczął, wybaczyć, że nie pisałem przez tak wiele lat. Od ostatniego listu przebyłem długą podróż. Głód szalał w mojej duszy. Potem spotkałem mądrego człowieka, który ją nakarmił. Pociągnięcia pędzelkiem musiały być śmiałe, a przy tym płynne, inaczej jego ojciec, człowiek uczony, byłby rozczarowany. Napisane właściwie, mawiał, słowo powinno wyglądać jak wiatr wśród pędów bambusa. Kiedy wyruszałem, byłem smutny i bałem się. Teraz nie ma już we mnie smutku. A obawiam się jedynie siebie. Niegdyś, sam w swoim mieszkaniu w Pekinie, często pisywał listy. Niezadowolony, przejrzał znaki. Siedzę na górze, która nie ma nazwy, zaszczycony towarzystwem mgły i wspomnień o tobie, dodał i podpisał imieniem, jakim nazywał go ojciec. Xiao Shan.

Złożywszy drugi arkusz w kopertę, wsadził do niej pierwszy, wyciągnął z ognia tłący się patyk i ruszył w ciemność. Szedł w świetle księżycy, póki nie dotarł na mały

występ z widokiem na dolinę. Tam zrobił mały kopczyk z suchej trawy między dwoma kamieniami i położył na nim list. Spojrzał w gwiazdy, złożył ukłon w stronę kopca i podpalił go patykiem. Śledził z szacunkiem wznoszące się w niebo popioły, w nadziei, że zobaczy, jak przecinają księżyc.

Ociągał się jeszcze, spowity gwiazdami. Wdychał zapach imbiru i słuchał głosu ojca, wiedząc już, że pamięta jeszcze, czym jest radość.

W połowie drogi do namiotu serce skoczyło mu do gardła. Na ścieżce przed nim pojawiło się czarne stworzenie. Pok. Ogromny pies usiadł mu na drodze.

–Oni mówią, że przygniótł go koń, ale to nieprawda – popłynął głos z przydrożnych cieni. Głos Harkoga. Pobrzmiewała w nim dziwna, nie ujawniona wcześniej stanowczość. – To była mina przeciwpiechotna. Uciekałem przed ALW. Nagle znalazłem się w powietrzu. Wcale nie słyszałem wybuchu. Moja noga przeleciała obok mnie, zanim spadłem. Ale żołnierze się zatrzymali. Sukinsyny zatrzymały się. – Wyszedł z cienia i spojrzał w górę, w niebo, tak jak robił to Shan.

–Udało ci się ich powstrzymać?

–Trzech z nich rzuciło się, żeby mnie wykończyć. Skląłem ich i rzuciłem w nich moją nogą. Uciekli jak szczeniaki.

–Przykro mi, że straciłeś nogę.

–Moja wina. Nie powinienem był biec.

Wracali razem, powoli, w milczeniu. Pok szedł na przedzie.

–Jeśli chcesz, możemy zabrać was obu z powrotem – zaproponował Shan.

–Nie – odparł Harkog powolnym, mądrym głosem. – Zabierzcie tylko te chińskie ubrania. Wszystko, co jest z Lhadrung. On musi znów nosić wołokową kamizelkę. To wszystko mu się przydarzyło, bo próbował być kimś innym, niż jest. Pojechałem tam kiedyś ciężarówką. Do Lhadrung. Mają dobre buty. Ale ten Jao to był zły gość.

–Znałeś Jao?

–Jechałem kiedyś z Baltim czarnym samochodem. Tego Jao czuć było śmiercią.

–Chcesz powiedzieć, że wiedziałeś, że Jao ma umrzeć?

–Nie. Chcę powiedzieć, że ludzie wokół niego umierali. On miał moc, jak czarownik. Znał potężne słowa, które położone na papier sprowadzały śmierć.

Byli wystarczająco blisko, by widzieć blask ogniska, gdy Pok nagle zawarczał. Na tle skały rysował się cień. Harkog cicho upomniał psa i obaj ruszyli dalej w stronę obozowiska, nim Shan rozpoznał Fenga.

–Wiem, co robiłeś – odezwał się sierżant. – Wysyłałeś wiadomość.

Shan zacisnął zęby.

–Po prostu poszedłem się przejść.

–Mój ojciec próbował nauczyć mnie tego, kiedy byłem mały – powiedział Feng głosem, w którym pobrzmiewał ból. Shan uświadomił sobie, że źle go zrozumiał. – Uczył mnie rozmawiać z dziadkiem. Ale zapomniałem tego. Tu, w górze, tak daleko, człowiek zaczyna rozmyślać. Może... – Zmagał się z sobą. – Może mógłbyś mi pokazać, jak...

Trinle powiedział kiedyś Shanowi, że każdy człowiek ma dzienną duszę i nocną duszę, a najważniejsze zadanie życia polega na zapoznaniu ich ze sobą. Shan

przypomniał sobie, jak Feng opowiadał o ojcu w drodze do gompy Sungpo. Sierżant odkrywał właśnie swoją nocną duszę.

Ruszyli z powrotem do występu, skąd Shan wysłał swój list. Feng rozpałił małe ognisko i wyciągnął ogryzek ołówka oraz kilka czystych kartek z obozowego bloczka.

–Nie wiem, co powiedzieć. – Jego głos był cichy i pokorny. – Kazano nam zerwać kontakty z rodziną, jeżeli były tam złe elementy. Ale czasami tęsknię za nimi. To już przeszło trzydzieści lat.

–Do kogo piszesz?

–Do dziadka, jak prosił ojciec.

–Co o nim pamiętasz?

–Niewiele. Był bardzo silny i śmiał się. Nosił mnie na barana, na szczycie wiązki drewna.

–Więc po prostu napisz to.

Feng namyślał się długo, po czym zaczął powoli pisać.

–Nie znam słów – tłumaczył się, podając kartkę Shanowi.

Dziadku, jesteś silny, skreślił na niej. Weź mnie na barana.

–Myślę, że twoje słowa są bardzo dobre – odparł Shan i pomógł mu sporządzić kopertę z pozostałych kartek.

–Żeby to wysłać, powinienem być sam – powiedział. – Zaczekam w dole ścieżki.

–Nie wiem, jak to zrobić. Myślałem, że są potrzebne jakieś słowa.

–Po prostu umieść go w swoim sercu, jak robisz to teraz, a twój list dotrze do niego.

Kiedy wrócili do obozu, Harkog, Yeshe i Balti siedzieli przy ogniu. Pemu, zagadując łagodnym, kojącym głosem, jak gdyby mówiła do niemowlęcia, karmiła Baltiego gulaszem. Zdawało się, że jego wycieńczenie przeniosło się na Yeshego, który wpatrywał się wyczerpany w płomienie z zagubionym wyrazem twarzy.

–Byliśmy w twoim domu – zaczęła Shan. – Stara kobieta, żona szczura, pokazała nam kryjówkę. Chowaleś tam teczkę. Balti nie dał żadnego znaku, że go usłyszał.

–Co było tam takiego niebezpiecznego?

–Ważne rzeczy. Jak bomba, mówił Jao. – Głos Baltiego brzmiał słabo i piskliwie.

–Widziałeś je kiedykolwiek?

–Pewnie. Kartonowe teuczki. Koperty. Nic prawdziwego. Tylko papiery.

Shan zamknął oczy w przyływie frustracji, gdy uświadomił sobie, dlaczego Jao powierzał mu dokumenty.

–Nie umiesz czytać, prawda?

–Tylko znaki drogowe. Nauczyli mnie tego.

–Dokąd jechaliście tamtej nocy? – zapytał.

–Na lotnisko. Do Gonggar. To lotnisko dla Lhasy. Pan Jao ufa mi. Jestem bezpiecznym kierowcą. Pięć lat bez wypadków.

–Ale zbczyliście z drogi. Przed lotniskiem.

–No tak. Mieliśmy jechać na lotnisko. Po kolacji powiedział co innego. Cały podniecony. Jedź na most na Szponie Południowym. Ten nowy, nad Smoczą Gardzielą, postawiony przez saperów Tana. Ważne spotkanie. Krótkie. Nie spóźnimy

się na samolot, powiedział.

–Z kim się spotkał?

–Balti to tylko kierowca. Pierwszorzędny kierowca. To wszystko.

–Czy zabrał swoją aktówkę?

Balti zastanowił się chwilę.

–Nie. Była na tylnym siedzeniu. Wyszedłem, kiedy on wysiadł z samochodu. Było zimno. Znalazłem z tyłu marynarkę. Prokurator Jao dawał mi czasem ubrania. Mamy ten sam rozmiar.

–Więc co się stało, kiedy Jao wysiadł z samochodu?

–Ktoś zawołał do niego z ciemności. On odszedł. Więc usiadłem i zapaliłem.

Paliłem na masce samochodu. Prawie pół paczki. Spóźniły się jak nic. Zatrąbiłem klaksonem. Wtedy zjawia się on. Wściekły jak diabli. Pożre mnie, jak stado wilków. Wcale tego nie chciałem. Może to przez ten klakson. Był strasznie wściekły.

Nie chodziło już o prokuratora, uświadomił sobie Shan.

–Widziałeś go?

–Pewnie, że widziałem. Jak tabun jaków.

–Jak blisko?

–Z początku myślałem, że to towarzysz Jao. Widziałem tylko cień. Potem księżyc wyszedł zza chmury. On był złoty. Piękny. Tylko tyle mogłem w pierwszej chwili pomyśleć, jak w transie. Tak piękny, i wielki jak dwóch ludzi. Potem widzę, że jest wściekły. Trzyma swój wielki miecz. Parska jak byk. Serce mi zamarło. Przez niego. Zatrzymał moje serce. Mówiłem mu, żeby biło, ale ono nie chciało. Potem upadłem we wrzos. Biegłem. Zmoczyłem się, płakałem. Rano odnalazłem drogę na wschód. Kierowcy ciężarówek podwozili mnie. Kiedy nie jechałem, biegłem. Wciąż biegłem.

–Tamdin... – powiedział Shan. – Czy on cię ścigał?

–To wściekły sukinsyn. On chce mnie dorwać. Słyszę go w nocy. Jeśli przerwę mantry, będzie mnie miał. Odgryzie mi głowę jak słodkie jabłko.

–Co było w samochodzie?

–Nic. Walizka. Aktówka.

–Gdzie jest teraz samochód?

–Kto wie? Nie jestem już kierowcą. Nigdy więcej.

–Nie znaleziono go przy moście.

–Ten Tamdin – wyskrzecztał Balti – pewnie podniósł go i rzucił dwie góry dalej.

Kiedy odjeżdżali o świcie, Balti znów siedział w namiocie, trwożnie zerkając na zewnątrz. Kołysząc się w przód i w tył, zawodził nową mantrę. Jego twarz znaczyły smugi łez. Na kocu Shana pojawiło się zawiniątko z ubraniem.

–Przenieś namiot – szepnął Shan do Harkoga, gdy Pemu odprowadziła Fenga w dół zbocza. – Tak, żeby nie było go widać z drogi. Pod osłonę, gdzie nie będzie widoczny z powietrza.

Harkog ponuro skinął głową. Yeshe wyciągnął skrawek papieru.

–Masz. To zaklęcie – powiedział. – Przymocuj je do namiotu. Niech śpiewa. Ale musi przestrzegać moich wskazówek. Cały dzień dzisiaj. Pół dnia jutro. I tylko jedną godzinę dziennie przez następny miesiąc. Pojutrze musi wyjść na zewnątrz. Przejsć

się po wzgórzach. Demon go opuścił. Teraz musi na powrót stać się tym, kim jest. Harkog odpowiedział trójzębnym uśmiechem.

–Będziemy khampami.

Znów siedząc w furgonetce, Shan przejrzał tłumoczek ubrań. Były oblepione błotem. Tanie ubrania robocze, niewiele lepsze od tych, które wydawano więźniom. Ale sfatygowane buty były zawinięte w marynarkę, marynarkę od garnituru. Choć podarta i brudna, znać było po niej, że szyto ją na miarę. W jednej z kieszeni Shan znalazł chusteczkę do nosa i spięty gumką plik wizytówek. “Jao Xengding”, widniało na nich, “Prokurator Okręgu Lhadrung”. Balti miał na sobie marynarkę Jao. Tamta noc była chłodna, powiedział. Włożył marynarkę Jao i usiadł na masce samochodu.

W drugiej kieszeni Shan znalazł kilka złożonych na pół świstków połączonych spinaczem. Rozprostował je. Było tu parę rachunków; na pierwszym, z mongolskiej restauracji, nagryzmołono u góry: *Amerykańska kopalnia*. Pod nim znajdowała się mała kwadratowa kartka, na której napisano dwa słowa: *Bambusowy most*. Kwadrat żółtego papieru mówił: *Nie potrzebujesz aparatury rentgenowskiej*. Pod spodem widniał znak przypominający odwrócone Y z ogonkiem przekreślonym dwiema kreskami. Mógł to być ideogram oznaczający niebo lub niebiosa. Albo tylko bezmyślny gryzmoł. Na kolejnym świstku wymieniono miasta: *Lhadrung, Lhasa, Pekin i Hongkong*, a niżej *Klub Bei Da*. Gdzie on to słyszał? Lama w Khartoku, przypomniał sobie, ten, który zajmował się interesami gompy, powiedział, że w odbudowie wspomagał ich Klub Bei Da. A Bei Da to Uniwersytet Pekijski.

Czwarta notatka mogła być listą zakupów. *Szal, kadzidło i złoto*, skreślono na niej. Jednym z tych świstków, uświadomił sobie Shan, prawdopodobnie zwabiono Jao na spotkanie ze śmiercią.

Próbował powiązać ze sobą wszystkie dane, kiedy jadąc wąską przełęczą, opuszczali płaskowyż, zostawiwszy Pemu – która na pożegnanie, recytując modlitwę dziękczynną, położyła sobie dłoń Yeshego na głowie – koło jej stad. W ziemię tuż przed nimi uderzył piorun, zapalając przydrożny krzew. Buchnął płomień. Nikt się nie odezwał. Zaczekali, aż krzew zmieni się w popiół, po czym ruszyli dalej.

ROZDZIAŁ 13

Główna brama koszar Nefrytowego Źródła została zaatakowana. Deski były połamane, druty kolczaste pozrywane. Na dwadzieścia metrów po obu stronach bramy ciągnął się pas zdeptanych wrzosów. W płynącym z budki wartownika światło Shan mógł dostrzec zwisające z ogrodzenia strzępy ubrań. Ponurzy, gniewnie wyglądający żołnierze wymieniali zawiasy w jednym z dwóch wielkich skrzydeł bramy. Shan patrzył na to, mrugając ze zmęczenia powiekami. Przez szesnaście wyczerpujących godzin prowadzili z Fengiem na zmianę. Gdy przychodziła jego kolej na odpoczynek, nie mógł zmrużyć oczu na dłużej niż kilka minut, by nie prześladowała go wizja Baltiego, kołyszącego się w przód i w tył w ciemnościach namiotu.

Zdezorientowany, chwiejąc się na nogach, wysiadł z samochodu, odruchowo wypatrując na ziemi plam krwi.

Gdy zbliżył się do wartowni, rozbłysły reflektory, oślepiając go na chwilę. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył przed sobą oficera ALW.

–Brakowało nam was – powiedział oficer z lodowatym sarkazmem. – Złożyli nam wizytę. Mogliście być honorowym gościem.

–Kto?

Rzuciwszy żołnierzom kilka rozkazów, oficer wyjaśnił:

–Kultyści. Były zamieszki. Albo prawie. Tuż po świcie. Podjechała ciężarówka z drewnem, z której wysiadł stary człowiek w mnisiej szacie. Usiadł sobie, tak po prostu. Bez słowa. Pozwoliliśmy mu przebierać paciorki. Potem przejeżdżał na rowerze wieśniak i też się zatrzymał. Powinniśmy byli przepędzić ich obu. Ale pułkownik Tan mówił, że nie życzy sobie żadnych kłopotów. Żadnych incydentów. Inspekcja z Pekinu jest w drodze. Amerykanie są w drodze. Ma być po prostu spokój. – Otworzył drzwi od strony kierowcy i spojrzał gniewnie na Fenga, jak gdyby on w jakiś sposób dzielił odpowiedzialność za ten incydent.

Dał znak do otwarcia bramy, po czym znów odwrócił się do Shana.

–Po godzinie było ich sześciu. Potem dziesięciu. Do południa może czterdziestu. Ten dziadek w mnisiej szacie był chyba dla nich kimś ważnym.

Shan dokładniej przyjrzał się dyndającym na drutach skrawkom materiału. To nie były strzępki ubrań ludzi zepchniętych na ogrodzenie. Przywiązano je do drutów. Były to flagi modlitewne.

–No więc wyszedłem porozmawiać. Negocjować. Dyskutować o socjalistycznym imperatywie współistnienia. Musicie odejść, powiedziałem. Niedługo przybędzie konwój wojskowy. Ciężki sprzęt. Ktoś może zostać ranny. Ale oni powiedzieli, że chcą uwolnienia tego waszego Sungpo. Powiedzieli, że nie jest żadnym kryminalistą. – Oczy oficera płonęły. – To sprawa tajna. Wszystkich obowiązuje ścisła poufność. Nikt nie miał prawa wiedzieć, że wasz mnich jest trzymany u nas. Wiem, że nikt stąd się nie wygadał – oświadczył, patrząc oskarżycielsko na Shana.

Kiedy odszedłem – ciągnął oficer – oni zbliżyli się do ogrodzenia, zaczęli śpiewać i kołysać nim. Słupy zaczęły się chwiać. Tak więc wezwałem oddział porządkowy. Żadnej broni. Ale oni odwrócili się i pozwiązywali sobie ręce. Jak łańcuch.

Skarpetkami. Sznurowadłami. Czymkolwiek. Powiązali się wszyscy razem. Pokazali nam plecy. Ignorowali nas. Śpiewali. Co mogliśmy zrobić? Przyjadą tu turyści. Będę wynosił nieczystości po rekrutach, jeśli trafi tu jakieś okrągłe oko i sfotografuje, jak grzmocimy ich po plecach.

–Ten stary człowiek – odezwał się Shan – przyjechał z północy?

–Zgadza się. Bardzo stary. Jak gdyby miał lada chwila rozsypać się w proch.

Shan z nagłym ożywieniem uniósł wzrok.

–Gdzie on teraz jest?

–W końcu przepuściliśmy go godzinę temu. Jedyne sposoby, żeby skłonić ich do odejścia. Kiedy wy, u diabła...

Shan nie czekał na resztę gniewnego pytania. Rzucił się przez bramę i pobiegł do aresztu.

Jedyne światło w budynku paliło się na końcu korytarza. Jigme siedział przy drzwiach celi, wpatrzony w Sungpo, dokładnie tak, jak Shan zostawił go przed trzema dniami. Obok niego siedział Je Rinpocze.

Starzec nie dał żadnego znaku, że zauważył Shana. Był zwrócony twarzą do Sungpo, który siedział na środku celi. Nie rozmawiali, ale ich oczy wydawały się utkwione w tym samym niewidzialnym punkcie w dali.

Gdy Shan otworzył drzwi celi, Yeshe chwycił go za ramię.

–Nie możesz przeszkadzać. Musimy poczekać, aż wrócą.

–Nie – odparł Shan. – Jest za późno, by można było nie przeszkadzać. – Wszedł do celi i dotknął ramienia Sungpo. Poczował mrowienie w czubkach palców, jak gdyby przepływał przez nie prąd. Powiedział sobie, że to złudzenie. Sungpo poruszył głową z boku na bok, jakby otrząsając się z głębokiego snu, po czym uniósł wzrok i powitał Shana niedostrzegalnym mrugnięciem oczu.

Je Rinpocze zrobił głęboki wydech i wolno opuścił głowę na piersi. Yeshe spojrzał na Shana z niezwykłą dla siebie pasją.

–Czy nikt z was nie rozumie, co się tu dzieje? – zapytał Shan łamiącym się głosem.

Nikt nie odpowiedział. Shan uważnie zajrzał Yeshemu w oczy.

–Muszę porozmawiać z doktor Sung. Idź tam natychmiast. Wezwij ją. Powiedz jej, że muszę się z nią zobaczyć.

–Ten stary lama medytuje – ostrzegł Yeshe. – Nie możesz mu przerywać.

–Powiedz jej, że muszę porozmawiać z nią o grupie zwanej Klubem Bei Da.

Yeshe zmarszczył brwi na znak dezaprobaty, ale okręcił się na pięcie i odszedł.

Shan ukląkł między dwoma mnichami.

–Nie rozumiecie, co się dzieje? – zapytał jeszcze raz, głośniejszym głosem, nie wiedząc już, jak wyrwać lamę z transu, nie uciekając się do tak haniebnej brutalności.

–Zabito człowieka – odezwał się nagle Je Rinpocze, unosząc głowę. – Rząd uznał go za ważnego.

Shan spojrzał na Sungpo. Mnich zamrugał oczami.

–Oni wymuszają swoje równanie – stwierdził rzeczowo stary lama.

–Jakie równanie? – zapytał Shan.

–Zabiorą jednego z nas.

–Tego właśnie chcecie?

–Czy chcemy? – odpowiedział pytaniem Je.

–Co ze sprawiedliwością?

–Jaką sprawiedliwością?

Shan użył chińskiego słowa *yi*, zapisywanego znakiem przedstawiającym wielkiego człowieka osłaniającego mieczem mniejszego. Nie był to symbol ulubiony przez Tybetańczyków.

–Czy my wierzymy w sprawiedliwość Pekinu? – zapytał Je tym samym spokojnym tonem, jakim przemawiał do tajemniczego kruka w Saskyi. Zwracał się do Sungpo.

Nagle Sungpo przemówił. Spojrzał na Je, i tylko na Je.

–Wierzymy w harmonię – powiedział ledwie słyszalnym głosem. – Wierzymy w pokój.

Je odwrócił się do Shana.

–Wierzymy w harmonię – powtórzył. – Wierzymy w pokój.

–Kiedyś wysłano mnie do komuny na reedukację – oświadczył Shan, patrząc na Je. – Było to podczas mrocznych lat. – Każdy miał własną nazwę na okres udręki, który Mao nazywał rewolucją kulturalną. – Przez pierwszy tydzień staliśmy na polu ryżowym. W błocie. Ustawieni w rzędach. Nazywali nas kielkami. Wszelkie rozmowy były zabronione. Oficer polityczny powiedziała, że na polu ma być spokój. Każdy, kto się odezwał albo roześmiał, albo krzyknął, był bity. Bardzo długo staliśmy w milczeniu. Ale nikt nie nazwałby tego pokojem.

Je tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

Sungpo zdawał się odpływać, znów pograżając się w medytacji.

–Mam pytania. – Głos Shana zabrzmiał natarczywie. – Zapytaj go o aresztowanie. Co oni mówili? Kiedy widział prokuratora Jao po raz ostatni?

Je nachylił się do Sungpo i powtórzył szeptem pytania.

–Był wtedy daleko – wyjaśnił po chwili, mając na myśli medytację. – Nie wiedział nic, dopóki nie wrócił. Stwierdził, że jest w samochodzie, z kajdankami na rękach. Były dwa samochody, pełne ludzi w mundurach.

–Dlaczego znaleźli u niego portfel prokuratora?

Je naradził się z Sungpo.

–To coś niezwykłego – oświadczył ze zdumieniem w oczach. – Sungpo nie miał portfela. Nie wiedział, że go tam znaleźli. Być może coś przyszło i położyło go tam.

–Coś czy ktoś?

Kiedy stary człowiek westchnął, z jego gardła wydobył się wilgotny, charczący dźwięk.

–Czasami piorun zostawia coś, uderzając w ziemię. Portfel miał się tam znaleźć. Jest chyba mało istotne, jak do tego doszło.

–Piorun sprawił, że portfel zmaterializował się w jaskini Sungpo? – zapytał powoli Shan, czując, jak ogarnia go przygnębienie.

–Może piorun. Może duchy. Któż potrafi przeniknąć powody ich czynów? Być może wybrały taki sposób, by go przywołać.

–A jeśli prawdziwy zabójca nie zostanie znaleziony, jeśli zagadka śmierci pozostanie nie rozwiązana, Czteryista Czwarta będzie kontynuować strajk. Zostaną uznani za winnych masowej zdrady.

–Być może to także jest przeznaczona im droga do następnego wcielenia.

Shan zamknął oczy i odetchnął głęboko.

–Czy Sungpo znał prokuratora Jao?

Je naradzał się przez chwilę z Sungpo.

–Pamięta to nazwisko z jakiegoś procesu.

–Czy to on zabił Jao?

Je spojrzał na Shana ze znużeniem.

–Żaden ciężar nie leży na jego duszy. Tylko grubość włosa oddziela go od stanu buddy.

–To nie jest obrona prawna.

Je westchnął.

–Odebranie życia komukolwiek byłoby pogwałceniem jego ślubów. On jest prawdziwym wiernym. Powiedziałby mi natychmiast. Zdarłby z siebie szatę. Jego cykl zostałby przerwany.

–Ale mimo to nie powie, że tego nie zrobił.

–To byłby akt “ja”. Uczymy się wystrzegać takiego postępowania.

–Tak więc nie będzie zapewniać o swojej niewinności właśnie dlatego, że jest niewinny.

–Otóż to. – Je uśmiechnął się. Wydawał się bardzo zadowolony z logiki Shana.

–Niedawno odwiedził gompę szef Urzędu do spraw Wyznań. Czy Sungpo go widział?

–Sungpo jest pustelnikiem. Jeśli medytował, nie widziałby żadnego gościa, nawet gdyby ten wszedł i go kopnął.

Shan odwrócił się do Jigme.

–Czy jest jakaś inna droga do twojej chaty, poza ścieżką, którą przyszliśmy?

–Stare ścieżki myśliwskie. Albo wspinaczka po skałach.

Sungpo odpłynął. Zdawało się, że nie słyszy już nikogo, nawet starego Je.

–Wiedzieć, że on umiera za zbrodnię popełnioną przez kogoś innego... czy to nie jest forma kłamstwa? – zapytał Shan sędziwego lamę, walcząc z desperacją w głosie.

–Nie. Przyznać się fałszywie – to byłoby kłamstwo.

–W tej chwili bezpieczeństwa jest utrzymywana z dala od sprawy. Ale przed procesem jej ludzie będą się starali uzyskać przyznanie się do winy. Rzadko im się to nie udaje. – Widział kiedyś w Pekinie wytyczne. – Przystąpienie do procesu bez przyznania się do winy jest uważane za nadużycie procedur sądowych i naruszenie socjalistycznego porządku. Jeśli nie będzie współpracował, zostanie odczytane w jego imieniu.

–Ale to nie będzie miało znaczenia – zauważył Je tym samym łagodnym tonem.

Shan zazdrościł mu naiwności.

–Procesy przeprowadza się dla ludzi, żeby ich uczyć. – Albo może, pomyślał, przypominając sobie dwudziestotysięczny tłum przyglądający się egzekucji na pekińskim stadionie, żeby ich zabawić.

–Ach! Chcesz powiedzieć, że to coś w rodzaju przypowieści.

–Tak – odparł głuchym głosem Shan. Przez jego umysł przemknęła wizja. Stara kobieta z miotłą i wiadrem wchodząca po schodach za Sungpo. – Tyle że dużo bardziej bezwzględne niż przypowieść.

Gdy Shan przyszedł zebrać koce dla Je, który uparł się, że zostanie w bloku więziennym, natknął się na Yeshego siedzącego na schodkach przed ich barakiem.

–Mam zamiar poprosić o powrót do obowiązków w Czteryście Czwartej. Zostanę następny rok z Zhongiem, jeśli będę musiał – oświadczył chłopak, wchodząc za Shanem przez drzwi. – Nie chcę brać w tym udziału. To zbyt pogmatwane. A jeśli Jigme ma rację, kiedy mówi, że Sungpo może łatwo odrzucić twarz?

–Z czego wynikałoby, że powinniśmy przyjąć jego poświęcenie?

–Tu nie chodzi tylko o Sungpo. Ty sam to powiedziałeś. Nie wystarczy udowodnić, że on jest niewinny. Będziemy musieli dać im kogoś w zamian. Oni mogą zaarrestować jeszcze czterech czy pięciu mnichów. Nawet dziesięciu albo dwudziestu. Nazwać to spiskiem purbów. Wszyscy zostaliby uznani za jednakowo winnych. I może nie skończyłoby się tylko na purbach. Opór przybiera rozmaite formy.

–Więc twierdzisz, że musimy wybrać między poświęceniem Sungpo a poświęceniem ruchu oporu.

–Jeśli chodzi o opór w okręgu Lhadrung, tak.

–Opowiadasz się teraz za oporem?

–Widziałeś moją gompe. Nie mógłbym zostać purbą, nie łamiąc ślubów. Zostałbym wykluczony na zawsze. Bez żadnej nadziei powrotu.

–A liczysz na powrót? – zapytał Shan.

–Nie – odparł Yeshe głosem przepełnionym emocją. – Nie wiem. Dwa tygodnie temu powiedziałbym, że nie. Teraz wiem tylko tyle, że powrót mógłby być bolesny.

Shan przypomniał sobie psy w gompie Yeshego. Duchy upadłych mnichów, powiedziano o nich.

Na placu apelowym rozległ się okrzyk i tupot butów. Jigme szamotał się z pałkarzami odciągającymi go od budynku aresztu. Shan znów spojrzał na Yeshego.

–Potrzebuję twojej pomocy. Bardziej niż kiedykolwiek.

Zanim dotarł na miejsce, Jigme został rzucony na ziemię sto metrów od celi Sungpo.

–Tylko jeden gość ma prawo przebywać z więźniem – warknął najbliższy pałkarz, po czym się oddalił.

–Niewiele możesz tu dla niego zrobić – zauważył Shan, siadając obok Jigme.

–Jeśli będzie jadł, mógłbym przygotowywać mu posiłki.

–Mogą być inne sposoby – podsunął Shan. – Zależnie od tego, komu chcesz pomóc.

–Sungpo.

–Sungpo świętemu człowiekowi? Czy Sungpo śmiertelnikowi?

Jigme zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

–To czasem mylące. Powinienem chyba powiedzieć, że to to samo.

–W twoich i moich żyłach płynie chińska krew. Mówi się, że jednym z naszych przekleństw jest to, że zawsze idziemy na kompromis. Być może trzeba lat, by znaleźć odpowiedź na to pytanie. Ale za parę dni nie będzie to już miało znaczenia.

Siedzieli w milczeniu. Jigme zaczął leniwie rysować palcem w pyle.

–Chcę, żebyś coś zrobił – powiedział Shan. – Idź w pewne miejsce w górach. Smocze Szpony. Damy ci jedzenie i wodę. W ciężarówce są koce. Sierżant Feng może cię tam zawieźć. Będzie zaglądać do ciebie każdego dnia. Tylko że kiedy wyjdiesz na zewnątrz, nie wiem, czy strażnicy przepuszczą cię znów przez bramę.

Jigme długo się zastanawiał.

–Ludzie mówią, że tam, w górach, jest demon.

Shan współczująco skinął głową.

–Chcę, żebyś odkrył, gdzie mieszka ten demon.

Jigme nawet nie drgnął, ale zbladł jak płótno.

–On cię nie skrzywdzi – zapewnił Shan.

–Skąd wiesz? – zapytał żałośnie.

–Bo jesteś jednym z niewielu ludzi czystego serca.

Kiedy Shan pojawił się w szpitalu, doktor Sung starała się wyglądać na niezmiernie zajęta.

–Wynoście się – powiedziała. – Rozsiewacie niebezpieczeństwo jak zarazę.

Poszedł za nią, kiedy ruszyła korytarzem.

–Co to jest Klub Bei Da? – zapytał, niemal biegnąc, by dotrzymać jej kroku.

–Bei Da to uniwersytet. Klub to klub – warknęła.

–Jesteście członkiem?

–Jestem lekarzem zatrudnionym przez rząd ludowy. Jedynym lekarzem w tym ośrodku, jeżeli umknęło to waszej uwagi. Mam pracę do wykonania.

–Kto to był, towarzyszeko doktor?

Zatrzymała się i spojrzała na niego pytająco.

–Kto się do was dostał? – sprecyzował.

Jej twarz pokrył rumieniec. W pierwszej chwili Shan wziął to za gniew, potem jednak zorientował się, że mógł to być wstyd.

–Oni mówią, że to jest klub absolwentów Uniwersytetu Pekińskiego – powiedziała.

–Oczywiście jest tylko garstka absolwentów w całym Lhadrung. Zaprosili mnie kiedyś na spotkanie. Obiad w starej gompie poza miastem. Pomyślałam, że może chcą mnie przyjąć na członka.

–Ale nie zrobili tego.

–Poza Pekinem mamy ze sobą niewiele wspólnego.

–Kim oni są?

Sanitariusz, Tybetańczyk, zmywał podłogę. Przesunął wiadro w ich stronę. Shan odprowadził lekarzkę kawałek dalej, by nie mógł ich słyszeć.

–To wschodzące gwiazdy. Młoda elita. Wiecie. Niebieskie džinsy z przemytu. Okulary przeciwsłoneczne, które kosztują tyle, co miesięczny zarobek przeciętnej rodziny.

–Nie lubicie niebieskich džinsów i okularów słonecznych?

Doktor Sung wydawała się zaskoczona tym pytaniem. Zanim udzieliła odpowiedzi, spojrzała w głąb korytarza.

–Nie wiem. Pamiętam, że kiedyś lubiłam.

–A prokurator Jao? Czy on był członkiem? – zapytał Shan.

–Nie. Jao nie. Był absolwentem, ale chyba zbyt starym. Li jest członkiem. Wen z Urzędu do spraw Wyznań. Dyrektor kopalń. Paru żołnierzy.

–Żołnierzy? Major z Urzędu Bezpieczeństwa?

Wzmianka o Urzędzie Bezpieczeństwa jak gdyby zaniepokoiła Sung. Przez chwilę zastanawiała się nad pytaniem.

–Nie wiem. Był taki jeden. Wymuskany, bardzo arogancki. Z blizną po kuli na policzku.

–Leczyliście kiedykolwiek któregoś z nich?

–Zdrowi jak jaki, wszyscy co do jednego.

–I żadnego nie pogryzły psy?

–Psy?

–Nieważne. – Shan nie zapomniał, że czary kupowane w tajemnicy przez ragyapę obejmowały zaklęcia przeciwko ugryzieniom psów. Nie było w tym logiki, a jednak coś nie przestawało go dręczyć. Ktoś chciał wybaczenia od Tamdina, ale ochrony przed psami.

–Czy Jao kiedykolwiek powiedział wam, że oczekuje przejścia gdzie indziej? Przeniesienia?

–Napomykał to i owo. O tym, jak dobrze byłoby znaleźć się znów w prawdziwych Chinach.

–To jego słowa czy wasze?

Znów się zaczerwieniła.

–Mówił o powrocie. Każdy to robi. Powiedział, że kupiłby sobie kolorowy telewizor. Mówił, że w Pekinie można teraz złapać stacje z Hongkongu. Chyba w końcu mu się udało -dodała, jak gdyby po namyśle.

–Udało mu się?

–Wrócić do Pekinu. Panna Lihua przysłała faks z Hongkongu. Z prośbą o odesłanie jego ciała i dobytku.

Shan spojrzał na nią z niedowierzaniem.

–Niemożliwe. Nie przed zakończeniem śledztwa.

Sung odwróciła się z triumfalnym błyskiem w oku.

–Dziś rano przyjechała ciężarówka z Urzędu Bezpieczeństwa. Zabrali wszystko. Mieli już gotową trumnę. Odlecieli wojskowym samolotem z Gonggar.

–Utrudnianie postępowania sądowego to poważne przestępstwo.

–Nie wtedy, gdy życzy sobie tego Urząd Bezpieczeństwa. Poprosiłam o to na piśmie.

–Nie wydało się wam to dziwne? Zapomnieliście, że to śledztwo toczy się pod bezpośrednim nadzorem pułkownika Tana?

Spojrzała na niego spłoszona.

–Prokurator Li przyniósł nakaz – wyjaśniła zdenerwowanym tonem.

–Prokurator? Nie ma nowego prokuratora. Jeszcze nie.

–Co miałam zrobić? Depeszować do biura przewodniczącego po potwierdzenie?

–Kto podpisał ten nakaz?

–Major z Urzędu Bezpieczeństwa.

Shan załamał rękę.

–Czy ten major nie ma nazwiska? Czy nikt nie spytał go dlaczego?

–Towarzyszu, mając do czynienia z Urzędem Bezpieczeństwa, nigdy nie należy zadawać pytań.

Shan zrobił krok w stronę drzwi i odwrócił się.

–Muszę skorzystać z telefonu – powiedział. – Połączenia międzymiastowe.

Nie pytając o nic, zaprowadziła go do pustego gabinetu z tyłu budynku. Po jej wyjściu w drzwiach ukazała się nowa postać. Na twarzy Yeshego wciąż malowała się udręka, lecz w jego oczach pojawił się błysk zdecydowania.

–Kiedy wydalili mnie z uniwersytetu – oświadczył, wchodząc do pokoju – wiedziałem już, kto powiesił zdjęcie dalajlamy na ścianie. To nie był nawet Tybetańczyk, tylko jeden z moich chińskich przyjaciół. Zrobił to dla kawału, dla psoty. – Opadł na krzesło. – Wysłali mnie do obozu pracy, bo przypuszczali, że byłbym do tego zdolny. Ale nie byłem. Nie miałbym odwagi.

Shan położył mu dłoń na ramieniu.

–Popelniasz błąd, traktując odwagę jako coś, co pokazujesz innym. Prawdziwa odwaga jest tylko tym, co pokazujesz sam sobie.

–Trzeba wiedzieć, kim się jest, żeby umieć rozpoznać ten rodzaj odwagi – powiedział Yeshe z twarzą w dłoniach.

–Myślę, że ty to wiesz.

–Nie.

–Myślę, że człowiek, który odrzucił propozycję majora i ocalił życie Baltiego, wiedział, kim jest.

–Teraz, tutaj, wydaje mi się, że tylko odgrywałem rolę. Nie wiem, czy to byłem ja.

–Dla kogo ją odgrywałeś?

–Nie wiem. – Yeshe uniósł głowę, by spotkać wzrok Shana. – Może dla ciebie – powiedział cicho.

Shan zamknął oczy. W dziwny sposób słowa te nasunęły mu myśl o synu, synu, który był tak odległy, że nigdy nie stał się dla niego czymś więcej niż abstrakcyjnym pojęciem bez twarzy. O synu, który prawdopodobnie przypuszczał, że Shan nie żyje. O synu, który pogardzałby nim, żywym czy umarłym, jako nieudacznikiem. O synu, który nigdy nie wypowie do niego takich słów.

–Nie – powiedział, odwzajemniając spojrzenie Yeshego. Nie dla mnie, chciał powiedzieć. Na moich barkach nie ma już miejsca na jeszcze jedno brzemień. – Zrobiłeś to, ponieważ chcesz odkryć prawdę. Zrobiłeś to, ponieważ chcesz znów stać się Tybetańczykiem.

Oczy Yeshego pozostały bez wyrazu. Nie dał znaku, że w ogóle usłyszał jego słowa.

Shan przepisał numery z tajnych akt Jao.

–Jeśli to są numery telefonów, muszę wiedzieć czyich – powiedział, podając mu kartkę.

Yeshe westchnął i przejrzał spis.

–Moglibyśmy to zrobić w Czterysta Czwartej. Albo w koszarach.

–Nie. Nie moglibyśmy – odparł krótko. Bezpieka nie będzie podsłuchiwać połączeń z jakiegoś zapomnianego biura zapomnianego szpitala. – Na użytek centrali jesteś po prostu pracownikiem szpitala. Próbujesz namierzyć kogoś w związku z nagłym zgonem. Sprawdź Lhasę. Sprawdź Shigatse, Pekin, Szanghaj, Guangzhou, Nowy Jork. Aż do skutku. – Wyciągnął amerykańską wizytówkę znaną przy ciele Jao. – Potem sprawdź to.

Gdy Yeshe podnosił słuchawkę, Shan wyszedł na korytarz. Wyrzwał przez okno. Sierżant Feng spał w samochodzie. Odwrócił się. Tybetański sanitariusz znów był w pobliżu, obok otwartych drzwi jakiegoś pomieszczenia. Szorował podłogę, spoglądając na Shana. Na drugim końcu korytarza pojawił się inny, popychając wózek inwalidzki. Pierwszy przerwał pracę i pochwycił spojrzenie Shana, po czym nagłym gestem wskazał otwarte drzwi. Gdy Shan z wahaniem ruszył w jego stronę, usłyszał za sobą metaliczny grzechot. Drugi sanitariusz zbliżał się truchtem.

–Do środka – rozkazał pierwszy.

Była to ciemna komórka. W półmroku zdołał dostrzec miotłę i środki czystości. Czyjeś ramię owinęło mu się nagle wokół klatki piersiowej i do ust przyciśnięto mu szmatę cuchnącą silnym środkiem chemicznym. Coś twardego podcięło mu od tyłu kolana. Wózek inwalidzki. Ostatnim, co zapamiętał, był dźwięk dzwoneczków.

Ocknął się na ziemi w jakiejś jaskini, z gorzkim posmakiem w ustach. Chloroform. Jaskinię wypełniały małe, brązowe i złote posążki buddów oraz setki piętrzących się na półkach manuskryptów. W bladym świetle lampek maślanych zobaczył dwie postacie o ostrzyżonych do gołej skóry głowach. Jedna z nich wstała i zaczęła ocierać mu twarz wilgotną szmatką. Był to jeden z sanitariuszy. Na nadgarstku nosił różaniec, przy którym wisiały maleńkie dzwoneczki. Zapłonęła zapalka. Gdy wstał, w jaskini pojaśniało. Druga postać odsłoniła lampę naftową.

Rozległ się niski grzmot, jak gdyby grom. W przybierającym na sile świetle Shan dostrzegł drzwi w drewnianej futrynie. To nie była jaskinia. To była sala wykuta w litej skale, a grzmot był odgłosem tętniącego nad ich głowami ulicznego ruchu.

–Dlaczego tak interesuje cię kostium Tamdina? – zapytała nagle postać z lampą naftową. Był to nielegalny mnich z targowiska, purba o pokierszowanej twarzy. – Pytałeś dyrektora Wena z Urzędu do spraw Wyznań o kostiumy przechowywane w muzeach.

–Dlatego, że morderca chciał uchodzić za Tamdina – odparł Shan. Potarł czoło, by odpędzić ból. – Może uważał, że wykonuje jego polecenia.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

–I wydaje ci się, że ktoś ma kostium?

–Wiem, że ktoś go ma.

–A może ktoś podkłada ci niby to jego części, żebyś tak myślał?

Shan zastanowił się.

–Nie, widziano go. Kierowca Jao widział kogoś przebranego w kostium Tamdina. On nie kłamał. I podobnie było przy kilku pozostałych morderstwach. Być może przy wszystkich.

Purba przysunął lampę do twarzy Shana.

–Mówisz, że przez cały czas działał tylko jeden morderca?

–Dwóch, jak przypuszczam, ale pracujących razem.

–Ale jeśli wykażesz, że jeden z nich nosił obrzędowy kostium, oni uznają po prostu, że to byli buddyści.

–Chyba że udowodnimy inaczej.

Purba chrząknął z powątpiewaniem.

–Pałkarze w każdej chwili mogą otworzyć ogień do Czterysta Czwartej, a ty marnujesz czas na demony.

–Jeśli znasz lepszy sposób, żeby ich ocalić, powiedz mi.

–Jeśli to potrwa dłużej, z Lhadrung koniec. Stanie się strefą zmilitaryzowaną.

Shan poczuł, że ma sucho w ustach.

–Co macie zamiar zrobić?

–Może damy im piątego – odparł Purba.

–Piątego?

–Ostatniego z Piątki z Lhadrung. Wsadzimy go z powrotem do więzienia. Może wtedy ich spisek będzie musiał upaść. Nie będzie już kogo oskarżać.

To było bardzo tybetańskie rozwiązanie. Shan zauważył w oczach Purby coś nowego. Smutek.

–Tak po prostu – powiedział – ostatni z Piątki prosi o przyjęcie do więzienia.

–Myślałem nad tym. Mógłby pójść na tę górę, przeprowadzić obrzędy wyzwolenia z bardo i pozbyć się jungpo. Wtedy Czterysta Czwarta mogłaby zakończyć strajk i wrócić do pracy.

–Bezpieka wpadłaby w szal – potwierdził Shan. – Ten, kto przeprowadziłby obrzęd, sam by się skazał na lao gai.

–Właśnie. – Purba wzruszył ramionami. – Są inne rozwiązania. Ludzie wpadają w gniew.

Jego słowa przeraziły Shana.

–Choje, z Czterysta Czwartej, powiedział kiedyś, że ci, którzy najbardziej starają się czynić największe dobro, najczęściej wyrządzają największe zło.

–Nie wiem, co to ma znaczyć.

–To znaczy, że wiele zła popełnia się właśnie w imię cnoty. Ponieważ dla wielu cnota jest rzeczą względną.

Purba spojrział w płomień lampy.

–Nie uważam, że cnota jest rzeczą względną.

–Tak właśnie sądziłem.

Mężczyzna westchnął.

–Nie powiedziałem, że użyjemy przemocy. Powiedziałem, że ludzie wpadają w gniew. – Podniósł jednego z małych brązowych buddów i ścisnął go w dłoniach. – Tamtej nocy, kiedy zginał prokurator – oświadczył – do restauracji, gdzie jadł,

przyszedł posłaniec. Młody człowiek. Dobrze ubrany. Chińczyk. Nosił kapelusz. Miał jakąś kartkę dla Jao. Jeden z kelnerów powiedział coś prokuratorowi, który natychmiast wstał i odszedł porozmawiać z tym człowiekiem. A on dał coś Jao. Kwiat. Zasuszony, czerwony kwiat. Jao bardzo się podniecił. Wziął kartkę i kwiat, potem dał posłańcowi pieniądze. Posłaniec odszedł. Prokurator porozmawiał ze swoim kierowcą, po czym wrócił do kolacji z Amerykanką.

–Skąd o tym wiesz?

–Powiedziałaś, że musisz wiedzieć, co prokurator Jao robił tamtej nocy.

Pracownicy restauracji pamiętali.

Shan przypomniał sobie tybetański personel, trwożnie kulący się w kącie.

–Muszę wiedzieć, kto wysłał wiadomość.

–Tego nie wiemy. Ale posłaniec miał coś nie w porządku z oczami. Jedno z nich uciekało w bok. Jeden z kelnerów rozpoznał tego człowieka. Był świadkiem w procesie mnicha Dilgo.

–Tego z Piątki z Lhadrung?

Purba skinął głową.

–Czy rozpoznałby go znowu?

–Z pewnością. Ale może po prostu podam ci jego imię.

Shan drgnął gwałtownie.

–Znasz je?

–Kiedy tylko usłyszałem ten opis, wiedziałem, o kogo chodzi. Byłem na procesie.

On nazywa się Meng Lau. Jest żołnierzem.

–Ten sam człowiek, który teraz utrzymuje, że widział Sungpo – szepnął Shan.

Wstał podniecony, zbierając się do odejścia.

Purba cofnął się, odsłaniając skrytą w cieniu postać, która teraz wysunęła się naprzód, zastępując mu drogę.

–Proszę zaczekać, jeszcze chwilę – odezwała się. To była kobieta. Mniszka.

–Nie rozumiecie. Jeżeli nie wrócę...

Mniszka uśmiechnęła się tylko, po czym ujęła go za rękę i poprowadziła krótkim korytarzem do drugiego pomieszczenia. To musiała być gompa, uświadomił sobie Shan, podziemna świątynia starodawnej, zapomnianej gompy. To miało sens. Niegdyś każde tybetańskie miasto wznoszone było wokół usytuowanej w centrum gompy. Drugą salę oświetlały rzęsiście cztery zwieszające się z belek latarnie.

Nad z grubsza ciosanym stołem siedział zgarbiony mały człowieczek, pisząc coś w wielkiej księdze. Uniósł wzrok, zdjął kruche okulary w drucianych oprawkach i kilkakrotnie zamrugnął powiekami.

–Przyjacielu! – krzyknął radośnie cienkim głosem, zeskakując ze stołka, aby objąć Shana.

–Lokesh? To ty? – Serce Shana zabiło żywiej. Przytrzymał go na odległość ramienia, przyglądając mu się uważnie.

–Moja dusza wzbiła się w niebo, kiedy powiedzieli mi, że się tu zjawisz – odparł staruszek, uśmiechając się szeroko.

Shan nigdy nie widział Lokesha w innym stroju niż więzienne łachmany. Spoglądał

na niego ogarnięty gwałtowną falą radości. Czuł się, jak gdyby odnalazł dawno zaginionego wujka.

–Przybrałeś na wadze.

Staruszek roześmiał się i jeszcze raz objął Shana.

–To tsampa – powiedział. – Mam jej, ile dusza zapragnie.

Shan zobaczył na stole znajomy blaszany kubek, na pół wypełniony prażonym jęczmieniem. Takich kubków używano w Czteryście Czwartej. Przyzwyczajenia nie giną łatwo.

–A co z twoją żoną? Sądziłem, że pojechałeś z nią do Shigatse.

Lokesh uśmiechnął się.

–Tak było. To zabawne, ale dwa dni po moim powrocie na moją żonę przyszedł kres.

Shan spojrzał na niego z niedowierzaniem.

–Jestem... – Jestem co, zastanowił się. Przybity? Wściekły? Sparaliżowany bezradnością wobec, tego wszystkiego? – Przykro mi – powiedział.

Lokesh wzruszył ramionami.

–Pewien kapłan powiedział mi, że kiedy dusza dojrzeje, po prostu spada jak jabłko z drzewa. Mogłem być przy niej w tym czasie. Dzięki tobie. – Jeszcze raz objął Shana ramionami, cofnął się i zdjął z szyi małe, ozdobne puzderko. Było to stare gau, pojemnik na amulety Lokesha. Przełożył rzemyk ponad głową Shana.

–Nie mogę.

Lokesh położył palec na ustach.

–Oczywiście, że możesz. – Spojrzał na mniszkę. – Nie ma czasu na spory.

Mniszka obróciła wzrok ku cieniowi, gdzie zostawili purbę o pokiereszowanej twarzy. Jej oczy były wilgotne, gdy znów zwróciła się do Shana.

–Musisz nam pomóc. Musisz go powstrzymać.

–On powiedział, że nie popełni żadnego gwałtownego czynu – odparł niepewnie Shan.

Mniszka przygryzła wargę.

–Popełni go tylko na sobie.

–Na sobie?

–On chce iść na górę, wykonać zakazane obrzędy i oddać się w ręce pałkarzy. – Zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

Shan jeszcze raz spojrzał w cienie podziemnego labiryntu, nareszcie pojmując wszystko. Purba o pokrytej bliznami twarzy był ostatnim z Piątki z Lhadrung, następnym, na kogo padnie oskarżenie o morderstwo, jeżeli spisek będzie trwał.

Lokesh łagodnie odciągnął dłoń mniszki i poprowadził Shana do stołu.

–Czteryście Czwarta znów jest w kłopotach. Jeszcze raz potrzebujemy twojej mądrości, Xiao Shan.

Shan spojrzał tam gdzie on – na leżącą na stole księgę. Oprawiona w drewno i płótno, miała wymiary przerośniętego słownika. Był to manuskrypt, z wpisami dokonanymi kilkoma charakterami pisma, a nawet w kilku językach. W większości po tybetańsku, ale także po mandaryńsku, po angielsku i po francusku.

Mniszka uniosła ku niemu głębokie, smutne oczy.

–W Tybecie jest jedenaście kopii – powiedziała cicho. – Kilka w Nepalu i w Indiach. Jedna nawet w Pekinie. – Odsunęła się i gestem zaprosiła Shana, by usiadł przy stole. – Nazywamy ją *Księżą Lotosu*.

–Tak, przyjacielu – odezwał się z podnieceniem Lokesh, otwierając księgę na pierwszych stronach. – Szczęśliwi, którzy żyli w tamtych dniach. Czytałem te karty pięćdziesiąt razy i wciąż zdarza mi się płakać z radości nad wspomnieniami, jakie przechowują.

Strony nie były jednorodne. Niektóre zawierały wykazy, inne przypominały hasła w encyklopedii. Na samym początku widniała data. 1949, rok przed wkroczeniem komunistów do Tybetu.

–To jest rejestr tego, co istniało tu przed zniszczeniem. – W głosie Shana pobrzmiwał trwożny podziw. W księdze nie wymieniono tylko gomp i innych świętych miejsc. Zawierała też imienne spisy mnichów i mniszek, a nawet wymiary budowli. Wiele wykazów uzupełniały opowieści tych, którzy przeżyli, wspomnienia naocznych świadków. W tej właśnie księdze zapisywał coś Lokesh, kiedy Shan wszedł do sali.

–Pierwsza połowa, tak – potwierdziła mniszka, po czym otworzyła księgę na jedwabnej zakładce, gdzie zaczynała się inna lista.

Był to spis osób, wykaz imion i nazwisk. Shan poczuł, jak zgroza zaciska mu gardło.

–To wszystko chińskie nazwiska.

–Tak – odparł Lokesh, nagle poważniejąc. – Chińskie – szepnął. Obwisły mu ramiona i znieruchomiał, jak gdyby nagle opuściły go siły.

Mniszka pochyliła się nad księgą i przerzuciła karty na koniec, gdzie znajdowały się najświeższe zapisy. Wskazywała Shanowi nazwisko po nazwisku. Patrzył na nie z mieszaniną przerażenia i niedowierzania. Był tu Lin Ziang, zamordowany dyrektor Urzędu do spraw Wyznań, był Xong De, zmarły dyrektor kopalń, był też Jin San, były szef spółdzielni “Wielki Mur”. Wszystkie ofiary Piątki z Lhadrung.

Czterdzieści minut później odwieźli go, z zawiązanymi oczyma, na wózku inwalidzkim, przemierzając wśród zgrzytów wyciosane w skale korytarze, potem gładkie posadzki szpitala, zakręcając tak często, że nie potrafiłby odtworzyć trasy. Nagle, znowu przy dźwięku dzwoneczków, zakrywający mu oczy szal został rozwiązany i Shan stwierdził, że znajduje się w holu szpitala, sam.

Yeshe wciąż siedział przy telefonie, dyskutując z kimś. Na widok Shana odłożył słuchawkę.

–Próbowałem wszelkich kombinacji. Nic nie wychodzi. – Oddał mu kartkę. – Zanotowałem inne możliwości. Numery stron. Współrzędne. Numery próbek. Numery towarów. Potem przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić w sprawie jego urlopu. W Lhasie jest biuro podróży dla urzędników państwowych. Zadzwoniłem, żeby potwierdzić, co powiedzieli o jego wycieczce.

–I?

–Wybierał się do Dalianu, zgadza się, po drodze miał się zatrzymać w Pekinie. Ale

nie zostawił żadnych dyspozycji co do Pekinu. Żadnego samochodu z Ministerstwa Sprawiedliwości, który miałby go odebrać z lotniska.

Shan z uznaniem powoli skinął głową.

–Kiedy nie wracałeś, zabrałem się do innych spraw. Zadzwoiłem do tej kobiety z Urzędu do spraw Wyznań, do panny Taring. Powiedziała, że sama sprawdzi wykazy zabytków i żebym zadzwonił znowu. Kiedy to zrobiłem, stwierdziła, że jednego brakuje.

–Jednego wykazu?

Yeshe znacząco skinął głową.

–Z inwentaryzacji przeprowadzonej czternaście miesięcy temu w gompie Saskya. Raporty zdawcze wskazują, że wszystko poszło do muzeum w Lhasie. Ale u niej nie ma żadnego dokumentu, który mówiłby, co właściwie zostało znalezione.

Niedopatrzanie.

–Ciekawe.

Yeshe wydawał się nieco zbity z tropu reakcją Shana. Po chwili podał kolejną nowinę:

–I zadzwoniłem do tego biura w Szanghaju.

–Tej amerykańskiej firmy?

–Właśnie. Nie znają prokuratora Jao. Ale kiedy wspomniałem o Lhadrung, przypomnieli sobie o prośbie z tutejszego szpitala. Powiedzieli, że była jakaś korespondencja.

–I co?

–Było mnóstwo zakłóceń, potem połączenie się urwało. – Przerwał na chwilę, wyciągając kartkę spod podkładu na biurku. – Tak więc przeszedłem się do sekretariatu. Powiedziałem, że muszę przejrzeć kartoteki. Znalazłem to, sprzed sześciu tygodni. – Podał Shanowi dokument.

Był to list od doktor Sung do biura w Szanghaju. Lekarka pytała w nim o możliwość udostępnienia na próbę przenośnego aparatu rentgenowskiego, z prawem zwrotu w ciągu trzydziestu dni, gdyby uznano, że nie odpowiada potrzebom szpitala.

Shan schował kartkę do swego notatnika. Wyszedł z pokoju i puścił się biegiem.

Pani Ko zaprowadziła ich do restauracji obok siedziby władz okręgu.

–Najlepiej poczekać – powiedziała, wskazując pusty stolik w głębi, tuż przy drzwiach, których strzegł kelner z tacą w założonych na piersi ramionach.

Sierżant Feng zamówił makaron, Yeshe zupę kapuścianą. Shan niecierpliwie sączył herbatę. Po dziesięciu minutach wstał i podszedł do drzwi. Pani Ko zatrzymała go i odciągnęła z powrotem.

–Nie wolno – upomniała go. – Dobrze – westchnęła, widząc determinację w jego oczach i wślizgnęła się przez drzwi. Parę chwil później ze środka wysypało się, jeden po drugim, kilku oficerów armii, a ona otworzyła drzwi dla Shana.

Salę wypełniała woń dymu tytoniowego, cebuli i smażonego mięsa. Tan siedział sam przy okrągłym stole, paląc papierosa. Personel sprzątał nakrycia.

–Świetnie – powiedział, gwałtownie wydmuchując dym przez nozdrza. – Wiecie,

jak spędziłem ranek? Wysłuchując kazania od Urzędu Bezpieczeństwa. Być może postanowią zgłosić naruszenie porządku publicznego. Zwrócili uwagę, że zakłócam procedury dochodzeniowe. Odnotowali, że bezpieczeństwo Nefrytowego Źródła było zagrożone dwukrotnie w ciągu ostatnich piętnastu lat. Oba razy w tym tygodniu. Stwierdzili, że w jednym z moich bloków więziennych urządzono pieprzoną gompę. Napomykali, że podejrzewają szpiegostwo. Co wy wiecie na ten temat? – Znowu zaciągnął się papierosem i wydmuchnął powoli dym, obserwując Shana przez sine kłęby. – Powiedzieli, że oddziały wysłane do Czterysta Czwartej przystąpią jutro do ostatecznych działań.

Shan próbował ukryć dreszcz, który przeszedł mu po plecach.

–Prokurator Jao został zabity przez kogoś, kogo znał – oświadczył. – Przez kolegę. Przez przyjaciela.

Tan zapalił papierosa od niedopałka poprzedniego, milcząco świdrując Shana wzrokiem.

–Macie wreszcie dowody?

–Tamtego wieczoru pojawił się posłaniec z listem. – Shan wyjaśnił, co zdarzyło się w restauracji, nie wyjawiając jednak tożsamości posłańca. Tan nigdy nie uwierzyłby słowom purby sprzecznym z zeznaniem żołnierza.

–To niczego nie dowodzi.

–Dlaczego posłaniec nie przekazał listu kierowcy Jao? Wszyscy znali Baltiego. Każdy zostawia wiadomości kierowcom. Taki jest zwyczaj. Balti czekał w samochodzie pod restauracją. Mieli jechać na lotnisko.

–Być może ten posłaniec nie znał Baltiego.

–Nie wierzę w to.

–Więc tak czy inaczej uwalniamy Sungpo – stwierdził kwaśno Tan.

–Nawet gdyby nie znał Baltiego, kelnerzy odesłaliby go do samochodu. Jeden z nich zatrzymał go, przekonany, że tego właśnie życzy sobie Jao. Ale Jao oczekiwał czegoś albo rozpoznał coś, czemu nie mógł pozwolić czekać. Tak więc porozmawiał z posłańcem. Z dala od kelnera. Z dala od stolika, przy którym siedziała Amerykanka. Z dala od Baltiego. I usłyszał coś, co wymagało pilnej reakcji, tak że mimo swej uporządkowanej natury zmienił plany.

–On znał Sungpo. Sungpo mógł wysłać tę wiadomość – powiedział Tan.

–Sungpo był w swojej grocie.

–Nie. Sungpo był na Szponie Południowym i czekał na swoją ofiarę.

–Świadkowie mówią, że Sungpo nigdy nie opuścił groty.

–Świadkowie?

–Ten człowiek imieniem Jigme. Mnich Je. Obaj złożyli zeznania.

–Sierota gompy i zgrzybiały starzec.

–Przypuśćmy, że to Sungpo wysłał tę wiadomość – podsunął Shan. – Prokurator Jao nie pojechałby w jakieś odludne miejsce sam, bez ochrony, aby spotkać się z człowiekiem, którego kiedyś wpakował do więzienia. Nic, co jakkolwiek mnich mógłby mu powiedzieć, nie skłoniłoby go do takiego zachowania. Spieszył się na lotnisko.

–Więc ktoś pomógł Sungpo. Ktoś skłamał.

Shan spojrzał na pułkownika z uśmiechem zwycięstwa.

–Cholera – mruknął Tan pod nosem.

–Otóż to. Ktoś, komu Jao ufał, przywabił go nowinami, które mógł wykorzystać podczas urlopu. Informacjami, które pomogłyby mu w tajnym śledztwie. Które mogły mu się przydać w Pekinie. Musimy odkryć, co to było.

–On nie miał żadnych spraw w Pekinie. Widzieliście faks od panny Lihua. Po prostu miał się tam zatrzymać w drodze do Daliami. – Tan przyglądał się, jak popiół z jego papierosa tworzy mały wzgórek na obrusie.

–W takim razie po co organizowałyby tam sobie dzienny postój?

–Powiedziałem wam. Może chciał zrobić zakupy. Odwiedzić rodzinę.

–Albo załatwić coś związanego z Bambusowym Mostem.

–Z Bambusowym Mostem?

–To było na kartce w jego marynarce.

–W jakiej marynarce?

–Znalazłem jego marynarkę.

Tan momentalnie uniósł głowę.

–Znaleźliście tego khampę, prawda? Powiedzieliście zastępcy prokuratora, że nie, ale naprawdę go znaleźliście? – zapytał z podnieceniem w głosie.

–Pojechałem do Kham. Znalazłem marynarkę prokuratora. To było najlepsze, co mogliśmy zrobić. Balti nie miał z tym nic wspólnego.

Tan uśmiechnął się z aprobatą.

–Nieźle dokonanie, wytropić marynarkę na pustkowiu. – Zdusił papierosa i uniósł wzrok z poważniejszym wyrazem twarzy. – Dowiadaliśmy się o waszego porucznika Changa.

–Czy ktoś wydobył jego ciało?

–To nie mój problem.

Jeszcze jeden podniebny pogrzeb, pomyślał Shan.

–Ale on był z armii. To jeden z waszych ludzi.

–W tym cała rzecz. On naprawdę wcale nie był z ALW.

–Ale służył w Czterysta Czwartej.

Tan uciszył go uniesieniem dłoni.

–Piętnaście lat w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Przeniesiony do ALW zaledwie rok temu.

–To nie ma sensu – powiedział Shan. Nikt nie opuszczał elitarnych szeregów pałkarzy, żeby wstąpić do armii.

Tan wzruszył ramionami.

–Przy odpowiednim protektorze mogłoby mieć.

–A wy nic o tym nie wiedzieliście?

–Przeniesienie zostało odnotowane w rejestrach armii dwa dni przed jego przybyciem.

–Mogło być jeszcze inaczej – zauważył Shan. – Być może on nadal pracował dla kogoś z bezpieki.

–Nonsens. Bez mojej wiedzy?

Shan tylko spojrział na pułkownika. Tan zacisnął zęby, trawiąc tę myśl.

–Sukinsyny – warknął.

–Gdzie porucznik Chang służył przedtem?

–Na południe stąd. W wojskach pogranicznych. Pod majorem Yangiem.

A więc on jednak ma nazwisko, pomyślał Shan.

–Co wiecie o tym człowieku?

Tan wzruszył ramionami.

–Twardy jak skała. Zasłynął w walce z przemytnikami. Nie bierze więźniów.

Któregoś dnia zostanie generałem.

–Dlaczego, towarzyszu pułkownika, tak znakomity oficer miałby zadać sobie tyle trudu i osobiście aresztować Sungpo?

Tan zmarszczył brwi.

–Wiecie, że tak było?

Shan skinął głową.

–Ludzie tego pokroju nie tłumaczą się ze swoich poczynań – odparł bez przekonania Tan. – On mi nie podlega, jest z Urzędu Bezpieczeństwa. Jeśli postanowił pomóc Ministerstwu Sprawiedliwości, nie mogę temu przeszkodzić.

–Gdybym to ja prowadził śledztwo na użytek Urzędu Bezpieczeństwa, myślę, że nie paradowałbym po całym okręgu w jaskrawoczerwonym landrowerze ani nie hałasowałbym po wsiach helikopterem.

–Może to gorycz przez was przemawia. O ile dobrze pamiętam, wasz nakaz uwiezienia został podpisany przez centralę Urzędu Bezpieczeństwa. Qin je zlecił, ale Urząd je zrealizował.

–Być może – przyznał Shan. – Ale mimo wszystko, porucznik Chang próbował nas zabić. A on prawdopodobnie pracował dla majora.

Tan niepewnie pokręcił głową.

–Chang nie żyje, a wy wciąż macie robotę do wykonania. – Wstał, zbierając się do odejścia.

–Czy słyszeliście o *Księdze Lotosu*? – zapytał Shan, zatrzymując go w drzwiach. – To dzieło buddystów.

–Nie mogę sobie pozwolić na luksus studiów religijnych – odparł Tan ze zniecierpliwieniem.

–To raczej rejestr – wyjaśnił Shan głuchym tonem. – Zaczęli spisywać go dwadzieścia lat temu. Katalog nazwisk. Z podaniem miejsc i... – zastanowił się nad odpowiednim słowem -...wydarzeń.

–Wydarzeń?

–W jednej z części niemal wszystkie nazwiska należą do Chińczyków. Przy każdym jest komentarz. Opis roli, jaką osoba ta odegrała w niszczeniu gomp. Udział w egzekucjach. W łupieniu świątyń. W gwałtach. Morderstwach. Torturach. Informacje są bardzo ścisłe. W miarę rozpowszechniania lista jest uzupełniana i aktualizowana. Uchodzi za zaszczyt móc dodać własne imię do listy autorów.

Tan zeszytniał.

–Niemożliwe! – wybuchnął. – To byłaby działalność antypaństwowa. Zdrada stanu.

–Jest tam wymieniony prokurator Jao. Zarządził zniszczenie pięciu największych gomp w okręgu Lhadrung. Trzystu dwudziestu mnichów zniknęło. Dwustu innych trafiło do więzień.

Tan opadł na krzesło. Na jego twarzy znów pojawiło się ożywienie.

–Ale to byłby dowód. Dowód, że sprzątnęli go radykałowie.

–Był tam też Lin Ziang z Urzędu do spraw Wyznań – ciągnął Shan. – Na jego polecenie zniszczono w zachodnim Tybecie dwadzieścia pięć gomp i czortenów. Kierował przewiezieniem zabytków o wartości oszacowanej na dziesięć milionów dolarów do Pekinu, gdzie zostały przetopione na złoto. Wysunął pomysł przydzielenia mniszek dla rozrywki jednostkom wojskowym. Był tam Xong De z Ministerstwa Geologii. W młodości zarządzał więzieniem. Miał szczególne upodobanie do kciuków.

–Chcę to mieć! – ryknął Tan. – Chcę tych, którzy to napisali!

–Ta księga nie istnieje w jednym egzemplarzu. Jest przekazywana. Kopie są przepisywane ręcznie. Znajdują się w całym kraju. A nawet za granicą.

–Chcę mieć tych, którzy to napisali – powtórzył Tan, już spokojniej. – Nie chodzi o te informacje. To tylko historia. Ale samo spisywanie tego...

–Wydaje mi się – przerwał mu Shan – że wystarczy nam jedno śledztwo, z którym nie możemy sobie poradzić.

Tan wyciągnął papierosa i postukał nim nerwowo o stół, jak gdyby przyznając mu rację.

–W Czterysta Czwartej są więźniowie – ciągnął Shan – którzy potrafią wyrecytować w najdrobniejszych szczegółach okropności popełnione w szesnastym wieku przez pogańskie armie, które zaatakowały buddystów, jak gdyby zdarzyło się to wczoraj. W ten sposób czci się tych, którzy cierpieli, i zachowuje pamięć o hańbie tych, którzy popełnili te czyny.

Gniew Tana zaczął gasnąć. Pułkownik nie miał, jak podejrzewał Shan, sił na więcej niż jedną bitwę naraz.

–To jest wasz dowód, że te zabójstwa miały ze sobą związek – zauważył.

–Nie mam co do tego wątpliwości.

–Ale to potwierdza tylko mój pogląd o destabilizującej sile chuliganów kulturowych.

–Nie. Purbowie odsłonili przede mną ten sekret, żeby ochronić siebie.

–Co macie na myśli?

–Im też zależy na rozwikłaniu sprawy tych morderstw. Zrozumieli, że gdyby Urząd Bezpieczeństwa dowiedział się o księdze i uznał, że ma ona związek z zabójstwami, ściągnęłyby na nich zgubę. Został jeszcze jeden z Piątki z Lhadrung. Jeszcze jedno morderstwo, w które można by go wrobić. A jeśli ofiarą będzie jakiś dygnitarz, pałkarze wkroczą tu na dobre. Prawo wojskowe. To cofnie Lhadrung o trzydzieści lat.

–Dygnitarz?

–W księdze było jeszcze jedno nazwisko – wyjaśnił Shan. – Człowieka odpowiedzialnego za unicestwienie osiemdziesięciu gomp. Zniszczenie dziesięciu czortenów, żeby zbudować bazę raketową. Zniknięcie transportu rebeliantów khampów przewożonych do lao gai. W kwietniu 1963 roku.

To było ostatnie nazwisko z Lhadrung – ciągnął. – Jedyne żyjącego spośród wymienionych. Człowieka, który nadzorował spalenie piętnastu innych gomp. Dwustu mnichów zginęło w płonących budynkach – relacjonował Shan z dreszczem zgrozy. Wyrwał z notesu kartkę, na której zapisał te dane, i rzucił ją na stół przed Tana. – To wasze nazwisko.

ROZDZIAŁ 14

Na zewnątrz sierżant Feng stał niespokojnie między dwoma pałkarzami.

–Towarzyszu Shan! – zawołał Li Aidang z ciemnoszarego sedana zaparkowanego naprzeciw restauracji. Zastępca prokuratora otworzył drzwi i gestem zaprosił Shana do środka. – Pomyślałem, że moglibyśmy pogawędzić. Wiecie, prowadzimy w końcu tę samą sprawę.

–Więc wróciliście cali i zdrowi. Na Kham wszystko może się zdarzyć – zauważył sucho Shan. Dostrzegając niepewność w oczach Fenga, zawahał się, jednak wsunął się na tylne siedzenie obok Li.

–Znaleźliśmy go, wiecie – oznajmił zastępca prokuratora. Shan wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie chwycić przynęty.

–To znaczy przekonaliśmy klan w dolinie, żeby powiedział nam, gdzie jest jego obozowisko.

–Przekonaliście?

–Nie trzeba było wiele – stwierdził chełpliwie Li. – Śmigłowiec, mundur. Niektórzy ze starych po prostu skamlali. Dowiedzieliśmy się, gdzie szukać, ale kiedy tam poleciliśmy, już ich nie było. Popiół w ognisku był jeszcze ciepły. Zniknęli bez śladu. – Spojrzał uważnie na Shana. – Jak gdyby ktoś ich ostrzegł.

Shan wzruszył ramionami.

–Tak to już jest z koczownikami. Mają zwyczaj przenosić się z miejsca na miejsce. Jeden z pałkarzy zatrzasnął drzwi, usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Gdy odjeżdżali, Shan odwrócił się i ujrzał, jak drugi żołnierz blokuje Fengowi drogę do terenówki.

Tajemnicza postać na przednim siedzeniu odwróciła się i spojrzała na Shana.

–Pamiętacie majora, towarzyszu – odezwał się Li.

–Major Yang, jak sądzę – zauważył Shan. – Strażnik bezpieczeństwa publicznego.

–Zgadza się – potwierdził lapidarnie Li.

Oficer skrzywił pół twarzy na znak, że poznaje Shana, po czym znów się odwrócił.

Szybko wyjechali poza miasto, trąbiąc od czasu do czasu, by rozpędzić pieszych i wszelkie pojazdy, które ośmieliły się znaleźć na ich drodze.

Dziesięć minut później wjechali do wiecznie zielonego lasu porastającego niewielką dolinę pięć kilometrów od głównej drogi. Gdy minęli ruiny starodawnego murku mani, las zaczął nabierać uporządkowanego wyglądu. Drzewa były przycinane i pielęgnowane. Wzdłuż drogi, wysypanej zagrabionym żwirem, kwitły wiosenne kwiaty.

Minęli kolejny mur, wyższy od poprzedniego, i znaleźli się na dziedzińcu bardzo starej gompy. Miała jedną wieżę z kamienia i szarej cegły oraz, po przeciwnej stronie dziedzińca, mały czorten, dwa razy wyższy od człowieka. Plac wyłożony był nowymi kamiennymi płytami. Świeżo otynkowane mury pokrywano właśnie farbą. Pod ścianą po drugiej stronie dziedzińca zgromadzono posągi buddów i innych postaci religijnych, w tym kilka złożonych. Stały bezładnie jedne obok drugich, niektóre przodem do ściany, inne ostro przechylone, kilka opartych o siebie nawzajem. Shan miał wrażenie, że znalazł się w bogatej, ale zaniedbanej willi. Gdy wysiadali z

samochoду, poczuł unoszącą się w powietrzu lekką woń piwonii.

Major zniknął za masywną bramą. Li poprowadził Shana do przedsionka sali zgromadzeń, włączył światło i wskazał surowy, drewniany stół, wokół którego stało parę zydli. Shan przyjrzał się uważnie instalacji elektrycznej. Była nowa. Niewiele odległych gomp miało prąd.

Li szerokim gestem omiół pomieszczenie.

–Zrobiliśmy, co było w naszej mocy, żeby to zachować – powiedział z udawaną pokorą. – To zawsze jest walka, wiecie.

Podłogę stanowiły parusetletnie ręcznie cięte deski upstrzone śladami gaszonych papierosów.

–Nie ma tu mnichów.

–Będą. – Li krążył po sali niczym właściciel dokonujący przeglądu swej posiadłości. Na kołkach osadzonych w ścianie rozwieszono mnisie szaty, by gompa sprawiała wrażenie zamieszkaney. – Dyrektor Wen załatwia wszystko. Przystanek dla Amerykanów. Przygotujemy kilka inscenizacji. Damy im zapalić parę lampek maślanych i kadzideł.

–Inscenizacji?

–Obrzędów. Dla atmosfery. – Li zdjął z kołka starodawną szatę obrzędową ze wstawkami ze złotego brokatu i jedwabiu przedstawiającymi chmury i gwiazdy. Zdjął marynarkę i uśmiechnięty przymierzył szatę, z zadowoleniem wygładzając rękawy. – Wykańczamy sprawy. Zostało już tylko parę dni do ich przybycia. – Przechadzał się po pokoju dumny jak kogut, próbując złapać swoje odbicie w małych szybkach okiennych. – Za parę dolarów ekstra pozwolimy Amerykanom nałożyć szaty i pokręcić młynkami modlitewnymi. W tle puścimy nagrania mantr. Za dodatkową opłatą proponujemy jednogodzinny kurs buddyjskiej medytacji.

–Coś w rodzaju buddyjskiego wesołego miasteczka.

–Właśnie! Myślmy bardzo podobnie! – wykrzyknął Li, po czym spoważniał. – Dlatego właśnie musiałem z wami porozmawiać, towarzyszu. Muszę się do czegoś przyznać. Nie byłem z wami do końca szczerzy. Ale teraz muszę, żeby uzmysłwić wam pewne sprawy. Prowadzę równoległe śledztwo, nie związane ze śmiercią prokuratora Jao. Ważniejsze. Jednakże wasze działania... nie macie pojęcia, ile szkód możecie wyrządzić. Bardzo nam utrudniacie.

–Co utrudniam?

–Zrobienie tego, co zrobić należy. Jesteście poza swoim żywiołem. Jesteście wykorzystywani.

–Jestem zdezorientowany – stwierdził Shan, przyglądając się półce za stołem. – Co właściwie macie na myśli? – Zappełniały ją małe ceramiczne figurki jaków i panter śnieżnych oraz cały rząd muskularnych buddów z czerwoną chińską flagą w dłoniach.

Li usiadł na zydłu obok Shana, nie zwracając uwagi na to, że w ramionach zabytkowej szaty pękają szwy.

–Tan może udawać, co mu się podoba. To przywilej jego urzędu. Ale wy, wy nie możecie udawać. Przykro mi. Musimy być szczerzy. Jesteście więźniem. Byliście

więźniem. Będziecie więźniem. Ani wy, ani ja nic nie możemy na to poradzić.

–Towarzyszu zastępczo prokuratora, zdolność udawania straciłem już wiele lat temu.

Li roześmiał się i zapalił papierosa.

–Wracajcie do Czteryście Czwartej – powiedział nagle.

–To nie leży w mojej mocy.

–Przyłączcie się do strajku. Możemy pozwolić wam rozwiązać konflikt. Staniecie się bohaterem. Z adnotacją w aktach. Być może ocalicie wiele istnień ludzkich.

–Co dokładnie proponujecie?

–Możemy przenieść oddziały bezpieczeństwa gdzie indziej.

–Mówicie, że odwołacie pałkarzy, jeżeli przerwę śledztwo?

Li podszedł do półki z ceramicznymi pamiątkami. Podniósł jednego z buddów i zaciągnąwszy się papierosem, dmuchnął w podstawę. Przez oczy figurki wyszedł dym.

–To rozwiązałyby wiele problemów.

–Nie wyjaśniliście jeszcze dlaczego.

–Oczywiście są rzeczy, których nie wolno mi wam ujawnić.

–Tak więc przywieźliście mnie tutaj, żeby mi powiedzieć, że nic mi nie powiecie.

Li podszedł do Shana i poklepał go po plecach.

–Podoba mi się wasze poczucie humoru. Widać, że jesteście z Pekinu. Któregoś dnia, kto wie? Może znalazłoby się wśród nas miejsce i dla was. – Mówiąc, chodził w tę i z powrotem wokół Shana. – Sprowadziłem was tutaj, żeby was ocalić. Próbujemy z majorem znaleźć sposób, by okazać wam wielkoduszność. Jest już zbyt wiele ofiar. Nie ma potrzeby, żebyście cierpieli dłużej. Jeśli minister Qin w Pekinie życzy was sobie w lao gai, to jest sprawa między wami i nim. Ale minister Qin jest bardzo stary. Któregoś dnia możecie otrzymać nową szansę. Widzę, że jesteście człowiekiem inteligentnym. Wrażliwym. Pewnego dnia znów staniecie się użyteczni dla narodu. Ale nie z pułkownikiem Tanem. On jest bardzo niebezpieczny.

–Ja nie jestem dla niego zagrożeniem.

Li spojrział na swego papierosa.

–Nie to miałem na myśli. On wami manipuluje. Myśli, że może ignorować oficjalne procedury. Czy nie zastanowiło was, dlaczego on unika prokuratury?

Shan nie odpowiedział.

–Albo dlaczego każe wam pracować z niepewnymi elementami?

–Z niepewnymi elementami?

–Skompromitowanymi, jak doktor Sung.

–Jestem pełen szacunku dla jej doświadczenia zawodowego.

Li wzruszył ramionami.

–Otóż to. Nie powiedziano wam o jej problemach. O jej uprzedzeniach. Odmówiono jej przeniesienia w normalnym terminie z powodu zaniedbania obowiązków.

–Zaniedbania obowiązków?

–Samowolnie opuściła na tydzień miejsce pracy, żeby zajmować się

nieuprawnionymi pacjentami.

–Nieuprawnionymi pacjentami?

–Jakąś szkołą wysoko w górach. Zupelne odludzie. Nikt w Lhasie o niej nie pamiętał. Dzieciaki umierały na coś. Oni tam łapią różne świństwa, choroby, których nie ma już nigdzie indziej na świecie.

–Tak więc lekarka została ukarana za to, że niosła pomoc umierającym dzieciom?

–Nie w tym rzecz. Rodzice tych dzieci powinni byli przyprowadzić je do szpitala. Zostawiła bez opieki paru ważnych pacjentów. Niektórzy byli członkami partii. Ona nie wróci do domu. Jeszcze długo.

–I nie ma żadnych perspektyw, jeśli zostanie. – Kusilo go, żeby zapytać, kiedy doktor Sung dopuściła się tego nierozważnego postępcu. Została zaproszona na obiad, ale potem odmówiono jej przyjęcia do Klubu Bei Da. Przypomniał sobie, jak nerwowo wyrecytowała mu dogmat partyjny o pośledniości mniejszości tybetańskiej i polityce traktowania nieproduktywnych pacjentów w górach. To były słowa z tamzingu.

–Rozumiecie – powiedział Li z udawaną wdzięcznością – postawiliście mnie w bardzo niezręcznej sytuacji, towarzyszu Shan. Chodzi wam o to, abym wam zaufał, prawda?

Shan nie odpowiedział.

–To byłaby rzecz bez precedensu – stwierdził Li. – Prokuratura ufająca skazanemu przestępcy.

–Nigdy nie miałem procesu, jeśli to może poprawić wam samopoczucie.

Li uniósł brwi i powoli skinął głową.

–Tak, towarzyszu, dobry punkt. Nie skazaniec, po prostu aresztant. – Zapalił drugiego papierosa od niedopałka pierwszego. – W porządku. Musicie wiedzieć. Toczy się śledztwo w sprawie korupcji. Największe, z jakim kiedykolwiek miano do czynienia w Tybecie. Prawie skończyliśmy. Jao miał właśnie ogłosić wnioski. Możemy wkrótce wkroczyć do akcji. Ale wy ich przepłoszycie.

–Więc Jao został zabity przez podejrzanego o korupcję? – zapytał Shan. To byłoby bardzo rozsądne rozwiązanie. Z pewnością zadowoliliby Ministerstwo Sprawiedliwości.

–Niezupełnie. Po prostu ten chuligan Sungpo nie miał żadnego pojęcia o skutkach swojego czynu. Bez Jao cała sprawa leży w gruzach. Musimy doprowadzić ją do końca. Jesteśmy to winni Jao. Jesteśmy to winni narodowi. Ale wy robicie zbyt wiele zamętu. Wystraszcicie naszych podejrzanych. Zepsujecie wszystko.

–Jeżeli mówicie, że prokurator Jao miał zamiar aresztować pułkownika Tana, to Tan miał więcej powodów niż ktokolwiek inny, żeby go zabić. Oskarżcie go o morderstwo i możecie uwolnić Sungpo. Pałkarze opuszczą Czterysta Czwartą. To jest rozwiązanie.

–Dajcie mi jakieś dowody.

–Przeciwko pułkownikowi Tanowi? – zapytał Shan. – Zdawało mi się, że dajecie mi do zrozumienia, że już je macie.

–Mogłoby się wydawać, że powinniście mieć powody, by cieszyć się z odejścia

starej gwardii.

–Jestem zwolennikiem przyczyn naturalnych – stwierdził zamyślony Shan.

–Nie możecie się raczej spodziewać, że on będzie was chronić.

–Uwolniono mnie od troski o własne bezpieczeństwo. Zostałem oddany pod opiekę państwa.

Na twarzy Li pojawił się szyderczy uśmiech.

–Jesteście zabezpieczeniem Tana. Jego buforem. Jeśli nie uda się wam zbudować sprawy, sam ją stworzy. Będzie miał własny materiał dowodowy, nawet jeśli wy nie zbierzecie swojego. Wszystkie wasze poczynania można zinterpretować jako próby krycia opozycjonistów. A już samo utrudnianie wymiaru sprawiedliwości prowadzi prosto do lao gai. Mówiłem wam. Dowiadywałem się o was. Tan nie wybrał was po prostu dlatego, że byliście inspektorem. Wybrał was dlatego, że z definicji jesteście winni. I spisani na straty.

Była to jedyna rzecz ze wszystkiego, co powiedział Li, co do której Shan nie miał wątpliwości. Obserwował swe palce: poruszały się, pozornie z własnej woli, układając się w mudrę. Diament mądrości.

–Nikt was nie obroni. Nikt nie powie, że Shan jest wzorowym więźniem, przodownikiem pracy. Tan nie może nawet umieścić waszego nazwiska w raporcie. Nie istniejecie. Nie ma potrzeby, żebyście wy także stali się ofiarą.

Była to najbardziej otwarta groźba, na jaką zdobył się zastępca prokuratora. Shan przyglądał się swojej mudrze.

–To miejsce – powiedział w nagłym olśnieniu, jeszcze raz rozglądając się po sali – to jest Klub Bei Da.

Wyczuł za sobą raptowny ruch, jak gdyby Li nagle drgnął.

–To stara gomp. Służy wielu celom.

–Widziałem listę gomp wyznaczonych do odbudowy. Tej na niej nie było.

–Towarzyszu, obawiam się o was. Nie chcecie słuchać tych, którzy chcą wam pomóc.

–Czy zezwolono na jej odbudowę?

Li z westchnieniem zdjął obrzędową szatę i rzucił ją na stół.

–Urząd do spraw Wyznań zaklasyfikował ją jako obiekt muzealny. W takim wypadku nie potrzeba zezwolenia.

Shan uniósł dłonie na znak zawodu.

–Podziwiam waszą zdolność godzenia tego wszystkiego. Ja wciąż się w tym gubię. Jeśli grupa opłacana przez Pekin spotyka się, by dyskutować o kwestiach wychowania, jest to działalność socjalistyczna. Ale jeśli to samo robi grupa odziana w wiśniowe szaty, mamy do czynienia z nielegalną działalnością kulturową.

Li przyglądał mu się z natężeniem. Obaj byli świadomi, jak niebezpieczna stała się ta gra.

–Nie jesteście na bieżąco, towarzyszu. Dokonano wielkiego postępu w ustaleniu zasad socjalistycznego postępowania wobec mniejszości etnicznych.

–Nie miałem możliwości skorzystać ze szkolenia, jakie było waszym udziałem – przyznał Shan. Wstał, kierując się do drzwi.

–Dokąd idziecie? – zapytał Li z irytacją w głosie.

–Słońce wychodzi zza chmur. – Nim Li zdążył zaprotestować, Shan był już na dziedzińcu.

Na teren gomy wjechała ciężarówka z emblematem Urzędu do spraw Wyznań. Robotnicy rozstawiali na dziedzińcu ławki, jak gdyby do jakiegoś wykładu. Kierowała nimi młoda kobieta, którą Shan spotkał w biurze dyrektora Wena – panna Taring, archiwistka.

Na jej widok doznał olśnienia. W swej podziemnej kryjówce purbowie dali mu do zrozumienia, że wiedzą o jego rozmowie z Wenem na temat kostiumu. Tylko jedna osoba mogła im o tym powiedzieć. Panna Taring. Przekazała wiadomość purbom, a może nawet sama do nich należała. Przyjrzał się jej uważnie, jakby widział ją po raz pierwszy. Jej włosy były zebrane w ciasny kok. Biała bluzka i długa ciemna spódnica nadawały jej wygląd wzorowej pracownicy. Zatrzymała się, zdawkowo skinęła mu głową i miała już ruszyć dalej, kiedy zauważyła jego spojrzenie. Zakładając ręce za plecami, odwróciła się wolno, by wydać polecenia robotnikom. Shan miał już od niej oderwać wzrok, gdy spostrzegł, że jej dłonie się poruszają. Zaciśniętych w pięści, niemal dotykając się, z kciukami zwróconymi ku sobie pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Widział już wcześniej ten znak, mudrę ofiary. Alope, lampy rozświetlające świat.

Trzymała tak dłonie tylko przez chwilę, po czym powoli zwróciła głowę w głąb dziedzińca. Podeszła do tylnej ściany i stanęła obok jednej z wielkich głów buddów, odwracając się z ukosa ku czemuś, czego Shan nie mógł dojrzeć.

Przyglądał się jej zdezorientowany, po czym ruszył ku niej. Odeszła, nim zdążył podejść, nie zwracając na niego uwagi. Stał w tym samym miejscu, próbując rozwiązać zagadkę. Między budynkami był odstęp, który częściowo wypełniono ceglami. Ponad nie dokończonym murem otwierał się widok na eleganckie patio. Mężczyzna w stroju kelnera niósł tacę z wysokimi kieliszkami. Wielka drewniana wanna, częściowo osadzona w ziemi, wypełniona była parującą wodą. Wchodziły do niej dwie zadbane młode kobiety w bikini.

Zbity z tropu, odwrócił się powoli i spojrzał w przeciwnym kierunku. Na chwilę oniemiał z wrażenia. Przed sobą miał niski budynek, szopę zamienioną w garaż. W środku stały dwa czerwone landrowery.

Kątem oka spostrzegł nadchodzącego Li. Odwrócił się i wolno ruszył wzdłuż rzędu kamiennych głów, czekając, aż zastępca prokuratora zrówna się z nim.

–Czy porucznik Chang z Czterysta Czwartej należy do Klubu Bei Da? – zapytał. Li zmarszczył brwi.

–Sądzę, że kwalifikował się do członkostwa – odparł wymijająco.

–A żołnierz nazwiskiem Meng Lau?

Li zignorował pytanie. Przysunął się bliżej.

–Posłuchajcie, powinniście zostać świadkiem- zaproponował. – Przypuszczam, że tak eksponowana rola w śledztwie musi być przytłaczająca dla kogoś w waszym położeniu. Zostańcie raczej współpracującym świadkiem.

–Świadkiem z Czterysta Czwartej?

–Powiedzmy świadkiem przydzielonym ostatnio do specjalnych obowiązków w Czteryista Czwartej. Wzorowy więzień. Będę za was ręczył. Zawsze przykładacie się do pracy, nigdy nie oskarżano was o kłamstwo ani nic w tym guście. Mieliście problemy innej natury, i to w Pekinie. Trybunał nie musi o tym wiedzieć.

–Ale ja nie mam nic do powiedzenia. – Shan szedł dalej. W rogu dziedzińca była sadzawka w kamiennej, elegancko wyciosanej przed setkami lat obmurówce. Pływały w niej małe srebrne rybki. Na powierzchni wody unosiły się kwiaty lotosu i pusta butelka po piwie.

–Nie uwierzylibyście, jak wiele możecie powiedzieć – usłyszał za sobą odpowiedź Li.

Podszedł do brzegu sadzawki i odwrócił się.

–Nie wyjaśniliście, jaki charakter ma ta wasza afera korupcyjna. – Z miejsca, w którym stał, mógł dostrzec mały pagórek tuż za zabudowaniami gompy. Na pagórku wznosił się wspaniały, wysoki na co najmniej sześć metrów posąg siedzącego Buddy. Miał nietypowe przybranie głowy. Shan rozpoznał je z zaskoczeniem. Ktoś zamocował na głowie Buddy talerz anteny satelitarnej.

Li zbliżył się i nachylił do jego ucha.

–Nieprawidłowości w rachunkach więziennych. Nie wyjaśnione wykorzystanie funduszy państwowych. Zaginiony majątek wojskowy.

–Chcecie powiedzieć, że Tan i Zhong są spiskowcami? Wciągacie w to nadzorcę?

–Chcielibyście, żeby został wciągnięty?

Shan spojrzał na niego uważnie, zastanawiając się, czy się nie przesłyszał.

–Musiałbym zobaczyć wasze akta.

–To niemożliwe.

–Proszę pozwolić mi porozmawiać z panną Lihua.

–Z sekretarką Jao? Dlaczego?

–Niech potwierdzi, że Jao rozpracowywał aferę korupcyjną. Powinna to wiedzieć.

–Wiecie, że ona jest na wakacjach. – Widząc zawód na twarzy Shana, Li wzruszył ramionami. – W porządku. Możecie wysłać faks.

–Nie ufam faksom.

–Dobrze już, dobrze, jak tylko wróci. – Spojrzał na zegarek. – Samochód odwiezie was do miasta.

Shan wszedł do samochodu, nie oglądając się za siebie. Wiedział, że Li kłamał, mówiąc, iż nie chce, by Shan stał się ofiarą. Ale czy kłamał dlatego, że niepokoiło go śledztwo, czy z jakiegoś innego, prozaicznego powodu?

Li nachylił się do okna. Szyderstwo zniknęło z jego twarzy.

–Do diabła z wami, Shan. Sam nie wiem, dlaczego wam to mówię. To gorsze, niż moglibyście sobie wyobrazić. Potoczają się głowy i nikt się nie zatroszczy, żeby chronić waszą. Musicie wrócić do Czteryista Czwartej, a ja muszę zakończyć swoją sprawę, nim zacznie się szaleństwo.

–Jakie szaleństwo?

–Oni otwierają sprawę o szpiegostwo. Ktoś w Lhadrung ukradł dyskietki komputerowe zawierające tajne dane Urzędu Bezpieczeństwa o systemach obrony

granic.

Shan przyglądał się, jak doktor Sung, minawszy siedzącego na ławce w korytarzu Yeshego, wchodzi do swego zaciemnionego gabinetu. Rzuciła notatnik na krzesło, włączyła małą lampkę na biurku i odsunęła na bok talerz starych, nie dojezonych warzyw. Wcisnęła przycisk małego magnetofonu kasetowego i odwróciła się do szachownicy z na pół rozegraną partią. Z głośnika popłynęła muzyka operowa. Sung przesunęła pionek, po czym obróciła szachownicę dookoła. Grała sama ze sobą.

Po dwóch ruchach przerwała i zerknęła w stronę ławki. Mruczając gniewnie, wygięła pałąk lampy, kierując snop światła w kąt, gdzie siedział Shan.

–Najbardziej fascynujące w dochodzeniu – odezwał się Shan ze znużeniem – jest odkrywanie, jak subiektywna jest w istocie prawda. Ma tak wiele wymiarów. Polityczny. Zawodowy. Ale te łatwo dostrzec. Najtrudniej wykryć i zrozumieć wymiar osobisty. Potrafimy wynajdywać mnóstwo powodów, by uwierzyć w kłamstwa i ignorować rzeczywistość.

Sung wyłączyła magnetofon i spojrzała niewidzącym wzrokiem na szachownicę.

–Buddyści powiedzieliby, że każdy z nas ma własny sposób oddawania czci swemu wewnętrznemu bóstwu – powiedziała łamiącym się głosem.

Te słowa wstrząsnęły nim. Nagle zabrakło mu słów. Tak bardzo chciał po prostu dać jej spokój, zostawić ją sam na sam z jej bólem, a tego właśnie zrobić nie mógł.

–Więc kiedy przestaliście oddawać cześć swojemu?

Tęsknił za jedną z jej ostrych, gniewnych ripost, ale doczekał się tylko milczenia.

Położył przed nią jej list do amerykańskiego przedsiębiorstwa.

–Zdajecie sobie sprawę, że kłamaliście mi, udając, że nic nie wiecie o zainteresowaniu Jao aparaturą rentgenowską? Czy może naprawdę wierzyliście we własne słowa dlatego, że korespondencja była tylko na wasze nazwisko?

–Powiedziałam tylko, że ten sprzęt był za drogi.

–Dobrze. Więc skłamaliście nieumyślnie.

Sung w roztargnieniu przesunęła wieżę.

–Jao prosił mnie, żebym napisała list. Nikt nie doszukiwałby się niczego podejrzanego w takiej prośbie od szpitala.

–Skąd ta cała konspiracja? Dlaczego nie miałby zrobić tego sam?

Podniosła skoczkę i utkwiała w nim wzrok.

–Chodziło o śledztwo.

–Potrzebowałyby waszej pomocy do obsługi sprzętu. Nie powiedział, na co go potrzebuje?

Nadal wpatrywała się w figurę.

–Przychodził tu czasem, niezbyt często. Siedzieliśmy tutaj i graliśmy w szachy. Rozmawialiśmy o Pekinie, o domu. Piliśmy herbatę. To wydawało się... sama nie wiem. Cywilizowane. – Zacisnęła obie dłonie na skoczku, wykręcając go, jak gdyby chciała przełamać go na pół.

–Więc napisaliście list, żeby pomóc mu w śledztwie. Znaleźć coś, co zostało ukryte.

–Dobrze byłoby być kimś takim jak wy, towarzyszu Shan. Po prostu zadawać

pytania. Ale powiedziałam wam już. Są pytania, których zadawać się nie powinno. Wasze zadanie to wyciągać z ludzi prawdę. Niektórzy z nas muszą z nią żyć.

–Co to było za śledztwo? – naciskał Shan. – Morderstwo? Korupcja?

Szpiegostwo?

Sung roześmiała się słabo.

–Szpiegostwo w Lhadrung? Nie wydaje mi się.

–Do czego on miał zamiar użyć tego sprzętu?

Powoli pokręciła głową.

–Chciał wiedzieć, czy zmieści się do jednego z jego terenowych wozów. Jakiego źródła zasilania wymaga. To wszystko, co wiem.

–Dlaczego nie zapytaliście go o to? Był waszym partnerem od szachów.

–Właśnie dlatego. – Otworzyła dłoń i spojrzała na skoczka zagubionym wzrokiem. – Podejrzywałam, że był mu potrzebny do otwarcia jednego z ich grobów. A gdybym wiedziała na pewno, nie mogłabym już nigdy pozwolić mu tu siedzieć.

Czteryście Czwarci wyglądała jak cmentarz. Z okien i drzwi wyglądały wynędzniałe, pozbawione wyrazu twarze więźniów. Teren obozu okrążały sztywnym krokiem patrole, pilnując, by nikt nie opuszczał baraków. Żołnierze raz po raz oglądali się przez ramię.

Stajnia była w użyciu. Shan poznał to – nie po dobiegających stamtąd wrzaskach. Tybetańczycy nigdy nie wydawali krzyku. I nie po zwiększonym ruchu w izbie chorych. Poznał to, bo mijający go oficer niósł zapas gumowych rękawiczek.

Sierżant Feng wydawał się zasępiony, gdy wraz z Shanem wszedł przez bramę na teren obozu. Nie odzywając się do pałkarzy trzymających straż w strefie śmierci, szedł, patrząc prosto przed siebie, póki nie dotarli do baraku, po czym otworzył Shanowi drzwi i odsunął się, niezdarnym gestem zapraszając go do środka.

Wyglądało tu nieomal tak samo jak wówczas, gdy opuścił barak przed sześcioma dniami. Trinle leżał na pryczy, powalony zmęczeniem, nakryty kocem aż po czubek głowy. Pozostali siedzieli kręgiem na podłodze, słuchając pouczeń jednego ze starszych mnichów.

Choje Rinpocze przewiązał sobie kolana i plecy oddartym z koca pasem gomthag, aby nie upaść podczas medytacji. Jeden z nowicjuszy przykładął mu z tyłu szmatę do głowy. Była różowa od krwi.

Minęło kilka minut, nim dotarły do niego pytania Shana. Zamrugnął powiekami i otworzył oczy. Jego spojrzenie pojaśniało. Rozejrzał się po celi skupionym, zaintrygowanym wzrokiem, jak gdyby się upewniał, w którym świetle się znajduje.

–Wciąż jesteś z nami – odezwał się. Nie było to pytanie, ale powitanie.

–Chcę porozmawiać o Tamdinie – powiedział Shan, walcząc z supłem ściskającym mu wnętrzości. Zdawało się, że odczuwa ból lamy silniej niż sam Choje. – Rinpocze, co by zrobił Tamdin, gdyby musiał wybierać między obroną prawdy i obroną tradycji? – zapytał.

Ze wszystkich tajemnic, w które obfitowała jego sprawa, najbardziej trapiła go niejasność motywów zabójcy. Tamdin był obrońcą wiary, a jego ofiary kalowały wiarę. Ale dlaczego pozwalał, żeby za jego zbrodnie ginęli niewinni mnisi? To także było

kanie wiary.

–Nie sędę, by Tamdin dokonywał wyboru. Tamdin działa. To chodzące sumienie. I nóż rzeźnicki, pomyślał Shan.

–Chodzące sumienie – powtórzył lama.

Shan rozważył te słowa w milczeniu.

–Kiedy byłem młody – odezwał się po chwili Choje – mawiano, że w pobliskiej wiosce żył pewien człowiek, który modlił się do Tamdina o pomoc, jednak nigdy jej nie otrzymał. Ten człowiek wyparł się Tamdina. Twierdził, że jest tylko zmyśloną postacią z obrzędowych tańców.

–Nie spotkałem ostatnio wielu ludzi, którzy byliby skłonni nazwać Tamdina wymysłem.

–Nie. Wymysł nie jest dla niego właściwym określeniem. – Choje uniósł przed twarz Shana zaciśniętą dłoń. – To jest moja pięść – powiedział, po czym rozprostował palce. – Teraz nie ma już pięści. Czy przez to stała się wymysłem?

–Chcesz powiedzieć, że w pewnym momencie każdy może stać się Tamdinem?

–Nie każdy. Chcę powiedzieć, że istota Tamdina może istnieć w czymś, co nie zawsze jest Tamdinem.

Shan przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę na temat demona. Jeśli niektórzy mogą stać się buddami, powiedział wtedy Choje, to inni zapewne mogą się stać tamdinami.

–Jak ta góra – wyszeptał.

–Góra?

–Szpon Południowy. Jest górą, ale ukrywa coś jeszcze. Święte miejsce.

–Mamy tak mały skrawek świata – powiedział Choje, tak cicho, że Shan musiał nachylić się do jego ust.

–Są inne góry, Rinpocze.

–Nie. Nie w tym rzecz. To... – Ogarnął ramieniem wnętrze baraku. – Świat nie zwraca na nas uwagi. Tak wiele już czasu upłynęło, tak wiele jeszcze upłynie. Tak wiele miejsc. Jesteśmy drobiną pyłu. Któż z zewnątrz miałby się o nas troszczyć? Jesteśmy zdani tylko na siebie. Nasze istnienia zajmują chwilowo to miejsce. To wszystko. To znaczy tak niewiele.

Jego słowa przejęły Shana dreszczem. Miało się stać coś straszego.

–Wy nigdy nie wróćcie na tę górę, prawda? – Z lękiem uniósł wzrok na Choje. – Bez względu na to, co będzie. Nie możecie dopuścić do zbudowania tej drogi. O to w tym wszystkim chodzi. – Dlaczego to było takie ważne? Czyżby tu właśnie popełnił błąd, nie zwracając należytej uwagi na sekret góry?

–Budzić się co dzień przez pięćdziesiąt czy przez sto lat nie jest w końcu żadnym wielkim dokonaniem – odparł Choje z pogodnym uśmiechem. – To tak, jakby dowodzić, że twoja drobina pyłu jest większa od mojej. Wszystko to są dylematy duszy, która nie jest jednym ze światem.

Oni sprowadzą innych, którzy będą kontynuować budowę, chciał powiedzieć Shan. Ale nie miał odwagi.

–Rozmawialiśmy o tym. Wszyscy. Wszyscy się zgodzili. Z wyjątkiem kilku. Paru,

którzy mają rodziny. I paru, którzy idą własną drogą.

Shan rozejrzył się po baraku. Khampa zniknął.

–Otrzymali nasze błogosławieństwo. Dziś rano przepuszczono ich poza linię. Ci z nas, którzy pozostali... – Choje wzruszył ramionami. – Cóż, to my pozostaliśmy. Stu osiemdziesięciu jeden. Stu osiemdziesięciu jeden – powtórzył, wciąż łagodnie się uśmiechając.

Rozległ się gwizdek wzywający ich na gimnastykę, potem następny i jeszcze jeden, po całym obozie. Mężczyźni w milczeniu ruszyli w stronę drzwi.

–Już czas, Trinle! – zawołał Choje znowu silnym głosem. Nakryta kocem postać usiadła na pryczy. Shan, nie odrywając oczu od Choje, wyczuwał, jak mnich z wysiłkiem podnosi się na nogi. Przeszedł go dreszcz, gdy uświadomił sobie, że Trinle musiał być w stajni. Kącikiem oka dostrzegł, jak zgarbiona postać owija koc wokół namiastki mnisiej szaty, zarzuca koniec na głowę jak kaptur i powłócząc nogami, kieruje się do drzwi.

W baraku pozostali jedynie Shan i Choje. Siedzieli w milczeniu pośród jaskrawych smug światła sączących się przez szpary w ścianach i dachu.

–Co się stało z tym człowiekiem? Tym, który nie wierzył w Tamdina?

–Pewnego dnia na jego dom runęła część góry. Zmiażdżyła wszystko. Tego człowieka, jego dzieci, jego żonę, jego owce. I gorzej jeszcze.

–Gorzej?

–To było dziwne. Nikt potem nie mógł przypomnieć sobie jego imienia.

Nagle na zewnątrz rozległ się dziwny, przybierający na sile dźwięk – nie krzyk, lecz szybko narastający pomruk niosący się przez obóz. Shan pomógł Choje wstać.

Więźniowie zgromadzili się na małym placu za barakiem, lub raczej wokół placu, cisnąc się w dwóch, trzech rzędach wokół pustego obszaru o średnicy może sześciu metrów.

–On zniknął! – zawołał na ich widok jeden z mnichów. – Czary... – Urwał, niezdolny mówić dalej.

–Jak strzała! Widziałem to. Jak wir! – krzyknął ktoś.

Szereg rozdzielił się, by przepuścić Choje. Shan precyzyjnie przesunął się za nim.

–To Trinle! – stęknął jeden z młodych mnichów. – Udało mu się!

Na środku placu stały samotnie buty Trinlego, ustawione jeden obok drugiego, jak gdyby dopiero co zdjął je z nóg.

Nikt nie oddychał. Shan przyglądał się butom oszołomiony. W pierwszej chwili wszystko to wydało mu się dziwnym, niewczesnym żartem. Drgnął, przerażony, kiedy dotarło do niego, co właściwie zaszło. Trinle zniknął. Uciekł. Ulotnił się, po tylu latach prób.

Mnisi wpatrywali się w buty pełnym czci wzrokiem. Niektórzy opadli na kolana, odmawiając modlitwę dziękczynną.

Ale czar nie trwał długo. Gdzieś rozległ się gwizdek, sygnalizując koniec gimnastyki. Ktoś w tłumie głębokim barytonem zaintonował *OM MANI PADME HUM*. Ciągnął solo może przez pół minuty, potem dołączył do niego inny, i następny, aż wreszcie cała grupa podjęła śpiewnie recytację, zagłuszając gniewne gwizdki.

Więźniowie ruszyli na centralny dziedziniec, wysławiając swoją mantrą cud. Shan zorientował się, że idzie wraz z nimi, także z mantrą na ustach. Nagle czyjaś dłoń chwyciła go za łokieć, odciągając na bok. Sierżant Feng.

Stanęli na uboczu, przyglądając się, jak więźniowie ustawiają się w wielki kwadrat i siadają, nie przerywając recytacji.

Pałkarze w jednej chwili wpadli między nich. Shan widział, że żołnierze krzyczą, lecz ich głosy tonęły w wibrującej mantrze. Próbował się wyrwać, ale Feng trzymał go w żelaznym uścisku. Pałki uniosły się w górę i pałkarze zaczęli powoli, metodycznie, okładać więźniów po barkach i plecach, jak żeńcy tnący sierpem zboże.

Więźniowie nadal powtarzali mantrę.

Na placu pojawił się oficer bezpieczeństwa, z twarzą zmienioną we wściekłą maskę. Ryknął przez tubę, jednak nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wyrwał pałkę jednemu ze swych ludzi i złamał ją na głowie najbliższego mnicha. Mężczyzna osunął się twarzą w dół, nieprzytomny, ale recytacja wciąż trwała.

Oficer cisnął kikut pałki na ziemię i ruszył wzdłuż szeregów. Scena rozwijała się jak na zwolnionym filmie.

–Nie! – krzyknął Shan, na próżno szamocąc się w uścisku Fenga. – Rinpocze!

Oficer okrążył cały kwadrat, po czym rozkazał dwóm pałkarzom wywlec na środek jednego z mnichów. Był to młody mężczyzna z innego baraku. Miał ogoloną głowę i czerwoną opaskę na ramieniu. Klęczał nadal, nie przestając powtarzać mantry, jak gdyby nie zauważał pałkarzy. Oficer stanął za jego plecami, wyciągnął pistolet i przestrzelił mu czaszkę.

ROZDZIAŁ 15

Sierżant Feng zaniemówił. Wioząc ich z bazy w kierunku Smoczyc Szponów, zaciskał ręce na kierownicy i patrzył przed siebie z nieobecny, smętnym wyrazem twarzy. Chrząknął tylko, kiedy wjechali na rozwidlenie nad starym mostem wiszącym. Nie spierał się tym razem ani nie próbował im towarzyszyć, gdy Shan i Yeshe wchodzili na most, każdy z małym, zaciąganym workiem mieszczącym całodzienny prowiant.

Powietrze było dziwnie nieruchome, bez wiatru, który niemal zawsze wstawał wraz ze słońcem. Shan studiował przez lornetkę przeciwległe zbocze. Nie był pewien, czego szukać ani dokąd iść, wiedział tylko, że góra wciąż skrywa swój sekret. Nie było śladu owiec, które mogłyby zaprowadzić go do zagadkowego pastuszka. Być może powinien wrócić na występ, gdzie odkrył kredowe znaki. Potem, na południowym krańcu grzbietu, dostrzegł we wczesnoporannym cieniu wiśniową plamkę. Zwróciwszy w tę stronę szkła, stwierdził, że pielgrzym pokonuje szlak w imponującym tempie, podnosząc się, stając, klękając i opadając w akcie kjangchag, pokłonach pielgrzyma, jak gdyby było to ćwiczenie gimnastyczne.

–Wciąż nie wiem, czego właściwie szukamy – odezwał się obok niego Yeshe.

–Ja też nie. Czegoś niezwykłego. Być może pielgrzyma.

Yeshe wzruszył ramionami.

–Za każdym razem, kiedy tu jesteśmy, widzimy pielgrzyma. W Tybecie to zwyczajne jak deszcz.

–Dzięki czemu może być doskonałym kamuflażem. – Shan zrozumiał nagle, co mu dotychczas umykało. – Chodźmy! – zawołał, nadal nie wiedząc na pewno nic poza tym, że musi odkryć, dokąd idzie ten człowiek.

Ruszyli truchtem wzdłuż grzbietu, nie spuszczając pielgrzyma z oczu. Po godzinie niemal zrównali się z nim. Przystanęli, obserwując, jak zaczyna schodzić w dolinę.

Wiśniowa szata dotarła do podnóża grzbietu i zniknęła za długim skupiskiem skał. Shan i Yeshe podzielili się butelką wody i czekali, aż pielgrzym wyłoni się po drugiej stronie.

–Matka odbyła pielgrzymkę – odezwał się Yeshe – kiedy umarła moja siostra. Byłem już wtedy w klasztorze. Poszła na górę Kalais – ciągnął. – Na świętą górę. To był zły czas. Późne zamiecie w górach. Ruchy wojsk z powodu zamieszek.

–Takie trudności powiększają zasługę.

–Nigdy więcej jej nie zobaczyliśmy. Jedni mówili, że została mniszka, inni, że próbowała przekroczyć granicę. Ja myślę, że prawda jest prostsza.

–Prostsza?

–Myślę, że po prostu umarła.

Shan nie wiedział, co powiedzieć. Podał Yeshemu butelkę i sięgnął po lornetkę.

–On nie wyszedł – zauważył. Patrzył z zakłopotaniem na zegarek, który Feng pożyczył mu na ten dzień. – Ile czasu minęło, odkąd wszedł za tę skałę?

–Dziesięć-piętnaście minut.

Shan zerwał się i ruszył biegiem w dół zbocza, zostawiając Yeshego z butelką w wyciągniętej ręce.

Wyszedł na wydeptany przez stulecia szlak pielgrzymkowy, wijący się wśród głazów ku falującym wrzosowiskom porastającym dno doliny. Nim Yeshe go dogonił, Shan zdążył już przeszukać skały i teraz wracał tą samą drogą, nadaremnie wypatrując jakiejś bocznej ścieżki.

Nagle Yeshe zawołał go, wskazując niewielką dziurę, niski, długi na niespełna dwa metry tunel pod płytą, która zaklinowała się między dwoma ścianami skalnymi. Był szeroki zaledwie na tyle, by się tam wczołgać. Ale nim Shan zdążył podejść i schylić się, żeby zajrzeć do środka, Yeshe zniknął.

Tunel, jak się przekonał, nie kończył się po dwóch metrach, ale gwałtownie odbijał pod kątem prostym w lewo. Wcisnąwszy się do środka, czołgał się przez piętnaście metrów za majaczącą przed nim postacią Yeshego, aż wreszcie strop uniósł się, po czym zniknął. Znajdowali się w wąskim, krętym korytarzu, który otwierał się na niewielki wąwóz.

–Nie powinniśmy tu być – szepnął nerwowo Yeshe. – To święte, tajemne miejsce. Jest chronione... – Głos uwiązł mu w gardle, język odmówił posłuszeństwa porażony majestatem roztaczającego się przed nimi widoku. Naprzeciw nich, odległa o rzut kamieniem, wznosiła się wysoka na sto pięćdziesiąt metrów pionowa ściana skalna. Oślepiające strugi słonecznego światła przecinały mrok wąwozu, powiększając wrażenie dostojeństwa. W skale, trzydzieści metrów nad ziemią, wykuto pięć wielkich, prostokątnych otworów – okien. Nad nimi znajdował się rząd trzech mniejszych otworów, wyraźnie wykonanych ludzką ręką, a jeszcze wyżej, na wysokości niemal dziewięćdziesięciu metrów, maleńkie samotne okienko. Z drzewc sterczących z pięciu dolnych okien zwieszały się, trzepocąc na wietrze, długie na dziewięć metrów końskie flagi modlitewne o żywych barwach, ozdobione świętymi symbolami.

Smocze Szpony, uświadomił sobie Shan, wyjawiają mi właśnie swój sekret.

–Do cienia! – szepnął nagląco Yeshe, kryjąc się za załomem skalnym. – Ktoś jest przy wodzie.

Shan spojrział w głąb wąwozu, gdzie migocząca tafla wody odbijała obraz flag. Pod wierzbą na końcu sadzawki siedziała, zwrócona do nich plecami, samotna postać.

–Nie powinniśmy byli tu trafić – znów ostrzegł go Yeshe. – Musimy stąd odejść. Możemy poprosić o pozwolenie starego...

–Nie ma czasu na pozwolenia – odparł Shan, kierując się w stronę sadzawki. Między kamieniami rosły drobne irysy. Na skraju wody siedziało stadko ptaków.

–Nie wszyscy są zachwyceni twoim przybyciem – przemówiła, nie odwracając się do niego, siedząca postać, gdy Shan znalazł się trzy metry od niej. Woda i skały nadawały jej dziecinnemu głosowi niesamowite brzmienie. – Ale ja miałem nadzieję, że spotkamy się znowu. Oni mówią o tobie rzeczy, których nie rozumiem. Teraz możemy porozmawiać jeszcze raz.

–Widzę, że twoje owce znów cię zgubiły – odparł Shan.

Chłopak odwrócił się powoli. Na twarzy miał szeroki uśmiech.

–Witaj w Yerpie.

Shan wskazał stojącego za nim Yeshego.

–To jest...

–Tak. Mówiono mi. Yeshe Retang. Możecie mi mówić Tsomo.

Wstał i w milczeniu poprowadził ich w stronę korytarza, którym przybyli, po czym skręcił ku ścianie wąwozu i wsunął się w wąską, ukrytą w cieniu rozpadlinę. Szli w ciemności, póki po dwudziestu krokach nie dotarli do bladej lampki maślanej u stóp krętych, wykutych w litej skale schodów.

Wspinali się po nich, aż stopy Shana odmówiły mu posłuszeństwa; odpoczęli, po czym znów ruszyli pod górę. Idąc korytarzem, minęli kilkoro niskich drzwi wiodących do spowitych mrokiem izb. Z jednej dobiegł odgłos samotnej modlitwy, z innej cuchnąca woń i obrzydliwy jęk. W końcu dotarli do wielkiej sali oświetlonej przez pojedyncze długie okno i dziesiątki świec.

Ściany pokryte były malowidłami, wizerunkami bóstw opiekuńczych oraz przeszłych i przyszłych buddów. Nie była to kaplica, jaką Shan spodziewał się ujrzeć. Była o wiele mniejsza i zaczynał już pojmować, że nie jest wcale w gompie, lecz w świętym miejscu innego, nie znanego mu dotąd rodzaju. Na podłodze samotny mężczyzna w szacie mnicha postukiwał w metalowy rożek, z którego sypał się cynobrowy piasek. Siedział na skraju koła o niemal dwumetrowej średnicy, w większej części pokrytego zawiłymi kształtami i geometrycznymi wzorami usypanymi z piasku o różnych barwach. Nie wykończony fragment przed nim obrysowany był kredą.

–To jest mandala kalaćakry – wyjaśnił Tsomo. – Bardzo stary styl.

Piaskowe malowidło przedstawiało koncentryczne pierścienie, przechodzące w linie, które układały się w zarys murów trzech, zamkniętych jeden wewnątrz drugiego, pałaców. Pałace zamieszkiwały dziesiątki drobiazgowo oddanych bóstw.

–Przedstawia ewolucję czasu – ciągnął Tsomo – nakładanie się czasu. Budda nie chce pozwolić, by choć jedna dusza pozostała w osamotnieniu, tak więc czas krąży w wielkim cyklu, dopóki wszystkie istoty nie osiągną oświecenia.

Shan ukląkł z szacunkiem na skraju koła. Mnich skinął mu głową i kontynuował pracę, ziarnko po ziarnku tworząc swoją mandalę.

–Siedemset dwadzieścia dwa bóstwa – odezwał się za nim ściszym głosem Yeshe. – W Lhasie robili to niegdyś co roku, dla dalajlamy.

–Właśnie – odparł z entuzjazmem Tsomo, ciągnąc go naprzód, by z bliska przyjrzał się mandali. – Dubhe szkolił się u starego lamy w Potali. Kiedy skończy, będą tu widniały wszystkie tradycyjne bóstwa, każde inne, każde w przypisanej mu pozycji. Pracuje nad tym już od trzech lat. Za cztery albo pięć miesięcy mandala będzie gotowa. Poświęcimy ją i będziemy wychwalać jej piękno. Potem on zniszczy ją i zacznie od początku, z nowego piasku. – Wskazał ciągnące się wzdłuż dolnych części ścian półki z nie heblowanych desek. Wypełniały je dziesiątki małych, glinianych słoików. – Zachowujemy odrobinę piasku z każdej kiedykolwiek wykonanej mandali. To wielka świętość, wielka moc.

Wrócili na korytarz i przeszli do większej, jasnej sali z czterema oknami – kolejnymi spośród widocznych z dna wąwozu. Pod ścianami ustawione były

szersokie, pochyle stoły z surowego drewna, większość pusta. Trzech mnichów i mniszka siedzieli przy pracy, w otoczeniu maślanych lampek, pojemników z pędzlami i pałeczek tuszu.

Shan zauważył pełne szacunku spojrzenia, jakie zwrócili ku Tsomo, oraz zdenerwowanie, gdy zerkali na niego i na Yeshego. Uprzedzono ich o przybyciu obcych, ale wyraźnie nie wiedzieli, jak mają się zachować. Wybrali milczenie, pozwalając, by Tsomo sam opowiedział gościom o pięknych manuskryptach, które kopiowali. Przepisując teksty z prastarych bambusowych deszczulek i wystrzępionych modlitewników na długie, wąskie karty, które zgodnie z tradycją nie miały zostać oprawione, lecz owinięte w jedwabne powłoczki. Nad stołami ciągnęły się półki z dziesiątkami takich jedwabnych pakunków. Nazywały się potis, powiedział kiedyś Shanowi Trinle, księgi spowite w szaty. Przy jednym ze stołów siedział mnich wyposażony nie w pędzle, ale w zestaw różnorodnych dłut. Rzeźbił długie deseczki, w które ujmowano stronice potis. Shan przystanął, zaskoczony nie tyle wymyślnymi detalami ptaków i kwiatów wychodzących spod rąk mnicha, ile tym, że potrafił stworzyć coś tak pięknego, choć brak mu było kciuka u jednej dłoni.

Mniszka wstała i podeszła do nich.

–Oto historia każdej gompy w Tybecie – powiedziała, wskazując ścianę w głębi. Głos miała szorstki, jakby rzadko cokolwiek mówiła. – Są tam listy od Wielkiego Piątego do kenpów zapowiadające przekazanie funduszy na nowe kaplice. Są tam oryginalne plany mostu linowego nad Smoczą Gardzielą.

Podczas gdy mniszka prowadziła oszołomionego Yeshego, pokazując mu manuskrypty, z dala od drzwi, Tsomo pociągnął Shana za ramię. Schodami wspięli się do sali bez okien, głęboko we wnętrzu góry. Sprawiała wrażenie klasy szkolnej. Za całe oświetlenie służyły dwie lampy, obie umieszczone na małym ołtarzu. W głębi znajdowały się półki z glinianymi garnkami, w większości potłuczonymi; ścianę powyżej pokrywały malowane symbole. Na podłodze leżał dywan i poduszki, na których siedziało dwóch mnichów.

Jeden z nich zwrócony był w stronę ołtarza, tyłem do wchodzących. Drugi, starszy, surowy mężczyzna o błyszczących oczach, przywitał ich, pochylając tułów w lekkim ukłonie.

–Jesteś wyjątkowo uparty, Xiao Shan – powiedział po mandaryńsku.

Z tyłu rozległ się tupot bosych stóp. Trzech chłopców w uczniowskich szatach wpadło do środka i usiadło za mówiącym. Przyglądali się Shanowi z oszołomieniem wymalowanym na okrągłych twarzach.

–Postawiłeś nas przed sporym problemem – ciągnął stary lama.

–Prowadzę tylko śledztwo w sprawie morderstwa. – Shan spojrzął znów ku symbolom nad garnkami. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że widział je już wcześniej, nakreślone kredą na występie przy moście nad Smoczą Gardzielą.

–Tak. Wiemy. Ten prokurator został zabity niedaleko stąd. Aresztowano pustelnika Sungpo. Czteryście Czwarła strajkuje. Siedemnastu kapłanów poddano torturom. Jeden więzień został stracony. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego szykuje się do dalszych okrucieństw.

–Wiesz więcej o Czterysta Czwartej niż ja – stwierdził ze zdumieniem Shan. – Jesteś tu opatem?

Uśmiech mężczyzny zdawał się pokrywać całą jego twarz.

–Tu nie ma opata. Mam na imię Gendun. Jestem tylko zwykłym mnichem. – Mówiąc, przesuwał palcami paciorki różańca wycięte z ciemnoczerwonego drewna. – Czy odeślę cię tam z powrotem, kiedy to się skończy?

Shan nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się nad pytającym, nie nad pytaniem.

–Jeżeli nie znajdą gorszego miejsca.

Pojawił się jeszcze jeden chłopiec, z dzbankiem maślanej herbaty, i w milczeniu napełnił czarki. Skądś dobiegł odgłos tsinghi, maleńkich, przypominających dzwonki cymbałków używanych w buddyjskich obrzędach.

–Powiedziałeś, że postawiłem was przed problemem – odezwał się Shan, sięgając po czarkę.

–Yerpa jest tajemną salą niewidzialnego budynku wzniesionego na ziemi cieni. Trzysta lat temu jeden z naszych uczonych zapisał to w księdze. – Gendun przerwał i uśmiechnął się do niego. – Piszemy czasem księgi sami dla siebie, ponieważ nikt inny nie może ich zobaczyć. On powiedział, że znajdujemy się tu pomiędzy światami. W przejściu. Ani na ziemi, ani poza nią. Nazwał to miejsce górą snów.

–Oko kruka – odezwał się drugi kapłan, wciąż tyłem do nich. W jego głosie było coś znajomego. Tsomo uśmiechnął się.

–W naszej bibliotece jest wiersz mówiący o pełni zimy. Pośród stu ośnieżonych szczytów porusza się jedynie oko kruka.

Shan uświadomił sobie, że Gendun wpatruje się w zegarek Fenga. Wyciągnął rękę.

–Jak to nazywacie? – zapytał mnich.

–Zegarek. Mierzymy tym czas. – Zdjął go z nadgarstka i podał mu.

Gendun obejrzał zegarek ze zdumieniem w oczach, po czym przyłożył go do ucha. Uśmiechnął się, kręcąc głową.

–Wy, Chińczycy... – powiedział, zwracając mu go z szerokim uśmiechem.

Tsomo oddalił się, złożony lekki ukłon, i ukląkł obok drugiego mnicha, który wciąż siedział zwrócony twarzą do ołtarza.

–Nawet przed przybyciem armii z północy to miejsce znane było tylko nielicznym, którzy musieli wiedzieć – ciągnął stary mnich. – Dalajlamie. Panczenlamie. Regentowi. Powiadają, że jest to jedna z jaskiń wielkiego Guru Rinpocze – oświadczył. – To mówi samo za siebie. Zwykle ci, którzy tu trafiają, nigdy już nie wychodzą. Przed pięciuset laty to miejsce wyglądało dokładnie tak jak teraz. Tak samo wyglądać będzie za następnych pięćset lat – stwierdził z absolutnym przekonaniem.

–Przykro mi. Ale jeżeli my nie wrócimy, przyjdą tu żołnierze. Nie mamy złych zamiarów.

–Możemy zawalić tunel, tak aby nie dało się go odnaleźć. Robiono to już w przeszłości. Na całe lata, gdy to było konieczne.

–On mógłby nauczyć nas drogi, tao – wtrącił Tsomo. – Moglibyśmy lepiej

zrozumieć dzieła Lao-tsy.

–Tak, Rinpocze. Wspaniale byłoby mieć takiego nauczyciela. – Gendun odwrócił się do Shana. – Potrafisz nauczyć nas tych rzeczy?

Shan dopiero za drugim razem usłyszał pytanie. Mnich nazwał chłopca Rinpoczem, tytułem przysługującym najbardziej czcigodnym lamom, odrodzonym nauczycielom.

–Stary opat powiedział mi kiedyś: “Mogę wyrecytować księgi. Mogę pokazać ci ceremonie. Ale to, czy się ich nauczysz, zależy tylko od ciebie”.

Tsomo roześmiał się triumfalnie, po czym wstał i dołał Shanowi herbaty.

–W Chinach mawia się, że niemożliwością jest oddzielić tao od buddyzmu.

–Kiedy mieszkałem w Pekinie, odwiedzałem co dzień pewną tajemną świątynię. Po jednej stronie ołtarza znajdował się posąg Lao-tsy. Po drugiej siedział Budda.

Oczy Tsomo znów rozszerzyły się ze zdumienia.

–Ze szczytu góry wszystko wydaje się tak odległe. Wiele jeszcze musimy się nauczyć.

Ta chwila była magiczna. Nikt się nie odzywał. Dźwięk tsinghi przybliżał się. Do sali wszedł chłopiec z cymbałkami zawieszonymi na szyi. Za nim szły dwie kobiety, mniszki, jedna niosła tacę z dwiema zakrytymi czarkami, druga wielki dzban herbaty. Postawiły te przedmioty przed ołtarzem, a klęczący tam mnich rozpoczął rytuał błogosławieństwa.

Shan wiedział, że słyszał już kiedyś ten głos, ale znał niewielu mnichów spoza Czterysta Czwartej. Czy widział tego człowieka w Saskyi? A może w Khartoku? Wpatrywał się w niego w nikłym świetle lampek maślanych, gdy mniszki i mnisi na zmianę recytowali niezrozumiałe dla niego słowa modlitwy. Gdy obrzęd dobiegł końca, mnich przy ołtarzu wstał, wyprostował się, po czym odwrócił się do Shana.

–Jesteś gotowy? – zapytał. Był to Trinle.

Przyglądali się sobie w milczeniu. Shan czuł się jak porażony. Chciał zapytać, w jaki sposób Trinle ulotnił się z obozu, dlaczego z takim trudem udawał pielgrzyma, by dotrzeć do Yerpy, ale nie mógł wydobyć głosu. Bez słowa ruszył za nimi, za Trinlem, Tsomą i dwiema mniszkami, wspinając się po stromych schodach wąskim, krętym korytarzem, wyslizganym, jak inne, przez stulecia użytkowania. Po minucie ostrej wspinaczki dotarli na podest. Schody biegły dalej, ale w lewo, w głąb góry, odchodził skąpany w nikłym świetle korytarz. Po obu stronach, przed zakrętem ukrywającym jego dalszy bieg przed ich wzrokiem, widać było kilkoro ciężkich drewnianych drzwi.

Grupa w milczeniu wspinała się dalej. Dwa razy Shan musiał przystanąć i oprzeć się o ścianę, nie ze zmęczenia, lecz z powodu dziwnego, przytłaczającego wrażenia, jak gdyby przedzierał się przez niewidzialną barierę. Zdawało mu się, że słyszy jakieś dźwięki, ale wokół panowała głucha cisza. Zdawało mu się, że widzi roje cieni przemykających po ścianie, ale tylko jedna lampa świeciła daleko w przodzie. Miał wrażenie, że każdy krok niesie ich nie ku innej części góry, lecz ku innemu światu. Ilekroć przystawał, Trinle czekał na niego z pogodnym uśmiechem.

Po pięciu minutach dotarli na podest z grubymi drewnianymi drzwiami, misternie rzeźbionymi w twarze bóstw opiekuńczych i zaopatrzonymi w solidną klamkę z

kutego żelaza. Tsomo zaczekał, aż wszyscy zbiorą się na podeście i ustawią w rzędzie, po czym otworzył drzwi i recytując cicho słowa modlitwy, wprowadził ich do sali.

Wewnątrz nie było nikogo. Znaleźli się w pustym, kwadratowym pomieszczeniu o boku długim może na dziewięć metrów. Za całe umeblowanie służył prosty, drewniany stół, dwa krzesła, wielki żelazny kosz na węgle oraz kilka wypełnionych manuskryptami półek. Jedną ze ścian pokrywało zawile malowidło przedstawiające sceny z życia Buddy. Ściana naprzeciwko wejścia wykonana była z cedrowych desek, pośrodku niej umieszczono drewnianą płytę, podobną do drzwi, przez które weszli, jednak bez zawiasów i klamki. Przytwierdzono ją potężnymi, ręcznie kutymi śrubami umocowanymi za pomocą nakrętek niewiele mniejszych od pięści Shana. Poniżej, na podłodze, tuż pod mniejszą, czarną, wysoką na dwadzieścia pięć i szeroką na pięćdziesiąt centymetrów płytą, leżał iluminowany manuskrypt.

Trinle w milczeniu zapalił następne lampki maślane i odwrócił się do Shana.

–Wiesz, kto to gomchen? – zapytał od niechcienia, jak gdyby byli w swoim baraku w Czterysta Czwartej. – Ostatnio rzadko się używa tego określenia.

Shan pokręcił głową.

–To pustelnik nad pustelnikami. Żyjący budda, spędzający całe życie w odosobnieniu – wyjaśnił Trinle.

–To Drugi zdecydował, że gomchen musi być chroniony – dodał Tsomo. – Święte powiernictwo. To on kazał wybrać małe, odosobnione święte miejsce, aby ukryć jego pustelnię tak głęboko, by sekret mógł być dochowany na zawsze.

–Drugi? – zapytał Shan, nic nie rozumiejąc.

–Drugi dalajlama.

–Ale on żył prawie pięćset lat temu.

–Tak. Było czternastu dalajlamów. Ale tylko dziewięciu naszych gomchenów. – Głos Trinlego, niemal szept, był wypełniony niezwykłą dla niego dumą.

Tsomo podszedł do manuskryptu i otworzył go na stronie zaznaczonej paskiem jedwabiu. Gdy czytał, na jego twarz znów spłynął pogodny uśmiech.

Mniszki odkryły tacę i postawiły czarki tsampy i herbaty obok manuskryptu. To nie była czarna płyta, uświadomił sobie Shan. To był otwór w ścianie prowadzący do znajdującego się za nią pomieszczenia. Przypomniawszy sobie małe, samotne okienko wysoko na ścianie urwiska.

–Opiekujecie się tu pustelnikiem – szepnął.

Trinle przyłożył palec do warg.

–Nie pustelnikiem. Gomchenem – odparł i umilkł, przyglądając się, jak Tsomo i mniszki przygotowują jedzenie. Kiedy skończyli, uklęknął obok nich na podłodze i wraz z nimi, śpiewając, padł na twarz przed zaśrubowanymi drzwiami celi.

Nikt się nie odezwał, dopóki zszedłszy po długich schodach, nie znaleźli się znowu w małej kaplicy, gdzie Shan odnalazł Trinlego.

–Trudno to wytłumaczyć – przemówił wreszcie Trinle. – Wielki Piąty powiedział, że gomchen jest jak samotny brylant skryty w olbrzymiej górze. Nasz opat, kiedy byłem młody, stwierdził, że gomchen jest tym wszystkim, co próbuje ziszczyć się w nas

samych, bez brzemienia pożądań.

–Powiedziałaś, że istnieje powiernictwo. Gompa, która chroni gomchena.

–To zawsze było naszym wielkim zaszczytem.

Shan, zdezorientowany, uniósł wzrok.

–Ale to miejsce... to przecież nie jest gompa.

–Nie. Nie Yerpa. To gompa Nambe.

Shan spojrział na niego zdumiony.

–Ale gompy Nambe już nie ma! – Choje był opatem gompy Nambe. – Została zniszczona przez samoloty.

–Tak, prawda – odparł Trinle ze swym pogodnym uśmiechem. – Kamienne mury zostały zniszczone. Ale Nambe to nie te stare mury. My wciąż istniejemy. Wciąż mamy nasz święty obowiązek wobec Yerpy.

Shan stał jak ogłuszony. Pomyślał o Choje tam, w Czterysta Czwartej, wypełniającym swój własny święty obowiązek osłaniania Yerpy. Uświadomił sobie, że Tsomo siada obok niego.

–On bardzo pięknie pisze, kiedy nie medytuje – powiedział chłopiec. – O rozwoju duszy.

Shan przypomniał sobie manuskrypt w przedśionku. Gomchen porozumiewał się z nimi, pisząc traktaty religijne.

–Jak długo on tam jest? – zapytał, wciąż zdjęty grozą. – To znaczy kiedy zaśrubowano wejście?

Udzielenie odpowiedzi zdawało się sprawiać Trinlemu wielką trudność.

–Nasze miary czasu nie mają dla niego znaczenia – powiedział. – W zeszłym roku zapisał rozmowę z drugim dalajlamą. Jak gdyby Drugi był tutaj, jak gdyby dopiero co rozmawiali.

–Ale ile to w latach? – upierał się Shan. – Kiedy on...?

–Sześćdziesiąt jeden lat temu – odparł Tsomo. Jego oczy rozświetlił radosny błysk.

–Świat był wtedy zupełnie inny – zauważył z czcią Shan.

–Wciąż jest. Dla niego. On nie wie. To jedna z reguł. Świat zewnętrzny go nie dotyczy. Cały skupia się na naturze buddy.

–Nocami – powiedział Tsomo dziwnie tęsknym tonem – może przyglądać się gwiazdom.

–Chcesz powiedzieć, że on nie wie o... – Shan nadaremnie szukał właściwych słów.

–O problemach świeckiego świata? – podpowiedział Trinle. – Nie. One przychodzą i odchodzą. Zawsze były cierpienia. Zawsze byli najeźdźcy. Mongołowie. Kilka razy Chińczycy. Nawet Brytyjczycy. Inwazje mijają. Nie mają znaczenia wobec szczęścia, jakie nas spotkało.

–Szczęścia? – zapytał Shan łamiącym się głosem.

Trinle wydawał się szczerze zaskoczony jego pytaniem.

–Że dane nam jest spędzić obecne wcielenie na tej świętej ziemi. – Przyglądał się Shanowi. – Cierpienie naszego ludu nie ma znaczenia dla tego, czemu poświęca się

gomchen – dodał z troską w głosie. Zdawało się, że czuje potrzebę uspokojenia swego gościa. – On musi być wolny od ciężaru świata. Dlatego tak bardzo się niepokoił, kiedy po raz pierwszy spotkał Tsomo.

–Tsomo?

–Długo się naradzaliśmy. Czy został skażony? zadawaliśmy sobie pytanie.

–Jeśli to nie ma znaczenia wewnątrz, nie można przypisywać temu znaczenia na zewnątrz, powiedziałem im – wtrącił Tsomo.

Nagle, z porażającą jasnością, Shan zrozumiał.

–Wasz gomchen może wkrótce umrzeć.

–Nocami słyszymy, jak kaszle – potwierdził z bólem Trinle. – W jego miednicy czasem pojawia się krew. Dajemy mu więcej koców, ale nie korzysta z nich. Musimy być gotowi. Tsomo jest dziesiątym.

To oświadczenie przejęło Shana dreszczem. Wpatrywał się, oniemiały, w wesołego, rozumnego chłopca, który już niedługo miał zostać na zawsze zamknięty w skale. Tsomo odwzajemnił jego spojrzenie z szerokim uśmiechem.

Odprowadzili Shana z powrotem do biblioteki, gdzie Yeshe, z nie słabnącym zachwytem, ślęczał nad manuskryptami. Gdy Trinle i Tsomo dołączyli do niego, w drzwiach pojawił się Gendun.

–Sądzę, że prokurator Jao został zabity, aby uchronić Yerpę – powiedział nagle Shan, zanim weszli do sali.

–Prokurator miał wielu wrogów – zauważył stary mnich.

–To znaczy sądzę, że morderstwo zostało popełnione na Smoczych Szponach po to, by uchronić gomchena.

Gendun powoli pokręcił głową.

–Każdego ranka modlimy się. Błogosławimy wiatr, aby był łagodny dla ptaków. Błogosławimy nasze buty, by nie niosły śmierci owadom.

–A jeśli są inni Tybetańczycy, którzy pragną was chronić, a mniej niż wy przejmują się rozdeptaniem owada?

Starzec zasępił się.

–Wówczas powiernictwo nałożone na nas przez Drugiego zostałoby zerwane. Nie moglibyśmy zgodzić się na ochronę przez pogwałcenie świętego ślubowania.

Shan okrążył salę i zatrzymał się przy rzędzie okien. Po chwili Gendun stanął obok niego. Mała sadzawka była teraz oświetlona słońcem. Blisko wody spoczywały na kocach cztery postacie. Nie medytowały, ale leżały bezwładnie, jak gdyby brak im było sił, nawet by usiąść.

–Macie tu chorych? – zapytał mnicha.

–To jest cena, jaką płacimy. W ostatnich latach zjawiły się nowe choroby, których nie potrafiamy uleczyć nasze zioła. Czasem dostajemy wysypki na twarzy i gorączki. Czasem w młodym wieku przenosimy się do następnego wcielenia.

–Ospa – odezwał się Shan ze zgrozą.

–Słyszałem tę nazwę, w dolinie. – Gendun skinął głową. – My nazywamy to gnijącym policzkiem.

Shan z bezsilnym przerażeniem przyglądał się leżącym w dole wątłym postaciom.

Co takiego powiedział Li, kiedy wyśmiewał się z doktor Sung? W górach łapią czasem choroby, których nie ma już nigdzie indziej na świecie. Przed oczyma stanęła mu koszmarna wizja, w której wszyscy mnisi zmarli na zarazę, zostawiając gomchena uwięzionego w swej celi. Zamrugał, by odpędzić ten obraz, i odwrócił się z powrotem do sali. Gendun stał przy stole obok Yeshego. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy mnisi zajęli się Yeshem, który bombardował ich pytaniami, z podnieceniem przeglądając kolejny stary manuskrypt. Shan cicho wymknął się na zewnątrz.

Korytarz był pusty. Wbiegł po schodach na pierwszy podest i wszedł w blado oświetlony tunel. Wyciągnął jedną z lampek maślanych, które paliły się w niszach wzdłuż ściany, i otworzył pierwsze drzwi.

Była to mała izdebka, właściwie komórka. Stożące tu półki wypełnione były złożonymi tapiseriami. Wielka cedrowa skrzynia nie zawierała nic poza parą znoszonych sandałów.

Następne pomieszczenie było większe, ale znajdowały się w nim tylko gliniane słoje z ziołami i pudła pędzli do tuszu.

W trzecim znalazł ogromne, wypełnione jęczmieniem dzbany oraz, na stojącym pośrodku stole, metrowej długości klucz do nakrętek z kutego żelaza. Przystanął zrezygnowany. Powinny gdzieś tu być kostiumy. Był pewien, że są. Ktoś złamał zasady powiernictwa i wykorzystał kostium z Yerpy, by zamordować Jao. Ruszył truchtem przez zakręcający korytarz, mijając czworo drzwi, i dotarł do końca, gdzie wisiała wielka tapiseria przedstawiająca życie Buddy. Odsunął ją. Za tapiserią znajdowały się drzwi.

To pomieszczenie było większe od innych, bardziej zatechłe, przesycone zapachem kadzidła. Uniósł lampkę i z piersi wyrwało mu się westchnienie satysfakcji. W świetle ujrzał błysk złotego brokatu. A więc były tu kostiumy, osiem kostiumów ułożonych na głębokich półkach pod ścianami. Zacisnął dłoń na gau i wszedł do środka. Kościste, pokryte skórą ramiona stworzeń sterczały z rękawów szat. Podeszedł do najbliższego, oświetlając lampką jego głowę, i jęknął z przerażenia.

Osunął się na kolana. Przez trzewia przetoczyła mu się fala mdłości.

–To bardzo niezwykle miejsce – odezwał się ktoś za nim. Tsomo.

Shan, pełen odrazy do siebie, powoli uniósł wzrok.

–Ja nie... – wychrypiał. – Musiałem wiedzieć. Czy tu są kostiumy. Do tańców obrzędowych.

Tsomo skinął głową. W jego oczach pojawiło się już wybaczenie.

–Naturalnie. Ale to jest tylko uboga pustelnia. Nie obchodzimy wielu świąt. Nie mamy takich kostiumów.

Shan wstał i spojrzał mu w oczy.

–Bałem się, że może macie tu Tamdina. Musiałem... – Nie dokończył.

–Nie tutaj. Tu... – Tsomo z szacunkiem wskazał milczące postacie na półkach. – Tu jest tylko kilku starych ludzi śpiących we wnętrzu swej góry.

Shan cofnął się, z obrazem zmumifikowanych pustelników Yerpy na zawsze już wrytym w pamięci.

Zamykając drzwi, Tsomo uśmiechnął się pogodnie.

–Czasami odwiedzam ich, żeby medytować. Gdy jestem wśród nich, ogarnia mnie spokój.

Kiedy spotkali Yeshego przy drzwiach do sali z mandalą, Gendun wręczył Yeshemu i Shanowi po słoiku z pólak.

–Sto lat temu mieliśmy ogromną mandalę, wykonaną przez mnicha, który wkrótce potem został naszym gomchenem. To są ostatnie resztki jej piasku.

Yeshe westchnął i odsunął słoik.

–Nie mogę przyjąć takiego daru.

Gendun uśmiechnął się.

–To nie jest dar. To pełnomocnictwo.

Shan widział, że Yeshe zrozumiał. Ten dar stanowił ich powiernictwo. Stary mnich położył dłoń na głowie Yeshego i wypowiedział krótką modlitwę pożegnalną.

Nie mówili nic więcej, dopóki nie stanęli u wylotu skalnego labiryntu stanowiącego bramę Yerpy. Yeshe zniknął już wśród skał, gdy Tsomo położył dłoń na ramieniu Shana.

–Dlaczego to robicie? – zapytał Shan. – Dlaczego narażacie przede mną swoje sekrety?

–Byłbym zasmucony, gdybyś uważał to za ciężar.

–To nie ciężar. To zaszczyt. Odpowiedzialność.

–Trinle i Choje uznali, że nie byłoby już uczciwie ukrywać tego przed tobą.

–Ale czy to pomoże mi odnaleźć mordercę? – powiedział Shan niemal szeptem, zaciskając dłoń na słoiku piasku w kieszeni. Dali mu pełnomocnictwo. Czy dzięki sekretom Yerpy będzie mógł uratować Sungpo?

Tsomo wzruszył ramionami.

–Być może tylko pomoże ci łatwiej znieść niepowodzenie. Pamiętaj, co powiedziałeś mi tamtego pierwszego dnia. Z Lao-tsy. Wiedzieć, że się nie wie, jest oznaką zdrowia. – Chłopak uśmiechnął się lekko, niemal psotnie.

–Jedno mnie intryguje – oświadczył Shan. – Gomchen nie wie nic o zewnętrznym świecie. Ale ty jesteś przyszłym gomchenem. Ty o nim wiesz. O najeźdźcach. O morderstwie. O masakrze.

Tsomo pokręcił głową.

–Nie znam tych spraw. Nauczono mnie nie wyglądać poza góry. Słyszałem o takich możliwościach. Jak nasz dziewiąty służył o Wielkiej Wojnie i o detronizacji cesarza Pu Yi w Pekinie. Ale to tylko słowa. Jak wieści z odległej planety. Jak bajki. Nie stanowią części mego świata. Nie zetknąłem się z nimi. – Przyglądał się Shanowi przez chwilę. – Zetknąłem się z tobą. Ty jesteś najdalszą podróżą, jaką kiedykolwiek odbyłem.

Shan nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać.

–Nie najlepiej można ocenić świat na podstawie mojej osoby.

–Nie ma potrzeby oceniać. Cieszę się tylko tym wszystkim, co wielka rzeka życia popycha w naszym kierunku. Pewnego dnia w swojej księdze nasz gomchen narysował buddę z długimi płaskimi skrzydłami. To właśnie zobaczył, gdy w górze przelatował samolot.

Shan uniósł wzrok ku małej okienku, ledwo widocznemu w popołudniowym cieniu.

–Zazdrozczę mu – powiedział.

–Gomchenowi?

Shan skinął głową.

–Myślę – powiedział ciężko – że najlepiej jest wiedzieć, że się nie wie.

ROZDZIAŁ 16

Rebecca Fowler siedziała przy biurku. Głowę wsparła na dłoni i patrzyła przed siebie z nieprzytomnym wyrazem twarzy.

–Wygląda pan jak półtora nieszczęścia – powiedziała, gdy Shan wszedł do środka.

–Byłem na Szponie Południowym – odparł, próbując walczyć z całodziennym wyczerpaniem. – Robiłem rekonesans. – Sierżant Feng palił na zewnątrz papierosa z robotnikami. Yeshe spał w ciężarówce. – Muszę panią o coś zapytać.

–Tak po prostu – stwierdziła, odzyskując dawną cierpkość. – Coś się zdarzyło, kiedy pan sobie spacerował po Smoczych Szponach. – Przeciągnęła palcami po szopie kasztanowych włosów i uniosła wzrok. – Zaniósł tam tę rękę. Rękę pańskiego demona. Kazali mi razem z nimi recytować mantry. Coś zaczęło wyc na górze.

–Coś?

Zdawała się go nie słyszeć.

–Słońce zaszło – opowiadała dalej, z udręczonym wyrazem twarzy. – Zapalili pochodnie i wciąż odmawiali mantrę. Wyszedł księżyc. Zaczęło się wycie. Zwierzę. Nie zwierzę. Nie wiem. – Ukryła twarz w dłoniach. – Nie spałam wiele od tamtej pory. To wszystko było takie... sama nie wiem. Takie rzeczywiste. – Spojrzała na niego, jak gdyby się usprawiedliwiając. – Przepraszam. Nie umiem tego opisać.

–Rok temu był w moim baraku pewien człowiek z Szanghaju – powiedział cicho Shan. – Z początku wyśmiewał się z mnichów. Ale potem powiedział, że czasem w nocy, kiedy słyszał mantry, zatykał dłonią usta z obawy, że dusza wyrwie mu się na wolność.

Amerykanka odpowiedziała lekkim uśmiechem wdzięczności.

–Muszę zobaczyć mapy. Satelitarne.

Skrzywiła się.

–Kiedy Urząd Bezpieczeństwa zatwierdzał moje zezwolenie, musieliśmy przyjąć określone zasady dostępu. Jedynie osiem upoważnionych osób. Oprogramowanie rejestruje każdy wydruk. Major był dość uparty w tej kwestii. By mogli mieć pewność, że nie zobaczymy czegoś, czego nie powinniśmy widzieć. – W jej głosie pojawił się dystans, ostrożność, jak gdyby prośba Shana ją zaniepokoiła.

–Właśnie dlatego przyszedłem do pani.

Westchnęła, ale nie odpowiedziała.

–Interesują mnie zdjęcia obejmujące Szpon Południowy. Z różnych dni. Ale na pewno z tego, kiedy zamordowano Jao, i o miesiąc wcześniejsze.

–Już od godziny powinnam być przy tylnych stawach.

–Potrzebuję pani pomocy.

–Za trzy dni do Lhadrung zjeżdżają turyści. Moje miesięczne sprawozdanie jest już opóźnione o tydzień. Z Kalifornii wciąż przychodzą faksy z pytaniami, czy załatwiłam sprawę z zawieszeniem koncesji. Mam pracę do wykonania. Oczekują tego moi udziałowcy. Oczekuje tego Ministerstwo Geologii. Oczekuje tego Pekin. Oczekuje tego dziewięćdziesiąt rodzin, których byt zależy od istnienia tej kopalni. –

Wstała i podniosła kask z biurka. – Pan, panie Shan, jest jedyną osobą, której to nie obchodzi.

–Myślałem, że to prosta prośba.

–Nie jest. Już panu mówiłam. Odnoszę wrażenie, że pan nigdy nie miewa prostych próśb.

–Myślę, że Jao został zamordowany właśnie na Szponie Południowym z powodu czegoś, co dostrzeżono na jednej z pani map.

–Czegoś, co dostrzegł tam Jao?

–Być może. Albo morderca. Albo obaj.

–To śmieszne. Nikt oprócz nas nie ogląda tych map.

–Mówiła pani o ośmiu osobach. W takim gronie może być trudno zachować tajemnicę.

–Jeżeli myśli pan, że zamierzam ściągnąć sobie na kark bezpieczeńkę przez jakieś naruszenie zasad bezpieczeństwa, jest pan szalony. – Zrobiła krok w stronę drzwi. – Myślałam, że pan i ja... że jesteśmy... – Z westchnieniem pokręciła głową. – Kiedy przyznano nam zezwolenie na łączność satelitarną, Kincaid powiedział, że pułkownik Tan może próbować podstępem wyłudzić od nas mapy.

–Dlaczego miałby to zrobić?

–Żeby przyłapać nas na naruszeniu zasad bezpieczeństwa, a potem wykorzystać to przeciwko nam.

–Myśli pani, że próbuję panią wrobić?

Fowler westchnęła.

–Nie, nie pan. Ale co, jeśli jest pan wykorzystywany? – Zrobiła następny krok w stronę drzwi. – Niech pan nakłoni kogoś, żeby dał to na piśmie.

–Nie.

Obejrzała się przez ramię.

–Dlatego, że wtedy zostanie pani przyłapana na naruszeniu zasad bezpieczeństwa – zauważył.

Powoli pokręciła głową i znów ruszyła w stronę drzwi.

–Kiedy mieszkałem w Pekinie, znałem pewnego kapłana. Pomagał mi – mówił do jej pleców. – Kiedyś miałem podobny dylemat. Czy powinienem szukać sprawiedliwości, czy po prostu zrobić to, czego chcieli biurokraci. Wie pani, co odpowiedział? Powiedział mi, że nasze życie jest instrumentem, którego używamy do eksperymentowania z prawdą.

Fowler zatrzymała się i powoli odwróciła w jego stronę. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, wreszcie oderwała wzrok i naląła sobie letniej herbaty z termosu. Usiadła, wpatrując się w kubek.

–Niech pana diabli... – powiedziała. – Kim pan, u diabła, jest? Za każdym razem, kiedy sprawy zaczynają dochodzić do ładu, pan... – Nie dokończyła.

–Oboje chcemy tego samego. Odpowiedzi.

Wstała, wylała herbatę do zlewu i weszła do pomieszczenia z komputerami. Otworzyła zamykaną na klucz szafę z długimi, wąskimi szufladami, szybko przejrzała górną szufladę i wyjęła na stół jeden z arkuszy.

–Drukujemy je tylko raz w tygodniu, czasem tylko dwa razy w miesiącu. Ta jest sprzed dwóch tygodni. Siatka trzydziestodwukilometrowa. Najlepsza do naszych celów. Mamy też stusześćdziesięciokilometrową i ośmiokilometrową.

–Potrzebuję więcej szczegółów. Ośmiokilometrowa byłaby lepsza.

Przeszukała szufladę i uniosła wzrok, zakłopotana, po czym otworzyła drugą szufladę.

–Nie ma jej tu. Żadnej ze Szponu Południowego. – Wpatrywała się w pustą szufladę.

–Ale może pani wydrukować nową – podsunął Shan.

–Kincaid byłby wściekły. To wykracza poza nasz budżet. On jest odpowiedzialny za mapy.

–Powiedziała pani, że zależy pani na doprowadzeniu tej sprawy do końca.

–Na razie chętnie dowiedziałabym się, co właściwie oznacza “doprowadzić do końca” – odparła Fowler. Podeszła do konsoli i zaczęła wprowadzać polecenia. Pięć minut później drukarka ożyła.

Kładąc zdjęcie na stole, podała Shanowi szkło powiększające. Prześledził przebieg grzbietu aż do dolnej krawędzi mapy. Na południowym krańcu, gdzie stoki opadały ku małej dolinie, widać było klin czerni.

–Czy wszystkie są robione o tej samej porze dnia? – zapytał. Na marginesie widniała godzina. 16.30. – Czy dałoby się znaleźć coś z wcześniejszej godziny? Może koło południa?

Wydrukowała zdjęcie, datowane dwa miesiące wcześniej, zrobione o 11.30. Cień na południowym krańcu grzbietu zniknął. Teraz zobaczył to, czego szukał: smugi jaskrawych barw w odległym wąwozie, gdzie przedtem nic nie było widać. Oko satelity dostrzegło końskie flagi Yerpy.

–Tamtej nocy z Jao – odezwała się nagle Fowler. Przyglądała mu się poprzez stół. – Tam było coś jeszcze. Nie powiedziałam panu. Spotkaliśmy się wtedy nie tylko z powodu zakładu. Mogliśmy równie dobrze zrobić to później. Myślę, że zależało mu na tym terminie, bo chciał mi zadać parę pytań. Upierał się, żebym mu na nie odpowiedziała.

–Wypytywał panią?

–Rozmawialiśmy o tym z Kincaidem. Nie chcieliśmy niczego utrudniać. Ale przy wszystkich naszych problemach z produkcją woleliśmy nie mieszać się jeszcze w jakieś śledztwo.

–Potem jednak zmieniliście zdanie.

–Kiedy projektowano stawy, przed moim przyjazdem, kopalnia dostała zezwolenie na korzystanie z zasobów wodnych. Prawo pobierania wedle potrzeb wody dla stawów i jednostki przetwórczej. Rejestracja jest wymagana, żeby można było planowo prowadzić nawadnianie w dolinie. Kiedy tu przyjechałam, zauważyłam, że jest tam błąd. Zezwolenie obejmowało strumień, który tu nie płynie. Jest po drugiej stronie góry, na drugim końcu Szponu Północnego, w innym zlewisku. Powiedziałam o tym dyrektorowi Hu. Odpowiedział, że zajmie się tym i nie musimy płacić za tę wodę. Nie płaciliśmy. Ale zezwolenie do dziś nie zostało zmienione.

–Co oznacza zezwolenie na konkretne zlewisko?

–Niewiele. Chyba tylko tyle, że nikt inny nie może korzystać z tej wody.

–Więc to było biurokratyczne niedopatrzenie.

–Tak mi się właśnie zdawało. Ale Jao, gdy tylko usiadł do kolacji, zaczął mnie o to wypytywać. W jakiś sposób dowiedział się o tej sprawie i był cały podniecony. Pytał, kto wystawił zezwolenie. Jak wiele wody można pobrać z tego obszaru. Nie umiałam mu tego powiedzieć. Zapytał, czy mam gdzieś kopię zezwolenia, z podpisem. Kiedy powiedziałam, że tak, był zachwycony. O mało się nie roześmiał. Powiedział, że poda mi z Pekinu numer faksu, żebyśmy mu to wysłała. Potem porzucił ten temat. Zamówił wino.

Z zewnątrz dobiegły przybierające na sile głosy. Robotnicy zbliżali się do budynku. Fowler zerwała się na nogi, by zamknąć czerwone drzwi. Oparła się o nie, jak gdyby chciała je zablokować w obawie przed intruzami.

–Zapomniałam o tym. Potem przyszedł do mnie Li. Węszył wokół zezwolenia.

–Węszył?

–Wiedział coś na ten temat. Zadawał pytania, ale sprawiał wrażenie, jakby nie był pewny, co właściwie chce wiedzieć. Prosił, żebyśmy mu powiedziała, o co pytał Jao.

–Jest zastępcą prokuratora – zauważył Shan. – Prawdopodobnie następcą Jao. Być może musiał ciągnąć dalej jakąś sprawę.

–Nie wiem – odparła Fowler. Wbiła wzrok w podłogę. – A jeśli te zezwolenia miały coś wspólnego ze śmiercią Jao? To nie jest coś, za co mógłby zabić Tybetańczyk. Dlaczego ten mnich miałby się tym przejmować?

–Mówiłem już pani, że Sungpo go nie zabił.

Utkwiła w nim pełne bólu spojrzenie.

–Czasem tak sobie myślę... Jeśli przez to właśnie zginął Jao, to co ze mną? Tamta kolacja. Rozmawialiśmy długo. Może zabójca myśli, że ja wiem to, co wiedział Jao. Być może ktoś chce mnie zabić, a ja nawet nie wiem dlaczego. To wszystko nie ma sensu. Jeśli to nie był Sungpo, to kto próbuje go zrobić? Pułkownik Tan? Zastępca prokuratora Li? Major? Oni wszyscy tak się spieszą, żeby postawić go przed sądem.

–Twierdzą, że po prostu zależy im na szybkim zamknięciu sprawy ze względu na gości.

–Ktoś może kłamać z powodów osobistych, nie tylko politycznych.

Shan skinął głową z uznaniem.

–Szybko się pani uczy, panno Fowler.

–To mnie przeraża.

–Więc proszę mi pomóc.

–Jak?

–Muszę zobaczyć więcej map. Może te z jaskinią czaszek.

–Nie mamy ich. Mamy tylko mapy naszego zlewiska.

–Ale może je pani ściągnąć przez komputer.

–Mamy umowę tylko na ten obszar. Ściągnięcie mapy spoza niego jest kosztowne. Pięćdziesiąt dolarów od sztuki. Wprowadzamy numery sekcji. Jakiś

komputer w kraju przetwarza zamówienie, weryfikuje numer naszego konta, przesyła nam dane i wystawia fakturę.

–Numery sekcji?

–Jest katalog map identyfikowanych na podstawie przypisanego im numeru.

Shan sięgnął do kieszeni i wyjął świstek z liczbami przepisany z tajnych akt Jao.

–Ten katalog... – odezwał się z ożywieniem. – Macie go tutaj?

Liczby pasowały do formatu idealnie. Zlokalizowanie odpowiednich sekcji zabrało im niecałe pięć minut. Obejmowały rejon Szponu Północnego i położonych za nim terenów uprawnych. Jao widział zdjęcia obszaru, który mylnie ujęto w przyznanych kopalni prawach wodnych.

–Ale on nie dostał tego od nas – zaprotestowała Fowler. – Te tereny nie wiążą się z naszą działalnością. Nigdy nie zamówilibyśmy map spoza własnego obszaru.

–Jest pani pewna? Czy to jest dokumentowane?

–Na fakturach są wymienione wszystkie zamówienia. Jestem jakieś trzy miesiące do tyłu, jeśli chodzi o dokładną kontrolę.

Przeszli do jej gabinetu. Pięć minut później znalazła odpowiedni zapis. Dwa tygodnie przed śmiercią prokuratora ktoś zamówił trzymiesięczną sekwencję zdjęć północnego obszaru.

Shan włożył fakturę do swego notatnika.

–Czy może pani wydrukować te same, które widział Jao?

Odpowiedziała słabym skinieniem głowy. Shan stanął w drzwiach, by się upewnić, że nikt nie podsłuchuje.

–Proszę przynieść mi je jutro do Nefrytowego Źródła. I muszę wziąć dyskietki. Te, które zabrała pani z jaskini.

Fowler zawahała się.

–Ja też ich potrzebuję.

–Przeglądała je pani?

–Oczywiście. Większość plików jest po chińsku, więc nie umiemy z Kincaidem ich przeczytać. Jest też kilka po angielsku, z wykazem zawartości świątyni. Ołtarz pojechał do nowej restauracji w Lhasie. Jansen będzie tym zainteresowany.

–Dlaczego mieliby robić wykaz po angielsku?

Fowler spojrzała na niego z ukosa.

–Nie pomyślałam o tym.

–Dlatego – podsunął Shan – że to jest pułapka.

Usiadła ciężko przy biurku.

–Na nas?

–Na panią. Na mnie. Na Kincaida. Na kogokolwiek, kto mógłby je zabrać. Myślę, że to major je tam zostawił.

–Chcę przekazać je biuru ONZ.

–Nie.

–Dlaczego major?

Shan opadł na krzesło przy ścianie.

–Rodzaj polisy ubezpieczeniowej. – Pochylił się, na chwilę kryjąc twarz w dłoniach. Czuł neodpartą pokusę, by zwinąć się na dywan i zasnąć. Uniósł wzrok.
– Gdyby została pani zmuszona do rezygnacji z funkcji, kto by panią zastąpił?

Fowler skrzywiła się.

–Chodzi panu o zawieszenie koncesji – powiedziała z westchnieniem. – W umowie jest przewidziana odpowiednia procedura. Pierwszego dyrektora wyznacza firma. Wybór następnego należy do rady nadzorczej.

–Amerykanin?

–Niekoniecznie. Być może Kincaid. Ale równie dobrze mógłby to być Hu.

–Jeśli chce pani zachować pracę, panno Fowler, muszę mieć te dyskiety.

Przyglądała mu się przez chwilę, potem szybkim, gwałtownym ruchem wyjęła parę książek z górnej półki. Sięgnąwszy za pozostałe tomy, wyciągnęła grubą kopertę. Podała mu ją.

–Jeszcze jedno – powiedział Shan przepraszająco. – Chcę, żeby zabrała mnie pani do Lhasy.

Pułkownik Tan czekał w ich baraku w Nefrytowym Źródle, paląc papierosy w ciemnościach. Spostrzegłszy wyraz jego twarzy, Feng i Yeshe zawahali się i wycofali za drzwi. Shan włączył światło i usiadł naprzeciwko. Na stole, obok tekturowej teczki, stało rzędem na ustnikach pięć niedopałków papierosów.

Twarz Tana była ściągnięta. Wyglądał na wykończonego, jak gdyby wrócił właśnie z przedłużonych manewrów.

–Uwierzyliście w to, prawda? – powiedział do papierosa. – W to, co napisano o mnie w *Księdze Lotosu*?

–Powtórzyłem tylko to, co przeczytałem – odparł Shan. Atmosfera była tak krucha, że wydawało się, iż jeszcze chwila, a rozsypie się w proch. – Czy to tak ważne, w co ja wierzę?

–Do diabła, nie – odwarknął Tan.

–W takim razie dlaczego mielibyście czuć się tak urażeni tym, co jest w *Księdze Lotosu*?

–Dlatego, że to jest kłamstwo.

–Dlatego, chcecie powiedzieć, że to jest kłamstwo na wasz temat.

–Sierżancie Feng! – ryknął Tan.

Głowa Fenga pojawiła się w drzwiach.

–Gdzie ja byłem w roku 1963?

–Byliśmy w 208. Obozie Wojsk Pogranicznych. Mongolia Wewnętrzna, towarzyszu pułkowniku.

Tan popchnął teczkę w stronę Shana.

–Tu jest zapis mojej służby. Wszystko. Placówki. Pochwały. Nagany. Przydziały. Do roku 1985 nie postawiłem nogi w Tybecie. Jeśli chcecie, porozmawiajcie z panią Ko. Chcę, żeby te kłamstwa się skończyły.

–Chcecie, żeby Sungpo został stracony, czy chcecie, żeby skończyły się kłamstwa?

Tan rzucił mu nad stołem wściekłe spojrzenie. W słabym świetle, kiedy

wypuszczał dym przez nozdrza, jego koścista twarz zdawała się unosić, jakby oddzielona od reszty ciała. – Chcę, żeby skończyły się kłamstwa – powtórzył.

–To nie pomoże mnichowi, którego stracono w Czterysta Czwartej.

–To pałkarze. Nie konsultowali się ze mną.

–Jakoś trudno jest mi uwierzyć, pułkowniku, że nie moglibyście ich powstrzymać, gdybyście chcieli to zrobić.

Spod drzwi dobiegło ciche przekleństwo. Shanowi mignęła sylwetka Fenga, wycofującego się w stronę placu apelowego. Sierżant nie chciał być w polu rażenia spodziewanego wybuchu.

Tan, milcząc, wciąż wpatrywał się w Shana pałającym wściekłością wzrokiem.

–Zastępca prokuratora Li złożył mi propozycję. Sposób na rozwiązanie tego wszystkiego – oświadczył Shan.

–Propozycję? – powtórzył złowieszczo Tan.

–Żeby powiązać to wszystko w schludny pakiet. Powiedział, że prokurator Jao prowadził przeciwko wam śledztwo o korupcję. Tak więc kazaliście go zabić. Powiedział, że jeśli was obciążę, może ze mnie zrobić bohatera.

Oczy Tana zwężyły się do dwóch groźnych szpar. Jego dłoń zacisnęła się na leżącej na stole paczce papierosów, powoli miażdżąc jej zawartość.

–I jakie są wasze zamiary, towarzyszu? – Z paczki zaczęły się sypać okruchy tytoniu.

Shan patrzył na niego pewnym wzrokiem.

–Pułkowniku, mógłbym powiedzieć, że jesteście bezwzględni, uparci, popędliwi, przebiegli i zdecydowanie niebezpieczni.

Tan poruszył się niespokojnie. Wydawało się, że lada chwila rzuci się Shanowi do gardła.

–Ale nie jesteście skorumpowani.

Pułkownik spojrzał na zgniecioną paczkę papierosów.

–Więc nie uwierzyliście mu.

Shan powoli pokręcił głową.

–Nigdy nie ufaliście Li. To dlatego mnie kazaliście prowadzić śledztwo. Podejrzewaliście, że on spróbuje czegoś takiego. Dlaczego?

–To zasmarkany szczeniak partyjny i tyle.

Shan zastanowił się nad tą odpowiedzią i westchnął.

–Koniec z kłamstwami, powiedzieliście.

Gniewnym ruchem ręki Tan strzepnął ze stołu szczątki papierosów.

–Parę miesięcy temu panna Lihua przyłapała go, kiedy szykował się do wysłania tajnego raportu do komitetu partii w Lhasie. Skarżył się tam, że Jao i ja jesteśmy niekompetentni, że nie znamy się na nowoczesnych technikach sprawowania władzy, prosił, by Lhasa zmusiła nas do przejścia na emeryturę.

–Mogliście mi o tym powiedzieć.

–To raczej nie jest dowód w sprawie o morderstwo.

Shan złożył dłonie i utkwiał w nich wzrok.

–Li jest w to zamieszany, wiem to. Nie ma żadnych bezpośrednich dowodów. Ale

we wszystkim, co mówi, we wszystkim, co robi, czuje się ten zapach.

–Zapach?

–Dlaczego na przykład, pojechał na płaskowyż Kham?

–Pojechał, bo wy tam pojechaliście.

–Nie dlatego, że mnie naśladował, ale dlatego, że wyczuł, iż za bardzo zbliżam się do sedna sprawy, dlatego, że miał świadomość, iż jeśli uznam, że może istnieć świadek morderstwa, zacznę go szukać. W mieszkaniu Baltiego Li próbował nas przekonać, że Balti ukradł samochód i pojechał do miasta, aby go sprzedać. Ale wiedział, że było inaczej. Zbliżałem się do prawdy, musiał więc pędzić za mną na Kham, ponieważ był pewien, że Balti wciąż żyje. Co oznacza, że tamtej nocy widział go, widział, jak ucieka. Albo że powiedział mu o tym morderca.

Pułkownik oddychał ciężko.

–Mówicie, że to nie tylko Li. – Poszperał w zgniecionej paczce, szukając choć jednego całego papierosa, po czym odrzucił ją z niesmakiem.

–Składając mi tę propozycję, powiedział coś jeszcze. Że gdybym zgodził się na współpracę, on by się postarał, aby pałkarze zostali odwołani z Czterysta Czwartej.

–Niemożliwe. Li nie ma wpływu na Urząd Bezpieczeństwa.

–Otóż to. – Shan zaczekał, aż znaczenie tych słów w pełni dotrze do Tana. – Ale wystarczyłaby mu współpraca wysokiego rangą oficera z regionalnego urzędu. Może tego samego oficera, który ściągnął ze służb granicznych porucznika Changa.

W oczach pułkownika pojawił się teraz inny ogień.

–Co chcecie, żebym zrobił?

–Proszę posłać po pannę Lihua. Musimy porozmawiać z nią twarzą w twarz.

–Załatwione. Co jeszcze?

–Jedna ze złotych czaszek z jaskini. Będzie mi potrzebna jako dowód rzeczowy. Tan skinął głową.

–Dyrektor Hu przysłał mi jedną do biura. Mój kierowca podrzuci ją wam dziś wieczorem.

–Poza tym prokurator miał ważne spotkanie w Pekinie. Coś związanego z prawami wodnymi. Coś związanego z Bambusowym Mostem. Musimy dowiedzieć się wszystkiego na ten temat. To nie jest coś, co mógłbym zrobić ja albo wy. Ale wy macie kogoś, kto może.

Coś poruszyło się przy wejściu do baraku. Feng przywałęsał się z powrotem. Yeshe stał w cieniu tuż za drzwiami.

–Jeszcze jedno, towarzyszu pułkowniku. Muszę to wiedzieć. Czy podczas powstania w Lhadrung to wy kazaliście obcinać mnichom kciuki?

–Nie! – wybuchnął Tan. Zerwał się, przewracając ławkę. Spojrzał na Fenga i znów na Shana. Ogień na jego twarzy nie powstrzymał nieugiętego spojrzenia Shana. Powoli wyzwanie w oczach Tana zbladło. Z wysiłkiem przełknął ślinę.

–Przekłęci buddyści – mruknął błagalnym tonem. – Dlaczego oni nie mogą przestać? – Spuścił oczy na stół. – Tak – dodał niemal szeptem. – Wiedziałem, że безпеca obcina kciuki i mogłem ich powstrzymać. – Skrzywił się, obciągnął bluzę od munduru i energicznym krokiem wyszedł z baraku.

W ciężkiej ciszy Feng i Yeshe wrócili do środka. Feng postawił ławkę i zaczął zmiatać tytoń.

–I jak, sierżancie? – zapytał Shan. – Teraz już chcesz, żeby był z tym koniec? Ponury wyraz przez cały dzień nie schodził z twarzy Fenga.

–Już nic nie rozumiem – powiedział, wykręcając palce. – Oni nie powinni zabijać moich więźniów.

–Więc pomóż mi.

–Robię to. To moja praca.

–Nie. Pomóż mi. – Shan spojrział na Yeshego, który ruszył ku swojej pryczy. – Za trzy dni Sungpo zostanie stracony. Jeśli tak się stanie, nigdy się nie dowiemy, kim jest morderca. A oni skończą z Czterysta Czwartą.

–Jesteś szalonym sukinsynem, jeśli ci się wydaje, że możesz ich powstrzymać – mruknął Feng.

–Nie ja sam. My wszyscy. – Przyjrzał się swym wyczerpanym towarzyszom. – Jutro, wcześniej rano, Amerykanie przyniosą mapy. Fotograficzne. Yeshe będzie musiał je przestudiować i przejrzeć te dyskiety. – Wyjął z kieszeni kopertę i wręczył ją Yeshemu. – To zajmie ci parę godzin. – Odwrócił się do Fenga. – Chcę, żebyś dołączył do Jigme w górach. Czwooro oczu znaczy więcej niż dwoje. Chcę, żebyś został tam, dopóki nie odkryjesz, gdzie mieszka demon.

Sierżant jakby skurczył się w sobie. Po chwili jednak uniósł wzrok, smutny, ale zdeterminowany.

–Jak?

–Idź do kapliczki koło kopalni. Sprawdź, czy ręka Tamdina jeszcze tam jest. Jeśli tak, idź za nią, kiedy zniknie. Jeśli jej nie będzie, zaobserwuj, kto zostawia modlitwy o ochronę przed ugryzieniami psów. I idź za nim.

Feng opadł na ławkę.

–To znaczy, że mam cię zostawić. Tego nie ma w moich rozkazach. – Brzmiało to nie jak protest, ale smutne stwierdzenie faktu. – Nie potrafię czytać modlitw – mruknął. – Ten Jigme też tego nie umie.

–Nieważne. Zabierzesz ze sobą kogoś, kto potrafi. Pewnego starca. Umówię cię z nim na targowisku.

–Jak go rozpoznam?

–Znasz go. Nazywa się Lokesh.

Tyler Kincaid wydawał się niezwykle rozbawiony. Kiedy minęli posterunek kontrolny na granicy okręgu, wcisnął mocniej pedał gazu i wydał zawiadujący okrzyk, jaki Shan słyszał dotąd tylko u kowbojów na amerykańskich filmach. Rebecca Fowler odwróciła się, by ściągnąć koc, którym był przykryty Shan. Więzień podniósł się z podłogi i usiadł na tylnym siedzeniu.

–Nigdy nie robią prawdziwej kontroli – powiedziała tonem, w którym znać było napięcie. – Po prostu machają ręką.

–Wielcy pekaowcy – wychrypiał Kincaid. Próbował zerknąć na Shana, który masował nogi, by przywrócić krążenie krwi. Leżał na podłodze niemal od dwóch godzin, kiedy zostawili Yeshego ze stosem fotomap w Nefrytowym Źródle. – Ktoś mi

mówił, że byłeś kiedyś wielką szycią w partii. Powiedział, że porwał się na przewodniczącego i przegrał.

–Nic tak dramatycznego.

–Ale to dlatego tu jesteś, prawda? Porwał się na pekaowców. To właśnie oni wsadzili cię do obozu, racja? – zapytał Kincaid, wciąż tym samym niefrasobliwym tonem.

–Trzeba mieć bardzo nudne życie, żeby marnować czas na rozmowy na mój temat.

Fowler obejrzała się na niego z uśmiechem.

–A jak tam pańskie ramię, panie Kincaid? – zagadnął Shan. – Goi się?

Amerykanin podniósł rękę, wciąż jeszcze zabandażowaną.

–Pewnie. Wkrótce będzie jak nowe. Kuracja wysokogórska to dobra zaprawa przed wspinaczką na Czomolungmę.

–Najpierw musimy zaliczyć Gonggar – wtrąciła Fowler. Jechali na lotnisko, żeby wyekspediować do Hongkongu próbki solanki. Za plecami Shana spoczywały dwie drewniane skrzynie, każda mieściła dwanaście stalowych cylindrów. Skrzynie były ich kamuflażem.

–Tam jest kurtka – powiedziała Amerykanka. – Z logo kopalni. Niech ją pan włoży. Na lotnisku proszę po prostu pomagać przy skrzyniach, jak gdyby był pan naszym pracownikiem.

–A co dalej? – zapytał Shan – Będziecie w stanie wytłumaczyć się z podróży do Lhasy? Mógłbym poprosić o podwiezienie jakiegoś kierowcę ciężarówki.

–A jak pan wróci? Jaki kierowca ciężarówki zaryzykuje przemycenie przez posterunek kontrolny obcego człowieka bez dokumentów? Jedziemy po prostu odwiedzić Jansena w biurze ONZ. Chcę z nim porozmawiać o świątyni czaszek.

–Chodzi tylko o to, żebyście nie byli w to zamieszani, nie narażali się niepotrzebnie – wyjaśnił Shan. – Już i tak zbyt wiele ryzykujecie.

–Chcę, żeby ta sprawa została zakończona – odparła Fowler niemal błagalnym tonem. – Jeśli pana złapią, to wszystko być może nigdy się nie skończy. – Odwróciła się ku niemu. Na jej twarzy malowała się udręka, jak wtedy, gdy odniosła do świątyni dłoń demona. – Przyszli do nas wczoraj w nocy. Przypuszczam, że to przed tym próbował mnie pan ostrzec.

–Kto przyszedł?

–Bezpieka. Nie major. Tyler zadzwonił do niego ze skargą. Wyglądali na jakąś ekipę techniczną. Interesowały ich tylko komputery. Przeglądali każdy twardy dysk, każdą dyskietkę.

–Wielki pokaz pekaowców – stwierdził Kincaid z lekkim, kwaśnym uśmiechem. – Po prostu żeby nas postraszyć. Rutyna. Wiedzą, że pomagamy Jansenowi. My wiemy, że oni wiedzą. Wiemy, że oni chcą z tym skończyć. Oni wiedzą, że jeśli przeciągną strunę, ONZ może zainteresować się sprawą na poważnie, napuścić na nich psy gończe.

–ONZ używa psów?

–Inspektorów praw człowieka.

Shan słuchał z niedowierzaniem. Inspektorzy praw człowieka, powtórzył w myślach. Amerykanie tak bez troski posługiwali się słowami. Nie przybywali z innej części świata, który znał. Miał wrażenie, że pochodzą z zupełnie innej planety. Wyjrzał przez okno i westchnął.

–Co powiedział major, kiedy pan zadzwonił? – zapytał.

–Nie mogłem się połączyć – odparł Kincaid. – Był zajęty. Przygotowuje się na przybycie turystów.

–Jeden z nich był strasznie gadatliwy – ciągnęła nerwowo Fowler. – Wciąż się na mnie rzucał, powtarzał, jak nienawidzi Amerykanów. Pytał, czy wiem, jaka kara grozi za szpiegostwo. Powiedział, że śmierć, bez względu na to, kim jesteś. – Spojrzała na Kincaida. – Nikt by wtedy nie stanął w naszej obronie. Żadne ONZ. Nikt.

Kincaid wyczuł, że Fowler patrzy na niego, i odwrócił się do niej, dziwnie przejęty tonem jej głosu.

–Już dobrze – powiedział niepewnie. – Nic się nam nie stanie. Wiesz przecież, że nie ma żadnych szpiegów. To tylko ich pieprzone zagrywki. – Jego dłoń przesunęła się pod deską rozdzielczą i spoczęła na jej nodze.

–Nie wiem – odezwała się w stronę okna. – Jestem tak podminowana. Boję się bez powodu. Coś przeczuwam.

–Co? – zapytał Kincaid.

–Nic. To znaczy nic konkretnego. Jakbym czuła woń zgnilizny. Przez chwilę jest, potem się ulatnia. Coś wisi w powietrzu. – Odepchnęła jego dłoń.

–Wszyscy jesteśmy podminowani – stwierdził Kincaid. – Odkąd przybyli pałkarze. Oni zabili człowieka w obozie. – Shan spostrzegł, że Amerykanin nosi w kieszeni gałązkę wrzosu.

–Oni nie mają do tego prawa, czyż nie? – zapytała Fowler. Jej głos drżał lekko. – Do tego, co robią w obozie. Luntok powiedział, że więźniowie strajkują, a pałkarze mają karabiny maszynowe. Mówi, że bywało tak już w przeszłości. Jest przerażony. Czy to jest tam, gdzie pan...?

Dlaczego tak trudno było mu rozmawiać z Fowler o Czterysta Czwartej? Shan oderwał wzrok od jej zielonych oczu i wyjrzał przez okno. Jechali wzdłuż szerokiej, porośniętej wierzbami rzeki.

–Ja też jestem przerażony – powiedział. Kincaid miał rację. Wszyscy byli podminowani.

Mijali bujne łąny jęczmienia. Rzeka niosła dość wody do nawadniania pól.

–Dlaczego to robicie? – zapytał Shan. – Dlaczego zaczęliście im pomagać, szukać zabytków? Samo zarządzanie kopalnią jest chyba już dość absorbujące?

–Dlatego, że to musi być zrobione – odparła bez wahania Fowler.

–Mogliby to zrobić inni.

–Ale to my jesteśmy na miejscu.

–To właśnie mnie przeraża – powiedział cicho Shan. – Obawiam się, że nie rozumiecie, jakie to niebezpieczne.

Fowler poczuła się dotknięta.

–Myśli pan, że robimy to dla draki? – Mówiła podniesionym głosem, jakiego nigdy

dotąd u niej nie słyszał. – Żebyśmy mogli się przechwalać, kiedy wrócimy do domu? To wcale nie tak, do diabła! – Spuściła wzrok, jak gdyby zaskoczona własnym wybuchem. – Przepraszam – powiedziała cicho. – Chodzi po prostu o to, że Tybet wsiąka w człowieka. Tu wszystko jest takie rzeczywiste. Bardziej rzeczywiste niż cokolwiek tam, w domu.

Już raz użyła tego słowa, przypomniał sobie Shan, opisując chwilę, kiedy zwróciła dłoń Tamdina, a w górach zaczęło wyć jakieś zwierzę. Rzeczywiste.

–Tu wszystko ma jakieś znaczenie – dokończyła.

–Znaczenie? – zapytał Shan.

Obróciła się i spojrzała na niego, wodząc oczyma, jakby szukała właściwych słów, ale nie powiedziała nic więcej.

–Tu nie jest wszystko jedno – ciągnął Kincaid, jak gdyby on i Fowler omawiali ten temat już wiele razy. – U nas w kraju ludzie siedzą i oglądają MTV. Kupują samochody. Kupują domy. Mają jeden przecinek osiem dziecka.

–MTV? – zdziwił się Shan.

–Nieważne. Tam marnuje się życie. Oni wszyscy po prostu żyją na świecie. Tutaj człowiek może żyć w świecie. Buddyści mają osiem piekieł gorących i osiem piekieł zimnych. Ale w Ameryce istnieje zupełnie nowy rodzaj piekła. Najgorszy ze wszystkich. Taki, w którym podstępem skłania się ludzi, by zapominali o własnych duszach, wmawiając im, że już są w raju.

–Ale musicie przecież mieć coś, co ma znaczenie. Choćby rodzinę.

–Nie za bardzo – stwierdził pogodnie Kincaid, jakby się tym szczycił.

Nie za bardzo, pomyślał Shan. Co takiego powiedziała mu Fowler? Że pewnego dnia Kincaid obejmie firmę, że stanie się jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce.

–Nie rozmawiam zbyt wiele z rodzicami.

–A rodzeństwo?

–Miałem psa – odparł kapryśnie Kincaid. Shan niemal zazdrościł mu jego bez troski. – Zdechł – zakończył Amerykanin z szerokim uśmiechem.

–Ale jest pan bogatym człowiekiem – podsunął niezręcznie Shan.

Kincaid rzucił Fowler spojrzenie spod przesadnie zmarszczonych brwi, jak gdyby karcąc ją za gadulstwo.

–Już nie. Dałem sobie z tym spokój. Mój ojciec jest bogaty. Ja chyba też będę, kiedyś. Staram się o tym nie myśleć. Na bogactwie nie zbudujesz domu. Bogactwo nie daje spokoju umysłu. – Zerknął z nadzieją w stronę Rebecki. – Do diabła, w Lhadrung czuję się bardziej u siebie, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się to w Stanach.

Fowler posłała mu słaby uśmiech.

–Biedna, zagubiona duszyczka znalazła wreszcie swój kojec.

–Nie mów tak, jakby to dotyczyło tylko mnie – zbeształ ją Kincaid, wciąż szczerząc się w uśmiechu.

Shan spostrzegł, że Fowler sztywnieje, po czym z wahaniem odwraca się ku niemu, jak gdyby winna mu była wyjaśnienie.

–Moi rodzice rozwiedli się piętnaście lat temu. Mieszkałam z matką, która cierpi na chorobę Alzheimera. To niszczy pamięć. Przestała mnie poznawać przeszło cztery

lata temu. I od ośmiu lat nie miałam żadnych wieści od ojca. – Wyrzała przez okno. – Myślę, że ja też potrzebowałam nowego świata.

Nie wyjaśniło to Shanowi niczego. Zasmuciło go tylko. Może w królestwie duchów Lhadrung był jeszcze jedną pułapką, w której gromadziły się zagubione dusze i dopóty się turlały, dopóki, ubite i twarde jak stare głązy, nie mogły znów bezpiecznie powrócić do świata.

Zamknął oczy i jego myśli popłynęły ku temu, co znalazł w życiorysie pułkownika Tana. Służba w Mandżurii, Mongolii Wewnętrznej i Fujianie. Ale do roku 1985 brak jakiegokolwiek wzmianki o Tybecie. Wyrzał przez okno na odludną okolicę. Wszystko było nie tak. Wszystkie jego przypuszczenia okazały się błędne. Sądził, że kluczem jest dyrektor Hu, ale mylił się. Myślał, że chodziło o jaskinię czaszek, ale potem znalazł Yerpę. Miał nadzieję, że była to tylko walka między szabrownikami, ale szabrownik nie zabiłby z powodu jednej świątyni, żeby chronić inną. Podejrzewał, że zamieszany jest w to Li, potem Li i major, ale żaden z nich nie miał nic wspólnego z Tamdinem. Zdawało mu się, że nie może to być Sungpo, ale kto, jeśli nie mnich, przełożyłby z takim pietyzmem czaszkę w jaskini? Uwierzył, że odpowiedzi pozna z *Księgi Lotosu*, ale i ona się myliła. Wszystko to były fragmenty jednej układanki, lecz jej kształt wciąż mu umykał i nie miał pojęcia, jak wiele jeszcze kawałków musi odkryć, nim wreszcie dostrzeże w nich sens.

Wiedzieć, że się nie wie, jest oznaką zdrowia, przypomniał mu Tsomo. Musiał zacząć jeszcze raz, odrzucić to wszystko, założyć, że wie tylko o swej niewiedzy. Nie wiedział tak wielu rzeczy. Nie wiedział, kto miał kostium Tamdina. Nie wiedział, kto przekazał ragyapom skradzione dostawy wojskowe. Nie wiedział, po co purbowie zapisywali kłamstwa w *Księdze Lotosu*. Nie wiedział, dlaczego Jao interesował się prawami wodnymi na odległym górskim zboczu. Miał wrażenie, że od dnia, w którym znaleźli głowę Jao, ani trochę nie przybliżył się do odpowiedzi. Jeśli nie odnajdzie jej w Lhasie, nie będzie miał żadnej nadziei na odkrycie, kto jest zabójcą, żadnej nadziei na ocalenie Sungpo. Żadnej nadziei na ocalenie siebie samego, albo Czterysta Czwartej, jeśli odmówi napisania raportu pogrążającego niewinnego mnicha.

Podjechali do magazynu na dalekim końcu lotniska. Senny celnik przepuścił ich, machnąwszy ręką, a dwaj robotnicy od przeładunku zaczęli, aż Fowler wręczy każdemu po dziesięć juanów, zanim wyładowali skrzynie i podtoczyli do dżipa paletę ze stojakiem pustych pojemników. Nim minęło piętnaście minut, byli już na szosie do Lhasy.

Godzinę później mijali znajome osiedla niskich, szarych bloków, jakie Pekin budował dla miejskich robotników w całym Chinach. Ścieżki wzdłuż szosy zaczęły się zapełniać postaciami w szarych i brązowych ubraniach. Na wózkach ciągniętych przez wychudzone kuce wywożono z miasta plastikowe beczki nieczystości. Rolnicy nieśli kapustę i cebule w wielkich siatkowych torbach. Z żerdzi balansujących na rowerach zwisały kurczaki i małe świnię. Dziadkowie wędrowali na targ z wnukami. Ulice wydawały się bardziej chińskie niż tybetańskie i z bolesnym ukłuciem smutku Shan przypomniał sobie dlaczego. Pekin “naturalizował” miasto, przywożąc sto tysięcy Chińczyków, którzy stopili się z pięćdziesięcioma tysiącami mieszkających tu

już Tybetańczyków. Gdziekolwiek spojrzął, Lhasa, co po tybetańsku znaczyło "siedziba boga", wyglądała jak jeszcze jeden z owych szarych, zadymionych molochów składających się na współczesne Chiny.

–Być może moglibyśmy zrobić coś więcej – powiedziała Fowler, gdy Kincaid zatrzymał dżipa przed obskurnym piętrowym budynkiem mieszczącym biuro Jansena. – Chce pan zobaczyć zezwolenia na korzystanie z zasobów wodnych. Ale oni nie pokażą ich panu. Musiałby się pan wylegitymować.

–Być może mi się uda. Wiem, jak rozmawiać z biurokratami. – Shan wysiadł i oparł się plecami o samochód, po raz pierwszy stając twarzą do prastarego miasta.

–Nie. Tyler tam pójdzie. To zupełnie normalne. Nie odmówię mu, kiedy poprosi, by pokazali mu jego własne zezwolenia.

Ale Shan już jej nie słyszał. Bo oto tam, na szczycie dominującego nad miastem wzgórza, wznosił się, czy raczej sam był wznoszącym się nad miastem wzgórzem, zamek. Potężne dolne mury, lśniące białe i pnące się stromo w górę, nadawały głównej budowli o złotych dachach wygląd potężnej świątyni unoszącej się ponad himalajskimi śniegami. Otchłań istnienia, nazwał kiedyś te mury Trinle w zimowej opowieści, tak wysokie, tak nieugięte, tak wabiące, że wydały się w jego oczach obrazem drogi do oświecenia.

Nigdy dotąd w całym swoim życiu Shan nie bał się patrzeć na cokolwiek. Teraz czuł się niegodny podnieść wzrok na tę budowlę. Mylił się, coś z siedziby boga przetrwało w Lhasie. Spojrzął w dół, na własne stopy, zdumiony ogarniającym go wzburzeniem, lecz po chwili, nie mogąc się powstrzymać, znów przeniósł wzrok na Potalę.

–Co robisz? – zapytał nagle Kincaid, wyciągając rękę, jak gdyby chciał go podtrzymać.

Shan uświadomił sobie, że bezwiednie opadł na kolana.

–Myślę – odparł, wciąż nie wychodząc ze zdumienia – że robię coś takiego. – Pochylił się i dotknął czołem ziemi, jak mógłby to zrobić pielgrzym, po raz pierwszy ujrzawszy tę świętą budowlę.

Większość starych jaków miała dla niej własne nazwy albo z upodobaniem recytowała liczne określenia nadane jej w tybetańskiej literaturze. Siedziba Najwyższej Istoty. Klejnot w Koronie. Nieziemska Forteca. Brama Buddy. Jeden z młodszych mnichów dumnie doniósł kiedyś, że w zachodnim magazynie wymieniono Potalę jako jeden z cudów świata. Stare jaki przyjęły tę nowinę z uprzejmym uśmiechem. Teraz Shan wiedział już, co musieli pomyśleć: Potala nie jest z tego świata.

Może pięć lat wcześniej mógłby odwiedzić Lhasę i zobaczyć tę budowlę, jak widział ją turysta, jako potężną kamienną twierdzę, imponującą swymi wymiarami i wiekiem oraz historyczną rolą buddyjskiego Watykanu. Ale nie widział jej pięć lat wcześniej, a teraz mógł patrzeć na nią tylko oczyma mnichów snujących zimowe opowieści.

Sędziwy kapłan, ten sam, który przed rokiem wyszedł na śnieg, by umrzeć, był w niej po raz pierwszy w roku 1931, jeszcze za życia trzynastego dalajlamy, i ponownie

dwa lata później, gdy zasuszone w soli ciało starego władcy spoczęło w czortenie z litego srebra w Czerwonym Pałacu Potali. To Trzynasty właśnie na łożu śmierci ostrzegął, że wkrótce wszyscy Tybetańczycy zostaną zniewoleni i że czekają ich niezliczone dni cierpienia. Później ten sam kapłan miał na tyle szczęścia, że został przydzielony do biblioteki w Potali. Przechowywano tam oryginalne plany Wielkiego Piątego, który rozpoczął budowę zamku w roku 1645 i prosił, by zatajono jego śmierć, aby nie zakłóciła przebiegu prac. Stary jak opisywał je szczegółowo przejętym, drżącym słuchaczom w Czteryista Czwartej. Trzynastokondygnacyjna budowla z tysiącem sal o bogato zdobionych ścianach z kamienia, cedru i drewna tekowego, łączonych bez użycia gwoździ, mieściła w owych dniach setki świątyń. Dopiero po raz trzeci słysząc tę opowieść, Shan zrozumiał, że to nie przerośnia. W zamku wzniesionym przez Wielkiego Piątego na chwałę Buddy było sto setek świątyń i dziesięć tysięcy ołtarzy, na których stało dwieście tysięcy posągów. Wpatrując się w potężne mury, Shan przypomniał sobie słowa mnicha, który nazwał je niezniszczalnymi. Być może miał rację – później Shan dowiedział się, że mur zewnętrzny, w niektórych miejscach dochodzący do dziewięciu metrów grubości, wzmocniono na wieki, wypełniając go roztopioną miedzią.

Dużo później, w tybetańskim roku Ziemięj Myszy, 1949, w tej samej bibliotece był Choje. Widział tam siedem tysięcy świętych ksiąg, z których większość stanowiły jedyne w swoim rodzaju rękopisy sprzed stuleci. Niektóre, wyjaśniał dziecięco przejętym głosem, spisano na palmowych liściach sprowadzonych przed tysiącem lat z Indii. W zbiorach specjalnych, zawierających iluminowane manuskrypty – Choje studiował je całymi miesiącami – było dwa tysiące tomów, w których poszczególne linijki tekstu zapisano na przemian barwnymi atramentami sporządzonymi ze sproszkowanego złota, srebra, miedzi, turkusu, koralu i muszli. Dla czerwonogwardzistów, którzy wtargnęli do Potali podczas rewolucji kulturalnej, nic nie symbolizowało Czterech Przeżytków dobitniej niż te manuskrypty. Publicznie zniszczyli je na terenie świątyni, rozrywając wiele z nich na części, które przeznaczono do użytku w latrynach Czerwonej Gwardii.

Rebecca Fowler położyła mu dłoń na ramieniu, przywracając go do rzeczywistości.

–Tyler pójdzie tam zamiast pana – powtórzyła.

–To dla mnie pestka – zgodził się Kincaid z psotnym błyskiem w oku. – Byłem już w tutejszym urzędzie rolniczym. Myślę, że mnie poznają. Czapki z głów przed wielkim amerykańskim inwestorem.

Shan niechętnie skinął głową. Wstał z klęczek i podał Fowler płócienną torbę, którą przywiózł ze sobą.

–Proszę to przekazać waszemu przyjacielowi Jansenowi.

–Co to jest?

–Z jaskini. Jedna ze złotych czaszek. Poprosiłem o nią jako o dowód rzeczowy. Kincaid spojrział na niego niepewnie.

–Nie powiedziałem, czego to ma być dowód – dokończył Shan.

Oczy Kincaida otworzyły się szeroko.

–Ty skurczybyku – powiedział z uśmiechem. – Ty skurczybyku. – Ochoczo przyjął torbę i zerknął do środka.

Shan wyciągnął kopertę.

–To są życiorysy ekipy badawczej dyrektora Hu. Pomyślałem, że może to was zainteresować.

–Życiorysy? – zdziwił się Kincaid.

–Hu ma ośmiu pracowników, których zadaniem jest lokalizowanie nowych złóż mineralnych. Sześciu z nich zostało rok temu na prośbę Hu oddelegowanych do tego zespołu przez Wena Li.

–Przecież Wen jest z Urzędu do spraw Wyznań.

Shan skinął głową.

–Ta szóstka nie ma żadnego przygotowania geologicznego. Są archeologami i antropologami kulturowymi.

Zdezorientowany Kincaid wpatrywał się w kopertę. Po chwili w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

–Cholera! Te jego poszukiwania... tu chodzi po prostu o plądrowanie. On nie szuka złóż! – wykrzyknął do Fowler. – On szuka jaskiń! Świątyń w grotach. Poczekaj, aż Jansen to zobaczy! – Z szerokim uśmiechem chwycił dłoń Shana i uścisnął ją mocno. – Bądź ostrożny, człowieku – powiedział niezgrabnie. Spojrzał w górę na rozbawioną twarz Fowler i opuścił wzrok na Shana. – Naprawdę. Mówię poważnie. – Umilkł na chwilę i z powagą wsunąwszy dłoń za koszulę, ściągnął z szyi ukrytą pod nią wstęgę białego materiału. Była to khatā, jedwabny szal obrzędowy. – Proszę. To mój talizman. Chroni mnie podczas wspinaczek.

–Nie mogę – odparł skrępowany Shan. – To nie jest dla...

–Proszę – upierał się Kincaid. – Chcę, żebyś to wziął. Dla ochrony. Nie chcę, żebyś został schwytany. Jesteś jednym z nas.

Shan przyjął khatę z rumieńcem zakłopotania, po czym włączył się w strumień przechodniów, modląc się, by spłowiła wojskowa kurtka, którą przywiózł z Lhadrung, przekonała gapiów, że jest po prostu wałęsającym się żołnierzem, który przyjechał tu okazją.

Ale kiedy skręcił za rogiem w stronę centrum miasta, Nieziemska Forteca znów ukazała się jego oczom. Lokesh także tam był, przypomniał sobie, najpierw jako młody student, który uzyskawszy znakomite wyniki na egzaminie, dostał zaszczytu zdrapywania tłuszczu świec z ołtarzy Potali. Z tej pierwszej wizyty, spędzonej w mrokach niższych pięter, pamiętał niemal wyłącznie dźwięki. Lokesh opowiadał, że stale słyszał pobrzękiwanie cymbałów tsingha, ale nigdy w ciągu miesięcznego pobytu nie zdołał zlokalizować jego źródła w labiryncie sal. Słyszał rogi jaling o ostrych tonach, w które dęto na rozpoczęcie największych ceremonii, oraz wzywające mnichów na nabożeństwa melodyjne dzwony vajre, które zdawały się co kilka minut odzywać to w tej, to w innej części zamku. Słyszał też wreszcie długie na trzy i pół metra rogi dungchen, o brzmieniu głębokim jak jęk ziemi i tak rezonującym, iż mógł twierdzić, że ich echo przetaczało się po dolnych piętrach jeszcze wiele godzin po tym, jak umilkły.

Gdy Shan zbliżył się do muzeum, włos zjeżył mu się na karku i mrówki przebiegły mu po grzbiecie. Wolnym krokiem okrążył dwukrotnie budynek, za pierwszym razem przystając w tłumie przyglądającym się partii szachów, za drugim włączając się do kolejki na przystanku autobusowym. Szedł za nim jakiś człowiek, niezwykle niski Tybetańczyk w granatowej kurtce robotnika, taszczyący główkę kapusty. Długie, zwinne ramiona i bystre, niespokojne oczy mężczyzny zadawały kłam jego powolnym, niepewnym ruchom. Żeby sprawdzić swoje podejrzenia, Shan ruszył szybkim krokiem i trzy przecznice dalej usiadł na ławce. Mężczyzna nadszedł drugą stroną ulicy i przystanął przy straganie warzywnym. Udając, że czyta wyjętą z kosza na śmieci gazetę, Shan obserwował go, dopóki się nie upewnił, że niski Tybetańczyk jest sam. Bezpieka wysyłała szpicli w co najmniej trzyosobowych zespołach.

Besztając sam siebie za to, że nie pomyślał, iż biuro Jansena może być obserwowane, znalazł publiczną toaletę i ściągnął tam kurtkę, po czym wsiadł do autobusu i przejechał nim jeden przystanek. Wszedł do innego autobusu, obserwując otoczenie z oczyma w uszach, jak wyraził się kiedyś jego instruktor w Pekinie, mając na myśli czujność wszystkich zmysłów, wczuwanie się w rytm tłumu, aby dostrzec, gdzie ten rytm się załamuje, analizowanie, jak każdy z przechodniów spogląda na pozostałych. Należało się bać tych, którzy nie zwracali uwagi na innych.

Sześć przecznic dalej znowu wyszedł na słońce. Tym razem nie skierował się wprost ku muzeum, lecz ruszył równoległą ulicą, wciąż obserwując chodnik.

Nagle za jego plecami rozległ się głośny trzask, jak wystrzał z pistoletu. Shan obrócił się dookoła i zamarł. Nie dalej niż o trzy metry, wśród tłumu chińskich przechodniów i pędzących rowerów, spostrzegł obszarpanego Tybetańczyka w brudnym skórzanym fartuchu na filcowym płaszczu. Jego dłonie wsunięte były w rzemienie drewnianych chodaków, które teraz składał z klaśnięciem nad głową. Stojąca obok Shana pulchna Chinka trzymająca słoik jogurtu syknęła zniecierpliwiona.

–Latseng – rzuciła. Śmieć.

Ale Tybetańczyk zdawał się nie zwracać uwagi na nikogo na ruchliwej ulicy. Płynnie opuścił drewniaki i padł plackiem na chodnik, wyciągając przed siebie ramiona. Szepcząc mantrę, podciągnął ciało, podniósł się na kolana, wstał, klasnął drewniakami dwa razy przed sobą i raz ponad głową, po czym powtórzył cały cykl od początku. Tradycja, przypomniał sobie Shan, nakazywała pielgrzymom wykonać trzy ośmiokilometrowe okrążenia wokół Potali. Ale przypomniał sobie także, że rząd zabudował większą część pielgrzymiego szlaku, zwanego Lingkhor, domami mieszkalnymi i sklepami, odkąd mnisi zachęcili Tybetańczyków, by protestowali przeciwko chińskiemu panowaniu, tworząc wokół Potali nie kończący się łańcuch pielgrzymów.

Ogarnięty nową falą emocji, Shan przyglądał się bezradnie Tybetańczykowi, który patrzył gdzieś przed siebie nieruchomym wzrokiem. Trinle śmiał się serdecznie z zabudowywania szlaku. “Rząd nigdy nie zdoła zobaczyć tego, co widzi pielgrzym” – oświadczył z przekonaniem. Uśmiechając się szeroko, powtarzał to zdanie raz za razem, jak mantrę, aż wreszcie, nie wiedząc dlaczego, Shan wybuchnął śmiechem.

Od strony jezdni doleciał gniewny krzyk. Młody człowiek na motocyklu wołał do pielgrzyma, żeby zszedł mu z drogi. Obok zatrzymał się samochód, trąbiąc klaksonem. Pielgrzym wchodził na skrzyżowanie, nie zwracając uwagi na światła. Ciężarówka nadjeżdżająca boczną ulicą dołączyła swój klakson do chóru.

Zdarzało się, że pielgrzymi ginęli pod kołami pojazdów. Shan słyszał nieraz, jak strażnicy w Czteryście Czwartej żartują z takich wypadków. Pielgrzym wciąż posuwał się naprzód. Ale teraz w jego oczach było coś nowego. Zdawał sobie sprawę, co się wokół niego dzieje. Bał się, a jednak nie mógł się zatrzymać.

Shan rozejrzył się po tłumie. Czy ktoś go śledzi? Nie. Ale nie wyczuwał już rytmu tłumu. Spojrzył przeciągle na Nieziemską Fortecę, po czym wszedł na jezdnię.

Przeszedł obok gniewnych kierowców, wciąż naciskających na klaksony i stanął obok samotnego pielgrzyma. Drobnymi krokami eskortował Tybetańczyka, gdy ten z wysiłkiem przemierzał skrzyżowanie. W górę na kolana. W górę na nogi. Ramiona przed siebie. Klasnąć drewniakami. Ramiona w górę. Klasnąć drewniakami. Ramiona w dół. Przystanąć. Klęknąć. Paść plackiem. Wyciągnąć ramiona. Powtórzyć mantrę do Bodhisattwy Współczucia. Cofnąć ramiona. W górę na kolana.

Ludzie krzyczeli głośniejsze, teraz źli na Shana. Ale on nie słyszał, co krzyczą. Z satysfakcją obserwował pielgrzyma, a w pielgrzymie widział Choje, Trinlego i wszystkie stare jaki. Przemknęła mu przez głowę dziwna myśl, że być może to najważniejsza rzecz, jaką zrobił w ciągu tych trzech lat. Choje mógłby mu podsunąć, że wszystko, co się zdarzyło dotychczas, zdarzyło się po to, by Shan mógł w tej właśnie chwili znaleźć się tutaj, aby ochronić pielgrzyma.

Znaleźli się wreszcie na dającym bezpieczeństwo chodniku. Nie przerywając swej wędrówki ani nie odwracając oczu, Tybetańczyk wzruszonym, niepewnym głosem szepnął do Shana:

–Tujaychay. Dziękuję.

Shan przyglądał się, jak pielgrzym przebywa następne dziewięć metrów, po czym znów zainteresował się otaczającym go światem. Gdy uniósł wzrok, uświadomił sobie, że nie ma nadziei na odzyskanie wycucia rytmu tłumu. Wpatrywało się w niego dwadzieścia par oczu, większość z nich z oburzeniem. Nie miał już czasu na obserwacje i uniki. Ruszył prosto do muzeum.

Wszedł do środka z grupą wycieczkową i chodził wśród eksponatów pod osłoną tłumu, zmuszając się, by nie przystawać przy wspaniałych kolekcjach bębnów z czaszek, obrzędowych mieczy z nefrytu, posągów ołtarzowych, barwnych thanek, czubatych kapeluszy i młynków modlitewnych. Zatrzymał się tylko raz, przed gablotą z unikatowymi różańcami. Na środku wyeksponowano jeden, o paciorkach z różowego koralu rzeźbionych w maleńkie szyszki sosny, przedzielonych paciorkami znacznikowymi z lazurytu. Patrzył na niego smutno, po czym zapisał numer inwentarzowy i ruszył dalej.

A potem natrafił na kostiumy gniewnych bóstw opiekuńczych. Był tu Jama, Pan Śmierci, Jamantaka, Pogromca Pana Śmierci, Mahakala, najpotężniejszy strażnik Dharmy, Lhamo, bogini opiekuńcza Lhasy. I wreszcie, w ostatniej gablocie, Tamdin, Koniogłowy.

Miał więc przed sobą ten wspaniały kostium, z dzikim, obrzmiałym obliczem z pokrytego czerwoną laką drewna, z czterema sterczącymi z ust kłami, z wieńcem czaszek na szyi, z maleńką, zieloną głową dzikiego konia wznoszącą się ponad czupryną złotych włosów. Przyglądał mu się z drżeniem, zaciskając dłoń na gau, które zawierało zaklęcie przywołujące Tamdina. Obok maski leżały ręce groźnego bóstwa, zakończone dwiema groteskowymi, szponiastymi dłońmi, niczym nie różniącymi się od tej, którą, pogruchotaną, znaleziono przy amerykańskiej kopalni.

Nie było wielką pociechą stwierdzić, że tamta dłoń istotnie należała do Tamdina, gdyż kostium w muzeum był kompletny i znajdował się w Lhasie, nie w Lhadrung. Musiał istnieć jeszcze jeden, ale jeśli nie należał do muzeum, Shan nie miał żadnej możliwości, by go wytropić, żadnej możliwości powiązania go z zabójcami Jao.

Głęboko zamyślony wpatrywał się w eksponat, czekając, aż sala opustoszeje, po czym uchylił jakieś drzwi. Schowek dozorczy. Miał już je zamknąć, gdy tknięty nagłą myślą, otworzył je i wyciągnął miotłę i wiadro. Ruszył powoli przez budynek, zamiatając i obserwując uważnie wewnętrzne drzwi sal. Nagle, czując ukłucie przerażenia, dostrzegł kogoś nowego, Chińczyka z oczyma jak lufy pistoletów, który z miernym skutkiem usiłował wyglądać na zainteresowanego eksponatami. Mężczyzna rozglądał się po sali, nie zwracając uwagi na Sha-na, po czym ze zniecierpliwionym pomrukiem przeszedł wojskowym krokiem do następnej sali. Shan skrył się w cieniu, przyglądając się z przerażeniem, jak Chińczyk naradza się z młodą kobietą i mężczyzną ubranymi jak turyści. Gdy truchtem opuścili salę, wszedł w pierwsze drzwi, które ustąpiły, gdy nacisnął klamkę.

Znalazł się w krótkim korytarzu prowadzącym do wielkiej, podzielonej przepierzeniami sali biurowej. Większość biurka była pusta. Na ławce w korytarzu leżał biały fartuch pracownika technicznego. Porzuciwszy wiadro i miotłę, nałożył fartuch, po czym podniósł z pierwszego biurka notatnik i ołówek.

–Zgubiłem się – powiedział do kobiety przy pierwszym zajęтым biurku. – Szukam ewidencji.

–Ewidencji?

–Eksponatów. I obiektów w magazynie.

–To zwykle to samo – odparła wyniosłym tonem.

–To samo?

–Rozumiecie, po dwa egzemplarze każdego obiektu. Jeden na ekspozycji, jeden w magazynie. W piwnicy. Zdublowana kolekcja, jak nazywa to kustosz. Ułatwia czyszczenie i badanie. Jedno na górze, jedno na dole, uszeregowane według numerów katalogowych.

–Oczywiście – przytaknął Shan, odzyskując nadzieję. – Chodziło mi o kartoteki. Lokalizację obiektów.

–Jest w segregatorze. Na stole bibliotecznym.

W małej bibliotece z tyłu korytarza znalazł gruby czarny segregator w krytych plastikami okładkach wytartych na krawędziach do gołej tektury. Dotarł już do rozdziału zatytułowanego “Kostiumy”, kiedy w drzwiach pojawiła się jakaś starsza kobieta.

–O co chodzi? – warknęła.

Shan drgnął, po czym opadł na krzesło i rozsiadł się wygodnie, nim uniósł ku niej wzrok.

–Jestem z Pekinu.

Tym oświadczeniem kupił sobie trzydzieści sekund. Nie przestawał szukać, kiedy kobieta niepewnie przyglądała mu się od drzwi. Ceremonialne nakrycia głowy. Kostiumy tancerzy.

–Nikt mnie nie poinformował – stwierdziła podejrzliwie.

–Z pewnością zdajecie sobie sprawę, towarzyszko, że kontrole nie są zbyt skuteczne, jeśli informuje się o nich z wyprzedzeniem – odparł lakonicznie Shan.

–Kontrole? – Zawahała się, ale po chwili weszła wolno do biblioteki i okrążyła stół. Gdy spostrzegła strój Shana, głośno wypuściła powietrze. – Muszę zobaczyć wasze dokumenty, towarzyszu.

Shan nie odrywał wzroku od księgi.

–Powiedziano mi, że mam zostawić je przy pierwszym biurku. Mamy tu wiele roboty. – Wskazał krzesło. – Może zechcielibyście pomóc?

Kobieta okręciła się na pięcie i zniknęła w korytarzu. Tamdin, mówiła księga, sygnatura 4989. Zestaw nr 1 z gomy Shigatse, 1959, zestaw nr 2 z gomy Saskya, z datą zaledwie czternaście miesięcy wcześniejszą. Wybiegł na korytarz i znów zaczął sprawdzać drzwi. Trzecie otworzyły się na prowadzące w dół schody.

Piwnicę od zakurzonej podłogi po sufit zapełniały regały, zapchane pudłami z drewna, wikliny i tektury, uszeregowanymi, jak mówiła dziewczyna, według numerów katalogowych. Ruszył pędem wzdłuż półek, gorączkowo śledząc numery na skrajnych pudłach. Nagle usłyszał nowy dźwięk, dobiegający z piętra powyżej – łatwy do rozpoznania tupot stóp.

Znalazł numer 3000 i pobiegł dalej. Potem 4000. Wyciągnął pudło z regału. Zawierało kadzielnicę. Znów zaczął biec, potknął się i upadł na kolana. Na górze rozległy się krzyki. Znalazł numer 4900. Z pudła wystawała para złoconych rogów. Maski Jamy. Gorączkowo sprawdzał pozostałe. Ścigający byli już na schodach, nawoływali się głośno. Zapalił się sąsiedni rząd lamp, o wiele jaśniejszych. I nagle znalazł. *Tamdin*, głosił napis, *kostium demona, gompas Saskya*. Pudło było puste.

Ktoś krzyknął w pobliżu. Do wieka przyklejona była taśmą metryczka. Oderwał ją i puścił się biegiem, uciekając od odgłosów pogoni. U szczytu krótkich schodów znajdowały się drzwi. Przez szparę u dołu przenikało światło dnia.

Drzwi były zamknięte. Uderzył w nie barkiem i stare drewno rozprysło się w drzazgi. Upadł na ziemię. Gdy tak leżał, mrugając, oślepiiony blaskiem słońca, ktoś wcisnął but w jego plecy, po czym schylił się i nałożył mu kajdanki na ręce.

Nim zdołał wyjąkać słaby protest, gumowa pałka uderzyła go w czoło, trysnęła krew.

–Chuligańskie gówno – rzucił jego pogromca, po czym złożył meldunek przez krótkofalówkę.

Przez krew zalewającą mu oczy nie mógł dostrzec, ilu ich jest. Byli z Urzędu Bezpieczeństwa, nie miał co do tego wątpliwości, ale wydawali się zdezorientowani.

Gdy wpychali go do szarej furgonetki, słyszał, jak się spierają, czym jest więźniem, gdzie go zawieźć. Pierwszych dwoje nie używało oficjalnych nazw.

–Długie łóżko – powiedział jeden z nich.

–Druty – przekonywał inny.

Do sporu włączył się trzeci mężczyzna.

–Drabchi – oświadczył rozkazującym tonem.

Było to znane więzienie polityczne na północny wschód od Lhasy. Zakład Karny nr I, brzmiała jego oficjalna nazwa. Tam właśnie przetrzymywani byli swego czasu wysokiej rangi urzędnicy i członkowie tybetańskiego rządu.

To był koniec. Sungpo umrze. Shan dostanie nowych strażników. Ostatecznie, jeśli Tan nie zostawi go na łasce losu, być może, dodadzą mu pięć lub dziesięć lat do wyroku i odeślą do Czterysta Czwartej, wcześniej jednak czeka go przesłuchanie przez bezpiekę, wraz z nieodłącznym od tego pobytem w izbie chorych. Kogo, zastanawiał się jakąś odległą częścią umysłu, zaproszą, by wyraził rozczarowanie narodu jego socjalistycznym niedorozwojem? Jestem bohaterem, powiedziałyby im wszystkim. Przetrwiałem dwanaście dni na zewnątrz.

Krew wypełniła mu usta, a ból rany zaczynał przenikać już przez mgłę odrętwienia. Furgonetka ruszyła. Ryk syreny boleśnie uderzył w jego uszy. Wjechali na trasę szybkiego ruchu, nabierając prędkości. Stracił przytomność. Nagle rozległ się krzyk. Usłyszał odgłos łamanego drewna i skrzek przerażonego drobiu. Furgonetka zahamowała gwałtownie i siedzący z przodu mężczyźni wyskoczyli na zewnątrz.

Znów rozległy się wściekle okrzyki, potem ktoś wspiął się na siedzenie kierowcy i furgonetka zawróciła. Syrena została wyłączona i pojazd zrobił serię ostrych zakrętów, po czym zatrzymał się z piskiem opon. Tylne drzwi otworzyły się na oścież i sięgnęły po niego dwie pary rąk. Na pół wyniesiono, na pół zawleczono go na tylne siedzenie innego samochodu, który natychmiast odjechał.

Powoli, jak we śnie, otarł krew z oczu i podciągnął się w górę. Był to duży samochód, nienowy już amerykański sedan. Kierowca miał na głowie wełnianą czapkę. Gdy wyjechali na szeroką arterię wylotową, wyciągnął do tyłu rękę, w której dyndał mały kluczyk. Gdy Shan otworzył kajdanki, mężczyzna zdjął czapkę, ukazując gęste, jasne włosy.

–Nie wiedziałem... – zaczął Shan, kompletnie zdezorientowany. Wyciągnął połą koszuli, by otrzeć krew. – Dziękuję – powiedział po angielsku. – Czy to pan Jansen?

Mężczyzna pokręcił głową i mruknął pod nosem w jakimś skandynawskim języku. Jechał powoli, uważając, by nie zwracać na siebie uwagi.

–Żadnych nazwisk – odparł w tym samym języku. – Proszę. Żadnych nazwisk. – Obok na podłodze Shan zauważył torbę, którą przywiózł do Lhasy. Czaszkę ze świątyni w grocie.

–Skąd pan wiedział? – zapytał po pięciu minutach.

Jansen zapadł w posępne milczenie.

–Po prostu zabieram pana gdzieś na autostradę. Pańscy przyjaciele podobno mają tam czekać.

–Dlaczego?

–Dlaczego? – Jansen z gniewem uderzył dłonią w kierownicę. – Myśli pan, że zrobiłbym to, gdybym wiedział? Z całą chmarą pałkarzy na karku? Nikt nie wspominał o pałkarzach. Powiedzieli, żebym tam był, to wszystko. Trzeba pomóc dżentelmenowi, który dostarczył te wszystkie informacje z Lhadrung. – Pokręcił głową. – Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się coś takiego. Pomóc przy archiwach, żaden problem. Podwieźć staruszka z Shigatse, proszę bardzo. Ale to... – Machnął ręką w geście rezygnacji.

–Purbowie – uświadomił sobie Shan. To musieli być purbowie. Mały człowiek, którego widział na ulicy, nie był jednak sam. To był purba, zrozumiał teraz. – Ale skąd oni wiedzieli?

–Skąd oni wiedzą cokolwiek? Pewnie jakaś telepatia.

Pałkarze wiedzieli. Purbowie wiedzieli. Wszyscy zdawali się wiedzieć wszystko. Wszyscy z wyjątkiem niego.

–Telepatia – powtórzył głucho. Wyrzwał przez okno, by jeszcze raz rzucić okiem na Potalę, nim zniknie w oddali. Otchłań istnienia.

–W najgorszym razie mnie deportują – mruknął do siebie Jansen.

Shan położył się z powrotem na siedzeniu. Znalazł papierowy ręcznik i przyłożył go sobie do czoła.

–Na szosie była jakaś przeszkoda – powiedział, jak gdyby do siebie. – Wózek wieśniaka, jak sądzę. Pałkarze wysiedli, żeby oczyścić drogę.

–Powiedzieli mi, że trzeba pana podwieźć. Żebym czekał ze swoim samochodem. W porządku, pomyślałem. Przejażdżka. Będę mógł pana zapytać o świątynię czaszek. Nagle jeden z nich przebiega obok. Rzuca mi klucz. Mówi, że to dla pana. Potem ulicą pędzi ta furgonetka bezpieki i ładują pana do środka. Kim pan jest? Dlaczego wszystkim na panu zależy?

–Dla mnie, powiedział... Czy użył mojego nazwiska?

–Nie. Właściwie nie. Powiedział, że to dla pielgrzyma.

–Pielgrzyma?

–Tak nazywają pana purbowie. Pielgrzym Tana.

Nie, miał ochotę powiedzieć. Pielgrzym zmierza ku oświeceniu. Przede mną jest tylko ciemność i zamęt. Ale nagle pojawiła się drobniutka iskierka światła.

–Powiedział pan, że wioził staruszka z Shigatse? Do Lhadrung?

Jansen w roztargnieniu skinął głową. Nerwowo obserwował wsteczne lusterko.

–Jego żona właśnie umarła. Śpiewał mi stare pieśni żałobne.

Rebecca Fowler i Tyler Kincaid czekali dwadzieścia cztery kilometry za miastem, na płaskim odcinku drogi wzdłuż rzeki Lhasa, gdzie kierowcy ciężarówek zbierali się na nocleg. Jansen zatrzymał się za rozpadającą się ciężarówką Jiefang, z której natychmiast wyskoczyło czterech młodych ludzi, by odprowadzić Shana do terenówki Amerykanów. Shan odwrócił się, żeby podziękować Jansenowi, ale Fin tylko skinął nerwowo głową i odjechał w pośpiechu.

Jiefang zajechał przed dżipa i kierowca machnął na Amerykanów, żeby jechali za nim.

Fowler siedziała w milczeniu. W pierwszej chwili Shan sądził, że śpi, ale potem zobaczył jej dłonie. Zaciśnięte kurczowo, aż zbieleły jej kostki palców, wyginały nerwowo mapę samochodową.

–To jak spadanie swobodne – odezwał się Kincaid z nieoczekiwanym podnieceniem w głosie. – Sto stóp na sekundę. Serce w gardle. Cały świat przelatuje obok. – Obejrzał się na Shana. – To oni, prawda? – zapytał z szerokim uśmiechem.

–Oni?

–W ciężarówce. Tej tutaj. To muszą być purbowie.

–Przepraszam. – Shan pomacał się po czole. Krew już krzepła.

–Przepraszasz? Za ten dzień? Ten cały cholerny dzień był jak zjazd na linie. Po prostu zeskakujesz z urwiska, a reszta idzie sama.

–Nie zamierzałem narażać was na niebezpieczeństwo – powiedział Shan. – Powinniście byli po prostu odjechać.

–Do diabła, wyszliśmy z tego z życiem, prawda? Jest super. Za nic bym tego nie przepuścił. Nieźle daliśmy w kość tym pekaowcom. Wysłałeś mnie na poszukiwanie czegoś, czego nie ma. Znakomicie. Zbiliśmy ich trochę z pantaląku. – Wypełnił wnętrze dżipa kolejnym ze swych kowbojskich okrzyków.

–Do diabła, Tyler – odezwała się Fowler – wywieź nas stąd. To nie koniec, jeszcze nie jesteśmy w domu.

–Co znaczy “poszukiwanie czegoś, czego nie ma”? – zapytał Shan.

–W urzędzie rolniczym. Wydział zasobów wodnych przeniesiono stąd w ramach reorganizacji. Wszystkie dokumenty pięć miesięcy temu pojechały do Pekinu.

Szukać czegoś, czego nie ma. Shan zapomniał o metryczce z archiwów.

Wyciągnął ją z kieszeni, powoli, jak gdyby miała się rozpaść, gdyby szarpnął ją zbyt szybko.

Tamdin, zapisano na niej. *Gompa Saskya*. Ale było tam więcej informacji.

Zanotowano, że kostium został wypożyczony. Data była sprzed czternastu miesięcy, ta sama, która była datą jego odkrycia. Wypożyczony miastu Lhadrung. Podpis był nakreślony pośpiesznie i zamazany, ale pieczęć u dołu odbiła się wyraźnie. Osobista pieczęć Jao Xengdinga. Poniżej inna ręka nabazgrała: *Zatwierdzono*, po czym następował jeszcze jeden ideogram, odwrócone, dwukrotnie przekreślone Y. Taki sam, jaki widniał na notatce z kieszeni Jao. Niebo. Albo niebios.

Trzydzieści kilometrów za lotniskiem ciężarówka Jiefang zatrzymała się na ostrym zakręcie. Kincaid zjechał na pobocze. Jeden z mężczyzn wyskoczył, podbiegł do pojazdu Amerykanów i nagłym tonem szeptał coś do Kincaida, wskazując boczną drogę przed ciężarówką. Jiefang zawrócił. Purba w biegu wskoczył do środka.

Kincaid włączył napęd na cztery koła i zjechał na boczną drogę.

–Pałkarze założyli blokady na wszystkich drogach prowadzących z Lhasy, w regularnych odstępach. Kipią ze złości. Prawdopodobnie na posterunku kontrolnym okręgu Lhadrung czeka już na nas specjalny komitet powitalny. Tak więc musimy zrobić objazd.

Prowadził brawurowo na wyboistej drodze, jadąc w stronę zachodzącego słońca. Nagle się zatrzymał. Przed nimi, w oddali, migotały światła doliny Lhadrung.

–Moglibyśmy wrócić, wiesz – oświadczył Shanowi ze znaczącym spojrzeniem.

–Wrócić?

–Do Lhasy. Posterunki kontrolują pojazdy, które opuszczają miasto, nie te, które wjeżdżają. Moglibyśmy to zrobić. Jesteś zbyt cenny, żeby wracać do obozu, kiedy to się skończy. Tak dużo wiesz. Mogę ci pomóc.

–W jaki sposób? – Shan czuł na szyi khatę Amerykanina.

–Porozmawiam z Jansenem. Uspokoimy go. Do diabła, on sam będzie chciał tygodniami drążyć, co wiesz. Zna ludzi, którzy mogą cię wydostać z tego kraju.

–Ale pułkownik Tan... I jeśli dyrektor Hu... – zaprotestowała Fowler.

–Do diabła, Rebecca, oni nie wiedzą, że Shan jest z nami. On po prostu zniknie. Mogę usunąć ten tatuaż. Widziałem, jak się to robi. Mógłbyś być wolnym człowiekiem.

Wolnym człowiekiem. Te słowa były dla Shana tylko pustym dźwiękiem. Było to pojęcie, w którym Amerykanie wydawali się rozmiłowani, ale którego on sam nigdy nie zrozumiał. Być może dlatego, pomyślał, że nigdy nie znał wolnego człowieka. Zsunął khatę z szyi.

–To miło z pana strony. Ale jestem potrzebny w Lhadrung. Proszę po prostu odwieźć mnie do Nefrytowego Źródła.

Kincaid spostrzegł szal w dłoniach Shana i rozczarowany pokręcił głową.

–Zatrzymaj to – powiedział z podziwem w głosie, odsuwając khatę. – Będziesz tego potrzebować, kiedy wrócimy do Lhadrung.

ROZDZIAŁ 17

Pułkownik Tan przenosił wzrok w tę i z powrotem od kartki leżącej na biurku do trzymanej w ręce, jak gdyby czytał obie wiadomości jednocześnie. W faksie z Hongkongu panna Lihua informowała, że stara się zarezerwować sobie lot powrotny, tymczasem zaś chce potwierdzić, że osobista pieczęć prokuratora Jao istotnie została skradziona mniej więcej przed rokiem. Złodzieja nie aresztowano, choć był to jeden z tych drobnych aktów sabotażu, w jakich celowali mnisi i inni chuligani kulturowi. Wykonano nową pieczęć i wysłano zawiadomienie o kradzieży do banku Jao.

Pani Ko donosiła, że zasięgnęła informacji w Ministerstwie Rolnictwa w Pekinie i dotarła tam do człowieka nazwiskiem Deng, który odpowiada za archiwizację zezwoleń na korzystanie z zasobów wodnych. Deng wiedział, kim był prokurator Jao; rozmawiali przez telefon na tydzień przed jego śmiercią, wyjaśniała. Podczas pobytu prokuratora w Pekinie mieli się spotkać w restauracji "Bambusowy Most".

–Tak więc jakiś mnich ukradł pieczęć Jao i zdobył kostium. Może Sungpo, może któryś z pozostałych czterech – stwierdził Tan.

–Dlaczego akurat osobistą pieczęć? – zapytał Shan. – Skoro już zadał sobie ten trud i chciał przysporzyć rządowi kłopotów, dlaczego nie ukradł jego pieczęci służbowej?

–Poszedł na łatwiznę. Korzystając z okazji, zakradł się do biura przez otwarte drzwi albo okno, i pierwszą rzeczą, jaką znalazł, była ta osobista pieczęć. Potem wystraszył się i uciekł. Panna Lihua twierdzi, że to był mnich.

–Nie wydaje mi się. Ale nie o to chodzi. – Shan przyłapał się na tym, że wygląda przez okno na ulicę, na pół oczekując, że zobaczy ciężarówkę pałkarzy przybywających, by go zaaresztować. Stał tam jednak tylko pusty samochód oficera, który przywiózł go do miasta. Pałkarze w Lhasie wiedzieli, kim jest. Ale nie przychodzili po niego. Jakie otrzymali rozkazy? Po prostu wypłoszyć go z Lhasy? Sprzątnąć go, gdyby udało się go pochwycić poza zasięgiem władzy Tana?

–Co macie na myśli?

Shan odwrócił się z powrotem w stronę Tana.

–Istotne jest to, że dyrektor Urzędu do spraw Wyznań kłamał. Powiedział nam, że wszystkie kostiumy są zinwentaryzowane. Mówił, że to sprawdzał.

–Ktoś w muzeum mógł go okłamać – podsunął Tan.

–Nie. Pani Ko dowiadywała się o to dziś rano. Nikt nawet nie dzwonił tam w sprawie kostiumów.

–Ale Jao nigdy nie kazałby odesłać kostiumu z Lhasy z powrotem do Lhadrung. Nie miałby żadnych powodów – stwierdził niepewnie Tan.

–Czy słyszeliście kiedykolwiek, że jego pieczęć została skradziona? Taka strata byłaby chyba dla prokuratora czymś bardzo niepokojącym. Czymś, o czym wojskowy zarządca okręgu powinien się dowiedzieć.

–To była tylko osobista pieczęć.

–Myślę, że jego osobista pieczęć była dostępna dla kogoś tu, w Lhadrung, i ten ktoś użył jej do podstemplowania metryczki, którą później przyczepiono do pudła w

muzeum.

–Twierdźcie, że panna Lihua kłamie?

–Musimy ją tu natychmiast sprowadzić.

–Widzieliście jej pismo. Jest w drodze. – Tan upuścił faks na biurko. Nagle uświadomili sobie, że w drzwiach stoi podekscytowana pani Ko. Nie została wezwana, a jednak wyraźnie nie miała zamiaru odejść. Zwycięskim gestem uniosła pięść. Tan westchnął i skinął na nią, by weszła do gabinetu.

–Więc Jao miał się spotkać z tym Dengiem w Pekinie. Po co? – zapytał.

–Żeby przejrzeć rejestry praw wodnych w Lhadrung – oświadczyła pani Ko. – Jao chciał wiedzieć, kto miał zezwolenie na ten obszar przed Amerykanami.

–A towarzysz Deng z Ministerstwa Rolnictwa znał odpowiedź?

–Wszystkie rejestry były jeszcze w oryginalnych skrzyniach z Lhasy. Właśnie dlatego był tak nieszczęśliwy, że Jao się nie zjawił. Żalił się, że poświęcił wiele godzin, żeby je prze-wertować.

–I to wszystko dla jakiegoś nieznajomego z Tybetu?

Pani Ko skinęła głową.

–Towarzysz Jao powiedział, że jeśli znajdą to, czego się spodziewa, będzie chciał, żeby Deng poszedł z nim prosto do Ministerstwa Sprawiedliwości, na samą górę. Twierdził, że to sprawa najwyższej wagi. Deng zostałby polecony samemu ministrowi.

Tan przesunął się na skraj krzesła.

–Musiało chodzić o którąś ze spółdzielni rolniczych – stwierdził.

–Właśnie – potwierdziła pani Ko.

–Pytała go pani?

–Oczywiście. To należy do naszego śledztwa – odparła, konspiracyjnie zerkając na Shana.

Tan rzucił mu niecierpliwe spojrzenie.

–I co?

–Spółdzielnia “Wielki Mur”.

Tan poprosił o herbatę.

–Zachowuje się, jakby właśnie rozwiązała naszą zagadkę – westchnął, gdy pani Ko, wciąż podekscytowana, zniknęła za drzwiami.

–Być może to zrobiła – odparł Shan.

–Ta spółdzielnia “Wielki Mur” ma jakieś znaczenie?

–Przypominacie sobie Jin Sana, jedną z ofiar morderstwa?

–Jao skazał za tę zbrodnię jednego z Piątki z Lhadrung.

–A w czasie procesu odkrył, że Jin San kierował szajką narkotykową.

–Którą zlikwidowaliśmy.

–Być może zapominacie, że Jin San był kierownikiem spółdzielni “Wielki Mur”.

Pułkownik zapalił papierosa i patrzył przez chwilę na żarzący się czubek.

–Chcę tu mieć pannę Lihua – warknął nagle w stronę otwartych drzwi. – Jeśli trzeba, proszę załatwić jej wojskowy samolot. – Zaciągnął się głęboko i odwrócił się do Shana. – Ta działalność opiumowa jest skończona. Szajka rozpadła się po śmierci

Jin Sana. Sprzedaż narkotyków w Lhadrung ustała. Do kliniki przestali trafiać narkomani. Otrzymałem oficjalną pochwałę.

Shan rozłożył mapy satelitarne przedstawiające mylnie objęty zezwoleniem obszar, te same mapy, które oglądał Jao.

–Potraficie czytać te zdjęcia?

Tan sięgnął do biurka po wielkie szkło powiększające.

–Mówiłem wam, dowodziłem bazą raketową – mruknął.

–Yeshe przeglądał wczoraj te mapy. Nowa droga. Kopalnia. Dodatkowy obszar praw wodnych na północnym zachodzie. Coś go zastanowiło. To są obrazy tego terenu z czterech kolejnych miesięcy. – Wskazał na pierwszą mapę. – Zima. Śnieg. Skały i ziemia. Nie różnią się od zdjęć reszty terenu.

Postanowił nie wspominać o innym odkryciu Yeshego. Dyskietki zabrane przez Fowler istotnie zawierały wykazy. Połowa chińskich plików odpowiadała nawet plikom angielskim. Ale na pozostałych były wykazy uzbrojenia, żołnierzy, nawet pocisków raketowych rozmieszczonych w Tybecie. Yeshemu drżały ręce, kiedy oddawał je Shanowi. Razem zabrali je do budynku gospodarczego w Nefrytowym Źródle i spalili w piecu. Shan nawet przez chwilę nie sądził, że dane te mogą być autentyczne. Ale obaj wiedzieli, że nie ma to większego znaczenia. Urząd Bezpieczeństwa nie zaprzętałyby sobie głowy tak subtelną kwestią, gdyby znalazł te dyskietki u cywila. Przyglądając się, jak płoną, Yeshe poprosił o pozwolenie odejścia do Czterysta Czwartej. Cywile się zbierają, powiedział.

–Niezupełnie – zauważył Tan, spoglądając przez lupę. – Są tarasy.

Prawdopodobnie bardzo stare. Ale widać ich ślady. Delikatne linie cienia.

–Zgadza się. A tak to wygląda miesiąc później. – Shan odsłonił następną mapę. – Stoki są teraz zazielenione. Bardzo lekko. Ale o wiele bardziej niż reszta góry.

–Woda. To świadczy o tym, że tarasy wciąż zatrzymują wodę – stwierdził Tan.

–Ale proszę spojrzeć. Miesiąc później. Pojawia się inny kolor. Ślad rózu i czerwieni.

Tan bez słowa pochylił się nad mapą i przyjrzał się jej przez lupę pod różnymi kątami.

–To błąd obróbki. Czasem powstają anomalie. Odczynniki zniekształcają barwy. Nawet obiektyw może wprowadzać aberracje.

–Ja myślę, że barwy są prawidłowe. – Shan położył ostatnią mapę. – Sześć tygodni temu.

–I kolor zniknął – zauważył Tan. – Nie różni się od sąsiednich zboczy. Tak jak mówiłem. Błąd obróbki.

–Ale tarasy także zniknęły.

Tan z zakłopotaniem uniósł wzrok, po czym znowu pochylił się nad mapą.

–Ktoś nadal uprawia maki Jin Sana – zakończył Shan.

Shan nienawidził helikopterów. Samoloty zawsze robiły na nim wrażenie czegoś działającego wbrew naturalnemu porządkowi; co do helikopterów, wydawało mu się po prostu niemożliwe, że mogą latać. Młody pilot wojskowy, który odebrał ich z Nefrytowego Źródła, nie uśmierzył jego niepokoju. Leciał na stałej wysokości

sześćdziesięciu metrów nad ziemią, wznosząc się i opadając niczym kolejka w wesołym miasteczku, gdy pod nimi przesuwały się falujące wzgórza górnego odcinka doliny. Dziesięć minut później minęli grzbiet góry i wylądowali na małej polanie.

Tarasy były wiekowe, ale doskonale widoczne: ciągi skalnych murków połączonych rozjeżdżoną ścieżką dla wozów. Wiosenny plon został już zebrany. Jedynym znakiem życia były rzadkie zagony chwastów, wybijających się poprzez dywan zwiedłych makowych liści.

–Tutaj. – Tan wskazał na płaski kamień, potem następny i jeszcze jeden, rozmieszczone na polach w regularnych, trzymetrowych odstępach. Shan kopnięciem przewrócił najbliższy. Pod spodem ukazał się szeroki na osiem centymetrów i na ponad pół metra głęboki otwór. Tan kopnął drugi kamień i trzeci. Wszystkie zakrywały podobne otwory.

Pod wysoką, nadwieszoną skałą Tan znalazł stertę ciężkich drewnianych pali, długich na dwa i pół metra. Przymierzył jeden do otworu. Pasował idealnie. W cieniach pod skałą Shan wypatrzył koniec liny. Pociągnął ją, bez skutku, i zawołał Tana. Wspólnymi siłami wyciągnęli wielki, obwiązany sznurem kłęb szmat. Nie, uświadomił sobie Shan, kiedy wywlekli toból na światło, to nie były szmaty. To była wielka wojskowa siatka maskująca.

Ciszę przerwał dobiegający z góry okrzyk.

–Pułkownik! – zawołał pilot, zbiegając po stoku. – Dostałem wiadomość przez radio! W Cztery Czwartej otworzyli ogień!

Tan rozkazał pilotowi zatoczyć krąg nad obozem. Przy bramie wjazdowej stały, migając światłami, trzy karetki pogotowia. Ludzie skupili się w cztery osobne grupy, jak czekające na połączenie elementy układanki. W zwartym kwadracie na terenie obozu siedzieli więźniowie. Shan wypatrywał zwłok, rannych na noszach, niesionych do karetek pogotowia, ale ich nie dostrzegł. Poza drutami, przed stołówką, strażnicy w zielonych mundurach utworzyli półksiężyc zwróceniem twarzy w stronę obozu.

Wzdłuż ogrodzenia, przecinając zapory z worków z piaskiem, ciągnęła się schludna szara linia pałkarzy. Czwarta grupa była nowa. Shan przyglądał się jej, gdy helikopter podchodził do lądowania. To byli Tybetańczycy. Pasterze. Ludzie z miasta. Dzieci, starcy i kobiety. Niektórzy siedzieli twarzą do drutów, śpiewając mantry. Inni wznosili tormę, ofiarę z masła, która miała następnie zostać poświęcona i zapalona jako wezwanie do Bodhisattwy Współczucia.

W powietrzu unosiła się gryząca woń kordytu. Gdy wizg silnika helikoptera ucichł, Shan usłyszał płacz dzieci i gorączkowe okrzyki w tłumie. Ludzie wykrzykiwali imiona, wywołując więźniów zamkniętych wewnątrz ogrodzenia. Na przedzie siedziało, śpiewnie zawodząc, kilku starych mężczyzn. Shan przysłuchiwał im się przez chwilę. Nie modlili się o zachowanie życia więźniów. Modlili się o oświecenie żołnierzy.

Tan przyglądał się tej scenie w milczeniu, z trudem opanowując wściekłość. Przed grupą cywilów stało kilkunastu pałkarzy z pistoletami maszynowymi w dłoniach. U ich stóp leżały rozrzucone łuski.

–Kto wam pozwolił strzelać?! – ryknął Tan.

Zignorowali go.

–Usiłowali wtargnąć do strefy śmierci – rozległ się za ich plecami ugrzeczniony głos. – Zostali ostrzeżeni. – Shan poznał, kto to mówi, nim jeszcze się odwrócił. Major. – Jak wiecie, towarzyszu pułkowniku, Urząd Bezpieczeństwa ma określone procedury.

Tan wpatrywał się w majora z ogniem w oczach. Wreszcie odwrócił wzrok i odszedł gniewnie ku nadzorcy, stojącemu wśród strażników obozowych. Shan zbliżył się, na ile tylko się ośmielił, do ogrodzenia, rozglądając się po twarzach więźniów. Czyjeś dłonie sięgnęły po niego z tyłu, chwytając go za ramiona, i zacisnęły się boleśnie. Instynkty więźnia wzięły w nim górę. Odruchowo uchylił się, osłaniając twarz ramieniem w oczekiwaniu ciosu. Gdy żaden nie padł, pozwolił żołnierzom odciągnąć się od drutów. Pałkarze, uświadomił sobie, nie rozpoznali w nim więźnia. Jego dłoń powędrowała do rękawa i obciągnęła go, by zakryć tatuaż.

Stał tam, gdzie go zostawili, patrząc przez ogrodzenie. Nigdzie nie widział Choje. Tybetańczycy rozstąpili się, gdy wszedł w tłum, wyraźnie unikając z nim kontaktu.

–Więźniowie! – zawołał do zwróconych ku niemu pleców. – Czy wśród więźniów są ranni?!

–Mają zakłęcia! – krzyknął ktoś wyzywająco. – Zakłęcia przeciwko kulom!

Nagle wyrosła przed nim znajoma, dziwnie obco wyglądająca tu postać. Był to sierżant Feng, ubrany w starą wełnianą koszulę, którą Shan kazał mu włożyć na płaskowyżu Kham, z twarzą brudną i zmęczoną. Gdy Shan spojrzał mu w oczy, nie dostrzegł ani śladu dawnej arogancji. Przez krótką, ulotną chwilę Shanowi wydawało się, że widzi w nich błaganie.

–Myślałem, że jesteś w górach.

–Byłem tam – odparł spokojnie Feng.

Gdy Shan ruszył ku niemu, Feng zrobił krok naprzód, zastępując mu drogę. Shan oparł mu dłoń na ramieniu i odsunął go na bok. Za nim, na ziemi, siedział mnich odmawiający mantrę ze starą kobietą. Shan przystanął, patrząc z niedowierzaniem. To był Yeshe, uświadomił sobie nagle. Chłopak miał na sobie wiśniową koszulę udającą mnisią szatę. Ostrzygł sobie włosy przy skórze.

Na widok Shana uśmiechnął się niezręcznie. Poklepał dłoń kobiety i wstał.

–Pytałem o więźniów – powiedział Shan.

Yeshe spojrzał w stronę drutów.

–Strzelali nad głowami. Nikt jeszcze nie został ranny. – Jego oczy patrzyły pewnie, jak jeszcze nigdy dotąd.

–Cholerny głupiec! – prychnął nagle za nimi sierżant. Podbiegł, przedzierając się przez tłum, do ogniska kuchennego, skąd dobiegały odgłosy kłótni. To Jigme kłócił się z jakąś kobietą.

–Ona nie chce mi nic dać – poskarżył się Jigme na widok Shana. – Mówiłem jej, że to dla Je Rinpocze. – Spojrzał na Shana, potem na Yeshego. – Powiedźcie jej – błagał. – Powiedźcie, że nie jestem Chińczykiem.

–Byłeś w górach – odezwał się Shan. – Co się stało?

–Muszę znaleźć zioła. Uzdrowiacza. Pomyślałem, że może tutaj. Ktoś powiedział,

że tu będą kapłani.

–Uzdrowiacza dla Je?

–On jest bardzo chory. Bardzo słaby. Jak liść na przegniłym ogonku. Jeszcze trochę i uleci, tak po prostu – odparł żalonym tonem Jigme. Powieki opadały mu na oczy, wilgotne jak u żalobnika. – Nie chcę, żeby on odszedł. Nie Rinpocze. Nie pozwól mu odejść. Błagam cię. – Chwytał dłoń Shana i ścisnął ją boleśnie mocno.

Rozległ się gwizdek. Pałkarze błyskawicznie utworzyli szereg i stanęli na baczność. Przed obóz zajechała urzędowa limuzyna. Wyskoczył z niej Li Aidang i niedbale, żartem zaskutkował majorowi, podszedł do Tana. Rozmawiali przez chwilę, po czym Li ruszył wraz z majorem wzdłuż szeregu pałkarzy, jak gdyby dokonując przeglądu.

Shan odciągnął Fenga na bok.

–Idź do miasta – powiedział nagłym tonem. – Znajdź doktor Sung. Sprowadź ją do koszar.

Porucznik Tan stał, jak gdyby czekał na Shana, w milczeniu przyglądając się cywilom.

–Dlaczego tak trudno im się tego nauczyć? – zapytał cicho. – To już niemal pięćdziesiąt lat, a oni wciąż nie rozumieją. Wiedzą, co musimy zrobić.

–Nie – odparł Shan. – Wiedzą, co sami muszą zrobić. Tan nie dał po sobie poznać, że go usłyszał. Shan odwrócił się do niego, walcząc z pokusą, by popędzić z powrotem do ogrodzenia.

–Muszę wejść do środka.

–Pod peemy komandosów? Jak cholera.

–Nie mam wyboru. To są moi... nie możemy pozwolić, żeby zginęli.

–Myślicie, że ja chcę masakry? – Twarz Tana zachmurzyła się. – Czterdzieści lat w armii i oto, jak będę pamiętany. Za masakrę w Czterysta Czwartej.

Rozległ się klakson limuzyny. Tan westchnął.

–Li Aidang chce, żebym jechał za nim. Musimy iść. Wysadzę was przy Nefrytowym Źródle. Będzie przyjęcie dla amerykańskich turystów. Potem ostateczne przygotowania do wizyty gości z ministerstwa. Wystawny bankiet. Towarzysz Li najwyraźniej spodziewa się, że po procesie zostanie mianowany prokuratorem.

Zatrzymali się u wylotu szosy prowadzącej do Nefrytowego Źródła. Pojawiło się tu coś nowego: strzeżona przez dwóch żołnierzy bariera w poprzek drogi, zagradzająca dostęp do więzienia i koszar. Na barierze umieszczono tablicę. DROGA ZAMKNIĘTA Z POWODU REMONTU, informowała, tylko po angielsku. Shan przyglądał się jej, zdezorientowany, aż wreszcie sobie przypomniał. Amerykańscy turyści.

Nim wysiadł z samochodu, do okna podszedł Li. Położył Tanowi na kolanach jakąś kopertę.

–Mój raport i zeznania mordercy – oświadczył. – Proces odbędzie się pojutrze, o dziesiątej rano. Na Stadionie Ludowym. – Spojrzał na Shana z chłodem w oczach. – Przewidziano na to półtorej godziny. Musi się zakończyć przed południowym posiłkiem.

Shan zajrzał do koperty. Na wierzchu znajdowała się odręcznie spisana lista

nazwisk. Wyciągnął ją. Honorowi goście wydarzenia na stadionie, dla których przeznaczono miejsca na trybunie. Listę otwierali członkowie delegacji Ministerstwa Sprawiedliwości, następnie pułkownik Tan i pół tuzina miejscowych dygnitarzy. Shan zauważył nazwiska dyrektora Hu z Ministerstwa Geologii i majora Yanga z Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Dreszcz przeszedł mu po plecach, gdy spostrzegł ideogram na końcu listy. Żadnego nazwiska, żadnego tytułu, jedynie odwrócone Y z dwiema poprzeczkami. Tan dostrzegł pytanie w jego oczach.

–Po prostu przezwisko – powiedział z niesmakiem. – On lubi, jak jego przyjaciele używają tego znaku. Uważa, że to zabawne.

–Niebo?

–Nie niebo. Niebiosa. Wiecie, jak bóg w niebiosach. Wszyscy kapłani składają mu hołd.

Shan podniósł kartkę, wpatrując się w nią z ponurą determinacją. Jednym z gości na podium miał być człowiek, który zatwierdził wypożyczenie kostiumu na opatrzonej pieczęcią Jao metryczce, którą zabrał z muzeum, ten sam, który podpisał notatkę do prokuratora Jao, żeby, jak sądził Shan, choć nie mógł tego udowodnić, zwabić go na śmierć.

Wen Li, dyrektor Urzędu do spraw Wyznań.

ROZDZIAŁ 18

Sungpo nie trwał już w bezruchu. Trzymał na kolanach głowę starca i ocierał ją wilgotną szmatką, czasem przerywając, by włożyć mu do ust ziarenko ryżu.

–Próbowaliśmy sprowadzić lekarza – powiedział Shan. Czuł się bezradny. – Lekarza z miasta. – Doktor Sung odmówiła. Kiedy zadzwonił i błagał ją, żeby zmieniła zdanie, przedstawiła setki wymówek. Miała właśnie dyżur. Miała zaplanowaną operację. Nie miała przepustki na wejście do bazy wojskowej.

–Powiedzieli wam, prawda? – domyślił się. – Że chodzi o starego lamę?

–Dlaczego to miałoby robić jakąś różnicę?

–Z powodu tego, co stało się w buddyjskiej szkole. W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, zaczął powątpiewać, czy doktor Sung wciąż jeszcze jest na linii.

–On jest umierający – tłumaczył błagalnie. – Jeżeli umrze, nigdy już nie zdołamy porozmawiać z Sungpo. Jeżeli umrze, być może ktoś inny zostanie niesłusznie stracony. A mordercy nigdy nie spotka kara.

–Mam operację – powtórzyła niemal szeptem.

–Proszę mnie nie zbywać wymówkami – odparł Shan. – Proszę po prostu powiedzieć, że nie chcecie. – Nie odpowiedziała. – Tamtego dnia, w waszym gabinecie, coś sobie uświadomiłem – dodał. – Nie jesteście rozgoryczeni do świata, jak chcielibyście wszystkich przekonać. Jesteście rozgoryczeni do siebie samej.

Połączenie zostało przerwane.

–Rinpocze – odezwał się cicho Shan – mógłbym zdobyć tsampę. Powiedz mi, czego potrzebujesz. – Wymacał puls starca. Był powolny i nikły, niczym szelest piór na lekkim wietrze.

Je zamrugał i otworzył oczy.

–Niczego nie potrzebuję – powiedział z siłą, która zadawała kłam jego wyglądowi. – Szukam bramy. Znalazłem różne drzwi, ale są zamknięte. Szukam tych, które są dla mnie.

–Jeszcze tylko jeden dzień. Pojutrze zaprowadzimy cię do domu.

Je coś powiedział, ale zbyt cicho, by Shan mógł to usłyszeć. Zwracał się do Sungpo, który zrozumiał i poprowadził jego dłoń do różańca przy pasku. Je rozpoczął mantrę.

Na usilne prośby Shana Jigmemu pozwolono wejść do aresztu. Natychmiast wycofał się w najciemniejszy kąt celi. Kiedy wrócił, miseczka do ryżu była pusta. Shan ruszył w stronę ciemnego kąta. Przez chwilę Jigme stał mu na drodze, spoglądając to na Je, to na Sungpo, wreszcie ustąpił.

Zbudował małą kapliczkę, opierając o ścianę dwa kamienne podglówki i nakrywając je trzecim. Między dolnymi kamieniami leżało kilka ryżowych kulek, szczypce z biurka i drut. Wszystko to spoczywało na kilku małych, lśniących białych kartkach.

Gdy Shan wyciągnął po niego rękę, Jigme ją odtrącił.

–Strażnik siedział z nimi przy biurku, kiedy przyszedłem. Śmiał się i pokazywał je Sungpo. Sungpo medytował. Strażnik wrzucił je do celi. Zebrałem je, żeby nikt ich nie zobaczył. Muszę je spalić. Są obraźliwe.

Shan odwrócił sztywne kartki. To były zdjęcia. Dwanaście zdjęć przedstawiających trzech różnych mnichów w otoczeniu funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Z dreszczem zgrozy rozpoznał mnichów z fotografii widzianych w aktach Jao. Każdy z pierwszych trzech członków Piątki z Lhadrung był tematem serii czterech zdjęć. Najpierw stojący między dwoma oficerami podczas procesu. Klęczący na ziemi. Potem z pistoletem wymierzonym z odległości pół metra w potylicę. I wreszcie rozciągnięty na ziemi, martwy, z kałużą krwi wokół głowy.

Drżącymi rękoma Shan zebrał zdjęcia na kupkę i włożył do kieszeni.

Sungpo znów powiedział coś do Je. Starzec wydał z siebie ochryply, świszczący śmiech.

–On mówi, żebym powiedział komuś, że wkrótce trzeba będzie zacząć – wyjaśnił.

Zacząć? W końcu Shan zrozumiał. Zacząć rytuały przejścia dla jego duszy. Oczy starego człowieka przesunęły się ku drzwiom celi i spoczęły niepewnie na Yeshem, po czym ospale ruszyły dalej.

–Kiedy pozwalasz jej unosić się swobodnie, ona czasami znajduje własną drogę – mruknął Je, jak gdyby ta myśl mimowolnie spłynęła mu na usta.

Jigme kurczowo trzymał się krat, jakby się bał, że jakaś siła porwie go w dal, gdy tylko je puści.

–Moglibyśmy go poprosić, żeby zszedł z góry – szepnął do Shana. – Dla tak świętego człowieka może by to zrobił.

–Znachor? – zapytał Yeshe. – Znalazłeś znachora?

–On jest głodny, ten Koniogłowy – powiedział głucho Jigme. – W porządku, niech mnie pożre. Nie zależy mi. Może wtedy będziesz mógł z nim porozmawiać, może wtedy on pomoże ci ocalić Sungpo.

W mgnieniu oka Shan znalazł się przy nim, odciągając go od krat.

–Znalazłeś go? Znalazłeś Tamdina?

Demon, wyznał w końcu Jigme, spał w jaskini.

–Ręki demona już nie było, ale stary człowiek, którego sprowadziliśmy z targowiska, znał się na modlitwach. Z początku przychodzili tylko wieśniacy i pasterze. Ale potem zjawił się ktoś z gór, jak koza zszedł po stoku ścieżką nie szerszą niż dłoń człowieka. Zostawił modlitwę przeciwko ugryzieniom psów, wyrecytował kilka mantr i wspiał się z powrotem na zbocze. Nawet bez starego wiedziałbym, że to sługa Tamdina. One mi to zdradziły.

–Kto?

–Sępy. Leciały za nim, jakby były oswojone, jak gdyby wiedziały, że on zapewni im świeże mięso.

Jigme i Feng ruszyli za sługą Tamdina, przez ponad półtora kilometra wspinając się karkołomnym szlakiem do ślepego wąwozu tuż poniżej szczytu.

–Kiedy odszedł z pustym dzbankiem na wodę, wszedłem do środka. Ale Tamdin był w postaci wilka. – Podciągnął nogawkę portek, by pokazać poszarpaną, sączącą się ranę na łydce, otoczoną rzędem nakłuć. – Niech to szlag! Uciekałem jak diabli.

–Mógłbyś znaleźć go znowu? – zapytał podniecony Yeshe.

Jigme, patrząc na Je, powoli skinął głową.

–Niech mnie pożre, jako ofiarę. Wszystko mi jedno. Sungpo znajdzie mnie w następnym życiu. Napełnij mu brzuch, a może z tobą porozmawia. Poproś go, żeby zszedł do doliny, dla Rinpocze. Ale może być już za późno. Ta jaskinia jest wysoko ponad kaplicą Amerykanów. To ciężka wspinaczka.

–Nie – wtrącił Shan. – Jest łatwiejsza droga.

–Skąd możesz wiedzieć? – zapytał Yeshe.

–Bo wiem, skąd przyszedł sługa Tamdina.

Czterej mężczyźni posuwali się wśród skał w milczeniu, pogrążeni w myślach i obawach, szarpani porywistym wiatrem, wyczerpani marszem w rozrzedzonym powietrzu. Znaleźli ścieżkę tam, gdzie Shan się tego spodziewał, przy Smoczej Gardzieli, przecinającą szosę za formacjami skalnymi nad starym mostem linowym. Szlak piął się stromo pod górę niemal przez półtora kilometra, dalej biegł granią długiego grzbietu Szponu Północnego.

Jigme, który upierał się, by iść na czele, nagle opadł na kolana i wskazał przed siebie na ścieżkę.

–To on! – szepnął gorączkowo. – Sługa!

Feng sięgnął po pistolet.

–Nie – powstrzymał go Shan. – On nie zrobi nam krzywdy. Pozwólcie, że sam z nim porozmawiam.

Kiedy mężczyzna zbliżył się, Shan siedział samotnie przy grupie głazów, za którą ukryli się pozostali. Przybysz niósł na ramieniu płócienny worek. Na szyi miał dwa amulety. Przystanął gwałtownie i zerknął z ukosa na Shana.

–Cześć, Chińczyku.

–Cieszę się, że to ty, Merak.

Naczelnik ragyapów skinął głową, jak gdyby zrozumiał.

–Nigdy nikt inny nie prosił o zaklęcia, prawda? – zapytał Shan.

Merak położył torbę na ziemi i oparł się o skałę obok Shana, z dłonią zaciśniętą na amuletach. Wydawało się, że czuje ulgę, iż został odkryty.

–Ale kto by w to uwierzył? Nieczęsto ragyapa ma szansę dokonać wielkiego czynu.

–Co dla niego robisz?

–Demon potrzebuje wiele wypoczynku. Trzeba go chronić, kiedy odpoczywa. Bałem się, że jeśli ja go znalazłem, mogą go też znaleźć inni.

–Jak długo to trwa?

–Ten bękart Xong De, dyrektor kopalń, nie dał zgody mojemu siostrzeńcowi na pracę u Amerykanów.

–Luntok – domyślił się nagle Shan. – Twój siostrzeniec to Luntok? Ten, który wspina się po górach?

–Tak – odparł Merak z wyraźną dumą. – On ma zamiar wejść na Czomolungmę, wiesz.

–Ale jak dostał tę pracę, skoro nie dano mu pozwolenia?

–Xong umarł. Ludzie mówią, że to robota Tamdina. Uwierzyłem w to, bo później Tybetańczyków przyjęto do kopalni. Luntok wkrótce dostał pozwolenie. Chciałem

złożyć daninę Tamdinowi. Wiedziałem, że mieszka w wysokich górach. Obserwowałem. Potem, kiedy Luntok znalazł jego dłoń, wiedziałem już, gdzie szukać. Znam nasze sępy. One znajdują pożywienie na wysokich szczytach. Ten ptak upuścił dłoń blisko kopalni. Kiedy ją porwał, musiał się szybko zorientować, że to nie jest coś jadalnego, i zaraz potem ją wypuścił.

–Co oznaczało, że Tamdin musiał być w grocie w pobliżu kopalni.

Merak energicznie skinął głową.

–Z początku bałem się, że mu przeszkodziłem. Dotknąłem jego złotej skóry. Ale kiedy poczułem jego moc, uświadomiłem sobie, co zrobiłem, i uciekłem.

–Ale wróciłeś, z zaklęciami przebaczenia. I pomagałeś od tamtego czasu.

–Był ciężko ranny, widziałem to. Stracił dłoń, walcząc z tym ostatnim diabłem. Tak wiele stoczył bitew. Odniosłem mu dłoń i przyniosłem zaklęcia, ale wiedziałem, że potrzebuje wypoczynku. Sprowadziłem je, żeby go strzegły, kiedy leczy się z ran. Od tamtej pory zanoszę tam jedzenie i wodę.

–Jedzenie i wodę?

–Znam różnicę między demonami i stworzeniami z krwi i kości.

–Dlaczego miałbyś potrzebować modlitw dla ochrony przed nimi, jeżeli są twoje?

–Nie są moje. Kupiłem je od pasterza. Teraz należą do Tamdina.

Shan przyglądał mu się z jakimś niejasnym, ale wzmagającym się uczuciem. Z przerażeniem.

–Chcesz pójść tam ze mną? – zapytał.

Merak podniósł torbę i smętnie pokręcił głową.

–Wiem, że musisz to zrobić, Chińczyku. Ludzie opowiadają, jak przywołałeś Tamdina. Nie możesz zawrócić.

Wskazując w dół ścieżki, powiedział mu o zamaskowanym wejściu w głębi małego wąwozu, po czym na odchodnym raz jeszcze pokręcił głową.

–Nie chcę być przy tym, jak Chińczyk spróbuje tam wejść. Lepiej byś zrobił, idąc ze mną. Lubilem cię.

Kiedy znaleźli wąwóz, Shan przyjrzał się swoim towarzyszom.

–Sierżancie – powiedział, wskazując Jigme. – Noga znów mu krwawi. Musisz ją zabandażować. – Oderwał skraj swej koszuli i podał go Fengowi.

W pierwszej chwili zdawało się, że Feng go nie słyszy. Wpatrywał się nerwowo w głąb wąwozu. Potem odwrócił się i zmarszczył brwi.

–Myślisz, że boję się demona?

–Nie. Myślę, że jego noga krwawi.

Feng chrząknął i poprowadził Jigme do płaskiej skały przy wylocie gardzieli. Shan i Yeshe ruszyli wąwozem, który zwiężał się w mały korytarz i niespodziewanie wychodził na otwartą przestrzeń.

Gdy tylko Shan wynurzył się z wąwozu, bestie zaatakowały.

Stworzenia żarły jedzenie zostawione im przez Meraka, ale na widok Shana w jednej chwili poderwały się z obnażonymi zębami, warcząc zajadle. Były to największe psy, jakie kiedykolwiek widział, czarne tybetańskie mastyfy hodowane dla obrony stad przed wilkami i panterami śnieżnymi, ale o wiele większe niż te, które

Shan widział na płaskowyżu Kham. Gdyby nie były uwiązane, rozerwałyby go na strzępy. Kiedy Rebecca Fowler odprawiała obrzęd u stóp góry, coś wyło w ciemnościach.

Za psami znajdowała się jaskinia.

Nagle, jak zimny szept przez ramię, przypomniał sobie słowa wróżbiarki. “Kłaniaj się czarnym psom”, poradziła ostrzegawczo. Opadł na kolana, po czym rozciągnął się plackiem. Psy uspokoiły się, zaciekawione. Coś poruszyło się z tyłu. To podszedł Yeshe, przemawiając cichym, łagodnym tonem, z różańcem wyciągniętym przed oczami zwierząt. Nagle, o dziwo, psy opuściły łby i powoli ruszyły naprzód. Yeshe zaczął je głaskać, recytując modlitwę. Shan pomyślał znów o gompie Khartok. Psy były wcieleniami upadłych kapłanów.

Przy wejściu do groty stały oparte o skałę pochodnie. Shan zapalił jedną i ruszył korytarzem. Tunel zakręcał w prawo i otwierał się na wielką komorę. Shan zamarł, nagle ogarnięty przerażeniem. Serce przestało mu bić. Demon patrzył na niego. Demon szedł ku niemu, obnażając czerwone kły. Shan wtargnął na jego święty teren i także jego głowa stanie się trofeum demona.

–Nie! – krzyknął i potrząsnął głową, by wyzwolić się spod czaru. Powiedział sobie, że to tylko igraszka światła, i tocząc bój z własnym strachem, ruszył naprzód. Nakrycie głowy i kostium zostały celowo umieszczone na drewnianej konstrukcji, by wystraszyć intruzów. Misternie zdobione złote płytki migotały, a naszyjnik z czaszek tańczył w drżącym świetle pochodni. Zakłęcie Khordy zadziałało, pomyślał ponuro. Ale kto kogo przywołał? Tamdin zdawał się czekać na niego.

Były słowa, których Choje oczekiwałyby od niego, ale nie mógł ich sobie przypomnieć. Były mudry, które mógł wykonać na znak ofiary, ale palce miał jak sparaliżowane.

Nie wiedział, jak długo stał, zahipnotyzowany przez postać, którą tropił. W końcu wcisnął pochodnię między dwa głązy i powoli okrążył kostium, pełen podziwu dla jego mocy i piękna. Przód pokrywały rzędy ozdobnych tarczek. Wyjął z kieszeni krążek znaleziony przez Jilina. Tuż poniżej talii była luka. Pasował idealnie.

Wyczuł za sobą drżenie. Yeshe wszedł do jaskini i także odczuł moc demona. Opadł na kolana, recytując modlitwę.

W głębi pieczary znajdował się płaski jak stół gład, na którym złożono rytualne przybory Tamdina. Najbliższym był długi, zakrzywiony nóż rzeźnicki. Shan dotknął głowni; była ostra jak brzytwa, z pewnością wystarczająco, by odrąbać ludzką głowę. Pod gładem stały specjalne buty, zaopatrzone w złożone nagolenniki. Na innym kamieniu, pod ścianą, leżały ramiona, z których jedno było poszarpane i pozbawione dłoni. Merak z szacunkiem ułożył przy nim zgruchotaną dłoń.

Shan dotknął swego gau. Wydawało się gorące. Wsunął drżącą dłoń w wytarty skórzany rękaw funkcjonującego ramienia. Było wyposażone w wymyślne dźwignie i bloki. Popchnął dźwignię przy nadgarstku i rząd maleńkich czaszek wzdłuż ramienia obrócił się. Przesunął inną i z palców wysunęły się szpony. Kolejnym zestawem ramion, małych fałszywych kończyn zamontowanych na barkach prawdziwych, można było manipulować za pomocą pierścieni wsuwanych na palce tancerza. Była

to cudowna maszyna, wyczyn techniczny robiący wrażenie nawet teraz, w tych czasach. Z pewnością potrzeba by godzin, żeby nauczyć się nią posługiwać. Ale nie tygodni, nie miesięcy. Wielomiesięczne szkolenie tancerzy Tamdina, uświadomił sobie Shan, musiało dotyczyć wymaganych obrzędem ruchów, koordynacji maszyny ze skomplikowanymi rytuałami, do których była przeznaczona.

Naciągnął rękę Tamdina aż po ramię. Okazała się zaskakująco wygodna, jak gdyby była częścią jego ciała. Jedwabna podszewka nie krępowała ruchów. Wyciągnął szpony i przyglądał się im, czując emanującą z ramienia bezgraniczną moc. Wsuwał je i wysuwał na przemian. To był Tamdin. Tak właśnie człowiek stawał się Tamdinem.

Wzbierało w nim uniesienie. Z tym ramieniem, z tymi szponami, z tą mocą mógł wyrównać wszelkie rachunki.

Stojący za jego plecami Yeshe głośno wciągnął powietrze, przełamując czar. Przyskoczył i zaczął ściągać tę rzecz z jego ramienia. Potem Shan także poczuł nagle dotyk ciemności i gorączkowo zerwał z siebie rękę demona. Stali obaj, patrząc na nią, po czym jednocześnie podnieśli wzrok. U wylotu jaskini siedziały dwa czarne psy, wpatrując się w Shana z przeszywającym natężeniem.

Drżącą ręką Shan wskazał stojące w cieniu trzy wielkie skrzynie z palisandru. Szybko odkryli, że były przeznaczone do transportowania kostiumu. Jedna z nich zawierała stojak na nakrycie głowy. Do wnętrza skrzyni pożąłkłą taśmą przyklejona była koperta. Yeshe wyciągnął z niej kilka kartek papieru, niektóre rozpadające się ze starości.

Górne strony stanowiły brakujący spis inwentarza gomy Saskya, sporządzony czternaście miesięcy wcześniej i odnotowujący odkrycie skrzyń w pomieszczeniach mieszkalnych starego lamy, który w przeszłości był tancerzem Tamdina.

–Ale kto to zabrał? – zastanawiał się głośno Yeshe. – Kto ukradł kostium i przyniósł go tutaj? Dyrektor Wen?

–Myślę, że Wen wiedział o tym, ale to tylko część układanki. Wen nie korzystał z kostiumu. Wen nie zaniósł głowy prokuratora do świątyni. – On nie wierzył wystarczająco, pomyślał Shan. Ktokolwiek posłużył się kostiumem i odrąbał głowę Jao, był głęboko wierzący.

–Chcesz powiedzieć, że teraz sądzisz, że ukradł to jakiś mnich?

–Nie wiem – odparł Shan, czując, jak dławi go narastające rozczarowanie. Spodziewał się, że koniec długich poszukiwań Tamdina przyniesie mu odpowiedzi na jego pytania. – Może wie tylko lama, od którego to wzięli.

Yeshe zainteresował się starszymi kartkami.

–Tu jest raport – oświadczył po przejrzeniu pierwszej. – Antropologa kulturowego z Guangzhou. Historia kostiumu. Opis ceremonii, której był świadkiem w roku 1958. – Przerwał i uniósł wzrok. – W gompie Saskya. Saskya była jedyną gompą w okręgu, w której wykonywano ten taniec. – Zaczął czytać na głos: – “Znajomość ceremonii była świętym powiernictwem przekazywanym przez jedynego mnicha w jednym pokoleniu jednemu w następnym. Tancerz Tamdina z roku 1958 uważany był za najlepszego w całym Tybecie”.

–Ale kto – zastanawiał się na głos Shan – miał kostium w zeszłym roku? Stary tancerz, jeśli jeszcze żył. Albo jego uczeń. On by wiedział, kto go zabrał. Tego dowodu potrzebujemy. To jest ogniwo prowadzące do mordercy.

Yeshe przebiegł wzrokiem kilka następnych akapitów, po czym opuścił papiery i spojrzał na Shana. Był skonsternowany. Shan wyjął mu raport z ręki i przeczytał go. Tancerzem w roku 1958 był Je Rinpocze.

Przed koszarami pojawił się jurtopodobny filcowy namiot z jacej sierści. U bramy cicho czekało czterech mnichów. Patrzyli, jak Feng zatrzymuje terenówkę.

Do bramy podeszło czterech pałkarzy z noszami. Brama otworzyła się i mnisi przejęli je od nich, po czym drobnymi, uważnymi krokami, pomni na swe delikatne brzemie, podeszli do namiotu. Uchyliła się kłapa i weszli do środka. Obok namiotu z piskiem hamulców zatrzymała się sędziwa ciężarówka z głośno prychającym silnikiem. Shan rozpoznał paru wysiadających z niej mężczyzn. Mnisi z gompy Saskya.

W namiocie było aż sino od dymu kadzidła. Stary mnich, którego Shan spotkał w świątyni w Saskyi, pochylał się nad Je, obmywając go przed obrzędem. Inny starszy mnich w szacie z brokatowym rękawem – to on musiał być kenpo gompy Saskya, uświadomił sobie Shan – nadzorował przygotowania, siedząc u wezłowania noszy, które złożono na belach słomy. Gdy Shan i Yeshe zbliżyli się, zagrodziło im drogę dwóch młodszych mnichów. Yeshe wysunął się naprzód, jak gdyby osłaniając Shana.

–Musimy z nim porozmawiać – zaprotestował Shan.

Nie odezwali się, ale wskazali im miejsce obok grupy mnichów siedzących przed barłogiem, którzy obracali młynki modlitewne i cicho recytowali mantry.

–Jedno pytanie – powiedział nagłaco Yeshe. – Rinpocze nie odmówiłby odpowiedzi na jedno pytanie. Stary mnich spojrzał wściekle na Yeshego.

–Gdzie studiowałeś?

–W gompie Khartok. Mogę wyjaśnić – mówił błagalnie Yeshe. – Chodzi o ocalenie Sungpo. Może nawet o ocalenie Czterysta Czwartej.

Mnich spojrzał na Shana.

–Zaczęliśmy obrzęd wyzwolenia z bardo. Przejście jest już w toku. Jego dusza wyzwala się z ciała. To wymaga całej jego koncentracji. On widzi teraz małe światełko, w wielkiej oddali. Jeśli się oderwie, jeśli zgubi je choć na mgnienie oka, może zostać wysłany gdzieś indziej, niż było zamierzone. Może już nigdy go nie znaleźć. Może unosić się bez końca. Ten mnich z Khartok wie o tym – powiedział, rzucając Yeshemu pogardliwe spojrzenie.

Usiedli i czekali. Yeshe zaczął odmawiać różaniec, ale wkrótce Shan zauważył, że stracił rachubę. Wyłamywał palce, aż białą mu kostki. Przyniesiono i zapalono lampki maślane.

–Nic nie rozumiecie! – wypalił nagle Yeshe. – On mógłby ocalić Sungpo! Możemy uratować Czterysta Czwartą!

Kenpo odwrócił się i spojrzał na niego lodowatym wzrokiem. Jeden z młodszych mnichów gniewnie ruszył w stronę Yeshego, jak gdyby chciał go powstrzymać siłą, ale zatrzymało go nagle poruszenie w drzwiach. Dały się słyszeć ciche, gorączkowe

protesty. Klapa została odrzucona i w wejściu ukazała się doktor Sung. Spojrzała gniewnie na Shana i nie zwracając uwagi na nikogo, podeszła do barłogu. Gdy otworzyła swą torbę, opat krzyknął i zacisnął dłoń na jej ramieniu.

Nie odezwała się. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Wolną ręką wyciągnęła z torby stetoskop, zawiesiła go sobie na szyi, po czym, palec po palcu, oderwała dłoń opata. Nie odszedł, ale nie przeszkodził jej w badaniu.

–Jego serce bije zbyt słabo, aby utrzymać przy życiu dziecko – powiedziała. – Podejrzewam zator.

–Czy to uleczalne? – zapytał Shan.

–Być może. Ale nie tutaj. Trzeba wykonać badania w klinice.

–Tylko jedno pytanie – naciskał Yeshe, spoglądając na zegarek. – Musimy wiedzieć. Tylko on jeden może nam to powiedzieć.

Sung wzruszyła ramionami i napełniła strzykawkę przejrzystym płynem.

–To go obudzi – powiedziała. – Przynajmniej na krótko. – Przemyśla ramię Je.

Gdy pochyliła się z igłą, opat zasłonił dłonią miejsce przygotowane do iniekcji.

–Nie masz pojęcia, co robisz – powiedział.

–To stary człowiek, który potrzebuje pomocy – błagał Yeshe. – On nie musi tu umierać. Jeśli on teraz umrze, być może dla Sungpo także nie będzie już ratunku.

–Całe jego życie było poświęcone tej chwili przejścia – ostrzegł kenpo. – Nie można tego powstrzymać. Zaczął już przechodzić na drugą stronę. Jest w miejscu, którego spokoju nikt z nas nie ma prawa zakłócać.

Doktor Sung przyjrzała się opatowi, jak gdyby dopiero go dostrzegła, po czym powoli opuściła strzykawkę i spojrzała na Shana, który podszedł do podwyższenia.

–To wy mnie prosiliście – powiedziała, ale zakłopotanie w jej głosie nadało temu stwierdzeniu brzmienie raczej pytania niż oskarżenia.

–Jeśli on umrze dzisiaj, Sungpo umrze jutro – odezwał się żałobnie Yeshe nad ramieniem Shana. – To wszystko będzie na nic. Jeśli nie dostaniemy odpowiedzi teraz, nie znajdziemy jej już nigdy.

Shan wskazał na wejście. Lekarka odłożyła instrumenty na siennik i wyszła za nim.

–Jeśli to jest choroba, powinniśmy go stąd zabrać – powiedział cicho Shan. – Jeżeli to po prostu naturalne umieranie...

–Co macie na myśli, mówiąc “naturalne”? – zapytała.

Shan spojrzał przez drut kolczasty na długi budynek, w którym siedział Sungpo.

–Chyba sam już nie wiem.

–Gdybym mogła zrobić badania – podsunęła Sung – może dałoby się...

Przerwał jej krzyk przerażenia. Natychmiast obejrzeli się za siebie. Kapłani zrywali się na nogi. Stary opat okładał Yeshego po głowie rytualnym dzwonem.

Yeshe stał nad siennikiem, łzy spływały mu po twarzy. Wbił strzykawkę w ramię Je.

Wszyscy krzyczeli. Ktoś dopytywał o imię opata Yeshego. Ktoś inny zdierał mu z grzbietu wiśniową koszulę. Wtem wrzawa ucichła jak nożem uciął. Ręka Je poruszyła się.

Ramię wyciągnęło się pionowo w górę, adłoń obróciła się powolnym, niesamowitym ruchem, jak gdyby usiłowała pochwycić coś leżącego tuż poza jej zasięgiem.

Shan rzucił się do boku Je i otarł mu czoło mokrą szmatką. Oczy starca zamrugały i otworzyły się, zwrócone na filcowy dach w górze. Je zbliżył wyciągniętą rękę do twarzy i przyglądał się jej, poruszając palcami z niewysłowioną powolnością, niczym motyl na mrozie. Odwrócił się i dotknął palcami twarzy Shana, mrużąc oczy, jakby nie widział zbyt dobrze.

–Więc który to poziom? – wyszeptał suchym, kraczącym głosem.

–Rinpocze – odezwał się nagle Yeshe. – Byłeś tancerzem Tamdina w Saskyi. Do zeszłego roku przechowywałeś kostium. Kto go od ciebie zabrał? Czy uczyłeś go tańca? Kto to był? Musimy się dowiedzieć, kto zabrał kostium – błagał.

Je zaśmiał się ochryple.

–W tamtym miejscu znałem ludzi takich jak ty – powiedział, dysząc chrapliwie.

–Rinpocze. Proszę. Kto to był?

Oczy Je zamrugały i zamknęły się. Z jego piersi zaczęło dobywać się rżenie. Przez kilka minut przyglądali się mu w pełnym udręki milczeniu.

Potem oczy otworzyły się znowu, bardzo szeroko.

–Ostatecznie – powiedział powoli, jak gdyby nasłuchując czegoś, podkreślając każde słowo charczącym rżeniem – wystarcza tylko jeden czysty dźwięk. – Zamknął oczy i rżenie ustało.

–Nie żyje – oświadczyła doktor Sung.

ROZDZIAŁ 19

Yeshe wpatrywał się w zwłoki oniemiały z rozpaczy. Z oczu starca klęczącego w nogach siennika pociekły łzy. Ktoś z tyłu wykrzyknął tybetańskie wyzwisko. Z przerażającą zawziętością prowadzący obrzęd mnich podjął śpiew, ponure zawodzenie, jakiego Shan nie słyszał nigdy dotąd. Nie spuszczać z Yeshego płonących wściekłością oczu, powtarzał obelgi coraz szybciej, coraz głośniej. Yeshe patrzył na niego niemo, z twarzą bladą jak płótno.

Shan pociągnął chłopaka za ramię, ale on wydawał się niezdolny do ruchu. Usługujący mnich, ze łzami spływającymi po policzkach, gorączkowo rozgarniał włosy na głowie martwego lamy. Odpowiednio przygotowana, dusza Je wyleciałaby przez maleńki otwór, który, jak wierzą, znajduje się na czubku głowy każdego człowieka.

–Rzućcie mu kość! – wrzasnął ktoś z tyłu.

–On ma na imię Yeshe! – krzyknął inny. – Z gomy Khartok!

Shan naparł na chłopaka ramieniem, wypychając go z jurty. Coś w Yeshem się załamało. Nagle wydał się słaby i półprzytomny. Shan wziął go za rękę i odprowadził do aresztu. Sungpo w swej celi mruzczał inną mantrę, smutną. Wiedział już.

–To nie ma znaczenia – powiedział Shan do Yeshego, choć tak nie uważał, ale nie mógł znieść myśli, że chłopak miałby się stać jeszcze jedną ofiarą.

–Przede wszystkim to ma znaczenie. – Yeshe zaczął dygotać. Wszedł do pustej celi i złapał się krat, by nie upaść. Na jego twarzy malował się strach, jakiego Shan nie widział nigdy dotąd. – To, co zrobiłem... to zakłóciło jego przejście. Zniszczyłem jego duszę. Zniszczyłem własną duszę – oświadczył z mrozącą krew w żyłach pewnością. – I nawet nie wiem dlaczego.

–Zrobiłeś to, żeby pomóc Sungpo. Zrobiłeś to, żeby oddać sprawiedliwość Dilgo. Zrobiłeś to dla prawdy. – Nie powiedział Yeshemu o koralowym różańcu w muzeum w Lhasie, duplikacie różańca Dilgo, o różańcu, który bez wątplenia został podłożony, by uwikłać Dilgo w morderstwo i usidlić Yeshego siecią kłamstw. Nie miało znaczenia, czy Yeshe dowiedział się o dowodzie, gdyż jego serce wiedziało o tym kłamstwie już dawno temu.

–Ta twoja sprawiedliwość. Twoja cholerna sprawiedliwość – jęknął. – Dlaczego ci uwierzyłem? – Zdawał się maleć, kurczyć się na oczach Shana. – Może to prawda – powiedział, jak gdyby przerażony jakąś myślą. – Może ty naprawdę przywołałeś Tamdina. Może on przez cały czas czaił się obok nas. Może cię wykorzystał, żeby mieć swoją bezwzględność. On pustoszy wszystko, pustoszy nawet dusze w poszukiwaniu prawdy.

–Możesz wrócić do swojej gomy. Znowu chcesz być mnichem, udowodniłeś to. Oni ci pomogą.

Yeshe podszedł do ściany w głębi i oparł się o nią ciężko. Kiedy uniósł wzrok, wyglądał na tak wycieńczonego, że wydawało się, jakby ciało przyschło mu do kości. Bładość wciąż powlekała jego twarz. To nie był Yeshe, ale duch Yeshego.

–Oni na mnie naplują. Przegonią mnie z klasztoru. Już nigdy nie będę mógł tam wrócić. Ani pojechać do Sichuanu. Nie potrafię już być jednym z nich. Nie chcę być

dobrym Chińczykiem – oświadczył. – To też mi odebrałeś. – Utkwił w Shanie udręczone spojrzenie. – Co ty mi zrobiłeś? Zszedłem na czworaki. Mogłem równie dobrze rzucić się z urwiska. – Rzućcie mu kość, powiedzieli mnisi. – Za nic.

Powoli osunął się na podłogę. Po policzkach strumieniem płynęły mu łzy. Wyciągnął różaniec i rozerwał go. Paciorki potoczyły się po podłodze.

Przytłoczony bezradnością Shan napelnił kubek wodą i podał mu go. Kubek wysunął się z dłoni Yeshego i rozbił się na posadzce. Rozpaczliwie szukając słów pocieszenia, Shan zaczął zbierać ceramiczne odłamki, gdy nagle przerwał i opadł na kolana. Spojrzał na skorupy w swoich dłoniach.

–Nie – odezwał się z podnieceniem. – Je powiedział nam właśnie to, czego było nam trzeba. Spójrz! – Potrząsnął Yeshego za ramię, podnosząc odłamek kubka. – Widzisz to?

Ale Yeshe już go nie słyszał. Ze ściśniętym sercem Shan wstał, rzucił mu ostatnie bolesne spojrzenie i wybiegł z budynku.

Podwiózłszy Shana na targowisko, Feng nie udawał nawet, że zamierza wyjść z samochodu. Shan ruszył w stronę budki uzdrowiciela. Nie wszedł jednak do niej. Zatrzymał się w przejściu tuż obok. Wkrótce pojawił się chłopak w kamizelce pasterza.

–Czekaj – rzucił krótko do Shana. Parę chwil później wrócił z purbą o pokiereszowanej twarzy.

–Nie musisz iść na górę – powiedział mu Shan. – Nie musisz się poświęcać. Znalazłem inny sposób. Purba przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

–Muszę pójść dzisiaj z żywnością. Do Czterysta Czwartej – ciągnął Shan.

–My nie dostarczamy żywności. To zadanie organizacji dobroczynnej.

–Ale czasem idziecie z nimi. Nie ma czasu na gierki. Wiem już, co się dzieje.

Czasem zostawiacie tam kogoś.

–Nie rozumiem – odparł sztywno purba.

–Obóz Czterysta Czwartej jest zbudowany na skale. Tam nie ma tunelu. Nie ma żadnej dziury w ogrodzeniu. I nikt nie przemyka w powietrzu jak strzała.

Purba rozglądał się po targowisku ponad ramieniem Shana.

–Skończyłeś swoje śledztwo?

–Widziałem Trinlego. Nie w Czterysta Czwartej.

–Trinle to bardzo świątobliwy człowiek. Często zbyt nisko się go ocenia.

–Ja nie oceniam go zbyt nisko. Już nie. Dla niego Czterysta Czwarta nie jest więzieniem. Wychodzi i wraca w sprawach gomy Nambe. Wychodzi i wraca z purbami. Nikt inny nie mógłby tego dla niego zrobić.

–I jak niby mielibyśmy dokonywać tych czarów?

–Nie wiem dokładnie. Ale to nie powinno być trudne, dopóki liczba głów zostaje bez zmian.

Purba skrzywił się, jak gdyby ugryzł coś kwaśnego.

–Zająć miejsce więźnia byłoby szaleństwem. To grozi natychmiastową egzekucją.

–Dlatego właśnie robi to purba.

Mężczyzna nie zareagował.

–Trinle dziwnie często choruje – ciągnął Shan. – Przyzwyczailiśmy się do tego. Czasami nie schodzi z pryczy, leży z głową nakrytą kocem. Teraz już wiem dlaczego. Dlatego, że to nie jest on. Mogę się domyślić, jak to robicie. W uzgodniony dzień purbowie pomagają organizacji charytatywnej przy wydawaniu posiłków. Jeden z ludzi ma na sobie pod ubraniem więzienny drelich. Kiedy Trinle dociera do stołów zjedzeniem, robi się zamieszanie. Być może wtedy on daje nura pod stół i nakłada cywilne ubranie. Purba zamienia się z nim i zostaje w Czterysta Czwartej, dopóki Trinle nie wróci. Strażnicy nie są drobiazgowi. Nie znają twarzy każdego więźnia. Dopóki liczba głów się zgadza, jak mogliby stwierdzić ucieczkę? I dopóki twarz pozostaje ukryta, co mogą podejrzewać inni więźniowie?

Purba wpatrywał się w Shana.

–Czego dokładnie chcesz?

–Muszę przedostać się przez strefę śmierci. Dzisiaj.

–Jak powiedziałeś, to jest bardzo niebezpieczne. Ktoś mógłby zginąć.

–Ktoś już zginął. Ilu jeszcze trzeba? Purba rozejrzał się po targowisku, jak gdyby tam właśnie spodziewał się znaleźć odpowiedź.

–Kapusta – oświadczył nagle. – Wypatruj kapusty – powiedział i rozpląnął się w powietrzu.

Dwadzieścia minut później, gdy Feng jechał uliczkami miasta, tuż przed nimi wywrócił się wózek z kapustą. Gdy Feng włączył wsteczny bieg, drugi wózek zablokował ich z tyłu.

W jednej chwili Shan wyskoczył z furgonetki.

–Mam dla ciebie zadanie. Idź do Tana. Powiedz mu, że musi pójść z tobą. Do Czterysta Czwartej. Spotkamy się wszyscy razem za dwie godziny, przy drutach. – Odwrócił się, ignorując słaby protest Fenga, i zniknął w tłumie.

Godzinę później, w Czterysta Czwartej, w zbyt obszernej wełnianej czapce, z opaską organizacji charytatywnej na ramieniu, nakładał więźniom do miseczek papkę jęczmienną. Gdy pół kolejki przedefilowało już przed stołami, ktoś upuścił strażnikowi na nogi wiadro z wodą. Strażnik krzyknął. Tybetańczyk z wiadrem upadł w tył, przewracając jednego z więźniów. Inni strażnicy nadbiegli, by sprawdzić, co się dzieje.

W powstałym zamieszaniu Shan dał nurka pod przeciwny koniec długiego, nakrytego brudnym filcem stołu, zrzucił kurtkę i stanął w kolejce, ubrany w dostarczony mu przez purbów strój więźnia.

Choje nie jadł. Shan znalazł go medytującego w baraku i usiadł przed nim. Lama zamrugał, po czym otworzył oczy i położył dłoń na policzku Shana, jak gdyby chciał się upewnić, że nie śni.

–To radość widzieć się znowu. Ale wybrałeś niespokojną chwilę na powrót.

–Muszę porozmawiać z opatem gompy Nambe.

–Nambe została zniszczona.

–Jej budynki zostały zniszczone. Jej mnisi zostali uwięzieni. Ale gompa żyje.

Choje wzruszył ramionami.

–Nie możnabyło pozwolić jej umrzeć.

–Z powodu zobowiązań wobec Yerpy. Złożonych drugiemu dalajlamie.

Choje nie okazał zaskoczenia.

–Więcej niż zobowiązań. Świętego powiernictwa. – Jego wargi wygięły się w słabym uśmiechu. – To cudowne, prawda?

–Czy purbowie wiedzą, Rinpocze?

Choje pokręcił głową.

–Oni chcą pomóc więźniom. To słuszne. Ale nigdy nie musieli znać naszego sekretu. Mamy obowiązek nie wyjawiać go. Wystarczy im, że wiedzą, że gompa Nambe żyje, że pomagając Trinlemu, utrzymują ją przy życiu.

Shan skinął głową, gdy Choje potwierdził jego podejrzenia.

–Teraz rozumiem, dlaczego Trinle musiał odejść, dlaczego rytuał strzały musiał wreszcie zadziałać. Musiałeś mieć pewność, że pałkarze będą działać publicznie. Kiedy wiadomość o cudzie przedostała się na zewnątrz, było pewne, że przybędą świadkowie.

Choje spojrział na swoje dłonie.

–Martwiliśmy się, Trinle i ja, że może to, co robimy, jest kłamstwem.

–Nie – zapewnił go Shan. – To wcale nie było kłamstwo. To, co robicie, jest cudem, Rinpocze.

Pogodny uśmiech znów rozświetlił twarz lamy.

–Wiesz, że świat będzie myślał, że wszystko to zdarzyło się dla ocalenia jednej duszy – powiedział Shan.

–Duszy chińskiego prokuratora. To nie taka zła lekcja, Xiao Shan.

Stu osiemdziesięciu mnichów popełnia samobójstwo, by ocalić duszę prokuratora, który wtrącił ich do więzienia, pomyślał Shan. Wszędzie na świecie stałoby się to tworzywem legendy. Ale tu był to po prostu jeszcze jeden zwykły dzień w Tybecie.

–Ale ty i ja wiemy, że to nie jest prawdziwy powód, Choje pochylił dłonie, łącząc je czubkami palców. Była to mudra ofiary, symbolizująca naczynie na drogocenną wodę życia. Spojrzał na nią z nieobecny uśmiechem i wysunął dłonie w stronę Shana.

Milcząc, Shan złożył ręce w tę samą mudrę. Choje wykonał gest przelewania zawartości swojego naczynia do naczynia Shana, po czym powoli rozłączył dłonie.

–Masz – powiedział. – Skarb jest twój.

Shan poczuł, że oczy wzbierają mu wilgocią.

–Nie – szepnął w słabym proteście i zacisnął powieki, walcząc z łzami. Oni będą nadal budować drogę, kiedy wy umrzecie, chciał powiedzieć. Ale wiedział, jaką usłyszy odpowiedź. To nie ma znaczenia, dopóki Choje i gompa Nambe są wierni.

–Rytuał gromu to także część powiernictwa Nambe, prawda?

Choje skinął głową na znak uznania.

–Twoje oczy zawsze widziały daleko, mój przyjacielu. Nambe liczyła już wiele stuleci, kiedy ślubowała ochronić gomchena. Była ośrodkiem tego rytuału. Doprowadziła go do doskonałości. Aby wyzwolić grom, istota śmiertelna musi osiągnąć olbrzymią równowagę, najwyższy stopień koncentracji. Niektórzy mówią, że właśnie z tego powodu powierzono nam ochronę Yerpy.

–Trinle i Gendun są mistrzami rytuału.

Choje uśmiechnął się tylko.

Siedzieli w milczeniu, słuchając mantr, które zaczynały dobiegać z zewnątrz, w miarę jak mnisi kończyli posiłek.

–Przyszedłeś z prośbą – powiedział wreszcie Choje.

–Tak. Muszę porozmawiać z Trinlem. O tamtej nocy. Wiem, że on nic nie powie bez twojego pozwolenia.

Choje rozważył słowa Shana.

–Prosisz o bardzo wiele.

–Wciąż jeszcze jest szansa, Rinpocze. Szansa uratowania Nambe i Yerpy. Musisz pozwolić mi dotrzeć do prawdy.

–Wszystko ma swój koniec, Xiao Shan.

–Więc jeśli to musi się skończyć – odparł Shan – niech skończy się w świetle, nie w ciemnościach.

–Oni daliby im narkotyki, wiesz, gdyby schwytali któregoś z nich. One działają jak czary. Byliby bezsilni wobec ich pytań. Wiedzą o tym. Gdyby żołnierze próbowali ich wziąć, Trinle i Gendun wybraliby śmierć. Potrafisz unieść to brzemię?

–Jeśli żołnierze spróbują ich wziąć – oświadczył bez wahania Shan – ja także wybiorę śmierć. – To było takie proste: umrzeć, kiedy pałkarze przyjdą cię zabrać. Jeśli rzucisz się do ucieczki, będą strzelać. Jeśli rzucisz się ku nim, będą strzelać. Jeśli stawisz opór, będą strzelać.

Zobaczył, że Choje uśmiecha się do niego, i opuścił wzrok. Dłonie Shana wciąż jeszcze ułożone były w mudrę symbolizującą naczynie z drogocenną zawartością, gdy lama zaczął mówić.

Dwadzieścia minut później stanął na skraju strefy śmierci i zdjął obozową koszulę. Zrobił krok do przodu. Pałkarze krzyknęli ostrzegawczo. Trzech z nich przeładowało karabiny i skierowało lufy na niego. Oficer wyciągnął pistolet i miał właśnie wystrzelić w powietrze, gdy czyjaś dłoń zacisnęła się na broni i ściągnęła ją w dół. Dłoń Tana.

–Macie niecałe osiemnaście godzin – warknął pułkownik. – Powinniście kończyć oficjalny raport. – Lecz kiedy oddalili się od pałkarzy, jego gniew przygasł. – Delegacja z ministerstwa. Oni są już z Li. Zmienili program. Proces zacznie się jutro o ósmej rano.

Shan spojrział na niego z przerażeniem.

–Musicie to odwlec.

–Na jakiej podstawie?

–Mam świadka.

ROZDZIAŁ 20

Przyjechali przed świtem, jak ich pouczył Choje. Nie mów o tym purbom, powiedział. Dopilnuj, żeby nie śledzili was pałkarze. Po prostu bądź o wschodzie słońca na porębie przed nowym mostem.

–Nie dał żadnego znaku? – zapytał Shan, kiedy sierżant Feng wyłączył silnik. – Może przeniósł się do innego baraku. On nie ma dokąd pójść.

–Żadnego. Nic a nic. Zniknął. Odszedł w siną dal – odparł Feng. – Nie zobaczysz go więcej.

Kiedy Shan wrócił do koszar, stwierdził, że torba Yeshego zniknęła.

–Nic nie mówił, nic nie zostawił?

Sierżant Feng sięgnął do kieszeni.

–Tylko to – powiedział, kładąc na desce rozdzielczej resztki różańca, sznurek z dwoma paciorkami znacznikowymi. Ziewnął i odchylił oparcie fotela. – Wiem, dokąd poszedł. Pytał, jak się tam dostać. Do zakładów chemicznych w Lhasie. Oni zatrudniają mnóstwo Tybetańczyków, z dokumentami czy bez.

Shan opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

–Możemy poprosić patrole, żeby go zgarnęły – zasugerował Feng – jeśli jeszcze go potrzebujesz.

–Nie – odparł ponuro Shan i wysiadł z furgonetki.

Nie było tu nic poza wąskim sierpem księżycy nad czarnym zarysem gór.

Przyglądając się, jak gasną gwiazdy, stwierdził, że wypatruje ducha Jao.

Od strony miasta nadjechał szosą samochód; zatrzymał się za furgonetką.

Wysiadł z niego Tan. Był sam. Miał przy sobie pistolet.

–Nie podoba mi się to – powiedział. – Świadek, który się ukrywa, jest bezużyteczny. Jak będzie zeznawać? Będzie musiał pójść z nami na proces. A oni zapytają, dlaczego zgłasza się teraz, tak późno. – Rozejrzał się po spowitej mrokiem okolicy, po czym zerknął podejrzliwie na Shana. – Jeśli to kultysta, powiedzą, że jest współwinny.

Shan nadal wpatrywał się we wrzosa.

–Grupa mnichów obserwowała most – wyjaśnił. – Próbowali sprawić, żeby się zawalił.

Tan zaklął pod nosem.

–Patrząc na niego? – zapytał cierpko. Obejrzał się na samochód, jak gdyby chciał odjechać, i wolnym krokiem wyszedł za Shanem na porębę.

–Krzyżąc na niego – odparł Shan. Jak mógł wytłumaczyć rytuał okrucichów? Jak mógł wytłumaczyć potłuczone dzbany nad mostem albo w Yerpie, gdzie Trinle i inni ćwiczyli stary rytuał gromu? Jak mógł wytłumaczyć starodawną wiarę, że czysty dźwięk jest najbardziej niszczycielską siłą w naturze? – Właściwie nie krzyżąc. Tworząc fale dźwiękowe. To właśnie tak przeraziło sierżanta Fenga tamtej nocy, kiedy wystrzelił z pistoletu. Jak klaśnięcie... – Urwał. Zaczęło się rozwidniać. Dziesięć metrów dalej, na skraju poręby, zobaczył szary kształt, potężny głaz, który stopniowo przeistaczał się w siedzącego na ziemi człowieka. Był to Gendun.

Zatrzymali się dwa metry od niego.

–To mnich z pobliskiej gompy – wyjaśnił Tanowi Shan, po czym odwrócił się do starca. – Czy możesz wyjaśnić, gdzie byłeś tej nocy, kiedy zamordowano prokuratora?

–Nad mostem – odparł Gendun pewnym, cichym głosem, jak gdyby recytował modlitwę. – Modliłem się wśród skał.

–Dlaczego?

–W szesnastym wieku Tybet najechali Mongołowie. Mnisi z mojej gompy powstrzymali ich, nim dotarli do Lhadrung. Wywołali lawinę, która spadła na mongolską armię.

Tan spojrzał wściekle na Shana, ale nim zdążył się odwrócić, Gendun dodał:

–Ten most nie należy do tego miejsca. Musi się zawalić.

Przerwał mu warkot silnika ciężkiego pojazdu pędzącego żwirową drogą ku porębie. Gdy ciężarówka zahamowała z poślizgiem, wyskoczył z niej Li Aidang w mundurze polowym. Zrobił dziesięć kroków w głąb poręby, po czym warknął rozkaz. Z ciężarówki wysypało się sześciu umundurowanych pałkarzy. W świetle reflektorów ukazał się major z karabinkiem samoczynnym na ramieniu. Pododdział ustawił się przed zastępcą prokuratora, tworząc pojedynczy szereg wzdłuż drogi. Na Genduna opadł dziwny spokój. Nie zwracając uwagi na pałkarzy, wpatrywał się z natężeniem w góry, jak gdyby chciał zachować je w pamięci jako przyszły punkt odniesienia. Nie miał wpływu na swe następne wcielenie. Może odrodzić się na podłodze opuszczonej chaty tysiące mil stąd.

–Minęła może godzina od zachodu słońca, kiedy pojawiły się światła samochodu – odezwał się nagle, kontynuując opowieść. – Zatrzymał się przy moście i wyłączył reflektory. Potem rozległy się głosy. Dwóch mężczyzn, jak sądzę, i śmiejąca się kobieta. Myślę, że była odurzona.

–Kobieta? – zapytał Shan. – Z prokuratorem Jao była kobieta?

–Nie. To był pierwszy samochód.

Otaczała ich cisza, jaka bywa tylko przed brzaskiem. Żołnierze stali, jak gdyby obezwładnieni magią tej chwili. Głos Genduna brzmiał donośnie i czysto. Z wąwozu upiornym echem dobiegło wołanie sowy.

–Potem ona krzyknęła. Jak ktoś, kto ma umrzeć.

Te słowa wyrwały Li z transu. Wszedł na porębę, kierując się w stronę Genduna. Shan zastąpił mu drogę.

–Nie próbujcie utrudniać działań Ministerstwa Sprawiedliwości – warknął Li. – Ten człowiek jest spiskowcem. Sam przyznaje, że tu był. Dołączy do Sungpo na ławie oskarżonych.

–Śledztwo wciąż jeszcze jest w toku – zaprotestował Shan.

–Nie – rzucił z pasją Li. – Koniec z tym. Za trzy godziny ministerstwo otwiera proces. Polecono mi dostarczyć akt oskarżenia.

–Nie wydaje mi się – powiedział Tan, tak cicho, że Shan nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

Li zignorował go i skinął na pałkarzy.

–Nie będzie procesu bez więźnia – ciągnął Tan.

–O czym wy mówicie? – warknął Li.

–Kazałem usunąć go z aresztu. Dziś o północy.

–Niemożliwe. Miał strażników z Urzędu Bezpieczeństwa.

–Zostali odwołani. Zastąpieni paroma z moich przybocznych. Wydaje się, że były jakieś niejasności w rozkazach.

–Nie macie prawa! – warknął Li.

–Dopóki Pekin nie zdecyduje inaczej, ja jestem najwyższym przedstawicielem władzy w tym okręgu. – Tan przerwał i zwrócił głowę w stronę stoku.

Jego uwagę przyciągnął jakiś nowy odgłos, monotonny, brzęczący dźwięk, niby kumkanie żab. Wydawał się jednym z głosów przyrody. Nagle dał się słyszeć znacznie bliżej. W świetle wschodzącego słońca na skraju poręby, trzy metry od Genduna, ukazał się inny mnich. Był to Trinle. Siedział w pozycji lotosu, nucąc niskim, nosowym głosem mantrę. Li z fałszywym uśmiechem ruszył ku niemu, nowemu obiektowi swej wściekłości. Z przeciwnej strony poręby odezwało się echo. Shan podszedł w tamtą stronę i dostrzegł kolejną wiśniową szatę w gąszczu. Li zrobił jeszcze jeden gniewny krok w stronę Trinlego i przystanął. Do chóru dołączył trzeci głos, potem czwarty, wszystkie w tym samym rytmie, w tym samym tonie. Dźwięk zdawał się dobiegać znikąd i zewsząd.

–Aresztować ich! – krzyknął Li. Ale pałkarze stali bez ruchu, wpatrując się w gąszcz.

Dzień budził się teraz szybko i Shan widział już wiśniowe szaty wzdłuż skraju poręby na tyle dobrze, by móc je policzyć. Sześć. Dziesięć. Nie, więcej. Piętnaście. Rozpoznał kilka twarzy. Kilku purbów. Kilku mnichów z góry, strażników gomchena.

Li z drapieżnym błyskiem w oku okrążył porębę, wymachując odebraną jednemu z żołnierzy pałką. Przystanął za kręgiem mnichów i spuścił ją na plecy Trinlego. Trinle nie zareagował. Li w pasji krzyknął na majora, który ruszył ku niemu niepewnym krokiem i zatrzymał się trzy metry od mnicha. Li podszedł do niego. Zdawało się, że jeszcze chwila, a sięgnie po jego karabinek.

Shan wysiłkiem woli zmusił się, by stanąć pomiędzy nimi a Trinlem. Coś znów poruszyło się z boku. To sierżant Feng nadchodził z ciężkim kluczem nasadowym w dłoni. Skończyło się, uświadomił sobie Shan. To, że przegrał, nie zaskoczyło go. Ale myśl, że Czterysta Czwarta i Yerpa są skazane na zagładę, była nie do zniesienia. Boleśnie pragnął, żeby przynajmniej koniec nadszedł szybko. Byłoby słuszne, myślał w roztargnieniu, gdyby to właśnie Feng oddał strzał.

–Cofnij się – warknął sierżant. Ale Feng nie zwracał się do niego. Odwrócił się i stał obok Shana, twarzą do Li i majora. Mantra wciąż nie cichła.

–Ty stary wieprzu – zadrwił Li. – Jesteś skończony jako żołnierz.

–Moim zadaniem jest pilnować towarzysza Shana – mruknął Feng i mocniej stanął na nogach, jak gdyby przygotowując się na atak.

Mantra zdawała się przybierać na sile, znów wypełniła kruchą ciszę. Major cofnął się do swoich ludzi i rozkazał im wyciągnąć pałki.

Tan znalazł się nagle u boku Shana. Na jego twarzy znać było napięcie. Spojrzał na Shana dziwnie smutnym wzrokiem, po czym odwrócił się w stronę Li.

–Ci ludzie – powiedział, wskazując krąg mnichów – są pod moją ochroną.

Li spojrział na niego.

–Wasza ochrona nic nie znaczy, pułkowniku – burknął. – Prowadzimy śledztwo w waszej sprawie. Korupcja i nadużywanie stanowiska. Unieważniamy waszą władzę.

Dłoń Tana przesunęła się do kabury. Major sięgnął po swój karabinek.

Nagle poprzez śpiew dał się słyszeć nowy odgłos, syk hamulców pneumatycznych. Odwrócili się i osłupiali ujrzeni długi, lśniący autobus zatrzymujący się przy porębie. Opuszczano okna.

–Martha! – zawołał ktoś po angielsku. – Oni mają tu poranne nabożeństwo! Zmień ten cholerny film!

Turyści wysiadali rzędkiem, pstrykając aparatami, filmując kamerami wideo mnichów, Shana, Li i pałkarzy.

Shan przyjrzał się ludziom w autobusie. Kierowca wyglądał znajomo. Jedna z twarzy z targowiska. Obok, ubrana w elegancki kostium z krawatem, siedziała panna Taring z Urzędu do spraw Wyznań. Opowiadała o buddyjskich rytuałach i bliskości buddystów z siłami natury.

Wysiadła i zaproponowała parze Amerykanów, że zrobi im zdjęcie z chińskimi żołnierzami.

Major przyglądał się jej przez chwilę, po czym szybko zagonił swoich ludzi do ciężarówki. Li cofnął się.

–To nie ma znaczenia – prychnął pod nosem – i tak już wygraliśmy. – Pomachał Amerykanom, uśmiechając się fałszywie, i wspiął się za majorem do kabiny ciężarówki. Odjechali. Po chwili, równie nagle jak przybył, autobus także ruszył dalej.

Tan usiadł przed Gendunem. Mantra ucichła natychmiast. Trinle podszedł do starca i uklęknął u jego boku.

–Powiedzcie mi o tej kobiecie – powiedział Tan.

–Wydawała się bardzo wesola. Potem... nie ma nic równie straszliwego, jak krzyk kogoś nie przygotowanego na śmierć. Potem słyhać było głosy tamtych, jej nie. To wszystko.

–Nic więcej?

–Nic, dopóki nie pojawił się drugi samochód. Przyjechał godzinę później. Trzasnęło dwoje drzwi. Słyszałem okrzyki, mężczyzna zawołał kogoś.

–Wymienił imię?

–Człowiek z dołu wołał: “Jesteście tam?” Powiedział, że wie, skąd pochodził kwiat. Powiedział: “Co to znaczy, że nie będę potrzebował aparatury rentgenowskiej?” Człowiek z góry odparł: “Szanowny towarzyszu, wiem, gdzie powinniście szukać”. Ten z dołu – ciągnął Gendun – powiedział, że dokona wymiany, za kolejne dowody.

Shan i pułkownik spojrzeli po sobie. Szanowny towarzyszu.

–Potem ruszył w górę zbocza. Głosy stawały się coraz cichsze, kiedy obaj się wspinali, aż ucichły zupełnie. Później dobiegł inny głos. Nie okrzyk. Głośny jęk. Po dziesięciu-piętnastu minutach zapaliły się światła samochodu. Zobaczyłem go, może trzydzieści metrów od pojazdu. Człowiek, który siedział w samochodzie, wysiadł i

pobiegł drogą.

–Powiedziałeś, że widziałeś go w świetle reflektorów.

–Tak.

–Rozpoznałeś go? – zapytał Shan.

–Oczywiście. Widywałem go wcześniej, na świętach.

–Nie byłeś przerażony?

–Nie mam powodu obawiać się bóstwa opiekuńczego.

Streścili zeznanie Genduna do pisemnego oświadczenia, które Tan potwierdził własną pieczęcią. Nie prosił Genduna, by pozostał, gdy mnisi zaczęli wstawać i zniknąć we wrzosach.

–Czy następnego ranka – zapytał Shan, kiedy Gendun podniósł się, żeby dołączyć do swych towarzyszy – zauważyłeś coś niezwykłego?

–Odszedłem, jak mnie przestrzegano, zanim przybyły brygady robocze. Była tylko jedna rzecz.

–Co takiego?

–Hałas. Zaskoczyło mnie, że tak wcześnie zaczęli. Przed świtem. Odgłosy ciężkiego sprzętu. Nie tu. Dalej stąd. Jak gdyby dobiegały z góry.

Godzinę później pod kopalnię boru zajechała posępna kawalkada. Na czele samochód Tana, dalej wezwana przez radio ciężarówka z żołnierzami, wreszcie na końcu Shan z sierżantem Fengiem. Jechali prosto do szopy ze sprzętem, gdzie wybrali ciężką koparkę i spychacz. Nim z budynków wysypały się pierwsze postacie, maszyny wjeżdżały już na groblę.

Rebecca Fowler rzuciła się ku nim biegiem, lecz poznawszy Tana, przystanęła i odesłała Kincaida po aparat. Pułkownik zatrzymał ją ruchem ręki, po czym rozstawił żołnierzy, by zablokować groblę.

–Jak pan śmie! – wybuchnęła Fowler, gdy tylko znalazła się w zasięgu głosu. – Zadzwoń do Pekinu! Zadzwoń do USA!

–Jeden ruch i zamykam kopalnię – powiedział obojętnie Tan.

–Cholerni pekaowcy! – warknął Kincaid i zaczął fotografować Tana, tablice rejestracyjne pojazdów, maszyny i strażników. Gdy spostrzegł Shana, zawahał się. Zrobił jeszcze jedno zdjęcie, opuścił aparat i spojrzał na niego niepewnie.

Koparka rozkopywała groblę w miejscu, gdzie przecinała ona wąwóz, gdzie był on najgłębszy, tam gdzie, jak Shan pamiętał, na zdjęciach satelitarnych zrobionych tuż przed jej ukończeniem widać było sprzęt, tam gdzie na krótko przed morderstwem znajdował się ostatni nie wypełniony odcinek. Minęło dwadzieścia minut, nim łyżka koparki uderzyła o metal, kolejne dwadzieścia, nim stwierdzili, że znaleziony samochód jest rządową limuzyną, i podczepili go do spychacza.

Gąsienice ślizgały się na grząskim gruncie, zrywając darń, aż wreszcie znalazły oparcie. Maszyna szarpnęła i przez chwilę wszystko jakby zastygło w bezruchu. Gdy samochód powoli wynurzał się z błota, rozległ się niesamowity dźwięk, niepodobny do niczego, co Shan kiedykolwiek słyszał. Rozdzierający, upiorny jęk, który przyprawił go o dreszcze.

Spychacz nie zatrzymał się, dopóki nie wyciągnął samochodu niemal na koronę

grobli. Shan zajrzał do limuzyny i zobaczył jakąś teczkę.

–Otwórzcie – powiedział niecierpliwie Tan.

Drzwi otworzyły się łatwo. Ze środka buchnął niemal przygniatający odór rozkładu. W tezcze znajdowały się bilety Jao, gruby plik akt oraz wycięty z mapy satelitarnej fragment przedstawiający pola makowe.

Bagażnik był zatrzaśnięty. Tan wziął łom ze spychacza i podważył klapę. Wewnątrz, ubrane w barwną kwiecistą sukienkę, znajdowały się skurczone zwłoki młodej kobiety. Jej usta ściągnięte były w ohydny uśmiech. Martwe oczy zdawały się patrzeć prosto na Shana. Na jej piersi leżał zasuszony kwiat. Czerwony mak.

Z ust Tana wyrwał się jęk zgrozy. Odwrócił się i cisnął łom do stawu. Gdy znów spojrzął na Shana, jego twarz była blada jak płótno.

–Towarzyszu Shan – powiedział – poznajcie pannę Lihua.

Tan podszedł do swojego samochodu i sięgnął po krótkofalówkę. Rebecca Fowler, jak sparaliżowana, w niemym przerażeniu wpatrywała się w otwarty bagażnik. Zdawała się usychać na oczach Shana, jak gdyby w każdej chwili mogła się rozsypać i rozwiać na wietrze. Przez chwilę obawiał się, że Amerykanka zemdleje. Potem pochwyciła spojrzenie Tana i oburzenie przywróciło jej siły. Zaczęła wykrzykiwać polecenia: operator spychacza ma usunąć samochód z grobli, koparki niech zaczną wypełniać ziejącą dziurę, a wywrotki zwozić żwir, po czym rzuciła się ku wyrwie, przywołując Kincaida.

Gdy Shan dołączył do niej, była już na klęczkach. Woda szybko przesączała się przez osłabioną groblę. Posapując gorączkowo, Fowler zgarniała ziemię do dziury. Po chwili nadjechała koparka i zaczęła spychać ziemię łyżką. Z boku wyrwy pojawiła się strużka. Gdy koparka podjechała bliżej, grunt pod nią zaczął się osuwać. Fowler krzyknęła, zerwała się na równe nogi i ściągnęła operatora maszyny akurat w chwili, gdy zapadła się skarpa i koparka osunęła się do wyrwy. Tylina skarpa trzymała się jeszcze przez kilka sekund, jakie zabrało wodzie wypełnienie otworu, po czym ona także zniknęła. Masa wody runęła przerwaną groblą, zmywając koparkę do wąwozu. Patrzyli bezradnie, jak woda pędzi Smoczą Gardzielą, wyrrywając głazy z brzegów, powalając wały, nabierając szybkości, gdy w kłębowisku skał, wody i żwiru przewalała się pod starym mostem wiszącym ku leżącej w dole równinie. Shan uświadomił sobie, że obok niego stoi Tan. Pułkownik miał lornetkę przy oczach. Obserwował swój most.

Ale nie trzeba było lornetki, żeby dostrzec, jak ściana wody uderza z hukiem w betonowe filary. Most chwiał się przez chwilę niczym wążła zabawka, potem przeszło wygięło się w górę i zniknął w kipieli.

Shan przypomniał sobie odgłos, jaki wydała grobla, uwalniając samochód, ten dreszcz ziemi, szarpiący, ssący, skręcający krzyk błota, od którego ciarki przeszły mu po grzbiecie.

Ostatecznie, powiedział Je, wystarcza jeden czysty dźwięk.

Kincaid, który minął pędem ekshumowaną limuzynę, by dołączyć do Fowler, teraz stał przy otwartym bagażniku, z otwartymi ustami, z niedowierzaniem w oczach.

–Jezu -jęknął łamiącym się głosem. – O Jezu. – Pochylił się, jakby chciał dotknąć

trupa, zawahał się jednak i wyprostował powoli. Jak gdyby kierowany jakimś szóstym zmysłem odwrócił się, by spojrzeć na drogę do kopalni. Kierując się jego spojrzeniem, Shan spostrzegł nadjeżdżający nowy pojazd, jaskrawoczerwony landrower.

Nawet z odległości dziesięciu metrów Shan czuł, jak ciało Kincaida tężeje.

–Niech was diabli! – wrzasnął Amerykanin i ruszył biegiem w stronę drogi, od czasu do czasu pochylając się, by podnieść kamienie, które ciskał w stronę wciąż odległego pojazdu. – Chodźcie i zobaczcie ją, sukinsyny!

Czerwona terenówka przystanęła, po czym zaczęła się cofać i zniknęła za grzbietem.

Tan także ją zauważył. Znowu rozmawiał przez radio.

Nadszedł Luntok, przyniósł koc. Ragyapowie nie bali się zmarłych. Z szacunkiem okrył zwłoki w bagażniku, odwrócił się i spojrzał na swego przyjaciela Kincaida. W jego oczach pojawiło się coś nowego.

Rebecca Fowler podeszła do ragyapy.

–Czyja ekipa była odpowiedzialna za ostateczne wypełnienie tej grobli? – zapytała nieswoim głosem.

Luntok nie odpowiedział. Wciąż wpatrywał się w Kincaida.

Twarz Amerykanina stwardniała, gdy spojrzał wyzywająco na Luntoka. Ale kiedy dostrzegł Fowler i Shana, stojących razem przy samochodzie, zakłopotanie najwyraźniej wzięło górę. Uciekł do biura.

Fowler westchnęła, jakby zaszlochała.

–Jeśli moja kopalnia ukrywała jakieś dowody – powiedziała – możemy zostać deportowani, prawda?

Shan nie odpowiedział. Patrzył, jak Amerykanka powoli odchodzi za Kincaidem. Pięć minut później znalazł ją w sali komputerowej, z głową w dłoniach, wpatrującą się w kubek herbaty. Kincaid grał na organkach powolną, smutną melodię, jedną ręką pilnie przewijając tekst na ekranie konsoli łączności satelitarnej.

–Już po wszystkim – powiedział Shan, siadając naprzeciw niej.

–Jasne jak cholera. Stracę pracę. Stracę reputację. Będę miała szczęście, jeśli opłacą mi przelot do domu. – Wszystko w Rebecce Fowler, jej głos, jej twarz, sama jej istota, wydawało się pustą, pozbawioną życia powłoką.

–To nie była pani wina. Wojsko odbuduje pani groblę. Ministerstwo Geologii otrzyma oficjalne wyjaśnienie. To sprawa partii. Oni wyczyszczą to po cichu.

–Nie wiem nawet, jak wytłumaczyć to w kraju.

–Jako wypadek. Siła wyższa.

Fowler uniosła wzrok.

–Ta biedna kobieta. Znaliśmy ją. Tyler zabierał ją czasami na wycieczki.

–Widziałem ją na zdjęciu na ścianie. – Shan pokiwał głową. – Ale sądzę, że ona wiedziała to, co wiedział prokurator Jao. Jeśli Jao musiał umrzeć, musiała i ona.

–Ktoś powiedział, że ona jest na urlopie.

–Ktoś kłamał. – Przypomniał sobie, jak podniecony był Tan, kiedy nawiązał faksem kontakt z panną Lihua. Faksy istotnie przychodziły z Hongkongu. Shan

widział kody transmisji. Źródło zostało nawet zidentyfikowane jako tamtejszy oddział Ministerstwa Sprawiedliwości. Ktoś w Hongkongu kłamał. Li, który oświadczył, że odwiózł ją na lotnisko w noc jej śmierci, kłamał w Lhadrung.

–Zdjęcia satelitarne i prawa wodne – powiedziała Fowler. – To miało z tym coś wspólnego.

–Tego się obawiam.

Fowler znów ukryła głowę w dłoniach.

–Chce pan powiedzieć, że ja zaczęłam to wszystko?

–Nie. Pani zapoczątkowała tylko koniec tego wszystkiego.

–Koniec Jao. Koniec Lihuy. – Jej głos był pełen smutku.

–Nie. Jao już wcześniej został spisany na straty. Oni i tak pewnie postaraliby się w końcu, żeby panna Lihua zniknęła.

Spojrzała na niego z udręczonym wyrazem twarzy.

–W rzeczywistości było pięć morderstw, pięć, o których wiemy. Plus trzech straconych niewinnych mnichów. – Przerwał, by nalać sobie herbaty z termosu. Odkąd zobaczył ciało w samochodzie, miał wrażenie, że nigdy już nie pozbędzie się zimna z wnętrzości. – To wydawało się beznadziejnie zagmatwane. Nie rozumiałem z początku, że w istocie były dwie sprawy, nie jedna. Zamordowanie prokuratora Jao. I śledztwo Jao. Nie mogłem zrozumieć, o co chodzi z tym morderstwem, dopóki się nie dowiedziałem, co tropił Jao. I nie poznałem motywów. To nie był jeden motyw, nie dwa, ale kilka, a wszystkie zeszyły się razem tamtej nocy na Smoczym Szponie.

–Pięć morderstw? Jao, Lihua...

–I ofiary z wcześniejszych procesów. Poprzedni dyrektor Urzędu do spraw Wyznań. Poprzedni dyrektor kopalń. Poprzedni kierownik spółdzielni “Wielki Mur”. Potem mnisi. Nigdy nie wierzyłem, że Piątka z Lhadrung jest winna. Ale podejrzani często nie przystają do zbrodni. Nie było żadnego schematu. Dlatego, że to nie był jeden człowiek. To byli oni wszyscy.

–Oni wszyscy? Nie wszyscy purbowie.

Shan pokręcił głową i westchnął.

–Najtrudniejsze było powiązanie ofiar. Wszyscy oni nadzorowali wielkie projekty rządowe, mogli więc symbolizować wyrządzane Tybetańczykom krzywdy. Podejrzenie natychmiast padało na działaczy opozycyjnych. Ale nikt nie koncentrował się na bardziej bezpośrednim motywie. Zamordowani byli także urzędnikami państwowymi. I wszyscy byli bonzami.

–Bonzami?

–Wysokimi rangą urzędnikami w swoich instytucjach. Bardzo potężnych instytucjach. Razem wzięci rządząli większością okręgu. A pod każdym z nich, następny w kolejce, był ktoś dużo młodszy, członek Klubu Bei Da. – Stał za konsolą. Kincaid przeglądał rejestr zamówień map.

Rebecca Fowler otworzyła usta, wydawało się jednak, że nie jest w stanie wykrztusić słowa.

–Chce pan powiedzieć, że ten klub był jakimś stowarzyszeniem morderców? – zapytała wreszcie.

Shan ruszył wzdłuż długiego stołu.

–Li był następcą Jao. Wen przejął Urząd do spraw Wyznań po śmierci Lina. Hu przejął kopalnię. Szefa spółdzielni “Wielki Mur” nikt nie zastąpił, bo rozwiązano ją z powodu przestępczej działalności. Być może nawet nie wiedzieli o tym procederze, kiedy zaczęli zabijać. Ale kiedy odkryli, że spółdzielnia dawała olbrzymie dochody jako dostawca narkotyków, jak mogli się oprzeć? – Co takiego powiedział Li podczas ich pierwszego spotkania? Tybet jest krajem szans. Podniósł jeden z błyszczących amerykańskich katalogów i popchnął go w stronę Fowler. – Większość rzeczy tutaj kosztuje więcej, niż wynosi ich oficjalna miesięczna pensja.

Kincaid wciąż siedział, wpatrując się w monitor komputera. Dawno już odłożył organki. Zaciskał dłonie na krawędzi stołu, aż zbieleły mu kostki palców.

–Pokazałaś mu – szepnął. – Pokazałaś Shanowi mapy. Nie było ich w archiwum, więc ściągnęłaś je specjalnie dla niego. Nigdy nie zamawiasz map na własną rękę.

Fowler odwróciła się do niego, nie rozumiejąc.

–Musiałam, Tyler. Tu chodziło o śmierć Jao. O te prawa wodne, o których nie wiedzieliśmy, skąd się wzięły.

Ale Kincaid patrzył na Shana, który podszedł bliżej, by odczytać tekst z ekranu. Kincaid miał przed sobą nie wykaz map pół makowych Jao, lecz wykaz map Szponu Południowego. Map, które ujawniły amerykańskiemu inżynierowi Yerpę.

–Kiedy przeglądaliśmy uważnie zdjęcia czaszek w jaskini, odkryliśmy, że jedna z nich została przeniesiona – powiedział Shan. – Nie zniszczona, po prostu z szacunkiem przełożona w inne miejsce. Sądziłem, że to musiał zrobić mnich. Ale mnich odczytałby tybetańskie daty przy czaszkach. Mało prawdopodobne, by pomieszał sekwencje, naruszył chronologiczny układ świątyni. Dużo później uświadomiłem sobie, że potraktować czaszkę z szacunkiem mógł też ktoś, kto nie czyta po tybetańsku.

Kincaid zdawał się nie słyszeć.

–Chce pan powiedzieć, że to był Chińczyk – odezwała się słabym głosem Fowler. Shan ze znużeniem opadł na krzesło naprzeciw niej i postanowił spróbować z innej strony.

–Nietrudno źle zrozumieć *Księgę Lotosu*.

– *Księgę Lotosu?* - zapytała Fowler.

Shan oparł na stole splecione dłonie i utkwiał w nich wzrok. Ogarnął go bezbrzeżny smutek, niemal obezwładniająca melancholia.

–Tam nie chodzi o odwet – ciągnął. Kincaid powoli odwrócił się do niego. – Tam nie chodzi o dochodzenie sprawiedliwości. Purbowie nie mają nic przeciwko naruszaniu prawa przez spisywanie świadectw, ale nie zabiliby. Ta księga jest po prostu... jest bardzo tybetańska. To sposób zawstydzenia świata. Sposób uświęcenia tych, co stracili życie. Ale nie służy zabijaniu. Tybetańczycy nie uznają takich metod. – Uniósł wzrok. Dlaczego, zastanawiał się, sprawiedliwość zawsze smakuje tak gorzko?

–Nie rozumiem nic, co pan... – Fowler urwała w pół zdania, gdy spostrzegła, że Shan patrzy już nie na nią, lecz ponad jej ramieniem na Kincaida.

–Nie rozumiałem tego, dopóki nie zobaczyłem Jansena z purbami. Wtedy się domyśliłem. To on był brakującym ogniwiem. Pan przekazywał informacje Jansenowi. Jansen przekazywał je purbom. Purbowie umieszczali je w *Księdze Lotosu*. Pan po prostu rozpowszechniał to, co dawali panu pańscy dobrzy przyjaciele, Li, Hu i Wen. Myślał pan, że oni próbują stworzyć nowy, bardziej przyjazny rząd, zaleczyć stare rany, pomagając Tybetańczykom. Skąd miałby pan wiedzieć, że te informacje były kłamliwe? Nigdy by pan tego nie podejrzewał, gdyż tak wiele za nimi przemawiało. Każdy był gotowy wierzyć, że Tan i Jao zrobili te rzeczy. Skłonił pan nawet swoich przyjaciół do poświęcenia wojskowej żywności i odzieży na znak zaangażowania. Do wioski ragyapów, o których wiedział pan od Luntoka i było ich panu żal, poszła ciężarówka ubrań. Rebecca Fowler wstała, odpychając w tył krzesło.

–O czym pan mówi? – zapytała ostro. – Jaka księga? Morderstwa miały coś wspólnego z Tamdinem, mówił pan. Z Tybetańczykiem w kostiumie demona.

Shan powoli skinął głową.

–Urząd do spraw Wyznań robił inwentaryzacje w gompach, wie pani o tym. Półtora roku temu znaleźli kostium Tamdina. Należał do guru Sungpo, który ukrywał go przez wszystkie te lata. Ale był już stary i prawdopodobnie nie chronił go tak pieczołowicie jak niegdyś. Dyrektor Wen schował raport opisujący odkrycie i, ponieważ wielu urzędników wiedziało o inwentaryzacji, dla zatarcia śladów przekazał znaleziska do muzeum. Ale kostium nigdy do muzeum nie dotarł, ponieważ jakiś członek Klubu Bei Da spotkał kogoś, kto mógł go użyć dla ich potrzeb. Kogoś, kto nigdy by nie potrzebował alibi, aby wybronić się od podejrzania o morderstwo, ponieważ nigdy nie byłby podejrzewany. Kogoś, kto rozkoszowałby się symboliką. Kogoś obdarzonego szczególnymi przymiotami. Silnego. Nieustraszonego. O skrajnych poglądach na temat Tybetańczyków. Na temat potrzeby odwetu za splądrowanie Tybetu. – Albo może, pomyślał, potrzeby wzięcia odwetu na świecie jako takim.

Zabić człowieka kamykami – ciągnął Shan – wpychać je do tchawicy jeden po drugim... Odrąbać trzema ciosami głowę... Nie każdy jest zdolny do takich rzeczy. A posłużenie się kostiumem wymagałoby kogoś zupełnie wyjątkowego. Tybetańczycy szkolili się miesiącami, ale to dotyczyło głównie obrzędowego tańca. Ktoś nie zainteresowany ceremoniałem mógłby opanować sztukę posługiwania się kostiumem o wiele szybciej, zwłaszcza ktoś o wykształceniu technicznym.

Kincaid podszedł do ściany ze zdjęciami Tybetańczyków i wpatrzył się w twarze dzieci, kobiet i starych ludzi, jak gdyby one zawierały odpowiedź.

–Mylisz się – powiedział głucho. – Bardzo się mylisz.

Shan wolno podniósł się z krzesła. Kincaid zaczął się cofać, jakby obawiał się ataku. Ale Shan podszedł do konsoli.

–Nie. Myliłem się bardzo. Nie mogłem uwierzyć, że takie lekceważenie, a zarazem taki szacunek, mogą istnieć w tej samej osobie. – Ekran komputerowy wciąż ukazywał dane na temat map Yerpy. To niebywałe, jak dobrze Amerykaninowi udało się zrozumieć Tybetańczyków. W pewnym sensie zabicie prokuratora Jao świadczyło o geniuszu. Kincaid, odkrywszy Yerpę na mapach fotograficznych, wiedział, że

Czterysta Czwarta odmówił dalszej pracy, i bez wątpienia założył, że major dopilnuje, by pałkarze upozorowali tłumienie strajku, ale nie wyrządzili więźniom prawdziwej krzywdy. Shan wcisnął klawisz "Delete".

Z zewnątrz dobiegł odgłos pracującego silnika. Fowler stanęła w drzwiach pokoju i wyrzwała przez okno w przeciwną stronę.

–Laweta – powiedziała rozkojarzona. – Zabierają limuzynę Jao. – Odwróciła się zakłopotana.

–Tyler, jeżeli coś wiesz, powinieneś powiedzieć Shanowi. Musimy myśleć o kopalni. O firmie.

–Czy coś wiem? – odparł Kincaid z pogardą. – Pewnie, że coś wiem. Piątka z Lhadrung nie została stracona. Oto, jak się mylisz. Zginęła jedynie banda pekaowców, których powinno się być już wiele lat temu rozstrzelać za ich zbrodnie przeciwko Tybetowi. – Wydawał się wściekły. – Z wyjątkiem Lihuy – dodał z wahaniem. – Kogoś poniosło.

Fowler gwałtownie uniosła głowę.

–Skąd możesz wiedzieć... co masz na myśli? – zapytała.

–Ten klub. Klub Bei Da – powiedział Shan. – Li, Wen, Hu, major. Pan Kincaid był nieoficjalnym członkiem.

–Ktoś musi działać, Rebecco – wtrącił Kincaid z pasją. – Sama o tym wiesz. Właśnie dlatego pomagasz ONZ i Jansenowi. Świat może tak wiele nauczyć się od Tybetu. Musimy zacząć od nowa. Zrobiliśmy wielki postęp.

–Postęp? – zapytała Fowler niemal szeptem.

–Ktoś musi stawić opór – odpalił Kincaid. – Trzeba to zrobić. Nikt się nie przeciwstawił Hitlerowi. Nikt się nie przeciwstawił Stalinowi, dopóki nie było za późno. Ale tu nie jest za późno. Tu możemy coś zmienić. Historię da się odwrócić. Klub Bei Da wie o tym. Kryminaliści muszą zostać odsunięci od władzy.

–Potrafi pan rozpoznać kryminalistę, panie Kincaid? – zapytał Shan. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do Fowler. – Czy przygotowujecie próbki do wysyłki w następnym tygodniu?

–Tak – odparła powoli, zdezorientowana bardziej niż kiedykolwiek.

–Trzeba zatrzymać ten transport. Może mogłaby pani zadzwonić.

–Skrzynie są już zaplombowane. Po wstępnej odprawie celnej.

–Trzeba go zatrzymać – powtórzył Shan.

Fowler podeszła do telefonu i parę minut później pod drzwi biura zajechała ciężarówka. Shan wyszedł na zewnątrz i zbliżył się do skrzyni ładunkowej. Kincaid i Fowler stali w drzwiach, obserwując go z zakłopotaniem.

–Pokolenie "ja" – mruknął w roztargnieniu Shan, przyglądając się uważnie skrzyniom. – Przeczytałem to kiedyś w amerykańskim czasopiśmie. Nie potrafią na nic czekać. Wszystkiego chcą od razu. Jeszcze jedno morderstwo i wygraliby. Został tylko pułkownik. Może mieli zamiar przejąć także waszą kopalnię. Myślę, że zawieszenie koncesji było częściowo reakcją na to, co Kincaid zrobił z Jao: chcieli móc pozbyć się was, gdyby wypadki wymknęły się spod kontroli. Pamięta pani, kiedy otrzymała pani zawiadomienie o zawieszeniu koncesji?

–Nie wiem. Dziesięć dni temu. Dwa tygodnie.

–To było dzień po tym, jak znaleźliśmy głowę Jao – stwierdził Shan, powoli, by w pełni dotarło do niej znaczenie tych słów. – Kiedy odkryli, że przestają panować nad swym demonem. Nie wydaje mi się, by zdecydowali wtedy, że się was pozbędą. Po prostu chcieli zostawić sobie furtkę. Na przykład podkładając dyskietki i udając, że toczy się śledztwo o szpiegostwo.

–Tyler – szepnęła Fowler – porozmawiaj z nim. Powiedz mu, że nie wiesz...

–Nikt nie zrobił nic złego – upierał się Kincaid. – Tworzymy historię. Potem wrócę do domu i zainteresuję tym kogo trzeba. Ściągnę tu jeszcze większy kapitał. Sto milionów, dwieście milionów. Miliard. Zobaczysz, Rebecca. Będiesz moim kierownikiem. Moim dyrektorem generalnym. Ty to rozumiesz.

Fowler tylko wpatrywała się w niego.

Shan zaczął rozpakowywać skrzynię z próbkami solanki w cylindrach o średnicy dziesięciu centymetrów.

–Coś z tego zostało wykonane na zewnątrz. Zamówiliście to pewnie w Hongkongu. Być może skrzynie.

–Cylindry – powiedziała Fowler, ledwo słyszalnym głosem. – Dostajemy je z Ministerstwa Geologii.

Shan skinął głową.

–Jao szukał przenośnej aparatury rentgenowskiej. Chciał sprowadzić ją tutaj, jak sądzę, albo do siedziby Klubu Bei Da. Przypuszczam, że spodziewał się znaleźć coś w terakotowych posążkach, które sprzedają, albo w drewnianych skrzyniach używanych do transportu. Ale klub miał sprytniejsze rozwiązanie. Wciąż się zastanawiałem, jaki był cel przyspieszania waszych terminów wysyłki. – Odkręcił pokrywę jednego z metalowych pojemników i wylał solankę na podłogę. – Sądzę, że to dlatego, że chcieli wysłać możliwie jak najwięcej, zanim ze względu na amerykańskich turystów wejdą w życie zaostrome środki bezpieczeństwa.

Nie wiedział, czego szuka, ale zmierzył wewnętrzną głębokość pojemnika długim śrubokrętem zabranym z ciężarówki. Śrubokręt ledwie wystawał ponad krawędź. Przyłożył go do zewnętrznej ścianki. Brakowało mu piętnastu centymetrów do dna. Przez kilka długich chwil oglądał cylinder, aż wreszcie znalazł niemal niewidoczny szew. Próbował rozkręcić pojemnik, ale nadaremno. Fowler zawołała o dwa duże klucze nastawne. Wspólnymi siłami oddzielili denną komorę, przekręciwszy końce pojemnika w przeciwnych kierunkach. Wewnątrz znajdowała się ciemnobrązowa cierpka pasta.

–To – Shan wskazał głową Tana, który stał trzydzieści metrów dalej, dyrygując maszyną – uczyni naszego pułkownika bohaterem. Morderstwo jest tylko morderstwem. Ale przemyt narkotyków to problem wagi państwowej.

Fowler była blada jak trup. Kincaid zbliżył się chwiejnym krokiem. Chwycił inny cylinder i otworzył go tak, jak zrobili to Shan i Fowler, potem trzeci. Przy czwartym zaczął drżeć. Wcisnął dłoń do środka i wyciągnął ją, pokrytą gęstą mazią.

–Świnie – jęknął. – Małe, chciwe gnojki.

–Jak powiedziałem, tylko pan był w dobrych stosunkach zarówno z Klubem Bei

Da, jak i z kimś bliskim purbom. – Shan ściągnął z szyi khatę Amerykanina. – Nakarmili pana informacjami o ofiarach, a pan przekazał je Jansenowi. Jansen przekazał z kolei purbom, a oni zapisali je w *Księdze Lotosu*. Ale one nie miały trafić do tej księgi. Były przeznaczone dla pana. Dlatego, że wiedzieli, że musi pan wierzyć w to, co pan robi. Nie zrobiliby pan tego, gdyby pan wiedział, że chodzi tylko o przyspieszenie ich awansu. Nie. Zrobił pan to, aby ukarać winnych. Zrobił pan to dla swojej sprawy. Tyle że z prokuratorem Jao zaszedł pan za daleko. Myślę, że łatwo było ich przekonać, by zwabili go na Szpon Południowy. Ostatecznie, nawet jeśli skutkiem zabicia Jao na budowanej przez Czterysta Czwartą drodze miała być odmowa pracy tybetańskich więźniów i sprowadzenie pałkarzy, pana przyjaciel major nadal panowałby nad sytuacją, nadal mógłby zachowywać pozory, nie wyrządzając prawdziwej krzywdy Tybetańczykom, prawda? Ale świątynia czaszek to co innego. To ich zaniepokoiło, gdyż tak wiele tego złota trafiało do ich kieszeni. To, co zrobił pan z jego głową, groziło odcięciem ich złotonośnego źródła. Musieli dać panu naukę. Może uznali, że już pana nie potrzebują. Tak więc poszli do kryjówki i uszkodzili kostium, po czym zawiesili koncesję. A kiedy próbował pan wrócić po kostium, strzegły go psy. Ugryzły pana w ramię. Nie zranił się pan o skałę. Ugryzł pana pies. – Upuścił khatę na ziemię obok Kincaida i spojrzał na Fowler. Jak ona nazwała Kincaida? Zagubioną duszyczką, która znalazła swój dom.

W oczach Kincaida wciąż jeszcze tliła się resztką buntu.

–Tamdin jest obrońcą Tybetańczyków – powiedział powoli. – Ludzie muszą znowu wierzyć w dawne wartości. To właśnie robiłem. Chroniłem buddystów. Ocaliliśmy ich. Ocaliliśmy Piątkę z Lhadrung.

–Co chce pan przez to powiedzieć?

–Cała tamta trójka jest w Nepalu. To była część planu. Skoro oficjalnie donoszono o egzekucjach, nikt nie miałby szans odkryć, że w rzeczywistości zostali przemyceni przez granicę. Major sam ich wywoził. Oni wszyscy żyją.

Shan westchnął i sięgnął do kieszeni. Ze złudzeń Amerykanina pozostała już tylko wąłta nitka. Wręczył mu zdjęcia z trzech egzekucji. Obejrawszy może pół tuzina, Kincaid opadł na kolana. Kiedy uniósł wzrok, nie patrzył na Shana, lecz na Fowler. Suchy szloch szarpał jego pierś.

–Nie chodziło o narkotyki! – wykrzyknął. – Musisz mi uwierzyć! Gdybym kiedykolwiek pomyślał...

Łzy, płynące mu po policzkach, wyrwały Fowler z odrętwienia. Kiedy odezwała się, jej głos brzmiał łagodnie, jak gdyby pocieszała dziecko.

–Wtedy nie przebrałbyś się dla nich w kostium, prawda, Tyler?

–To był Hitler. To był Stalin. Wiesz, co oni tu zrobili. Mieliśmy zamiar to zmienić. Ty zrozumiesz, Rebecca. Zawsze wiedziałem, że zrozumiesz. Któregoś dnia byłabyś ze mnie dumna. Tych zbrodni nie można wybaczyć. Ktoś musi... – Urwał, widząc odrazę na jej twarzy. – Rebecca! Nie! – krzyknął rozpaczliwie i rzucił się do jej stóp, bijąc w ziemię pięściami.

ROZDZIAŁ 21

Aresztowania zostały przeprowadzone sprawnie, raportował pułkownik Tan. Li Aidang, Hu i Wen Li byli akurat w swej prywatnej posiadłości, ładowali do landrowerów pudła z dokumentami. Major ruszył prosto do swego helikoptera, spodziewając się, że bez trudu przeleci przez granicę. Ale Tan poprzedniej nocy unieruchomił maszynę i obstawił ją doborowym oddziałem żołnierzy. Pięćdziesięciu innych ludzi Tana dokonało rewizji budynków Klubu Bei Da. Sześć godzin zabrało im odnalezienie ukrytego pomieszczenia w podziemnej świątyni starej gompy. Były tam wyciągi z kont w hongkońskich bankach, lista nazwisk współników z Hongkongu oraz ewidencja przetworzonej pasty opiumowej.

Shan całą noc pracował nad swoim raportem. Rano, tuż po świcie, Sungpo i Jigme zostali zwolnieni z magazynu w Nefrytowym Źródle, gdzie ukrył ich Tan. Shan stał przy bramie i przyglądał się, chcąc coś powiedzieć, ale nie znalazł słów. Nie zwrócili na niego uwagi, gdy przechodzili przez bramę. Nie chcieli, żeby ich podwieźć. Sześć metrów dalej, na drodze, Jigme odwrócił się i rzucił mu krótkie, zwycięskie skinienie głową.

Dwie godziny później Shan siedział w biurze Tana, ubrany w swój zwykły obozowy uniform. Telefon dzwonił bez ustanku. Pani Ko miała do pomocy dwóch młodych, schludnych oficerów.

– Ministerstwo Sprawiedliwości postanowiło już, że prokurator Jao zostanie ogłoszony Bohaterem Ludowym. Jego rodzina otrzyma odznaczenie – oświadczył z kamienną twarzą Tan. – Jeszcze dzisiaj spodziewają się aresztowań w Hongkongu. Li mówił przez całą noc. Próbował nas przekonać, że wmieszał się w to w ramach własnego śledztwa. Podał wystarczająco wiele informacji, by zapełnić książkę. To zresztą bez różnicy. Przyjechał generał z delegatury Urzędu Bezpieczeństwa w Lhasie. Mają do tych celów specjalne miejsce w górach. W jutrzejszej gazecie ludziom powie się o tragicznym wypadku na wysokogórskiej szosie. Wszystkie ofiary śmiertelne.

Shan wyglądał przez okno. Czteryście Czwarta wciąż nie pracowała.

Tan spojrział tam gdzie on.

– Teraz, gdy nie ma już mostu, droga jest niepotrzebna – oświadczył. – Budowa została zaniechana.

Shan spojrział na niego zaskoczony.

– Nie ma pieniędzy na nowy most – wyjaśnił Tan, wzruszając ramionami. – Oddziały bezpieki wracają już na granicę. Czteryście Czwarta nie zostanie ukarana. Jutro zaczyna nową budowę. Rowy irygacyjne w dolinie. – Stanął obok Shana przy oknie, spoglądając na ulicę. Sierżant Feng opierał się o terenówkę. – Złamaliście go, wiecie o tym.

– Fenga?

– Spędził tyle lat pod moim dowództwem, a teraz prosi o przeniesienie. Jak najdalej od obozów i więzień. Mówi, że chce sprawdzić, czy ktoś z jego rodziny jeszcze żyje. Mówi, że musi pójść na grób ojca. – Niezgrabnym gestem wskazał papierową torbę na stole. – Macie. To pomysł pani Ko – powiedział. W jego głosie

było dziwne napięcie, nie radosne uniesienie, jakiego spodziewał się Shan.

Była to para nowych wojskowych butów i rękawice robocze.

Shan nie powiedział nic, ale usiadł i zaczął rozwiązywać buty, które miał na nogach.

–Co z Amerykaninem?

Tan zawahał się.

–To nie jest już problem. Ambasada USA została zawiadomiona o wszystkim.

–Już deportowany?

Tan zapalił papierosa.

–Zeszłej nocy pan Kincaid wspiął się na urwisko nad jaskinią czaszek. Zawiązał sobie linę na szyi i zeskoczył. Ekipa robocza znalazła go tam dziś rano, wisiał nad jaskinią.

Shan zacisnął szczęki. Tak wiele istnień ludzkich zostało zmarnowanych. Dlatego, że Kincaid zbyt usilnie szukał.

–A Fowler?

–Ona może zostać, jeśli chce. Ktoś musi kierować kopalnią.

–Zostanie – powiedział Shan. Ściągnął buty i związał je sznurowadłami, by łatwiej było je nieść. Włożył nowe buty ze względu na panią Ko, a potem oddał je Choje.

Tan z wyrazem niezdecydowania na twarzy wpatrywał się w złożoną stronę z gazety. Gdy Shan naciągnął buty, popchnął papier przez biurko.

Gazeta była sprzed dziesięciu dni. Całą stronę zajmowała klepsydra. Minister gospodarki, Qin, był oplakiwany jako ostatni żyjący członek 8. Armii w obecnym rządzie.

–Dzwoniłem do Pekinu. Nie zostawił co do was żadnych instrukcji. W jego biurze zdążyli już zrobić wielkie porządki. Wydaje się, że mnóstwo ludzi życzy sobie zniszczenia jego archiwów, i to szybko. Wszystkie akta zniknęły. Nikt z nowego personelu nie słyszał o żadnych poleceniach względem was.

Shan wsunął wycinek do kieszeni. To wcale nie musiała być dobra wiadomość. Póki Qin żył, był przynajmniej ktoś, kto go pamiętał, ktoś mający władzę nad jego tatuażem. Nie będzie pierwszą osobą zapomnianą w chińskim więzieniu.

Tan przeglądał cienką brązową teczkę, którą Shan widział podczas pierwszej wizyty.

–W tej chwili to jest jedyny oficjalny dowód waszego istnienia. – Zamknął teczkę. – A jednak coś było w Pekinie. – Podniósł zawiniętą w ceratę paczuszkę. – Nie znaleźli akt, ale odkryli na jego biurku to, niby jakieś trofeum. Było na tym wasze nazwisko. Pomyślałem, że może... – Słowa uwięzły mu w gardle. Rozwinął pakiecik. Na ceracie leżała mała, wytarta, bambusowa kasetka.

Shan wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Jego oczy przesunęły się powoli ze znajomego pudełka na Tana, który również na nie patrzył.

–Przyglądałem się kiedyś taoistycznym kapłanom – powiedział z powagą pułkownik. – Rzucali patyczki i recytowali grupkom dzieci wersety.

Shan drżącą ręką sięgnął po kasetkę i otworzył pokrywkę. Wewnątrz, tak jak pamiętał, spoczywały pokryte laką patyczki, odziedziczone po dziadku łodygi

krwawnika używane do *Tao Te Ching*. Ponieważ były jego jedyną fizyczną własnością, do jakiej przywiązywał wagę, minister demonstracyjnie odebrał mu je. Powoli, każąc dłoni przypomnieć sobie gest, który niegdyś był odruchowy, wachlarzowatym ruchem rozrzucił patyczki. Uniósł wzrok, zakłopotany.

–To budzi tyle wspomnień – odezwał się Tan dziwnym, udręczonym tonem. Spojrzał na Shana z twarzą ściągniętą pytająco. – Świat wyglądał kiedyś inaczej, prawda? – dodał, nagle wzruszony.

Shan tylko uśmiechnął się smutno.

–Ten komplet to spadek – powiedział bardzo cicho. – To miło z waszej strony. Nie miałem pojęcia, że ocalał.

Przesunął patyczki w palcach, zaskoczony przyjemnością, jaką sprawiał ich dotyk. Ścisnął je mocno, z zamkniętymi oczami, po czym włożył z powrotem do kasetki i zamknął ją w dłoniach. Przez najbardziej ulotną z chwil otaczała go lekka woń imbiru i poczuł, że jego ojciec jest blisko.

–Czy mógłbym... – odezwał się – prosić o wielką przysługę?

–Rozmawiałem z nadzorcą. Będziecie przez kilka tygodni dostawać lekkie prace.

–Nie. Chodzi mi o to. – Z szacunkiem odłożył kasetkę na ceratę. – Odbiorą mi je. Strażnik wrzuci je do ognia. Albo sprzeda. Gdybyście wy, albo pani Ko, mogli je przechować...

Tan spojrział na niego z bólem w oczach. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz tylko niezgrabnie skinął głową i owinął kasetkę w ceratę.

–Oczywiście. Będą bezpieczne.

Gdy Shan wychodził, Tan siedział ze wzrokiem utkwionym w paczuszce.

Pani Ko czekała w przedsionku ze łzami w oczach.

–Pani brat... – powiedział Shan, pamiętając, jak jest przywiązana do brata zaginionego dawno temu w obozie. – Myślę, że uczciła go pani tym, co pani zrobiła. Objęła go, jak matka objęłaby syna.

–Nie – odparła. Drżały jej usta. – To wy go uczciliście.

Shan był już w połowie korytarza, kiedy Tan zawołał za nim. Szedł ku niemu powoli, niepewnie, z kasetką w jednej dłoni, oficjalną teczką Shana w drugiej.

–Oficjalnie nie mogę nic zdziałać w sprawie akt z Pekinu – powiedział. – Nawet zaginionych akt.

–Oczywiście – odparł Shan. – Zawarliśmy umowę. Została uczciwie wypełniona.

–Tak więc nie dostaniecie żadnych dokumentów podróżnych. Ani nawet zezwolenia na pracę. Będziecie w niebezpieczeństwie, jeśli tylko opuścicie ten okręg.

–Nie rozumiem.

Oczy Tana zabłysły światłem, jakiego więzień nie widział w nich nigdy dotąd. Podał teczkę Shanowi.

–Proszę. Już nie istniejecie. Zadzwońię do nadzorca. Zostaniecie usunięci z rejestru. – Pułkownik powoli wyciągnął kasetkę i ich oczy spotkały się, jakby się widzieli po raz pierwszy. – Ten kraj... – westchnął. – Życie bywa tu takie trudne. – Skinął głową, jak gdyby w odpowiedzi samemu sobie, po czym włożył kasetkę w dłoń Shana i odszedł do swojego gabinetu.

Doktor Sung o nic nie pytała. Bez słowa dała mu pięćdziesiąt ampulek szczepionki przeciw ospie, po czym kazała poczekać na broszurkę z instrukcją dawkowania.

–Słyszałam, że chłopaków z Bei Da już nie ma – powiedziała obojętnie. – Jak gdyby nigdy nie istnieli. Ludzie mówią, że z Lhasy przyjechała specjalna ekipa od czystek. – Znalazła małą płócienną torbę na lekarstwo, po czym odprowadziła go na ulicę, jakby słowa “do widzenia” nie chciały jej przejść przez gardło.

Stała tam, w szarpanym wiatrem fartuchu, gdy Shan na pożegnanie wzruszył ramionami. W ostatniej chwili wyciągnęła jabłko. Kiedy wepchnęła mu je do torby, uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

Czekała go długa droga do Yerpy.

**This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-14**

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/